

JAMES ROLLINS



KOLONIA DIABŁA

JAMES ROLLINS

KOLONIA DIABŁA

Z angielskiego przełożył
ŁUKASZ PRASKI



2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THE DEVIL COLONY

Copyright © James Czajkowski 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012
Polish translation copyright © Łukasz Praski 2012

Redakcja: Anna Magierska
Zdjęcie autora: David Sylvian
Ilustracje na okładce:
Frank Tozier/Alamy (*Jefferson Memorial*), Shutterstock (*tło*) (*front*) Zacarias Pereira de
Mata/Shutterstock (*tył*)
Projekt graficzny frontu okładki: Ewa Orzeszek-Szmytko
Projekt graficzny serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-000-7

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



2012. Wydanie elektroniczne

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](http://Virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Motto](#)
- [Podziękowania](#)
- [Nota historyczna](#)
- [Nota naukowa](#)
- [CZĘŚĆ PIERWSZA INTRUZI](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
 - [5](#)
 - [6](#)
 - [7](#)
 - [8](#)
 - [9](#)
 - [10](#)
 - [11](#)
 - [12](#)
 - [13](#)
- [CZĘŚĆ DRUGA POŻOGA](#)
 - [14](#)
 - [15](#)
 - [16](#)
 - [17](#)
 - [18](#)
 - [19](#)
 - [20](#)
 - [21](#)
 - [22](#)
 - [23](#)
 - [24](#)
- [CZĘŚĆ TRZECIA GORĄCZKA ŻŁOTA](#)
 - [25](#)
 - [26](#)
 - [27](#)

- [28](#)
- [29](#)
- [30](#)
- [31](#)
- [32](#)
- [33](#)
- [34](#)
- [CZĘŚĆ CZWARTA WILK I ORZEŁ](#)
 - [35](#)
 - [36](#)
 - [37](#)
 - [38](#)
 - [39](#)
 - [40](#)
 - [41](#)
 - [42](#)
 - [43](#)
 - [44](#)
- [Od autora prawda czy fikcja?](#)
- [Przypisy](#)

*Dla Taty,
bo już najwyższy czas
(a zbyt często pozostajesz niedoceniany)*

Nauka to moja pasja, moja polityka, mój obowiązek.

THOMAS JEFFERSON
W LIŚCIE DO HARRY'EGO INNESA, 1791

Podziękowania

Książka powstawała przez dwa lata, więc dług wdzięczności, jaki mam wobec osób, które przyczyniły się do jej narodzin, powinienem spłacić już dawno temu. A zatem zaczynamy. Choć wymieniam tę grupę osób w każdej książce, to i tak za mało. Są moimi pierwszymi czytelnikami, pierwszymi redaktorami i należą do kręgu moich najlepszych przyjaciół. Chciałem skorzystać z tej okazji i podziękować ludziom, którzy byli dla mnie opoką w ciągu tych dwóch lat, a są to: Penny Hill, Judy Prey, Dave Murray, Caroline Williams, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O'Riva, Sally Barnes, Denny Grayson, Leonard Little, Kathy L'Ecluse, J.M. Keese i Scott Smith. Szczególnie gorące podziękowania jestem winien Steve'owi Preyowi za nieocenioną pomoc przy mapach i zrzeczność przy pracy nad Wielką Pieczęcią Stanów Zjednoczonych. Do listy dopisuję osoby spoza tej grupy: Carolyn McCray i Davida Sylviana, którzy dodawali mi sił w dobrych i podtrzymywali mnie na duchu w złych chwilach. Wydaje mi się, że zawdzięczam też coś koledze po piórze Steve'owi Berry'emu (czuj się więc włączony do tego grona, Steve). I oczywiście świetnie wiem, co zawdzięczam wszystkim z wydawnictwa HarperCollins. Na tej liście figurują: Michael Morrison, Liate Stehlik, Seale Ballenger, Danielle Bartlett, Josh Marwell, Lynn Grady, Adrienne Di Pietro, Richard Aquan, Tom Egner, Shawn Nicholls, Joyce Wong i Ana Maria Allessi. Na koniec specjalne podziękowania, rzecz jasna, dla czterech osób, które odegrały kluczową rolę na każdym etapie powstawania powieści: dla mojej redaktorki Lyssy Keusch i jej współpracownicy Wendy Lee oraz moich agentów Russa Galena i Danny'ego Barora. I jak zawsze muszę podkreślić, że wina za wszelkie błędy faktograficzne i przekłamania, jakie znalazły się na kartach książki, spada wyłącznie na mnie.



Nota historyczna

Każde dziecko zna nazwisko Thomasa Jeffersona, architekta i autora Deklaracji Niepodległości, człowieka, który pomógł zbudować państwo z garstki kolonii Nowego Świata. W ciągu minionych dwóch stuleci napisano tomy na jego temat, ale ze wszystkich ojców założycieli Stanów Zjednoczonych tylko jego postać do dziś pozostaje owiana aurą tajemnicy i budzi kontrowersje.

Na przykład dopiero w 2007 roku złamano kod i odczytano zaszyfrowany list głęboko ukryty w jego papierach. Jefferson otrzymał go w roku 1801 od swojego kolegi z Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego, think tanku epoki kolonialnej, promującego naukę i debaty naukowe. Członków tej instytucji szczególnie interesowały dwa zagadnienia: metody opracowania szyfrów nie do złamania i badanie zagadek plemion rdzennych mieszkańców Nowego Świata.

Jefferson uległ graniczącej z obsesją fascynacji historią i kulturą Indian północnoamerykańskich. W swoim domu w Monticello zgromadził kolekcję przedmiotów kultur plemiennych, która podobno bogactwem przewyższała zbiory ówczesnych muzeów (kolekcję, która w tajemniczych okolicznościach zniknęła po jego śmierci). Liczne indiańskie relikty przysłali mu Lewis i Clark podczas swojej słynnej wyprawy przez Amerykę. Wiele osób nie wie jednak, że Jefferson w 1803 roku przesłał do Kongresu tajną wiadomość na temat ekspedycji Lewisa i Clarka. Ujawniał w niej prawdziwy cel podróży na zachód.

Na stronach książki poznacie ten cel. Bo historia założenia Ameryki kryje tajemnicę znaną tylko nielicznym. Nie ma ona nic wspólnego z wolnomularstwem, zakonem templariuszy ani żadną karkołomną teorią. Co więcej, wskazówkę można znaleźć w rotundzie Kapitolu. Na ścianie tej szacownej sali wisi słynny obraz Johna Trumbulla *Deklaracja Niepodległości* (jego tworzenie nadzorował Jefferson). Przedstawia wszystkie osoby, które podpisały sławny dokument, ale niewielu zwróciło uwagę na to, że Trumbull domalował pięć dodatkowych osób, których podpisy nie widnieją pod Deklaracją Niepodległości. Dlaczego? I kim oni są?

Jeśli chcecie poznać odpowiedź, czytajcie dalej.

Nota naukowa

Kolejny wielki krok w badaniach naukowych i przemyśle w nowym tysiącleciu można streścić jednym słowem: nanotechnologia. Mówiąc w skrócie, oznacza ono produkcję na poziomie atomów, w skali jednej miliardowej metra. Aby wyobrazić sobie coś tak małego, spójrzcie na kropkę na końcu tego zdania. Naukowcom z Nanotech.org udało się skonstruować próbówki tak mikroskopijnej wielkości, że w takiej kropce zmieściłoby się ich trzysta miliardów.

Właśnie obserwujemy gwałtowny rozwój przemysłu nanotechnologicznego. Ocenia się, że tylko w 2011 roku w Stanach Zjednoczonych sprzedaż produktów wytworzonych dzięki nanotechnice osiągnęła wartość siedemdziesięciu miliardów dolarów. Nanoprodukty można znaleźć wszędzie: w paście do zębów, w preparatach do opalania z filtrami ochronnymi, w lukrze na ciastach, w gryzakach dla niemowląt, w skarpetach do biegania, kosmetykach, lekach, a nawet w bobslejach olimpijczyków. Obecnie nanocząsteczki zawiera niemal dziesięć tysięcy produktów.

Jakie są minusy tej rewolucji technicznej? Nanocząsteczki mogą wywoływać choroby, a nawet doprowadzić do śmierci. Naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles odkryli, że nanotlenek tytanu (wchodzący w skład kremów z filtrem dla dzieci i wielu innych produktów) może spowodować uszkodzenia genetyczne u zwierząt. Udowodniono, że nanorurki węglowe (znajdujące się w tysiącach produktów codziennego użytku, na przykład w dziecięcych kaskach) gromadzą się w płucach i mózgach szczurów. W takiej mikroskali dzieją się też rzeczy dziwne i nieoczekiwane. Spójrzmy na folię aluminiową. Jest nieszkodliwa i bardzo praktyczna, gdy chcemy zapakować jedzenie, ale jeśli rozłożymy ją na nanocząstki, zmienia się w materiał wybuchowy.

Mówimy o nowych i niezbadanych obszarach. W chwili obecnej nie wymaga się jeszcze oznaczania nanoproduktów ani prowadzenia badań nad bezpieczeństwem przedmiotów zawierających nanocząstki. Przemysł ten ma jednak swoją ciemną stronę. Historia nanotechnologii zaczęła się wcześniej niż w dwudziestym wieku, znacznie wcześniej. Aby się dowiedzieć, gdzie się narodziła, i odkryć mroczne pochodzenie „nowej” nauki...

...czytajcie dalej.

Jesień 1779 roku

Terytorium Kentucky

Powoli ukazywała się czaszka potwora.

Z czarnej ziemi wystawał fragment pożółkłego kła.

Po obu stronach wykopanej dziury klęczeli w ziemi dwaj ubłoceni mężczyźni. Jednym z nich był ojciec Billy'ego Prestona, drugim jego wuj. Billy stał nad nimi, nerwowo gryząc knykię. Dwunastolatek wyblagał zgodę na udział w tej wyprawie. Dawniej zawsze zostawiano go w Filadelfii z matką i małą siostrą Nell.

Na myśl o tym, że może tu stać, rozpierała go duma.

Ale w tym momencie towarzyszył jej dreszcz lęku.

Może powodem było wiszące nisko nad horyzontem słońce, które rzucało na obozowisko splątane jak sieć cienie. A może kości, które wykopywali przez cały tydzień.

Pozostali zebrali się wokół nich: czarnoskórzy niewolnicy wynoszący kamienie i ziemię, statecznie ubrani uczeni z palcami poplamionymi atramentem i oczywiście zagadkowy Francuz Archard Fortescue, przewodnik ekspedycji w głąb pustkowia Kentucky.

Ten ostatni – kościsty, o kruczoczarnych włosach i z cieniami pod oczami – wzbudzał w Billym strach, w czarnym fraku i kamizelce przypominając mu przedsiębiorcę pogrzebowego. Billy słyszał pewne pogłoski o tym chudym jegomościu: podobno wykonywał sekcje zwłok, na których przeprowadzał różne eksperymenty, podróżował do odległych zakątków świata, zbierając jakieś tajemnicze przedmioty. Mówiło się nawet, że kiedyś uczestniczył w mumifikacji zmarłego uczonego, który ofiarował nauce swoje ciało, ryzykując nieśmiertelną duszę dla tak makabrycznego przedsięwzięcia.

Ale francuski naukowiec miał bardzo dobre referencje. Został osobiście wybrany przez Benjamina Franklina na członka nowej grupy naukowej, Amerykańskiego Towarzystwa Krzewienia Wiedzy Praktycznej. Najwyraźniej w przeszłości wywarł na Franklinie duże wrażenie, choć bliższe szczegóły ich kontaktów pozostawały nieznane. Ponadto Francuz miał wpływ na nowego gubernatora Wirginii, człowieka, który polecił im przyjechać w to dziwne miejsce.

Właśnie dlatego spędzili tu tyle czasu i nadal tu byli.

W ciągu kilku minionych tygodni Billy obserwował, jak liście na pobliskich drzewach zmieniają kolor z miedzianorudego na ogniście szkarłatny. Ostatnio ranki zaczynały ich witać szronem. W nocy wiatr ogołacał drzewa, zostawiając wyciągnięte do nieba szkielety gałęzi. Codziennie rano Billy musiał zgrabić i zamiatać góry liści z wykopaliska. Toczył z nimi bezustanną wojnę, jak gdyby las próbował ponownie zagrzebać to, co zostało wydobyte na światło słoneczne.

Nawet teraz Billy dzierżył w ręku miotłę z suchych traw, przyglądając się, jak ojciec – w zabłoconych spodniach i z podwiniętymi do łokci rękawami koszuli – usuwał resztki ziemi z zakopanego skarbu.

– Teraz bardzo ostrożnie... – ostrzegł Fortescue z silnym obcym akcentem. Odrzucił do tyłu

czarne poły, by pochylić się bliżej, opierając jedną dłoń na biodrze, a drugą na rzeźbionej drewnianej lasce.

Billy zjeżył się, wyczuwając w zachowaniu Francuza protekcyjność. Nikt lepiej niż jego ojciec nie znał lasów od wybrzeża Wirginii po najdalsze połacie Kentucky. Ojciec jeszcze przed wojną był traperem i prowadził handel z Indianami w tych okolicach. Raz spotkał nawet Daniela Boone'a.

Mimo to Billy zobaczył, jak ojcu drżą ręce, gdy za pomocą rydla i szczotki wolno i ostrożnie oczyszcza skarb z lepkiego gliniastego piasku.

– Jest – powiedział z przejęciem wuj. – Znaleźliśmy.

Fortescue górował nad klęczącymi mężczyźnami.

– *Naturellement*. Oczywiście, że tu go zakopano. Przy głowie węża.

Billy nie wiedział, czego szukają – tylko ojciec i wuj czytali zapieczętowane listy do Francuza od gubernatora – wiedział jednak, co Fortescue ma na myśli, mówiąc o „wężu”.

Odwrócił wzrok od wykopu, aby się rozejrzeć po szerokim stanowisku archeologicznym. Badali ziemny kopiec, który wił się przez las. Miał dwa metry wysokości, dwa razy tyle szerokości i ciągnął się ponad sześćset metrów przez lasy i łagodne pagórki. Wyglądał jak grób gigantycznego węża, którego pochowano w miejscu, gdzie skonał.

Billy słyszał o takich kopcach. Podobne wały wraz z wieloma innymi usypiskami wzniesionymi rękami człowieka były rozrzucone na dzikich obszarach obu Ameryk. Ojciec twierdził, że to święte indiańskie kurhany zbudowane przez dawnych przodków tubylców. Podobno wśród samych dzikich zaginęła pamięć o budowniczych prastarych kopców, pozostały tylko legendy i mity. Wciąż nie brakowało opowieści o zaginionych cywilizacjach, starożytnych królestwach, duchach, strasznych klątwach i oczywiście o zakopanych skarbach.

Billy przysunął się bliżej, a ojciec wreszcie wykopał przedmiot owinięty w jakąś grubą skórę z nienaruszonym czarnym szorstkim futrem. Uniósł się z niej piżmowy zapach – mieszanina woni zwierzęcia i gliniastej ziemi – zagłuszając nawet zapach duszonej dziczyzny dobywający się z kociołków nad sąsiednimi ogniskami.

– Skóra bizona – uznał ojciec, spoglądając na Fortescue.

Francuz skinął głową na znak, by kontynuował.

Ojciec obiema rękami oderwał brzeg skóry, odsłaniając to, co od wieków spoczywało w ukryciu.

Billy wstrzymał oddech.

Od czasu uzyskania tych terenów rozkopano i splądrowano wiele indiańskich kurhanów. Znajdowano tam jedynie kości pochowanych ludzi, kilka grotów strzał, tarcz ze skóry i skorup indiańskich naczyń.

Dlaczego więc to wykopalisko miało być tak ważne?

Po dwóch miesiącach skrupulatnych pomiarów, rysowania map i kopania Billy nadal nie rozumiał, po co ich tu właściwie przysłano. Tak jak w wypadku rabusiów plądrujących inne kopce zespół jego ojca po skrupulatnej pracy mógł się pochwalić tylko zbiorem przedmiotów zrobionych przez Indian: łukami, kołczanami, oszczepami, ogromnym kociołkiem do gotowania, parą wyszywanych paciorkami mokasynów, fantazyjnym pióropuszem. Oczywiście znalazł też kości. Tysiące. Czaszki, żebra, kości nóg, miednice. Billy podsłuchiwał, jak Fortescue oceniał, że pochowano tu co najmniej setkę mężczyzn, kobiet i dzieci.

Zbieranie i opisywanie wszystkiego było żmudnym i nużącym zajęciem. Praca nad przeszukaniem całego krętego kurhanu od początku do końca trwała aż do początków zimy.

Starannie zdejmowali kolejne warstwy indiańskiego kopca, przesiewając ziemię i kamienie, aż wreszcie dotarli, jak powiedział Francuz, do głowy węża.

Ojciec Billy'ego rozłożył skórę bizona. Z ust wszystkich zebranych wyrwały się stłumione okrzyki. Nawet Fortescue gwałtownie wciągnął powietrze przez ściśnięty nos.

Na wewnętrznej stronie zachowanej skóry narysowano krwawą bitwę. Na rysunku galopowały stylizowane postaci mężczyzn na koniach, wielu z nich dzierżyło tarcze. W miejscach, gdzie ostrza przebijały ciała, widniały plamy szkarłatnej farby. W górze świstały strzały. Billy mógłby przysiąc, że słyszy wrzaski i wojenne okrzyki dzikich.

Fortescue ukląkł. Mówił, przesuwając dłoń nad obrazem.

– Już było mi dane oglądać takie dzieła. Tubylcy wyprawiali skórę bizona za pomocą papki sporządzonej z mózgu zwierzęcia, a potem nakładali pigment wydrążonym kawałkiem jego kości. Ale *mon Dieu*, nigdy nie widziałem takiego arcydzieła. Spójrzcie, każdy koń wygląda inaczej, a ubiór każdego wojownika namalowano z dbałością o najdrobniejsze szczegóły.

Ręka Francuza wskazała przedmiot, który przez wiele lat chroniła bizonia skóra.

– I nigdy nie widziałem niczego takiego.

Czaszka olbrzyma została odsłonięta. Wcześniej wykopali złamane kły zwierzęcia wystające z pakunku owiniętego w skórę. Wydobyta teraz na światło dzienne czaszka była wielka jak dzwon kościelny. A jej powierzchnia, tak jak skóra bizona, została ozdobiona przez jakiegoś prehistorycznego artystę.

W kości wyrzeźbiono postaci i kształty, które pomalowano na tak jasny kolor, że wydawały się mokre.

– To mamut, prawda? – odezwał się z podziwem w głosie wuj Billy'ego. – Taki sam jak te znalezione pod Big Salt Lick.

– Nie, to nie mamut – odparł Fortescue, pokazując końcem laski. – Proszę spojrzeć na krzywiznę i długość kłów, na gigantyczne zęby trzonowe i przedtrzonowe. Anatomia i budowa czaszki różnią się od cech mamutów występujących w krajach Starego Świata. Szczątki takiego zwierzęcia, charakterystycznego dla obu Ameryk, sklasyfikowano jako nowy gatunek. Nazwano je mastodontem.

– Nie obchodzi mnie, jak je nazwano – oznajmił zdecydowanym tonem ojciec Billy'ego. – Chcę tylko wiedzieć, czy znaleźliśmy właściwą czaszkę.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Fortescue przeciągnął palcem wskazującym po kostnej krawędzi czaszki. Czubek palca zanurzył się w otworze w jej tylnej części. Billy uprawiał w życiu wystarczająco dużo jeleni i królików, by wiedzieć, że otwór wygląda na zbyt równy, by mógł powstać w naturalny sposób. Francuz zaczeplił tam palec i pociągnął.

Wśród zebranych znów rozległ się szmer zaskoczenia. Kilku niewolników cofnęło się ze zgrozą. Billy szeroko otworzył oczy ze zdumienia, widząc, jak sklepienie czaszki rozdziela się na dwie połowy i otwiera niczym drzwiczki kredensu. Z pomocą jego ojca Fortescue delikatnie rozdzielił obie części – grube na pięć centymetrów i wielkie jak półmiski.

Nawet w skąpym świetle słońca wewnątrz czaszki błysnęło jasnym blaskiem.

– Złoto – wykrztusił wstrząśnięty wuj.

Drogocennym metalem zostało wyłożone całe wnętrze czaszki.

Fortescue przesunął palec po wewnętrznej stronie jednej z kostnych połówek. Dopiero teraz Billy zauważył wypukłości i wyłobienia na złotej powierzchni. Wyglądało to jak szkic mapy ze stylizowanymi drzewami, rzeźbionymi górami i krętymi wstążeczkami rzek. Na metalu wyryto

także nieczytelne znaki, które mogły być pismem.

Przysuwając się bliżej, Billy pochwycił słowo, które Fortescue wyszeptał z podziwem i nutą lęku:

– Hebrajski.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, stojący obok Billy'ego ojciec zauważył:

– Ale czaszka jest pusta.

Fortescue ponownie zajrzał do otwartej jamy czaszki wyłożonej złotem. Duża przestrzeń mogłaby pomieścić noworodka, lecz – jak zauważył ojciec – była pusta.

Francuz przyglądał się uważnie jamie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale z jego oczu Billy wyczytał, że w jego głowie gorączkowo kłębią się myśli i przypuszczenia.

Co takiego spodziewali się znaleźć?

Fortescue wstał.

– Zamknijcie. Owińcie z powrotem w skórę. Musimy być gotowi, żeby za godzinę przewieźć to do Wirginii.

Nikt się nie sprzeciwiał. Gdyby rozniosła się wieść o złocie, miejsce z pewnością zostałyby splądrowane. W ciągu następnej godziny słońce skryło się za horyzontem i zapalono pochodnie, a ludzie pracowali ze zdwojoną energią, aby wydobyć z ziemi ogromną czaszkę. Przygotowano wóz i konie. Ojciec Billy'ego, jego wuj i Francuz przez większą część tego czasu naradzali się z pochylonymi głowami.

Billy, udając, że pracuje, podkradł się z miotłą w dłoni na tyle blisko, by podsłuchać rozmowę. Mówili jednak zbyt cicho, by pochwycić więcej niż kilka słów.

– Może wystarczy – powiedział Fortescue – ...od tego zacząć. Jeżeli wróg znajdzie to przed nami, naszej młodej unii będzie grozić zagłada jeszcze przed jej narodzinami.

Ojciec Billy'ego przecząco pokręcił głową.

– Wobec tego lepiej byłoby od razu to zniszczyć. Puścić z dymem. Spalić kości na popiół, a złoto stopić na żużel.

– Być może będzie musiało do tego dojść, ale decyzję pozostawimy gubernatorowi.

Ojciec wyraźnie zamierzał się sprzeciwić Francuzowi, lecz nagle dostrzegł kręcącego się w pobliżu Billy'ego. Odwrócił się i podniósł rękę, chcąc odpędzić chłopca, i otworzył usta, aby coś powiedzieć.

Te słowa nie zdążyły paść.

Zanim ojciec zdążył się odezwać, z jego gardła buchnęła krew. Osunął się na kolana, chwytając za szyję. Spod podbródka sterczał grot strzały. Krew płynęła mu spomiędzy palców i z rozwartych ust.

Billy podbiegł do ojca, w jednej chwili zmieniając się z młodzieńca w przerażone dziecko.

– Tato!

W szoku przestał cokolwiek słyszeć. Świat skurczył się do postaci ojca, który patrzył na niego wzrokiem pełnym cierpienia i żalu. Nagle jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki, aż wreszcie runął na twarz. Plecy miał naszpikowane piórami. Za jego ciałem Billy ujrzał swojego wuja, który klęczał ze zwieszoną głową. Pierś przeszył mu na wylot oszczep, którego grot zarył się w ziemi, a drzewce podpierało martwe ciało.

Zanim Billy pojął, co widzi, co się dzieje, został uderzony z boku – nie przez strzałę ani oszczep, lecz rękę. Przewrócił się na ziemię i przetoczył. Cios przywrócił go także do rzeczywistości.

Jego uszy przeszyły wrzaski. Kwik koni. Zobaczył tańczące w blasku pochodni cienie

dziesiątek atakujących i broniących się mężczyzn. Wokół nich strzały ze świstem cięły powietrze przy akompaniamencie dzikich okrzyków.

Atak Indian.

Billy zaczął się szamotać, ale Francuz przyciskał go mocno do ziemi.

– Leż, chłopcze – syknął mu do ucha Fortescue.

Francuz puścił go i zerwał się na nogi, kiedy rzucił się na niego z uniesionym tomahawkiem półnagi dziki z przerażającą czerwoną maską namalowaną na twarzy. Fortescue obrócił ku niemu nędzną, ale jedyną broń, jaką miał – swoją łaskę.

Kiedy wycelował rzeźbioną dębinę w napastnika, łaska rozdzieliła się tuż przy ręczce. Drewniana pochwa spadła, ukazując ukryte wewnątrz ostrze szpady i uderzając w czoło dzikiego, który zachwiał się i stracił równowagę. Fortescue natarł na niego, przekłuwając mu pierś.

Rozległ się gardłowy wrzask. Fortescue wykorzystał impet napastnika i cisnął go na ziemię obok Billy'ego.

Wyswobodził ostrze.

– Do mnie, chłopcze!

Billy posłuchał. Nie mógł postąpić inaczej. Nie miał czasu myśleć. Zaczął się z trudem podnosić, lecz poczuł uścisk ręki. Zakrwawiony Indianin usiłował go zatrzymać. Billy wyrwał rękę.

Indianin padł na ziemię. W miejscu, gdzie napastnik chwycił go za rękaw, pozostał odcisk dłoni. To nie krew, uzmysłowił sobie w tym momencie Billy.

Farba.

Spojrzał na konającego dzikiego. Ręka, która go złapała, była biała jak śnieg, choć w zgięciach dłoni pozostały resztki farby.

Czyjeś palce zacisnęły się na jego kołnierzu i pociągnęły go w górę.

Billy odwrócił się do Fortescue, który nadal go trzymał.

– To... to nie Indianie – wykrztusił przez łzy, usiłując zrozumieć.

– Wiem – odrzekł Fortescue bez cienia lęku.

Wokół nich wciąż panował chaos. Zgasły dwie ostatnie pochodnie. Słysząc było krzyki, modlitwy i błagania o litość.

Fortescue pochylony pociągnął Billy'ego przez obozowisko, zatrzymując się tylko po to, by zabrać rozłożoną skórę bizona, którą wcisnął do rąk chłopca. Dotarli do ukrytego głębiej w lesie i uwiązane do drzewa konia, którego ktoś już osiodłał, jak gdyby spodziewając się napaści. Koń grzebał kopytami w ziemi i rzucał głową przestraszony krzykami i zapachem krwi.

Francuz wskazał go Billy'emu.

– Wsiadaj. Gotuj się do ucieczki.

Gdy Billy wsunął nogę w strzemię, Francuz zniknął w ciemnościach. Nie mając innego wyjścia, Billy wspiął się na siodło. Zdawało mu się, jak gdyby jego ciężar nieco uspokoił konia. Ramionami objął spocony kark wierzchowca, ale serce wciąż szaleńczo tłukło mu się w piersi. W uszach huczała krew. Chciał zatkać je rękami, by nie słyszeć potępieńczych wrzasków, ale musiał wyciągać szyję, patrząc, czy nie nadchodzą dzicy.

To nie dzicy, poprawił się w duchu.

Za jego plecami trzasnęła gałąź. Obrócił się w tę stronę i ujrzał zbliżającą się utykającą postać. Po błysku szpady i długim jak peleryna fraku poznał, że to Francuz. Billy zapragnął zeskoczyć z konia, objąć Fortescue i zmusić go, żeby zdradził mu sens tej rzezi i oszustwa.

Fortescue zbliżył się do niego. Z jego uda tuż nad kolanem sterczało złamane drzewce strzały. Gdy stanął u boku Billy'ego, wcisnął mu do rąk dwa duże przedmioty.

– Weź je. Zawieź w skórę.

Billy przyjął brzemię. Zdumiał się, widząc, że to sklepienie znalezionej czaszki olbrzymiego zwierzęcia, rozłupane na dwie części – naga kość po jednej, a złoto po drugiej stronie. Fortescue musiał je wykraść.

Ale po co?

Nie było czasu na odpowiedzi, więc złożył dwa kostne półmiski platerowane złotem i owinął w skórę bizona, którą miał na kolanach.

– Jedź – rozkazał Fortescue.

Billy ujął wodze, ale się zawahał.

– A pan?

Fortescue położył mu dłoń na kolanie, starając się go uspokoić, jak gdyby wyczuł jego paniczny, zwierzęcy strach. Powiedział zdecydowanym tonem:

– Ty i twój koń i bez mojego ciężaru macie dużo do dźwigania. Musisz stąd uchodzić jak najprędzej. Zawieź to w bezpieczne miejsce.

– Dokąd? – zapytał Billy, ściskając w dłoniach wodze.

– Do nowego gubernatora Wirginii. – Francuz odsunął się od nich. – Zawieź to do Thomasa Jeffersona.

CZEŚĆ PIERWSZA
INTRUZI

Współczesność

18 maja, 13.32

Góry Skaliste, stan Utah

Wyglądało to jak brama piekła.

Dwaj młodzi mężczyźni stali na grzbiecie góry, pod którym otwierała się głęboka, ginąca w ciemnościach przepaść. Wspinaczka z miasteczka Roosevelt do tego odległego punktu wysoko w Górach Skalistych zajęła im osiem godzin.

– To na pewno to miejsce? – zapytał Trent Wilder.

Charlie Reed wyciągnął telefon komórkowy, sprawdził wskazania GPS, po czym zajrzał do indiańskiej mapy narysowanej na kawałku jeleniej skóry i zabezpieczonej w szczelnie zamkniętej przezroczystej plastikowej torebce.

– Chyba tak. Według mapy na dnie tego wąwozu powinien być mały strumień. Tam gdzie skręca na północ, powinno być wejście do jaskini.

Trent zadygotał i strząsnął śnieg z włosów. Choć na nizinach nadejście wiosny zwiastowały już wielobarwne gobeliny polnych kwiatów, tu wciąż niepodzielnie panowała zima. Powietrze było zimne, a okoliczne szczyty gór pokrywał śnieg. Na domiar złego przez cały dzień zbierały się chmury i zaczynało śnieżyć.

Trent przyjrzał się uważnie wąskiej dolinie. Wydawało się, że nie ma dna. W dole z morza mgły wynurzał się ciemny sosnowy las. Ze wszystkich stron otaczały ich surowe skały. Kiedy pakował liny i uprząże, miał nadzieję, że nie będzie ich potrzebował.

Ale nie to go niepokoiło najbardziej.

– Może nie powinniśmy tam schodzić – powiedział.

Charlie uniósł brew.

– Przecież wspinaliśmy się cały dzień.

– A ta kłątwa? Twój dziadek...

Lekceważąco machnął ręką.

– Staruszek jest już jedną nogą w grobie, a pejotl przeżarł mu mózg. – Charlie klepnął go w ramię. – No, nie ma co robić w spodnie. W jaskini jest pewnie tylko parę strzał, jakieś potłuczone garnki. Jeśli będziemy mieli szczęście, może znajdzie się nawet parę kości.

Trent nie miał innego wyjścia, więc ruszył za Charliem wąską ścieżką wydeptaną przez jelenie, którą odkryli wcześniej. Kiedy schodzili po zboczach, spoglądał krzywym okiem na szkarłatną kurtkę Charliego ozdobioną z tyłu dwoma piórami – symbolem Uniwersytetu Utah. Trent wciąż nosił sportową kurtkę ze szkoły średniej z pumą Roosevelt Union. Przyjaźnili się od podstawówki, ale ostatnio zaczęli się od siebie oddalać. Trent pracował na stałe w warsztacie blacharskim swojego ojca, natomiast Charlie właśnie skończył pierwszy rok college'u. Jeszcze tego lata miał odbyć staż w kancelarii prawnej rezerwatu Uintah.

Jego przyjaciel był wschodzącą gwiazdą, którą Trent niebawem będzie musiał oglądać przez teleskop z miasteczka Roosevelt. Zresztą nie było to nic nowego. Charlie zawsze przyćmiewał Trenta. Oczywiście nie bez znaczenia był fakt, że jego przyjaciel jako półkrwi Indianin z plemienia Ute miał odziedziczoną po swoich pobratymcach wieczną opaleniznę i długie czarne włosy. Trent z rudym językiem na głowie i burzą piegów na nosie i policzkach musiał wiecznie występować w roli jego przybocznego na wszystkich szkolnych imprezach.

Choć żaden z nich nie wypowiedział tego głośno, obaj mieli świadomość, że u progu dorosłości ich przyjaźń czeka nieuchronny koniec. W ramach inicjacji postanowili więc przeżyć razem ostatnią przygodę i odnaleźć świętą jaskinię plemienia Ute.

Według słów Charliego o istnieniu tego miejsca pochówku na obszarze chronionym High Uintas wiedziała tylko garstka jego najstarszych współplemieńców. Tym, którzy wiedzieli, nie wolno było o nim mówić. Charlie dowiedział się tylko dzięki temu, że jego dziadek miał wyjątkową słabość do burbona. Wątpił, by dziadek w ogóle pamiętał, że pokazywał mu starą mapę na skórze jelenia, ukrytą w wydrążonym rogu bizona.

Trent pierwszy raz usłyszał historię o jaskini na początku szkoły średniej, gdy siedział skulony z Charliem w dwuosobowym namiociku. Trzymając pod brodą latarkę dla większego efektu, przyjaciel zakończył opowieść:

– Dziadek mówi, że Wielki Duch ciągle nawiedza jaskinię. Pilnuje wielkiego skarbu naszego ludu.

– Jakiego skarbu? – spytał z powątpiewaniem Trent. W tamtych czasach bardziej interesował go „Playboy” wykradzony z szafki ojca. Taki skarb mu wystarczał.

Charlie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale musi być przeklęty.

– Jak to?

Przyjaciel przysunął latarkę bliżej brody, diabolicznie marszcząc brwi.

– Dziadek mówi, że ktokolwiek wtargnie do jaskini Wielkiego Ducha, nigdy nie będzie już mógł wyjść.

– Dlaczego?

– Bo gdyby wyszedł, świat by się skończył.

W tym momencie obaj podskoczyli, bo stary pies Trenta przeraźliwie zawył. Potem śmiali się i gadali do późnej nocy. Na koniec Charlie lekceważąco uznał opowieść dziadka za bzdurę pełną zabobonów. Jako nowoczesny Indianin Charlie wychodził ze skóry, żeby sprzeciwić się podobnym głupstwom.

Mimo to kazał Trentowi przysiąc, że nie zdradzi tajemnicy, i nie chciał zabrać go do miejsca zaznaczonego na mapie – aż do dziś.

– Na dole robi się cieplej – powiedział Charlie.

Trent wyciągnął przed siebie rękę. Przyjaciel miał rację. Śnieg padał gęściej, coraz grubszy płatkami, ale w miarę jak schodzili niżej, powietrze się ocieplało, niosąc zapach przypominający zgniłe jaja. W pewnym momencie śnieg zmienił się w mżawkę. Trent wytarł dłoń o spodnie i zrozumiał, że mgła, którą zobaczył wcześniej na dnie wąwozu, to w rzeczywistości para.

Między drzewami ukazało się jej źródło: wąski strumyk płynący skalnym korytem na dnie wąwozu.

– Czuć siarkę – rzekł Charlie, pociągając nosem. Gdy dotarł do strumienia, sprawdził wodę palcem. – Gorąca. Pewnie wypływa z jakiegoś źródła geotermalnego.

Na Trencie nie zrobiło to większego wrażenia. W górach roiło się od ciepłych źródełek.

Charlie wstał.

– Trafiliśmy.

– Skąd wiesz?

– Takie ciepłe wody są święte dla mojego plemienia. Logiczne, że postanowili tu urządzić ważne miejsce pochówku. – Charlie ruszył dalej, przeskakując z kamienia na kamień. – Chodź. Już niedaleko.

Razem poszli w górę strumienia. Z każdym krokiem robiło się coraz cieplej. Woń siarki drażniła oczy i nozdrza Trenta. Nic dziwnego, że nikt nie odnalazł tego miejsca.

Trent, czując, jak łzawią mu oczy, miał ochotę zawrócić, ale Charlie nagle zatrzymał się przy ostrym zakręcie strumienia. Jego przyjaciel wykonał pełny obrót, trzymając telefon komórkowy jak różdżkę, po czym zajrzał do mapy, którą tego ranka wykradł z sypialni dziadka.

– Jesteśmy na miejscu.

Trent rozejrzał się dookoła. Nie widział żadnej jaskini. Tylko drzewa i drzewa. Wyżej śnieg zaczął już zamarzać, podczas gdy w dole wciąż siąpiła mżawka.

– Wejście musi być gdzieś niedaleko – mruknął Charlie.

– A może to tylko stara bajka.

Charlie przeskoczył na drugą stronę strumyka i zaczął nogą roztrącać rosnące tam paprocie.

– Powinniśmy przynajmniej się rozejrzeć.

Trent na odczepnego szukał po swojej stronie, oddalając się od brzegu.

– Nic nie widzę! – zawołał, gdy dotarł do granitowej ściany.

– Może lepiej będzie po prostu...

Nagle, odwracając się, dostrzegł to kątem oka. Wyglądało jak jeszcze jeden cień na skalnym urwisku, ale w dolinie dmuchał lekki wiatr, szeleszcząc w gałęziach drzew i poruszając cienie.

Ten cień jednak ani drgnął.

Trent podszedł bliżej. Wejście do jaskini było niskie i szerokie jak usta zastygłe w grymasie niezadowolenia. Otwierało się ponad metr nad ziemią w skalnej ścianie, ukryte pod kamiennym gzymsem.

Nadejście przyjaciela poprzedził plusk i przekleństwo.

Trent wskazał urwisko.

– To naprawdę tutaj – rzekł Charlie i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała nuta wahania.

Stali przez dłuższą chwilę, patrząc na wejście do jaskini i przypominając sobie związane z nią opowieści. Obaj zbyt się obawiali, by ruszyć naprzód, lecz za bardzo rozpierała ich męska duma, by mogli się cofnąć.

– Wchodzimy? – zapytał w końcu Trent.

Jego słowa przerwały patową sytuację.

Charlie wyprostował się sztywno.

– Jasne, że wchodzimy.

Zanim któregoś z nich zdążył oblecieć strach, podeszli do skalnej ściany i wspięli się do otwartej paszczy jaskini. Charlie wydobył latarkę i skierował w gardziel tunelu. Daleko w głębi góry sięgał stromy korytarz.

Charlie wsadził głowę do środka.

– Chodźmy znaleźć ten skarb!

Ośmielony zuchwałością przyjaciela Trent poszedł za nim.

Korytarz szybko się zwężił, musieli więc iść jeden za drugim. Wewnątrz było jeszcze bardziej gorąco, choć przynajmniej sucho i trochę mniej śmierdziało.

Przeciskając się przez wyjątkowo wąskie przejście, Trent poczuł przez kurtkę ciepło granitu.

– Kurczę – powiedział, odsuwając się od skały. – Tu jest jak w cholernej saunie.

Twarz Charliego się rozpromieniła.

– Albo jak w szałasie potu. Może nawet ludzie z mojego plemienia urządzili tutaj taki szałas. Założę się, że gorące źródło jest tuż pod naszymi nogami.

Trent uznał, że to nie brzmi zbyt zachęcająco, ale nie było już odwrotu.

Kilka kroków dalej otworzyła się przed nimi niska sala wielkości boiska do koszykówki. Na wprost ujrzeni zagłębienie nieudolnie wykute w granicie poczerniałym od dawnego ognia.

Charlie po omacku odnalazł ramię przyjaciela. Mimo silnego uścisku Trent poczuł, że jego dłoń drży. I wiedział dlaczego.

Grota nie była pusta.

Wzdłuż ścian i na podłodze ciągnął się szereg ciał mężczyzn i kobiet zastygłych w różnych pozycjach: siedzących prosto ze skrzyżowanymi nogami albo leżących na boku. Ich skóra wyschła do kości, oczy zapadły się w głąb oczodołów, wargi odsłoniły żółte zęby. Wszystkie zwłoki były obnażone do pasa, nawet kobiet, których zasuszone piersi leżały płasko nad brzuchem. Niektóre ciała przyozdabiały pióropusze albo naszyjniki z kamieni na sznurkach ze ścięgien zwierząt.

– Ludzie z mojego plemienia – wychrypiął Charlie z szacunkiem w głosie, podchodząc bliżej do jednej z mumii.

Trent ruszył w ślad za nim.

– Jesteś pewien?

W ostrym świetle latarki ich skóra wydawała się zbyt blada, a włosy za jasne. Trent nie był jednak żadnym ekspertem. Może w gorących oparach bogatych w minerały ciała nie tylko się upiekły, ale i wybieliły.

Charlie obejrzał mężczyznę z kółkiem czarnych piór na szyi. Przysunął bliżej latarkę.

– Jakby czerwone.

Nie mówił o kolorze skóry. W snopie jaskrawego światła kołtun włosów na uschniętej czaszce miał czerwonokasztanową barwę.

Trent zauważył coś jeszcze.

– Popatrz na jego szyję.

Odrzucona w tył głowa mężczyzny opierała się o granitową ścianę. Przez rozciętą pod brodą skórę wyzierała kość i wysuszona tkanka. Cięcie było proste, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Strupieszale palce ścisnęły błyszczący metalowy nóż. Ostrze wciąż było gładkie i odbijało światło.

Charlie wolno powiódł latarką po całym pomieszczeniu. Na kamiennej posadzce i w kościstych palcach zobaczyli podobne noże.

– Wygląda na to, że popełnili samobójstwo – rzekł wstrząśnięty Trent.

– Ale dlaczego?

Trent wskazał jedyny odmienny element w jaskini. Na przeciwległym końcu czerniło się wejście do dalszego odcinka tunelu.

– Może coś tam ukrywali i nie chcieli, żeby ktokolwiek o tym wiedział?

Wpatrywali się w ciała. Trenta przebiegł dreszcz od palców stóp po czubek głowy, a ramiona pokryła mu gęsia skórka. Żaden z nich nie ruszał się z miejsca. Żaden nie miał ochoty przejść przez salę śmierci. Nawet obietnica skarbu przestała ich kusić.

Charlie odezwał się pierwszy.

– Spadajmy stąd.

Trent nie zamierzał mu się sprzeciwić. Naoglądał się dość okropieństw jak na jeden dzień.

Charlie odwrócił się i skierował w stronę wyjścia, zabierając ze sobą jedyne źródło światła.

Trent wszedł za nim do tunelu, ale cały czas oglądał się za siebie, bojąc się, że Wielki Duch opętał jedno z martwych ciał, które poczłapie za nimi ze sztyletem w trupiej dłoni. Spoglądając do tyłu, nie patrzył pod nogi i jego but pośliznął się na jakimś skalnym odłamku. Upadł na brzuch i zsunął się po stromiźnie kilkadziesiąt centymetrów w stronę jaskini.

Charlie nie czekał. Za wszelką cenę chciał uciec. Zanim Trent zdążył się podnieść i otrząść kolana, Charlie dotarł do wylotu tunelu i wyskoczył na zewnątrz.

Widząc, że przyjaciel go porzuca, Trent zaczął głośno protestować, lecz nagle na zewnątrz rozległ się inny krzyk, ostry i pełen złości. Był tam ktoś jeszcze. Trent zatrzymał się jak wryty. Padły jakieś słowa wypowiedziane podniesionym głosem, ale Trent nie zrozumiał żadnego z nich.

Potem huknął strzał z pistoletu.

Trent podskoczył i cofnął się dwa kroki w ciemność.

Gdy przebrzmiało echo wystrzału, zaległa głucha cisza.

Charlie...?

Dygocząc ze strachu, Trent wycofał się w głąb tunelu, oddalając od wyjścia. Oczy na tyle przywykły do mroku, że zdołał bezszelestnie dotrzeć do pieczary z mumiami. Zatrzymał się przed wejściem uwięziony między ciemnością, którą miał za plecami, a kimś czyhającym na zewnątrz.

Cisza przedłużała się, czas płynął jakby coraz wolniej.

W końcu dobiegł go odgłos szurania i sapanie.

Och, nie...

Trent chwycił się za gardło. Ktoś wchodził do jaskini. Z łomotem serca cofnął się jeszcze głębiej w mrok. Nie miał innego wyjścia, ale potrzebował broni. Przystanął, by wyciągnąć nóż z zaciśniętych palców jednego z trupów, które złamały się jak suche gałązki.

Już uzbrojony wsunął nóż za pasek i ostrożnie ruszył przez zasłaną zwłokami salę. Wyciągnął ręce przed siebie, ocierając się o sztywne pióra, suchą skórę i szorstkie włosy. Wyobrażał sobie, jak usiłują go złapać kościste ręce, lecz wbrew woli kroczył dalej.

Musiał się gdzieś ukryć.

W grę wchodziło tylko jedno miejsce.

Tunel po drugiej stronie...

Przerażała go sama myśl o nim.

W pewnym momencie jego stopa straciła oparcie. Omal nie wrzasnął, ale w porę uświadomił sobie, że trafił po prostu w wykopaną w ziemi dawną jamę na ognisko. Szybko ją przeskoczył. Próbował wykorzystać tę dziurę jako punkt orientacyjny w ciemności, lecz okazało się to zbyteczne.

Światło za jego plecami coraz bardziej jaśniało, wkradając się do pieczary.

Widząc już drogę, rzucił się biegiem przez jaskinię. Kiedy dopadł wejścia do tunelu, usłyszał za sobą głuchy łoskot. Obejrzał się przez ramię.

Z korytarza wytoczyło się ciało i wylądowało twarzą na dnie pieczary. W świetle padającym z tunelu dostrzegł pióra wyhaftowane na jasnoczerwonej tkaninie kurtki.

Charlie.

Przyciskając pięść do ust, Trent pognał w bezpieczną ciemność tunelu. Z każdym krokiem

dławił go coraz większy strach.

Czy ten ktoś wie, że tu jestem?

Płaski i gładki tunel był o wiele za krótki. Zaledwie po pięciu krokach przechodził w kolejną salę.

Trent dał nura w bok i rozpląszczył się na ścianie. Rozpaczliwie usiłował zapanować nad urywanym oddechem przekonany, że słyhać go aż na zewnątrz. Zaryzykował i zerknął za siebie.

Do sali z mumiami wszedł jakiś człowiek z latarką. W skaczącym świetle było widać, jak zagadkowa postać pochyła się i ciągnie zwłoki jego przyjaciela bliżej dołu na ogień. Przybysz był sam. Morderca osunął się na kolana, odłożył latarkę i przyciągnął Charliego do piersi. Uniósł twarz w kierunku stropu i zaczął się kołysać, śpiewając coś cicho w języku Ute.

Trent stłumił okrzyk, poznając ciemną, pooraną bruzdami twarz.

Na jego oczach dziadek Charliego przyłożył lśniący pistolet do swojej głowy. Trent odwrócił się, ale o ułamek sekundy za późno. W zamkniętej przestrzeni huk był ogłuszający. Połowa czaszki starca eksplodowała krwią, fragmentami tkanek i odłamkami kości.

Pistolet z brzękiem wylądował na kamiennej posadzce. Starzec pochylił się ciężko nad ciałem wnuka, jak gdyby chciał go ochronić po śmierci. Bezwładne ramię trąciło porzuconą latarkę, kierując snop jej światła wprost na kryjówkę Trenta.

Padł przerażony na kolana, przypominając sobie ostrzeżenie dziadka Charliego: „Ktokolwiek wtargnie do jaskini Wielkiego Ducha, nigdy nie będzie już mógł wyjść”.

Przedstawiciel starszyny plemiennej postarał się, by dla Charliego groźba się spełniła. Zapewne udało mu się dowiedzieć o kradzieży mapy i wytropić złodzieja.

Trent zasłonił twarz dłońmi, oddychając ciężko i nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył. Nasłuchiwał, czy na zewnątrz jest ktoś jeszcze. Panowała jednak martwa cisza. Czekał przez całe dziesięć minut.

Wreszcie upewniwszy się, że naprawdę jest sam, podniósł się na nogi i obejrzał przez ramię. Światło latarki sięgało w głąb małej sali jaskini, wydobywając z mroku to, co ukryto tu dawno temu.

Na drugim końcu pomieszczenia zobaczył ustawione jedne na drugich kamienne skrzynki wielkości pudełek na kanapki. Były nasmarowane jakąś czarną mazią i owinięte w korę. Uwagę Trenta przyciągnęło jednak to, co wznosiło się pośrodku sali.

Na granitowym cokole spoczywała masywna czaszka.

Totem, pomyślał.

Trent wpatrywał się w puste oczodoły, zwracając uwagę na wysoko sklepioną czaszkę i nienaturalnie długie kły. Każdy miał trzydzieści parę centymetrów długości. Na tyle dobrze pamiętał dawne lekcje nauki o Ziemi, by rozpoznać czaszkę tygrysa szablozębnego.

Mimo to zaskoczył go dziwny stan czaszki. Musiał komuś powiedzieć o morderstwie i o samobójstwie, ale także o tym skarbie.

Skarbie zupełnie bezsensownym.

Bez namysłu wybiegł z tunelu, zostawił za sobą mumie i pognął w kierunku dziennego światła. Przystanął przy wejściu do jaskini, przypominając sobie ostatnie ostrzeżenie dziadka Charliego o tym, co by się stało, gdyby jakimś intruzowi udało się wyjść z jaskini.

Świat by się skończył.

Trent ze łzami w oczach pokręcił głową. Jego najlepszego przyjaciela zabiły zabobony. Nie zamierzał pozwolić, żeby spotkało go to samo.

Jednym skokiem uciekł z groty, wracając do świata.

30 maja, 10.38
Obszar chroniony High Uintas
Stan Utah

Nic lepiej niż morderstwo nie przyciąga takiego cyrku.

Margaret Grantham przeszła przez prowizoryczny obóz rozbity na wysoko położonej łące, która wychodziła na wąwóz. Zasała się nieco w rozrzedzonym powietrzu, a od zimna wciąż dawał się jej we znaki artretyzm w stawach palców. Podmuch wiatru omal nie zerwał jej czapki z głowy, ale przytrzymała ją, chowając pod nią kilka kosmyków siwych włosów.

Na obszarze kilku akrów wszędzie wyrastały namioty należące do różnych stron, od organów ścigania po media lokalne. W pogotowiu stał oddział Gwardii Narodowej, na wypadek gdyby trzeba było utrzymać porządek, ale jego obecność zwiększała tylko napięcie.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni gromadziły się grupy rdzennych Amerykanów, którzy z całego kraju ściągali pieszo lub konno ku temu odległemu miejscu na wieść o kontrowersyjnym odkryciu. Zjeżdżali się pod różnymi szyldami: NABO, AUNU, NAG, NCAI. Pod każdym skrótem kryła się organizacja, której przyświecał tylko jeden cel – bronić praw Indian i chronić plemienne dziedzictwo. Wśród namiotów znalazło się kilka tipi zbudowanych przez bardziej tradycyjne grupy.

Margaret Grantham spojrzała krzywym okiem na helikopter lokalnej stacji telewizyjnej, który zniżał się nad otwartym polem na obrzeżach obozu. Pokręciła głową. Tak duże zainteresowanie tylko pogarszało sytuację.

Jako profesor antropologii na Uniwersytecie Brigham Younga została wezwana przez lokalny wydział Biura do spraw Indian w Utah, aby wystąpiła w roli mediatora w sporze prawnym na temat odkrycia dokonanego w tym rejonie. Ponieważ przez trzydzieści lat nadzorowała uniwersytecki program pomocy Indianom, miejscowe plemiona wiedziały, że szanuje ich poglądy. Ponadto często pracowała u boku popularnego szoszońskiego historyka i przyrodnika, profesora Henry'ego Kanosha.

Dziś nie było inaczej.

Hank czekał na nią na początku szlaku prowadzącego do połączonych jaskiń. Tak jak ona miał na sobie wysokie buty, dzinsy i roboczą koszulę khaki. Szpakowate włosy nosił związane w koński ogon. Margaret należała do wąskiego grona osób znających jego indiańskie imię *Kaiv'u wuhnuh*, które oznaczało Stojący na Górze. W tym momencie, stojąc u szczytu szlaku, wyglądał jak najstosowniej do swojego imienia. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a choć zbliżał się do sześćdziesiątki, wiek nie odcisnął żadnego piętna na jego potężnej sylwetce. Granitowe rysy jego twarzy łągodziły nieco złote plamki błyszczące w orzechowych oczach.

U jego boku siedział wierny towarzysz – krępy australijski pies pasterski z jednym okiem niebieskim, a drugim brązowym. Imię psa, Kawtch, pochodziło od słowa „nie” w języku Ute.

Maggie uśmiechnęła się, przypominając sobie wyjaśnienie Hanka: „Tyle razy wołałem tak do niego, kiedy był szczeniakiem, że imię przylgnęło”.

– Jakie nastroje? – zapytał Hank, kiedy stanęła przy nim i przywitali się krótkim uściskiem.

– Nie za dobre – odrzekła. – I prawdopodobnie się pogorszą.

– Dlaczego?

– Rozmawiałam wcześniej z szeryfem. Przyszedł raport z badań toksykologicznych dziadka.

Hank mocniej przygryzł koniec cygara, które ścisnął w zębach. Nigdy nie palił, lubił je po prostu żuć. Używanie tytoniu kłóciło się ze zwyczajami mormonów, ale czasem należało iść na pewne ustępstwa. Choć był czystej krwi Indianinem, został wychowany na mormona jako potomek jednego z północno-zachodnich odłamów plemienia Szoszonów, które w dziewiętnastym wieku przyjęło chrzest po masakrze nad Bear River.

– I co było w raporcie? – spytał, nie wyciągając cygara z ust.

– Staruszek miał dodatni wynik badania na pejtla.

Hank pokręcił głową.

– Fantastycznie. Świetny żer dla kamer. Nabuzowany prochami Indianiec w napadzie religijnego szału zabija swojego wnuka, a potem siebie.

– Na razie nie ujawniają tej informacji, ale w końcu wyjdzie na jaw. – Westchnęła zrezygnowana. – Wystarczyły już reakcje na wstępny raport.

Pierwsi na miejscu zjawili się funkcjonariusze policji okręgowej, którzy zajęli się morderstwem młodego Ute i samobójstwem jego dziadka. Dzięki zeznaniu naocznego świadka – przyjaciela zamordowanego chłopaka – szybko wyjaśniono sprawę, a ciała przetransportowano helikopterem do kostnicy stanowej w Salt Lake City. Wstępny raport koronera złożył tragedię na karb demencji będącej następstwem notorycznego zatrucia alkoholem. Później w lokalnej i ogólnokrajowej prasie pojawiły się komentarze z sugestiami nadużywania alkoholu przez rdzennych Amerykanów, umacniające karykaturalny obraz pijanego Indianina.

Oczywiście nie pomagało to w obecnej sytuacji. Margaret wiedziała, że takie sprawy wymagają delikatności, zwłaszcza w Utah, gdzie historię Indian i białych znaczyły liczne konflikty, często krwawe.

Był to jednak dopiero początek politycznego trzęsawiska. Chodziło jeszcze o pozostałe ciała znalezione w jaskini – setki zmumifikowanych szczątków.

Hank pokazał na ścieżkę prowadzącą do groty. Jego pies ruszył przodem, wysoko unosząc puszysty ogon. Hank poszedł za nim.

– Dzisiaj rano opracowali swój raport geodeci. Widziałś go?

Przecząco pokręciła głową, wchodząc z nim na szlak.

– Według nich wejście do groty jest na terenie federalnym, ale system jaskiń biegnie pod terytorium rezerwatu.

– Co skutecznie zaciera granice jurysdykcji.

Hank skinął głową.

– Chociaż na dłuższą metę to nie będzie miało większego znaczenia. Czytałem wniosek z Biura do spraw Indian. Cała ta ziemia od tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku była częścią rezerwatu Uintah i Ouray. Ale w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat granice rezerwatu często się przesuwały.

– Co oznacza, że biuro ma w ręku mocne argumenty, żeby rościć sobie prawo do tego, co znajduje się w jaskini.

– To zależy od wielu czynników: wieku zwłok, czasu pochówku, no i oczywiście od tego, czy

to w ogóle szczątki Indian.

Maggie przytaknęła. Głównie po to zostali tu wezwani: aby ustalić pochodzenie rasowe ciała. Wczoraj przeprowadziła już pobieżne oględziny. Odcień skóry, kolor włosów i struktura kości twarzy wskazywały na to, że są to szczątki białych, natomiast przedmioty i strój miały wyraźnie indiański charakter. Jakikolwiek dalsze badania – analizy DNA, testy chemiczne – były przedmiotem wojny prawnej. Nie wolno było nawet usunąć ciała, ponieważ zakazywała tego ustawa o ochronie miejsc pochówku i repatriacji rdzennych Amerykanów.

– Przerabiamy na nowo sprawę człowieka z Kennewick – powiedziała Maggie.

Hank pytająco uniósł brew.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku w Kennewick w stanie Waszyngton odkryto nad rzeką stary szkielet. Antropolog sądowy, który pierwszy go badał, uznał, że to szczątki człowieka rasy białej.

Hank zerknął na nią i wzruszył ramionami.

– No i co?

– Metodą radiowęglową ustalono wiek zwłok na dziewięć tysięcy lat. Jedno z najstarszych ciał znalezionych w Ameryce. Wiadomość o cechach białej rasy wzbudziła ogromne zainteresowanie. Według obecnych teorii pierwsi ludzie przywędrowali do Ameryki przez pomost lądowy, który łączył Rosję z Alaską. Odkrycie dawnego szkieletu o cechach białej rasy przeczy tej hipotezie. I być może sprawi, że trzeba będzie od nowa napisać historię początków Ameryki.

– No i co się stało?

– Prawo do kości rościło sobie pięć lokalnych plemion indiańskich. Wystąpili do sądu o ponowny pochówek ciała bez żadnych badań. Do dzisiaj, dziesięć lat później, ciągle toczy się o to wojna sądowa. Później w Ameryce Północnej znajdowano kolejne szczątki ludzi rasy białej, o które toczyły się tak samo zażarte spory. – Zaczęła wyliczać na palcach. – Mumia ze Spirit Cave w Nevadzie, domniemany człowiek z Oregonu, kobieta z Arlington Springs. Większości ciał w ogóle nie zbadano jak należy. Reszta zniknęła na zawsze w anonimowych indiańskich mogiłach.

– Miejmy nadzieję, że tym razem nie będzie takiego pasztetu – rzekł Hank.

Dotarli już do dna przepaści. Kawtch czekał na nich, dysząc z wywieszonym jęzorem i wciąż prężąc w górę ogon.

Maggie skrzywiła się, czując zapach zgniłych jaj unoszący się z gorącego źródła, które ogrzewało dolinę. Jej twarz pokrywały kropelki potu. Zaczęła się wachlować ręką.

Hank zauważył, że nie czuje się najlepiej, więc szybko ruszył w kierunku wejścia do jaskini. Stali tam dwaj żołnierze Gwardii Narodowej uzbrojeni w karabiny i broń krótką schowaną w kaburach. Sprawa zyskała taki rozgłos, że obawiano się najazdu hien cementarnych, zwłaszcza że rozeszły się plotki o ukrytym w jaskini skarbie.

Jeden z dwóch gwardzistów – młody człowiek z rudawym zarostem na dziecinnej twarzy – zrobił krok naprzód. Szeregowy Stinson pełnił tu służbę przez cały tydzień, poznał więc zbliżających się naukowców.

– Major Ryan jest już w środku – zameldował. – Nie chce sam ruszać tego przedmiotu, czeka na państwa.

– To dobrze – powiedział Hank. – I tak mamy już dość napięcia.

– I kamer – dodała Maggie. – Nie wyglądałoby to za dobrze, gdyby człowiek w amerykańskim mundurze wojskowym uciekał stąd ze świętym przedmiotem Indian. Trzeba to

załatwić dyplomatycznie.

– Tak właśnie pomyślał major Ryan. – Szeregowy odsunął się, robiąc im przejście i dodając pod nosem: – Ale zaczyna się niecierpliwieć. Nie umiał znaleźć przyzwoitych słów na to, co tu się dzieje.

Żadna nowina.

Major Ryan był dla niej solą w oku.

Hank pomógł Maggie wejść do wysoko położonego otworu jaskini grobowej. Kiedy jego szerokie dłonie chwyciły ją mocno za biodra, oblała ją fala gorąca i słodko-gorzkich wspomnień. Te same ręce wędrowały kiedyś po jej nagim ciele podczas krótkiej schadzki, do której doszło w wyniku spędzonych razem długich wieczorów i głębokiej przyjaźni. Ostatecznie jednak okazało się, że nie odpowiada im relacja tego rodzaju. Byli lepszymi przyjaciółmi niż kochankami.

Mimo to policzki jej płonęły, gdy bez trudu wskoczył za nią w rozwartą paszczę jaskini. Wydawało się, że nie zauważył jej reakcji, i była mu za to wdzięczna, choć zrobiło się jej też odrobinę przykro.

Hank polecił psu zostać na zewnątrz. Kawtch rozczarowany zwiesił głowę.

Ruszając w głąb tunelu, usłyszeli dobiegający z grotu stłumiony krzyk. Maggie i Hank spojrzeli po sobie. Hank przewrócił oczami. Major Ryan jak zwykle był niezadowolony. Dowódcy oddziału zupełnie nie obchodziło antropologiczne znaczenie odkrycia i po prostu nie podobało mu się zadanie. Maggie podejrzewała też, że w grę wchodzi podtekst rasistowski. Przypadkiem usłyszała jego komentarz na temat Indian zebranych na obozowisku: „Kiedy mieliśmy okazję, trzeba ich było zepchnąć wszystkich do Pacyfiku”.

Mimo to musiała z nim współpracować – przynajmniej do czasu, gdy skarb zostanie zabezpieczony. Między innymi dlatego pozwolono jej i Hankowi zabrać totem i przetransportować go do muzeum Uniwersytetu Brigham Younga. Był zbyt cenny, aby pozostawiać go bez straży. Środki bezpieczeństwa będzie można stopniowo zmniejszać dopiero po jego wywiezieniu i być może uspokoi się nieco wrzenie na zewnątrz grotu.

Maggie dotarła do głównej sali, przystając u progu, jak gdyby znów zdumiona makabryczną sceną z udziałem zmumifikowanych szczątków. Wnętrze rozświetlały lampy zasilane akumulatorami. Salę na części dzieliły linki miernicze i żółte taśmy policyjne. Pośrodku biegło wygrozdzone przejście prowadzące do tunelu po drugiej stronie.

Skierowała się w tę stronę, lecz jej uwagę jeszcze raz przyciągnęły ciała. Zachowały się w zaskakująco dobrym stanie. Stałe ciepło geotermalnego pochodzenia wysączyło z nich wszystkie płyny, wysuszając tkanki i doprowadzając do silnego stężenia soli, które zadziałały jak naturalny środek konserwujący.

Po raz tysięczny zaczęła się zastanawiać, dlaczego wszyscy ci ludzie popełnili samobójstwo. Sytuacja przywodziła jej na myśl oblężenie Masady, gdzie żydowscy powstańcy wybrali zbiorowe samobójstwo zamiast poddania twierdzy rzymskiemu legionowi, który stał u jej bram.

Czyżby tu doszło do czegoś podobnego?

Nie знаła odpowiedzi. Była to jedna z wielu zagadek.

Kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie cieni. Potknęła się i zatrzymała, patrząc na płataninę ciał w przeciwnym rogu. Nagle serce w niej struchlało, bo jej ramienia dotknęła czyjaś ręka.

Palce zacisnęły się w uspokajającym geście.

– Co się stało? – zapytał Hank.

– Zdawało mi się, że widziałam...

Przerwał jej krzyk z tunelu:

– Nareszcie! Najwyższy czas!

Pojawiło się drgające światło. Z tunelu wyłonił się major Ryan z latarką w dłoni. W pełnym rynsztunku i hełmie, który przysłaniał mu oczy. Zirytowany zaciskał usta.

Machnął im latarką i odwrócił się, prowadząc ich w głąb tunelu.

– Bierzmy się do roboty. Zgodnie z państwa poleceniem przygotowałem skrzynię do transportu. Będą wam pomagać dwaj moi ludzie.

– Też miło nam pana widzieć, majorze – mruknął pod nosem Hank, ruszając za nim.

Maggie zatrzymała się u wylotu tunelu, oglądając się przez ramię. Nie zauważyła już żadnego ruchu. Pokręciła głową. Przywidziało mi się. Zaczynam się bać cieni.

– Mamy problem – powiedział Ryan, odciągając jej uwagę.

– Nieszczęśliwy wypadek.

– Jaki wypadek? – zapytał Hank.

– Sami zobaczcie.

Zaniepokojona Maggie szybko ruszyła za nimi.

Co się znowu stało?

11.40

Ukryta w półmroku sabotażystka przyglądała się, jak cała trójka znika w tunelu. Powoli odetchnęła z ulgą, starając się opanować drżenie. Kiedy wsunęła plecak za dwa ciała, o mały włos nie została zauważona.

W mroku dręczyły ją wątpliwości.

Co ja tu robię?

Czekała skulona w cieniu od wczesnego ranka. Miała na imię Kai, co w języku nawaho oznaczało wierzbę. Słuchała łomotu własnego serca i próbowała czerpać siłę od swojej imienniczki, myśląc o cierpliwości i legendarnej giętkości drzewa. Powoli wyciągnęła lewą nogę, pozbywając się przykrego skurczu, ale ból pleców wciąż dawał się jej we znaki.

To już niedługo, obiecała sobie.

Ukrywała się tu od bladego świtu. Jej dwaj przyjaciele, udając pijanych awanturników, odciągnęli strażników kilka metrów od wejścia do jaskini. Wykorzystując chwilę ich nieuwagi, wynurzyła się z ukrycia i wśliznęła do tunelu za nimi.

Musiała się bezszelestnie dostać na miejsce, co było niezwykle trudnym zadaniem. Ale szczupła i gibka osiemnastolatka dobrze wiedziała, jak kluczyć w ciemnościach. Poznała tę sztukę jako dziecko, towarzysząc w tropicielskich wyprawach ojcu, choć sięgała mu raptem do kolan. Nauczył ją starych sztuczek, zanim został zastrzelony, prowadząc taksówkę w Bostonie.

Wspomnienie wywołało gniew palący do szpiku kości.

Rok po jego śmierci zwerbowała ją WAHYA, grupa bojowników o prawa Indian, która wzięła nazwę z czirokeskiego słowa oznaczającego wilka. Walczyli zażarcie i sprytnie, wszyscy byli młodzi tak jak ona, poniżej trzydziestki, i wszyscy mieli w pogardzie starsze organizacje o bardziej ugruntowanej pozycji, uznając, że płaszczą się przed władzami.

Ukryta w ciemnościach podsyciała w sobie gniew, by zagłuszyć obawy. Przypomniała sobie płomienne słowa Johna Hawkesa, założyciela i przywódcy WAHYA: „Dlaczego mamy czekać, żeby rząd USA zwrócił nam nasze prawa? Dlaczego mamy zginać kolana i przyjmować nędzne okruchy?”.

O WAHYA zrobiło się już głośno za sprawą kilku drobnych wydarzeń. Spalili amerykańską flagę na schodach przed gmachem sądu w Montanie, kiedy skazano Indianina z plemienia Kruków za spożycie grzybów halucynogennych podczas ceremonii religijnej. Nie dalej niż w zeszłym miesiącu pomalowali farbą w sprayu biura kongresmana z Kolorado, który domagał się nałożenia restrykcji na kasyna w jego stanie prowadzone przez Indian.

Ale wydarzenia tutaj zdaniem Johna Hawkesa dawały jeszcze lepszą okazję, by zaistnieć na krajowym forum. Na wieść o sporze WAHYA miała wyjść z cienia i wziąć sprawy w swoje ręce, stanowczo sprzeciwiając się rządowej ingerencji w kwestie plemienne.

Nagle skierowała wzrok w stronę położonego w głębi tunelu, skąd dobiegł jakiś krzyk.

Zesztywniała. Wcześniej – przed nadejściem tych dwojga – w grocie rozległ się huk, a zaraz potem ktoś bluznął stekiem przekleństw. Najwyraźniej coś się stało. Modliła się w duchu, żeby nie utrudniło to jej zadania.

Zwłaszcza że tak długo czekała.

Kai przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, szukając w sobie resztek cierpliwości, czekając na sygnał. Oparła rękę na plecaku wypełnionym materiałem wybuchowym C4 uzbrojonym w bezprzewodowe detonatory.

To już nie powinno potrwać długo.

11.46

– Coście zrobili?! – zagrział z wściekłością Hank, a jego głos zadudnił głucho w małej grocie.

Maggie położyła mu dłoń na ramieniu, próbując go uspokoić. Gdy tylko weszli do głębszej części jaskini, natychmiast się zorientowała, o co chodzi.

Wzdłuż ściany naprzeciw wejścia stała piramida identycznych kamiennych skrzynek o pojemności około trzydziestu litrów każda. Wczoraj Maggie obejrzała jedną z nich. Przypominała jej małe ossuarium, kamiennie naczynie do przechowywania kości zmarłego. Ale dopóki nie uzyskają pozwolenia od indiańskiej delegacji, zgodnie z ustawą o ochronie miejsc pochówku i repatriacji rdzennych Amerykanów nie mogli otworzyć żadnej ze skrzynek. Wszystkie były pokryte czarnym smarowidłem i owinięte w suszoną korę jałowca.

Okoliczności uległy jednak zmianie.

Patrzyła na kilka skrzynek rozsypanych na posadzce jaskini. Leżąca najbliżej niej pękła na pół, choć opakowanie z kory nie pozwoliło się jej zupełnie rozpaść.

Hank nabrał głęboko powietrza i spiorunował wzrokiem majora Ryana.

– Jest surowy zakaz dotykania któregośkolwiek z tych przedmiotów. Wie pan, jakie kłopoty może nam pan ściągnąć na kark? Wie pan, na jakiej beczce prochu siedzimy?

– Wiem – warknął w odpowiedzi Ryan. – Jeden z tych bałwanów potrafił je rogiem skrzyni, kiedy ją tu wnosili. Cała sarta się posypała.

Maggie zerknęła na dwóch gwardzistów znajdujących się z nimi w jaskini. Obaj stali ze wzrokiem wbitym we własne buty, z pokorą przyjmując reprimendę. Między nimi stał otwarty kufer z zielonego plastiku wyłożony ochronną folią i gotowy do transportu odkrytego skarbu.

– No i co teraz zrobimy? – spytał cierpkim tonem Ryan. Maggie nie odpowiedziała. Nogi same zaprowadziły ją do rozbitej kamiennej skrzyni z kośćmi. Nie mogła się powstrzymać. Uklękła przy niej.

Hank przycupnął obok.

– Lepiej zostawmy. Możemy zrobić zapis wideo i spisać protokół zniszczenia, a potem...
– Można też tylko zajrzeć do środka. – Sięgnęła po pęknięty fragment kamiennej płytki z przyklejonym wciąż kawałkiem kory. – Co się stało, to się nie odstanie.

– Maggie. – W głosie Hanka zabrzmiała złowroga nuta ostrzeżenia.
Obluzowała kamień i ostrożnie odłożyła na bok. Po raz pierwszy od wieków wewnątrz pojawiło się światło.

Wstrzymując oddech, wyciągnęła jeszcze kawałek i odsłoniła to, co kryły kamienne ścianki. W skrzynkach znajdowały się poczerniałe ze starości płyty jakiegoś metalu. Przysunęła się bliżej, przechylając głowę, by lepiej widzieć.

Dziwne...

– Jest na tym jakiś napis? – zapytał Hank, nie mogąc opanować ciekawości.

– Może to tylko plamy rdzy.

Maggie ostrożnie potarła kciukiem róg metalowej płyty. Spod czerni tłustej warstwy ukazał się znajomy odcień żółci. Wyprostowała się.

– Złoto – szepnął Hank tonem nabożnego lęku.

Spojrzała na niego, a potem na ścianę kamiennych skrzynek.

Wyobraziła sobie, że w każdej tkwią podobne płyty. Serce забиło jej mocniej. Ile tu może być złota?

Maggie wstała, próbując sobie uświadomić, jaką wartość może mieć skarb.

– Majorze – uprzedziła go – chyba zostanie pan tu ze swoimi ludźmi znacznie dłużej.

Z ust Ryana wyrwał się jęk.

– Czyli jest jeszcze więcej złota.

Maggie odwróciła się do granitowego słupa pośrodku sali.

Spoczywała na nim masywna czaszka tygrysa szablozębnego. Prehistoryczny totem wymordowanego plemienia sam w sobie był wartościowym znaleziskiem – tak ważnym, że jego członkowie stopili złoto i okryli nim całą powierzchnię czaszki olbrzymiego kota.

Wolnym krokiem okrążyła cennego bożka. Przeniknął ją dreszcz lęku. Coś tu było nie tak. Nie bardzo wiedziała co, lecz była pewna, że się nie myli.

Niestety, nie miała czasu na dalsze rozważania nad tą zagadką.

– No to przynajmniej zabierzmy stąd czaszkę – rozkazał Ryan. – Skrzynkami zajmiemy się później. Chcą państwo, żeby moi ludzie wam pomogli?

Hank raptownie zerwał się z miejsca.

– Poradzimy sobie.

Skinęła głową i oboje stanęli po obu stronach złotego totemu. Maggie sięgnęła do długich złotych kłów.

– Złapię z przodu – powiedziała. – Ty chwyć tył czaszki. Na mój znak podnosimy i wkładamy do skrzyni.

– Dobra.

Uchwycili totem. Maggie zacisnęła dłonie na kłach u nasady, gdzie łączyły się z czaszką. Jej palce okazały się za krótkie, by objąć potężne ciosy.

– Raz, dwa... trzy.

Razem dźwignęli czaszkę. Choć Maggie wiedziała, że jest pokryta złotem, była cięższa, niż się spodziewała. Poczula, że coś w środku przesuwają się jak sypki piasek. Palce świerzbiły ją z ciekawości, ale dalsze badania czaszki musiały poczekać. Trzymając ciężar, niczym dwaj robotnicy podeszli bokiem do wyłożonego pianką kufra i złożyli w nim czaszkę. Zagłębiła się

w miękkiej wyściółce.

Wyprostowali się, patrząc na siebie. Hank wytarł ręce w dzinsy i pochwycił jej spojrzenie. A więc też to poczuł. Nie tylko przesuwający się w środku piasek, ale coś jeszcze dziwniejszego. Maggie spodziewała się, że tkwiąc tak długo w jaskini ogrzewanej przez źródło geotermalne, czaszka będzie ciepła. Ale mimo gorąca jej powierzchnia była zimna.

Lodowato zimna...

Wyczytała w oczach Hanka niepokój. Taki sam jak u niej.

Zanim któreś z nich zdążyło coś powiedzieć, Ryan zatrzasnął nad skarbem wieko i wskazał w stronę wyjścia.

– Moi ludzie wyniosą czaszkę z jaskini. Potem to już wasz problem.

12.12

Przyczajona Kai obserwowała, jak pochód przechodzi przez salę mumii. Prowadziła go starsza kobieta z włosami ukrytymi pod kapeluszem z szerokim rondem. Za nią kroczyli trzej żołnierze Gwardii Narodowej. Dwóch z nich dźwigało zielony plastikowy kufer.

Złota czaszka, pomyślała.

Zabierali ją, tak jak jej powiedziano. Wydawało się, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Po wyniesieniu czaszki miała mieć grootę tylko dla siebie. Zamierzała podłożyć ładunki, zaczekać do zmierzchu, a potem się wymknąć. Kiedy jaskinia będzie pusta, miała wysadzić ją w powietrze i pogrzebać ich przodków. WAHYA wysłała czytelny komunikat. Rdzenni Amerykanie przestają prosić o zgodę rząd Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza gdy chodzi o tak podstawowe prawa jak pochówek swoich zmarłych.

Patrzyła na wysokiego mężczyznę idącego za pozostałymi. Wezbrała w niej fala złości. Znała tego człowieka jak większość Indian. Profesor Henry Kanosh był postacią budzącą kontrowersje wśród plemion i wywołującą silne reakcje. Nikt nie kwestionował, że jest oddanym zwolennikiem suwerenności Indian, a według niektórych ocen tylko dzięki jego wysiłkom obszar rezerwatów w zachodnich stanach powiększył się o dziesięć procent. Ale jak większość przodków z jego szczepu przyjął wiarę mormonów, porzucając dawne zwyczaje, aby przyłączyć się do grupy religijnej, która niegdyś prześladowała i mordowała Indian w Utah. To wystarczyło, by bardziej konserwatywni członkowie miejscowych plemion uznali go za wyrzutka. Słyszała kiedyś, jak John Hawkes nazwał go „indiańskim wujem Tomem”.

Kiedy grupa dotarła do tunelu prowadzącego do wyjścia, profesor Kanosh wskazał w głąb jaskini.

– Dopóki nie wyjaśnimy tej zagadki, nikomu nie wolno mówić o złocie. Trzymamy język za zębami. Nie potrzeba nam tutaj nowej gorączki złota.

Kai nastawiła uszu. Złoto?

Zgodnie z tym, co jej mówiono, w jaskini nie było innego złota poza tym, które pokrywało prehistoryczną czaszkę. WAHYA była skłonna pozwolić na zabranie totemu. Zaplanowano, że cenny przedmiot zostanie wystawiony w indiańskim muzeum, więc nie mieli nic przeciwko temu. Poza tym gdyby wybuch razem ze zmumifikowanymi ciałami pogrzebał złotą czaszkę, ktoś mógłby ulec pokusie i próbować ją odkopać, jeszcze raz naruszając miejsce spoczynku ich przodków.

A jeżeli jest więcej złota...?

Czekała, aż wszyscy znikną w tunelu, po czym wstała i zarzuciła plecak na ramię. Ostrożnie

przeszła przez salę mumii w kierunku drugiej sali. Musiała się przekonać na własne oczy. Jeżeli jest tam skład złota, sytuacja diametralnie się zmieniała. Podobnie jak czaszka, taka żyła złota mogła zwabić masę poszukiwaczy skarbów.

Musiała poznać prawdę.

Popędziła do tunelu, a gdy wpadła w jego czarną gardziel, przeniknął ją nowy niepokój. Jeżeli odkryto tu zapas złota, gwardziści na pewno wrócą, żeby go pilnować, utrudniając jej plan ucieczki. Mogliby jej odciąć drogę. Gdyby została złapana, jak wytłumaczyłaby, po co jej plecak pełen plastycznego materiału wybuchowego? Trafiałaby za kratki na długie lata, jeśli nie dziesiątki lat.

Nagły strach zmusił ją do pośpiechu.

Kiedy dotarła do groty, włączyła kieszonkową latarkę i omiotła światłem małe ciemne wnętrza. W pierwszej chwili nie zauważyła niczego poza starymi kamiennymi skrzynkami i pustym granitowym słupem. Ale nagle coś błysnęło tuż u jej stóp, przyciągając wzrok. Na posadzce roztrzaskała się jedna ze skrzynek.

Uklękła na jedno kolano, przysuwając bliżej latarkę. W skrzynce znajdował się stos metalowych płyt grubości około centymetra. Z rogu górnej płyty ktoś stał czarny nalot, spod którego ukazało się złoto. Wyprostowała się w szoku. Oświetliła latarką ścianę skrzynek.

Co ja teraz zrobię?

Ukryta w podziemiu nie mogła wezwać pomocy przez radio. Poczowała się bezsilna i uwięziona. Musiała sama podjąć decyzję. Czując presję czasu i bojąc się powrotu gwardzistów, nie umiała logicznie rozumować. Coraz trudniej się jej oddychało. Miała wrażenie, że mrok coraz ciaśniej ją otacza.

Wzdrygnęła się na dźwięk dobiegającego z oddali krzyku. Obróciła się w stronę wyjścia. Usłyszała więcej stłumionych głosów. Ktoś wrzasnął.

Zerwała się na równe nogi.

Co się dzieje?

Kurczowo ściskając plecak, uświadomiła sobie, że precyzyjny plan WAHYA rozsypuje się jak domek z kart. Serce waliło jej młotem. Panika pokonała rozsądek. Kai pochyliła się, rozerwała pękniętą skrzynkę i chwyciła trzy złote płytki z wierzchu. Miały kształt kwadratu o boku około dwudziestu centymetrów i były zaskakująco ciężkie, więc wcisnęła je pod kurtkę, którą szybko zapięła.

Potrzebowała dla Johna Hawkesa namacalnego dowodu na to, dlaczego nie wykonała zadania. Nie będzie zadowolony, ale być może znajdzie sposób wykorzystania złota, zwłaszcza jeśli rząd będzie chciał coś zataić. Przypomniała sobie, co mówił profesor Kanosh.

Trzymamy język za zębami.

Zamierzała się do tego zastosować, ale najpierw musiała się stąd wydostać. Wybiegła z powrotem do głównej sali jaskini. Coraz wyraźniej słyszała wściekłe głosy dobiegające z zewnątrz. Nie miała pojęcia, co spowodowało takie zamieszanie, miała jednak nadzieję, że w tłumie łatwiej jej będzie uciec. Wiedziała, że musi zaryzykować, bo inaczej utknie tu aż do powrotu żołnierzy.

Pozostała jej więc jedyna nadzieja. Wykorzystać swój największy atut: wrodzoną szybkość.

Jeżeli uda mi się wyrwać i dobiec do lasu...

Tylko co czeka ją po drodze?

W jaskini zadudnił tubalny głos profesora Kanosha:

– Cofnąć się!

12.22

Maggie stała zaledwie dwa metry od wejścia do jaskini. Nie zdążyli ująć za daleko, gdy dopadł ich wędrowny cyrk.

Wycelowano w nich oślepiające reflektory kamer, osadzając ich w miejscu. Cofając się o krok, rozpoznała wyraziste rysy i bladoniebieskie oczy reportera śledczego z CNN. Towarzyszył mu gubernator Utah. Nic dziwnego, że Gwardia Narodowa nie zatrzymała tej ekipy telewizyjnej. Gubernator nie mógłby zmarnować okazji do pokazania się na ekranie, by poprawić sobie szanse na reelekcję.

Oczywiście wraz z ekipą zjawili się ci co zwykle, pragnąc się znaleźć w centrum uwagi całego kraju i wdzięcząc się do kamer.

– Kradniecie nasze dziedzictwo! – padł okrzyk z tłumu.

Dostrzegła krzykacza w ubraniu z jeleniej skóry, z wymalowaną twarzą. Trzymał nad głową iPhone i nagrywał przebieg wydarzenia. Przypuszczała, że najdalej za godzinę będzie się mogła zobaczyć na YouTube.

Maggie ugryzła się w język, wiedząc, że każda odpowiedź dolałaby tylko oliwy do ognia.

Chwilę wcześniej, kiedy grupa Maggie wyłoniła się z jaskini i została zauważona, ludzka fala przewaliła się obok gubernatora udzielającego wywiadu na żywo. Tłum przewrócił kilka osób. Wywiązały się bójkę i sytuacja groziła wybuchem zamieszek w mikroskali obozowiska. Major Ryan szybko ustawił kordon gwardzistów, powstrzymując napór ludzi i przywracając jako taki porządek.

Tymczasem Hank i dwaj gwardziści utworzyli mur między nią a watahą dziennikarzy i protestujących.

Hank podniósł rękę.

– Jeżeli chcecie zobaczyć totem – zagrzmiał – pokażemy go wam. Ale potem doktor Grantham zabierze go prosto na Uniwersytet Younga, gdzie zostanie zbadany przez historyków z Narodowego Muzeum Indian Instytutu Smithsona.

Przerwał mu kolejny wściekły okrzyk:

– A więc zrobicie z tą czaszką to samo co z ciałem Czarnego Jastrzębia!

Maggie wzdrygnęła się, słysząc zarzut. Był to bolesny fragment historii Utah. Czarny Jastrząb był wodzem z plemienia Ute, który zginął w połowie dziewiętnastego wieku podczas konfliktu z osadnikami. Potem jego ciało wystawiano w wielu muzeach, aż wreszcie zaginęło. Dopiero pewien harcerz zdobywający kolejną sprawność odnalazł szkielet w magazynie wydziału historii Kościoła mormonów. Ostatecznie kości wodza pochowano.

Maggie dość się już nasłuchała. Stojąc przy zielonej skrzyni, uniosła rękę. Skierowały się na nią wszystkie oczy i obiektywy.

– Nie mamy nic do ukrycia! – zawołała. – Nie ulega wątpliwości, że odkrycie wywołało silne emocje. Ale pragnę wszystkich zapewnić, że będziemy postępować z najwyższą uwagą i należywym szacunkiem.

– Dość gadania! Jeżeli nie ma nic do ukrycia, to pokażcie czaszkę!

Tłum podchwycił ostatnie słowa i zaczął je skandować.

Maggie napotkała spojrzenie gubernatora. Ledwie dostrzegalnym gestem dał jej znak, by spełniła żądanie. Podejrzewała, że dla większości złoty totem nie stanowi przedmiotu o ogromnej wartości historycznej, lecz po prostu atrakcję, jeśli więc znalazła się w cyrku, mogła

wystąpić w roli konferansjera.

Odwróciwszy się, pochyliła się nad skrzynią i zaczęła zmagać z opornymi zatrzaskami. Artretyczne palce nie ułatwiały jej zadania. W dodatku mgła w dolinie zaczęła się zmieniać w mżawkę, której kropelki bębniły w plastikową pokrywę skrzyni. W tłumie zapanowała cisza.

Wreszcie Maggie udało się zwolnić zatrzaski i unieść wieko. Ze względu na deszcz zamierzała odsłonić totem najwyżej na minutę. Patrzyła na złotą czaszkę otuloną piankowym kokonem. Nawet w skąpym świetle lśniła jasnym blaskiem.

Cofnęła się, by odsłonić widok tłumowi i kamerom, nie umiała jednak oderwać wzroku od czaszki. Na jej powierzchni zebrała się wilgoć. Maggie przyglądała się, jak kropla deszczu pada na złotą gładź i natychmiast zamarza w lodową lżę.

Tłum za jej plecami jak jeden mąż stłumił okrzyk.

Sądziła, że patrzy na to samo co ona, lecz nagle usłyszała szuranie butów o skały. Unosząc wzrok, zobaczyła szczupłą dziewczynę w czarnych dżinsach i kurtce, która wyskoczyła z odległego o metr wejścia do jaskini. Jej hebanowe włosy powiewały jak skrzydła kruka. Przyciskała rękę do kurtki, ale coś spod niej wypadło i z brzękiem wylądowało na kamieniu.

Jedna ze złotych tabliczek.

Ryan krzyknął do złodziejki, żeby się zatrzymała.

Dziewczyna, nie zwracając na niego uwagi, odwróciła się, by uciec w stronę lasu, ale pośliznęła się na mokrym od deszczu kamieniu przed jaskinią. Zachwiała się i zaczęła wymachiwać ręką, starając się nie upaść. W tym momencie z jej ramienia zsunął się plecak i koziołkując, doturlał się do skrzyni. Dziewczyna omal się nie przewróciła, ale odzyskała równowagę z lekkością spłoszonego jelenia, obróciła się na palcach i rzuciła w kierunku skraju lasu.

Maggie nie ruszała się z miejsca, kucając nad otwartą skrzynią, aby ją ochronić. Patrzyła do środka, sprawdzając, czy totem jest bezpieczny. W ciągu krótkiej chwili spadły na niego kolejne krople deszczu i zamarły, ozdabiając złotą powierzchnię paciorkami lodu.

Wyciągnęła rękę i bezmyślnie dotknęła jednego z nich, wywołując jakiś trzask. Jej ramię przeszył bolesny wstrząs, ale poczuła, że zamiast odrzucić ją do tyłu, coś pociągnęło ją w przód. Jej dłoń uderzyła o złotą czaszkę. W tym momencie kości jej palców nagle zaczęły płonąć, przepalając na wylot ciało. Szok i przerażenie ścisnęły ją za gardło. Kolana się pod nią ugięły.

Usłyszała, jak Hank do niej krzyczy.

Ryan też wołał.

Nieprzytomna z cierpienia usłyszała tylko jedno słowo, które przebiło się przez ból.

Bomba!

12.34

Ostry błysk oślepił Hanka. Krzyknął na Maggie, a chwilę potem oczy zasnuła mu biel. W czaszkę trafił go piorun, ogłuszając w ułamku sekundy. Zwaliła go z nóg lodowata fala uderzeniowa jak policzek wymierzony przez Boga. Runął na wznak, a potem poczuł dziwne szarpnięcie i coś pociągnęło go w kierunku eksplozji.

Zmagał się z tą potężną niewidzialną falą przerażony do szpiku kości. Wrażenie było nie tylko zagadkowe, ale całkowicie nienaturalne. Opierał się całym sobą, każdym mięśniem i nerwem.

Wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło.

Nieznana siła nagle przestała działać. Hank odzyskał zmysły. Jego uszy wypełniły

rozdzierające jęki i wrzask. Rozmyty obraz nabrał ostrości. Hank leżał na boku zwrócony twarzą w stronę miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stała Maggie. Był zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

Maggie zniknęła – podobnie jak skrzynia, czaszka i większa część ściany, w której było wejście do jaskini.

Uniósł się na łokciu i rozejrzał dookoła.

Nie zobaczył żadnego śladu po Maggie, żadnych zwęglonych szczątków ani zmasakrowanego ciała. Nie było nic poza czarnym kręgiem na parującej skale.

Z trudem dźwignął się na nogi. Przestraszony Kawtch podpełzł bliżej, podkulając ogon. Gdyby Hank miał ogon, zrobiłby to samo. Uspokajającym gestem położył dłoń na boku psa.

– Wszystko będzie dobrze.

Miał nadzieję, że to prawda.

Tłum odzyskał już równowagę. I rozpoczął się paniczny exodus. Ekipa telewizyjna otoczona kordonem gwardzistów wycofała się na wyżej położony teren. Dwaj żołnierze przeprowadzili gubernatora w górę szlaku, na wypadek gdyby doszło do następnego ataku.

Harry przypomniał sobie plecak, który rzuciła dziewczyna. Kiedy wylądował obok skrzyni, otworzył się i wysypała się z niego zawartość: kostki szarozółtej gliny z wbitymi przewodami.

Major Ryan natychmiast rozpoznał zagrożenie.

Bomba.

Ale dla Maggie ostrzeżenie przyszło za późno.

Gniew ścisnął mu żołądek. Czekając, aż trochę minie, przypomniał sobie kobietę, która dokonała zamachu. Sądząc po miedzianej skórze, brązowych oczach i czarnych włosach, dziewczyna z pewnością była Indianką. Rodzima terrorystka. Jak gdyby było mało kłopotów.

Odrętwiały z żalu po Maggie chwiejnym krokiem dotarł do strefy wybuchu, pragnąc zrozumieć, co się stało. Stojący obok major Ryan podniósł hełm i ponownie go nałożył.

– Nigdy nie widziałem niczego takiego – powiedział Ryan wciąż osłupiały. – Siła eksplozji powinna zmieść połowę tłumu. Łącznie z nami. – Uniósł otwartą dłoń. – Niech pan zobaczy, jak gorąco.

Hank poszedł za jego przykładem. Miał wrażenie, jakby stanął przed wielkim piecem. W powietrzu unosił się smród palonej siarki, który przyprawiał go o mdłości.

Na ich oczach rozsypał się duży gład w strefie wybuchu, krusząc się na mniejsze kamienie. To samo zaczęło się dziać ze ścianą, z której odpadały duże bryły skał i piasek. Wyglądało to tak, jak gdyby twardy granit zmienił się nagle w nietrwały i kruchy piaskowiec.

– Niech pan popatrzy na ziemię – powiedział Ryan.

Hank spojrział na kawałek skały odłupany w momencie eksplozji, parujący i pokryty wilgocią. Krople mżawki rozpryskiwały się na nim z sykiem. Nie rozumiał, co tak poruszyło majora Ryana. Młody oficer miał jednak o wiele lepszy wzrok.

Hank przyklęknął, by z bliska przyjrzeć się ziemi. Wreszcie zauważył. Wcześniej widok przysłonił mu obłok pary. Nie była to już lita skała – bardziej przypominała mielony pieprz, który się poruszał.

Ziarna drżały i podskakiwały jak krople oleju skwierczące na rozgrzanej patelni. Hank patrzył, jak mały kamyk przeistacza się w gruboziarnisty piasek, a potem drobniutki pył. Kropla deszczu, która spadła na ziemię, wyrwała w niej krater, a po sypkiej powierzchni rozeszły się kręgi, jak gdyby kamień spadł do stawu.

Hank z niedowierzaniem pokręcił głową. Sprawdził z obawą, gdzie kończy się strefa wybuchu

i zaczyna stały grunt. Dostrzegł, że krawędź skały kruszy się na piasek, stopniowo rozszerzając strefę wybuchu.

– Powiększa się – uświadomił sobie Hank i odsunął Ryana do tyłu.

– Co pan wygaduje?

Hank nie miał na to żadnej odpowiedzi, tylko coraz większą pewność.

– Ten ładunek ciągle jest aktywny. Niszczy skałę i promieniuje odśrodkowo.

– Oszalał pan? Przecież nic nie może...

Ze środka strefy wybuchu spod ziemi bluznęła woda i trysnęła w górę parującym, kilkumetrowym słupem. Żar odpędził ich jeszcze dalej.

Kiedy się wreszcie zatrzymali, Hank czuł, że pali go cała skóra i ma na wpół ugotowane oczy. Dysząc ciężko, wykrztusił kilka słów.

– Pewnie przebiło się do źródła geotermalnego... pod doliną.

– Co pan wygaduje? – Ryan zasłonił kołnierzem nos i usta. W siarkowych oparach nawet oddychanie stawało się niebezpieczne.

– Nie wiem, co tu się stało, ale to nie tylko się poszerza...

Hank wskazał minigejzer.

– ...ale i sięga w głąb.

30 maja, 15.39

Waszyngton

I tyle z planowanej kolacji.

Mimo że do eksplozji w Utah doszło zaledwie przed godziną, Painter Crowe wiedział, że spędzi w biurze cały wieczór. Z każdą chwilą spływały kolejne szczegóły, ale ponieważ wybuch nastąpił w odległym górskim zakątku, informacje pozostawały szczątkowe. Wszystkie służby wywiadowcze w Waszyngtonie były w najwyższej gotowości, mobilizując się do zapanowania nad sytuacją.

W tym i Sigma.

Grupa Paintera działała jako tajna komórka DARPA, Agencji do spraw Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych¹. Jego zespół składał się ze starannie dobranych żołnierzy jednostek specjalnych – o wybitnie wysokim IQ lub wyjątkowych predyspozycjach intelektualnych. Werbował ich i szkolił w różnych dziedzinach naukowych, aby działali jako agenci pionu badawczo-rozwojowego Departamentu Obrony. Ich zespoły wysyłano w świat, by zapobiegały globalnym zagrożeniom.

W zwykłych okolicznościach wewnętrzny akt terrorystyczny taki jak zamach w Utah nie podlegały kompetencjom jego zespołu, ale jego szefa, dyrektora DARPA, generała Gregory'ego Metcalfa, zainteresowało kilka nietypowych szczegółów. Mimo to Painter mógłby się sprzeciwić wykorzystaniu sił Sigmy do tak nieprzyjemnej sprawy, ale w związku z kontrowersjami towarzyszącymi wybuchowi nawet prezydent, któremu Sigma ocaliła kiedyś życie, osobiście zwrócił się do nich z prośbą o pomoc w tej delikatnej materii.

A nikt nie odmawia prezydentowi Jamesowi T. Gantowi.

Tak więc Painter na razie musiał odłożyć do jutra plany urządzenia grilla ze swoją dziewczyną.

Stał oparty plecami o biurko i patrzył na duże płaskie monitory zamontowane na trzech ścianach gabinetu. Pokazywały wybuch w różnych ujęciach. Najlepszy materiał pochodził z CNN, której kamery zarejestrowały przebieg zdarzenia. Pozostałe monitory wyświetlały ziarniste wideo i zdjęcia zrobione telefonami komórkowymi, nowymi cyfrowymi oczami świata u progu milenium.

Po raz setny oglądał powtórkę nagrania CNN. Patrzył, jak starsza kobieta – antropolożka, doktor Margaret Grantham – pochyla się nad wojskową zieloną skrzynią transportową. Zwalnia zatraski i unosi pokrywę. Wtedy dochodzi do jakiegoś zamieszania, kamera zaczyna się nerwowo poruszać, obraz skacze. Za kobietą przemyka jakaś postać, potem ekran rozjaśnia błysk oślepiającego światła.

Zatrzymał obraz, wciskając guzik na pilocie. Utkwił spojrzenie w epicentrum wybuchu. Mrużąc oczy, na przeraźliwie jasnym ekranie dojrzał cień tej kobiety przypominający ciemnego

ducha w sercu ognia. Zaczął przesuwając obraz klatka po klatce i patrzył, jak jasność powoli pochłania cień, trawiąc go do ostatka.

Z ciężkim sercem przewinął nagranie do przodu. Potem obraz stawał się niestabilny i chaotyczny: drzewa, niebo, uciekające sylwetki ludzi. Wreszcie operator znalazł dogodny punkt, w którym poczuł się na tyle bezpiecznie, by podjąć przerwany zapis. Obiektów ponownie skierował się na parującą strefę wybuchu. Ludzie wciąż uciekali i nadal niepodzielnie panował chaos. Na dole została garstka osób, ostrożnie badając miejsce eksplozji. Chwilę później trysnął w górę parujący gejzer, odganiając nawet maruderów.

Na jego biurku leżał już wstępny raport sporządzony przez geologa Sigmy, który ocenił, że wybuch naruszył „podpowierzchniowy strumień geotermalny”.

Painter znów spojrzął na gejzer. Na pewno nie był już podpowierzchniowy. Geolog dołączył do swojej opinii mapę topograficzną z zaznaczonymi gorącymi źródłami w okolicy. Nawet w suchym technicznym żargonie Painter wyczytał entuzjazm młodego geologa i nieskrywane pragnienie, by osobiście zbadać teren.

Doceniał taką pasję, ale Gwardia Narodowa zamknęła cały rejon. Trwały poszukiwania zagadkowej postaci, która mignęła w tle tuż przed wybuchem. Painter ponownie zatrzymał klatkę z niewyraźną sylwetką zamachowczynie widoczną przez mniej niż sekundę.

Zgodnie z zebranymi informacjami to była młoda kobieta. Rzuciła plecak wypchany C4 z detonatorami, a potem uciekła do lasu. Gwardia Narodowa, miejscowa policja i agenci z biura terenowego FBI w Salt Lake City próbowali zamknąć cały obszar, ale niełatwo było odnaleźć dziewczynę w trudnym i gęsto zalesionym górskim terenie, zwłaszcza jeśli dobrze go znała.

Na domiar złego świadkowie potwierdzili, że była Indianką. Gdyby mówili prawdę, oznaczałoby to jeszcze większe napięcie polityczne.

Painter dostrzegł w monitorze swoje odbicie i poszukał cech świadczących o jego własnym pochodzeniu. Po ojcu był półkrwi członkiem plemienia Pekotów, ale niebieskie oczy i jasną karnację odziedziczył po matce Włoszce. Mało kto zaszufładowałby go jako Indianina, jeśli jednak przyjrzeć się uważniej, można było dostrzec charakterystyczne cechy: szerokie, wysokie kości policzkowe, włosy o głębokim odcieniu czerni. W miarę upływu lat indiańskie rysy stawały się coraz wyraźniejsze.

Nie dalej jak przed miesiącem usłyszał uwagę na ten temat od Lisy. Leniwie spędzali niedzielę w łóżku, czytając gazety i nie znajdując żadnego powodu, żeby wstać. Lisa wsparła się na łokciu i przesunęła palcem po jego twarzy.

– Opalasz się teraz na dłużej i pogłębiają ci się te zmarszczki od słońca. Robisz się coraz bardziej podobny do swojego ojca na tym starym zdjęciu.

Wylegając się z dziewczyną w łóżku, człowiek niekoniecznie chciałby usłyszeć coś takiego.

Wyciągnęła rękę i założyła mu za ucho kosmyk siwych włosów przypominający śnieżnobiałe pióro leżące na czarnym polu.

– A może to dlatego, że zapuszczasz włosy. Mogłabym z nich upleść warkoczek wojownika.

W rzeczywistości nie zapuszczał włosów. Po prostu przez parę miesięcy nie miał okazji iść się ostrzyć. Spędzał coraz więcej czasu w centrali Sigmy. Tajna jednostka miała siedzibę pod Smithsonian Castle w National Mall, zajmując dawne schrony z czasów drugiej wojny światowej. Miejsce wybrano ze względu na bliskość budynków rządowych oraz wielu ośrodków badawczych Instytutu Smithsona.

Tam właśnie Painter spędzał większą część dnia. Jego jedynymi oknami na świat stały się ostatnio trzy gigantyczne monitory w gabinecie.

Wrócił za biurko, zastanawiając się nad konsekwencjami zamachu dokonanego przez amerykańską terrorystkę indiańskiego pochodzenia. Nigdy nie przywiązywał szczególnej wagi do swojego rodowodu, zwłaszcza że większą część dzieciństwa spędził w rodzinach zastępczych. Jego matka cierpiąca na depresję zakłuła nożem jego ojca siedem lat po ślubie i narodzinach syna. Później Painter miał pewien kontakt ze swoimi indiańskimi korzeniami, wychowując się w wielopokoleniowej rodzinie zastępczej złożonej ze współplemieńców ojca. Ale otrzymawszy tak mizerne i chaotyczne wychowanie, mówiąc o sobie jako potomku rdzennych Amerykanów, zaczął kłaść nacisk na słowo „Amerykanów”.

Z rozmyślań wyrwało go pukanie do otwartych drzwi. Unosząc wzrok, ujrzał Ronalda China, eksperta Sigmy w dziedzinie geologii.

– Pomyślałem sobie, że powinienes to zobaczyć.

Painter machnięciem ręki zaprosił go do środka, przypuszczając, że wchodząc, Chin będzie się musiał pochylić. Miał prawie metr osiemdziesiąt trzy wzrostu – prawie, bo golił głowę do skóry. Był ubrany w szary, rozpięty do połowy kombinezon laboratoryjny, spod którego było widać koszulkę pułku rangersów.

– Co powinienem zobaczyć? – zapytał Painter.

– Siedziałem nad tymi raportami i chyba trafiłem na coś ważnego. – Położył na biurku teczkę.
– Z przesłuchania jednego z gwardzistów obecnych na miejscu zdarzenia, niejakiego majora Ashleya Ryana. Większość pytań dotyczyła tożsamości terrorystki i zdarzeń sprzed wybuchu. Ale major Ryan był mocno poruszony samą eksplozją.

Painter wyprostował się i sięgnął po teczkę.

– Zajrzyj na stronę osiemnastą, zakreśliłem tam najważniejsze fragmenty.

Painter otworzył raport, przerzucił kilka kartek i przeczytał zaznaczone na żółto zdania. Było to raptem kilka pytań i odpowiedzi, ale ostatnie zdanie wygłoszone przez majora zmroziło mu krew w żyłach. Odczytał je głośno:

– „Ziemia... wyglądała, jakby zaczęła się rozpadać”.

Chin stał po drugiej stronie biurka z założonymi z tyłu rękami.

– Od początku wydawało mi się, że w tym wybuchu było coś nie tak. Skonsultowałem się z naszym specem od materiałów wybuchowych. Doszedł do tego samego wniosku. Przy detonacji ładunku, który może przebić podłoże skalne i otworzyć źródło geotermalne, promień rażenia powinien być dziesięć razy większy.

– Zgadza się – odezwał się szorstki głos od drzwi. – Walnęło o wiele za słabo.

Painter ponownie odwrócił się do wejścia. Najwidoczniej nowy ekspert saperski Sigmy przyszedł potwierdzić opinię China. Agent opierał się o framugę. Przewyższał China co najmniej o piętnaście centymetrów i ważył więcej o dobre dwadzieścia kilogramów, głównie masy mięśniowej. Strzygł się krótko, a mimo to nakładał żel i zaczesywał ciemnego języka do tyłu. Był ubrany w taki sam kombinezon jak Chin, ale sądząc po widocznej spod niego nagiej skórze, nie miał niczego pod spodem.

W prawej dłoni ugniatał kawał gliny.

Painter spojrzął na nią z niepokojem.

– Kowalski, czy to jest C4 z magazynu broni?

Mężczyzna wyprostował się i wzruszył ramionami, robiąc nagle potulną minę.

– Pomyślałem sobie, że przeprowadzę test...

Paintera ścisnęło w żołądku. Joe Kowalski, były marynarz, trafił do Sigmy przed kilku laty. W przeciwieństwie do pozostałych nie został zwerbowany, ale adoptowany. Wcześniej pracował

w obsłudze zespołu, robiąc użytek głównie ze swojej siły fizycznej, lecz Painter wyczuł, że drzemią w nim inne zdolności, a pod maską ospałości kryje się bystry umysł.

Taką miał przynajmniej nadzieję.

Zanim Kowalski wstąpił do Sigmy, Painter analizował jego dossier, oceniając jego predyspozycje i umiejętności, po czym ostatecznie przydzielił mu dziedzinę, która chyba najlepiej mu odpowiadała – burzenie i wysadzanie.

Zaczynał właśnie żałować tej decyzji.

– Nie sądzę, żeby były konieczne testy materiałów wybuchowych. – Postukał w leżącą na biurku teczkę. – Czytałeś raport z miejsca zdarzenia?

– Przejrzałem.

– I co sądzisz?

– To na pewno nie było C4. – Uniósł pięść pełną substancji wybuchowej i ścisnął. – Wybuchło coś innego.

– Jakies przypuszczenia?

– Najpierw musiałbym zbadać miejsce wybuchu. Zebrać parę próbek. Bez tego nie mam pojęcia.

Musiał oddać Kowalskiemu sprawiedliwość. Opinię można było uznać za zadowalającą.

– W każdym razie ktoś zna prawdę. – Painter odchylił się na krześle, zerkając na ekran z zatrzymaną w stopklatce sylwetką terrorystki. – Jeżeli uda się ją znaleźć.

14.22

Pustkowie w Utah

Kai ukryła się w gąszczu wierzb górskich porastających brzeg zimnego strumyka. Uklękła, nabrała w dłonie czystej wody i napiła się, nie przejmując się ogoniastkiem jelitowym czy innymi pasożytami. Spływała tu przede wszystkim woda ze świeżo roztopionego śniegu. Była tak spragniona, że odważyła się zaryzykować.

Kiedy zwilżyła usta i zaspokoila pierwsze pragnienie, zakryła lodowatymi dłońmi twarz. Zimno pomogło jej zebrać myśli.

Ale nawet zamknąwszy oczy, wciąż miała pod powiekami ten widok. Uciekając z jaskini, obejrzała się przez ramię i zdążyła zobaczyć porażający błysk, usłyszeć huk gromu. Jęki i wrzaski ścigały ją daleko w głąb lasu.

Dlaczego rzuciłam plecak?

John Hawkes przysięgał, że C4 jest bezpieczne. Mówił, że można spokojnie strzelić do któregoś ładunku i nic się nie stanie. Co więc poszło nie tak? Już była ledwie przytomna ze strachu, a doszła do przerażającego wniosku. Czyżby ktoś z WAHYA był świadkiem jej ucieczki z jaskini i zdalnie wywołał detonację?

Ale dlaczego miałby to zrobić, wiedząc, że wokół jest pełno ludzi?

Nikt nie miał ucierpieć.

Nie było czasu się zastanawiać. Przez dwie godziny biegła na oślep przez las jak rączka łania. Starła się pozostawać niewidoczna z góry. Zauważyła już jeden helikopter przelatujący nad szczytami. Należał raczej do jakiejś stacji telewizyjnej, nie policji, mimo to na jego widok dała nura w gęstwinę.

Musiała wykorzystać ostatnie godziny dnia, by jak najbardziej oddalić się od pościgu. Wiedziała, że będą jej szukać. Oczami wyobraźni widziała swoją twarz na ekranach telewizorów

w całym kraju. Nie miała złudzeń, że jej tożsamość długo pozostanie tajemnicą.

Te wszystkie kamery... komuś na pewno udało się zrobić dobre ujęcie.

Prędzej czy później ją złapią.

Potrzebowała pomocy.

Ale komu mogłaby zaufać?

16.35

Waszyngton

– Dyrektorze, chyba wreszcie mamy przełom.

– Pokaż – powiedział Painter, wchodząc do zaciemnionego pomieszczenia, które rozjaśniał tylko rząd kolidujących ustawionych ekranów i monitorów komputerowych.

Pokój łączności satelitarnej Sigmy zawsze przypominał mu centrum dowodzenia okrętu podwodnego, gdzie panuje półmrok, by załoga zachowała zdolność widzenia w ciemnościach. I tak jak w łodzi podwodnej było to centrum nerwowe dowództwa Sigmy. Napływały tu i wypływały stąd wszystkie informacje przekazywane przez połączone sieci kanałów różnych agencji wywiadowczych z kraju i zagranicy.

Pająk zawiadujący tą niezwykłą siecią stał przed szeregiem monitorów i przywoływał gestem Paintera. Kapitan Kathryn Bryant była głównym ekspertem wywiadu w Sigmie i z czasem zaczęła pełnić funkcję zastępcy Paintera. Była jego oczami i uszami w Waszyngtonie, a także sprytnym graczem, który potrafił się odnaleźć w bezwzględnym świecie stołecznej polityki. I jak każdy dobry pająk skrupulatnie dbała o swoją pajęczynę, zarzucając nić, gdzie tylko się dało. Największą jej zaletą była jednak niezwykła umiejętność kontrolowania każdego z drgających włókien sieci i skutecznego odsiewania wszystkich szumów, by uzyskać cenną informację.

Tak jak teraz.

Kat wezwała go, obiecując przełom w sprawie.

– Chwileczkę, zaraz dam wideo z Salt Lake City – powiedziała.

Skrzywiła się lekko, stukając w klawiaturę jedną ręką, a drugą kładąc na brzuchu. W ósmym miesiącu był duży, ale Kat nie chciała odejść na wcześniejszy urlop macierzyński. Jedyne ustępstwo na rzecz jej stanu polegało na tym, że zamieniła obcisły mundur galowy, który nosiła na co dzień, na obszerną sukienkę i żakiet oraz zaczęła rozpuszczać kasztanowe włosy, które przedtem ciasno upinała.

– Może przynajmniej usiądziesz? – zaproponował Painter, przysuwając krzesło przed monitor.

– Siedzę cały dzień. Dziecko od lunchu stepuje mi na pęcherzu. – Dała mu znak, żeby podszedł bliżej. – Dyrektorze, musi to pan zobaczyć. To z początku śledztwa. Monitoruję wszystkie programy informacyjne z Salt Lake City. Nie było trudno włamać się do serwerów stacji telewizyjnych i zajrzeć im przez ramię, kiedy przygotowywali wieczorne serwisy.

– Po co?

– Bo doszłam do wniosku, że bardzo łatwo ukryć telefon komórkowy.

Spojrzał na nią pytająco.

– Przy takiej liczbie świadków zamachu – wyjaśniła – było duże prawdopodobieństwo, że ktoś zrobił zdjęcie terrorystce albo uchwycił ją na filmie. Dlaczego więc nie ma żadnego materiału?

– Może wszyscy za bardzo się bali.

– Zgoda, ale po wybuchu, nie przed. Gdyby wyjść z założenia, że ktoś jednak zrobił zdjęcie, dlaczego nie przekazał go policji? Poszłam tym tropem. Zachłanność to silny motyw.

– Sądzisz, że ktoś nie ujawnił zdjęcia terrorystki, żeby zarobić parę dolców, tak?

– Biorąc pod uwagę każdą ewentualność, musiałam tak zakładać. W zamieszaniu dość łatwo schować telefon. Albo nawet przesłać materiał e-mailem, a potem skasować nagranie. No więc zrobiłam rekonesans w wydaniach dzisiejszych serwisów informacyjnych w Salt Lake City i w lokalnym oddziale NBC znalazłam plik o nazwie „Nowy materiał o zamachu bombowym w Utah”.

Kat wcisnęła klawisz i włączyła odtwarzanie wideo – było to kolejne ujęcie tego samego wydarzenia, które bez końca dziś oglądał. Tyle że tym razem, gdy terrorystka wyszła z jaskini, wciąż niosąc plecak, była widoczna w całej okazałości. Poruszała się szybko, lecz przez ułamek sekundy spojrzała prosto w oko kamery.

Kat wprawnym ruchem zatrzymała film. Obraz był ziarnisty, ale tak jak zeznali naoczni świadkowie, dziewczyna na pewno wyglądała na Indiankę.

Painter nachylił się nad monitorem. Jego serce zabiło mocniej.

– Możesz zrobić zbliżenie?

– Rozdzielczość jest kiepska, potrzebuję chwili, żeby to wyczyścić. – Palce Kat migają nad klawiaturą. – Pomyślałam sobie, że nie powinniśmy dać się wyprzedzić. Program ma iść na początku wiadomości o szóstej w Salt Lake City. Przypadkiem przeczytałam szkic komentarza. Bardzo prowokacyjny tekst. Uznaje zamach za zapowiedź odrodzenia radykalnych metod walki Indian o swoje prawa. W tym samym folderze znalazł się archiwalny materiał z okupacji Wounded Knee.

Painter powstrzymał jęk. W 1973 roku członkowie Ruchu Indian Amerykańskich zajęli Wounded Knee w Dakocie Południowej, gdzie otoczyły ich siły FBI. W strzelaninie, jaka się wtedy wywiązała, zginęły dwie osoby, a wiele zostało rannych. Zmniejszenie napięcia między plemionami a rządem trwało dziesiątki lat.

– No dobrze – powiedziała Kat. – Program skończył renderować próbkę.

Obraz wyświetlił się ponownie, znacznie ostrzejszy. Kat zaczęła manipulować myszą, by twarz dziewczyny ukazała się na całym ekranie. Zdjęcie było zaskakująco szczegółowe. W szeroko otwartych ciemnych oczach malował się strach, usta w panice łapały oddech, burza hebanowych włosów okalała twarz o wyraźnie indiańskich rysach.

– Trzeba przyznać, że bardzo ładna – zauważyła Kat.

– Ktoś musi ją znać. Na pewno niedługo ślicznotka będzie miała imię i nazwisko.

Painter niemal nie zwracał uwagi na jej słowa. Wpatrywał się w ekran. Jego pole widzenia skurczyło się do twarzy zatrzymanej w stopklatce.

Kat wyczuła, że coś jest nie tak, i odwróciła się do niego.

– Dyrektorze?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął telefon. Swój prywatny blackberry, nieszyfrowany.

Pewnie Lisa chce zapytać o naszego grilla.

Przyłożył telefon do ucha, pragnąc ją usłyszeć.

Ale to nie była Lisa. W słuchawce odezwał się zdyszany, łamiący się głos.

– Wujku Crowe... potrzebuję twojej pomocy.

Serce podskoczyło mu do gardła.

– Mam kłopoty. Straszne kłopoty. Nie wiem...

Nagle zapadła cisza. Po chwili w tle usłyszał warknięcie jakiegoś dużego zwierzęcia, a potem przeszywający krzyk strachu. Painter zacisnął palce na telefonie.

– Kai!

Połączenie zostało przerwane.

30 maja, 14.50

Pustkowie w Utah

Kai cofała się przed psem.

Ubłocone, przemoczone do suchej nitki zwierzę wyglądało na dzikie, może nawet wściekłe. Pies warczał, obnażając groźnie wszystkie zęby. Skradał się w jej stronę z opuszczonym łbem i wysoko uniesionym ogonem, gotów skoczyć jej do gardła.

Nagle podskoczyła, gdy za jej plecami rozległ się okrzyk:

– Wystarczy, Kawtch! Zostaw!

Odwróciła się i zobaczyła wysokiego mężczyznę w stetsonie, który wyjechał z gęstej kępy sosen wydmowych na kasztance rasy quarter horse. Klacz stąpała lekko, wspinając się po zboczu niemal bezszelestnie.

Kai przywarła plecami do drzewa gotowa się rzucić do ucieczki. Była pewna, że to szeryf federalny, mogłaby przysiąc, że widzi zawieszoną na szyi odznakę, ale kiedy się zbliżył, zobaczyła, że to tylko kompas. Wsunął go pod koszulę.

– Zdrowo nas przegoniłaś, młoda damo – powiedział surowym tonem mężczyzna. Jego twarz wciąż krył cień szerokiego ronda kapelusza. – Ale nie ma takiego tropu, którym Kawtch nie pójdzie, kiedy go już zwęszy.

Pies zamerdał ogonem, lecz nie spuszczał z niej oczu. Rozległo się ciche warknięcie.

Nieznajomy zsunął się z siodła i bez trudu zeskoczył na ziemię. Poklepał psa, aby go uspokoić, i podszedł do niej.

– Musisz przeprosić Kawtcha. Ciągłe się boi po tym wybuchu. Bardzo się zdenerwował.

Kai nie wiedziała, jak ma rozumieć zachowanie mężczyzny. Najwyraźniej nie był z policji stanowej ani Gwardii Narodowej. Czyżby łowca nagród? Przyjrzała się pistoletowi tkwiącemu w kaburze na biodrze. Był przeznaczony dla niej czy nieznajomy nosił go dla ochrony przed baribalami i rysiami wałęsającymi się po tutejszych lasach?

Nieznajomy wreszcie wyłonił się z cienia, zdjął kapelusz i chusteczką otarł czoło. Poznała szpakowate włosy związane w koński ogon, charakterystyczne ciosane rysy Indianina. Na moment osłupiała ze zdumienia. Zaledwie kilka godzin temu widziała tego człowieka w górskiej jaskini.

– Profesor Kanosh... – wyrzuciła z siebie jego nazwisko tonem, w którym złość mieszała się z ulgą.

Zaskoczony uniósł brew. Odezwał się dopiero po chwili. Wyciągnął dłoń.

– W tych okolicznościach myślę, że wystarczy Hank.

Nie przyjęła jego ręki. Wciąż pamiętała słowa Johna Hawkesa. „Indiański wuj Tom”. To jasne, że zdrajca swojego ludu współpracuje z władzami i pomaga im ją odszukać.

Opuścił rękę. Oparł dłonie na biodrach, muskając palcami pistolet w kaburze.

– I co z tobą zrobimy, młoda damo? Wpakowałaś się w straszne kłopoty. Szukają cię wszyscy stróże prawa po tej stronie Gór Skalistych. Ten wybuch...

Nie chciała tego więcej słuchać.

– To nie była moja wina! – krzyknęła głośno i z wściekłością, pragnąc wyładować na kimś gniew. – Nie wiem, co się stało!

– Być może, ale w wybuchu ktoś zginął. Moja bliska przyjaciółka. A ludzie szukają winnego.

Patrzyła na niego. W głębokich zmarszczkach w kącikach jego oczu wyczytała szczerzy smutek. Mówił prawdę.

Kiedy to powiedział, gniew zgasł w niej jak zdmuchnięta świeca. Sprawdziły się jej najgorsze przecucia. Zasłoniła twarz, przypominając sobie wybuch i oślepiający błysk. Osunęła się po pniu drzewa na ziemię i zwinęła w kłębek. Popelniła morderstwo.

Morze łez wzbierające w niej od momentu eksplozji zerwało tamy paraliżującego strachu. Jej ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch.

– Nikomu nic się nie miało stać – wykrztusiła, ale nawet dla niej te słowa zabrzmiały pusto.

Padł na nią jakiś cień. Mężczyzna ukląkł, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Nie miała siły się opierać.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co zamierzałaś zrobić z plecakiem pełnym materiałów wybuchowych – powiedział cicho. – Ale miałaś rację. Ta eksplozja to nie twoja wina.

Nie chciała od niego pociechy. Ojciec przed śmiercią nauczył ją odróżniać dobro od zła i wpoił jej zasadę odpowiedzialności. Przez większą część jej życia mieli tylko siebie. Ojciec pracował na dwa etaty, żeby zapewnić im jedzenie i dach nad głową, a ona więcej nocy spędziła u sąsiadów, opiekując się ich dziećmi, niż we własnym mieszkaniu. Dbali o siebie, jak umieli najlepiej.

Nie mogła więc sobie wmawiać, że nic się nie stało. Bez względu na to, czy to był wypadek, czy nie, za jej sprawą zginął człowiek.

– Nie wiem, co się tam stało – ciągnął Kanosh ciepłym, krzepiącym tonem – ale to nie twoje ładunki wysadziły w powietrze zbocze góry. Wydaje mi się, że to ta czaszka. A raczej coś ukrytego w czaszce.

Z jednej strony uczepliła się jego słów jak tonący, z drugiej jednak dręczona wyrzutami sumienia i bólem bała się przyjąć do wiadomości to, co mówił.

Być może wyczuwając jej opory, dodał spokojnie:

– Przed przyjazdem czytałem raporty. O jaskini krążyły różne pogłoski, dawne legendy, które powtarzała garstka najstarszych Indian. Według nich nad jaskinią ciąży klątwa i ktokolwiek by do niej wtargnął, skończy się to katastrofą dla wszystkich.

– Westchnął ze smutkiem. – Może ktoś powinien ich posłuchać. Na ile poznałem historię naszego ludu, wiem, że w takich opowieściach często tkwi ziarno prawdy.

Jego silne ramię i słowa pociechy pomogły jej odzyskać spokój.

Łzy nadal płynęły, ale Kai zdobyła się na odwagę i uniosła głowę, żeby nie tylko słuchać, ale i spojrzeć w jego twarz.

– Czyli... czyli to nie był wybuch C4, które miałam w plecaku?

– Nie. Ekspłodowało coś gorszego. Właśnie dlatego pojechałem cię poszukać. Żeby cię chronić.

Usiadła prosto, wysuwając się z jego uścisku. Musiał zauważyć jej pytające spojrzenie.

– Wybuch podpalił lont pod beczką prochu, na której siedzieliśmy już na tej górze. Kiedy się wymknąłem, zaczęły się pierwsze starcia działaczy z Gwardią Narodową. Każda strona zarzuca

drugiej najgorsze zbrodnie i okrucieństwa. Ale wszyscy zgadzają się co do jednego.

Przełknęła ślinę, domyślając się, co to jest.

– Uważają, że to ja jestem winna.

– I wszyscy cię szukają. Przy takim napięciu i w takim zamieszaniu obawiam się, że najpierw będą strzelać, a dopiero potem zadawać pytania.

Wzdrygnęła się, bo nagle zrobiło się jej zimno.

– Co mam zrobić?

– Najpierw opowiesz mi, co się stało. Muszę poznać wszystko. Każdy szczegół. Często najlepszą obroną jest prawda.

Nie wiedziała, od czego zacząć, nie była nawet pewna, czy zna całą prawdę. Ale dłoń starszego mężczyzny odnalazła jej rękę i uściśnęła, by ją podtrzymać na duchu. Żelazny uścisk jego palców, tak bardzo przypominający dotyk twardych, pokrytych odciskami dłoni ojca, dodał jej sił.

Zacząła niechętnie, lecz już po chwili słowa ruszyły lawiną, jak gdyby swoją opowieścią chciała się przyznać do winy i równocześnie okazać skruchę. W głębi duszy wiedziała jednak, że musi też zrzucić z siebie to brzemie i obarczyć nim kogoś jeszcze.

15.08

Słuchając relacji dziewczyny, Hank badawczo się jej przyglądał.

Starał się ograniczać pytania do minimum, odkrywając więcej prawdy w sposobie narracji niż w faktach. Paniczny strach w jej oczach przygasał. Kiedy opowiadała, zauważył u niej głęboko zakorzenione poczucie zdrady po śmierci ojca i potrzebę znalezienia winnego, by nadać jakiś sens bezsensownemu morderstwu. Zagubiona i przerażona u bojowników z WAHYA odnalazła nowy dom i nowe plemię.

Podobne historie bardzo często słyszał od młodych Indian: rozbite rodziny, bieda, przemoc w domu, alkoholizm. Problemy pogłębiała i potęgowała izolacja w rezerwach. Młodzi ludzie byli zagubieni i szukali okazji, by wyładować gdzieś swój gniew. Wielu wstępowało na drogę przestępstwa, inni zaczęli gwałtownie nienawidzić wszystkich związanych z jakąkolwiek władzą. A ludzie tacy jak John Hawkes, założyciel WAHYA, polowali na zbłąkane owieczki i wykorzystywali ich zagubienie do własnych celów.

Hank aż nazbyt dobrze znał tę drogę. Jako nastolatek zaczął sprzedawać narkotyki, najpierw w szkole, potem na szerszą skalę. Wpadł w szemrane towarzystwo. Dopiero gdy jeden z jego najlepszych przyjaciół został zamordowany przez ćpuna na głodzie, Hank wrócił do swojej wiary, do mormońskiego Kościoła swojego plemienia. Wielu uważało to za dziwną drogę zbawienia dla Indianina. Wiedział, z jaką pogardą inni rdzenni Amerykanie traktują współplemieńców, którzy przyjęli wiarę mormonów. Ale nic nie sprawiło mu takiego zadowolenia jak odnalezienie powrotnej drogi.

Odtąd nigdy nie spisywał na straty żadnej zagubionej osoby, jaką napotkał na swojej drodze. Między innymi dlatego tak zażarcie walczył o ochronę praw plemion, niekoniecznie dla samych plemion, ale żeby wspierać i wzbogacać rezerwy, budować lepsze fundamenty dla najmłodszych.

Nieżyjący od dawna dziadek powiedział mu kiedyś: „Najbogatsze plony rodzi najlepiej uprawiana ziemia”. Próbował na co dzień żyć w zgodzie z tą filozofią.

Skończywszy opowieść, dziewczyna rozpięła kurtkę i z powrotem skupił na niej całą uwagę.

Wyciągnęła dwie metalowe płytki wielkości kieszonkowego wydania książki.

– Dlatego wyszłam stamtąd, nie odpalając ładunków. Wzięłam to jako dowód dla Johna Hawkesa. Żeby mu pokazać, że w jaskini poza czaszką tygrysa jest więcej złota.

Hank szeroko otworzył oczy. Skradła dwie złote płytki. Sądził, że wszystkie przypadły pogrzebane pod połową góry.

– Mogę obejrzeć?

Podawała mu jedną. Obejrzał ją w smudze słońca. Pod grubą czarną warstwą dostrzegł wyryte w złocie dziwne znaki. Była to jedyna ocalała wskazówka, która mogła pomóc w rozwiązaniu zagadki, dlaczego w jaskini doszło do masowego samobójstwa i co takiego tam ukryto, że wymagało rozlewu krwi.

W istocie rzeczy jednak interesowało go coś więcej niż naukowe dociekania. Kiedy trzymał płytkę, lekko drżały mu ręce. Był Indianinem, ale także mormonem, a jako historyk badał przeszłość swojej religii równie wnikliwie jak dziedzictwo swoich pobratymców. Według zasad jego wiary Księga Mormona powstała jako tłumaczenie inskrypcji w starożytnym języku wyrytych na złotych tablicach, które odnalazł Joseph Smith, założyciel Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Od tamtego objawienia od czasu do czasu w obu Amerykach rozchodziła się pogłoska o innych ukrytych złotych płytkach. W większości wypadków okazywało się, że to kawał albo oszustwo; w innych nigdy niczego nie odkryto ani nie potwierdzono.

Wpatrywał się w niewyraźne pismo, pragnąc sercem i myślą zbadać jego treść – miał jednak pilniejszą sprawę.

Dziewczyna nazwała ją głośno.

– Co teraz zrobimy?

Oddał jej płytkę, dając znak, by ukryła obie z powrotem pod kurtką. Znów wyciągnął dłoń, zaczynając od nowa:

– Hank Kanosh.

Tym razem uściśnęła mu rękę.

– Kai... Kai Quocheets.

Zmarszczył brwi.

– Jeżeli się nie mylę, Kai w języku nawaho oznacza wierzbę. Ale sądząc po wyglądzie i akcencie, wydaje mi się, że pochodzisz z któregoś z północno-wschodnich plemion.

Skinęła głową.

– Ze szczepu Pekotów. Imię wybrała mi matka. Była Nawaho w jednej czwartej i z tego, co mówił ojciec, chciała mi przekazać część swojego dziedzictwa.

Hank wskazał na zbocze góry.

– W takim razie przekonajmy się, czy zasługujesz na swoje imię, młoda damo. Wierzba jest znana z odporności na silny wiatr. A nad twoją głową zbiera się burza.

Odpowiedział mu nieśmiały, ledwie widoczny uśmiech.

Hank podszedł do konia. Mimo swoich dwudziestu lat klacz była zwinna jak młody rumak. Kiedy wsiadł, odezwał się lekki ból w biodrze.

Machnął ręką Kawtchowi, by ruszył przodem. Góry przeczesywali uzbrojeni ludzie, więc nie chciał żadnych niespodzianek. Gdyby ktoś zanadto się do nich zbliżył, Kawtch go ostrzeże.

Obracając się w siodle, podał rękę Kai. Dziewczyna obrzuciła klacz podejrzliwym spojrzeniem.

– Nigdy nie jeździłaś konno? – spytał.

– Wychowałam się w Bostonie.

– No dobrze, złap się mojej ręki. Posadzę cię za sobą. Mariah nie pozwoli ci spaść.

Dziewczyna chwyciła go za przegub.

– Dokąd jedziemy?

Uśmiech zniknął. W jej oczach znów zamigotały płomyczki strachu. Zanim zdążyła zaprotestować, mocno szarpnął ją w górę, czując bolesne ukłucie w barku.

– Przykro mi, ale musisz odpowiedzieć za to, co zrobiłaś.

Usadowiła się w siodle za jego plecami.

– Przecież nie spowodowałam wybuchu.

Odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz.

– To prawda. Ale mimo że w ostatniej chwili zrezygnowałaś, zamierzałaś dokonać aktu przemocy. Musisz ponieść konsekwencje. Nie bój się. Będę po twojej stronie... razem z armią indiańskich prawników.

Te słowa nie zdołały zgasić strachu błyszczącego w jej oczach.

Nic nie mógł na to poradzić. Im szybciej odda tę małą w ręce policji, tym bezpieczniej dla niej. Jak gdyby w odpowiedzi na jego myśli nagle gdzieś niedaleko pojawił się helikopter, rozdzierając ciszę hukami silników. Gdy rozglądał się po niebie, poczuł obejmujące go w pasie drżące ramiona. Nie miał własnych dzieci, ale pod wpływem tego prostego gestu ogarnęło go ciepło i zbudziła się w nim rodzicielska potrzeba, by chronić przerażoną dziewczynę.

Od północy znad pobliskiej doliny wzniósł się mały wojskowy helikopter i wolno skierował w ich stronę, zniżając lot, gdy minął grzbiet góry. Wyraźnie kogoś poszukiwał. Wyglądał jak rozdrażniony, natarczywy szerszeń. Nie widząc nawet wojskowej zieleni maszyny, Hank rozpoznał w niej helikopter Gwardii Narodowej z Utah, wiedział nawet, że to apache A-64 longbow.

Wziął tę nazwę za dobry znak, choć żadne z nich nie było Apaczem. Skierował konia na skraj sosnowego lasu, w stronę otwartej łąki.

Lepiej od razu to załatwić.

Ramiona dziewczyny zacisnęły się wokół niego.

– Nie wychylaj się – polecił jej. – Tylko ja będę mówił.

Mariah szła stępą, wolno kołysząc bokami. Zbliżyli się do nasłonecznionej połaci trawy. Hank nie chciał nikogo zaskakiwać. Zanim jednak dotarli na skraj gęstego lasu, helikopter przechylił się raptownie i ruszył w ich kierunku.

Pewnie mają na pokładzie kamerę podczerwieni. Wykryli ciepło naszych ciał.

Wyprowadził klacz z lasu na polanę.

Maszyna zniżyła dziób i pomknęła prosto na nich, łopatami wirnika siekąc powietrze z ogłuszającym łomotem. Hałas był przeraźliwy, a Hank mógł tylko patrzeć, jak pęd powietrza wyrzywa rzędy trawy z ziemią, orząc łąkę w kierunku miejsca, w którym stali.

W końcu usłyszał grzechot działek helikoptera.

Co jest, co cholery...?

Ze zdumienia i niedowierzania zabrakło mu tchu w piersiach.

Strzelano do nich.

Szarpnął wodze, obracając Mariah w przeciwną stronę. Z jego ust padł krótki okrzyk:

– Trzymaj się!

30 maja, 17.14

Waszyngton

– Jeszcze nie udało się namierzyć komórki pana bratanicy – oznajmiła Kat, wchodząc do gabinetu Paintera. – Ale ciągle próbujemy.

Stał za biurkiem, przeglądając zawartość pękatej aktówki. Za pół godziny z lotniska Reagana startował samolot, którym w ciągu czterech godzin miał się dostać do Salt Lake City.

Przyjrzał się badawczo twarzy Kat. Zmarszczka przecinająca jej czoło zdradzała niepokój, który dręczył też Paintera.

Od chwili gdy połączenie z jego rozgorączkowaną bratanicą nagle zostało przerwane, minęło ponad pół godziny. Nie mógł się z nią później połączyć. Straciła zasięg? Wyłączyła telefon? Kat próbowała namierzyć sygnał jej komórki, ale najwidoczniej także nie miała szczęścia.

– Ciągle nie ma żadnych wiadomości o tym, że została zatrzymana w Utah? – zapytał.

Kat pokręciła głową.

– Im szybciej pan tam pojedzie, tym lepiej. Zadzwoń do pana w trakcie lotu. Kowalski i Chin czekają już na górze.

Zatrzasnął zamki aktówki. Przed rozpaczliwym telefonem Kai zamierzał wysłać do Utah zespół. Chciał, żeby ktoś z Sigmy był na miejscu, by ustalić prawdziwe okoliczności zagadkowej eksplozji. Chin doskonale nadawał się do tego zadania, a Kowalskiemu z pewnością przyda się praca w terenie w zespole śledczym.

Ale po tym telefonie okazało się, że sprawa dotyczy go osobiście.

Painter wziął aktówkę i ruszył do wyjścia. Na razie informacja o jego bratanicy pozostawała poufna i ujawniono ją tylko garstce osób, które musiały o tym wiedzieć. Kai i tak była na celowniku.

Na wszelki wypadek Painter celowo nie zawiadomił szefa DARPA, generała Metcalfa. Zlekceważył służbową powinność, aby uniknąć szczegółowych wyjaśnień, dlatego wyjeżdża w teren. Metcalf ściśle trzymał się procedur, a jego brak elastyczności stale wiązał mu ręce. Zważywszy na osobisty charakter tego wyjazdu, Painter doszedł więc do wniosku, że łatwiej będzie poprosić szefa o wybaczenie za niedopełnienie obowiązku, niż uzyskać zgodę.

Poza tym ostatnio był z Metcalfem w nie najlepszych stosunkach, głównie z powodu prywatnego śledztwa, które Painter rozpoczął pół roku temu, dotyczącego podejranej organizacji nękającej Sigmę od jej powstania. O tym tajnym przedsięwzięciu wiedziało tylko pięć osób. Ale Metcalf nie był w ciemny bit. Coś zaczynał podejrzewać i zadawał pytania, na które Painter wolałby nie odpowiadać.

Może więc najlepiej było na jakiś czas wyjechać z Waszyngtonu.

Kat odprowadziła go na korytarz.

Gdy wyszli z jego gabinetu, z fotela w holu podniósł się jakiś mężczyzna. Painter

z zaskoczeniem rozpoznał w nim Monka Kokkalisa, męża Kat.

Widząc jego pobrużdżoną twarz, ogoloną na zero głowę i ciało boksera, niewielu podejrzewałoby, że pod powłoką brutalności kryje się piekielna inteligencja. Monk służył kiedyś w Zielonych Beretach, ale w Sigmie został przekwalifikowany na eksperta medycyny sądowej, a jego drugą specjalnością była biotechnologia. Druga dziedzina wiązała się z osobistym doświadczeniem. Podczas jednej z misji Monk stracił rękę, którą zastąpiono cudem protetyki wykorzystującym najnowsze technologie DARPA. Wyposażona we wszelkie zabezpieczenia proteza była na wpół ręką, na wpół bronią.

– Monk, co ty tu robisz? Myślałem, że masz testy nowej protezy.

– Już skończone. Zdałem celująco. – Uniósł ramię i na potwierdzenie swoich słów zgiął palce.

– Potem zadzwoniła Kat.

Pomyślałem sobie, że może będzie panu potrzebna dodatkowa para rąk w terenie. A przynajmniej jedna ręka i obłądna nowiutka proteza.

Painter zerknął na Kat.

Zachowała kamienną twarz.

– Pomyślałam, że przyda się panu ktoś z większym doświadczeniem w terenie.

Painter był wdzięczny za tę propozycję, zwłaszcza że wiedział, jak bardzo Kat nie lubi, gdy Monk ją opuszcza, szczególnie teraz, gdy niebawem miała urodzić ich drugie dziecko. Tym razem jednak Painter odmówił z bardzo praktycznych przyczyn.

– Dzięki, ale przy takim wzroście napięcia na tej górze wydaje mi się, że najlepszy będzie mały, chirurgiczny zespół.

Widząc, jak zmarszczka na czole Kat się wygładza, wiedział już, że podjął właściwą decyzję. Był stuprocentowo pewien, że podczas jego nieobecności Kat świetnie go zastąpi na stanowisku dyrektora Sigmy, a mając obok siebie Monka, będzie się mogła skupić na pracy. Mąż był dla niej podporą i siłą napędową równocześnie. Monk objął ją w pasie ramieniem, kładąc dłoń na pokaźnym brzuchu. Kat wtuliła się w niego.

Rozstrzygnąwszy tę kwestię, Painter ruszył w głąb korytarza.

– Niech pan tam na siebie uważa, dyrektorze! – zawołał za nim Monk.

Painter usłyszał w jego głosie nutkę żalu. Widocznie pomyślił, by Monk mu towarzyszył, nie wyszedł tylko od Kat. Także decyzja Paintera o pozostawieniu Monka w stolicy nie miała na celu tylko dobra Kat. Kokkalis z pewnością był podporą dla swojej żony, ale pełnił tę samą funkcję dla kogoś jeszcze, kolegi z zespołu, który przez kilka ostatnich miesięcy przeżywał trudne chwile.

Painter podejrzewał, że będzie jeszcze gorzej.

17.22

Komandor Grayson Pierce nie wiedział, co począć z matką. Nerwowym krokiem przemierzała gabinet lekarski.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogę tam być, kiedy neurolog przepytuje ojca – burknęła ze złością.

– Przecież wiesz dlaczego – odparł spokojnie. – Pani z pomocy społecznej już to tłumaczyła. Wyniki testów neuropsychologicznych, które robią tacie, są bardziej wiarygodne, kiedy nie ma członków rodziny.

Lekceważąco machnęła ręką, odwróciła się i jeszcze raz przeszła przez pomieszczenie. Gray

zobaczył, jak się potyka, kiedy niebezpiecznie ugięła się jej lewa noga. Sprężył się do skoku gotów złapać matkę, ale odzyskała równowagę.

Prostując się na plastikowym krześle, Gray przyjrzał się jej badawczo. W ciągu ostatnich kilku miesięcy od zgryzoty straciła na wadze. Jedwabna bluzka wisiała na jej szczupłych ramionach tak nisko, że widać było spod niej ramiączko biustonosza – zwykle nie tolerowała takiej nieskromności. Nienagannie wyglądały tylko jej siwe włosy, starannie uczesane i upięte. Gray wyobrażał sobie, jak pieczołowicie dba o fryzurę, jak gdyby to był ostatni element jej życia, nad którym zachowała kontrolę.

Podczas gdy matka, chodząc tam i z powrotem, próbowała opanować niepokój, Gray nasłuchiwał przytłumionej rozmowy toczącej się w pokoju badań. Nie rozumiał poszczególnych słów, ale rozpoznał głośniejszy ton świadczący o rozdrażnieniu ojca. Obawiał się, że lada chwila może dojść do wybuchu, i siedział spięty, gotowy w razie potrzeby wpaść do sąsiedniego pokoju. Ojciec, który kiedyś pracował na wieży wiertniczej w Teksasie, nigdy nie był oazą spokoju i w dzieciństwie Graya łatwo wybuchał gniewem i posuwał się do przemocy. Jego porywczosć przybrała na sile, gdy dumny mężczyzna został dotknięty kalectwem i pozostała mu jedna zdrowa noga. Teraz jednak stał się jeszcze bardziej impulsywny, ponieważ postępująca choroba Alzheimera wraz z pamięcią niszczyła jego zdolność samokontroli.

– Powinam przy nim być – powtórzyła matka.

Gray nie protestował. Miał już za sobą niezliczone rozmowy z obojgiem rodziców na ten temat, starając się namówić ojca do przeprowadzki do domu opieki specjalizującego się w pomocy osobom z zaburzeniami pamięci. Wszelkie próby z jego strony spotykały się jednak z wykrętami, gniewem i podejrzeniami. Żadne z nich nie chciało opuszczać parterowego domu w Takoma Park, gdzie mieszkali kilkadziesiąt lat. Woleli złudne poczucie bezpieczeństwa we własnych czterech ścianach od fachowego wsparcia specjalistów.

Ale Gray nie wiedział, jak długo taki stan da się utrzymać.

Nie tylko przez wzgląd na ojca, lecz również na matkę.

Znów potknęła się przy skřęćie. Chwyćił ją za łokieć.

– Lepiej usiądź, dobrze? – poradził. – Męcysz się, a zaraz powinni skończyć.

Prowadząc ją na krzesło, czuł ptasią kruchość jej kości. Rozmawiał już w cztery oczy z kobietą z opieki społecznej, która niepokoiła się o zdrowie jego matki – fizyczne i psychiczne – ostrzegając go, że opiekun często przegrywa walkę ze stresem i umiera przed pacjentem.

Gray nie wiedział, co jeszcze może zrobić. Zatrudnił już pielęgniarkę do całodziennej opieki, by pomagała matce, ale zamiast przyjąć to z wdzięcznością, rodzice byli niezadowoleni, że wpuścił im do domu intruza. I to jednak już nie wystarczało. Narastały problemy z lekarstwami, z odpowiednim poziomem bezpieczeństwa w starym domu rodziców, nawet z planowaniem i przygotowaniem posiłków. Ilekroć w nocy dzwonił telefon, podnosił słuchawkę z łomotem serca, spodziewając się najgorszego.

Zaproponował, że się do nich wprowadzi, żeby być przy nich w nocy, ale matka nie przekroczyła jeszcze tego Rubikonu – choć Gray przypuszczał, że jej opory nie wynikają z dumy, lecz z poczucia winy, by nie wykorzystywać syna w ten sposób. I może lepiej się stało, zważywszy na długą historię niesnasek między ojcem a synem. Na razie więc wszystko toczyło się w zaciszu domowym między mężem a żoną.

Otworzyły się drzwi pokoju badań, co wyrwało go z zamyślenia. Wyprostował się, kiedy do gabinetu wkroczył neurolog. Z poważnej miny lekarza Gray odgadł, że ocena jest niewesoła. W ciągu następnych dwudziestu minut przekonał się, jak bardzo niewesoła. Choroba Alzheimera

z umiarkowanego stadium zaczynała przechodzić w fazę poważniejszych objawów. Mogli się spodziewać kłopotów z samodzielnym ubieraniem się i korzystaniem z toalety. Wzrastało ryzyko, że ojciec pomyli drogę i gdzieś zabłądzi. Kobieta z opieki społecznej sugerowała zainstalowanie alarmu w drzwiach.

W trakcie tej rozmowy Gray obserwował ojca siedzącego w kącie z matką. Wyglądał jak wąty cień despotycznego człowieka, którym kiedyś był. Siedział z ponurą miną, kwitując gniewnym grymasem każde słowo lekarza. Od czasu do czasu mamrotał pod nosem „bzdura” tak cicho, że słyszał to tylko Gray.

Ale Gray zauważył także, że ojciec mocno ściska dłoń matki. Trzymali się za ręce, razem mężnie słuchając diagnozy, jak gdyby samą siłą woli mogli powstrzymać nieuchronny rozwój choroby i sprawić, że żadne z nich nigdy nie zostawi drugiego.

Wreszcie po pospiesznym wypełnieniu papierów ubezpieczeniowych i wystawieniu nowych recept zostali wypuszczeni. Gray odwiózł rodziców do domu, upewnił się, że mająkolację, po czym wrócił rowerem do siebie. Nie oszczędzając się, szybko pedałowal po ulicach, aby wysiłek fizyczny pomógł mu się otrzeźwić.

Gdy dotarł do mieszkania, wziął długi prysznic, zużywając całą ciepłą wodę. Drząc z zimna po ostatnich lodowatych strugach wody, wytarł się, nałożył bokserki i poszedł do kuchni. Dopiero w połowie drogi do lodówki, gdzie czekała ostatnia butelka heinekena z sześciopak, który wczoraj kupił, zorientował się, że na rozkładanym fotelu ktoś siedzi.

Obrócił się w stronę intruza. Zwykle nie był tak roztargniony. Jako agent Sigmy musiał być spostrzegawczy, żeby przeżyć. Ale kobieta ubrana od stóp do głów w czarną skórę ze stalowymi zamkami siedziała nieruchomo jak posąg. Na oparciu fotela spoczywał kask motocyklowy.

Gray ją rozpoznał, mimo to serce nie przestało mu walić. Zjeżyły mu się włoski na rękach. Nie bez powodu. Poczuł się, jakby nieoczekiwanie zobaczył panterę przyczajoną w jego salonie.

– Seichan... – powiedział.

Na powitanie zdjęła nogę z nogi, lecz nawet tak nieznaczny ruch objawił siłę i wdzięk drżące w jej smukłym jak gałązka ciele. Zielonkawe oczy mierzyły go taksującym spojrzeniem, a twarz pozostawała nieprzenikniona. W półmroku jej eurazjatyckie rysy wyglądały jak wyrzeźbione w marmurze. Miękkosci dodawały jej jedynie rozpuszczone włosy, dłuższe niż zwykle – kiedyś nosiła krótkiego boba, a dziś sięgały ramion. Lekko uniosła lewy kącik ust rozbawiona jego zaskoczeniem, choć może tylko uległ złudzeniu, nie widząc jej wyraźnie w ciemności.

Nie pytał nawet, jak się dostała do zamkniętego mieszkania ani dlaczego zjawiała się tak nagle i bez zapowiedzi. Była profesjonalną zabójczynią, zatrudnioną niegdyś przez międzynarodową organizację przestępczą zwaną Gildią, ale nawet jej nazwa była nieprawdziwa i służyła wyłącznie jako kryptonim pojawiający się w meldunkach specjalnych grup śledczych i raportach wywiadowczych. Jej prawdziwe cele i tożsamość przywódców pozostawały nieznane nawet jej własnym agentom. Organizacja działała za pośrednictwem pojedynczych komórek rozsianych po całym świecie, z których każda pracowała samodzielnie, nie ogarniając całości.

Zdradziwszy swoich byłych pracodawców, Seichan została bez domu i ojczyzny. Figurowała na liście poszukiwanych przez agencje wywiadowcze, także w Stanach Zjednoczonych. Mosad utrzymywał wyrok śmierci na nią, wydając swoim agentom rozkaz strzelania do niej bez ostrzeżenia. Od roku jednak pracowała dla Sigmy, nieoficjalnie zwerbowana przez dyrektora Crowe’a do misji tak tajnej, że nie została odnotowana w żadnym dokumencie: miała ustalić tożsamość prawdziwych mocodawców Gildii.

Ale nikt nie miał złudzeń co do jej współpracy. Zgodziła się na nią, żeby przeżyć, nie ze względu na lojalność wobec Sigmy. Musiała zniszczyć Gildię, zanim Gildia zniszczy ją. O specjalnej umowie z zabójczynią wiedziała tylko garstka osób w rządzie. Aby utrzymać misję w sekrecie, wyznaczono Graya na jej bezpośredniego przełożonego i jedyne łącznika z Sigmą.

Ostatnią wiadomość od niej otrzymał pięć tygodni temu. Przekazała mu ją zresztą telefonicznie. Była gdzieś we Francji. Dotychczas trafiała na same fałszywe tropy.

Po co więc te odwiedziny?

Odpowiedziała na jego nieme pytanie.

– Mamy problem.

Gray nie spuszczał z niej wzroku. Powinien się zaniepokoić, ale powitał tę wiadomość z odrobiną ulgi. Pomyślał o butelce piwa w lodówce, przypominając sobie, dlaczego było mu potrzebne. Nagle się ucieszył, że może poświęcić uwagę czemuś innemu, niezwiązanemu z opieką społeczną, neurologami i receptami.

– Czy ten twój problem ma coś wspólnego z sytuacją w Utah? – spytał.

– Jaką sytuacją w Utah? – Podejrzliwie zmrużyła oczy. Patrzył na nią, szukając w jej twarzy jakichkolwiek oznak fałszu. Zamach bombowy wzbudził poruszenie w Sigmie, a nagłe pojawienie się Seichan wydało się Grayowi podejrzane. Wzruszyła ramionami.

– Chciałam ci to pokazać.

Wstała, podała mu plik papierów i podeszła do drzwi. Wyraźnie chciała, żeby jej towarzyszył. Spojrzał na symbol na pierwszej stronie, ale go nie zrozumiał.

Zerknął na nią, gdy stanęła przy drzwiach.

– Ktoś wsadził kij w mrowisko – powiedziała. – Właśnie tu, na waszym podwórku. To coś poważnego. Być może przełom, na który czekamy.

– Jak to?

– Dwanaście dni temu sieć, którą rozpięłam na całym świecie, nagle zadrżała. Prawdziwe trzęsienie ziemi. A potem wszystkie moje kontakty zamilkły.

Dwanaście dni temu...

Gray uświadomił sobie, że właśnie wtedy w Utah zamordowano młodego Indianina. Czyżby był jakiś związek?

– Jakaś poważna sprawa wzbudziła zainteresowanie Gildii – ciągnęła Seichan. – A epicentrum tego trzęsienia ziemi... jest tu, w Waszyngtonie. – Spojrzała na niego sprzed drzwi. – Wydaje mi się, że nawet w tym momencie mobilizują się i przegrupowują jakieś niewidzialne siły. Właśnie w takim chaosie czasem zamknięte drzwi uchylają się na tyle, żeby wyciekły z nich pewne informacje.

Gray zwrócił uwagę na jej błyszczące oczy i przyspieszony oddech.

– Coś znalazłaś.

Wskazała na dokumenty, które miał w ręku.

– Zaczyna się od tego.

Znow popatrzył na symbol umieszczony na pierwszej stronie.



Wielka Pieczęć Stanów Zjednoczonych.

Nadal nic nie rozumiał. Przerzucił następne strony. Był to zbiór wydrukowanych notatek z jakichś badań, szkice i kserokopie starego, pisanego odręcznie listu. Mimo że atrament wyblakł, pochyłe pismo było czytelne. List napisano po francusku. Przeczytał nazwisko adresata. Archard Fortescue. Niewątpliwie brzmiało z francuska. Uwagę Graya przykuł jednak podpis autora listu, człowieka, którego nazwisko znało każde dziecko w Ameryce.

Benjamin Franklin.

Zmarszczył brwi i pytająco spojrział na Seichan.

– Co te papiery mają wspólnego z Gildią?

– Ty i Crowe kazaliście mi odkryć prawdziwe pochodzenie tych drani. – Seichan otworzyła drzwi. Zanim odwróciła wzrok, dostrzegł cień lęku, który przemknął po jej twarzy. – Nie spodoba się wam to, czego się dowiedziałam.

Ruszył w jej stronę kierowany jej strachem i własną ciekawością.

– Czego się dowiedziałas?

Wychodząc w ciemność, odrzekła:

– Historia Gildii... sięga początków Ameryki.

31 maja, 6.24

Prefektura Gifu, Japonia

Dane nie miały sensu.

Jun Yoshida siedział w swoim biurze w Obserwatorium Kamioka. Wpatrywał się w ekran monitora, nie zwracając uwagi na bolesny skurcz mięśni pleców.

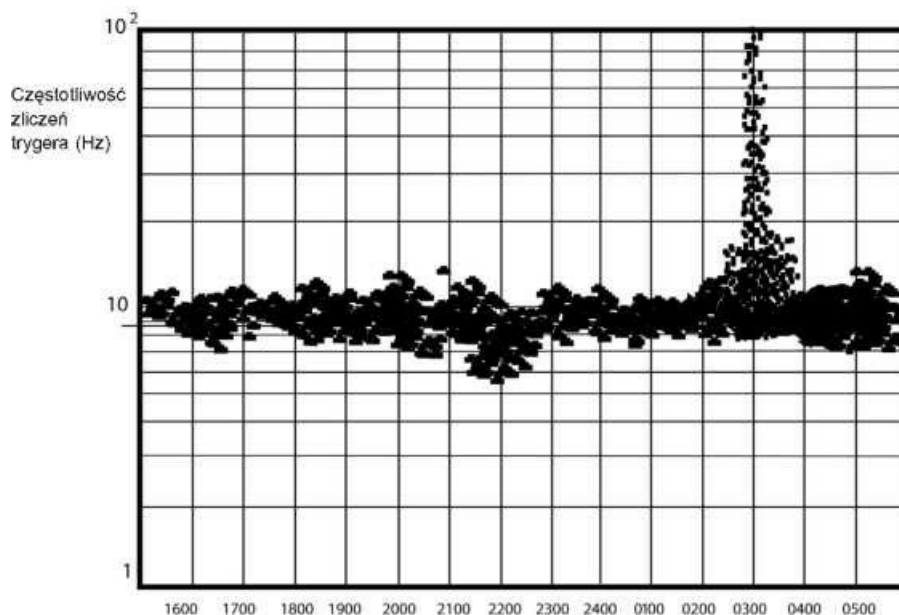
Źródło danych na ekranie leżało tysiąc metrów pod jego stopami, w sercu góry Ikeno. Głęboko pod ziemią, osłonięty przed promieniowaniem kosmicznym, które mogłoby zakłócić wykrywanie nieuchwytnych cząstek elementarnych, spoczywał detektor Super-Kamiokande, stalowy zbiornik wysokości czterdziestu metrów wypełniony pięćdziesięcioma tysiącami ton ultraczystej wody. Zadanie potężnego urządzenia polegało na badaniu neutrin, jednych z najmniejszych cząstek we wszechświecie – cząstek subatomowych z zerowym ładunkiem elektrycznym i niemal pozbawionych masy, tak maleńkich, że przenikały przez ciało stałe, nie naruszając jego struktury.

Pochodzące z kosmosu neutrina stale przelatywały przez ziemię. Przez czubek palca dorosłego człowieka przenika sześćdziesiąt miliardów na sekundę. Neutrina należały do podstawowych cząstek wszechświata, wciąż jednak stanowiły zagadkę dla współczesnej fizyki.

Położony pod ziemią detektor Super-Kamiokande starał się rejestrować i badać te nieuchwytnie cząstki. Czasem neutrino zderzało się z cząsteczką – w wypadku detektora była to cząsteczka wody. W wyniku uderzenia jądro zostawało rozbite, a towarzyszyła temu emisja błękitnego światła w kształcie stożka. Wykrycie nieskończenie krótkiego błysku światła wymagało absolutnej ciemności i w tym celu w ścianach olbrzymiego zbiornika wody zamontowano trzysta tysięcy fotodetektorów, które śledziły czarne jak smoła wnętrze, gotowe zarejestrować przejście neutrina.

Mimo to nawet dla tak dużego, szczelnie odizolowanego urządzenia znalezienie tych cząstek stanowiło nie lada wyzwanie. Liczba neutrin zarejestrowanych przez fotodetektory w ciągu roku utrzymywała się prawie na stałym poziomie – dlatego właśnie dane na monitorze sprawiły go w takie zdumienie.

Jun wpatrywał się w wykres na ekranie przedstawiający aktywność neutrin w ciągu pół dnia.



Przesunął palcem po ekranie, śledząc wykres. Kiedy dotarł do godziny trzeciej rano, opuszka palca poszybowała w górę. Trzy godziny temu liczniki zarejestrowały nagły skok neutronów na poziomie, którego nigdy dotąd nie odnotowano.

To musi być błąd techniczny. Jakaś usterka.

Przez ostatnie trzy godziny całe obserwatorium analizowało każdy element sprzętu i elektroniki. W przyszłym miesiącu jego zespół miał prowadzić eksperyment we współpracy ze szwajcarskim ośrodkiem CERN.

Gdyby to trzeba było odwołać...

Wstał, żeby rozprostować obolałe plecy, i podszedł do okna. Uwielbiał światło o tej rannej godzinie, doskonale do uprawiania jego hobby, którym była fotografia. Ściany biura zdobiły zrobione przez niego zdjęcia góry Fudzi o wschodzie słońca, odbijającej się w tafli jeziora Kawaguchi, pagody Nara na tle płomiennych klonów oraz jego ulubione zdjęcie wodospadu Shiraito zimą, z nagimi, skutymi lodem drzewami, które rozbiły światło poranka na tęcze pasma.

Za oknem roztaczał się mniej malowniczy widok na kampus obserwatorium, ale niżej leżał niewielki ogród wodny obok zamiecionego i zagrabionego ogrodu zen otaczającego wysoką, urwistą skałę. Jun często czuł się podobnie jak ta skała, samotna i zgarbiona nad otaczającym ją życiem.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos zamazyście otwieranych drzwi. Do biura żwawo wkroczyła jego długonoga blond koleżanka, doktor Janice Cooper, doktorantka ze Stanfordu. Była młodsza od niego o trzydzieści lat i w przeciwieństwie do korpulentnego Juna bardzo szczupła. Zawsze pachniała olejem kokosowym i zachowywała się, jak gdyby zaraz miała się zerwać i wybiec, bo kalifornijskie słońce, które w sobie nosiła, nie pozwalało jej usiedzieć na miejscu.

Czasem męczyła go nawet jej obecność.

– Doktorze Yoshida! – powiedziała zdyszana, jakby do niego biegła. – Właśnie miałam wiadomość z Obserwatorium Sudbury w Kanadzie i z IceCube na Antarktydzie. Zarejestrowali rekordowo wysoki poziom neutronów w tym samym momencie co my.

Wyraźnie chciała powiedzieć coś więcej, lecz Jun powstrzymał ją gestem, ponieważ potrzebował chwili na zastanowienie się i na westchnienie ulgi. A więc to nie żadna usterka. Jedna zagadka została rozwiązana, ale w jej miejsce pojawiło się nowe, bardziej niepokojące pytanie: co było źródłem tak gigantycznej nawały neutrin? Narodziny supernowej gdzieś w głębi kosmosu? Potężny rozbłysk słoneczny?

Jak gdyby czytając mu w myślach, doktor Cooper powiedziała:

– Riku pyta, czy przyjdzie pan do niego na dół. Uważa, że wie, jak określić źródło fali neutrin. Kiedy wychodziłam, jeszcze nad tym pracował.

Jun nie miał cierpliwości do dziwactw doktora Riku Tanaki. Mając wyraźny dowód na to, że skok aktywności neutrin nie był wynikiem defektu w ich systemach, uważał, że wyjaśnienie tajemnicy może poczekać parę godzin. Był na nogach przez całą noc, a przy swoich sześćdziesięciu trzech latach nie czuł się młodzieńcem.

– Bardzo nalegał – naciskała Cooper. – Mówił, że to ważne.

– Dla doktora Tanaki wszystko jest ważne – mruknął pod nosem, nie kryjąc lekceważenia.

W jej głosie zabrzmiała jednak nuta przejęcia.

– Riku uważa, że to mogły być geoneutrina.

Zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Niemożliwe.

Większość neutrin pochodziła z naturalnego promieniowania wszechświata wywołanego rozbłyskami słonecznymi, śmiercią gwiazdy, zderzeniem galaktyk. Natomiast źródłem niektórych neutrin – zwanych geoneutrinami – była sama ziemia: pochodziły z rozpadu izotopów, z promieniowania kosmicznego przenikającego górne warstwy atmosfery, nawet z eksplozji bomb atomowych.

– Tak sądzi Riku – powtórzyła z uporem Cooper.

– Nonsens. Żeby wygenerować falę neutrin takiej wielkości, byłaby potrzebna siła wybuchu stu bomb wodorowych.

Jun skierował się do drzwi, ruszając zbyt raptownie. Odezwała się rwa kulszowa i ból przeszył mu lewą nogę.

Może lepiej jednak zjadę.

Nie tyle chciał się przekonać, czy doktor Tanaka ma rację, ile udowodnić, że młody fizyk się myli. Jun miał rzadką okazję, by stać się świadkiem jego pomyłki, nie zamierzał jej więc tracić.

Doktor Cooper, która zostawała w biurze, żeby skończyć swoją pracę, otworzyła mu drzwi. Starając się nie utykać, wyszedł i skierował się do windy prowadzącej z biur na górze do podziemnych laboratoriów. Szyb windy był nowy. Przed jego zbudowaniem do serca góry można się było dostać tylko tunelem dla ciężarówek albo kopalnianą kolejką. Dziś droga była szybsza, choć dość nieprzyjemna.

Kabina runęła jak spadający głaz, a Junowi żołądek podskoczył do gardła. Cierpiąc na klaustrofobię, niemal czuł, jak zamykają się nad nim kolejne metry skał. Wreszcie winda dotarła na dno szybu i drzwi otworzyły się na centrum sterowania detektora. Sala podzielona na boksy i biura przypominała normalne laboratorium na powierzchni.

Ale Jun nie dał się nabrać.

Wychodząc z windy, pochylał się, czując na sobie ciężar góry Ikenoyama. Zobaczył dyżurnego fizyka stojącego przed zamontowanym na ścianie monitorem w głębi głównej sali.

Doktor Riku Tanaka miał niewiele ponad dwadzieścia lat i niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Cudowne dziecko fizyki szczyliło się dwoma doktoratami i pracowało nad trzecim.

W tym momencie młody człowiek stał bez ruchu z rękami założonymi z tyłu i wpatrywał się w wirującą mapę globu. Na lewej połowie ekranu przesuwały się kolumny danych.

Tanaka przechylał głowę, jak gdyby słuchał w skupieniu jakiegoś dźwięku niesłyszalnego dla nikogo poza nim, szeptów, które być może znały odpowiedzi na tajemnice wszechświata.

– Wyniki są intrygujące – powiedział, nie odwracając się. Prawdopodobnie dostrzegł odbicie Juna w jednym z ciemnych monitorów z boku.

Jun skrzywił się na taki brak zwykłej grzeczności. Żadnego ukłonu na powitanie ani słowa podziękowania za trud, jaki sobie zadał, zjeżdżając pod ziemię. Podobno młody naukowiec cierpiał na zespół Aspergera, łagodną formę autyzmu. Jun uważał jednak, że jego kolega jest po prostu nieuprzejmy, zasłaniając się zdiagnozowaną chorobą.

Jun stanął obok niego przed monitorem, traktując go równie szorstko.

– Jakie wyniki?

– Zbieram dane z laboratoriów neutrin na całym świecie. Od Rosjan nad Bajkałem, od Amerykanów z Los Alamos i Brytyjczyków z Obserwatorium Sudbury.

– Słyszałem – odparł Jun. – Wszyscy zarejestrowali falę neutrin.

– Poprosiłem te ośrodki o przesłanie danych. – Tanaka wskazał przesuwaną kolumnę. – Neutrino poruszają się w linii prostej od źródła powstania. Ich drogi nie zmienia grawitacja ani pola magnetyczne.

Jun się nasrożył. Nikt nie musiał go uczyć podstaw.

Tanaka wyraźnie nieświadomy afrontu ciągnął:

– Wystarczyło więc wykorzystać dane z różnych punktów na Ziemi i metodą triangulacji wyznaczyć pierwotne źródło fali.

Jun osłupiał. Takie proste rozwiązanie. Poczul, że się rumieni. Jako dyrektor sam powinien na to wpaść.

– Przepuściłem dane przez program cztery razy, za każdym razem podając coraz dokładniejsze parametry. Na pewno mamy do czynienia ze źródłem ziemskim.

Tanaka wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze pod monitorem. Ekran wyświetlił zwięzające się nitki celownika przyklejone do powierzchni globu. Najpierw objęły zachodnią półkulę, potem Amerykę Północną, następnie zachodnią połowę Stanów Zjednoczonych. Wreszcie po wciśnięciu ostatnich klawiszy celownik zatrzymał się na powiększonej mapie, pokazując część Gór Skalistych.

– Tu jest źródło.

Jun odczytał podświetloną na ekranie nazwę terytorium.

Utah.

– Jak to możliwe? – wykrztusił, nie mogąc pojąć nieprawdopodobnego wyniku. Przypomniał sobie, co wcześniej w rozmowie z Cooper mówił o sile stu bomb wodorowych, jaka byłaby potrzebna do wygenerowania fali neutrin takiej wielkości.

Stojący obok Tanaka z niezmaconym spokojem wzruszył ramionami. Jun powstrzymał się od wymierzenia mu policzka, żeby wywołać w nim jakąś reakcję. Wpatrywał się w ekran, w topografię gór, powtarzając w głowie jedno pytanie.

Co się tam, u diabła, dzieje?

30 maja, 15.52

Pustkowie w Utah

Hank kulił się nad kłębem klaczy, uchylając się przed wiszącymi nisko gałęziami, gdy mknęli w dół zbrocza przez las daglezji, świerków i sosen wydmowych. Mimo to nie uniknął smagnień i zadrapań. Kai, oplatając go kurczowo ramionami w pasie, nie była w lepszej sytuacji.

Słyszał jej okrzyki bólu, czuł, jak wysoko podskakuje w siodle, ale o jej przerażeniu świadczył przede wszystkim urywany oddech i palce wpijające się w jego koszulę.

Hank popuścił kasztance cugli, ufając jej pewnym nogom i dobremu wyczuciu terenu. Korygował tylko jej drogę krótkimi szarpnięciami wodzy, aby trzymała się osłony lasu. Jego pies Kawtch dotrzymywał im kroku, pędząc na skróty między drzewami.

Nad ich wierzchołkami grzmiały silniki ścigającego ich wojskowego helikoptera. Wprawdzie chronił ich liściasty okap, lecz Hank był coraz bardziej przekonany, że zdradza ich temperatura ciała, bo załoga dysponuje kamerą podczerwieni.

Nagle seria pocisków trafiła w świerk z ich lewej strony, z którego posypało się igliwie i gałęzie. Drzazgi ukłuły Hanka w odsłonięty policzek. Pościg celował coraz dokładniej. Kiedy umilkł ryk działek, zza jego pleców dobiegł przeraźliwy krzyk.

– Profesorze! – wrzasnęła Kai. Odważyła się oderwać od niego jedną rękę i wskazała.

Na ich drodze znajdowała się zalana słońcem łąka. Szeroka i gęsto porośnięta trawą, urozmaicona stojącymi gdzieniegdzie wątlami jałowcami i kilkoma odsłoniętymi granitami. Za łąką znów zaczynał się las, ale jak mieli do niego dotrzeć? Przecież na otwartym terenie wystrzelają ich jak kaczki.

Jak gdyby wyczuwając jego niepokój, Mariah zaczęła zwalniać.

Ich dramatyczne położenie zauważył ktoś jeszcze. Drzewa za nimi przeorał kolejny grad ognia.

Próbują nas wypłoszyć z lasu.

Nie mając innego wyjścia, Hank spiął klacz, zmuszając ją do galopu, choć w gęstym lesie nie było to bezpieczne. Gwizdnął na Kawtcha, żeby trzymał się jego boku, i wypadli na pełne słońce. Pozbawiony leśnej osłony Hank skierował się do najbliższej skały. Ścigał ich ogień z obu działek helikoptera, wyrrywając w trawie dwie bliźniacze linie.

Hank zakręcił Mariah wokół nagiego granitu, jak gdyby to była beczka na rodeo. Klacz zrobiła ostry zwrot, wbijając kopyta głęboko w miękką ziemię i trawę. Hank przechylił się, żeby nie stracić równowagi, poczuł jednak, że Kai go puszcza zaskoczona nagłym skrętem.

– Trzymaj się! – krzyknął.

Ale nie tylko ją zaskoczył gwałtowny manewr.

Pociski, krzesząc iskry, odbiły się od osłaniającego ich kamienia, po czym helikopter śmignął nad nimi, nie trafiając w cel. Przechylił się na bok i zrobił zwrot, szykując się do następnego

ataku.

Hank nie zwalniał biegu konia. Skierował się prosto w stronę helikoptera. Kiedy maszyna zniżyła się i nacierała na nich, wyszarpnął z kabury rewolwer. Był to ruger blackhawk, na tyle skuteczny, by położyć dzikiego niedźwiedzia, gdyby przypadkiem wszedł mu w drogę. Hank nie wiedział, czy strzał oddany przez rdzennego Amerykanina do helikoptera Gwardii Narodowej nie zostanie uznany za wypowiedzenie wojny, ale przecież nie on zaczął. Poza tym nie chciał zabijać, tylko utrudnić atak.

Pędząc w kierunku helikoptera, naciskał spust raz za razem, aż opróżnił bębenek. Nie widział powodów, żeby się hamować. Kilka pocisków dosięgło nawet celu, odbijając się z brzękiem od szyby czołowej.

Atak zaskoczył pościg.

Helikopterem szarpnęło, a ogień urwał się raptownie, gdy nagły ruch maszyny odrzucił strzelców od działek. Hank piętami popędził Mariah naprzód, przemykając tuż pod brzuchem helikoptera, który wisiał tak nisko, że Hank mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć płozy.

Dostrzegł jednego ze strzelców wychylonego przez otwarty właz. Mężczyzna miał na sobie czarny strój komandosa. Ich spojrzenia na moment się skrzyżowały, a potem Mariah minęła helikopter. Nie trzeba było już popędzać klaczy, wystarczył jej huk silników i strumień powietrza pod wirnikiem.

Mariah pognała w stronę lasu, ponownie kryjąc się w cieniu drzew.

Helikopter znów się wzniósł i zawrócił, a jego silniki zawyły jak potępieńcy.

Zabawa w kotka i myszkę nie mogła trwać wiecznie. Na razie los im sprzyjał, ale dalej wysokogórskie lasy rzedły i przechodziły w otwarte tereny urozmaicane rosnącymi z rzadka dębami. Ścigający też musieli o tym wiedzieć. Helikopter pomknął za nimi. Ich prześladowcy nie zamierzali znów dać się zaskoczyć.

Poza tym Hankowi skończyła się amunicja.

Jego wzrok przyciągnął jakiś srebrny błysk po prawej. Płynął tam wąski i rwący strumień lodowcowy, spadając z licznych katarakt, wezbrany po niedawnej burzy i roztopach. Kolanami skierował Mariah w tamtą stronę.

Gdy dotarli do brzegu, ścisnął piętami boki kasztanki. Z głośnym pluskiem wskoczyła w sam środek nurtu, ale w tym miejscu ich drogi musiały się rozejść.

Hank puścił cugle, chwycił Kai za przegub i razem z nią zsunął się z siodła za konia. Drugą ręką szybko klepnął zad Mariah, aby się z nią pożegnać i zarazem ją popędzić.

Klacz wydostała się ze strumienia, a Hank i Kai wylądowali w lodowatej wodzie. Obok nich wskoczył Kawtch. Prąd poniósł ich wszystkich w dół rzeczki. Zanim Hank zniknął pod wodą, zdążył jeszcze usłyszeć przeraźliwy krzyk dziewczyny.

Kai wydostała się na powierzchnię, rozpaczliwie wymachując nogami i trafiając piętą w czyjeś ciało. Kiedy Hank ściągnął ją z siodła, była zbyt oszołomiona, żeby zareagować, lecz gdy tylko przeniknęło ją zimno, z jej gardła wyrwał się wrzask, który dusiła w sobie od momentu eksplozji przed kilkoma godzinami.

Jej usta natychmiast wypełniły się wodą.

Nie mogąc złapać tchu po krzyku, zaczęła się krztusić. Prąd miotał jej ciałem, rzucał nim o śliskie skały. Lodowata woda zalewała nos. Po chwili jej głowa znów znalazła się nad wodą. Kai zaczęła kaszleć i krzyczeć. Poczowała, jak zagarniają ją czyjeś ramiona i ciągną w stronę brzegu. Usiłowała wygramolić się ze strumienia, ale ręce przytrzymały ją w wodzie.

– Zostań tu – syknął profesor Kanosh. Siwe włosy lepiły mu się do czaszki i wyglądał na wpół

utopionego. Jego pies wspiął się na jakiś kamień, ale wciąż stał zanurzony w wodzie po brzech.

– Czemu? – spytała, szczerkając zębami z zimna i z przerażenia.

Bez słowa wskazał w górę.

Po chwili dostrzegła helikopter znikający za grzbietami gór na zachodzie.

– Temperatura ciała – wyjaśnił profesor. – Przez nią wytropili nas w lesie i nie mogliśmy uciec. Mam nadzieję, że teraz zapuszczą się głęboko w las, goniąc za wielkim spoconym zadem Mariah.

Kai zrozumiała.

– A zimna woda... pomogła się nam ukryć.

– Taka mała sztuczka. Co z nas byliby za Indianie, gdybyśmy nie umieli przechytrzyć myśliwego w lesie?

Mimo grozy sytuacji jej oczy rozjaśnił uśmiech. Zrobiło się jej odrobinę cieplej.

– Chodź – powiedział profesor i pomógł jej wydobyć się z zimnego strumienia.

Pies wdrapał się na brzeg za nimi i otrząpał z wody, pryskając nią naokoło, jak gdyby nic się nie stało.

Kai próbowała go naśladować, otrząsając najpierw włosy, potem kurtkę, starając się pozbyć przenikliwego chłodu. Z zanadru wypadła jej jedna ze złotych płytek i wylądowała na ziemi. Profesor Kanosh utkwiał wzrok w płytce, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby wziąć od niej to brzemie. Podniosła więc płytkę i ponownie ukryła pod kurtką obok drugiej.

Profesor Kanosh pokazał w dół zbocza.

– Trzeba ruszać, trzeba się rozgrzać.

– Dokąd możemy iść? – spytała, wciąż dzwoniąc zębami.

– Przede wszystkim musimy uciec jak najdalej stąd. Sztuczka zmyli ich, dopóki Mariah nie wyjdzie z lasu. Kiedy zobaczą, że siodło jest puste, wrócą, a wtedy musimy już być daleko.

– Co potem?

– Trzeba wrócić do cywilizacji. Poszukać pomocy. Otoczyć się ludźmi, którzy są po naszej stronie.

Ruszył w dół wąską ścieżką wydeptaną przez jelenie, ale z jego twarzy Kai wyczytała niepokój. Przypomniała też sobie rozmowę, którą przerwał profesor, kiedy ją znalazł. Wuj Crowe był jakąś grubą rybą w Waszyngtonie, miał coś wspólnego z bezpieczeństwem narodowym. Właściwie nie należał do bliskiej rodziny, ale był jakimś przyrodnim wujem ze strony ojca – cokolwiek to mogło oznaczać. Spotkała go tylko parę razy w życiu, ostatni raz na pogrzebie ojca. Ale całe plemię Pektotów stanowiło jedną wielką rodzinę, płataninę związków pokrewieństw i powinowactw. Kai miała tysiące wujków i cioć. Każdy jednak dobrze wiedział, że w razie poważnych kłopotów telefon do wuja Crowe'a może pomóc wyjść z nich obronną ręką.

– Znam kogoś, kto nam może pomóc – powiedziała.

Nie zatrzymując się, sięgnęła do kieszeni spodni i wyciągnęła telefon. Po skoku do strumienia ociekał wodą. Nie chciał się włączyć. Kai skrzywiła się i schowała komórkę. Zresztą wątpiła, czy w ogóle miałyby tu zasięg. Miała sporo szczęścia, że wcześniej pokazała się jedna kreska, gdy była wyżej w górach.

Profesor Kanosh zauważył jej wysiłki.

– No dobrze, w takim razie pierwszy punkt to znalezienie telefonu, zanim pościg znowu wpadnie na nasz trop. Nawet jeżeli trzeba się będzie zgłosić do policji albo Gwardii Narodowej.

Zwolniła kroku.

- Przecież to oni próbowali nas zabić.
 - Nie. Widziałem ich mundury. To na pewno byli żołnierze, ale nie z żadnej jednostki Gwardii Narodowej.
 - No to skąd?
 - Może z jakichś sił rządowych, a może to grupa najemników, której zależy na nagrodzie. Tak czy inaczej, jedno wiem na pewno.
 - Co?
- Jego słowa zmroziły ją bardziej niż kąpiel w lodowatym strumieniu.
- Kimkolwiek są, chcą cię zabić.

30 maja, 21.18

Salt Lake City, stan Utah

– Może przynajmniej zostawiła numer? – zapytał Painter, zajmując miejsce pasażera w chevrolecie tahoe na rządowych tablicach. Samochód stał na płycie lotniska obok prywatnego gulfstreama, którym właśnie przylecieli z Waszyngtonu.

Kowalski siedział już za kierownicą, odsuwając fotel, aby zmieściła się na nim jego potężna sylwetka. Trzeci członek zespołu, Chin, przesiadł się do helikoptera Gwardii Narodowej, który leciał na miejsce eksplozji w Górach Skalistych, ale zanim Painter mógł poświęcić całą uwagę niespotykanemu wybuchowi, musiał się zająć inną sprawą.

Głos Kat przez szyfrowany telefon brzmiał metalicznie.

– Nic więcej nie udało mi się wyciągnąć z pana bratanicy. Ale wyraźnie była przestraszona. I paranoicznie nieufna. Dzwoniła z komórki na kartę, ale zostawiła numer i prosiła, żeby zadzwonił pan do niej zaraz po wylądowaniu.

– Podaj mi ten numer.

Kat spełniła prośbę, miała jednak jeszcze jedną wiadomość.

– Zameldował się też komandor Pierce. – Jej ponury ton zapowiadał, że to zła wiadomość. – Jest z nim Seichan.

Painter zacisnął palce na telefonie.

– Wróciła do Stanów?

– Na to wygląda.

Painter na moment zamknął oczy. Nie miał pojęcia, że Seichan znów znalazła się na amerykańskiej ziemi. Chociaż pamiętając o jej wyszkoleniu i kontaktach, nie powinien się dziwić. Mimo to jej nieoczekiwany powrót świadczył o tym, że w powietrzu wisi coś poważnego.

– Co się dzieje?

– Twierdzi, że wpadła na trop Znak.

– Jaki trop?

Wyprostował się w fotelu, Kowalski tymczasem uruchomił silnik, który na razie pracował na jałowym biegu. Znak był kryptonimem nadanym przywódcom tajemniczej organizacji terrorystycznej zwanej Gildią. Painter zaczynał żałować, że wyjechał ze stolicy.

– Gray nie wchodził w szczegóły. Powiedział tylko, że potrzebowała pomocy, żeby uzyskać dostęp do Archiwów Narodowych. Wieczorem mają spotkanie z kustoszem z muzeum.

Painter zmarszczył brew. Po co Seichan węszyła w Archiwach Narodowych? W muzeum przechowywano rękopisy i dokumenty z historii Ameryki. Co ich treść mogłaby mieć wspólnego z Gildią? Spojrzył na zegarek. Było wpół do dziesiątej, czyli po północy w Waszyngtonie. Trochę późno jak na spotkania z personelem muzeum.

– Gray obiecał, że zadzwoni, gdyby był jakiś przełom. Będę pana informować na bieżąco.

– Bardzo proszę. Zobaczą, czy uda mi się wyjaśnić sprawę bratanicy, a rano wrócę do Waszyngtonu. Do tego czasu pilnuj interesu.

Kat rozłączyła się, a Painter wstukał numer telefonu, który już zapamiętał. Po jednym sygnale odezwał się zdyszany głos:

– Wujek Crowe?

– Gdzie jesteś, Kai?

Chwila milczenia zaczynała się przeciągać. W tle Painter usłyszał szorstki głos, który kazał jej odpowiedzieć.

Z wahaniem, tonem zdradzającym tłumiony płacz i przerażenie powiedziała:

– Jestem... jesteśmy w Provo. W kampusie Uniwersytetu Brigham Younga. W gabinecie profesora Henry'ego Kanosha.

Painter przymrużył oczy. Dlaczego to nazwisko brzmiało znajomo? Zaraz sobie przypomniał raport, który czytał w drodze z Waszyngtonu do Salt Lake City, wstępne sprawozdanie z przebiegu zdarzenia w górach. Profesor był bliskim współpracownikiem antropolożki, która zginęła w wybuchu.

Podawała mu adres głosem, w którym wciąż słyszał paniczny strach.

Pocieszał ją, jak umiał.

– Będę w Provo za godzinę. – Dał znak Kowalskiemu, by wyjechał z lotniska. – Zostańcie tam, dopóki nie przyjadę.

W słuchawce odezwał się inny głos.

– Panie Crowe, mówi Hank Kanosh. Nie zna mnie pan.

– Kolega Margaret Grantham. Był pan na miejscu w momencie eksplozji. – Painter wziął stojącą na podłodze aktówkę i położył sobie na kolanach. Miał wstępne dossier profesora oraz wielu innych osób, które były świadkami wybuchu.

Profesor umilkł na chwilę, zapewne zdziwiony jego wiedzą, ale gdy odezwał się ponownie, głos nieco mu się łamał, co wskazywało, że przyczyną wahania może być coś więcej.

– Maggie... wołała, żeby mówić o niej Maggie.

– Współczuję panu z powodu jej śmierci – odrzekł cicho Painter.

– Dziękuję, ale powinien pan wiedzieć, że kiedy uciekaliśmy z gór z pańską bratanicą, zostaliśmy zaatakowani. Otworzył do nas ogień helikopter ze znakami Gwardii Narodowej.

– Co?!

Kat nie wspominała, by ktokolwiek widział domniemaną terrorystkę, a tym bardziej do niej strzelał.

– Ale nie sądzę, żeby to byli ludzie z Gwardii Narodowej. Wyglądali bardziej na najemników, może łowców nagród, którzy mieli dostęp do wojskowej maszyny.

Painter nie kupił tego wyjaśnienia, zwłaszcza że nikt nie przekazał odpowiednimi kanałami informacji o ataku na uciekinierkę. Ktoś inny próbował zatrzymać albo zlikwidować domniemaną terrorystkę. Ten fakt wzbudził w nim nową obawę.

– Profesorze Kanosh, czy ci ludzie mogli pana rozpoznać?

W jego głosie zadrżała nuta niepewności.

– Nie... nie przypuszczam. Prawie cały czas zasłaniały nas drzewa, poza tym miałem na głowie kapelusz. Ale jeżeli rozpoznali, sądzi pan, że mogą nas tu szukać? Powinienem o tym wcześniej pomyśleć.

– Nie było powodu. – Paranoja to nieodłączny element mojej roboty, pomyślał. – Ale na

wszelki wypadek, czy moglibyście iść z Kai do jakiegoś miejsca niezwiązanego bezpośrednio z panem?

Painter niemal słyszał, jak pracują trybiki w głowie profesora, który po chwili odpowiedział:

– Chciałem coś sprawdzić w sąsiednim budynku instytutu nauk o Ziemi. Tam się możemy spotkać.

– Zgoda.

Kanosh przekazał mu niezbędne szczegóły, po czym Painter się rozłączył. Kowalski jechał już na południe międzystanową autostradą numer 15.

– Do Provo mamy jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów – rzucił, nie wyjmując z ust ogryzka niezapalonego cygara.

Painter odczytał z GPS szacowany czas dojazdu.

– Pięćdziesiąt dwie minuty – mruknął pod nosem.

Kowalski obrócił na szefa jedno oko.

– Jak trzeba, dam radę w czterdzieści dwie minuty. – Dodał gazu, pytająco unosząc brew.

Painter zagłębił się w fotelu. Serce mu waliło, gdy myślał o pościgu depczącym po piętach Kai i profesorowi.

– A dałbyś radę w trzydzieści dwie?

Kowalski uśmiechnął się krzywo i wcisnął gaz do deski.

– Zawsze lubiłem wyzwania.

SUV nabrał prędkości, wciskając Paintera w oparcie siedzenia. Powinien się denerwować, patrząc, jak wskazówka szybkościomierza zbliża się do stu sześćdziesięciu, ale odetchnął z ulgą na myśl, że przyjechał do Utah. Uspokoił się, że instynkt nadal go nie zawodzi, choć tyle czasu spędził w katakumbach pod Smithsonian Castle.

Szykowało się tu coś poważnego.

Zresztą może nie tylko tu.

Przypomniał sobie telefon Kat z informacją o nieoczekiwanym pojawieniu się Seichan, która podobno trafiła na ślad prawdziwych przywódców Gildii. Rzadko z krypt tej organizacji wyciekały jakiegokolwiek informacje. Musiałoby się zdarzyć coś naprawdę ważnego, żeby stracili czujność.

Coś takiego jak ta zagadkowa eksplozja.

Painter mógł się mylić, lecz nie wierzył w zbieg okoliczności. A jeśli miał rację, to przynajmniej trop na Wschodnim Wybrzeżu badał jeden z jego najlepszych ludzi. Mimo późnej pory powinien właśnie zaczynać.

Oczywiście jeżeli w ogóle będzie potrafił się skoncentrować na zadaniu.

30 maja, 23.48

Waszyngton

Gray szedł za Seichan w stronę potężnej kolumnady zdobiącej fasadę budynku Archiwów Narodowych. Była chłodna wiosenna noc, w której czuło się ostatnie tchnienie zimy przed początkiem typowego dla stolicy lepkiego i wilgotnego lata. O tej godzinie ulicami jeździło zaledwie kilka samochodów.

Po nieoczekiwanej wizycie Seichan w jego mieszkaniu Gray przebrał się w czarne spodnie, wysokie buty i wojskową bluzę oraz wełniany płaszcz do kolan. Seichan, najwyraźniej nie zważając na chłód, szła w rozpiętej kurtce motocyklowej narzuconej na cienką szkarłatną bluzkę, spod której od czasu do czasu ukazywała się koronka. Skórzane spodnie ciasno przylegały do jej krągłości, ale w jej zachowaniu nie było nic uwodzicielskiego. Szła zamaszystym, zdecydowanym krokiem. Zwraçała baczną uwagę na każde poruszenie gałęzi na wietrze. Była napięta jak fortepianowa struna. Ale nie miała innego wyjścia, jeśli chciała przeżyć.

Skierowali się do służbowego wejścia od Pennsylvania Avenue. Drzwi były dość nijakie w porównaniu z imponującym portalem z brązu po drugiej stronie budynku, przez który wchodzili zwiedzający. Olbrzymie wejście prowadziło do głównej rotundy archiwów, gdzie wystawiono oryginalne teksty Deklaracji Niepodległości, Konstytucji i Karty Praw, umieszczone w oszklonych gablotach wypełnionych helem.

Ale nie zjawili się tu o północy w sprawie tych słynnych aktów prawnych. W budynku przechowywano miliardy dokumentów pochodzących z całej historii Ameryki, skatalogowanych i zgromadzonych na osiemdziesięciu pięciu tysiącach metrów kwadratowych. Jeśli mieli tu znaleźć dokument, o który im chodziło, Gray wiedział, że będą potrzebować pomocy.

Kiedy zbliżali się do wejścia, ktoś otworzył przed nimi drzwi. Gray znieruchomiał w napięciu, dopóki nie zobaczył szczupłej postaci, która ukazała się na progu i niechętnym gestem zaprosiła ich do środka. Doktor Eric Heisman, człowiek z wiecznym grymasem niezadowolenia na twarzy, był jednym z kustoszy muzeum i specjalizował się w okresie kolonialnym historii Ameryki.

– Wasz kolega już czeka – powiedział na powitanie.

Mężczyzna miał białe jak śnieg włosy sięgające kołnierza i starannie przyciętą kosią brodkę. Przytrzymując im drzwi, bawił się okularami do czytania zawieszonymi na łańcuszku na szyi. Wyraźnie było mu nie w smak, że o tej porze został tu ściągnięty z domu. Wezwany w ostatniej chwili kustosz miał na sobie sweter i dżinsy.

Gray zwrócił uwagę na wyszite na swetrze logo Washington Redskins, czyli profil indiańskiego wojownika z piórami we włosach – jak na ironię, zważywszy na temat, jaki zamierzał właśnie poruszyć. Doktor Heisman zajmował się stosunkami rodzących się kolonii amerykańskich z rdzennymi mieszkańcami, których spotkali kolonizatorzy Nowego Świata. Właśnie takiego eksperta potrzebował Gray, żeby posunąć naprzód śledztwo.

– Proszę za mną – powiedział Heisman. – Zarezerwowałem pracownię niedaleko głównych zbiorów. Moja asystentka dostarczy państwu każdy dokument, jakiego będziecie sobie życzyć.

– Spojrzał na nich, gdy szli korytarzem. – To dość niekonwencjonalna metoda. Nawet urzędnicy Sądu Najwyższego wiedzą, że nie należy prosić o dostęp do archiwaliów po godzinach pracy. Byłoby łatwiej, gdyby mnie państwo uprzedzili, jaką konkretną sprawę chcą zbadać.

Kustosz wyraźnie nie skończył jeszcze udzielać im nagany i chciał coś dodać, ale jego wzrok przypadkiem spoczął na twarzy Seichan. To, co w niej zobaczył, przerwało dalsze komentarze.

Szybko obrócił się na pięcie.

Gray spojrział na nią. Pochwyciła jego wzrok i z niewinną miną uniosła brew. Kiedy się odwracała, zauważył małą bliznę pod prawym uchem, częściowo zakrytą kosmykiem czarnych włosów. Był pewien, że to coś nowego. Nie wiedział, dokąd ją zaprowadziło śledztwo w sprawie Gildii, ale z pewnością nie wybrała bezpiecznej drogi.

Idąc za kustoszem przez labirynt korytarzy, dotarli do niewielkiego pomieszczenia, którego większą część zajmował stół konferencyjny, a przy jednej ze ścian stał rząd czytników mikrofilmów. Gray zobaczył dwie osoby, które już na nich czekały. Jedną z nich była młoda kobieta w wieku studentki college’u, o nieskazitelnie hebanowej skórze. Wyglądała jak wycięta z żurnala. Czarna ołówkowa sukienka tylko podkreślała jej figurę. Nienaganny makijaż sugerował, że kiedy nagle wezwano ją do pracy, nie wylegiwała się w domu.

– Moja asystentka Sharyn Dupre. Mówi płynnie w pięciu językach, ale jej ojczystym jest francuski.

– Miło mi państwa poznać – powiedziała głębokim, aksamitnym głosem z lekkim arabskim akcentem.

Gray ucisnął jej dłoń. Z intonacji domyślił się, że jest z Algierii. Choć północnoafrykański kraj zrzucił jarzmo francuskich kolonizatorów na początku lat sześćdziesiątych, ludzie nadal używali narzuconego przez nich języka.

– Przepraszam, że kazaliśmy wam czekać – rzekł Gray.

– Nie ma sprawy – padła burkliwa odpowiedź z drugiej strony stołu. Druga postać w sali była dobrze znana Grayowi. Monk Kokkalis siedział z nogami na stole, ubrany w dres i czapkę bejsbolową. Jego twarz błyszczała w świetle jarzeniówek. Przechylił głowę w stronę szczupłej asystentki. – Zwłaszcza że miałem takie towarzystwo.

Asystentka nieśmiało skłoniła głowę z cieniem uśmiechu na ustach.

Monk dotarł do Archiwów Narodowych przed nimi. Oczywiście centrala Sigmy w National Mall była zaledwie parę kroków stąd. Kat nalegała, żeby mąż dołączył do Graya tego wieczoru. Gray przypuszczał jednak, że bardziej niż na wsparciu go w śledztwie zależało Kat na tym, żeby Monk przestał się jej plątać pod nogami.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole z wyjątkiem Heismana, który stał z rękami założonymi do tyłu.

– Może więc w końcu mogę się dowiedzieć, po co nas wezwano o tak późnej porze?

Gray otworzył leżącą przed nim szarą teczkę, wyciągnął list napisany po francusku i podsunął Sharyn. Zanim zdążyła go dotknąć, Heisman porwał list ze stołu, drugą ręką nasadzając na nos okulary.

– Co to jest? – zapytał. Poruszał głową w górę i w dół, przeglądając plik kartek. Najwyraźniej nie znał francuskiego, ale szeroko otworzył oczy, rozpoznając podpis na końcu listu. – Benjamin Franklin. – Zerknął na Graya. – Wygląda na jego pismo.

– Tak, potwierdzono już autentyczność listu i przetłumaczono...

- Ale to kserokopia – przerwał mu Heisman. – Gdzie oryginał?
- To nieważne.
- Dla mnie ważne! – krzyknął kustosz. – Przeczytałem wszystko, co kiedykolwiek napisał Franklin, ale nigdy nie widziałem niczego takiego. Same te rysunki... – Z rozmachem położył kartkę na stole i dźgnął palcem jeden z odręcznych szkiców.



Przedstawiał bielika amerykańskiego z rozpostartymi skrzydłami, trzymającego w szponach jednej łapy gałązkę oliwną, a w drugiej pęk strzał. Niewątpliwie był to projekt w trakcie opracowywania. Dookoła sylwetki orła widniały jakieś niedbale skreślone, niezrozumiałe znaki ze strzałkami.

– Wygląda to na początkową wersję Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych. Ale list pochodzi z tysiąc siedemset siedemdziesiątego ósmego roku, czyli kilka lat przed pierwszym pojawieniem się pieczęci w oficjalnym dokumencie, co nastąpiło około roku tysiąc siedemset osiemdziesiątego drugiego. To na pewno jakieś fałszerstwo.

– Nie – odparł Gray.

– Mogę? – Sharyn delikatnie przechwyciła plik kartek. – Mówił pan, że macie tłumaczenie, ale chętnie sprawdzę, czy jest wierne.

– Będę wdzięczny – rzekł Gray.

Heisman spacerował wzdłuż stołu.

– Przypuszczam, że powodem naszego późnego spotkania jest treść listu. Będą państwo łaskawi wyjaśnić, dlaczego coś sprzed dwóch stuleci nie może poczekać do rana.

Seichan odezwała się po raz pierwszy. Mówiła cichym i spokojnym głosem, który brzmiał jednak groźnie.

– Bo dla tych papierów przelano krew.

Jej słowa otrzeźwiły Heismana na tyle, że wreszcie usiadł przy stole.

– No dobrze, proszę opowiedzieć o tym liście.

– To fragment korespondencji między Franklinem a francuskim uczonym – zaczął Gray. – Niejakim Archardem Fortescue. Należał do grupy naukowej założonej przez Franklina. Amerykańskiego Towarzystwa Krzewienia Wiedzy Praktycznej.

– Tak, znam tę grupę – powiedział Heisman. – Odłam Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego, ale jego członków interesowały w szczególności nowe koncepcje naukowe. Znani przede wszystkim z pierwszych badań archeologicznych reliktyw indiańskiej kultury, które w końcu stały się ich obsesją. Rozkopywali grobowce i kopce we wszystkich koloniach.

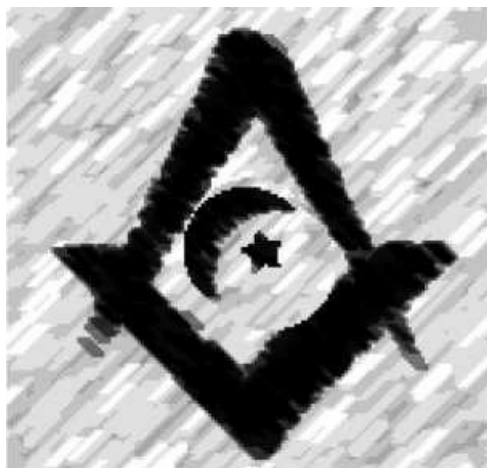
– Chyba właśnie tego dotyczy list – odezwała się siedząca obok kustosa Sharyn. – To prośba do tego francuskiego naukowca, żeby pomógł Franklinowi zorganizować wyprawę do Kentucky... – dalszy ciąg przetłumaczyła, marszcząc brwi:

– ...aby odkryć i zbadać indiański kurhan w kształcie węża i odnaleźć pogrzebaną tam groźbę dla Ameryki.

Uniosła wzrok.

– Mam wrażenie, że sprawa, o której mowa w liście, była bardzo pilna. – Na dowód tego przetłumaczyła fragment listu, przesuwając palec po tekście. – *Mój drogi przyjacielu, z przykrością informuję Cię, że nadzieje na stworzenie czternastej kolonii – owej Diabelskiej Kolonii – zostały zniweczone. Szamanów Konfederacji Irokeskiej nikczemnie zamordowano w drodze na spotkanie z gubernatorem Jeffersonem. Po tym zdarzeniu już wszyscy, którzy wiedzieli o Potężnym Eliksirze i Błędnych Indianach, odeszli do Pana. Jeden z szamanów przykryty ciałami innych żył jednak jeszcze na tyle długo, by z ostatnim tchnieniem dać nam ostatnią nadzieję. Powiedział o mapie umieszczonej w czaszce rogatego demona, owiniętej w malowaną skórę bizona. Jest ona ukryta w świętym dla tubylczych plemion kopcu na terytorium Kentucky. Być może opowieści o demonach i zaginionych mapach to tylko urojenie zaćmionego, gasnącego umysłu, lecz nie wolno nam ryzykować. Koniecznie trzeba zdobyć mapę, zanim zrobi to nieprzyjaciel. Jeśli idzie o tę sprawę, natrafiliśmy na trop sił, które zamierzają rozbić naszą młodą unię. Oto symbol, który jest znakiem wroga.*

Odwróciła do nich kartkę, aby mogli go zobaczyć. Rysunek przedstawiał cyrkiel skrzyżowany z węgelnicą, które tworzyły obramowanie dla małego sierpa księżycy i pięciopromiennej gwiazdy.



Uniosła głowę.

– Wygląda na symbol masoński, ale nigdy nie widziałam takiego rysunku. Z gwiazdą i księżycem. A państwo?

Gray milczał, a doktor Heisman uważnie oglądał symbol. Kustosz wolno pokręcił głową.

– Franklin sam był wolnomularzem. Nie oczerniałyby członków własnego ruchu. To musi być coś zupełnie innego.

Monk wychylił się, by zobaczyć symbol. Choć na twarzy partnera malował się stoicki spokój, Gray dostrzegł lekkie zwężenie nozdrzy, jak gdyby Monk poczuł jakąś przykrą woń. Podobnie jak Gray Monk rozpoznał znak przywództwa Gildii. Napotkał spojrzenie Graya, a w jego oczach malowało się nieme pytanie: w jaki sposób symbol mógł się znaleźć w liście od Benjamina Franklina do francuskiego naukowca?

Gray też pragnął poznać odpowiedź na to pytanie.

Monk sformułował następujące:

– Jak to się stało, że poczciwy Ben poprosił o pomoc Francuza? Na pewno miał pod ręką kogoś, kto mógłby poprowadzić taką ekspedycję na dzikie tereny Kentucky.

– Może nie do końca ufał swojemu otoczeniu – próbowała wyjaśnić Seichan. – Wspomina o tych tajemniczych wrogach... może infiltrowali grono jego najbliższych współpracowników w rządzie.

– Może – zgodził się Heisman. – Ale Francja sprzymierzyła się z nami przeciwko Brytyjczykom podczas wojny o niepodległość, a Franklin dużo czasu spędził w Paryżu. Co więcej, francuscy osadnicy wchodzili w bliskie sojusze z plemionami rdzennych Amerykanów podczas wojen z Francuzami i Indianami, gdy kanadyjscy koloniści walczyli ramię w ramię z tubylcami przeciwko siłom brytyjskim. Jeżeli Franklin potrzebował kogoś do zbadania sprawy istotnej dla ówczesnych Indian, nic dziwnego, że zwrócił się do Francuza.

– List chyba to potwierdza – przytaknęła Sharyn. Przetłumaczyła następujący fragment: – *Archardzie, jako zaufany i serdeczny przyjaciel niezującego wodza Canasatego, którego otrucie w moim głębokim przekonaniu było dziełem tego samego wroga, jesteś najbardziej odpowiednim człowiekiem, by wyruszyć na tak ważne poszukiwania. Misja musi się powieść.*

Mimo wymowy listu Gray podejrzewał, że prawdziwa odpowiedź na pytanie Monka kryje się na styku obu hipotez. Sądząc po złowieszczym tonie, Franklin miał się na baczności i zwracał się do przyjaciela, któremu mógł zaufać, który miał bliskie związki z miejscowymi plemionami.

– Co to za Canasatego? – spytał Monk, tłumiąc ziewanie, ale z błysku w oczach kolegi Gray wynioskował, że ziewnięcie jest udawane.

Gray rozumiał zainteresowanie Monka. Z listu wynikało, że tajemniczy wrogowie Franklina zamordowali indiańskiego wodza. I jeśli obecność symbolu w liście nie była zbiegiem okoliczności, był to prawdopodobnie ten sam wróg, z którym od lat walczyła Sigma. Wydawało się to niemożliwe, ale dlaczego Gildia miałaby ukrywać i zabezpieczać akurat list zawierający jej znak?

Heisman głęboko nabrał powietrza, tracąc nieco ze swojej służbistej sztywności.

– Wódz Canasatego – powiedział serdecznym tonem, jak gdyby wspominał bliskiego przyjaciela. – Niewiele osób zna tę historyczną postać, która odegrała jednak ważną rolę w narodzinach Ameryki. Niektórzy uważają go nawet za zaginionego ojca założyciela.

– Doktor Heisman prowadził szczegółowe badania na temat wodza Irokezów – wyjaśniła nie bez dumy Sharyn. – Jedną z jego rozpraw miała decydujące znaczenie dla uchwalenia przez Kongres rezolucji o roli rdzennych Amerykanów w założeniu państwa.

Heisman próbował zbyć pochwały lekceważącym machnięciem ręki, ale policzki mu poróżwiały i nieco się wyprostował.

– To fascynująca postać. Był największym i najbardziej wpływowym Indianinem swoich czasów. Gdyby nie odszedł tak młodo, nie wiadomo, jak mógłby wyglądać nasz kraj, zwłaszcza jeżeli chodzi o stosunki z Indianami.

Gray odchylił się na krześle.

– I tak jak wspomina list, został zamordowany?

Heisman skinął głową i wreszcie usiadł przy stole.

– Został otruty. Historycy spierają się o to, kto go zabił. Niektórzy twierdzą, że zrobili to szpiegzy brytyjskiego rządu. Inni, że jego współplemieńcy.

– Wygląda na to, że nasz Ben miał własną hipotezę – dodał Monk.

Heisman pożądlawie spoglądał na list.

– Intrygujące.

Gray przypuszczał, że bez dalszych problemów przekonają kustosza, by pomógł im w uzyskaniu informacji. Rozdrażnienie i senność zupełnie go opuściły, ustępując miejsca żywemu zaciekawieniu.

– No więc dlaczego ten wódz Irokezów był taki ważny? – podjął Monk.

Heisman sięgnął po kserokopię listu i odwrócił ją na stronę z pobieżnie naszkicowanym orłem z rozpostartymi skrzydłami. Pokazał łapę trzymającą wiązkę strzał.

– Dlatego. – Rozejrzał się po twarzach osób przy stole.

– Czy ktoś z państwa wie, dlaczego orzeł na Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych trzyma pęk strzał?

Gray wzruszył ramionami i przysunął sobie bliżej kartkę.

– Gałązka oliwna w jednej łapie symbolizuje pokój, a strzały w drugiej wojnę.

Na twarzy kustosza pojawił się drwiący uśmiech – pierwszy tej nocy.

– Takie jest powszechnie panujące błędne przekonanie. Ale pęk trzynastu strzał ma swoją historię, której początek wiąże się z wodzem Canasatego.

Gray nie przerywał kustoszowi, wyczuwając, że zyska więcej, jeśli pozwoli mu swobodnie mówić.

– Canasatego był wodzem plemienia Onondaga, jednego z sześciu, które połączyły się, tworząc Konfederację Irokeską. Ta niezwykła liga plemion miała już kilka stuleci, powstała w szesnastym wieku, dawno przed założeniem Ameryki. Po krwawych wojnach trwających wiele pokoleń wreszcie zapanował pokój między plemionami, które postanowiły się zjednoczyć w imię wspólnego dobra. Utworzyły wyjątkowo demokratyczny i egalitarny rząd, w którym głos mieli reprezentanci każdego plemienia. W tamtych czasach nie było podobnej władzy z własnymi prawami i konstytucją.

– Brzmi diablo znajomo – wtrącił Monk.

– Rzeczywiście. Wódz Canasatego spotkał się z pierwszymi osadnikami w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym roku i przedstawił im Konfederację Irokeską jako przykład do naśladowania, zachęcając ich, żeby połączyli się w imię własnego wspólnego dobra.

Heisman rozejrzał się po sali.

– Benjamin Franklin był obecny przy tym spotkaniu i opowiedział o nim ludziom, którzy ostatecznie opracowali naszą konstytucję. Jeden z delegatów na konwencję konstytucyjną, John Rutledge z Karoliny Południowej, czytał nawet innym przedstawicielom stanów niektóre z irokeskich praw bezpośrednio z jednego z plemiennych traktatów, który zaczynał się od słów:

„My, naród, pragnąc utworzyć unię, ustanowić pokój, sprawiedliwość i porządek...”.

– Zaraz. – Monk wyprostował się za stołem. – Zgadza się prawie co do słowa z preambułą amerykańskiej konstytucji. Twierdzi pan, że wzorowaliśmy swoje dokumenty założycielskie na jakichś starych prawach indiańskich?

– Nie tylko ja tak twierdzą, ale Kongres Stanów Zjednoczonych. Rezolucja numer trzysta trzydzieści jeden uchwalona w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, przyznaje, że konstytucja irokeska miała wpływ na naszą konstytucję i Kartę Praw. Wprawdzie toczą się spory co do skali tego wpływu, ale faktem nie da się zaprzeczyć. Nasi ojcowie założyciele uwiecznili nawet ten dług na państwowej pieczęci.

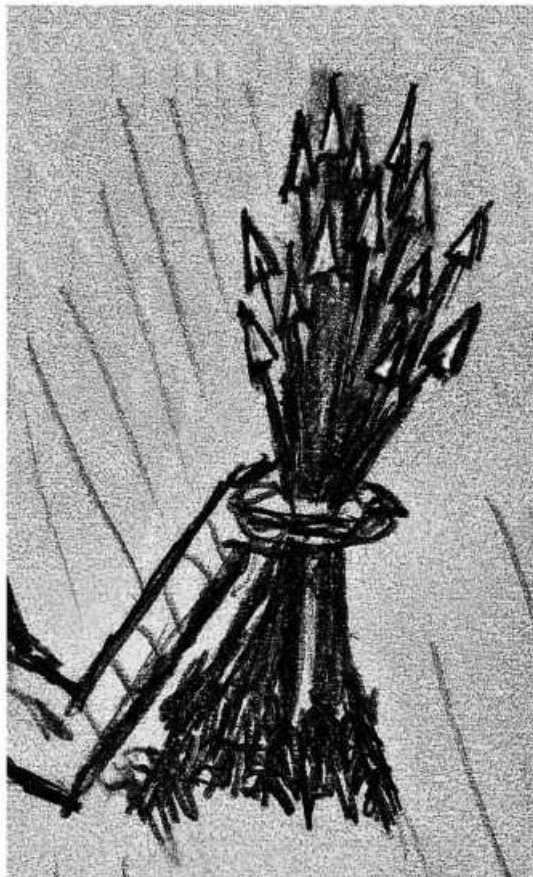
– Jak to? – zdziwił się Gray.

Heisman ponownie postukał palcem w rysunek orła.

– Na tym spotkaniu w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym roku wódz Canasatego podszedł do Benjaminą Franklina i ofiarował mu dar: jedną strzałę z piórami. Gdy Franklin wyraził zdziwienie, Canasatego odebrał mu strzałę, złamał ją na kolanie i rzucił pozostałości na podłogę. Następnie dał Franklinowi pęk trzynastu strzał związanych rzemieniami. Próbował je złamać na kolanie tak jak poprzednio, ale złożone razem nie dały się złamać. Podał wiązkę strzał Franklinowi, a przesłanie było jasne dla wszystkich. Trzyście kolonii musi się połączyć, żeby mieć siłę i przetrwać; tylko pod tym warunkiem nowe państwo stanie się niezniszczalne. Orzeł na Wielkiej Pieczęci trzyma ten sam pęk trzynastu strzał jako trwałe, choć złożony trochę potajemnie hołd dla mądrych słów wodza Canasatego.

Gdy Heisman ciągnął swoją opowieść, Gray wciąż przyglądał się rysunkowi na odwrocie listu, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że coś tu jest nie tak. Był to wyraźnie wstępny szkic z enigmatycznymi notatkami obok i u dołu, ale przyjrząwszy się uważniej, uświadomił sobie, co mu nie dawało spokoju w tym początkowym projekcie Wielkiej Pieczęci.

– Na rysunku jest czternaście strzał – powiedział.



Heisman pochylił się nad kartką.

– Co?!

Gray pokazał palcem.

– Niech pan sam policzy. Orzeł na rysunku trzyma czternaście strzał. Nie trzynaście.

Pozostali podnieśli się z krzeseł i podeszli bliżej.

– Rzeczywiście – potwierdziła Sharyn.

– To na pewno tylko projekt – powiedział Heisman.

– Ogólny zamysł tego, o co chodziło.

Seichan założyła ręce na piersi.

– Może nie. Przecież Franklin wspomniał coś w liście o „czternastej kolonii”, prawda?
O czym pisał?

Gdy Gray patrzył na orła, pewna myśl przyszła mu do głowy.

– W liście jest też mowa o jakimś tajemniczym spotkaniu Thomasa Jeffersona z przywódcami Irokezów. – Spojrzał na Heismana. – Czy Jefferson i Franklin mogli rozważyć utworzenie nowej, czternastej kolonii złożonej z Indian?

– Diabelskiej Kolonii – dodał Monk, cytując określenie, którego Franklin użył w liście. – Od „czerwonych diabłów”.

Gray skinął głową.

– Może dodatkowa strzała symbolizuje kolonię, która nigdy nie powstała.

Heisman zamyślił się nad taką możliwością, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem.

– Jeżeli to prawda, w takim razie odnaleziono najważniejszy od dziesięcioleci historyczny list. Tylko dlaczego nie ma żadnych innych dowodów?

Gray postawił się na miejscu Franklina i Jeffersona.

– Bo ponieśli porażkę, a coś ich tak przestraszyło, że zniszczyli wszystkie dokumenty związane z tą sprawą, zostawiając tylko kilka śladów.

– Ale jeżeli ma pan rację, to co chcieli ukryć?

Gray pokręcił głową.

– Odpowiedź czy przynajmniej tropy prowadzące do prawdy mogą się kryć w dalszej korespondencji między Franklinem a Fortescue. Trzeba zacząć ich szukać.

Przerwał mu dzwonek jego telefonu, który w cichym pomieszczeniu zabrzmiał bardzo głośno. Gray wyciągnął komórkę z kieszeni płaszcza i spojrzał na wyświetlacz. Cicho westchnął.

– Muszę odebrać. – Wstał i odwrócił się od stołu.

W słuchawce odezwał się rozgorączkowany i drżący głos jego matki, pełen rozpacz i przerażenia.

– Gray... potrzebuję twojej pomocy! – W tle rozległ się potężny łomot, a po nim zwierzęcy wrzask.

Po chwili połączenie zostało przerwane.

30 maja, 22.01

Obszar chroniony High Uintas

Stan Utah

Major Ashley Ryan pełnił wartę przy bramie piekła.

Otchłań w miejscu dzisiejszej eksplozji, pięćdziesiąt metrów od jego stanowiska dowodzenia, wciąż kipiała, wyrzucając w górę strumienie wrzącej wody i grudy bulgoczącego błota. Para zmieniła przepaść w rozpaloną siarkową saunę. W ciągu zaledwie pół dnia obwód strefy wybuchu powiększył się dwukrotnie, wcinając się w sąsiednie zbocze. O zachodzie słońca wielki kawał ściany sąsiedniej góry odłamał się jak góra lodowa od lodowca i runął w rozszerzającą się czeluść. Gdy zapadł zmierzch, chmury zasłoniły księżyc i gwiazdy i w dolinie zapanował nieprzenikniony mrok jak w jaskini.

A teraz w głębi gardzieli pojawił się niepokojący czerwonawy blask.

To, co się tam zaczęło dziać, jeszcze się nie skończyło.

Z powodu zagrożenia i niestabilności podłoża Gwardia Narodowa ewakuowała cały zbędny personel znad przepaści i zamknęła dolinę, pozostawiając strefę bezpieczeństwa szerokości pięciu kilometrów, której pilnowały piesze patrole oraz dwa wojskowe helikoptery. Ryan zostawił w dolinie tylko niewielki oddział. Wszyscy żołnierze mieli przeszkolenie strażackie i zostali ubrani w żółte kombinezony z niepalnego nomenksu, a także wyposażeni w hełmy i maski tlenowe, na wypadek gdyby powietrzem na dole było trudniej oddychać.

Ryan odwrócił się do nowo przybyłego, który zbroił się właśnie w podobny rynsztunek.

– Będzie pan nam mógł powiedzieć, co tu się dzieje? – zapytał.

Geolog, który przedstawił się krótko jako Ronald Chin, wyprostował się, trzymając hełm pod pachą.

– Po to tu jestem.

Ryan sceptycznie przyjrzał się naukowcowi. Mężczyzna przybył helikopterem przed kwadrans, a wcześniej przyleciał prosto z Waszyngtonu. Wprawdzie major miał niewiele szacunku dla rządowych biurokratów, którzy wtykali nos nie tam, gdzie trzeba, ale wyczuł, że geolog jest kimś więcej. Sądząc po oszczędnych, rzeczowych wypowiedziach i ogolonej czaszce, mógł mieć wojskową przeszłość. Po zejściu na dno doliny rządowy naukowiec obrzucił okolicę krótkim przenikliwym spojrzeniem i zaczął nakładać strażacki kombinezon, zanim Ryan zdążył go o to poprosić.

– Powiniennem iść sam – uprzedził go Chin i podniósł z ziemi metalowy neseser roboczy.

– Wykluczone. Dopóki przebywa pan na tym terenie, jestem za pana odpowiedzialny. – Ryan otrzymał rozkaz, by ściśle współpracować z geologiem, ale to on nadal dowodził akcją. Przywołał gestem jednego ze swoich ludzi. – Szeregowy Bellamy i ja odprowadzimy pana na miejsce i z powrotem.

Chin skinął głową, nie zamierzając protestować, czym zdobył sobie kolejny punkt u Ryana.

– W takim razie chodźmy to szybko załatwić.

Ryan ruszył przodem, włączając latarkę z diodami, którą miał przymocowaną do ramienia. Pozostali poszli jego śladem jak zespół speleologów wchodzący do nieznannej jaskini.

Gdy zapuścili się w głąb ciemnego lasu, z każdym krokiem rosła temperatura powietrza, które niosło woń siarki. Wszyscy trzej szybko założyli hełmy i maski. Mimo to żar atakował ich jak niewidzialny mur. Osłony w hełmach zasnuła para, utrudniając obserwację. Powietrze z puszki miało metaliczny smak, choć może powodem był strach. Wychodząc na skraj lasu, Ryan kazał im się zatrzymać. Nie zdawał sobie sprawy ze stopnia zniszczeń, jakie powstały w strefie wybuchu.

W dnie doliny przed nimi powstało łagodne, koliste zagłębienie o średnicy około trzydziestu metrów, wcinające się głęboko w skalną ścianę po lewej. Nieco bliżej środka skaliste podłoże wciąż kruszyło się na żwir i gruboziarnisty piasek, powoli poszerzając jamę. Pochyłość za krawędzią, pełna drobnego skalnego pyłu, biegła w kierunku środka, gdzie spadała stromo w głąb przepastnej, parującej dziury.

W ciemnej gardzieli wrzała woda podświetlona podziemnym ogniem. Ziemia zadrżała im pod stopami i w ciemne niebo trysnął gejzer przegrzanej wody i pary, któremu towarzyszył przeraźliwy ryk. Wszyscy trzej przezornie się cofnęli.

Kiedy fontanna opadła, Chin podszedł bliżej, zatrzymując się około metra od krateru.

– Wybuch musiał naruszyć warstwy geotermalne – powiedział głosem stłumionym przez maskę. – Cały region leży na gorącym złożu wulkanicznym.

Ryan razem z Bellamym zbliżyli się do skraju jamy.

– Niech pan uważa. Brzeg może się osunąć.

Chin skinął głową, ostrożnie podszedł do krawędzi i otworzył neseser. Nosił w nim starannie ułożony zestaw narzędzi i chemikaliów: młotki geologiczne, dłuta, pojemniki i pędzelki.

Przygotowując kilka zestawów do zbierania materiału, geolog wyjaśnił:

– Muszę wziąć próbki detrytusu i osadu, zaczynając od obrzeża i idąc w kierunku środka. – Wydobył młotek i dłuto, które wyciągnął do nich. – Gdyby któryś z was mógł odłupać kawałek granitu blisko krawędzi, byłoby szybciej.

Ryan dał znak Bellamy'emu, żeby spełnił prośbę.

– Po co panu kawałek skały?

– Żeby mieć punkt odniesienia, skład miejscowej skały macierzystej. Materiał porównawczy dla próbek zebranych w strefie wybuchu.

Bellamy wziął narzędzia oraz małą torebkę na próbki, odszedł kilka metrów i zabrał się do pracy. Młody czarnoskóry mężczyzna grał kiedyś w drugiej linii w reprezentacji uniwersyteckiej Utah State Aggies, ale z powodu kontuzji kolana musiał się pożegnać z futbolem. Mając żonę i spodziewając się córeczki, rzucił szkołę i wstąpił do Gwardii Narodowej. Był dobrym żołnierzem i umiał szybko i wydajnie pracować.

Chin przymocował szklaną fiolkę do teleskopowo składanego aluminiowego pręta. Pochylił się, rozłożył pręt i nabrał odrobinę grubego piasku leżącego najbliżej krawędzi.

Podczas gdy geolog pracował, Ryan spojrzał w stronę jamy. Okruchy skalne były tam jeszcze drobniejsze, blisko środka zmieniając się w miazgę pyłu, który zaczynał wirować jak w klepsydrze, spadając w głąb parującej gardzieli.

Słyszając cichy syk, ponownie spojrzał na China. Geolog trzymał swój pręt nad jamą. Udało mu się pobrać próbkę gorącego piasku, ale powierzchnię fiolki pokrywała siatka pęknięć.

Czyżby ją rozbił?

Na oczach Ryana dno szklanego pojemnika pękło, a próbka wysypała się z powrotem do jamy. Gdy kawałek szkła dotknął powierzchni, wydawało się, że wtopił się w skalny proch. Nie, nie wtopił – w ciągu paru sekund po prostu rozpadł się i zniknął.

Chin wyprostował się, wciąż trzymając w górze pręt z resztkami fiolki przymocowanej do jego końca. Obaj z Ryanem przyglądali się, jak reszta pojemnika kruszy się w drobny szklany pył, który sypie się do jamy. Rozpadać zaczął się nawet od końca aluminiowy pręt. Kiedy zniszczeniu uległo już kilka centymetrów aluminium, Chin rzucił w otchłań pręt, który wbił się w sypką powierzchnię jak oszczep, a potem zagłębiał się niczym w ruchome piaski.

Ryan wiedział, że wcale się nie zagłębia.

– Dezintegracja – powiedział Chin, a zdumienie Ryana na chwilę wzięło górę nad przerażeniem. – To, co się tam dzieje, powoduje rozpad materii. Być może na poziomie atomów.

– Ale co ją wywołuje, do cholery?

– Nie mam pojęcia.

– Jak to można zatrzymać?

Chin bezradnie pokręcił głową. Ryan wyobraził sobie, jak proces rozpadu rozprzestrzenia się niczym rak na całe góry, równocześnie sięgając coraz głębiej. Przypomniał sobie słowa geologa, który mówił, co mają pod stopami: „Cały region leży na gorącym złożu wulkanicznym”.

Jak gdyby chcąc o tym przypomnieć, ziemia znów gwałtownie zadrżała, jeszcze mocniej niż poprzednio. Znowu trysnął gejzer, sięgając wierzchołków drzew i atakując ich potężną falą przegrzanego powietrza.

Chin osłonił twarz ramieniem, pokazując jednocześnie pozostałym dwóm mężczyznom posterunek gwardii.

– Grunt jest za bardzo niestabilny! Trzeba ewakuować całą dolinę. Cofnąć się co najmniej o dwa kilometry!

Ryan nie zamierzał protestować. Krzyknął do Bellamy’ego, który z młotkiem i dłutem wciąż stał kilka metrów dalej:

– Zostaw to! Przygotuj ludzi do ewakuacji! Zebrać cały sprzęt!

Zanim potężny mężczyzna zdążył zrobić krok, kolejny głaz odłamał się od ściany za szeregowcem i runął w głąb jamy. Ze środka bryznął wilgotny pył. Kilka czarnych kleksów trafiło Bellamy’ego w prawą goleń.

– Cofnij się! – rozkazał Ryan.

Nie trzeba go było popędzać. Bellamy ruszył biegiem w ich stronę z twarzą wykrzywioną w grymasie bólu. Utykał na prawą nogę.

– Co jest? – zapytał Ryan.

– Noga się pali, panie majorze.

Ryan spojrział na nogawkę. Ognioodporna tkanina powinna chronić skórę przed oparzeniem przez gorący pył.

– Rzuć go na ziemię! – krzyknął Chin. – Szybko!

Ryan skoczył naprzód, posłusznie wypełniając rozkaz geologa. Chciał chwycić Bellamy’ego za ramię, ale szeregowy nagle wrzasnął i się zakołysał. Zobaczyli, że jego prawa noga pękła w połowie pieszczeli, łamiąc się jak zapałka.

Ryan zdołał go złapać i położyć na ziemię.

– Kuuuurwa! – ryknął szeregowy, wijąc się z bólu.

Ryan nie upomniał go za przeklinanie. Sam miał ochotę zrobić to samo. Co tu się działo, do

cholery?

Chin ukląkł przy nogach Bellamy'ego. Miał w ręku wojskowy nóż KA-BAR. Rozciął nogawkę od kolana do kostki, odsłaniając paskudne otwarte złamanie. Z łydki sterczał ostry kawałek kości piszczelowej, przeraźliwie biały na tle ciemnej skóry szeregowego. Z rany sączyła się krew, choć nie tak obficie, jak Chin się spodziewał.

– Został skażony – powiedział Chin.

Ryan usiłował zrozumieć, co to oznacza, gdy nagle na jego oczach wyszczerbiony koniec złamanej kości zaczął się zmieniać w pył. Skóra wzdłuż brzegów rany rozeszła się na boki, powoli znikając. Ryan przypomniał sobie plamę lepkiego proszku na kombinezonie Bellamy'ego i słowo, którego geolog użył przed chwilą.

Dezintegracja.

Widocznie pył przeżarł nogawkę i zaatakował nogę.

– C...co mamy zrobić? – wyjąkał Ryan.

– Weź toporek! – polecił Chin.

Tym razem Ryan nie zareagował na rozkazujący ton geologa, ale na wyraźny strach w jego głosie. Chin odciął już poplamiony kawałek tkaniny i wrzucił do parującej dziury. Jeśli Ryan miał jakieś wątpliwości co do zamiaru China, wszystkie zostały rozwiane, gdy geolog wyszarpnął ze spodni pas i zaczął przygotowywać opaskę uciskową.

Bellamy też zrozumiał i wydał cichy jęk:

– Niiieeee...

– Nie ma innego wyjścia – wyjaśnił żołnierzowi Chin. – Nie możemy dopuścić, żeby zajęło ci całą nogę.

Miał rację. Biegając do obozu, Ryan przypomniał sobie pytanie, jakie wcześniej postawił, wyobrażając sobie coraz większy krater. Jak to można zatrzymać?

Odpowiedź już znał.

Za ogromną cenę.

W tym momencie mogli tylko ograniczać straty.

W ciągu niecałej minuty wrócił z toporkiem, który mieli w ekwipunku przeciwpożarowym obozu, oraz jeszcze dwoma ludźmi. Zanim dotarli na miejsce, Chin zacisnął już pasek na udzie Bellamy'ego. Szeregowy leżał na wznak przytrzymywany za ramiona przez geologa. Na przesłoniętej maską twarzy Bellamy'ego malowały się przerażenie i ból.

Dwaj żołnierze stłumili okrzyk grozy.

Ryan dobrze ich rozumiał. Noga Bellamy'ego wyglądała, jak gdyby łydkę nadgryzł mu rekin. Kończyna trzymała się już tylko na mięśniach i skórze. Resztę pochłonięto tajemnicze skażenie.

Kiedy żołnierze zajęli jego miejsce, Chin napotkał spojrzenie Ryana. Zerknął na toporek, potem na Bellamy'ego.

– Chcesz, żebym to zrobił?

Ryan pokręcił głową. To mój człowiek. Jestem za niego odpowiedzialny. Uniósł toporek. Zadał geologowi tylko jedno pytanie.

– Nad czy pod kolaniem?

Odpowiedź wyczytał z ponurej miny China. Nie mogli ryzykować.

Wytężając wszystkie siły, szybko opuścił toporek.

30 maja, 22.20

Provo, stan Utah

Painter Crowe siłą woli zmusił palce, by przestały się kurczowo zaciskać na podłokietnikach. Rajd z Salt Lake City do uniwersyteckiego miasta Provo stanowił nie lada wyzwanie nawet dla jego niezłomnego postanowienia. Painter próbował zająć uwagę rozmową ze swoją przyjaciółką Lisą, do której zadzwonił z wiadomością, że wylądował bezpiecznie, ale gdy pędzili autostradą, omijając wolniej jadące auta, często gwałtownie skręcając na przeciwne pasy ruchu, zastanawiał się, czy nie uspokoił jej zbyt pochopnie.

Wreszcie Kowalski wyłączył silnik chevroleta tahoe i spojrział na zegarek.

– Dwadzieścia osiem minut. Czyli jest mi pan winien cygaro.

– Powiniennem posłuchać Graya. – Painter otworzył drzwi i omal nie wypadł z samochodu. – Mówił mi, żeby trzymać cię jak najdalej od wszystkiego, co ma kółka.

Kowalski wzruszył ramionami i też wysiadł.

– Co Gray może wiedzieć? Facet prawie ciągle pedałuje po Waszyngtonie na rowerze. Gdyby Bóg chciał, żeby ludzie jeździli na rowerach, umieściliby nam jaja w innym miejscu.

Painter wlepił osłupiałe spojrzenie w Kowalskiego. Nie wiedząc, co powiedzieć, tylko pokręcił głową i pierwszy ruszył przez parking. Kowalski miał na sobie czarny płaszcz do kostek, który pozwolił mu ukryć przypiętą do nogi strzelbę Mossberg. Aby zmniejszyć jej śmiertelność w warunkach miejskich, broń była załadowana amunicją Taser XREP – bezprzewodowymi, miniaturowymi paralizatorami, które obezwładniały przeciwnika ładunkiem elektrycznym.

Było to rozsądne zabezpieczenie, zważywszy na to, kto się tą bronią posługiwał.

Ze względu na późną godzinę w kampusie Uniwersytetu Brigham Younga panował spokój. Chodnikami przemknęło kilkoro studentów szczerze opatulonych z powodu przenikliwego wiatru, który wiał od ośnieżonych gór otaczających miasto. Jakaś para spojrzała na nich ciekawie, ale zaraz ruszyła dalej.

Zobaczyli obsadzone drzewami ścieżki oświetlone ciepłym blaskiem latarni, a w oddali strzelistą sylwetkę wieży dzwonnicej. We wszystkich kierunkach ciągnęły się budynki uniwersyteckie, w większości już ciemne, choć w niektórych oknach, gdzie odbywały się nocne zajęcia, jeszcze paliło się światło.

Painter zajrzał do planu kampusu, który ściągnął na telefon komórkowy. Profesor Kanosh umówił się z nimi w laboratorium w budynku instytutu nauk o Ziemi. Ustaliwszy swoje położenie, Painter ruszył przodem.

Centrum Naukowe imienia Eyringa znajdowało się przy ocienionej drzewami ścieżce, w bok od West Campus Drive. Trudno było nie zauważyć dużej kopuły obserwatorium wieńczącej budynek. Do ogromnej szklanej fasady prowadziły szerokie schody z dwoma podestami.

Gdy znaleźli się w środku, Kowalski, marszcząc brwi, rozejrzał się po wielkim jak katedra holu, którego głównym elementem było zawieszone na suficie gigantyczne wahadło Foucaulta, obciążone wielką kulą z brązu. Mała kawiarenka z boku – o tej godzinie już nieczynna – znajdowała się w cieniu olbrzymiego allozaura naturalnej wielkości, który przycupnął w wysokich paprociach.

- Dokąd teraz? – zapytał Kowalski.
- Mamy się spotkać w pracowni fizyki w podziemiu.
- Dlaczego tam?

Dobre pytanie. Miejsce było dość niezwykle jak na spotkanie z historykiem, ale profesor Kanosh wspominał coś o prowadzonych dla niego badaniach. To nie miało znaczenia, ważne, że mogli się spotkać w ustronnym i spokojnym miejscu. Painter spojrzął na tabliczkę informacyjną, po czym skierował się na schody prowadzące w dół. Podziemne Laboratorium Badawcze Fizyki naprawdę nosiło stosowną nazwę. Nie znajdowało się w suterenie, ale pod trawnikiem od północnej strony budynku.

Wchodząc do kompleksu, nie mieli żadnych kłopotów z odnalezieniem pracowni, mimo że w ośrodku było pusto. W korytarzu rozbrzmiewały podniesione głosy dobiegające z za otwartych drzwi.

Painter przyspieszył kroku, obawiając się, że ktoś już znalazł Kai i profesora Kanosha. Wchodząc do pokoju, sięgał po pistolet do naramiennej kabury pod marynarką. Czujnie przyjrzał się mężczyźnie, który wyglądał, jakby groził profesorowi Kanoshowi sztyletem – zaraz jednak zdjął rękę z kabury, kiedy zrozumiał sytuację. Mężczyzna z nożem był ubrany w biały fartuch laboratoryjny, a sztylet wyglądał na stary i prawdopodobnie był znaleziskiem archeologicznym. Poza tym profesor Kanosh nie zdradzał żadnych oznak lęku, wydawał się tylko zirytowany. Wszystko wskazywało na to, że człowiek w fartuchu jest jego kolegą, który chce mu czegoś dowieść.

– To właśnie może być dowód, którego szukamy! – oznajmił, zamaszycie kładąc sztylet na stole. – Dlaczego jesteś taki uparty?

Zanim profesor Kanosh zdążył odpowiedzieć, obaj ujrzeni Paintera wpadającego do pracowni. Otworzyli szeroko oczy, które zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe, kiedy za nim w pokoju zjawiała się zwałista sylweta Kowalskiego.

Naukowcy siedzieli przy długim stole ustawionym pośrodku przestronnego laboratorium. W głębi paliło się kilka świateł, ukazując sprzęt. Niektóre urządzenia Painter rozpoznał dzięki wykształceniu elektrotechnicznemu: spektrometry masowe, przeróżne cewki i potencjometry, skrzynki rezystorowe i dekady pojemnościowe. Jego uwagę przyciągnęło jedno z urządzeń. W bocznej wnęce przy rzędzie włączonych monitorów szumiała wysoka kolumna mikroskopu elektronowego.

– Wujek Crowe?

Pytanie padło od strony aparatury mikroskopu. Z półmroku panującego we wnęce wysunęła się niepewnie młoda kobieta, zgarbiona, z rękami założonymi na piersi. Patrzyła na niego z za zasłony długich czarnych włosów.

Jego bratanica Kai.

– Nic ci nie jest? – spytał Painter. Głupie pytanie, zważywszy na okoliczności.

Wzruszyła ramionami, mruknęła coś pod nosem i podeszła do stołu obok profesora Kanosha. Painter obserwował bratanicę. Serdeczne rodzinne powitanie, nie ma co. Ale w końcu od ich ostatniego spotkania upłynęły ponad trzy lata. Widział Kai na pogrzebie jej ojca. W tym krótkim

czasie z chudej dziewczynki wyrosła na młodą kobietę, lecz z jej twarzy wyczytał, że życie zahartowało ją znacznie bardziej, niż powinno w ciągu zaledwie trzech lat.

Domyślał się dlaczego. Dobrze znał to chłodne spojrzenie, na wpół zaczepne, na wpół nieufne. Sam będąc sierotą, wiedział, co to znaczy być wychowywanym samotnie, przygarniętym przez dalszą rodzinę, która i tak odnosiła się do ciebie z rezerwą i wozila cię z domu do domu.

Dlatego właśnie serce mu się ścisnęło. Painter powinien zrobić dla niej więcej, kiedy miał okazję. Gdyby zrobił, może nie staliby tu teraz.

– Dziękuję, że pan przyjechał – powiedział profesor Kanosh, przerywając pełną napięcia ciszę. Gestem zaprosił Paintera do stołu. – Może z pańską pomocą uda się nam wyplątać z tarapatów.

– Mam nadzieję. – Painter przyjrzał się koledze profesora, nie wiedząc, czy może mówić swobodnie w jego obecności.

Zdając sobie sprawę ze swojej nieuprzejmości, mężczyzna wyciągnął rękę. Było to jednak bardziej wyzwanie niż powitanie. Wyglądał na rówieśnika profesora Kanosha, ale siwe włosy na czubku głowy mocno mu się przerzedziły, a w przeciwieństwie do spalonej słońcem, czerstwej cery Kanosha skóra na twarzy jego kolegi była miękka i obwisła, tworząc ciężkie worki pod oczami. Painter podejrzewał, że naukowiec mógł w ciągu ostatniego roku mieć udar. A może wyglądał tak tylko dlatego, że spędził w podziemnym laboratorium większą część kariery zawodowej, z dala od słońca i świeżego powietrza.

Painter świetnie rozumiał, jak w takich warunkach zużywa się organizm.

– Doktor Matt Denton – przedstawił się mężczyzna. – Kieruję wydziałem fizyki.

Wszyscy uścisnęli sobie ręce. Painter przedstawił Kowalskiego jako swojego „osobistego asystenta”, na co zwalisty mężczyzna przewrócił oczami.

Profesor Kanosh był na tyle uprzejmy, by nie wyrazić powątpiewania.

– Proszę mi mówić Hank – rzekł, być może wyczuwając rezerwę Paintera. – Wyjaśniłem Mattowi naszą sytuację. Mam do niego pełne zaufanie. Przyjaźnimy się od szkoły średniej, kiedy pierwszy raz podjęliśmy służbę na misji.

Painter skinął głową.

– W takim razie proszę jeszcze raz wyjaśnić waszą sytuację.

– Po pierwsze, chcę pana zapewnić, że moim zdaniem Kai nie miała nic wspólnego z eksplozją. To nie ładunki wybuchowe, które rzuciła, były powodem tragedii.

Painter usłyszał, jak przy końcu zdania lekko łamie mu się głos. Wiedział, że antropolożka, która zginęła, była dla profesora bliską osobą. Kai położyła rękę na ramieniu starszego mężczyzny, jak gdyby chciała mu podziękować i równocześnie go pocieszyć.

– Mówiłem, że to nie C4... – burknął pod nosem Kowalski.

Painter, ignorując jego uwagę, odwrócił się do profesora.

– Wobec tego co, pana zdaniem, wywołało eksplozję?

Profesor spojrział mu prosto w oczy i odpowiedział:

– To proste. – Po czym z pełnym przekonaniem w głosie oświadczył: – Indiańska klątwa.

22.35

Rafaël Saint Germaine pozwolił pomóc sobie przy wysiadaniu z helikoptera. Strumień powietrza spod wirnika spłaszczył wypielęgnowany trawnik otaczający lądowisko. Inni mężczyźni może zarumieniliby się ze wstydu, gdyby potrzebowali takiej pomocy, ale on był do

tego przyzwyczajony. Nawet skok z wysokości kabiny na płytę lądowiska groził złamaniem kości.

Rafe – bo chciał, żeby tak go nazywano – od urodzenia cierpiał na *osteogenesis imperfecta*, czyli wrodzoną łamliwość kości polegającą na dziedzicznym zaburzeniu w wytwarzaniu kolagenu, którego wynikiem była kruchość kości i niski wzrost. Ze względu na niewielki garb spowodowany lekką skoliozą oraz mętność ciemnych oczu większość osób sądziła, że ma o wiele więcej niż trzydzieści cztery lata.

Nie był jednak inwalidą. Utrzymywał się w dobrej formie, przyjmując suplementy diety z bisfosfonianami i wapniem, a także eksperymentalne preparaty z hormonami wzrostu. Ćwiczył też zapamiętał, jak gdyby masą mięśni chciał nadrobić niedostatki kości.

Wiedział jednak, że jego największy atut nie kryje się w kościach ani mięśniach.

Kiedy wynoszono go z kabiny helikoptera, uniósł wzrok. Potrafił nazwać każdą konstelację i każdą gwiazdę widoczną na nocnym niebie. Miał ejdetyczną fotograficzną pamięć rejestrującą wszystkie informacje, na jakie natrafił. Często myślał o swojej kruchej czaszce jak o cienkiej skorupie, która osłania wielką czarną dziurę zdolną wchłonąć całe światło i mądrość.

Dlatego mimo jego niepełnosprawności rodzina pokładała w nim wielkie nadzieje. Musiał je spełnić, by zrekompensować własne mankamenty. Z powodu ułomności najczęściej odsuwano go na drugi plan, ukrywano, ale teraz, w tym pomyślnym momencie, był potrzebny i dostał szansę, aby przynieść chlubę rodzinie.

Mówiło się, że historia rodu Saint Germaine sięga czasów przed rewolucją francuską, a większa część fortuny rodzinnej pochodzi ze spekulacji wojennych. I choć we współczesnych czasach nie zerwali z działalnością tego rodzaju, dziś rodzinny biznes obejmował mnóstwo firm i przedsiębiorstw.

Rafe ze swoim wyjątkowym umysłem nadzorował projekty badawczo-rozwojowe Saint Germaine'ów, które prowadzono w ustronnym Regionie Rodano-Alpejskim niedaleko Grenoble.

Był to ośrodek wszelkich innowacji, tygiel przemysłu i badań naukowych. Rodzina Saint Germaine angażowała się w setki projektów w różnych laboratoriach i firmach, specjalizując się przede wszystkim w mikroelektronice i nanotechnologii. Sam Rafe mógł się poszczycić trzydziestoma trzema patentami.

Znał jednak swoje miejsce, znał ciemną stronę historii swojej rodziny, jej więzów z Prawdziwą Linią Rodu. Musnął palcami tył głowy, gdzie pod zasłoną włosów kryło się świeżo wygolone miejsce, wciąż obolałe po niedawno zrobionym tatuażu, wrytym w skórze znaku jego rodziny – i jego zobowiązania wobec jej mrocznego dziedzictwa.

Rafe opuścił ręce, patrząc w dal. Wiedział też, jak wykonywać rozkazy. Wezwano go tutaj, wydano mu odpowiednie instrukcje i przypomniano o historycznym szlaku, który doprowadził go do tej chwili. Miał szansę odcisnąć swoje piętno w dziejach świata, pokazać, co potrafi, i przynieść rodzinie chlubę i nieopisane bogactwa.

Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi helikoptera, dostrzegł w szybie swoje odbicie. Zawadiacko długie czarne włosy i arystokratyczne rysy zawsze przyciemnione lekkim zarostem sprawiały, że w oczach wielu osób uchodził za przystojnego mężczyznę. Na pewno nie uskarżał się na brak kobiet.

Nawet silne ramiona, które pomagały mu opuścić lądowisko, należały do przedstawicielki płci pięknej, choć niewielu uznałoby jego opiekunkę za piękność. Bardziej kojarzyłaby się ze słowem „groza”. Pozwolił sobie na lekki uśmiech. Postanowił, że później podzieli się z nią tym spostrzeżeniem.

– *Merci*, Ashando – powiedział, gdy puściła jego rękę.

Jeden z jego ludzi podał mu laskę. Rafe wsparł się na niej i czekał, aż reszta załogi opuści helikopter.

Ashanda stała obok niego z obojętną miną. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i skórę czarną jak nieprzenikniony mrok. Jako jego pielęgniarka i osobista ochrona należała do rodziny na takich samych prawach jak każdy, w którego żyłach płynęła krew Saint Germaine'ów. Jego ojciec znalazł ją na ulicach Tunezji, kiedy była małą dziewczynką. Była niema, bo obcięto jej język; znęcano się nad nią i sprzedawano jej ciało, dopóki nie uratował jej ojciec Rafe'a. Zabił człowieka, który zaproponował mu jej usługi, kiedy przechodził ulicą, załatwiając swoje interesy. Potem wykradł ją i umieścił w rodzinnym zamku pod warownym francuskim miastem Carcassonne, gdzie przedstawił ją chłopcu na wózku inwalidzkim i stała się pupilką i powiernicą wątłego dziecka.

Z daleka dobiegł krzyk. Rafe spojrział przez rozległy trawnik w stronę ciemnej rezydencji. Nie wiedział, kto jest właścicielem posiadłości, na której wylądowali, wystarczyło, że świetnie nadawała się do jego planów. Dom stał na zboczu Squaw Peak, skąd roztaczał się widok na Provo. Wybrał to miejsce ze względu na bliskość Uniwersytetu Brigham Younga.

Krzyk w rezydencji uciszył stłumiony wystrzał.

Każdą rzecz należało doprowadzić do końca.

Stanął przed nim jego zastępca, ubrany na czarno najemnik z Niemiec o nazwisku Bern, były żołnierz sił specjalnych Bundeswehry. Wysoki blondyn o niebieskich oczach, stuprocentowy Aryjczyk, lustrzane odbicie mroczniejszej natury Rafe'a.

– Jesteśmy gotowi. Odizolowaliśmy obiekty w jednym z budynków kampusu, wszystkie punkty dostępu są obstawione. Możemy ich zdjąć na pański rozkaz.

– Doskonale – odrzekł Rafe. Gardził angielskim, ale był to język powszechnie znany wśród najemników, wystarczający i odpowiedni ze względu na swój prymitywizm i brak prawdziwych subtelności. – Ale są nam potrzebni żywi. Przynajmniej dopóki nie zdobędziemy złotych płytek. Zrozumiano?

– Tak jest.

Rafe wskazał laską kampus. Przypomniawszy sobie, jak starszy mężczyzna i dziewczyna uciekali konno. Wprawdzie przechytrzyli jego zespół sprytną sztuczką, lecz była to tylko chwilowa komplikacja. Dzięki zapisowi wideo z pościgu i programowi rozpoznawania twarzy udało mu się zidentyfikować Indianina na koniu. Wkrótce ustalili, że historyk schronił się w miejscu, w którym czuł się najbezpieczniej – wrócił na łono swojego uniwersytetu. Rafe uśmiechnął się na myśl o takiej naiwności.

Tym dwojgu raz udało się wymknąć z jego pułapki, ale to się już nie powtórzy.

– Ruszajcie – rozkazał i zaczął kuśtykać w stronę rezydencji. – Przyprawdźcie mi ich. I tym razem mnie nie zawiedźcie.

22.40

– Co to za indiańska klątwa? – zapytał Painter.

Profesor Kanosh uniósł rękę.

– Proszę mnie wysłuchać. Wiem, jak to brzmi. Ale nie można lekceważyć mitu związanego z tą jaskinią. Przez stulecia starszyzna Ute, która przekazywała szamańską wiedzę z pokolenia na pokolenie, twierdziła, że każdy, kto wejdzie do świętej komnaty grobowej, ryzykuje, że

sprowadzi na świat katastrofę. Powiedziałbym, że tak to mniej więcej się odbyło.

Kowalski wydał gardłowy drwiący pomruk.

Profesor wzruszył ramionami.

– Sądzę, że w tych starych opowieściach musiało tkwić ziarno prawdy. Słynne ostrzeżenie, żeby niczego nie zabierać z jaskini. Wydaje mi się, że przez wieki ukrywano tam jakąś wybuchową substancję, a kiedy próbowaliśmy ją wynieść, eksplodowała.

– Ale co to mogło być? – spytał Painter.

Siedząca naprzeciw niego Kai poruszyła się niespokojnie na krześle. Odpowiedź na to pytanie też była dla niej ważna.

– Kiedy Maggie i ja zdjęliśmy złotą czaszkę z postumentu, była wyjątkowo zimna i poczułem, że coś się wewnątrz przesuwa. Maggie chyba też to poczuła. Podejrzewam, że w totemie coś ukryto, coś tak cennego, że zostało szczelnie zamknięte w skamieniałej czaszce.

Kowalski z niesmakiem skrzywił kącik ust.

– Dlaczego wybrali akurat czaszkę?

– Prehistoryczne skamieliny znajdowano w wielu indiańskich grobowcach razem z ciałami – wyjaśnił profesor. – Najwyraźniej otaczano je czcią. To Indianin pokazał pierwszym osadnikom wielkie pokłady skamielin, gdzie znaleziono szczątki mastodontów i innych wymarłych zwierząt, które rozpaliły wyobraźnię ówczesnych uczonych. Wśród osadników toczyły się gorące dyskusje o tym, czy takie zwierzęta żyją jeszcze na zachodzie. W niektórych uczestniczył nawet Thomas Jefferson. Jeżeli więc pradawni Indianie potrzebowali naczynia do przechowania czegoś, co było dla nich święte i prawdopodobnie niebezpieczne, wybór prehistorycznej czaszki nie wydaje się wcale taki dziwny.

– No dobrze – rzekł Painter. – Zakładając, że ma pan rację, co to mogło być? Co tam ukryli?

– Nie mam pojęcia. W tym momencie trzeba jeszcze ustalić, czy zmumifikowane zwłoki w jaskini to w ogóle szczątki rdzennych Amerykanów.

Siedzący obok Paintera profesor fizyki chrząknął.

– Hank, powiedz mu o radiowęglowym datowaniu szczątków.

Painter przeniósł wzrok z jednego profesora na drugiego.

Kanosh ociągał się z odpowiedzią, więc zniecierpliwiony i przejęty Denton wypalił:

– Wydział archeologiczny ustalił, że zwłoki pochodzą z początku dwunastego wieku. Zmarli dużo wcześniej, zanim pierwszy Europejczyk postawił stopę w Nowym Świecie.

Painter nie rozumiał znaczenia tej informacji ani podniecenia Dentona. Datowanie potwierdzało jedynie, że to ciała rdzennych Amerykanów.

Denton sięgnął po leżący na stole stary sztylet i podsunął go Painterowi. Crowe przypomniał sobie, że profesor wcześniej wymachiwał nim przed nosem Kanoshowi.

– Niech się pan uważnie przyjrzy – poprosił Denton.

Painter wziął nóż i obrócił w dłoniach. Trzonek był z pozółkłej kości, ale ostrze wyglądało na stal z pięknym, niemal lustrzanym połyskiem.

– Sztylet pochodzi z jaskini – wyjaśnił Kanosh.

Painter gwałtownie uniósł głowę.

– Miejscowy chłopak, który uciekł stamtąd po tamym morderstwie i samobójstwie, wziął nóż ze sobą. Potem skonfiskowaliśmy mu sztylet, bo zabieranie relikwii z indiańskich grobowców jest nielegalne. Ale niezwykle ostrze wymagało dokładniejszych badań.

Painter zrozumiał.

– Dlatego, że w tych czasach Indianie nie znali technologii wytwarzania stali.

– Zgadza się – przytaknął Denton, znacząco patrząc na Kanosha. – Zwłaszcza stali takiego rodzaju.

– Co ma pan na myśli? – spytał Painter.

Denton ponownie skierował wzrok na sztylet.

– To rzadki typ stali, którą można rozpoznać nawet po niezwykle falistym wzorze na powierzchni. Znany jako stal damasceńska. Taki metal produkowano tylko w średniowieczu w nielicznych odlewniach na Bliskim Wschodzie. Legendarne miecze z tej stali były najbardziej cenione w świecie. Podobno były najostrzejsze i niemal niezniszczalne. Metodę produkcji trzymano jednak w tajemnicy, a w siedemnastym wieku technologia ostatecznie zanikła. Nie udało się żadna z prób jej odtworzenia. Nawet dziś, choć potrafimy wyprodukować stal równie twardą, jeśli nie twardszą, nie umiemy odtworzyć stali damasceńskiej.

– Dlaczego?

Denton wskazał na mikroskop elektronowy, który szumiał we wnęce pomieszczenia.

– Żeby sprawdzić, czy nie pomyliłem się przy wstępnej ocenie, zbadałem stal na poziomie molekularnym. Udało mi się potwierdzić obecność w metalu cementytowych nanodrutów i nanorurek węglowych. Są charakterystyczne dla stali damasceńskiej i to one nadają materiałowi dużą wytrzymałość i twardość. Naukowcy na całym świecie badają próbki tej stali, starając się dojść, jak ją zrobiono.

Painter usiłował pojąć sens tej wiadomości. Wiedział, co to są nanodrut i nanorurki. Produkty uboczne współczesnej nanotechnologii. Nanorurki węglowe – sztucznie stworzone walce z atomów węgla – charakteryzowały się nadzwyczajną wytrzymałością i były już wykorzystywane w produkcji kasków ochronnych i kamizelek kuloodpornych. Nanodrut z kolei były długimi, pojedynczymi łańcuchami atomów wykazującymi rzadkie własności elektryczne i dawały nadzieję na przełom w mikroelektronice i produkcji mikroprocesorów. Nanotechnologia stała się już przemysłem o wartości miliardów dolarów i rozwijała się w zawrotnym tempie.

Dlatego nasuwało się pewne pytanie. Painter wskazał na zagadkowy sztylet.

– Sugeruje pan, że ci średniowieczni płatnerze potrafili manipulować materią na poziomie atomów i już w tamtych czasach złamali kod nanotechnologii?

Denton skinął głową.

– Niewykluczone. W każdym razie ktoś coś wiedział. Znaleziono też inne ślady dawnej nanotechnologii. Weźmy na przykład witraże w średniowiecznych kościołach. Pewnego rodzaju rubinowego szkła ze starych kościołów nie można dziś odtworzyć i wiemy już dlaczego. Badanie szkła na poziomie atomów wykazało obecność nanokul złota, których wytworzenia współczesna nauka wciąż nie umie wyjaśnić. Odkryto też inne podobne przykłady.

Painter próbował poukładać sobie to wszystko w głowie. Wziął sztylet.

– Jeżeli ma pan rację, jak w takim razie ten nóż znalazł się w Ameryce pogrzebany z ciałami pochodzącymi z dwunastego wieku?

Zauważył, że Denton i Kanosh spojrzeli po sobie. Indiański historyk lekko pokręcił głową. Fizyk wyraźnie bardzo chciał coś dodać i aż poczerwieniał na twarzy z wysiłku, by jednak zamilknąć. W końcu odwrócił wzrok. Painter przypomniał sobie gniewne słowa, które podsłuchał, wchodząc do laboratorium: „To właśnie może być dowód, którego szukamy! Dlaczego jesteś taki uparty?”.

Wydawało się, że naukowcy mają jeszcze inne przypuszczenia w tej sprawie, ale na razie nie mieli ochoty dzielić się nimi z osobą z zewnątrz. Painter nie naciskał. Miał do wyjaśnienia

pilniejszą kwestię.

Odwrócił się do Kai.

– Opowiedz mi o ludziach, którzy cię ścigali. Tych w helikopterze. Jak myślisz, dlaczego próbowali cię zabić?

Kai jak gdyby skuliła się w sobie. Zerknęła na profesora, który zyczliwie skinął głową. Kiedy się odezwała, w jej głosie wciąż brzmiał wyzywający ton.

– Myślę, że z powodu tego, co ukradłam – powiedziała. – Z jaskini.

– Pokaż mu – poprosił Kanosh.

Spod kurtki wyciągnęła dwie kwadratowe złote tabliczki o boku długości około dwudziestu centymetrów i grubości pół centymetra. Jedna wyglądała na świeżo wypolerowaną, na drugiej pozostała warstwa czarnego nalotu. Na powierzchni tabliczek Painter zauważył jakąś inskrypcję.

– Wyglądało na to, że w jaskini ukryto setki takich tabliczek – wyjaśnił Kanosh. – Były zamknięte w kamiennych skrzynkach i owinięte w korę jałowca. Kiedy Kai uciekała, skradła trzy tabliczki.

– Przecież tu są tylko dwie.

– Zgadza się. Jedną upuściła, wybiegając z jaskini. Na oczach kamer.

Painter uświadomił sobie, co to znaczy.

– Przypuszcza pan, że ktoś to zobaczył. I chciał sprawdzić, czy ma więcej złota.

– Jeżeli to jest złoto – odezwał się fizyk.

Painter odwrócił się do Dentona.

– Sprawdziłem te płytki pod mikroskopem elektronowym, tak jak sztylet. Metal ma kolor złota, ale jest od niego twardszy. Znacznie twardszy. Złoto jest zazwyczaj stosunkowo miękkim, kowalnym metalem, lecz tabliczki są twarde jak kamienie szlachetne. Analiza mikroskopowa ujawniła niezwykle gęstą strukturę atomów złożoną ze struktur makromolekularnych atomów złota zbitych ciasno jak kawałki układanki. Cały układ spajają takie same cementytowe nanodruły, jakie wykryłem w sztylcie.

– Pokręcił głową. – Nigdy nie widziałem niczego takiego. Są bezcenne.

– I najwyraźniej warto dla nich zabić – dodał Painter.

Po tych słowach nagle zgasły światła. Wszyscy zamarli, wstrzymując oddech. W korytarzu jarzyło się kilka zasilanych akumulatorowo lampek awaryjnych, ale do laboratorium sączyło się niewiele światła. Pod stołem rozległo się ciche warczenie psa. Painter poczuł, jak jeżą mu się włoski na rękach. Kiedy oczy przyzwyczyły mu się do ciemności, dostrzegł krępy, ciemny kształt, który czujnie jak strażnik pojawił się u nóg krzesła Kanosha.

– Spokój, Kawtch – ostrzegł go półgłosem profesor. – Wszystko w porządku.

Kowalski głośno sapnął.

– Pan wybaczy, ale tym razem powinien pan posłuchać swojego psa. Nic tu nie jest w porządku.

Kai zsunęła się z krzesła i stanęła za Painterem. Wyciągnął za siebie rękę i ujął ją za przegub dłoni. Gdy od strony schodów dobiegł jakiś głośny huk, odbijając się echem w korytarzach, poczuł pod palcami, jak przyspiesza jej puls.

Kawtch znowu warknął.

Painter szepnął do fizyka:

– Można się stąd jakoś wydostać? Jest wyjście awaryjne?

– Nie – odpowiedział mu przestraszony szept. – Laboratorium nie bez powodu jest w podziemiu. Wszystkie wyjścia prowadzą na schody i do głównego budynku.

A więc jesteśmy w pułapce.

31 maja, 1.12

Takoma Park, stan Maryland

– Na następnym skrzyżowaniu w lewo – polecił taksówkarzowi Gray.

Seichan wyraźnie widziała jego niepokój. Od rozpaczliwego telefonu matki był kłębkim nerwów.

Wychylając się z tylnego siedzenia i wskazując drogę wyciągniętą ręką, sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał przeleźć przez oparcie i sam przejąć kierownicę. W drugiej ręce wciąż ściszał telefon. Podczas drogi na przedmieścia stolicy kilka razy próbował się dodzwonić do domu rodziców, ale nikt nie odbierał, co jeszcze bardziej go zdenerwowało.

– Proszę skręcić w Cedar – rozkazał. – Będzie szybciej.

Podczas gdy Gray siedział na brzeżku fotela jak na szpilkach,

Seichan patrzyła przez okno. Taksówka przemknęła obok biblioteki Takoma Park i skręciła w ciemny labirynt wąskich uliczek, przy których stały niewielkie domki w stylu królowej Anny i dostojne wiktoriańskie budynki. Szczelny okap dębów i klonów zmienił ulice w liściaste tunele, których załomy tłumy blask nielicznych latarni.

Przyglądając się ciemnym domom, próbowała sobie wyobrazić mieszkających tam ludzi, ale takie życie było jej obce. Ze swojego dzieciństwa w Wietnamie pamiętała niewiele. Nie miała żadnych wspomnień o ojcu, a to, co pamiętała o matce, wolałaby zapomnieć: jak wyrwano ją z ramion krzyczącej matki, którą zakrwawioną wywlekli z domu mężczyźni w wojskowych mundurach. Resztę dzieciństwa Seichan spędziła w szeregu nędznych sierocińców, na zmianę głodzona i maltretowana.

Spokojne domy szczęśliwych ludzi nic dla niej nie znaczyły.

Wreszcie taksówka skręciła w Butternut Avenue. Seichan tylko raz była w domu rodziców Graya. Została wtedy ranna i uciekła do jedyne go człowieka, któremu mogła zaufać. Z ukosa spojrzała na Graya. Ostatni raz była tak blisko niego prawie trzy miesiące temu. Twarz chyba jeszcze bardziej mu wychudła i wyostrzyły się jej rysy, które łagodziła tylko miękkość pełnych warg. Przypomniała sobie, jak kiedyś w chwili słabości pocałowała te wargi. Nie było w tym żadnej czułości, tylko rozpaczliwa potrzeba. Nawet teraz pamiętała tamto gorące dotknięcie, szorstkość jego zarostu, siłę uścisku. Ale takie spokojne życie jak w tej dzielnicy nie było dla niej.

Poza tym, o ile wiedziała, Gray wciąż był zainteresowany pewną porucznik włoskich karabinierów, z którą niezobowiązująco spotykał się od czasu do czasu. Tak przynajmniej było jeszcze przed kilkoma miesiącami.

Nagle Gray bezsilnie zacisnął powieki, ukazując głębokie zmarszczki w kącikach oczu. Spojrzała przed siebie. Ulica była ciemna tak samo jak cała dzielnica, ale przed sobą zobaczyła bungalow z szeroką werandą i okapem spadzistego dachu. We wszystkich oknach paliło się

mocne światło. Tam na pewno nikt nie spał.

– To ten dom – powiedział do kierowcy Gray.

Zanim taksówka zdążyła się zatrzymać, wyskoczył z niej, rzucając kierowcy garść banknotów. Seichan napotkała wzrok taksówkarza w lusterku. Jego mina sugerowała, że ma ochotę ostro zareagować na tak nieuprzejme traktowanie, ale kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, szybko odwrócił wzrok i nie odezwał się ani słowem. Wyciągnęła rękę.

– Reszta.

Zostawiwszy mu niewielki napiwek, schowała resztę i wysiadła.

Poszła za Grayem, który przebiegł przez ulicę, lecz nie skierował się na werandę od frontu. Z boku domu biegła wąska dróżka prowadząca do garażu z tyłu. Podnoszona brama była otwarta, a na tle oświetlonego wnętrza widać było dwie szczupłe sylwetki. Nic dziwnego, że nikt nie odbierał telefonu.

Gray szybkim krokiem ruszył dróżką w stronę bramy.

Gdy Seichan zbliżyła się do otwartego garażu, usłyszała jęk piły tarczowej, wizg metalu wrzynającego się w drewno, poczuła cedrowy zapach trocin.

– Jack, obudzisz całą dzielnicę – błagał płaczliwy kobiecy głos. – Wyłącz to i wracaj do łóżka.

– Mamo... – Gray wbiegł w sam środek dramatu.

Seichan cofnęła się o kilka kroków, jednak matka Graya ją zobaczyła i zmarszczyła brwi, usiłując rozpoznać nieznaną kobietę, która towarzyszyła jej synowi. Ostatni raz widziały się przed dwoma laty. W końcu starsza pani ją poznała, a na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie i – czemu nie należało się dziwić – lęk.

Seichan także była zdumiona, jak postarzeli się rodzice Graya, którzy wyglądali jak cienie siebie samych. Matka z włosami w nieładzie miała na sobie podomkę ściągniętą paskiem i kapcie. Ojciec stał boso, ubrany w T-shirt i bokserki odsłaniające przypiętą do uda protezę nogi.

– Harriet! Gdzie moja szlifierka? Dlaczego ciągle musisz grzebać w moich rzeczach?

Ojciec Graya stał przy stole warsztatowym poczerwieniały z wściekłości, a od wysiłku pot perlił mu się na czole. Usiłował zamocować kawałek drewna w szczękach imadła. Za jego plecami nadal pracowała piła tarczowa, wokół której leżały na podłodze bezładnie pocięte kawałki dębiny, jak gdyby próbował zrobić elementy drewnianej układanki znanej tylko sobie.

Gray podszedł do gniazdka i odłączył piłę, po czym wrócił do ojca i próbował delikatnie odsunąć go od stołu warsztatowego. Nagle dostał łokciem w twarz. Zatoczył się do tyłu.

– Jack! – wrzasnęła matka.

Ojciec rozejrzał się zaskoczony. Wydawało się, że coś do niego dotarło przez mgłę dysocjacji, jaka dotknęła jego umysł.

– Nie... nie chciałem... – Położył sobie dłoń na czole, jakby chciał sprawdzić, czy ma gorączkę. Potem wyciągnął rękę do Graya. – Przepraszam, Kenny.

Gray lekko się wzdrygnął.

– Jestem Gray, tato. Kenny ciągle mieszka w Kalifornii.

Seichan знаła jedyne go brata Graya, który rozkręcał jakąś firmę internetową w Dolinie Krzemowej. Gray z rozciętą wargą, z której sączyła się krew, tym razem ostrożniej podszedł do ojca.

– Tato, to ja.

– Grayson? – Pozwolił synowi wziąć się za rękę. Rozejrzał się po garażu zaczerwienionymi, zmęczonymi oczami. Przez jego twarz przemknął cień lęku. – Co... gdzie...?

– Wszystko w porządku, tato. Chodźmy do środka.

Osłabł nagle i zachwiał się na protezie.

– Muszę się napić piwa.

– Zaraz ci przyniesiemy.

Gray zaprowadził go do tylnych drzwi domu. Harriet została przed garażem z rękami ciasno skrzyżowanymi na piersi. Seichan stała kilka kroków dalej, czując się nieswojo.

Pełne łez oczy matki odnalazły jej twarz.

– Nie umiałam go powstrzymać – powiedziała, czując potrzebę, żeby się komuś wytłumaczyć.

– Obudził się przejęty i wydawało mu się, że jest w Teksasie i zasnął do pracy. Potem wyszedł do garażu. Bałam się, że sobie odetnie rękę.

Seichan zrobiła krok w jej stronę, ale nie znalazła żadnych słów pociechy dla zrozpaczonej kobiety. Matka Graya jak gdyby to wyczuwała, przeczesała włosy palcami i wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić, prostując nieco plecy. Seichan nieraz widziała, jak Gray robił to samo. W tym momencie zrozumiała, skąd czerpie tę odporność.

– Powinnam pomóc Grayowi położyć go z powrotem do łóżka. – Ruszyła w stronę domu, a kiedy mijala Seichan, wzięła ją za rękę i ścisnęła. – Dziękuję, że pani przyjechała. Gray zawsze za dużo bierze na siebie. To dobrze, że tu pani jest.

Matka doszła do drzwi, zostawiając na podwórku Seichan, która potarła rękę wciąż ciepłą od dotyku jej dłoni. Poczowała niewytłumaczalny ucisk w piersi. Nawet tak drobny gest włączenia jej w krąg rodziny wytrącił ją z równowagi.

Harriet odwróciła się do niej przy drzwiach.

– Chce pani zaczekać w środku?

Seichan wycofała się i wskazała w stronę frontu.

– Będę na werandzie – powiedziała.

– To na pewno nie potrwa długo. – Ze smutnym, przeproszającym uśmiechem zamknęła za sobą drzwi.

Seichan stała jeszcze chwilę, po czym zawróciła do garażu, chcąc coś zrobić, żeby się uspokoić. Wyłączyła światła, zamknęła bramę i ruszyła w stronę głównego wejścia. Weszła na werandę i opadła na ławkę skąpaną w blasku lampy z salonu. Czuła się odkryta, bo jasne światło wyraźnie wydobywało z mroku jej sylwetkę, ale w pobliżu nie było nikogo. Aleja nadal była ciemna i pusta, a mimo to ją kusila. Seichan przez chwilę miała ochotę uciec. Jej jedynym prawdziwym domem była ulica.

Wreszcie światła w domu zaczęły gasnąć po kolei. Usłyszała stłumione głosy, ale nie rozumiała poszczególnych słów. To był spokojny szmer rodzinnej rozmowy. Czekala w zawieszeniu między pustką ulicy a ciepłem domu.

W końcu zgasło ostatnie światło, pograżając podwórko w ciemnościach. Seichan usłyszała kroki; z boku otworzyły się drzwi. Wyszedł zza nich Gray i przeciągle westchnął.

– Wszystko w porządku? – spytała cicho.

Wzruszył ramionami. Co tu można było powiedzieć? Podeszedł do niej.

– Chciałbym jeszcze zostać z pół godziny. Sprawdzić, czy nic się nie będzie działo. Mogę zadzwonić po taksówkę dla ciebie.

– I dokąd miałabym jechać? – zapytała, chcąc złagodzić ponury nastrój odrobiną czarnego humoru.

Gray usiadł obok niej, odchylając się na oparcie. Przez długą chwilę milczał.

– Nazywają to syndromem zachodzącego słońca – rzekł wreszcie, pragnąc najwyraźniej się

wygadać, a może sam próbował zrozumieć, nazywając swoje cierpienie. – U niektórych chorych na alzheimera objawy demencji nasilają się wieczorem. Właściwie nie wiadomo dlaczego. Niektórzy twierdzą, że z powodu zmian hormonalnych zachodzących wieczorem. Inni, że to rozładowanie stresu i wrażeń sensorycznych nagromadzonych w ciągu dnia.

– Jak często to się zdarza?

– Ostatnio regularnie. Trzy, cztery razy w miesiącu. Ale przez resztę nocy wszystko powinno być w porządku. Takie wybuchy chyba go wyczerpują. Powinien dobrze spać. Na drugi dzień czuje się znacznie lepiej.

– I za każdym razem tu przyjeżdżasz?

Znów wzruszył ramionami.

– Kiedy tylko mogę.

Zapadło milczenie. Gray patrzył przed siebie, prawdopodobnie w przyszłość. Podejrzewała, że się zastanawia, jak długo będzie sobie dawał radę sam.

Uznając, że zmiana tematu dobrze mu zrobi, Seichan poruszyła drugą sprawę.

– Masz jakieś wiadomości od swojego partnera?

Gray pokręcił głową. Jego głos zabrzmiał mocniej; tu stał na pewniejszym gruncie.

– Żadnego telefonu. Archiwiści pewnie dopiero rano skończą dokładne przeszukanie zasobów. Chyba się jednak domyślam, dlaczego ten list od Franklina do francuskiego uczonego pojawił się w kontekście ostatnich działań Gildii.

Usiadła prosto. Zdobycie kopii listu kosztowało ją wiele, omal nie doprowadzając do jej zdemaskowania.

– Z tego, co mi powiedziałaś – ciągnął – list Franklina został ujawniony dwanaście dni temu.

– Zgadza się.

– Czyli tuż po odkryciu tej jaskini w Utah.

– Wspominałeś o tym, ale ciągle nie rozumiem, jaki to ma związek.

– Wydaje mi się, że sedno leży w dwóch słowach z listu. „Błdzi Indianie”.

Pokręciła głową, przypominając sobie fragment listu. Czytała tłumaczenie tyle razy, że znała je na pamięć.

Po tym zdarzeniu już wszyscy, którzy wiedzieli o Potężnym Elik sirze i Błdych Indianach, odeszli do Pana.

Wciąż jednak nie rozumiała.

– No i co?

Gray przysunął się bliżej, jak gdyby próbował fizycznie poprzeć swoje racje.

– Zaraz po odkryciu jaskini rozpoczęło się dochodzenie w sprawie identyfikacji znalezionych zmumifikowanych zwłok. Grupy rdzennych Amerykanów roszczą sobie pretensje do szczątków, ale ich prawa budzą wątpliwości, bo ciała wyglądają bardziej na zwłoki białych.

– Białych?

– Błdych Indian – rzekł z naciskiem Gray. – Jeżeli Gildia, dawny wróg Franklina, była w przeszłości zamieszana w jakąś sprawę z białoskórymi Indianami, to nieoczekiwane odkrycie jaskini pełnej zmumifikowanych szczątków i reliktyw na pewno wyciągnęłoby ją z ukrycia. Franklin i Jefferson wyraźnie czegoś szukali, czegoś, co ich zdaniem zagrażało młodej unii. Widocznie ich wrogom też na tym zależało.

– Jeżeli masz rację, to ciągle im na tym zależy – dodała. – No co myślisz? Że Gildia spowodowała wybuch w Utah?

– Nie sądzę. Ale tak czy inaczej, muszę zawiadomić dyrektora Crowe’a. Jeżeli mam rację, to

właśnie przystępuje do wojny, która toczy się od stuleci.

30 maja, 23.33

Provo, stan Utah

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności w laboratorium, Kai wysunęła rękę z uścisku wuja. Z korytarza sączył się nikły blask podświetlonych znaków awaryjnych.

Przeszukała wzrokiem labirynt ciemnego laboratorium gotowa się rzucić do ucieczki. Był to zawsze jej pierwszy środek obrony. Wychowana w rodzinach zastępczych szybko nauczyła się odczytywać znaki ostrzegawcze. Aby przetrwać, trzeba było umieć wyczuć nastroj, wiedzieć, kiedy trzeba zachować czujność, a kiedy nie ustępować w domu, w którym nikt cię nie chce lub ledwie toleruje.

Profesor Kanosh podniósł się z podłogi, gdzie przyklęknął, żeby uspokoić swojego psa Kawtcha.

– Może to tylko przerwa w dostawie prądu – zasugerował.

Kai uchwyciła się tej nadziei, wiedziała jednak, że to akt rozpacz. Spojrzała na wuja, szukając pocieszenia.

Painter podszedł do telefonu stojącego na biurku i podniósł słuchawkę. Kai przemknął przez głowę obraz Indianina, który przyciska ucho do ziemi, nasłuchując oznak zagrożenia. Zobaczyła teraz współczesną wersję tego stereotypu.

– Nie ma sygnału – powiedział i odłożył słuchawkę. – Ktoś odciął linię.

Otoczyła się mocno ramionami. No i masz swoją nadzieję...

Painter odwrócił się do swojego wysokiego towarzysza i wskazał na drzwi laboratorium.

– Kowalski, pilnuj korytarza. W razie potrzeby zabarykaduj wejście.

Zwalisty mężczyzna podszedł ciężkim krokiem do drzwi, odsłaniając połę długiego płaszcza, spod której ukazała się przypięta do nogi strzelba. Kai znała się trochę na broni z czasów, kiedy chodziła z ojcem na polowania, ale w tej było coś dziwnego, zwłaszcza zagadkowe były przymocowane do kolby dodatkowe pociski, z jednej strony zakończone kolcami. Widok strzelby uświadomił jej jednak, że wszystko to się dzieje naprawdę. Serce podskoczyło jej do gardła, a zmysły wyostrzyły się do granic możliwości.

– Co robimy? – zapytał Denton.

– Powinniśmy się ukryć – wyrwało się Kai usiłującej opanować drżenie, które groziło atakiem gwałtownego dygotu. Cofnęła się o krok, szukając spokoju w ciemnych zakamarkach pracowni.

Painter zatrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu. Przyciągnął ją bliżej. Nie opierała się, przywierając do niego, ale czuła się, jakby obejmowała metalowy słup. W twardym ciele Paintera nie było nic prócz determinacji.

– Ukrywanie się nic nie da – wyjaśnił. – Najwyraźniej ktoś cały czas was śledził. Wytropił cię i wysłał oddział szturmowy, żeby cię wypłoszyć. Przeczeszą całe centrum, dopóki cię nie znajdą. Jedyna nadzieja w tym, że zanim odważą się zapuścić w podziemia, najpierw przeszukają

główny budynek. W tym czasie musimy znaleźć inne wyjście.

Kai spojrzała w sufit, wyobrażając sobie, jak zostaje pogrzebana w laboratorium.

– Może górą? – zapytała, chwytając się każdego sposobu.

Painter uściśnął ją z uznaniem. Dzięki temu odzyskała część władzy w nogach.

– Co panowie na to? – zwrócił się do profesorów. – Są tu jakieś kanały wentylacyjne? Tunele instalacyjne?

– Przykro mi – odrzekł drżącym głosem Denton. – Znam wszystkie plany tego budynku. Nie ma niczego takiego. W każdym razie nie na tyle dużego, żeby się przeczołgać. Nad sobą mamy ze trzydzieści centymetrów zbrojonego betonu, a wyżej metr ziemi, kamieni i trawnika.

– Mała ma jednak dobry pomysł. – Burkliwa uwaga padła od drzwi, z ust Kowalskiego. – Może zrobimy sobie własne wyjście?

Rzucił coś wielkości dojrzałej brzoskwini Painterowi, który złapał przedmiot jedną ręką. Poczuli, jak wuj wzdrygnął się, a po chwili zaklął pod nosem.

23.35

Painter spojrzał na to, co trzymał w dłoni. Choć jego wzrok trochę się przyzwyczał do ciemności, trudno mu było obejrzeć przedmiot, ale sądząc po chemicznym zapachu i tłustawym dotyku gliniastej substancji, był prawie pewien, co to jest.

Z trudem otrząsnął się z szoku i zapytał:

– Kowalski, skąd masz C cztery?

Kowalski wzruszył ramionami.

– Zostało mi z poprzedniego razu.

Z poprzedniego razu?

Painter zmarszczył brwi, sięgając pamięcią wstecz; po chwili sobie przypomniał, jak agent w jego gabinecie ugniatał w dłoni kawałek plastycznego materiału wybuchowego, jak gdyby to była piłeczka antystresowa. Być może tak go właśnie traktował, skoro dotąd się go nie pozbył.

Painter opuścił rękę i z niedowierzaniem pokręcił głową.

Nosić materiały wybuchowe po kieszeniach – na Kowalskiego zawsze można liczyć.

W związku z tym nasuwało się jeszcze jedno pytanie.

– Nie sądzę, żebyś miał spłonkę do kompletu?

Kowalski lekceważąco odwrócił się do niego tyłem, patrząc na korytarz.

– No co pan, szefie. Nie mogę myśleć o wszystkim.

Painter rozejrzał się po laboratorium, zastanawiając się, jak można napędce zrobić jakiś detonator. C4 było znane z dużej stabilności. Wytrzymało podpalenie, ostrzał, potraktowanie prądem – w ten sposób nie można go było zdetonować. Wybuchło dopiero w wyniku silnej fali uderzeniowej wywołanej przez eksplodującą spłonkę.

Denton zbliżył się i zaproponował:

– Może w laboratorium fizyki stosowanej znajdzie się coś, czego potrzeba. Współpracują z miejscowymi firmami górniczymi i przechowują tam spłonki i detonatory.

– Gdzie to jest?

– Za klatką schodową.

Painter w duchu westchnął. Tam akurat nie chciał iść. Ryzykował, że zostaną znaleźni, ale nie miał wyboru. Przyjrzał się Dentonowi. Nie cierpiał angażować cywilów, ale w tym podziemiu czuł się jak w labiryncie i nie miał pojęcia, gdzie ma zacząć szukać spłonek w drugim

laboratorium.

– Profesorze Denton, zechciałby pan ze mną iść? Żeby mi pokazać?

Profesor skinął głową, ale bez entuzjazmu.

Painter podszedł do Kowalskiego i oddał mu uformowany w kulę materiał wybuchowy.

– Znajdź miejsce, gdzie by to można podłożyć. Przy belce stropowej czy gdzie indziej, gdzie najłatwiej będzie wybić dziurę na powierzchnię. Jak najdalej od budynku centrum w kierunku kampusu.

Painter domyślał się, że wszystkie wyjścia zostały obstawione. Gdyby jego plan się udał, chciał wyjść spod ziemi poza zasięgiem siatek rozstawionych wokół budynku.

Denton wyciągnął rękę.

– Najbardziej z tyłu jest komora akceleratora cząstek.

– Wiem, gdzie to jest – dodał Kanosh. – Prosto, na samym końcu korytarza. Nie można nie trafić. Zaprowadzę go.

– To dobrze. Proszę zabrać Kai i psa. Schowajcie się tam, dopóki nie wrócimy.

Painter czuł presję czasu i szybko ocenił, czego będzie potrzebował, żeby tego dokonać. Denton pomógł mu zebrać niezbędne narzędzia. Następnie Painter podszedł do Kowalskiego, wyciągając z kabury swojego sig sauera. Wymienił swoją broń na jego zmodyfikowaną strzelbę załadowaną pociskami paralizującymi.

– Chroń resztę. Strzelaj, żeby zabić.

Kowalski spojrzał na niego spode łba.

– Inaczej nie umiem.

Kai zbliżyła się do zwałistego mężczyzny, ale wciąż nie odrywała oczu od Paintera.

– Uważaj na siebie, wujku Crowe...

– Taki mam właśnie zamiar. – Mimo to nie mógł się pozbyć złych przeczuc, gdy wskazał na drzwi. – Ruszajcie wszyscy.

23.36

Siedząc na skórzanym fotelu za biurkiem w bibliotece rezydencji, Rafe wpatrywał się w monitor laptopa. Oglądał przekaz na żywo z przebiegu akcji na wielu ekranach równocześnie, pokazujący obraz z kamer zamontowanych na czarnych hełmach jego najemników. Na widok rozedrganej mozaiki różnych ujęć mogło się zrobić niedobrze, ale Rafe nie potrafił oderwać wzroku.

Wcześniej obejrzał pierwszą fazę ataku, gdy odcięto prąd i linie telefoniczne, a wszystkie wyjścia zostały obstawione. Przez różne drzwi wypadło kilkoro zszokowanych studentów, uciekając z ciemnego budynku. Szybko ich zlikwidowano, a ciała błyskawicznie ukryto. Oddział szturmowy wszedł do środka, przeszukując piętro po piętrze.

Rafe nie zdziwił się, że wyłączenie zasilania nie wypłoszyło na zewnątrz jego obiektów tak jak studentów. Po wydarzeniach w górach jego ofiary stały się ostrożniejsze, ale Bern starannie wyselekcjonował ludzi, dobierając najbardziej skrupulatnych i bezwzględnych. Wiedział, że na pewno odnajdą obiekty.

Na jednym z narożnych ekranów pojawiła się twarz Berna, który skierował na siebie kamerę, chcąc złożyć meldunek z miejsca akcji. Jego transmitowany cyfrowo głos nieco się rwał.

– Wszystkie piętra czyste. Zostają tylko podziemia. Kieruję tam ludzi.

– Bardzo dobrze. – Rafe zbliżył twarz do ekranu, niecierpliwie czekając na obraz.

A więc uciekli do piwnicy jak przerażone szczury. Nieważne. Mam najlepszych szczurołapów na świecie.

Jego uwagę przyciągnęło kwilenie dobiegające z fotela uszaka stojącego przy kominku. Płomienie tańczyły w palenisku, rzucając cienie – ciemne jak jego czarna królowa Ashanda, która siedziała w fotelu, trzymając w ramionach najwyżej czteroletniego chłopczyka. Dziecko miało zasmarkaną i zalaną łzami twarz. W szeroko otwartych oczach malowało się śmiertelne przerażenie. Pewnie powinni zabrać z salonu ciało jego matki, ale nie było czasu na takie subtelności. Kobieta leżała na perskim dywanie, a jej krew i mózg psuły finezyjny wełniany wzór.

Ashanda wpatrywała się w ogień, delikatnie gładząc włosy chłopca. Jeden z ludzi Berna zaproponował, że może skrócić jego cierpienia jednym szybkim i skutecznym cięciem, lecz Ashanda, osłaniając dziecko, odtrąciła na bok muskularnego najemnika jak szmacianą lalkę.

W każdej sytuacji była opiekunką.

Rafe westchnął. Chłopcem trzeba się będzie zająć później, ale nie w obecności Ashandy.

A tymczasem...

Odwrócił się do ekranu, skupiając na nim całą uwagę.

Wróćmy do przedstawienia.

23.38

Painter pracował pospiesznie przy stole w laboratorium fizyki stosowanej, a Denton przyświecał mu latarką. Profesor przeprowadził go bezpiecznie do pracowni, która znajdowała się niedaleko schodów do głównego budynku.

Mimo skrupułów w związku z zaangażowaniem cywila Painter cieszył się, że Denton mu towarzyszy. Laboratorium było ukryte w bok od korytarza i łatwo mógłby je przeoczyć. W długim i wąskim pomieszczeniu znajdowały się przeróżne narzędzia i urządzenia, z których największym była duża prasa HPHT ze stalowymi kowadłami używana do badań nad wysokimi ciśnieniami, jakie są potrzebne na przykład do wytwarzania syntetycznych diamentów.

Cel Paintera był jednak cenniejszy niż jakikolwiek diament.

Denton zaprowadził go do zamkniętej szafki. Po kilku chwilach gorączkowego poszukiwania klucza wreszcie ją otworzył i podał Painterowi pudełko elektrycznych spłonek.

– To się nada? – spytał pełnym nadziei, zdyszany szeptem.

Musiało się nadać... choć wymagało innego prowizorycznego rozwiązania.

Painter skoncentrował się na pracy, przeprowadzając delikatną operację za pomocą pęsety i kleszczy o cieniutkich szczękach. Ten rodzaj spłonek do odpalenia wymagał impulsu elektrycznego, na przykład z baterii telefonu komórkowego albo innego źródła. Przy detonacji C4 lepiej było nie przebywać obok ładunku. Painter potrzebował zdalnego sposobu odpalenia detonatora, a wobec braku zasięgu sieci komórkowej w podziemiu zostawało mu tylko jedno wyjście.

Bardzo ostrożnie mocował przewody spłonki do zacisków baterii wypatroszonego pocisku Taser XREP. Był tej samej wielkości co standardowa amunicja kalibru dwanaście, ale miał przezroczysty płaszcz i zamiast śrutem był wypełniony elektroniką. Mimo doświadczenia w elektrotechnice i konstrukcji mikroukładów Painter wstrzymywał oddech. Każdy błąd mógł przypłacić utratą palców.

Podłączając ostatni przewód – i sprawdzając, czy nie naruszył transformatora oraz

mikroprocesora urządzenia – usłyszał podejrzany dźwięk za drzwiami laboratorium. Dobięło ich charakterystyczne stąpanie ciężkich butów na schodach, a potem stłumione głosy wypowiadające szybkie, krótkie zdania, bez wątpienia głosy żołnierzy. Oddział poszukiwawczy zmierzał na dół pewny siebie, poruszając się z minimalną ostrożnością w przekonaniu, że cel ich ataku to tylko przerażeni, bezbronni cywile.

Painter szybko zmontował prowizoryczny pocisk, schował go do kieszeni i chwycił strzelbę Mossberg, która stała oparta o stół. Odwrócił się do Dentona i wskazując na drzwi, szepnął:

– Na mój znak wróci pan do reszty. Spróbuję trochę zyskać na czasie.

Profesor skinął głową, ale kieszonkowa latarka lekko zadrżała, kiedy ją wyłączał.

Painter ruszył pierwszy do drzwi laboratorium i zrobił kilka kroków w głąb korytarza. Mając Dentona za plecami, wyrzwał zza narożnika. W nikłym świetle znaków awaryjnych ujrzał grupkę mężczyzn w czarnych uniformach komandosów, zebranych u stóp schodów. Porozumiewając się za pomocą gestów, zespół właśnie się rozdzielał: jedna połowa miała przeszukać piwnicę pod centrum, druga szykowała się do wejścia do podziemi sięgających na północ od budynku.

Painter nie miał ani chwili do stracenia. Położył palec na ustach i machnął ręką Dentonowi, żeby poszedł korytarzem, oddalając się od grupy przy schodach. Denton krótko miał być na widoku. Pięć metrów dalej ciemny korytarz gwałtownie skręcał w lewo. Kiedy profesor znalazł się za zakrętem, miał już prostą drogę do pozostałych.

Denton chyba to sobie uświadomił. Trzymając się blisko ściany, pobiegł do kryjówki. Painter obserwował zespół przez celownik przeziernikowy na mossbergu. Gdyby któryś z nich wykonał gwałtowny ruch w stronę Dentona, Painter zamierzał zwalić go z nóg piorunującym ładunkiem z pocisku Taser. Zaskoczeni kontratakami napastnicy powinni się na moment ukryć, a Painter zyskałby cenne sekundy, by pokonać ten sam zakręt co Denton, zanim oddział się przegrupuje.

Nie odrywając wzroku od zespołu szturmowego, słuchał cichych kroków wycofującego się Dentona. Kiedy naukowiec dotarł do zakrętu, rozległy się stamtąd dwa suche kaszlnięcia. Painter odwrócił się i zdążył zobaczyć, jak ciało Dentona odrywa się od zakrętu i uderza w przeciwległą ścianę. Profesor bez połowy twarzy osunął się na podłogę jak gumowy manekin.

Painter powstrzymał się przed reakcją, zachowując niezmacony spokój i kamieniejąc ze wściekłości.

Zza zakrętu korytarza wyłoniła się wysoka postać trzymająca dymiący pistolet z tłumikiem. Mężczyzna miał na sobie taki sam czarny strój wojskowy jak reszta, a jego hełm był wyposażony w gogle noktowizyjne. W przeciwieństwie do kolegów z oddziału w jego zachowaniu nie było niczego niedbałego. Pewność ruchów sugerowała, że to dowódca. Musiał się bezszelestnie przekraść obok Paintera ukrytego w laboratorium fizyki stosowanej, wychodząc na pozycję jedyńki i prowadząc rozpoznanie. Sądząc po postawie ciała zdradzającej ostrożność, profesor pewnie go zaskoczył. Żołnierz wyraźnie nie zamierzał dopuścić do powtórki takiej sytuacji, odwracając się gwałtownie w kierunku Paintera.

Wszystko jedno, czy go zauważyli, czy nie, Painter wiedział, że jego jedyna szansa to przejście do ofensywy. Skulony dał nura w głąb korytarza. Szczęknął pistolet – mężczyzna strzelił w jego stronę, ale w pośpiechu za wysoko.

Padając na bark, Painter odpowiedział ogniem. Strzelba potężnie huknęła w korytarzu. Trafił mężczyznę w górną część uda, a w półmroku błysnęła błękitna iskra z pocisku paralizującego. Żołnierz wydał stłumiony krzyk, zeszytniał i dostał drgawek, które wstrząsnęły jego rękami i nogami. Gdy runął na podłogę, Painter przewrócił się na plecy, jedną ręką pompując mossberga, wyrzucając zużyty nabój i ładując następny.

Zerwał się na nogi, strzelił na oślep w kierunku schodów i odwrócił się od napastników. Usłyszał zaskoczony wrzask – znak, że kogoś trafił. Uskrzydłony tym małym zwycięstwem popędził w głąb korytarza. Gdy dotarł do zakrętu, przeskoczył przez drgające ciało napastnika, który urządził na nich zasadzkę.

Mijając go, zerknął na Dentona leżącego na podłodze i już wiedział, że fizyk nie żyje. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Profesor był pod jego ochroną. Nie powinien go tak narażać – wiedział jednak, dlaczego to zrobił.

Wyobraził sobie przerażoną twarz Kai z szeroko otwartymi sarnimi oczami, wyglądającą na znacznie mniej niż osiemnaście lat. Podjął ryzyko, którego w innych okolicznościach nie odważyłby się podjąć, a za jego lekkomyślność zapłacił inny człowiek.

Ale w tym momencie nie miał czasu na roztrząsanie swojej winy.

Kiedy skręcał za róg korytarza, posypał się za nim grad pocisków. Uchylił się i uciekł z linii ognia oddziału szturmowego, ale egzekucja nie została odroczone na długo.

23.39

– Wstawaj! – ryknął Rafe do ekranu.

Dzięki obrazowi z kamery przyglądał się, jak Bern strzela do jakiegoś starszego człowieka w białym kitlu. Delektował się wyrazem zaskoczenia na jego twarzy, zanim zniknęła w rozbryzgu krwi i kości. Smak zwycięstwa trwał jednak krótko. Chwilę później jego zastępca upadł na wznak. Na ekranie pojawił się drgający obraz sufitu a potem nad ciałem Berna przeskoczyła jakaś postać trzymająca w jednej ręce karabin czy strzelbę.

Rafe niemal dotykał nosem monitora. Wcisnął klawisz, włączając radio Berna.

– Wstawaj! – powtórzył.

Nie bardzo go obchodziło, czy Bern schwyta napastnika. Chciał po prostu widzieć, co się dzieje. Odsunął się od laptopa z kwaśnym uśmiechem na twarzy. Widowisko robiło się naprawdę pasjonujące.

23.40

Painter biegł sprintem przez korytarz. Do laboratorium w głębi podziemia miał krótką prostą. Skrzypnęły podwójne drzwi. Zobaczył wyglądającego zza nich Kowalskiego, który mierzył z pistoletu do nadbiegającego Paintera. Na pewno słyszał strzały.

– Zabierz wszystkich do tyłu! Niech się ukryją!

Kowalski posłusznie zniknął za drzwiami, ale wcześniej kopniakiem otworzył je szeroko, żeby Painter mógł w pełnym pędzie wpaść do środka.

Liczyła się każda sekunda.

Painter w biegu odciągnął łożo strzelby, wyrzucając zużyty nabój. Ściskając mossberga pod pachą, wyciągnął z kieszeni zaimprovizowany pocisk własnej konstrukcji i wepchnął go do pustej komory. Kiedy to zrobił, zasunął czółenko strzelby, umieszczając kurek i iglicę we właściwym położeniu.

Mógł oddać tylko jeden strzał.

Kiedy wbiegał przez otwarte drzwi, za jego plecami rozległ się suchy trzask pistoletu. Painter poczuł piekący cios w ramię, które drasnęła kula. Spoglądając za siebie, zobaczył leżącego komandosa, któremu mimo drgawek udało się dowlec do zakrętu korytarza. Pistolet w drżącej

ręce strzelił jeszcze raz, ale chybił.

Painter musiał ponuro przyznać: twardy sukinsyn.

Wreszcie dopadł laboratorium i dał nura do środka, zatraskując za sobą stalowe drzwi. Parę sekund później zabębniło w nie staccato ognia z automatów. Widocznie pozostała część zespołu szturmowego dotarła do korytarza. Ogień był ciągły.

Painter nie miał czasu.

Na domiar złego był ślepy. Kiedy drzwi się zamknęły, w laboratorium zapanował nieprzenikniony mrok. Painter przyhamował w głębi pomieszczenia, wyciągając przed siebie rękę, żeby się z niczym nie zderzyć.

– Gdzie?! – zawołał, przekrzykując kakofonię szturm na drzwi.

W górze błysnęła latarka, przesywając pracownię snopem oślepiającego blasku. Zobaczył w nim wszystkich ukrytych za ciężką bryłą akceleratora Van de Graaffa, częścią większego kompleksu, który sięgał dalej w głąb ogromnego pomieszczenia.

Painter pobiegł do nich, szukając wzrokiem C4 na suficie.

– Za panem! – krzyknął Kowalski ze swojej kryjówki.

– Nad drzwiami.

Painter obrócił się i spojrzał w górę. Światło latarki skierowało się na żółtoszarą kulkę materiału wybuchowego wciśniętą w szczelinę nad drzwiami. Wyglądało to jak świeżo załatane stare pęknięcie obciążonego stropu. Kowalski wybrał naprawdę dobre miejsce.

Painter uniósł strzelbę i właśnie w tym momencie ktoś szarpnięciem otworzył podwójne drzwi. Napastnicy zaczęli na oślep ostrzeliwać laboratorium. Painter cofnął się i padł na wznak.

Pod osłoną ognia do pomieszczenia wpadło dwóch komandosów. Kowalski z ukrycia odpowiedział strzałami.

Painter dostrzegł żołnierza, którego trafił w korytarzu pociskiem paralizującym. Mężczyzna gestykulował, rzucając krótkie rozkazy – wyraźnie to on dowodził.

Painter nie mógł mu poświęcić więcej uwagi.

Leżąc na podłodze, uniósł strzelbę, wycelował w grudkę C4 i nacisnął spust. Strzelba huknęła, nabój XREP wyleciał z lufy i trafiając w cel pod sufitem, błysnęła elektryczną iskrą, ale nic więcej się nie stało.

Kowalski zaklął, szykując się prawdopodobnie do zaciętej wymiany ognia.

Co się...

...ogłuszający huk wycisnął powietrze z płuc Paintera i rzucił jego ciałem o bryłę akceleratora. Zanim uderzył o urządzenie, zobaczył, jak dwaj komandosi w laboratorium rozplaszczają się na podłodze, najpierw powaleni falą uderzeniową, a potem pogrzebani pod lawiną betonu, skręconego zbrojenia i ziemi.

Pomieszczenie zasnuła chmura dymu i pyłu, która popłynęła w głąb podziemia.

Ogłuszony Painter poczuł, jak ktoś podnosi go z podłogi. Kowalski dźwigał go pod pachą, drugą ręką ciągnąc Kai. Painterowi wciąż dzwoniło w uszach i usiłował stanąć na nogach. Góra grubego gruzu barykadowała wejście, odcinając drogę napastnikom. Painter wyciągnął szyję. W zadymionym ciemnym wnętrzu przez sufit sączyło się światło.

Przenikliwie jasny blask księżyca.

Udało się.

Rafe stał przed biurkiem, na którym miał rozłożony laptop. Zaplótł palce na czubku głowy, patrząc na ruiny korytarza podczas odwrotu swojego zespołu. Wreszcie wypuścił długo wstrzymywany oddech.

Opuścił ręce, zaciskając dłonie w pięści.

Zerknął na Ashandę z niemym pytaniem, czy widziała na ekranie, co się wydarzyło. Wciąż siedziała z chłopczykiem, który wydawał się na wpół otepiały z szoku.

Rafe świetnie to rozumiał.

Serce mu waliło, rozpalając krew w żyłach. Był oczywiście wściekły, musiał jednak przyznać, że obrona budzi podziw.

A więc nasze ofiary znalazły pomoc... ochronę, która zna się na rzeczy.

Bern za pomocą kamery zamontowanej na hełmie zrobił przynajmniej dobre zdjęcie przebiegłemu winowajcy tuż przed eksplozją, od której zawalił się sufit. Fotografia była ziarnista, ale uchwyciła całą twarz. Nowe programy obróbki zdjęć i rozpoznawania twarzy opracowane dla Europolu przez firmę kontrolowaną przez rodzinę Saint Germaine powinny się szybko uporać z identyfikacją tego człowieka.

Głos Berna w radiu zawieszał się i rwał w transmisji cyfrowej.

– ...uciekli pieszo. Miejscowe siły policji i służb ratowniczych są w drodze na miejsce. Jakie... rozkazy?

Rafe westchnął, tłumiąc pożar krwi. Szkoda. Przy ograniczeniach, jakie narzucało mu własne ciało, rzadko miał okazję otrzymać taką porcję adrenaliny. Powiedział do laryngofonu:

– Opuścić teren. Obiekty na pewno tu nie zostaną. Jeszcze raz je wytropimy.

Miał wrażenie, jakby Bern chciał protestować wściekły z powodu straty ludzi z oddziału. Pewnie odezwała się aryjska krew podsycająca germańską żądzę natychmiastowej zemsty. Ale Bern będzie się musiał nauczyć cierpliwości. Jeśli istniało prawdziwe źródło bogactwa i potęgi rodziny Saint Germaine, to była nim znajomość, zrozumienie i umiejętność prowadzenia *le long jeu*.

Długiej gry.

Dzięki swojemu nieprzeciętnemu umysłowi Rafael Saint Germaine był najlepszym graczem. Niektórzy uznaliby to za zwykłe przechwałki, ale wiele razy pokazywał, na co go stać. Właśnie dlatego rodzina wyznaczyła mu zadanie, by zdobył skarb pochodzący sprzed tysiącleci.

Czy jakakolwiek gra może trwać dłużej?

Kiedy Bern się odmeldował, Rafe ponownie podszedł do laptopa i wyświetlił zdjęcie tajemniczego intruza, który bezczelnie wmieszał się w ich sprawę. Wiele prymitywnych kultur przykładło wielką wagę do imion, wierząc, że ich znajomość daje wyjątkową władzę nad innymi. Rafe wierzył w to głęboko, do szpiku swoich kruchych kości.

Pochylił się nad ekranem, kładąc pięści na blacie biurka, i spojrzał na swojego przeciwnika.

– *Vous êtes qui?* – zapytał mężczyznę.

Gorąco pragnął poznać odpowiedź na to pytanie.

Kim jesteś?

0.22

Z siedzenia pasażera w SUV-ie Painter patrzył w lusterko wsteczne na znikające w oddali światła Provo. Dopiero teraz mógł odetchnąć.

Choć nie do końca.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi znów pozwolił Kowalskiemu usiąść za kierownicą wypożyczonego samochodu, tym razem toyoty landcruiser. Tam dokąd zmierzali, potrzebny był wóz z napędem na cztery koła. Painter nie był w stanie prowadzić przez tak długą drogę. Wciąż bolało go ramię draśnięte przez kulę, a w głowie huczało po ogłuszającej eksplozji.

Może jestem już na to za stary...

Pomyślał o kanapie w swoim domu, o Lisie obracającej w palcach biały kosmyk w jego ciemnych włosach i odnajdującej nowe ślady siwizny. Co on tu robił? Przecież to robota dla kogoś znacznie młodszego.

Miał na to niezbity dowód – Kowalski nie wydawał się w ogóle poruszony tym, co się zdarzyło, i nie rozstawał się z termosem kawy, żeby zachować przytomność podczas nocnej jazdy. Zerkając na tylne siedzenie, Painter zobaczył Kai wspartą o profesora Kanosha i trzymającą rękę na psie naukowca. Oboje spali, ale wpatrywało się w niego czujnie dwoje psych oczu – jedno brązowe, drugie niebieskie.

Pokiwał głową. Pilnuj jej dobrze.

Pies w odpowiedzi lekko uderzył ogonem w podłogę.

Painter odwrócił się wciąż przygnębiony. Po ucieczce z kampusu musiał przekazać wiadomość o zamordowaniu profesora Dentona. Kanosh wyglądał na zdruzgotanego, jak gdyby zestarzał się w parę sekund. W ciągu jednego dnia stracił zbyt wielu bliskich przyjaciół. Ból zmniejszyła tylko konieczność szybkiego oddalenia się od pościgu. Dlatego zatrzymując się jedynie na chwilę w aptece CVS, aby kupić środki do opatrzenia jego rany, wyjechali z miasta.

Zmierzali do przyjaciół Kanosha, grupy Indian mieszkającej z dala od cywilizacji. Painter chciał umieścić Kai w jakimś bezpiecznym miejscu. Poza tym musiał się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

Poczuł wibrowanie komórki w kieszeni. Zmarszczył brwi, wyciągnął aparat, spojrzął na wyświetlacz i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Komandor Pierce? – Zdziwił go telefon o tak późnej porze, zwłaszcza od kogoś ze Wschodniego Wybrzeża, gdzie było już po drugiej. Mówił cicho, aby nie przeszkadzać innym.

– Cieszę się, że nic się panu nie stało, dyrektorze Crowe – powiedział Gray. – Dowiedziałem się o ataku od Kat. Prosiła mnie, żebym zadzwonił.

– W jakiej sprawie?

Painter skontaktował się już z centralą Sigmy i zdał Kathryn Bryant relację z przebiegu wydarzeń w Utah. Zajmowała się skutkami wybuchu na uniwersytecie, wykorzystując równocześnie swoje kontakty w federalnych organach ścigania i służbach wywiadowczych, aby pomóc zidentyfikować oddział, który przypuścił szturm na laboratorium fizyki.

– Mam chyba pewne przypuszczenia na temat tego ataku – wyjaśnił Gray.

Jego słowa przykuły uwagę Paintera. Wiedział, że Gray bada jakiś trop związany z Gildią. Miał złe przeczucia.

– Jakie przypuszczenia? – zapytał.

– Ciągłe jesteśmy w fazie wstępnej. Na razie ślizgamy się po powierzchni, ale wydaje mi się, że pewne informacje zdobyte przez Seichan mają związek z wydarzeniami w Utah.

Gray opowiedział mu o Benjaminie Franklinie, francuskich naukowcach i zagrożeniu związanym z „bladymi Indianami”, jak nazwał ich Franklin. Painter coraz bardziej się pochylał, w miarę jak opowieść się rozwijała, zwłaszcza gdy usłyszał o tajemniczym wrogu ojców założycieli, który używał tego samego symbolu co współczesna Gildia.

– Sądzę, że odkrycie jaskini przyciągnęło uwagę Gildii – zakończył Gray. – Najwyraźniej dawno temu coś ważnego zaginęło albo zostało przed nimi ukryte.

– A teraz znów się pojawiło – dodał Painter.

Ciekawa myśl, a sądząc po wyrefinowaniu i brutalności nocnego ataku, akcja nosiła wszelkie znamiona dzieła Gildii.

– Będę nad tym pracował – powiedział Gray. – Zobaczę, co mi się uda odkryć.

– Pracuj.

– Ale Kat chciała, żebym do pana zadzwonił z jeszcze jednego powodu.

– To znaczy?

– Mam przekazać wiadomość o anomalii, o której głośno w kręgach naukowców na całym świecie. Grupa japońskich fizyków poinformowała o nagłym skoku aktywności neutrin. Z tego, co słyszałem, na nienotowaną skalę.

– Neutrin? Cząstek subatomowych?

– Zgadza się. Podobno wygenerowanie fali neutrin takiej wielkości wymagałoby ogromnych sił: reakcji na Słońcu, eksplozji bomb jądrowych, rozbłysków słonecznych. Dlatego gigantyczny skok aktywności tak podniecił fizyków.

– No dobrze, ale co to ma wspólnego z nami?

– Właśnie o to chodzi. Japończycy zlokalizowali źródło fali neutrin. Wiedzą, skąd przyszła ta fala.

Painter odgadł odpowiedź. Po cóż innego Gray by dzwonił?

– Z miejsca wybuchu w górach – dokończył.

– Tak jest.

Painter wolno otrząsnął się z szoku. Co to mogło oznaczać? Przez chwilę wypytywał Graya, dopóki nie zaczęli się kręcić w kółko, nie mogąc niczego więcej wyjaśnić. Wreszcie się rozłączył i z powrotem zagłębił w fotelu.

– O co chodziło? – spytał Kowalski.

Painter pokręcił głową, a tępy ból za oczami odezwał się ze zdwojoną siłą. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Wcześniej rozmawiał z Ronem Chinem, który monitorował miejsce wybuchu. Usłyszał od niego o dziwnej niestabilności strefy eksplozji, która wciąż była aktywna, rozszerzając się i sięgając coraz głębiej, pochłaniając wszystko, z czym się zetknęła, prawdopodobnie wywołując rozpad materii na poziomie atomów.

Co przypomniało Painterowi o źródle eksplozji.

Kanosh podejrzewał, że w złotej czaszce ukryto coś na tyle niestabilnego, że po wyniesieniu z jaskini eksplodowało. Znalazł też dowód na to, że przy zmumifikowanych zwłokach Indian – jeśli to w ogóle byli Indianie – spoczywały przedmioty świadczące o gruntownej znajomości nanotechnologii lub przynajmniej jakiejś dawnej formule produkcji pozwalającej im manipulować materią na poziomie atomów.

A teraz wiadomość o skoku aktywności neutrin, cząstek powstałych w wyniku katastrofalnych zjawisk – również na poziomie atomów.

Wydawało się, że wszystko wraca do nanotechnologii, tajemnicy ukrytej pomiędzy najdrobniejszymi cząstkami wszechświata. Ale co to oznaczało? Gdyby nie te werble w głowie, może potrafiłby do czegoś dojść.

Na razie jednak nie mylił się tylko co do jednego wrażenia, natarczywego jak ostrzegawczy dzwonek.

To dopiero początek prawdziwego niebezpieczeństwa.

CZEŚĆ DRUGA
POŻOGA

31 maja, 15.30

Prefektura Gifu, Japonia

– Powinniśmy komuś powiedzieć – nalegał Jun Yoshida.

Doktor Riku Tanaka ze swoim nieznośnym spokojem przechylił tylko głowę z prawa na lewo jak czapla wypatrująca ryby. Młody fizyk nadal studiował dane przepływające przez ekran monitora.

– To byłoby nierozważne – mruknął wreszcie niski mężczyzna, jak gdyby mówił do siebie, zagubiony w gęstej mgłę zespołu Aspergera.

Jako dyrektor Obserwatorium Kamioka Jun spędził cały dzień w sercu góry Ikeno, w cieniu potężnego detektora neutrin Super-Kamiokande. Tak samo jak ich koleżanka ze Stanfordu, doktor Janice Cooper. Wszyscy troje monitorowali aktywność neutrin po porannym skoku. Zlokalizowano źródło w rozpadlinie górskiej w Utah, gdzie doszło do jakiejś eksplozji. Nie znano jeszcze jednak dokładniejszych szczegółów.

Wypadek z bronią jądrową? Może Stany Zjednoczone próbują to zataić?

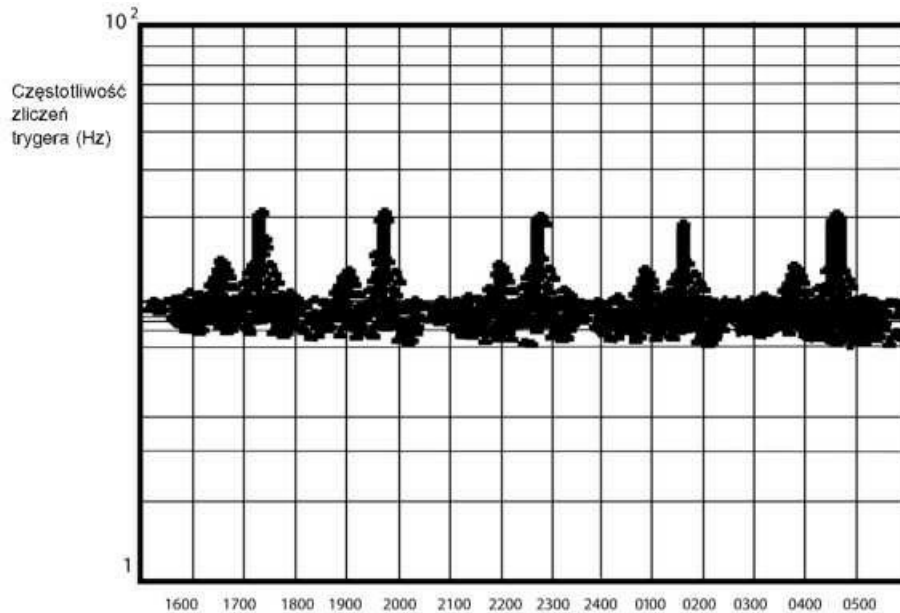
Nie zdziwiłby się, gdyby Amerykanie to zrobili. Na wszelki wypadek Jun zaalarmował już międzynarodową społeczność o fali neutrin, nie zamierzając ukrywać tej informacji. Jeżeli to był jakiś tajny eksperyment, który się nie powiódł, świat miał prawo się dowiedzieć. Spoglądał krzywo na Janice Cooper, jak gdyby to ona była winna. Ale nawet jej wieczna beztroska była dostatecznym powodem, by jej nie znosić.

– Myślę, że Riku ma rację – zwróciła się z szacunkiem do przełożonego. – Cały czas usiłujemy zlokalizować nowe źródło. Poza tym schemat nowej fali nie wygląda tak samo jak w przypadku Utah. Może powinniśmy się wstrzymać z oficjalnym komunikatem, zanim nie dowiemy się czegoś więcej.

Jun przyjrzał się monitorowi. Wykres przewijał się po ekranie jak cyfrowa wersja zapisu sejsmografu. Tyle że diagram zamiast trzęsienia ziemi śledził aktywność neutrin – choć to, co odkryli, mogło być równie wstrząsające. W ciągu ostatnich osiemdziesięciu minut zarejestrowali kolejny wzrost natężenia ruchu neutrin. I tak jak poprzednio ich źródłem były neutrina generowane przez ziemię, czyli geoneutrina.

Doktor Cooper miała jednak rację: schemat znacząco się różnił. Eksplozja w Utah wywołała pojedynczą, ogromną falę neutrin. Nowy wzrost aktywności był mniej intensywny i miał cykliczny przebieg: mały skok, potem większy... następnie przerwa i znów ten sam wzór, jak skurcz i rozkurcz serca.

Obserwowali to zjawisko od ponad godziny.



– To musi mieć związek z poprzednim zdarzeniem – upierał się Jun. – Dwa nietypowe skoki neutrin takiej wielkości w ciągu jednego dnia są statystycznie niemożliwe.

– Może jeden spowodował drugi – podsunął Tanaka.

Jun odchylił się na krześle i zdjął okulary. Potarł grzbiet nosa. W pierwszym instynktownym odruchu chciał odrzucić taką myśl – zwłaszcza ze względu na źródło – ale milczał, zastanawiając się nad nią. Musiał przyznać, że hipoteza nie jest zła.

– Sugeruje pan, że pierwszy skok zainicjował jakąś inną reakcję – rzekł Jun. – Na przykład naruszył jakieś źródło niestabilnego uranu.

Oczywiście wyobraźni zobaczył pierwszą falę neutrin promieniującą z miejsca eksplozji i cząstki, które przenikają ziemię jak rój duchów, lecz zostawiają po sobie ślad w postaci ognia zdolnego podpalić inny lont.

– Przecież neutrina nie reagują z materią – odezwała się doktor Cooper, wskazując słaby punkt tej teorii. – Przenikają wszystko, nawet jądro Ziemi. Jak mogłyby cokolwiek zainicjować?

– Nie wiem – odrzekł Jun.

Właściwie niewiele z tego rozumiał.

Tanaka ciągnął niezrażony, nie zamierzając się przyznać do porażki.

– Wiemy, że dzisiejszy skok wywołała jakaś tajemnicza eksplozja w Utah. Jej źródło było niespotykane. Nigdy wcześniej nie widziałem takich wskazań.

Doktor Cooper wyglądała na nieprzekonaną, ale Jun sądził, że Riku może być na właściwym tropie. Kiedyś uważano, że neutrina nie mają masy ani ładunku elektrycznego. Niedawne eksperymenty wykazały jednak, że jest inaczej. Kryły w sobie jeszcze wiele niewiadomych. Może istniała nieznana substancja czuła na bombardowanie neutrin. Może eksplozja cząstek w Utah uruchomiła zapalnik innego złoża. Była to przerażająca myśl. Jun wyobraził sobie serię wybuchów obejmującą cały glob.

Gdzie to się zakończy? Czy w ogóle się zakończy?

– To tylko domysły – uznał w końcu Jun. – Nie poznamy żadnych odpowiedzi, dopóki nie ustalimy, skąd pochodzi ta nowa fala.

Nikt z nim nie polemizował. Z nową determinacją zabrali się do pracy. Potrzebowali jednak pół godziny, by skoordynować dane z innymi ośrodkami badania neutrin na całym świecie i zlokalizować źródło przerywanych fal.

Zebrali się przed monitorem, gdy wyświetliło się porównanie danych. Na ekranie pojawiła się mapa świata z jasnym kołem obejmującym większą część półkuli północnej.

– To niewiele wyjaśnia – zauważył Jun.

– Chwileczkę – uprzedził bezbarwnym głosem Tanaka.

W ciągu następnych dziesięciu minut koło wolno zmniejszało średnicę, koncentrując się na współrzędnych źródła nowych skoków aktywności neutrin. Znajdowało się bardzo daleko od Utah.

– Wygląda na to, że tym razem nie można oskarżać Stanów Zjednoczonych – powiedziała z ulgą Janice Cooper, gdy zmniejszające się koło opuściło Amerykę Północną.

Jun patrzył w osłupieniu na ekran, gdy źródło w końcu zostało zlokalizowane i zaznaczone nitkami celownika.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

– Czy teraz możemy już komuś powiedzieć? – zapytał Jun.

Tanaka wolno pokiwał głową.

– Miał pan rację od początku, Yoshida-sama – odrzekł, używając rzadkiej u niego formy grzecznościowej. – Nie wolno nam dłużej zwlekać.

Juna zaskoczyła jego reakcja, dopóki Tanaka nie przesunął się przed sąsiedni monitor wyświetlający cyfrowy wykres obecnej aktywności neutrin. Na chwilę wstrzymał oddech. Skoki aktywności występowały coraz częściej, przypominając bicie serca pobudzonego adrenaliną.

Jego puls też przyspieszył.

Jun sięgnął po telefon i prywatny numer, jaki mu zostawiono, nie odrywał jednak wzroku od ekranu, od nitek celownika, które zatrzymały się na Oceanie Atlantyckim.

Ktoś musi tam pojechać, zanim będzie za późno.

31 maja, 2.45

Waszyngton

– Islandia? – zdumiał się Gray. Rozmawiając z Kat Bryant, mocniej przycisnął telefon do ucha. – Chcesz, żebym za godzinę leciał do Reykjaviku?

Razem z Seichan zajmowali tylne siedzenie lincolna town car. Kat na wszelki wypadek wysłała ten samochód do domu jego rodziców, kiedy dowiedziała się o ataku na dyrektora. W tym momencie jechali do Archiwów Narodowych. Monk i dwoje badaczy odkryli coś ciekawego, zbyt ważnego, by rozmawiać o tym przez telefon.

– Zgadza się – odparła Kat. – Na polecenie dyrektora Crowe’a. Chce, żebyś wziął Monka. Wstąpisz po niego w drodze na lotnisko.

– Właśnie do niego jedziemy. Monk przysłał mi SMS o jakimś odkryciu w Archiwach Narodowych.

– W takim razie sprawdź, co to jest, ale za czterdzieści pięć minut musisz być na lotnisku. I ubierz się ciepło.

– Dzięki, ale o co chodzi?

– Mówiłam ci wcześniej o tej fali cząstek subatomowych po wybuchu w Utah. Właśnie rozmawiałam z szefem Obserwatorium Kamioka w Japonii. Wykrył nowy skok, który bardzo go niepokoi, pochodzący z wyspy niedaleko wybrzeża Islandii. Przypuszcza, że dwa skoki aktywności neutrin mogą mieć związek, że bombardowanie cząstek po wybuchu w Utah mogło wywołać tę nową aktywność w Islandii, zadziałać dosłownie jak detonator.

Dyrektor Crowe uważa, że warto to zbadać.

Gray w duchu przyznał mu rację.

– Zabiorę Monka i jadę.

– Bądź ostrożny – powiedziała. W tej lakonicznej prośbie Gray odczytał ukryte znaczenie. Uważaj na mojego męża. Zrozumiał.

– Kat, wydaje mi się, że to zadanie możemy wykonać sami z Seichan. Może będzie lepiej, jeżeli Monk zostanie z badaczami, którzy sprawdzają historyczny trop.

W słuchawce zapadła cisza. Zapewne Kat rozważała jego słowa. W końcu westchnęła.

– Rozumiem, co proponujesz, Gray. Ale na pewno Monk nie musi patrzeć przez ramię tym badaczom. Poza tym powinien skorzystać z okazji i rozprostować nogi. To mu dobrze zrobi. Dziecko w drodze, a Penelope wkracza w trudny okres dwulatka, więc oboje przez długie miesiące będziemy uwiązani w domu. Nie, weź go ze sobą.

– Dobrze. Ale wierz mi, Monk nie boi się uwiązania w domu z tobą.

– A kto o nim mówi?

Gray usłyszał w jej głosie ton rozdrażnienia, ale i serdeczności. Trudno mu było wyobrazić sobie takie życie, bliskość dwojga ludzi robiących wszystko wspólnie, dzieci, prostotę ciepłego

dotyku ciała obok siebie co noc.

- Przywiozę go bezpiecznie do domu – obiecał.
- Wiem.

Po ustaleniu jeszcze kilku szczegółów zakończyli rozmowę.

Seichan opierała się o drzwi, założywszy ręce na piersi. Miała zamknięte oczy i wyglądała, jakby zapadła w drzemkę, ale wiedział, że słyszała każde słowo. Na potwierdzenie mruknęła, nie otwierając oczu:

- Delegacja?
- Zdaje się.
- Na szczęście zapakowałam krem z filtrem.

Wkrótce potem lincoln zatrzymał się przed budynkiem Archiwów Narodowych. Monk powitał ich już w środku z szerokim uśmiechem i błyszczącymi oczami. Wyraźnie ożywiony pomachał do nich niecierpliwie.

- Islandia – powiedział, prowadząc ich do pracowni. – Nie do wiary.

Jego zachowanie wskazywało, że cieszy się z szansy wyrwania się w teren. W jego oczach widać było jednak figlarne iskierki. Zanim Gray zdążył zapytać o coś więcej, dotarli na miejsce.

Odkąd tu byli ostatnim razem, pracownia uległa radykalnej metamorfozie. Cały stół konferencyjny przykrywały książki, rękopisy i mapy oraz piramida segregatorów. Wszystkie trzy czytniki mikrofilmów pod ścianą wyświetlały strony starych gazet albo zdjęcia pożółkłych dokumentów.

Doktor Eric Heisman i Sharyn Dupre siedzieli pośród tego chaosu, przeglądając razem zawartość jednego z pudeł. Heisman był bez swetra i miał podwinięte rękawy. Wyciągnął mocno podniszczoną broszurę i dodał do sterty na stole.

- Jeszcze jedna monografia Franklina o wybuchu...

Na widok Monka unieśli wzrok.

- Powiedział im pan? – zapytał Heisman.

– Pomyślałem, że zostawię to wam. To wy odwaliliście całą robotę, a ja tylko zamawiałem pizzę.

- O czym miał nam powiedzieć? – spytał Gray.

Heisman spojrzał na Sharyn, która wciąż miała na sobie obcisłą czarną sukienkę, ale narzuciła na nią biały fartuch i założyła cienkie bawełniane rękawiczki do pracy z kruchymi ze starości dokumentami.

– Sharyn, zacznij, dobrze? To przecież twoja genialna propozycja dała początek lawinie. Poza tym twoje pokolenie znacznie bieglej posługuje się komputerem.

Uśmiechnęła się skromnie i lekkim skinieniem głowy podziękowała za pochwałę, po czym zwróciła się do Graya i Seichan:

– I tak na pewno w końcu byśmy to znaleźli, ale skoro mamy kopie cyfrowe większości dokumentów w archiwach, pomyślałam, że moglibyśmy sprawniej przeszukać zasoby, poszerzając i uogólniając parametry kwerendy.

Gray ukrył zniecierpliwienie. Nie obchodziło go, jak to znaleźli, tylko co to jest. Dostrzegł jednak błysk rozbawienia w oku Monka. Jego partner coś ukrywał.

– Najpierw przeprowadziliśmy ogólne wyszukiwanie połączenia nazwisk Fortescue i Franklin – ciągnęła Sharyn – ale bez rezultatów.

– Wygląda to tak, jakby wszystkie dokumenty zostały usunięte – dodał Heisman. – Nie ma wątpliwości, że ktoś chciał zatrzeć ślady.

– Dlatego rozbudowałam zapytanie, próbując szukać wszystkich wariantów pisowni nazwiska Fortescue. I znowu nic. Wtedy po prostu wpisałam jego inicjały: Archard Fortescue, A.F.

Spojrzała na Heismana, który uśmiechnął się z dumą.

– I w ten sposób to znaleźliśmy. – Wziął do ręki plik kruchych, poślizgniętych kartek. – W liście Thomasa Jeffersona do jego osobistego sekretarza Meriwethera Lewisa.

– Lewisa? Tego, który razem z Clarkiem dowodził ekspedycją przez cały kontynent aż do Pacyfiku?

Heisman skinął głową.

– Tego samego. List nosi datę ósmego czerwca tysiąc osiemset trzeciego roku, został więc napisany mniej więcej rok przed tą wyprawą. Dotyczy erupcji pewnego wulkanu.

Gray nie rozumiał, do czego to zmierza.

– Co jakiś wulkan ma z tym wspólnego?

– Po pierwsze – wyjaśnił Heisman – taka dyskusja nie należała do rzadkości. Prawdopodobnie dlatego list nie zwrócił niczyjej uwagi i nie został zniszczony razem z resztą. W ciągu swojej współpracy Lewis i Jefferson często dyskutowali o nauce. Meriwether służył wcześniej jako oficer, ale był wykształcony, studiował nauki przyrodnicze i żywo interesował się światem natury.

Gray uświadomił sobie, jak bardzo ta charakterystyka przypomina członków Sigmy.

– Łączyła ich bliska przyjaźń – ciągnął Heisman. – Nawet ich rodziny mieszkaly w odległości piętnastu kilometrów od siebie. Jefferson nikomu nie ufał bardziej niż Lewisowi.

Monk szturchnął w bok Graya.

– Czyli jeżeli Jefferson ukrywał jakieś sekrety, to na pewno była osoba, której mógł je powierzyć.

Heisman przytaknął.

– W liście wielokrotnie wymienia tajemniczego człowieka, nazywając go tylko inicjałami A.F.

– Archard Fortescue... – powiedział Gray.

– Najwyraźniej Jefferson był zbyt ostrożny, żeby zapisać jego pełne nazwisko, co zresztą leżało w jego charakterze. Bardzo interesował się kryptografią, opracował nawet własny tajny kod. Chyba dopiero w zeszłym roku złamano jeden z jego szyfrów.

– Miał paranoję – wtrącił Monk.

Heisman spojrzał na niego urażony.

– Jeżeli Franklin w swoim liście miał rację, pisząc o jakimś potężnym wrogu czyhającym w tajemnicy na młodą unię, to może miał powody. Ta sama paranoja mogła skłonić Jeffersona do przeprowadzenia czystki w armii podczas prezydentury.

– O czym pan mówi? – spytał zaintrygowany Gray.

– Tuż po wyborze Jeffersona na prezydenta, po brutalnej kampanii, jedną z jego pierwszych decyzji było zmniejszenie liczebności stałej armii. Wybrał Meriwethera Lewisa, żeby pomógł mu rozstrzygnąć, którzy oficerowie są kompetentni, a którzy nie. Lewis przekazał mu swoje wnioski za pomocą systemu szyfrowanych symboli. Niektórzy historycy podejrzewają, że w czystce chodziło nie tyle o kompetencje, ile o lojalność wobec Stanów Zjednoczonych.

Monk znacząco zerknął na Graya.

– Gdybyś chciał się pozbyć zdrajców, zwłaszcza dowódców wojskowych, to byłby to dobry sposób, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy.

Gray znał trudności Sigmy z usuwaniem ze swoich szeregów wtyczek i agentów Gildii. Czyżby ojcowie założyciele starali się robić to samo? Pomyślał o udziale Lewisa w tej sprawie.

Żołnierz, naukowiec, a teraz szpieg. Coraz bardziej przypominał agenta Sigmy.

Seichan podeszła do stołu i ze znudzoną miną ciężko opadła na krzesło.

– Świetnie, ale co to, u diabła, ma wspólnego z wulkanami?

Heisman poprawił na nosie okulary do czytania i odparł chłodno:

– Właśnie do tego zmierzałem. List dotyczy erupcji wulkanu Laki, do której doszło dwadzieścia lat wcześniej. Co do dnia. Został napisany dokładnie w dwudziestą rocznicę. Była to najstraszniejsza w skutkach erupcja wulkanu w historii. W jej następstwie na całym świecie zmarło ponad sześć milionów ludzi. Wybuch zmiotł z powierzchni ziemi zwierzęta hodowlane i wywołał nieurodzaj w skali globalnej, doprowadzając do wielkiego głodu. Podobno niebo przybrało krwistoczerwony kolor i planeta ochłodziła się do tego stopnia, że Missisipi zamarzła aż do Nowego Orleanu.

Sharyn przerwała mu, biorąc jedną z kartek, które przeglądała, kiedy Gray wszedł do pracowni.

– Zacytuję słowa Benjamina Franklina, którymi opisywał skutki erupcji. *Podczas kilku letnich miesięcy roku tysiąc siedemset osiemdziesiątego trzeciego, gdy promienie słońca powinny znacznie mocniej ogrzewać ziemię tych północnych regionów, nad całą Europą i dużą częścią Ameryki Północnej stale unosiła się mgła.* Ten wulkan stał się obsesją Franklina.

– I chyba nie bez powodu – dodał Heisman i Gray ponownie odwrócił się w jego stronę. – Według listu Archard Fortescue był obecny przy erupcji, a nawet miał wyrzuty sumienia, jak gdyby sam ją wywołał.

– Co?! – Gray nie potrafił ukryć zaskoczenia w głosie.

– Proszę mi wybaczyć nieznamość geografii – powiedziała Seichan, usiłując jednocześnie zrozumieć – ale gdzie jest ten wulkan?

Heisman szeroko otworzył oczy, jakby nagle zdał sobie sprawę, że w ogóle o tym nie wspomniał.

– W Islandii.

Gray spojrział na Monka, który uśmiechał się z rozbawioną miną. To właśnie był ten szczegół, który ukrywał. Monk wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że ruszamy śladami tego Francuza.

3.13

Podczas gdy pozostali omawiali lokalizację wulkanu, korzystając z różnych map rozłożonych na stole, Seichan usiadła z boku, w nerwowym odruchu obracając w palcach mały srebrny wisior ze smokiem, który miała na szyi. Jej matka zawsze nosiła taki sam. Był to jeden z niewielu związanych z nią szczegółów, jakie jeszcze pamiętała.

W dzieciństwie Seichan często patrzyła na maleńkiego wygiętego smoka w zagłębieniu szyi matki śpiącej na wąskim składanym łóżku pod otwartym oknem. W dżungli śpiewały nocne ptaki, a światło księżyca odbijało się od srebra, które połyskiwało jak kropelka wody kołysząca się w rytm jej oddechu. Seichan wyobrażała sobie, że jeśli będzie patrzeć wystarczająco długo, smok ożyje – i rzeczywiście ożywał, choć tylko w jej marzeniach.

Rozdrażniona własnym sentymentalizmem oderwała dłoń od srebrnego wisiora. Czekala już wystarczająco długo. Nikt w pokoju nie kwapił się, by zadać pytanie, które samo się narzucało, więc je postawiła.

– Wracając do listu, doktorze. – Wszystkie oczy obróciły się na nią. – Co miał pan na myśli,

mówiąc, że Francuz miał wyrzuty sumienia z powodu wybuchu wulkanu?

Heisman wciąż trzymał w ręku plik papierów.

– Tak wynika z listu Jeffersona. – Odchrząknął, odnalazł właściwy akapit i przeczytał głośno: – *Nareszcie otrzymaliśmy wiadomość od A.F. Wiele wycierpiał i ciężko mu na sercu po tym, co spadło na niego latem roku tysiąc siedemset osiemdziesiątego trzeciego. Jestem w pełni świadom, że w imię naszej sprawy wyruszył szlakiem oznaczonym na mapie odnalezionej w indiańskim kurhanie i okupionej ciężkimi ranami, które odniósł w zasadzce urządzonej przez naszych wrogów. A.F. wciąż biada, że jest winien narodzin wulkanu na morzach podczas tamtego lata. Uwierzył, że straszny głód, który nawiedził jego kraj po erupcji, był powodem krwawych rewolucji we Francji i że to on ponosi za to największą winę.*

Heisman opuścił list.

– Prawdę mówiąc, w tej ostatniej sprawie Fortescue może mieć rację. Wielu naukowców przypuszcza, że erupcja wulkanu Laki, a po niej bieda i głód we Francji, były główną przyczyną rewolucji francuskiej.

– Z listu wynika – dodał Gray – że Fortescue poczuwa się do winy. *Jest winien narodzin wulkanu.* Co Jefferson chciał przez to powiedzieć?

Nikt nie znał odpowiedzi.

– No więc co właściwie wiemy? – spytała Seichan, przechodząc prosto do sedna. – Z pierwszego listu wiadomo, że Franklin poprosił Fortescue, by odnalazł mapę ukrytą w jakimś indiańskim kopcu. Z tego listu wiemy, że mu się udało.

Gray skinął głową.

– Mapa skierowała go do Islandii, więc Fortescue tam pojechał. Zapewne znalazł coś strasznego i potężnego, co w jego przekonaniu doprowadziło do erupcji wulkanu. Ale co to było?

– Prawdopodobnie wspomniano o tym w pierwszym liście – podsunęła Seichan. – Jakaś umiejętność czy wiedza, którą Indianie posiadli i byli gotowi się nią podzielić, zapewne w zamian za utworzenie tej mitycznej czternastej kolonii.

– Ale umowa wzięła w łeb – odezwał się Monk.

Asystentka Heismana przerzucała stertę kartek.

– Jeszcze raz zacytuję ten fragment – powiedziała. – *Szamanów Konfederacji Irokeskiej nikczemnie zamordowano w drodze na spotkanie z gubernatorem Jeffersonem. Po tym zdarzeniu już wszyscy, którzy wiedzieli o Potężnym Eliksirze i Błdych Indianach, odeszli do Pana.*

Gray skinął głową.

– Wiemy już jednak, że jeden z szamanów żył na tyle długo, żeby zdradzić, gdzie ukryto mapę, prawdopodobnie wskazującą drogę do źródła tej wiedzy. I tam wysłano Fortescue.

– I chyba mu się udało – dorzucił Monk. – Może chodzi o ten „eliksir” wspomniany w liście albo coś innego. Tak czy inaczej, uwierzył, że to na tyle potężne, żeby wywołać erupcję wulkanu. A potem dręczyły go wyrzuty sumienia.

– Przez dwadzieścia lat, do chwili gdy Jefferson znowu go wezwał – rzekł Heisman.

Seichan odwróciła się do naukowca. Zdała sobie sprawę, że znów obraca w palcach wisiorek ze smokiem, i siłą woli opuściła rękę.

– O czym pan mówi?

Heisman poprawił okulary i znów odczytał fragment listu.

– *Po takiej tragedii nie mam serca wciągać A.F. w kolejną wyprawę, ale życzliwość i ogromny szacunek, jakimi darzą go tubylcze plemiona tego kontynentu, wielce się nam przydadzą w tej*

dłuższej podróży. Dołączy do Was w Saint Charles na tyle wcześnie, by zdążyć zdobyć wszystko, czego będzie potrzebował podczas Waszej wyprawy na zachód.

Gray nachylił się nad stołem.

– Chwileczkę. Twierdzi pan, że Fortescue dołączył do ekspedycji Lewisa i Clarka?

– Nie ja – odparł Heisman, potrząsając starymi papierami. – Thomas Jefferson.

– Ale nie ma żadnego innego dokumentu...

– Być może też zostały usunięte – zasugerował Heisman. – Tak jak reszta materiałów o tym człowieku. Nie odkryliśmy nic więcej poza tym listem. Kiedy Fortescue wyrusza na tę wyprawę, już nigdy nikt o nim nie wspomina. Tak w każdym razie wynika z tego, co wiemy.

– Ale dlaczego Jefferson wysłał go z Lewisem i Clarkiem? – zapytał Gray.

Seichan odgadła odpowiedź i usiadła prosto.

– Może Islandia nie była jedynym miejscem zaznaczonym na indiańskiej mapie. Może był jeszcze inny punkt. Na zachodzie. Islandia leżała bliżej, więc najpierw zbadali ją.

Gray potarł palcem powiekę prawego oka jak zawsze, gdy usiłował uporządkować w głowie kawałki łamigłówek.

– Jeżeli było inne miejsce, dlaczego czekali aż dwadzieścia lat, żeby zacząć go szukać?

– Dziwisz się, że byli ostrożniejsi po tym, co się stało za pierwszym razem? – włączył się Monk. – Jeżeli Fortescue miał rację, to zginęło przez nich sześć milionów ludzi i wybuchła rewolucja francuska. Jasne, że następnym razem bardziej uważali.

– Istnieją inne dowody historyczne na to, że misja Lewisa i Clarka nie była tylko wyprawą badawczą – wtrącił Heisman. – Po pierwsze, sam Jefferson prawie się do tego przyznał.

– Jak to? – zdziwił się Gray.

– Przed ekspedycją Jefferson wysłał pewien tajny list, czyli tylko do członków Kongresu. Ujawniał w nim prawdziwy cel wyprawy: jej uczestnicy mieli szpiegować Indian na zachodzie i zebrać o nich jak najwięcej informacji. Po drugie, Jefferson z Lewisem opracowali prywatny szyfr, aby przysyłane wiadomości mógł odczytywać tylko Jefferson albo lojalne wobec niego osoby. Czy to wygląda na roczną wycieczkę krajoznawczą? Jefferson wyraźnie szukał czegoś na zachodzie.

– A znalazł? – spytała Seichan.

– Nie ma na ten temat żadnych publicznych dokumentów. Ale wiemy, że zniszczono wszystkie dokumenty dotyczące Archarda Fortescue. Czyli nie wiadomo. Jest jednak pewien intrygujący szczegół, który wskazuje, że coś zatuszowano.

Monk przysunął się bliżej.

– Co takiego?

– Jedenastego października tysiąc osiemset dziewiątego roku, trzy lata po powrocie wyprawy z zachodu, Meriwethera Lewisa znaleziono martwego w pokoju gospody w Tennessee. Dostał śmiertelny postrzał w głowę i pierś. Ale z niewiadomego powodu uznano, że to było samobójstwo, a jego ciało pospiesznie pochowano w pobliżu gospody. Próbę ukrycia prawdy ujawniono dopiero po dwustu latach. Dziś panuje opinia, że został zamordowany przez zamachowca. – Heisman odwrócił się do wszystkich. – Lewis jechał do Waszyngtonu na spotkanie z Thomasem Jeffersonem. Niektórzy uważają, że miał cenne informacje lub przewoził coś o zasadniczym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa. Tu jednak trop się urywa.

W pracowni zapadła cisza. Seichan zauważyła, że Gray wciąż pociera kącik oka. Niemal słyszała, jak pracują trybiki w jego głowie.

Heisman zerknął na zegarek.

– I w tym miejscu zakończymy na dziś, panie i panowie. Podobno muszą państwo zdążyć na samolot.

Monk wstał i wszyscy się pożegnali. Heisman i Sharyn obiecali, że rano będą kontynuować poszukiwania, ale chyba nie mieli większych nadziei.

Seichan wyszła za dwoma mężczyznami na ulicę, gdzie czekał na nich Lincoln.

Monk przyjrzał się uważnie Grayowi.

– Zrobiła ci się ta twoja zmarszczka na czole. Co jest? Denerwujesz się przed podróżą?

Gray wolno pokręcił głową, czując chłodny powiew na ulicy.

– Nie. Martwię o Utah. Po tym, co usłyszeliśmy o Islandii, i wiedząc, że w obu miejscach doszło do dziwnej emisji neutrin, wydaje mi się, że dzisiejszy wybuch to nasz najmniejszy problem.

Monk otworzył drzwi samochodu.

– Jeżeli tak, to ktoś ma tam wszystko na oku.

Gray wsiadł.

– To właśnie martwi mnie najbardziej.

31 maja, 4.55

Obszar chroniony High Uintas

Stan Utah

Major Ashley Ryan czuwał z geologiem Ronem Chinem. Stali obaj na skraju rozpadliny. Do świtu było niedaleko, a Ryan nie mógł się go doczekać.

Mieli za sobą długą, krwawą noc. Razem ze swoim oddziałem zdołał wyciągnąć rannego kolegę z zasnutej parą doliny, a helikopter ewakuował go do najbliższego szpitala – Bellamy stracił większą część prawej nogi, był oszołomiony morfiną, a spod bandaża uciskającego kikut sączyła się krew.

Ryan próbował się potem zdrzemnąć, ale ilekroć zamykał oczy, w jego pamięci pojawiało się ostrze toporka wcinające się głęboko w udo szeregowca... albo widział, jak Chin chwytając odrąbaną nogę i ciska w głąb dymiącej jamy, jak gdyby dorzucał polano do ogniska. Ale Ryan rozumiał. Nie mogli ryzykować skażenia.

W końcu dał za wygraną i wiedząc, że i tak nie zaśnie, wygramolił się z namiotu i razem z geologiem obserwował dolinę. Przez noc naukowiec ustawił arsenał sprzętu: kamery, skanery podczerwieni, seismografy, coś, co nazywał magnetometrem, urządzenie do pomiaru siły i kierunku pola magnetycznego. Jego ludzie zgłaszali coraz częstsze zakłócenia w pracy radia i telefonów komórkowych. W ciągu ostatniej godziny wskazówki wszystkich kompasów skierowały się w stronę rozpadliny. Najgorsze było jednak to, że górą wstrząsały kolejne drgania, coraz częstsze i coraz silniejsze.

– Oddział ewakuował się z rejonu wybuchu – rzekł Ryan, spoglądając na zaparkowanego w pobliżu odkrytego jeepa. – Wycofaliśmy się do bazy trzy kilometry niżej. Wystarczy?

– Powinno – odrzekł z roztargnieniem Chin. – Proszę na to popatrzeć.

Geolog ukląkł obok monitora, który pokazywał obraz ze zdalnej kamery pozostawionej przy jamie. Chin wskazał na piekielny czerwony blask promieniujący z pierwotnego miejsca wybuchu, oświetlający ciemny słup szarego dymu unoszącego się w powietrze.

– Gejzer nie trysnął już od ponad czterdziestu minut – zauważył geolog. – Wydaje mi się, że cała woda z gorącego źródła już się wygotowała.

– Co więc się stamtąd wydobywa?

– Uwolnione gazy. Wodór, tlenek węgla, dwutlenek siarki. Proces, który tam przebiega, musiał przebić źródło i naruszyć warstwy wulkaniczne leżące pod górami.

Ryan zobaczył, jak przez ciemną kolumnę przemknął błysk płomienia i zniknął.

– Co to było?

Chin wyprostował się i zbladł.

– Doktorze? – nie ustępował Ryan.

– Wydaje mi się... że to mogła być bomba wulkaniczna.

– Co? – Jego głos wpadł w wysoką, dziewczęcą tonację. – Bomba? Chce pan powiedzieć, że zaczyna się erupcja? Dostrzegli dwa następne błyski, które przeszły słup dymu i wylądowały na dnie rozpadliny. Po powierzchni potoczył się stopiony kawał skały, niepozostawiający wątpliwości, co się dzieje.

– Pora się zwijać – powiedział Chin, wstając. Nie zważając na sprzęt, zaczął szybko pakować wszystkie pendrive'y, na których miał dane.

Ryan spojrział mu prosto w twarz. Po tym, co się przydarzyło szeregowemu Bellamy'emu, pytał geologa właśnie o taki scenariusz.

– Mówił pan, że nic takiego się nie stanie. Że nawet wiercenie w wulkanie nie wywoła żadnego wybuchu.

– Powiedziałem, że zwykle tak się nie zdarza. – Mówiąc, nie przerywał pracy. – Od czasu do czasu głębokie wiercenia doprowadzały do eksplozji, kiedy odwiert trafił na gorącą komorę wulkaniczną, płuczka wyparowywała i na zewnątrz wydostawał się strumień lawy. Albo weźmy na przykład historię sprzed trzech lat. W Indonezji w wyniku błędu przy pracach wiertniczych doszło do erupcji wielkiego wulkanu błotnego, która trwa do dzisiaj. Dlatego powtarzam, że zwykle tak się nie zdarza, ale tu dzieją się same niezwykle rzeczy.

Ryan głęboko nabrał powietrza, przypominając sobie nogę Bellamy'ego. Geolog miał rację. Tego, co się tu działo, nikt nie potrafił wyjaśnić i nikt nie umiał okiełznać. Ryan uznał, że musi ewakuować swój zespół jeszcze dalej.

Uniósł radio, ale usłyszał tylko szum zakłóceń. Obrócił się, pochwycił jakieś strzępki słów, po czym przyłożył nadajnik do ust.

– Mówi major Ryan! Wycofać się! Wycofać się natychmiast! Złazić z tej cholерnej góry!

Usłyszał zniekształconą przez trzaski odpowiedź, ale nie wiedział, czy to potwierdzenie odbioru, czy prośba o powtórzenie. Usłyszeli mnie?

Chin wyprostował się i zatrzasnął metalowy neseser.

– Majorze, musimy stąd wiać. Natychmiast!

Jakby chcąc podkreślić jego słowa, ziemia gwałtownie się zatrzęsła. Ryan stracił równowagę i osunął się na kolano. Obaj spojrzeli na ekran monitora. Kamera pozostawiona na krawędzi rozpadliny przewróciła się na bok, ale wciąż pokazywała jamę.

Gejzer znów trysnął w górę, ale zamiast pary i wody wyrzucił słup wrzącego błota i rozżarzonych skał, który przysłaniała skłębiona chmura popiołu i dymu.

Ziemia wciąż dygotała, już bez przerwy, wibrując pod podszewami butów Ryana.

– Biegiem! – krzyknął Chin.

Razem popędzili do jeepa. Ryan wskoczył za kierownicę, Chin wylądował obok niego. Kluczyk tkwił już w stacyjce, więc Ryan błyskawicznie uruchomił silnik, wrzucił wsteczny i wduśił pedał gazu. Szarpnął kierownicę i zawrócił, ciskając China o drzwi samochodu.

– Nic się panu nie stało? – spytał.

– Jedź!

Wieczorem jego ludzie usunęli różne przeszkody z wyboistej i krętej drogi biegnącej w dół zbocza, ale wciąż można ją pokonać tylko wytrzymałym wozem z napędem na cztery koła i najlepiej było jechać w żółwym tempie.

To jednak nie wchodziło w grę.

Ryan nie zwalniał, zwłaszcza gdy usłyszał, jak świat za jego plecami eksploduje. Zerkając w lusterko wsteczne, ujrzał potężny strumień lawy strzelający ponad krawędź rozpadliny. Rozjarzony czarny słup wzniósł się wysoko do nieba, ale dolina była za mała, by go zatrzymać.

Ognista chmura przewaliła się przez jej brzeg i ruszyła w ich stronę jak lawina.

Nie było to jedyne zagrożenie.

Na las i wzniesienia wokół nich spadały rozgrzane do czerwoności głązy wielkości małych samochodów, odbijając się i podpalając drzewa i krzaki. Uderzały z siłą pocisków moździerzowych. Ryan zrozumiał już, dlaczego nazywa się je bombami wulkanicznymi.

Jedna z nich śmignęła nad samochodem, osypując ich gorącym deszczem. Popiół oparzył Ryanowi policzki i odkryte ręce, przypominając mu dotkliwie, że jego wóz nie ma dachu.

Nie zważając na ból, skupił się na drodze. Jeep szarpał i podskakiwał na stromym górskim szlaku. Nagle uderzył w odsłoniętą skałę, wgniatając lewy błotnik i tłukąc reflektor. Samochód uniósł się i Ryan mógłby przysiąc, że przez moment balansował na jednym kole jak półtonowa baletnica. Po chwili jeep z łoskotem opadł na drogę.

– Trzymaj się!

– A jak myślisz, co robię? – Chin siedział odwrócony, jedną ręką trzymając się zagłówka. – Spływ piroklastyczny za szybko schodzi ze stoku. Nie zdążymy!

– Szybciej już nie mogę jechać. Nie na tym terenie!

– To zawróć.

– Co? – Ryan zaryzykował i oderwał wzrok od drogi, żeby spojrzeć ze złością na China. – Oszalałeś?

Chin wskazał przecinające im drogę koryto strumienia.

– Tamtędy. W górę rzeki!

Ryan znów usłyszał w jego głosie ostry, rozkazujący ton, który potwierdzał, że geolog parę lat spędził w mundurze. Posłuchał komendy.

– Niech cię szlag! – krzyknął wściekły, że nie ma innego wyjścia, ale obrócił kierownicę.

Na przekór instynktowi samozachowawczemu skręcił w prawo w koryto strumienia i wcisnął gaz. Pomknął w górę zbocza, wzbijając kołami pióropusz wody.

– Serio, Chin, niech cię szlag! Co my robimy?!

Geolog wskazał w prawo, w stronę szczytu wznoszącego się nad ognistą rozpadliną.

– Musimy okrążyć brzeg chmury i wjechać wyżej. Spływ piroklastyczny to płynna mieszanina okruchów skalnych, lawy i gazu. Znacznie cięższa od powietrza. Trzyma się powierzchni góry i sunie w dół.

Choć serce waliło mu jak oszalałe, Ryan zrozumiał.

– Musimy się dostać ponad spływ.

Ale nawet to było niebezpieczne. Okoliczne lasy stały w płomieniach, a z nieba wciąż spadały głązy, zostawiając po sobie ogniste smugi. Najgorzej jednak, że świat po prawej stronie jeepa kończył się niebotycznym murem ognia i dymu, kotłem czarownicy pełnym popiołów i odłamków skał. Chmura toczyła się w ich kierunku, pożerając wszystko na swojej drodze, w poprzek której pędzili.

Mogli się jedynie pocieszać, że koryto strumienia było płytkie i szerokie, a dno z ubitego żwiru i piasku. Ryan wcisnął gaz do deski. Jeep pomknął w górę, uciekając przed ścianą ognia i przemykając slalomem między głazami, posłuszny zręcznym rękóm Ryana. Ale tor jazdy stawał się coraz węższy. Kończył się im strumień.

Pięćdziesiąt metrów przed nimi z siłą rakiety uderzył gład. Buchnęła w górę para, a na nich posypał się grad żwiru.

Koniec drogi.

– Tam! – wrzasnął Chin, wskazując za brzeg po prawej.

Za kilkoma drzewami rozciągała się stroma górską łąką, którą błyskawicznie pochłaniała fala dymu i ognia.

Ryan gwałtownie obrócił kierownicę i jeep przeskoczył wysoki brzeg, na moment zawisł w powietrzu i wylądował na łące. Opony z głębokim bieżnikiem wryły się w trawiastą ziemię. Na tej wysokości gdzieś przykrywał ją śnieg.

– Nie uda się – powiedział Chin, patrząc w prawo, gdzie kończył się świat.

Akurat.

Ryan pędził przez łąkę, a chmura nieubłaganie na nich nacierała. Bijący od niej żar parzył jak oddech smoka. Śnieg wokół nich topniał w mgnieniu oka.

Łąka kończyła się stromą ścianą nagiego granitu. Ryan skierował jeepa w tę stronę, wjechał na ścianę i ruszył pod górę. Wszedł coraz wyżej, wciskając się plecami w oparcie fotela, gdy jeep niebezpiecznie przechylał się do niemal pionu. W lusterku wstecznym zobaczył, jak ognista chmura przykrywa świat, zmieniając go we wzburzone czarne morze.

Dotarli do nich palący żar, palący płuca żywym ogniem, ale Ryan mimo to wykrzyknął z ulgą:

– Udało się!

Nagle wszystkie cztery koła naraz straciły przyczepność ze śliską skałą. Jeep przechylił się i zaczął się bokiem zsuwać ze stoku. Ryan próbował zatrzymać wóz, ale siła grawitacji ciągnęła ich w kierunku płonącego morza.

– W nogi, majorze!

Ręka chwyciła go za kołnierz munduru i wyszarpnęła zza kierownicy. Chin przelazł przez przednią szybę, ciągnąc go za sobą. Ryan zrozumiał i skoczył na maskę obok geologa. Razem stoczyli się na ziemię w momencie, gdy jeep wysunął się spod nich.

Ryan wylądował na granitowym zboczu i wdrapał się wyżej, by nie polecieć za jeepem. Palce zacisnęły się na jego przegubie i pociągnęły na niebezpieczny występ skalny, na którym mógł oprzeć stopy. Krztusząc się i kaszląc, przycupnęli tam jak dwa poparzone ptaki.

Ryan podążył wzrokiem za spojrzeniem China w stronę doliny. Ognista chmura dalej kroczyła po ciemnym zboczu. Rozpadlina w dole, którą mieli teraz pod sobą, buchała ogniem i pluć strugami lawy.

– Moi ludzie... – wymamrotał głucho, myśląc o ich losie. Chin współczującym gestem ścisnął go za łokieć.

– Módl się, żeby cię wtedy usłyszeli.

31 maja, 6.05

Płaskowyż San Rafael

Stan Utah

Hank Kanosh powitał świt na kolanach – nie dlatego, że odprawiał nabożeństwo, ale z powodu wyczerpania. Tuż przed wschodem słońca wspiął się stromym szlakiem, wyruszywszy z kręgu chat w dole. Kręta ścieżka prowadziła przez labirynt wąskich kanionów do suchej doliny. Kawtch siedział obok niego i dyszał z wywieszonym językiem. Słońce dopiero wzeszło, więc czuło się chłód, ale pokonanie szlaku było trudnym zadaniem, a żaden z nich nie był już młody.

Hank wiedział jednak, że to nie od upływu lat ciężą mu nogi i morderczo męczy go wspinaczka. Winne było serce. Czując jego bicie w piersi, czuł jednocześnie, jak wzbierają w nim wyrzuty sumienia, dlatego że przeżył, że nie potrafił nic zrobić, gdy był najbardziej potrzebny. Wczoraj, kiedy uciekał, łatwiej było nie myśleć o bólu wywołanym śmiercią przyjaciół.

Dziś było już inaczej.

Patrzył na poprzecinany kanionami krajobraz w dole. Razem z Maggie pokonali tę samą trasę prawie dziesięć lat temu, kiedy nawzajem się sondowali. Wciąż pamiętał ich pocałunek dokładnie w tym miejscu. Jej włosy pachniały szałwią; usta miały słony smak, a mimo to słodki.

Rozkoszował się tym wspomnieniem, klęcząc na płaskiej skale wiszącej niebezpiecznie nad głębokim wąwozem nazywanym Małym Wielkim Kanionem. Dolina leżała w sercu płaskowyżu San Rafael, pustynnego wyniesienia skał osadowych szerokości około stu kilometrów, które wypiętrzyły ruchy górotwórcze sprzed pięćdziesięciu milionów lat. Od tego czasu deszcz i wiatr wyłobily tu labirynt urwistych wzniesień, stromych kanionów i wąwozów o poszarpanych zboczach. Znacznie niżej proces erozji kontynuowała rzeka San Rafael, wijąc się leniwie przez płaskowyż w drodze do Kolorado.

Czerwona skalista równina była niemal bezludna, zamieszкана głównie przez dzikie osły, konie i jedno z największych stad owiec kanadyjskich. Jedyne dwunożnymi gośćmi byli tylko bardziej zuchwali turyści, ponieważ nieliczne drogi dzikiej równiny można było przemierzać jedynie samochodem z napędem na cztery koła. Dawniej niemal niedostępny labirynt kanionów i wąwozów płaskowyżu stanowił kryjówkę wielu wyjętych spod prawa zbiegów, wśród których byli Butch Cassidy i jego banda.

Tak samo miało być i tym razem.

Hank i reszta dotarli tu przed świtem, sunąc wolno kamienistym szlakiem od Copper Globe Road. Celem ich wyprawy była osada rodziny jego emerytowanych kolegów, Alvina i Iris Humetewów. Grupa Hanka zwała im się na głowę bez słowa uprzedzenia, ale tak jak Kanosh przypuszczał, nie przejęli się zbytnio najściem, życzliwie przyjmując intruzów.

Niewielkie pueblo złożone z pięciu domów zbudowanych z kamienia i błota, funkcjonowało jako komuna i równocześnie szkoła dla dzieci z plemienia Hopi, których trzy pokolenia klanu Humetewa uczyły starych zwyczajów, a nad całością czuwała Iris Humetewa, przywódczyni i dobrotliwa dyktatorka.

W tej chwili nie było żadnych uczniów.

A raczej prawie żadnych.

– Możesz wyjść – powiedział Hank.

Zza głazu w wąwozie za jego plecami dobiegło pełne złości westchnienie. Z ukrycia wyłoniła się szczupła sylwetka Kai Quocheets. Dziewczyna podążyła jego tropem, odkąd wyszedł z osady.

– Podejdz tu, jeżeli chcesz zobaczyć wschód słońca – zachęcił ją.

Zgarbiona i naburmuszona wspięła się na punkt widokowy. Kawtch powitał ją, waląc kilka razy ogonem w płytę piaskowca.

– Tu jest bezpiecznie? – zapytała, przyglądając się urwisku za krawędzią wystającej skały.

– Ten kamień wisi tu tysiące lat, pewnie wytrzyma jeszcze parę minut.

Miała chyba wątpliwości co do jego opinii, ale podeszła.

– Wuj Crowe i jego partner instalują jakąś antenę satelitarną podłączoną do laptopa i telefonu.

– Myślałem, że chcą pozostać niewidzialni.

Rodzina Humetewa nie miała w swoich chatach telewizji ani telefonów. W płataninie kanionów nie było nawet zasięgu sieci komórkowych.

Wzruszyła ramionami.

– Powinni być bezpieczni. Słyszałam, jak mówił coś o programie szyfrującym. Pewnie działa jak jakiś koder.

Skinął głową i poklepał kamień.

– Przyszłaś tu na górę, żeby mi o tym powiedzieć?

Usiadła na piaskowcu, krzyżując nogi.

– Nie... – Nastąpiła długa chwila ciszy, za długa, by miał usłyszeć prawdę. – Chciałam po prostu rozprostować nogi.

Rozpoznał wykręt i domyślił się powodu. Zauważył już, jak unika wuja, obchodząc go z daleka niczym nieufny pies, który się boi, że zostanie zbity, ale i tak coś go przyciąga. Nie widział w niej jednak żadnego lęku. Jeżyła się gotowa kąsać. Przez tę niepewność nie mogła sobie znaleźć miejsca na dole przy pueblu, więc ruszyła za nim.

Zwrócił twarz w stronę słońca, kiedy całe wychynęło zza horyzontu, rozplamienając czerwony krajobraz.

– Znasz ceremonię *na'ii'ees*?

– Co to jest?

Ze smutkiem pokręcił głową. Dlaczego najbardziej zagorzali działacze indiańscy tak często nie znają własnego dziedzictwa?

– Ceremonia wschodu słońca – wyjaśnił, wskazując ogniste narodziny nowego dnia. – Rytuał inicjacyjny dla dziewcząt przechodzących do świata kobiet. Przez cztery dni i noc trwają tańce i modlitwy, które mają obdarzyć nowe kobiety duchową i uzdrawiającą mocą Kobiety Malowanej na Biało.

Odpowiadając na pytające uniesienie brwi, wyjaśnił mitologię Apaczów i Nawahów, w której pojawia się ta bogini, znana również jako Zmienna Kobieta, ponieważ wraz z porami roku potrafiła odmieniać swój wygląd. Z przyjemnością dostrzegł, jak w miarę rozwoju opowieści

z jej twarzy znika wyraz apatii i pojawia się żywe zainteresowanie, znak głodu takiej wiedzy.

Kiedy skończył, odwróciła się do wschodzącego słońca.

– Jakież plemiona urządzają jeszcze tę ceremonię?

– Niektóre, ale rzadko. Na początku dwudziestego wieku rząd federalny zakazał rdzennym Amerykanom duchowych obrzędów i praktyk, czyli ceremonia wschodu słońca stała się nielegalna. Z czasem zwyczaj zanikł i jeżeli dziś wraca, to w uboższej wersji.

Twarz Kai pociemniała.

– Tyle nam ukradli...

– Co było, to było. Teraz sami musimy dbać o zachowanie swojej kultury. Tracimy tylko to, czego nie pielęgnowujemy.

Nie wydawała się udobruchana jego słowami, bo odrzekła z goryczą:

– Co? Tak jak pan? Porzucając własne wierzenia dla religii białego człowieka? Religii, która prześladowała nasz lud i podżęgała do rzezi?

Westchnął. Słyszał to już wiele razy i znów starał się jak najlepiej oświecić nieuświadomioną osobę.

– Błędy popełniają głupi ludzie. W dziejach ludzkości często usprawiedliwiano przemoc religią, nawet wśród naszych plemion. Ale jeżeli idzie o kulturę, religia jest tylko jedną z nitek ogromnego tkanego dywanu. Mojego ojca wychowano na mormona, podobnie jak moją matkę. To część mojej tradycji, tak jak indiańska krew. Jedno nie przeczy drugiemu. W Księdze Mormona jest wiele rzeczy, w których odnajduję spokój i które przybliżają mnie do Boga – czy jak tam chcesz nazwać odwieczną duchowość, jaka istnieje w każdym z nas. Moja wiara daje nawet inny punkt widzenia na przeszłość naszego ludu. Dlatego właśnie zostałem historykiem dziejów rdzennych Amerykanów i przyrodnikiem.

Żeby szukać odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Jak mormonizm może wyjaśnić naszą historię?

Nie wiedział, czy to właściwy moment na tłumaczenie dziejów ukrytych na kartach Księgi Mormona, świadectwa obecności Chrystusa w Nowym Świecie. Postanowił jednak rozjaśnić nieco mrok, który nadal otaczał początki historii plemion Ameryki.

Wstał.

– Chodź za mną.

Utykając lekko z powodu artretyzmu, podszedł do pobliskiej wyżłobionej kopuły z piaskowca. Pod rowkowaną krawędzią skały ciągnął się rząd ociosanych bloków kamiennych, świadczący o tym, że to ruiny dawnego indiańskiego domu. Schyliwszy głowę, przekroczył próg i ruszył w stronę przeciwniejszej ściany.

– Ciągłe niewiele wiemy o naszym ludzie – powiedział i obejrzał się za siebie. – Słyszałaś o prehistorycznych indiańskich kopcach odkrytych na Środkowym Zachodzie? Ciągnęły się od Wielkich Jezior po bagna Luizjany.

Wzruszyła ramionami.

– Niektóre pochodzą sprzed sześciu tysięcy lat. Nawet plemiona zamieszkujące kontynent w chwili przybycia Europejczyków nie pamiętają budowniczych starożytnych kopców. To nasze dziedzictwo. Jedna wielka tajemnica.

Dotarł do ściany, gdzie na żółtym tle piaskowca ręka prehistorycznego artysty namalowała czerwonym pigmentem trzy postacie chude jak szkielety. Przesunął dłonią nad starożytnym obrazem.

– Na całym obszarze znajdziesz takie petroglify. Niektórzy archeolodzy określili wiek

najstarszych malowideł na osiem tysięcy lat. Ale i tak są stosunkowo młode w porównaniu z petroglifami z gór Coso nad suchym dnem słonego jeziora China. Tamte mają szesnaście tysięcy lat i pochodzą z końca ostatniej epoki lodowcowej, kiedy kontynent zamieszkiwały jeszcze mamuty, szablozębne koty i ogromne bizona plejstoceńskie. – Odwrócił się do Kai. – Tak daleko sięga nasza historia, a tak mało o niej wiemy.

Zrobił pauzę, by jej młode barki odczuły ciężar wieków.

– Nawet liczba mieszkających tu ludzi była znacznie niedoszacowana. Zgodnie z najnowszymi badaniami na podstawie składu chemicznego stalagmitów i głębokości złóż skamieniałego węgla drzewnego odkrytych na terenie kontynentu, populację rdzennych Amerykanów określa się na ponad sto milionów. Mieszkało tu więcej ludzi niż w Europie, kiedy Krzysztof Kolumb postawił stopę na Nowej Ziemi.

W półmroku błysnęły jej szeroko otwarte oczy.

– No i co się z nimi stało?

Wychodząc pierwszy z ruin, wskazał je szerokim ruchem ręki.

– Po przybyciu Europejczyków szybciej niż osadnicy rozlały się na kontynencie choroby zakaźne takie jak ospa i stąd wrażenie słabo zaludnionego amerykańskiego pustkowia. Ale to fałszywa historia, podobnie jak wiele innych.

Kai stanęła na skalnym występie obok niego i Kawtcha, który zwietrzył coś, unosząc wysoko nos. W zamyśleniu patrzyła w dal. Niebo straciło różowy odcień świtu, przybierając barwę głębokiego błękitu poranka.

– Rozumiem – powiedziała. – Nie możemy naprawdę poznać samych siebie, dopóki nie poznamy swojej historii.

Odwrócił się, taksując ją wzrokiem. Chciała uchodzić za znacznie mniej bystrą, niż była w rzeczywistości – i udowodniła to, zadając mu pytanie:

– Ale nic pan nie powiedział o tym, jak Księga Mormona pomaga zrozumieć naszą historię.

Zanim Hank zdążył odpowiedzieć, Kawtch warknął ostrzegawczo. Wciąż węszył, unosząc wysoko łeb. Oboje spojrzeli w kierunku północno-wschodnim, gdzie wskazywał nos Kawtcha. Na jaśniejszym już niebie dostrzegli wzburzoną czarną smugę na horyzoncie, przypominającą chmury burzowe zbierające się przed ulewnym deszczem.

– Dym – mruknął.

Bardzo dużo dymu.

– Pożar lasu? – spytała Kai.

– Nie sądzę. – Serce zabiło mu lękiem. – Powinniśmy schodzić.

6.38

Provo, stan Utah

Rafael Saint Germaine siedział w ogromnej i okazale urządzonej kuchni rezydencji, delektując się espresso w małej porcelanowej filiżance, rozbawiony niedorzecznością tego pomieszczenia. To, co Amerykanie uważali za klasę najwyższej próby, wydawało mu się śmieszne – mieszkali w domach o taniej, współczesnej konstrukcji, ale urządzonych w stylu udającym wdzięk Starego Świata. Zamek jego rodziny w Carcassonne pochodził z szesnastego wieku i otaczały go fortyfikacje, na których toczono bitwy zmieniające losy zachodniej cywilizacji.

To był prawdziwy znak arystokracji.

Patrzył przez kuchenne okna na stojący za rozległym trawnikiem helikopter, którego załoga przygotowywała się do startu. Na stole leżały stosy wydruków z danymi biograficznymi. Przeczytał je przy śniadaniu i nie widział potrzeby, by jeszcze raz je przeglądać. Większość szczegółów znał już na pamięć.

Na wierzchu leżała fotografia człowieka, który minionej nocy pokrzyżował mu plany akcji na uniwersytecie. Ustalenie jego nazwiska trwało dość krótko. Okazało się, że to ktoś doskonale znany jego organizacji. Gdyby zdjęcie nie było tak ciemne i ziarniste, nie potrzebowaliby nawet programu do rozpoznawania twarzy, żeby go zidentyfikować.

– Painter Crowe – wyszeptał nazwisko przeciwnika. Dyrektor Sigmy. Patrząc na fotografię, pokręcił głową z konsternacją i zarazem rozbawieniem. – Po co wylazłeś ze swojej nory w Waszyngtonie?

Rafe nie spodziewał się, że Sigma tak szybko zareaguje na wydarzenia, do których tu doszło. Nie docenił ich i nie zamierzał powtarzać tego błędu. Ale nie była to tylko jego wina. Znacznie dłużej trwało skojarzenie dwóch faktów. Ich cel – zwinna złodziejka o lepkich rękach – okazał się daleką krewną Crowe'a, który pochodził z tego samego plemiennego klanu. Prawdopodobnie poprosiła go o pomoc, powołując się na więzy rodzinne.

Ciekawe zdarzenie. Przez resztę nocy z przerwą na krótką drzemkę układał w głowie przeróżne kombinacje, włączywszy do swoich równań tę nową zmienną. Jak to najlepiej rozegrać? Jak obrócić to na swoją korzyść?

Dopiero o poranku doszedł do rozwiązania.

W korytarzu rozległy się kroki, a potem ktoś wszedł do pokoju kredensowego, by dotrzeć do kuchni.

– Jesteśmy gotowi do odlotu.

– *Merci*, Bern. – Rafe postukał w zegarek Patek Philippe wyposażony w mechanizm tourbillonu. We francuskim to słowo oznaczało trąbę powietrzną. Z taką szybkością powinni działać dzisiejszego ranka. – Jesteśmy spóźnieni.

– Tak jest. Nadrobimy to w powietrzu.

– Doskonale.

Rafe dokończył espresso i się skrzywił. Kawa zrobiła się letnia, co wydobycie z niej niesmaczną gorycz. Szkoda, bo odkrycie tego drogiego specjału importowanego z Panamy było dla niego miłą niespodzianką. Przynajmniej za kawę musiał przyznać właścicielom tego szkaradnego domostwa parę punktów.

Wstał gotów do wielkoduszności.

– Ashanda jest jeszcze z chłopcem? – spytał Berna.

– Są w bibliotece.

Wiadomość wywołała uśmiech. Nie mając języka, na pewno nie czytała dziecku bajki.

– Co mam zrobić z chłopcem po pana wyjeździe? – Bern zeszytywniał, być może odgdując odpowiedź.

Rafe lekceważąco machnął ręką.

– Zostaw go tu. Całego i zdrowego.

Brwi Berna uniosły się lekko. U najemnika znanego ze stoickiego spokoju było to równie wymowne jak okrzyk zaskoczenia.

Rafe odwrócił się od niego. Aby trzymać w ryzach podkomendnych, czasem dobrze jest zachować się nieprzewidywalnie. Wspierając się na lasce, ruszył po Ashandę. Regały w bibliotece z antresolą wypełniały oprawione w skórę książki, których prawdopodobnie nikt

nigdy nie czytał, postawiono je tylko na pokaz, tak jak wszystko w tym domu.

Ashanda siedziała w pluszowym fotelu z wysokim oparciem. Chłopczyk spał w jej ramionach, a ona długimi, niewiarygodnie silnymi palcami delikatnie gładziła jego jasne loki, monotonnie nucąc przytłumionym głosem. Dla Rafe'a był to kojący dźwięk, znajomy jak głos matki. Uśmiechnął się, a w pamięci stanęły mu dawne szczęśliwe letnie noce, gdy spał pod gwiazdami na balkonie, czując obok siebie ciepło ciała Ashandy w miękkim gnieździe z koców. Często też słyszał to nucenie w jej objęciach, gdy dochodził do siebie po złamaniu którejś z kruchych kości. To był cudowny balsam uśmierzający prawie każdy ból, nawet dziecięce cierpienia.

Przykro mu było jej przeszkadzać, ale musieli realizować plan.

– Ashando, *ma grande*, musimy ruszać.

Posłusznie skłoniła głowę i spokojnie wstała. Odwróciła się i delikatnie położyła chłopczyka na ciepłym wyściełanym fotelu, zwijając go w kłębek. Dopiero teraz Rafe zauważył siną pręgę na szczupłej szyi dziecka i dziwne przechylenie głowy. Chłopiec jednak nie spał.

Podeszła do Rafe'a i podała mu rękę. Chwycił ją i ścisnął ze współczuciem. Wiedziała, co należy zrobić, wiedziała, jak by brzmiał jego rozkaz w normalnych okolicznościach. Postąpiła tak ze względu na niego i na dobro dziecka, darując chłopcu szybki i bezbolesny koniec. Rafe nie miał serca powiedzieć jej, że to nie było konieczne, przynajmniej nie tym razem.

Poczuł się podle.

Naprawdę jestem tak przewidywalny?

Będzie się musiał tego wystrzegać, zwłaszcza dzisiaj. Powiadomiono go o erupcji wulkanu w górach, co potwierdzało wcześniejsze podejrzenia. Teraz należało działać szybko. Spojrzał na zegarek, zatrzymując wzrok na obracającym się tourbillonie.

Jak trąba powietrzna, powtórzył sobie.

Nie miał czasu do stracenia. Musieli wypłoszyć z kryjówki ptaszki, które poprzedniej nocy wymknęły się z jego sideł. Musieli je znów wytropić. Prawie całą noc poświęcił na szukanie rozwiązania, które natura stosowała na co dzień.

Żeby upolować spłoszonego ptaka, często potrzebne są łowy z sokołem.

7.02

Płaskowyż San Rafael

– Ile ofiar? – spytał Painter, przyciskając do ucha telefon satelitarny.

Chodził tam i z powrotem po głównej izbie największej chaty. W poczeriałym palenisku czerwienił się żar, w powietrzu unosiła się gorzka woń palonej kawy. Kowalski siedział na kanapie z sosnowych bali, opierając nogi o stół z sękatego drewna. Zwiesił głowę na piersi, śmiertelnie zmęczony po długiej jeździe.

W słuchawce głos Ronald China brzmiał ochryple. Odbiór cyfrowego sygnału zakłócały fluktuacje pola magnetycznego i unoszące się w powietrzu cząstki po erupcji wulkanu.

– Straciliśmy pięciu członków Gwardii Narodowej. Ale to niewiele, bo majorowi Ryanowi udało się nadać ostrzeżenie i rozpocząć ewakuację. Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy nie zginęli jacyś turyści lub obozowicze. Teren był już zamknięty, więc mamy nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

Painter patrzył na belkowanie dachu. Osadę zbudowano w tradycyjny sposób – domy były kryte strzechą z traw położoną na łąkach z żerdzi, a zaprawę zrobiono z fragmentów skał powiązanych błotem. Dziwnie było rozmawiać o narodzinach nowego wulkanu w tak

niedzisiejszym otoczeniu.

– Na szczęście erupcja chyba już słabnie – ciągnął Chin.

– Przed świtem przeleciałem helikopterem nad okolicą. Lawa przestała płynąć. Na razie nie wylewa się poza ściany rozpadliny i zaczyna zastygać. Największe zagrożenie to w tym momencie pożar lasu. Ludzie szybko budują pasy przeciwpożarowe, a helikoptery zrzucają wodę. Ogień opanowano już w pięćdziesięciu procentach.

– Chyba że dojdzie do następnej erupcji – zauważył Painter.

Chin przekazał mu już swoją opinię na ten temat. Uważał, że wywołany przez eksplozję proces, który powodował rozpad materii na atomy, osiągnął płytkiej komory wulkanicznej ogrzewającej region geotermalny i doprowadził do erupcji.

– Tam chyba też będziemy bezpieczni – odrzekł Chin.

– Jak to?

– Monitoruję pole lawy w strefie wybuchu. W miejscu rozpadliny stale zwiększa grubość. Nie widzę żadnych śladów nowej atomizacji. Przypuszczam, że wysoka temperatura erupcji spaliła coś, co powodowało rozpad materii. Unicestwiła.

Unicestwiła?

Painter podejrzewał, że Chin ma jakąś teorię i domyśla się, co to mogło być.

– Jeżeli mam rację – ciągnął Chin – to mieliśmy cholerne szczęście, że doszło do erupcji.

Painter nie nazwałby szczęściem śmierci pięciu żołnierzy Gwardii Narodowej, ale rozumiał ulgę geologa. Gdyby ten proces rozwijał się w niesłabnącym tempie, mógłby się rozszerzyć na całe Góry Skaliste, pochłaniając wszystko na swojej drodze i zostawiając tylko pył atomów.

Może więc Chin miał rację. Może mieli szczęście. Painter jednak nie bardzo wierzył w szczęście ani przypadek.

Pomyślał o z mumifikowanych szczątkach znalezionych w jaskini, pogrzebanych tam wraz z niszczycielskim ładunkiem.

– Może właśnie dlatego ci martwi Indianie, jeżeli to byli Indianie, postanowili ukryć swoją wybuchową substancję w geotermalnej dolinie. Wykorzystali ją jako system zabezpieczeń. Gdyby ten niszczycielski proces został uruchomiony, przebiłby gorącą warstwę geotermalną pod ziemią i wysoka temperatura unieszkodliwiłaby to coś, zanim zdążyłoby się rozprzestrzenić i pochłonąć świat.

– Doskonałe zabezpieczenie – powiedział Chin w zamyśleniu.

– Jeżeli ma pan rację, to być może substancję trzeba stale ogrzewać, żeby zapobiec eksplozji. Może dlatego czaszka wybuchła, kiedy wyniesiono ją z gorącej jaskini na zimne górskie powietrze.

Ciekawa myśl.

Chin zaczął ją rozwijać.

– To by dodatkowo potwierdzało pewne moje przypuszczenia.

– Jakie?

– Wspomniał pan, że sztylet znaleziony w jaskini wykonano ze stali damasceńskiej, która była wyjątkowo wytrzymała i sprężysta dzięki manipulacji materiałem w nanoskali.

– Tak mówił fizyk, doktor Denton, zanim zginął. Powiedział, że to przykład dawnej formy nanotechnologii.

– Dlatego się zastanawiam... kiedy obserwowałem ten proces dezintegracji w dolinie, mniej przypominał mi reakcję chemiczną, a bardziej aktywne wywoływanie rozpadu materii.

– Do czego zmierzasz?

– Jednym z celów współczesnej nanotechnologii jest produkcja nanobotów, molekularnych maszyn, które potrafią oddziaływać na materię w nanoskali. A jeżeli ci nieznani ludzie byli nie tylko mistrzami nanotechnologii, ale i nanorobotyki? Jeżeli eksplozja uaktywniła biliony uśpionych nanorobotów, „nanogniazdo”, które zaczęło się rozprzestrzeniać we wszystkie strony, niszcząc wszystko na swojej drodze?

Hipoteza wydawała się mocno naciągana. Painter wyobraził sobie mikroskopijne roboty rozcinające cząsteczki atom po atomie.

– Dyrektorze, wiem, że to brzmi idiotycznie, ale laboratoria na całym świecie dokonują już przełomów w wytwarzaniu i konstruowaniu nanomaszyn. Niektóre wskazują nawet na możliwość stworzenia robotów krzemowych zdolnych do autoreplikacji, nanitów, które potrafią się same reprodukować z pochłoniętego przez siebie materiału.

Painter znów wyobraził sobie proces dezintegracji w dolinie.

– Chin, mówimy o potężnym kroku naprzód.

– Zgadza się. Ale w świecie natury istnieje już niezliczone mnóstwo nanobotów. Enzymy w komórkach funkcjonują jak niezmordowane roboty. Niektóre replikujące się wirusy działają w nanoskali. Może więc ktoś w dalekiej przeszłości przypadkowo wymyślił podobnego nanorobota, na przykład jako efekt uboczny wytwarzania stali damasceńskiej? Nie wiem. Ale kwestia temperatury daje do myślenia.

– To znaczy?

– Jedną z przeszkód w nanotechnologii, zwłaszcza w funkcjonalności nanorobotów, jest odprowadzanie ciepła. Żeby nanomaszyna mogła funkcjonować, musi się pozbywać ciepła powstającego podczas pracy, a w nanoskali to trudny proces.

Painter złożył to wszystko w całość.

– Czyli żeby nanoroboty pozostały uśpione, trzeba je trzymać w jakimś gorącym miejscu. Na przykład w jaskini ogrzewanej źródłem geotermalnym, gdzie przez stulecia czy nawet tysiąclecia utrzymuje się względnie stała temperatura.

– A w razie nieszczęśliwego wypadku – ciągnął Chin – gniazdo nanorobotów, które rozrasta się we wszystkich kierunkach, ostatecznie dostaje się do warstwy geotermalnej i nieumyślnie niszczy samo siebie.

Mimo że na pozór brzmiało to niewiarygodnie, taki przebieg wypadków wydawał się przerażająco realny. I niebezpieczny. Produkt tego rodzaju mógł być gotową do użycia bronią, ale znacznie cenniejszą zdobyczą byłaby technika jego wytwarzania. Gdyby ją odkryto, byłaby bezcenna.

Nanotechnologię uważano za następny wielki przemysł nowego milenium, który miał odegrać istotną rolę we wszystkich dziedzinach nauki, w medycynie, elektronice, produkcji... Lista ciągnęła się bez końca. Ten, komu uda się nad nią naprawdę zapanować, będzie mógł rządzić światem od poziomu atomów wzwyż.

Ale nasuwało się ważne pytanie.

– Jeżeli mamy rację, to kim byli ci zmumifikowani ludzie w jaskini? – zapytał Chin.

Painter spojrział na zegarek. Osoba, która być może będzie znała odpowiedź, miała tu przybyć w ciągu godziny. Ustalił z Chinem jeszcze kilka szczegółów, polecając mu pozostać na miejscu i nadal monitorować dolinę.

Kiedy Painter się rozłączył, Kowalski mruknął z kanapy, nie podnosząc głowy:

– Wywołuje wybuchy wulkanów.

Painter zerknął w jego stronę.

– Jeżeli to coś naprawdę ma taką moc... – otworzyło się jedno oko i spojrzało na niego – to może lepiej uprzedzić Graya, żeby przed wyprawą na Islandię zapakował bieliznę z azbestu.

31 maja, 13.10

Archipelag Vestmannaeyjar

Islandia

Gray przeszedł przez pokład rufowy trałowca. Choć niebo było bezchmurne, silny wiatr burzył morze i pokład pod jego stopami kołysał się i podskakiwał. Zobaczył Seichan i Monka, którzy stali przy relingu opatuleni w wodoodporne płaszcze, by ochronić się przed chłodem pozostawiającym na ustach słony smak. Promienie słońca odbijały się od fal, lecz nie zdołały ocieplić powietrza.

– Kapitan mówi, że za dwadzieścia minut dobijemy do Elliðaey – powiedział Gray.

Seichan przysłoniła oczy i spojrzała na wschód.

– To na pewno ta wyspa?

– Tak przypuszczamy.

Wylądowali w Reykjavíku przed godziną i przesiedli się do prywatnego samolotu, który zabrał ich na archipelag leżący dziewięć kilometrów na południe od brzegów Islandii. Wyspy Vestmannaeyjar przypominały szereg wartowników w szmaragdowych czapkach, unoszących się na targanym sztormem morzu – tak niespokojnym jak historia tego regionu. Wyspy zawdzięczały nazwę irlandzkim niewolnikom zwanym Vestmenn (ludźmi zachodu), którzy w roku 840 zabili swoich ciemiężców i schronili się na archipelagu, lecz pozostała po nich tylko nazwa, ponieważ wkrótce potem odnaleziono ich i wymordowano. Dziś mieszkali tu jedynie najzdrowsi i najwytrwalsi, skupieni na największej z wysp, dzieląc niewielki skrawek lądu z ptakami morskimi i najliczniejszymi na świecie koloniami arktycznych maskonurów.

Gray patrzył na znikający w oddali malowniczy port w Heimaey z kolorowymi domami i sklepikami odcinającymi się jasno od tła zielonych wzgórz i złowrogich stożków wulkanicznych zbudowanych z szarych popiołów. Wylądowali na niewielkim lotnisku wyspy i nie tracąc czasu, wyczarterowali łódź, by dotrzeć do współrzędnych, które przekazali japońscy fizycy, choć Kat musiała przyznać, że to przybliżone współrzędne. A archipelag tworzyło kilkanaście niezamieszkanymi wysp oraz niezliczone naturalne filary i bramy skalne wyrzeźbione przez wiatr.

Cały archipelag był geologicznie młody, powstał w ciągu ostatnich dwudziestu tysięcy lat w wyniku aktywności wulkanicznej wzdłuż granicy płyt tektonicznych biegnącej przez dno morskie. Pożoga trwała nadal. W połowie lat sześćdziesiątych podwodna erupcja wulkanu spowodowała ogniste narodziny Surtsey, najbardziej na południe wysuniętej wyspy archipelagu. W latach siedemdziesiątych wybuchł wulkan Eldfell – jeden z dwóch na Heimaey – i przykrył lawą pół kolorowego portu. Gray dostrzegł skutki erupcji z powietrza, kiedy schodzili na lotnisko. Znaki drogowe wciąż wystawały z pola lawy; kilka domów na krańcach wyspy wydobywano spod skalnego gruzu. Dlatego miasto zyskało sobie drugą nazwę – Pompeje

Północy.

– Wydaje mi się, że to tu – pokazał Monk.

Gray odwrócił się i przed dziobem statku ujrzał wystającą z morza strzelistą czarną skałę. Na tej wyspie nie było piaszczystych plaż i zacisznych portów. Elliðaey, sterczący z fal ścięty fragment stożka wulkanicznego, otaczały nagie czarne ściany. Wyżłobiony szczyt wyspy przykrywał dywan szmaragdowej zieleni – wysoko położona łąka mchów, porostów i morskiej trawy, tak jasna w słonecznym blasku, że wyglądała nienaturalnie.

– Jak my się tam dostaniemy? – spytał Monk, podczas gdy statek pruł prosto na czarne skały.

– Trzeba się wspiąć, moi amerykańscy przyjaciele.

Odpowiedź padła ze sterówki. Na pokład wymaszerował kapitan Ragnar Huld w rozpiętym sztormiaku, wysokich butach i grubym wełnianym swetrze. Gdyby ubrać go w futro i skóry, ze swoją gęstą rudą brodą przetykaną siwizną i surową, zniszczoną przez słony wiatr twarzą łatwo mógłby uchodzić za grasującego po tych morzach wikinga. To wrażenie łagodził tylko błysk dobrodusznego rozbawienia w zielonych oczach.

– Niestety, da się wejść tylko po linie – wyjaśnił. – Ale wszyscy wyglądacie na dość sprawnych, więc powinno pójść gładko. Młody Egg podejdzie łodzią do wschodniego brzegu, tam skały są najniższe.

Huld wskazał kciukiem kabinę, gdzie za sterem stał jego dwudziestokilkuletni syn Eggert z ogoloną do skóry głową i tatuażami zasłaniającymi do pach obie ręce.

– Proszę się nie obawiać – uspokoił ich Huld. – Regularnie przywożę tu myśliwych, nawet paru fotografów przyrody. Nigdy nie miałem na pokładzie geologów takich jak wy. Ale nigdy jeszcze nie straciłem żadnego pasażera.

Żartobliwie mrugnął do Seichan, ale stała ze skrzyżowanymi rękami, nie wyglądając bynajmniej na rozbawioną. Zgodnie z oficjalną wersją byli naukowcami z Uniwersytetu Cornella prowadzącymi badania nad wyspami wulkanicznymi. Dzięki temu ich ciężkie plecaki i pytania o tę konkretną wyspę nie budziły niczyich podejrzeń.

Huld wskazał na skałę, która była coraz bliżej.

– Na górze jest domek myśliwski, w którym można wynająć pokój, gdyby było trzeba. Można go zauważyć, kiedy się zmrúży oczy.

Gray szukał przez chwilę, wreszcie znalazł. Dokładnie pośrodku nieckowatej murawy stał dość duży dom kryty dachem z ciemnoniebieskich łupków.

– Tylko nie wiem, czy znajdziecie tam miejsce – ciągnął kapitan. – Wczoraj inny prom przywiózł grupę turystów. Podobno myśliwych z Belgii. A może to byli Szwajcarzy. Zostają tu jeszcze przez kilka dni. Poza nimi do towarzystwa będziecie mieli tylko parę sztuk bydła i jak zwykle tłum maskonurów.

I bardzo dobrze, pomyślał Gray. Wolał, by wokół ich poszukiwania źródła emisji neutrin było jak najciszej.

Nagle Seichan odskoczyła od relingu, potracając Graya, i gdyby jej nie złapał, straciłaby równowagę.

– Co się dzieje?

Bez słowa pokazała na morze. Obok statku pojawiła się potężna czarna płetwa, tnąc fale wzdłuż burty. Gray zobaczył, jak wyłania się druga, a po niej trzecia, czwarta i piąta.

– Tu jest więcej – powiedział Monk z drugiej burty. – Orki. Całe stado.

Huld wypiął pierś i machnął ręką.

– To nic nadzwyczajnego. Nasze wyspy mają największą populację orki i delfinów w całej

Islandii. Są po prostu ciekawe i lubią płynąć w naszym kilwaterze. A może chcą coś przekąsić. Często się z nimi dzielę, kiedy mam dobry połów. U nas mówią, że to przynosi *gangi per vel* – szczęście.

Po jakimś czasie, nie doczekawszy się gratisowego posiłku, stado odpłynęło, znikając jak na niesłyszalny znak. Gray zauważył jednak, jak Seichan nieufnie obserwuje fale wyraźnie zdenerwowana widokiem wielkich drapieżników.

Dobrze wiedzieć, że coś może wytrącić z równowagi to wcielenie determinacji.

Gdy trawler z warkotem mijał południowy koniec wyspy, Gray przyglądał się celowi ich podróży, zwracając uwagę na fale zatapiające jaskinie wulkaniczne, którymi klif był usiany. Jeżeli dawno temu ukryto jakiś skarb w którejś z jaskiń, przyływy i sztormy na pewno doszczętnie go już zniszczyły. Chcąc znaleźć to, czego szukali, powinni sprawdzić lepiej osłonięte miejsce, na przykład jakąś jaskinię lub rurę lawową w głębi wysepki.

Ale gdzie zacząć poszukiwania?

Gray odwrócił się do kapitana Hulda.

– Musimy rozstawić sprzęt i szukamy miejsca, żeby dostać się jak najdalej w głąb wyspy. Ma pan jakieś propozycje?

Kapitan podrapał się w brodę, spoglądając na wysokie skalne ściany.

– Tak. Dużo tu jaskiń i tuneli, jest w czym wybierać. Cała wyspa to w zasadzie stwardniały ser szwajcarski podziurawiony przez wiatr i deszcz. Ale wyżej jest słynna jaskinia, od której wyspa wzięła nazwę. Jaskinia Elliðaey. Według legendy ukryła się tam jakaś dziewczyna uciekająca przed gwałcącymi i rabującymi rozbójnikami, tureckimi albo berberyjskimi piratami, zależy od wersji. W każdym razie kiedy się bezpiecznie schroniła, urodziła chłopca i tu go wychowała. Chłopak został strażnikiem wysp i miał podobno wielką moc. Potrafił wezwać na pomoc ogień i stopione skały, żeby broniły naszego morza. – Huld pokręcił głową. – To oczywiście tylko bajki opowiadane przy ogniu podczas naszych długich zim.

Gray pochwycił spojrzenie Monka. Być może w dawnej baśni tkwiło ziarno prawdy i ktoś szukający schronienia ukrył tu dawno temu jakąś wybuchową energię.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie jest ta jaskinia? – poprosił Gray.

Huld wymownie wzruszył ramionami.

– *Fjandinn* jeden wie. Ale w domku myśliwskim jest dozorca, stary Olafur Bragason. Możecie mu mówić Ollie. Co za sztuka! Mieszka tu od sześćdziesięciu lat, kanciasty i twardy jak te skały. Zna wszystkie zakamarki. Jego powinien pan spytać.

Trawler minął już południowy cypel i wolno zbliżał się do nierównej ściany klifu. Z góry zwieszała się gruba lina przymocowana do krzywizny skały, wyznaczając szlak odpowiedniejszy dla kozic niż dla człowieka. Kończyła się przy niewielkim pachołku do cumowania. Do liny z trawlera mogli się dostać tylko aluminiowym bączkiem wiosłowym, ale przynajmniej miejsce było nieco osłonięte przed wysokimi falami.

Mimo to podejście bliżej klifu wymagało od syna kapitana zręcznego manewrowania. Zaraz potem Gray pomógł Seichan zejść z łódki na śliską skałę, gdzie poprawiła sobie plecak i mocno chwyciła linę. Gray zarzucił na ramiona swój plecak, patrząc w górę. Czekali ich ciężka droga. Nagle pozazdrościł Monkowi protezy. Z nowymi siłownikami potrafił miażdżyć w palcach orzechy. Taki chwyt na pewno przyda mu się podczas długiej wspinaczki.

Huld płynął z nimi, siedząc przy sterze bączka.

– Egg i ja zostaniemy niedaleko, trochę połowimy. Kiedy skończycie, wezwijcie nas przez radio, to was zabierzemy. Ale jeżeli postanowicie przenocować, też dajcie znać. Możemy

przypląć po was jutro, kiedy będziecie chcieli.

– Dzięki.

Gray wysiadł z rozchybotanej łódki na twardy grunt. Wilgotna skała wulkaniczna była szorstka i ostra, zapewniając dobrą przyczepność protektorom jego butów. Ściana, choć stroma, miała dużo wygodnych punktów oparcia i półek. Lina stanowiła dodatkowe zabezpieczenie.

Spojrzał w górę, podziwiając widok. Seichan wspinała się równo, bez odpoczynku. Dżinsy napinały się na udach i łagodnych łukach pośladków. Tempo, jakie sobie narzuciła, nie pozostawiało wątpliwości, że z ulgą uciekła od wzburzonej wody w dole.

Monk kilka metrów niżej musiał zauważyć, co przykuło wzrok Graya.

– Tylko nie daj się przyłapać swojej Włoszce, kiedy będziesz się tak gapił.

Gray posłał mu wściekle spojrzenie. Na szczęście wiatr porwał słowa Monka, zanim zdążyły dotrzeć do uszu Seichan. Gray nie widział Rachel Verony od ponad czterech miesięcy. Ich przelotny flirt zakończył się wraz z jej awansem w korpusie karabinierów, który uwiązał ją we Włoszech, a problemy Graya z rodzicami uniemożliwiły mu spędzanie długich weekendów w Rzymie. Nadal utrzymywali kontakt przez telefon, ale to było wszystko. Rozdzielała ich przepaść szersza od Atlantyku, oboje więc zrozumieli, że muszą dać sobie spokój.

Po ostatnim podciągnięciu cała trójka pokonała skalną ścianę i ujrzała przed sobą przepiękną panoramę traw i odkrytych skał, malowaną mchami i porostami we wszystkich odcieniach zieleni. W osłoniętej niecce stożka wulkanicznego stała lekka mgiełka, rzucając na krajobraz tęczyowy blask.

Monk głośno gwizdnął.

– Czuję się, jakbyśmy weszli do irlandzkiej bajki.

Seichan nie była oczarowana.

– Chodźmy porozmawiać z dozorcą.

Pierwsza ruszyła w kierunku piętrowego domku myśliwskiego stojącego pośrodku łąki po prawej. Po lewej wzniesienie wyspy opadało szerokimi stopniami i labiryntem przeróżnych form czarnej skały. Gray miał nadzieję, że dozorca pomoże im zawęzić poszukiwania.

Po krótkim marszu dotarli do jedynego budynku na wyspie. Obłożony drewnem domek myśliwski z kilkoma małymi oknami bardziej przypominał oborę, zwłaszcza że wyżej na zielonym zboczu pasło się parę krów, które ryczały żałośnie. Z jedynego komina unosiła się wątła wrzecionowata smużka dymu.

Gray przeszedł przez furtkę w ogrodzeniu, przeciął niewielki ogródek warzywny i zapukał do drzwi. Gdy nikt nie otwierał, sprawdził klamkę i przekonał się, że nie są zamknięte. Zresztą po co ktoś miałby je zamykać?

Pchnął drzwi i wszedł do środka.

W głównym pomieszczeniu było ciemno i wydawało się bardzo duszno po ruchu na chłodnym powietrzu. Naprzeciwko niskiego kominka stał zadrapany i poplamiony stół z desek, więc prawdopodobnie pokój pełnił funkcję jadalni i wspólnej sali. Mrugająca lampa naftowa oświetlała rozrzucone na blacie mapy topograficzne i morskie. Były wyraźnie sfatygowane.

Gray rozpiął kurtkę, by mieć łatwy dostęp do sig sauera w kaburze. Seichan też czujnie znieruchomiała, a w jej dłoni pojawił się nóż.

– Co jest? – zdziwił się Monk.

Gray rozejrzał się po pomieszczeniu. W domu było zdecydowanie za cicho. Sterta map przywodziła na myśl raczej naradę wojenną niż spotkanie myśliwych przed zwykłym polowaniem. Z pokoju w głębi dobiegł cichy jęk.

Gray wyciągnął pistolet i ruszył naprzód, trzymając się pod ścianą i wysuwając przed siebie rękę z bronią. Seichan ubezpieczała drugą stronę. Monk zajął pozycję przy oknie od frontu, obserwując teren przed budynkiem.

Zaglądając szybko do pokoju, Gray zobaczył starego, żyłastego mężczyznę przywiązanego do krzesła. Miał złamany nos i rozciętą, krwawiącą wargę. To musiał być Olafur Bragason. Gray przed wejściem sprawdził pomieszczenie. Nikogo więcej tam nie było.

Podszedł do mężczyzny, który na dźwięk kroków odchylił głowę do tyłu. Zacerwienione oko o nieprzytomnym spojrzeniu prześliznęło się po Grayu i głowa opadła z powrotem.

– *Nei, nei...* – wykrztusił cicho starzec. – Powiedziałem już wszystko.

Seichan spojrzała na Graya.

– Chyba ktoś jeszcze wiedział o emisji neutrin i nas wyprzedził.

Nie musiała wymieniać nazwy. Ale skąd Gildia wiedziała o tej wyspie? Kiedy popatrzył na Seichan, zakiełkowało w nim podejrzenie. Musiała coś dostrzec w jego twarzy, bo zeszywniała z gniewu, a w jej oczach dojrzał też żal. Odwróciła się i podeszła do drzwi. Dużo zrobiła, by dowieść swojej lojalności. Nie zasługiwała na podejrzenia.

Gray zbliżył się do niej i przepaszającym gestem dotknął jej ramienia, ale nie miał czasu zajmować się zranionymi uczuciami. Machnął ręką do Monka.

– Idę przeszukać resztę domu. Pomóż dozorczy. Będzie musiał iść z nami. Ci tutaj na pewno zauważyli, jak nadpływamy.

Wyspą wstrząsnęła silna eksplozja, od której zadzwoniły szyby. Gray przypadł do okien. Rozpoznał huk trotylu. Dostrzegł czarną chmurę dymu nad skalnym rumowiskiem znajdującym się w połowie szerokości wyspy. Stado spłoszonych czarno-białych maskonurów zerwało się w panice i z trzepotem skrzydeł przeleciało przez dym. Ktoś próbował wybić sobie drogę dalej w głąb wyspy.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch bliżej budynku. Zza szeregu głązów wyłoniło się ośmiu ludzi, którzy pochyleni ruszyli przez łąkę, przemykając chyłkiem od skały do skały. Byli uzbrojeni w karabiny, zauważył odbłysek słońca w celownikach. Myśliwi, o których mówił kapitan Huld.

Tyle że najwidoczniej prawdziwe łowy właśnie się zaczynały.

22.14

Prefektura Gifu, Japonia

Jun Yoshida chyba zdrzemnął się przy biurku. Ocknął się na dźwięk pukania do drzwi i zanim zdążył zebrać myśli, do gabinetu wpadł Riku Tanaka, ciągnąc za sobą Janice Cooper.

– Musi pan to zobaczyć – powiedział Tanaka i z rozmachem położył na biurku plik kartek.

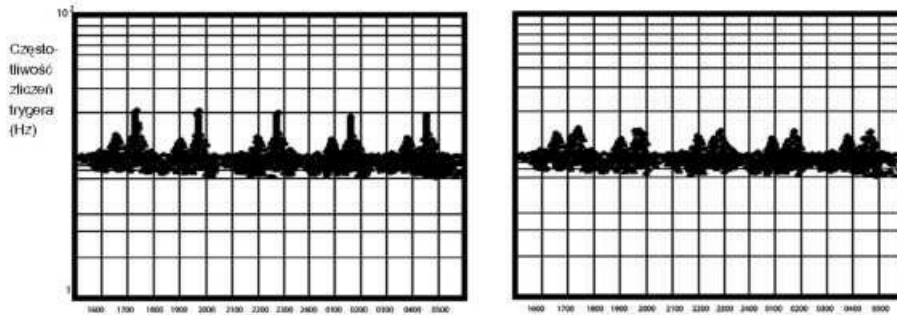
– Co? Mamy następny skok neutrin? – Prostując się nieco na krześle, Jun poczuł ukłucie bólu w plecach. Trzy godziny temu wyszedł z głównego laboratorium na dole, żeby dokończyć w biurze pracę nad papierami, które leżały nietknięte na biurku.

– Nie... to znaczy, tak... niezupełnie – plątał się Tanaka wyraźnie przejęty. Zniecierpliwiony machnął ręką. – Cały czas lekkie pulsowanie. Obserwuję je, ale nie wydaje mi się ważne.

– Przychodzimy w innej sprawie, doktorze Yoshida – wtrąciła Cooper i zwracając się do Tanaki, powiedziała: – Pokaż.

Tanaka podszedł do biurka z jego strony, naruszając jego prywatną strefę. Odsunął na bok plik papierów, kładąc przed Junem swoje wydruki.

- Monitorujemy wzrost aktywności w Islandii. Zapisujemy go na wykresie. Proszę zobaczyć, jak skoki neutron emitowanych z tej wyspy systematycznie zwiększają częstotliwość.
- Już wcześniej pan to zauważył.
- Tak. Wiem. – Twarz Tanaki poczerwieniała. Wyraźnie nie lubił, żeby mu przerywano. Ta chwila sprawiła Junowi pewną satysfakcję.
- Czemu więc zawdzięczam ten nagły najazd na mój gabinet?
- Tanaka pokazywał palcem wykres.
- W ciągu ostatniej godziny zauważyłem, że metrum impulsów z Islandii zaczęło się zmieniać. Mniejsze stają się silniejsze, a wyższe skoki słabną.
- Zmiany są wolne – wyjaśniła Cooper. – Można je było dostrzec dopiero po paru godzinach. Tanaka położył obok siebie dwa wykresy.
- Pierwszy jest przed czterech godzin. Drugi zrobiono w ciągu ostatniej półgodziny.



Jun wzięł okulary, założył je i pochylił się nad wydrukami. Wyglądało na to, że Tanaka trafnie ocenił zmiany. Na wcześniejszym wykresie podwójne skoki neutron miały wyraźnie inną amplitudę. Według ostatnich odczytów obydwie impulsy były niemal takiej samej wielkości.

– Ale co to znaczy? – Jun zdjął okulary i potarł zmęczone oczy.

Tanaka spojrział na Cooper, która zachęciła go skinieniem głowy. U młodego naukowca rzadko widywano taki brak pewności siebie. Już to dobitnie świadczyło o jego zdenerwowaniu. Coś go musiało przestraszyć.

– Uważam – powiedział Tanaka – że obserwujemy zbliżanie się do masy krytycznej. Kiedy te dwie amplitudy się wyrównają, wywoła to masową reakcję łańcuchową substratu, który emituje te cząstki elementarne.

– Jak przy stopieniu rdzenia reaktora – dodała Cooper. – Riku i ja sądzimy, że zwiększająca się częstotliwość i zmiany amplitudy działają jak naturalny zegar odliczający czas do momentu, gdy ta nieznana substancja w Islandii osiągnie punkt krytyczny.

Jun poczuł ucisk w piersi.

– Dojdzie do następnej eksplozji...?

– Ale sto razy większej – dodał Tanaka.

– Kiedy?

– Dokonałem wielokrotnych obliczeń, żeby przewidzieć moment wyrównania tych cykli dwóch emisji.

– Proszę powiedzieć kiedy – naciskał Jun.

– Za godzinę – odrzekła doktor Cooper.

Tanaka uściślił, okazując typową dla siebie niechęć do ogólnikowości.
– Dokładniej mówiąc, za pięćdziesiąt dwie minuty.

14.32 Wyspa Elliðaey

Seichan stała na czatach przy oknie. Starła się pozostawać niewidoczna, obawiając się celowników optycznych na karabinach wroga. Ich przeciwnicy wyglądali na najemników, którzy niewątpliwie przeszli przeszkolenie wojskowe. Ośmiu mężczyzn otoczyło od frontu domek myśliwski, kryjąc się za wystającymi z trawy skałami. Przypuszczała, że czekają na rozkazy, zanim ich dowódcy nie zidentyfikują nowo przybyłych na wyspę. Ktoś próbował chyba zdecydować, czy lepiej ich złapać, czy zabić.

Zespół Graya i tak nie miał wiele do powiedzenia w tej sprawie.

Ścisnęła oburącz pistolet, trzymając go na wysokości kolan, gotowa rozbić szybę i bronić ich bazy. Nie miała jednak złudzeń. Przeciwnik przewyższał ich siłą ognia, liczebnością i pozycją. Front domu obstawili oddział żołnierzy, więc bezpiecznie mogli się wydostać tylko z tyłu. A co potem? Gdyby chcieli dobiec do klifu, byłiby widoczni jak na dłoni. A gdyby nawet udało im się tam dotrzeć, czekałaby ich tylko szybka śmierć na skałach poniżej klifu.

Byli w potrzasku.

Gray zajął pozycję po drugiej stronie drzwi, przy drugim oknie. W jednej ręce trzymał czarnego sig sauera, a drugą przyciskał do ucha komórkę. Udało mu się podłączyć z centralą Sigmy, ale wyspa leżała za daleko, by można było zorganizować natychmiastową akcję ratunkową. Do czasu pojawienia się wsparcia byli zdani na własne siły. Seichan czuła kwaśne pieczenie w żołądku, nie tyle z powodu sytuacji, w jakiej się znaleźli, ile przez reakcję Graya sprzed chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że wpadli w pułapkę. Dostrzegła cień podejrzliwości w jego oczach.

Próbował to ukryć, zatuszować, ale nie potrafił.

Seichan patrzyła przez okno. Co musiała zrobić, żeby go przekonać? Może zginąć. Chociaż i to nic pewnego.

Usłyszała, jak Monk szeptem rozmawia z dozorcą. Za pomocą soli trzeźwiących ocucił go na tyle, że Bragason zdołał się podźwignąć na nogi. Kiedy czerstwy staruszek został odwiązany od krzesła, odzyskał wigor. Wyrzucając z siebie stek przekleństw, od których omal się nie zarumieniła, zdjął znad kominka strzelbę gotów wziąć krwawy odwet.

W głosie Graya rozmawiającego z centralą Sigmy zabrzmiał niepokój.

– Czterdzieści minut? W ciągu czterdziestu minut musimy opuścić wyspę?

Spojrzała przez okno, marszcząc brwi. O co chodzi? Odpowiedź musiała jednak poczekać. Zobaczyła, jak żołnierze wychodzą z kryjówek, ruszając naprzód. Musieli dostać rozkaz. Bez względu na to, jaki los ich czekał – schwytanie czy śmierć – decyzja już zapadła.

Seichan uniosła pistolet.

– Idą!

31 maja, 8.34
Płaskowyż San Rafael
Stan Utah

Kai zakradła się do małej izby gościnnej z tyłu chaty. Zobaczyła Hanka Kanosha zgarbionego nad otwartym laptopem, ale nie patrzył na ekran. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, a pozycja jego ciała wyrażała głęboki smutek. Kai poczuła się okropnie, że mu przeszkadza, i wahała się przez chwilę, czy się nie wycofać, ale przysłał ją tu wuj.

– Panie profesorze...

Drgnął zaskoczony i szybko opuścił ręce. Popatrzył na swoje dłonie, jak gdyby zdziwiony, skąd się wzięły na twarzy.

– Przepraszam, że pana niepokoję – powiedziała.

Zamknął laptop. Zdążyła dostrzec tylko otwarty e-mail z jakimiś dziwnymi znakami wewnątrz tekstu, które bardzo przypominały inskrypcje, jakie widziała na złotych tabliczkach. Widocznie próbował pracować, żeby się czymś zająć.

Painter pozwolił im korzystać z internetu przez szyfrowane łącze satelitarne. Mogli sprawdzać pocztę i przeglądać wiadomości, ale nie wolno im było z nikim się kontaktować. Żadnego wysyłania e-maili, żadnych wpisów na Facebooku. Dwa ostatnie zakazy były jednak adresowane bardziej do niej niż do profesora.

Kanosh głęboko odetchnął i otrząsnął się, próbując wziąć się w garść.

– O co chodzi, Kai?

– Wujek Crowe pyta, czy przyjdzie pan do głównego pokoju.

Chciałby z panem o czym porozmawiać, zanim przyjedzie reszta.

Skinął głową i wstał.

– Wuj zawsze wykorzystuje każdą chwilę, co?

Uśmiechnęła się blado. Mijając ją, ucisnął jej ramię. Kiedy jej dotknął, wzdrygnęła się, zdradzając swoje zdenerwowanie.

– Zostanę tu – powiedziała Kai. – Wuj chciał porozmawiać z panem sam na sam.

– W takim razie nie mogę pozwolić mu czekać.

Po jego wyjściu cicho zamknęła drzwi. Przyjrzała się komputerowi. Przedtem miała opory przed sprawdzaniem e-maili, bojąc się, co tam znajdzie. Ale niezdrowa ciekawość przyciągała ją do laptopa. Nie mogła wiecznie odwracać się plecami do zamieszania, jakie wywołała. W końcu będzie musiała ponieść konsekwencje – na razie jednak wystarczy, jeśli na moment wychynie z ukrycia i wyjrzy na świat.

Usiadła na krześle, które nie wystygło jeszcze po profesorze, otworzyła laptop i spojrzała w jasny ekran. Teraz albo nigdy. Wyciągnęła rękę, uruchomiła przeglądarkę i otworzyła swoje konto na Gmailu.

Czekała na połączenie, wstrzymując oddech. Musiała się powstrzymać siłą woli, by nie zatrzasnąć laptopa. Co by szkodziło odciąć się od świata na trochę dłużej? Zanim jednak zdążyła wcielić tę myśl w czyn, na ekranie wyświetliła się lista nieprzeczytanych wiadomości. Przejrzała ją, czytając tematy. Było trochę spamu i parę e-maili sprzed eksplozji, ale jej uwagę przykuła jedna z wiadomości na górze.

Przeszył ją zimny dreszcz i ciarki przebiegły jej po skórze. Nie patrząc na ekran, wyciągnęła rękę, by zamknąć laptop, żałując, że w ogóle go otwierała. Wiadomość nadeszła z adresu jh_wahya@cloudbridge.com. Poznała prywatny adres założyciela WAHYA Johna Hawkesa. Nie musiała nawet otwierać e-maila, by znać jego treść. Temat nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Składał się zaledwie z trzech liter: *WTF*².

Wiedząc, że i tak tego nie uniknie, niepewnie kliknęła na wiadomość, by ją otworzyć. Kiedy czytała, żołądek zaczął jej ciążyć kamieniem. Przyjaciele i towarzysze z WAHYA byli jej całym światem. Przyjęli ją, kiedy wyrosła z systemu rodzin zastępczych i musiała zacząć sobie radzić sama. Wspierali ją finansowo i emocjonalnie, dając jej poczucie więzi rodzinnej, której boleśnie jej brakowało od śmierci ojca.

Tym trudniej było przyjąć gorycz bijącą z listu.

Od: jh_wahya@cloudbridge.com

Temat: WTF

Do: Kai Quocheets willow3tree@gmail.com>

Coś ty zrobiła? Cała WAHYA wiele ryzykowała, przygotowując twoją szczytną i pokojową misję, a w zamian dostała katastrofę, rozlew krwi i wstyd. Twoją twarz pokazują na wszystkich kanałach informacyjnych w kraju, nazywają cię terrorystką i morderczynią. Niedługo twoja hańba spadnie na nas. I głucha cisza, nie raczysz się do nas odezwać. Rząd federalny zapłacił ci, żebyś nas wrobiła i zdradziła? Takie plotki zaczynają tu krążyć.

Robię, co w mojej mocy, nawołuję do cierpliwości, odradzam wyciąganie pochopnych wniosków, ale jeżeli nie doczekam się wyjaśnienia, jakiegoś dowodu lojalności wobec naszej sprawy, dłużej nie uda mi się panować nad sytuacją. Żądają twojej krwi, a ja tylko proszę o odpowiedzi.

Przed godziną odbyło się zebranie rady WAHYA. Jeżeli nie oczyścisz swojego imienia, nie będziemy mieli innego wyjścia i nie przyznamy się do niczego, potępimy ten zamach jako akt samowoli i zdemaskujemy cię jako prawdziwą terrorystkę, która sprzeniewierzyła się naszej sprawie. Masz czas na odpowiedź do południa, zanim zwołamy konferencję prasową.

JH

Kai zamknęła wiadomość. Płacz wezbrał w jej piersi. W pamięci stanęli jej wszyscy przyjaciele, gdy z uśmiechem brali ją w ramiona, zanim wyruszyła w góry. Przypomniała sobie, jak nieco dłużej trzymał ją w objęciach Chayton Shaw, jeden z najbardziej zagorzałych orędowników idei młodej organizacji. Jego imię, oznaczające w języku dakota sokoła, bardzo pasowało do jego rozpuszczonych, długich do ramion czarnych włosów, które poruszały się przy najlżejszym wietrzyku. Przed dwoma dniami – dziś wydawało się, że wieki temu – rozmawiali w nocnej ciszy o tym, czy mogliby się stać dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi.

Myślała o nim teraz, wyobrażając sobie, jak odwraca się do niej plecami, jak od niej stroni. Z cichym szlochem zasłoniła twarz dłońmi, ukrywając łzy i wstyd.

I co ja teraz zrobię?

8.35

Hank Kanosh siedział przy stole zwrócony plecami do kominka, grzejąc się w ciepłe dogasającego żaru. Painter zajął miejsce po przeciwnej stronie. Jego grubokościsty partner cicho chrapał na kanapie.

Sądząc po podkrążonych oczach, Painterowi też przydałoby się trochę snu, ale wyraźnie się czymś dręczył. Hank podejrzewał, że czymś, co w ogóle nie ma związku z ich sytuacją. Crowe za długo zwlekał z rozpoczęciem rozmowy na temat, który chciał poruszyć, wydawał się roztargniony. Coś się jeszcze działo. Przez cały ranek rozmawiał przez telefon. Może chodziło o dziwną erupcję wulkanu, może o coś innego. Hank wiedział tylko jedno: ta sprawa bardzo go denerwowała.

Wreszcie Painter odchrząknął i splótł dłonie na stole.

– Będę z tobą szczerzy i mam nadzieję, że mogę liczyć na to samo z twojej strony. Zginęli ludzie i zginie jeszcze więcej, jeżeli nie zrozumiemy lepiej, z czym mamy do czynienia.

Hank lekko skłonił głowę.

– Oczywiście.

– Rozmawiałem z naszym geologiem, który monitoruje aktywność wulkanu w miejscu wybuchu. Chyba zaczynamy się domyślać, co ukryto w jaskini. To coś ma związek z manipulowaniem materią na poziomie atomów. Przypuszczamy też, że ten starożytny lud celowo lub przez przypadek stworzył niestabilną substancję, aktywną i wybuchową, która wymaga ciepła, żeby pozostać w stanie uspienia. Dlatego właśnie ukryto ją na obszarze geotermalnym, gdzie mogła spoczywać bezpiecznie przez stulecia.

Hank poczuł ukłucie wyrzutów sumienia.

– Czyli dopóki nie wynieśliśmy jej na zewnątrz, daleko od źródła ciepła.

– Wtedy uległa destabilizacji. W wyniku eksplozji uwolniła coś, co nasz geolog nazwał „nanogniazdem”, masę nanorobotów, mikroskopijnych nanomaszyn, które pochłaniają materię i potrafią się rozprzestrzeniać bez końca. Ale dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności lub zgodnie z planem tych starożytnych ludzi temperatura erupcji wulkanicznej unicestwiła nanogniazdo, zatrzymując jego rozrost.

Hank ze zgrozą przymknął na moment oczy. Maggie... co myśmy narobili?

– Stąd ostrzeżenia w dawnych legendach, żeby nie wchodzić do jaskini – powiedział cicho.

– Być może to nie jest jedyna taka jaskinia.

Hank otworzył oczy i zmarszczył brwi.

– Co takiego?

– W Islandii może być podobne miejsce.

W Islandii?

Painter wyjaśnił, że neutrina z Utah prawdopodobnie podpaliły lont pod drugim składem substancji, jaki znajdował się w Islandii.

– Ten materiał właśnie ulega destabilizacji – zakończył Painter. – Nasi ludzie są na miejscu i sprawdzają to, ale brakuje nam kluczowego elementu układanki.

Hank patrzył mu w oczy i czekał.

– Przypuszczamy, co ukryto w tych miejscach, ale nie wiemy, kto to zrobił. Kim byli ci starożytni ludzie? Dlaczego mieli cechy rasy białej, a nosili indiańskie stroje?

Hank poczuł, że wyszło mu w ustach. Musiał odwrócić wzrok, spoglądając na własne ręce.

– Coś wiesz, Hank – naciskał Painter. – Słyszałem, jak w laboratorium kłóciliście się z doktorem Dentonem. Taka informacja może mieć dla nas zasadnicze znaczenie, żebyśmy w pełni zrozumieli, co nam grozi.

Hank wiedział, że mężczyzna ma rację, ale odpowiedź na to pytanie oznaczałaby dla niego balansowanie na niebezpiecznej granicy między jego pochodzeniem a wiarą. Nie chciał wyjawiać swoich podejrzeń bez dodatkowego dowodu. Choć być może już miał dowód.

– To tylko teoria – powiedział. – Owszem, Matt był fizykiem, ale równocześnie żarliwym mormonem, tak jak ja. Wnioski Matta z naszej dyskusji miały więcej wspólnego z fantazją niż z nauką i wtedy nie było warto o nich wspominać.

Painter przechylił głowę i utkwiał w nim jedno oko.

– Ale teraz warto.

– Fakt, że wspomniałeś o Islandii, może potwierdzać teorię Matta.

– Jaką teorię?

– Żeby odpowiedzieć, muszę ci najpierw przybliżyć dość kontrowersyjną część Księgi Mormona. Według naszego świętego pisma rdzenni Amerykanie są ponoć potomkami jednego z zaginionych plemion Izraela, które zjawiało się tu po upadku Jerozolimy około roku sześćsetnego przed naszą erą.

– Chwileczkę. Naprawdę twierdzisz, że Indianie wywodzą się z żydowskiego plemienia, które tu wygnano?

– Jeśli dosłownie rozumieć Księgę Mormona, tak. Ściślej mówiąc, są potomkami rodu Manassesesa.

– Przecież to nie ma sensu. Jest mnóstwo dowodów archeologicznych na to, że ludzie mieszkali w Ameryce długo przed rokiem sześćsetnym przed naszą erą.

– Wiem o tym doskonale. I choć to może wyglądać na sprzeczność, Księga Mormona nie kwestionuje istnienia pierwszych rdzennych Amerykanów. Wspomina nawet, że gdy zaginione plemię Izraelitów dotarło na zachód, mieszkali tu już ludzie.

– Hank uniósł rękę. – Ale być może tę niezgodność uda mi się wyjaśnić mniej literalną, a bardziej alegoryczną interpretacją pisma Mormona.

– Dobrze, mów.

– Zgodnie z dosłowną interpretacją Księgi Mormona grupa Izraelitów, która przybyła do Ameryki, składała się z Nefitów i Lamanitów, dwóch gałęzi rodu pod przywództwem ojca Lehego. Pominę bardziej skomplikowane szczegóły, ale koniec końców około tysiąca lat później Lamanici zgładzili Nefitów, dając początek plemionom dzisiejszych Indian.

Painter wyglądał na nieprzekonanego.

– Ta opowieść ma wydźwięk bardziej rasistowski niż historyczny. Wiem też, że żadne badania DNA nie potwierdzają, jakoby Indianie mieli pochodzenie europejskie czy bliskowschodnie.

– Zgoda. Badania genetyczne zdecydowanie dowiodły, że rdzenni Amerykanie pochodzą z Azji i prawdopodobnie przywędrowali na kontynent przez Cieśninę Beringa. Wierz mi, przez wiele lat mormońscy naukowcy i historycy stawali na głowie, próbując ustalić związku rdzennych Amerykanów z dziedzictwem żydowskim, i najedli się tylko wstydu.

– W takim razie nie rozumiem, do czego to zmierza.

– Dziś większość mormonów wierzy w bardziej metaforyczną wersję tej części naszej księgi. Że zaginione plemię Izraelitów rzeczywiście przybyło do Ameryki i spotkało autochtoniczne klany, rdzennych Amerykanów. – Hank pokazał na siebie i Paintera. – Izraelici osiedlili się

między naszymi plemionami, prawdopodobnie próbowali je nawrócić, podporządkować przymierzu Abrahamowemu. Ale trzymali się głównie własnego klanu, stając się jednym z ludów pośród wielu plemion Indian. Dlatego żadne ślady genetyczne nie przetrwały.

– Takie wyjaśnienie wydaje się raczej wymuszone niż przekonujące.

Hanka ogarnęła irytacja.

– Prosiłeś mnie o pomoc. Chcesz jej jeszcze?

Painter uspokajającym gestem uniósł dłoń.

– Przepraszam. Mów dalej. Ale chyba już wiem, do czego to prowadzi. Wierzysz, że z mumifikowane ciała w jaskini to zwłoki członków tego zaginionego żydowskiego plemienia.

– Tak. Wierzę nawet, że to byli Nefici, których Księga Mormona opisuje jako ludzi o białej skórze, błogosławionych przez Boga i obdarzonych niezwykłymi zdolnościami. Czy to nie pasuje do tych biedaków, których znaleźliśmy w jaskini?

– A co z krwiożerczymi Lamanitami, którzy ich wymordowali?

– Być może to byli Indianie, którzy się nawrócili albo zawarli rozejm z przybyszami. W ciągu wieków coś się jednak zmieniło. Plemiona indiańskie zaczęły się czegoś bać i strach zmusił ich do wymordowania Nefitów.

– Twierdzisz więc, że historia opisana w Księdze Mormona to mieszanina legend i prawdziwych zdarzeń. Że do Ameryki przybyło zaginione plemię Izraelitów, Nefici, którzy dołączyli do tubylczych szczepów. A kilkaset lat później coś przeraziło grupę Indian, Lamanitów, i wymordowali zaginione plemię.

Hank skinął głową.

– Wiem, jak to brzmi, ale jeżeli chcesz mnie posłuchać, jest jeszcze jeden dowód.

Painter dał mu znak, by kontynuował, ale wciąż wyglądał na nieprzekonanego.

– Weźmy na przykład liczne ślady hebrajskiego w językach plemion rdzennych Amerykanów. Badania wykazały, że między tymi językami istnieje więcej podobieństw, niż można by przypisać przypadkowi. Na przykład hebrajskie słowo „błyskawica” brzmi *baraq*. W grupie indiańskich języków uto-azteckich to słowo brzmi *berok*. – Dotknął swojego ramienia. – Po hebrajsku to *shekem*, w uto-azteckim *sikum*. – Przesunął dłonią po nagiej skórze przedramienia. – Hebrajskie *geled*. Uto-azteckie *eled*. Lista jest długa, za długa na zbieg okoliczności.

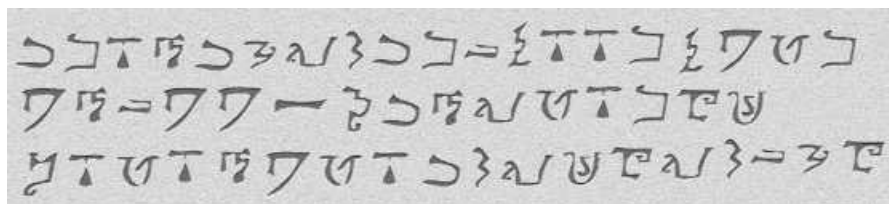
– Świetnie, ale jaki to ma bezpośredni związek z mumiami w jaskini?

– Pokażę ci. – Hank wstał i podszedł do swojego plecaka. Otworzył go, wydobyl to, co chciał, i wrócił na miejsce. Położył na stole dwie złote tabliczki. – Księgę Mormona napisał Joseph Smith. Tekst pochodzi z kilku złotych tablic, które ofiarował mu anioł Moroni. Podobno tablice były napisane w dziwnym języku.

Niektórzy twierdzą, że to były hieroglify, inni, że starożytna wersja hebrajskiego. Joseph Smith otrzymał zdolność przetłumaczenia pisma z tablic i ten przekład stał się Księgą Mormona.

Painter przysunął sobie bliżej jedną z tabliczek.

– A to pismo?



– Zanim przyjechaliście wczoraj na uniwersytet, skopiowałem kilka wersji i wysłałem jednemu z moich kolegów, znawcy języków bliskowschodnich. Dziś rano dostałem odpowiedź. Pismo go zaintrygowało. Rozpoznał te znaki. To rzeczywiście forma protohebrajskiego.

Painter pochylił się nad stołem, sam coraz bardziej zaintrygowany.

– Uczony z szesnastego wieku, Paracelsus, pierwszy nazwał to protosemickie pismo „alfabetem magów”. Twierdził, że nauczył się go od anioła i że jest źródłem wyjątkowych zdolności i magii. Dlatego zaczynam się zastanawiać, czy Joseph Smith nie natrafił na podobną skrytkę z takimi tablicami, które przetłumaczył, poznał historię tego starożytnego ludu, zaginionego plemienia Izraelitów, a potem spisał.

Painter odchylił się na krześle. Hank wciąż widział powątpiewanie w jego oczach, ale już mniej drwiny, a więcej namysłu.

– No i jeszcze Islandia – dodał Hank.

Painter skinął głową, wkładając już na miejsce ten kawałek układanki.

– Jeżeli ci starożytni znawcy nanotechnologii, uczeni, magowie, wszystko jedno, naprawdę pochodzili z zaginionego plemienia Izraelitów, jeżeli uciekali przez Atlantyk z czymś, co chcieli ocalić, ale nie byli pewni, czy szczęśliwie zakończą podróż...

Hank dokończył jego myśl.

– To kiedy dotarli na Islandię, ziemię ognia na zimnym morzu, pomyśleli, że znaleźli doskonale ciepłe miejsce, żeby zabezpieczyć przynajmniej część swojego wybuchowego skarbu przed wyruszeniem do Ameryki.

– Hank, chyba masz...

Przerwał mu chrzęst opon na kamieniach, który dobiegał z oddali, ale bardzo szybko się zbliżał. Painter obrócił się błyskawicznie, a w jego dłoni nie wiadomo skąd zjawił się pistolet. Podbiegł do drzwi.

Kowalski wyprostował się, czknął i rozejrzał się dookoła zaczerwienionymi oczami.

– Co?... Co przegapiłem?

Painter spojrział przez okno i patrzył przez całą minutę, podczas gdy hałas stale się wzmacniał. Wreszcie wyraźnie się rozluźnił.

– To twoi przyjaciele Alvin i Iris. Chyba znaleźli naszego ostatniego gościa.

8.44

Stara, powgniatana terenowa toyota zatrzymała się pośrodku kręgu kamiennych chat, wzbijając w górę obłok kurzu i piasku. Painter wyszedł z cienia werandy na oślepiające światło. Choć był dopiero ranek, blask słońca malował otaczające ich skaliste pustkowie w odcieniu szkarłatu i złota. Mrużąc oczy, podszedł do samochodu, żeby pomóc Iris wysiąść z miejsca kierowcy. Z drugiej strony wyskoczył Alvin.

Para zasuszonych na słońcu starszaków, którzy mieli dobrze po siedemdziesiątce, wyglądała jak podstarzali hipisi w koszulkach farbowanych w jaskrawe kręgi i wypłowiałych, wystrzępionych u dołu džinsach. Ich strój przyozdabiały tradycyjne elementy plemienia Hopi. Długie siwe włosy Iris były zaplecione w tradycyjny warkocz Hopi przystrojony piórami i turkusami. Alvin miał rozpuszczone śnieżnobiałe włosy, na obnażonych ramionach nosił grube bransolety z kutego srebra, w których były osadzone muszle i duże turkusy. Oboje nosili wyszywane pasy typowe dla stylu Hopi, lecz zamiast w mokasynach ze skóry wołowej lub jeleniej chodzili w butach turystycznych, żywcem wziętych z katalogu jakiegoś miejskiego

sklepu z obuwem sportowym.

– Przynajmniej nie puściliście osady z dymem – oznajmiła Iris, trzymając się pod boki i przeprowadzając inspekcję domostwa.

– Zniszczyliśmy tylko zapas kawy – odrzekł Painter, mrugając do niej.

Podszedł do tylnych drzwi toyoty, by pomóc ostatniemu z przybyłych. Poprzedniego wieczoru Painter przekazał wiadomość, że chce rozmawiać z kimś ze starszyny Ute, rodzimego plemienia dziadka, który zamordował własnego wnuka, by utrzymać w sekrecie istnienie jaskini. Wszystko wskazywało na to, że starzec coś wiedział. Może inni członkowie starszyny też byli wtajemniczeni. Potrzebował kogoś, kto mógłby rzucić światło na historię jaskini i jej znaczenie. Alvin i Iris zabrali starszego mężczyznę z dworca autobusowego, żeby Painter i reszta nie musieli się narażać.

Painter sięgnął do klamki gotów pomóc staruszkowi, ale trafił ręką na otwarte drzwi. Z samochodu wysiadł młody człowiek, który mógł mieć niewiele więcej niż dwadzieścia lat. Painter zajrzał do środka, nikogo więcej tam jednak nie było.

Szczupły mężczyzna wyciągnął rękę. Miał na sobie granatowy garnitur, ale marynarkę i krawat trzymał przewieszane przez ramię. Kołnierzyk białej koszuli był rozpięty.

– Jestem Jordan Appawora, starszy plemienia Północnych Ute.

Sam mając świadomość, jak nedorzecznie zabrzmiała ta prezentacja, uśmiechnął się nieśmiało, z zakłopotaniem. Painter podejrzewał, że nieśmiałość nie jest cechą jego charakteru. Miał zdecydowany i mocny uścisk dłoni. Pod garniturem kryła się naprawdę duża siła. Młodzieniec zabrał rękę, odgarnął z oczu opadające czarne włosy i rozejrzał się po kręgu puebla.

– Chyba powinienem wyjaśnić – rzekł. – Jestem de facto członkiem rady starszych. Reprezentuję dziadka, który jest niewidomy i prawie głuchy, ale umysł wciąż ma bystry jak górski potok. Siadam na jego miejscu podczas spotkań, robię notatki, potem omawiam z nim wszystkie sprawy i głosuję w jego imieniu.

Painter westchnął. Wszystko pięknie, ale młody Ute nie był członkiem starszyny, z którym miał nadzieję porozmawiać, kimś przesiąkniętym legendami ze starożytności i zapomnianą wiedzą o plemiennej historii.

– Z pańskiej miny widać, że jest pan rozczarowany – dodał Jordan, uśmiechając się coraz bardziej życzliwie. – Ale mój dziadek nie wytrzymałby takiej długiej podróży. – Potarł ręką siedzenie swoich spodni. – Po jeździe tymi nierównymi drogami od razu musiałyby wszczepić sobie drugą protezę biodra. A pod koniec tak trzęsło, że chyba sam będę sobie musiał zafundować implant.

– W takim razie chodźmy rozprostować nogi – rzekł Alvin, dając dowód mądrości swoich lat. Machnął ręką w kierunku werandy puebla, ale sam otoczył ramieniem żonę i wskazał na sąsiednią chatę. – Iris i ja upichcimy u siebie jakieś prawdziwe śniadanie, a wy załatwicie swoje sprawy.

Painter zorientował się, że staruszkowie chcą się ulotnić, żeby jego grupa mogła porozmawiać z Jordanem na osobności, lecz to nie było konieczne, ponieważ sytuacja trochę się zmieniła; mimo to nie zamierzał rezygnować ze śniadania. Zaprowadził Jordana na zacienioną werandę. Kowalski już tam siedział z nogami opartymi o balustradę. Patrząc na Paintera, przewrócił oczami. Tak zwany członek starszyny, podobnie jak na jego szefie, wyraźnie nie zrobił na nim wrażenia.

Kanosh i Kai też wyszli na werandę. Towarzyszył im krępy pies profesora, który uważnie obwąchał nogawkę młodego człowieka.

Jordan jeszcze raz się przedstawił, a gdy podawał rękę Kai, znów wydawał się nieśmiały. Ona też się jąkała, z trudem wydobywając z siebie głos, a potem wycofała się na drugi koniec werandy, udając brak zainteresowania, lecz kątem oka często zerknęła na Jordana zza zasłony włosów.

Painter odchrząknął i oparł się o balustradę, zwracając się twarzą do pozostałych.

– Przypuszczam, że pan wie, dlaczego poprosiłem pana o przyjazd z tak daleka – zwrócił się do Jordana.

– Wiem. Mój dziadek przyjaźnił się z Jimmym Reedem. To straszna tragedia. Dobrze znałem jego wnuka Charliego. Przysłano mnie, żebym służył wam pomocą i odpowiedział na wszystkie pytania.

Odpowiedź godna polityka. Z powściągliwych, krótkich zdań Painter wywnioskował, że Jordan prawdopodobnie co najmniej rok studiował prawo. Młody Indianin przyjechał pomóc, ale nie zamierzał bardziej angażować swojego plemienia w sprawę, bo jak pokazywały tragiczne wydarzenia w górach, takie zaangażowanie było potencjalnie niebezpieczne.

Painter skinął głową.

– Jestem wdzięczny, że pan przyjechał, ale szczerze mówiąc, potrzebowaliśmy kogoś takiego jak Jimmy Reed, kto żyje według dawnych zwyczajów i ma gruntowną wiedzę o historii tej jaskini.

– To było oczywiste – odparł niezrażony Jordan.

– Wiadomość dotarła do mojego dziadka, który wziął mnie na bok i przysłał tu bez niczyjej wiedzy. Oficjalnie plemię Ute odmówiło spełnienia pana prośby.

Painter przestąpił z nogi na nogę i wbił badawcze spojrzenie w młodego człowieka. Może jednak coś z tego będzie.

Wzrok Paintera nie spieszył Jordana.

– Tylko dwóch członków starszyny w ogóle wiedziało o istnieniu jaskini. Była zaznaczona na ocalałym skrawku starej mapy ziemi plemienia Ute. To mój dziadek powiedział Jimmy’emu Reedowi o jaskini. A wczoraj wtajemniczył mnie.

W oczach młodego człowieka mignął cień strachu. Odwrócił wzrok w stronę spalonych słońcem skał, jak gdyby chciał się otrząsnąć z lęku.

– Dziwne opowieści... – mruknął.

– O zmumifikowanych ciałach? – podsunął Painter. – O tym, co tam ukryto?

Indianin wolno pokiwał głową.

– Zdaniem mojego dziadka ciała zachowane w jaskini to szczątki klanu wielkich szamanów, tajemniczej bladokórej rasy, która przybyła na naszą ziemię, przynosząc wspaniałe dary i zdolności. Nazywano ich ludźmi *Tawtsee’untsaw Pootseev*.

– Ludzie Porannej Gwiazdy – przetłumaczył Kanosh i odwrócił się do Paintera. – Która co dzień pojawia się na wschodzie.

Jordan przytaknął.

– Rzeczywiście według starych legend ci obcy przyszli w Góry Skaliste od wschodu.

Painter wymienił spojrzenie z Kanoshem. Profesor z pewnością myślał, że tajemniczy lud wyruszył w podróż znacznie dalej na wschodzie.

Jego zaginione plemię Izraelitów. Nefici z Księgi Mormona.

– *Tawtsee’untsaw Pootseev* osiedlili się na tych terytoriach – ciągnął Jordan – i zaczęli uczyć nasz lud, zbierając szamanów z całego zachodu. Wiadomość o ich nauczaniu rozeszła się daleko, przyciągając coraz więcej ludzi, którzy sami z czasem stworzyli wielki klan.

Lamanici, pomyślał Painter.

– *Tawtsee’untsaw Pootseev* cieszyli się ogromnym szacunkiem, ale budzili też strach swoimi umiejętnościami. Z upływem stuleci coraz bardziej separowali się od innych. Nasi szamani zaczęli ze sobą walczyć, żeby posiadać więcej wiedzy, lekceważąc ostrzeżenia obcych. W końcu pewnego dnia jedno z plemion Pueblo z południa skradło *Tawtsee’untsaw Pootseev* wielki skarb. Ale złodzieje nie znali mocy swojego łupu i ściągnęli na siebie zagładę, która uśmierciła prawie cały ich klan. Pozostałe plemiona wpadły w gniew, zaatakowały ocalałych członków klanu Pueblo i wymordowały wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, nie pozostawiając przy życiu nikogo.

– Ludobójstwo – szepnął Kanosh.

Jordan potwierdzająco kiwnął głową.

– To zdarzenie przeraziło *Tawtsee’untsaw Pootseev*. Wiedzieli, że ich wiedza jest zbyt potężna i zbyt kusząca dla plemion, które wciąż prowadziły wojnę. Zebrali więc swoich członków z całego zachodu i ukryli skarby w świętych miejscach. Wielu zostało zamordowanych, gdy próbowali uciekać, a grupki ocalałych nie miały innego wyjścia, jak tylko odebrać sobie życie, żeby ochronić swoje sekrety.

Painter kątem oka obserwował Kanosha. Czy to była wojna między Nefitami a Lamanitami opisana w Księdze Mormona?

– Tylko garstka najbardziej zaufanych członków naszej starszyny wie o tych miejscach, gdzie podobno spoczywają spisane na złocie wielkie dzieje *Tawtsee’untsaw Pootseev*.

Kanosh głęboko nabrał powietrza i odwrócił wzrok. Miał szkliste oczy, może od łez. Usłyszał kolejne potwierdzenie tego, w co wierzył – o swoim ludzie, jego miejscu w historii i bożym planie.

Painter, który dawno już zerwał ze swoim dziedzictwem, pozostawał jednak sceptyczny.

– Jest jakiś dowód na prawdziwość tej opowieści?

Jordan, zanim odpowiedział, przez długą chwilę wpatrywał się w swoje buty.

– Nie wiem, ale dziadek mówi, że jeżeli chcecie wiedzieć więcej o *Tawtsee’untsaw Pootseev* powinniście jechać do miejsca, gdzie zaczął się ich koniec.

– Co to znaczy? – spytał kwaśno Kowalski.

Jordan odwrócił się do niego.

– Dziadek wie, gdzie zagłada spotkała złodziei, którzy skradli skarb. Wie też, jak się nazywali. – Spojrzał na pozostałych. – To byli Anasazi.

Na twarzy Paintera wbrew jego woli odmalował się szok. Anasazi byli starożytnym ludem, przodkami Indian Pueblo zamieszkującymi głównie pogranicze stanów Arizona, Nowy Meksyk, Kolorado i Utah. Znano ich przede wszystkim z obszernych skalnych domostw oraz z nagłego i tajemniczego zniknięcia całej kultury.

Kanosh znacząco popatrzył na Paintera.

– W języku nawaho nazwa Anasazi znaczy „starożytni wrogowie”. Po Anasazi słuch zaginął między rokiem tysięcznym a tysiąc setnym naszej ery, ale na temat przyczyn ich zniknięcia toczą się gorące spory. Wysuwano różne teorie: wielka susza, krwawe walki międzyplemienne. Jedna z ostatnich teorii archeologów z Uniwersytetu Kolorado mówi jednak, że plemię wplątało się w wojnę religijną równie zaciętą jak walki między chrześcijaństwem a islamem. Podobno masowo ruszyli na południe przyciągnięci jakąś nową religią. Krótco potem wymarli.

Teoria z pewnością pasowała do starożytnej historii opowiedzianej przez dziadka Jordana. Painter spojrział na młodego człowieka.

– Mówił pan, że dziadek wie, gdzie złodziei Anasazi spotkała zagłada. Gdzie to było?

– Mogę pokazać, jeżeli ma pan mapę Południowego Zachodu, a dokładniej Arizony.

Cała grupa skierowała się do domu. Po wejściu z jasnego światła poranka wewnątrz puebla wydawało im się czarne jak jaskinia. Kai przeszła się po domu i zapaliła kilka lamp. Painter wyciągnął mapę pogranicza stanów i rozłożył na stole.

– Proszę pokazać – poprosił.

Jordan przez moment przyglądał się mapie, przechylając na bok głowę.

– To niecałe pięćset kilometrów na południe od nas – powiedział, pochylając się niżej. – Zaraz za Flagstaff. O, tu.

Pokazał palcem jakiś punkt.

Painter przeczytał nazwę.

– Pomnik Narodowy Sunset Crater.

Oczywiście, że to ma sens.

– Wygląda na to, że skaczymy z wulkanu na wulkan – mruknął gderliwie Kowalski.

Painter zaczął układać w głowie plany.

– Jadę z wami – odezwał się Kanosh.

Painter nie zamierzał się zgodzić. Chciał zostawić tu profesora razem z Kai, aby nie narażał ich na niebezpieczeństwo.

– Moi przyjaciele przelali krew, oddali życie – nie ustępował Kanosh. – Zamierzam doprowadzić to do końca. Kto wie, co znajdziecie w Arizonie? Moja wiedza może się wam przydać.

Painter zmarszczył brwi, ale nie miał argumentu, by odrzucić taką ofertę pomocy.

Kowalski doszedł do tego samego wniosku.

– Mnie to pasuje.

Kai zrobiła krok naprzód, chcąc coś powiedzieć. Painter dobrze wiedział, co usłyszy, więc powstrzymał ją gestem.

– Zostaniesz z Iris i Alvinem. – Wskazał na Jordana. – Pan też.

Pomyślał, że oboje będą tu bezpieczniejsi, poza tym nie chciał, aby rozeszły się wieści, dokąd pojechali. Kai wyraźnie zamierzała się kłócić, ale zerkając na Jordana, zrezygnowała i po prostu skrzyżowała ręce na piersi.

Painter uznał już sprawę za załatwioną, ale zbliżył się do niego Jordan. Z kieszeni wyciągnął złożoną kartkę. Zrobił ruch, jak gdyby chciał mu ją podać, lecz przez chwilę miał ją w palcach.

– Dziadek chciał, żebym to panu dał, zanim pan pojedzie. Najpierw jednak muszę powiedzieć coś jeszcze. Nie od dziadka, ale od siebie.

– Co?

– Te legendy, które opowiadałem, to święte historie sprzed wieluset lat przekazywane sobie przez starszyznę. Dziadek wtajemniczył mnie, bo naprawdę uważa, że jest już za późno.

Kowalski drgnął.

– Jak to za późno?

– Mój dziadek wierzy, że ducha uwolnionego z tej jaskini w górach nie można powstrzymać. Zniszczy cały świat.

Painter przypomniał sobie, jak Chin opisywał rozlewającą się we wszystkich kierunkach od miejsca wybuchu kipieli, którą nazwał nanogniazdem, wyobraził sobie mikroskopijne nanomaszyny rozbijające każdą materię, jakiej dotknęły. Możliwość nieograniczonego rozszerzania się tej fali była przerażająca.

– Przecież to powstrzymano – zaprotestował Painter. – Erupcja wulkanu zamknęła dzina z powrotem w butelce.

Jordan spojrział mu prosto w oczy.

– To dopiero był początek. Dziadek twierdzi, że duch ogarnie stąd cały świat, wywołując znacznie więcej zniszczeń, dopóki świat nie zmieni się w piasek.

Painterowi zrobiło się zimno. Opis był podobny do zatrważającej teorii fizyków, według której fala neutrin z Utah przeniknęła glob i zdetonowała następny skład nanomateriału. Przypomnił sobie ostrzeżenie Kat o nieuchronnej eksplozji w Islandii.

Jordan wyciągnął rękę ze złożoną kartką.

– Dziadek nie ma raczej nadziei, ale chciał, żeby pan to zobaczył. To znak *Tawtsee 'untsaw Pootseev*. Mapana zaprowadzić tam, gdzie będzie pan musiał się udać.

Painter wziął kartkę i rozłożył. To, co było na niej napisane, nie miało sensu, mimo to poczuł, że miękła mu kolana. Z niedowierzaniem pokręcił głową. Rozpoznał symbole nakreślone na papierze kawałkiem węgla, znak *Tawtsee 'untsaw Pootseev*.



Półksiężyc i małą gwiazdę.

Te same symbole znajdowały się pośrodku godła Gildii. Jak to możliwe?

31 maja, 14.45
Wyspa Elliðaey
Islandia

Trzydzieści dwie minuty...

Pilnując okna, Gray zacisnął palce na pistolecie. Kilka minut temu rozmawiał z Kat – nie tylko nie mogła przysłać jego zespołowi żadnego wsparcia, ale przekazała też niepokojące wieści z Japonii. Jeżeli fizycy mieli rację, to krótko po piętnastej wyspa miała wybuchnąć. Do tego czasu musieli się stąd ewakuować. Był tylko jeden problem, a ściślej rzecz biorąc, osiem problemów.

Oddział wytrawnych komandosów zajął pozycje naprzeciwko frontu domku myśliwskiego, zabezpieczając cały teren. Przed kilkoma minutami żołnierze ruszyli do szturm, ale z niewiadomego powodu nagle się wycofali i ukryli za skupiskiem nagich bazaltów.

– Dlaczego nie atakują? – zapytał Ollie. Stary dozorca stał przy kominku ze strzelbą w dłoniach. Ciężko pobity odzyskał siły, gdy Monk uwolnił go z więzów, ale było jasne, że czekanie go męczy.

Odpowiedziała mu Seichan, nie odrywając jednak wzroku od okna, którego pilnowała.

– Pewnie dowiedzieli się tak jak my, że wyspa eksploduje. Będą nas tu przetrzymywać, dopóki nie uciekną.

Jej słowa okazały się prorocze, bo chwilę potem szybami w oknach wstrząsnęło potężne łup-łup zbliżającego się helikoptera.

Nad domkiem przeleciała średniej wielkości maszyna transportowa i zawisa nad otwartą łąką. Bliźniacze wirniki o czterech łopatach spłaszczyły trawę, podczas gdy pilot szukał wśród ostrych skał bezpiecznego miejsca do lądowania.

Musimy się dostać do tego helikoptera, pomyślał Gray.

– Patrz! – krzyknęła Seichan, pokazując ręką. – Na drugim końcu łąki, przy głazach. Mamy większe towarzystwo.

Gray oderwał wzrok od helikoptera i zauważył to, co tak ją zaniepokoiło. Zza nierówności terenu wyłoniło się jeszcze więcej żołnierzy, którzy nadbiegali od strony dymu unoszącego się nad miejscem niedawnego wybuchu trotylu. Na przedzie biegł człowiek w cywilnym ubraniu: wysokich butach turystycznych, nieprzemakalnych spodniach i grubej, rozpiętej kurtce. Mężczyzna w średnim wieku przyciskał plecak do pokaźnego brzucha. Za nim dwaj żołnierze nieśli nosze załadowane niewielkimi kamiennymi skrzynkami.

Widocznie udało im się przebić do ukrytego na wyspie skarbu. Jeśli Gray miał jakiegokolwiek wątpliwości, rozwiały się, gdy na stercie skrzynek dostrzegł błysk złota. Jeden z żołnierzy gorączkowo machał do pilota helikoptera, dając mu znaki, by lądował.

Na pewno wiedzą, że wyspa zaraz wyleci w powietrze.

Odwrócił się na dźwięk skrzypnięcia buta. Przypadł do niego zdyszany Monk.

– Sprawdziłem cały tył domu. Chyba czysto.

– Trzeba działać szybko. Już się ewakuują.

Monk skinął głową.

– Widziałem helikopter.

– No to idziemy.

Kiedy Gray upewnił się, że wszyscy wiedzą, co robić, Ollie i Monk zajęli pozycje przy oknach od frontu, a on i Seichan pobiegli do tylnego wyjścia.

– Miejmy nadzieję, że staruszek wie, co mówi – powiedziała Seichan.

Od tego zależało ich życie. Dozorca od sześćdziesięciu lat przypływał na wyspę. Jeśli ktokolwiek znał jej tajemnice, to na pewno Ollie.

Razem z Seichan wyskoczyli z domu na zalaną słońcem łąkę i pochyleni ruszyli sprintem. Bryła domu zasłaniała ich przed oczami komandosów. Gray kierował się w stronę lekkiego wzniesienia na połaci zieleni. Pokazał mu je Ollie, uprzedzając, czego się spodziewać. Mimo to, gdy Gray obiegł łagodny pagórek, omal nie runął głową w dół do ziejącej w ziemi jamy po drugiej stronie.

Seichan złapała go za rękę i zatrzymała na krawędzi. Wzniesienie było starym stężałym pęcherzem lawy, pustym w środku. Po drugiej stronie otwierało się źródło wybruszenia terenu – rura lawowa. Gardziel tunelu otaczały nierówne grzebienie popękanych skał bazaltowych, przypominających wyłamane zęby.

Znaleźli miejsce, gdzie rumowisko umożliwiło zejście w głąb jaskini lawowej. Gray zapalił latarkę. W jej świetle zobaczyli tunel o gładkich ścianach, na tyle szeroki, by zmieściła się tam jedna osoba, ale bez prześwitu nad głową.

– Za mną – rzucił Gray, wchodząc tam pośpiesznie.

Z opisu Olliego wynikało, że tunel biegnie pod domkiem myśliwskim do małej jaskini pod łąką. Znajdowało się tam coś w rodzaju rozwidlenia. Następny tunel prowadził stamtąd z powrotem na powierzchnię, kończąc się po drugiej stronie łąki. Dozorca szybko naszkicował mapę. Gray zapamiętał trasę, jednak przypomniał sobie też, co kapitan mówił o wyspie: stwardniały ser szwajcarski podziurawiony przez wiatr i deszcz. Łatwo tu było się zgubić, a na pomyłki nie mieli czasu.

Po niecałej minucie dotarli do wysoko sklepionej jaskini. Na jej dnie między kamieniami chlupotały im pod stopami kałuże zastałej wody, a w powietrzu unosił się zapach pleśni i soli. Gray obrócił się wokół własnej osi, omiatając wnętrze latarką. Z jaskini było sześć wyjść. Ollie zaznaczył na mapie tylko cztery.

Czując, jak serce tłucze mu się o żebra, Gray wrócił do rury lawowej i przeszedł wzdłuż ściany, zaglądając do każdego wylotu korytarza. Ollie polecił mu wybrać drugi tunel po tej stronie jaskini. Pierwszy otwór był tylko pęknięciem. Gray zaświecił do środka. Korytarz kończył się zaledwie po kilku metrach. Czy to się liczy, czy Ollie pominął wejście, bo nie prowadzi do prawdziwego tunelu?

Gray szybko kroczył dalej. Stary dozorca zrobił na nim wrażenie człowieka rozsądnego i rzeczowego. Zahartowany przez morze mężczyzna nie lubił strzępić języka. Podawał tylko istotne konkrety. Ufając w to, Gray zignorował ślepy korytarz, minął następny i wybrał dopiero trzeci. To musiał być drugi tunel zaznaczony na mapie Olliego.

Okazało się, że to także rura lawowa, co było dobrym znakiem, ale głębiej korytarz biegł w dół. To z kolei było nie tak, lecz Gray nie mógł już tracić czasu. Wziął głęboki oddech

i wszedł do tunelu. Był jeszcze ciaśniejszy niż pierwszy.

– To na pewno tędy? – spytała Seichan.

– Przekonamy się.

Gray jak najprędzej wcisnął się do środka i zaczął wątpić w słuszność swojej decyzji, dopóki tunel się nie wyrównał i ponownie zaczął piąć w kierunku powierzchni. Po następnej długiej minucie w korytarzu pojaśniało. Gray wyłączył latarkę. Dobiegł ich miarowy łomot wirników.

Przed nimi ukazał się oślepiająco jasny wylot tunelu. Poczuli silny podmuch wiatru, który kłuł zwirem ich twarze.

Odwrócił się i nachylił nad uchem Seichan.

– Jesteśmy blisko helikoptera.

Skinęła głową, wyciągnęła pistolet i dała mu znak, by szedł dalej.

Resztę drogi pokonał biegiem, ale na koniec zwolnił, badając wylot. Rura lawowa kończyła się gniazdem zwalonych skalnych wieżyczek, przypominających rozsypane gigantyczne bierki. Wyczołgał się z tunelu i ukrył. Seichan też wydostała się na zewnątrz i przyczaiła w masie kamiennych pni.

Gray natychmiast zorientował się w sytuacji.

Zaledwie dziesięć metrów od nich na łące stał helikopter, mieląc powietrze wirnikami. Zapewne przed chwilą wylądował. Dwaj żołnierze otwierali boczne drzwi. Obok zgromadzili się pozostali komandosi, w sumie dwudziestu.

Nosze spoczywały na trawie, a ładunek nadal czekał na przeniesienie do luku. Gray dostrzegł złoty błysk. Pochodził z pękniętej kamiennej skrzynki, w której było widać stos metalowych płytek.

Takie same jak z jaskini w Utah.

Obok noszy, wciąż przyciskając plecak jedną ręką do piersi, stał cywil, którego wcześniej zauważył. Gray mógł się lepiej przyjrzeć jego twarzy. Mężczyzna miał bladą cerę w obramowaniu jasnych włosów, nadąsane usta i niechlujną, rzadką brodę. To była twarz człowieka prowadzącego wygodne życie, które nie bardzo mu się podoba. Gdy tylko drzwi helikoptera otworzyły się na całą szerokość, mężczyzna szybko do nich podbiegł. Żołnierze pomogli mu wsiąść.

Za helikopterem w domku myśliwskim po drugiej stronie łąki wciąż było ciemno i cicho. Monk czekał na sygnał. Trudno go będzie nie zauważyć.

Gray uniósł się sauera P226. W magazynku tkwiło dwanaście pocisków.357. Tak samo jak w broni Seichan. Każdy strzał musiał być skuteczny. Seichan przyjęła podobną pozycję gotowa do ataku.

Gray wymierzył do żołnierza pilnującego helikoptera. Nie mógł ryzykować strzału, gdy wróg znajdzie się za osłoną kadłuba maszyny. Wycelował i nacisnął spust.

Wystrzałowi jak echo zawtórował huk pistoletu Seichan. Komandos runął na ziemię. Zanim jednak padł, Gray przesunął lufę w bok i rozerwał gardło drugiemu.

Na kilka chwil zapanował chaos. Żołnierze zbili w ciasną grupkę i ogłuszeni silnikami helikoptera usiłowali się zorientować, kto do nich strzela. Jeden z tamtej ósemki wypalił w stronę domku w przekonaniu, że stamtąd nastąpił atak.

W odpowiedzi gruchnęła stara strzelba Olliego, który strzelając na chybił trafił, roztrzaskał okno helikoptera.

Dobra robota, Ollie...

Wszystkie oczy obróciły się w kierunku domku.

I to był błąd.

Gdy żołnierze patrzyli w przeciwną stronę, Gray zlikwidował jeszcze dwóch z tyłu, a Seichan skupiła ogień na ośmiu komandosach, którzy otaczali wcześniej domek. Jej skuteczność była porażająca. Opróżniła magazynek, kładąc czterech ludzi z dużej odległości.

Kiedy wyrzucała magazynek, wymieniając go na pełny, Gray skupił się na dwóch żołnierzach stojących najbliżej. Cofnęli się nieco od domku myśliwskiego, podchodząc bliżej ich kryjówek nieświadomi niebezpieczeństwa. Zlikwidował obu, opróżniając magazynek, a potem pochylony wyskoczył z ukrycia.

Potrzebowali większej siły ognia.

Podbiegł do ciał i nie zatrzymując się, chwycił automat jednego z komandosów. Seichan podążała za nim jak cień, strzelając z pistoletu. Gray podniósł karabin, kciukiem przełączył na ogień ciągły i zaczął pruć z wysokości biodra. Ostrzelał szereg żołnierzy, kładąc kilku z nich, a reszta uciekła i ukryła się za głazami.

Seichan złapała karabin drugiego.

Razem dali nura do kabiny helikoptera.

Jedynym pasażerem był korpulentny cywil. Szarpał rękami pas, usiłując wydobyć z kabury pistolet, ale Seichan uderzyła go mocno kolbą karabinu. Padł bezwładnie na siedzenie. Ruszyła do kabiny pilotów, zdecydowana użyć broni, by skłonić ich do współpracy.

Gray kontynuował gęsty ostrzał, żeby umożliwić Monkowi i Olliemu ucieczkę z domku. Biegli skuleni, a Gray ich osłaniał. Monk także strzelał, zniechęcając komandosów do kontrataku.

Obaj bezpiecznie dotarli do helikoptera. Gray wciągnął ich do środka i zatrzasnął drzwi kabiny. Od kanonady dzwoniło mu w uszach.

– Nisko głowy! – wrzasnął do Monka i Olliego.

Powód rozkazu stał się jasny, gdy otwarto ogień do helikoptera.

O ściany kadłuba zadzwoniły pociski, ale silniki już zawyły, podrywając maszynę. Widocznie argumenty Seichan okazały się przekonujące albo piloci też już wiedzieli o zbliżającej się eksplozji wyspy.

Gray spojrzął na zegarek.

Jeszcze cztery minuty...

Miał jeszcze trochę czasu.

Mylił się.

Maszyną wstrząsnął potężny podmuch. Ziemia pod nią zadygotała, a Gray stracił równowagę, lądując na rękach i kolanach. Ryknęły silniki. Wstrząs zakłócił start helikoptera, który uniósł się chwiejnie przechylony nosem w dół. W pośpiechu niedokładnie zamknięty właz otworzył się z trzaskiem.

Połowę wyspy przysłoniły chmury dymu.

– Gray! – wrzasnął Monk.

Gray obrócił się i zobaczył cywila ze złamanym, krwawiącym nosem, który rzucił się do otwartych drzwi, wciąż przyciskając do siebie plecak. Gray przetoczył się po podłodze i zdołał złapać pasek plecaka. Jego zawartość musiała być bardzo ważna, skoro mężczyzna wolał wybrać śmierć, niż pozwolić, by dostała się w jego ręce. Cywilnie zamierzał jednak puszczać swojego skarbu. Wypadając z helikoptera, zdołał włożyć rękę pod drugi pas.

Ciężar uczonego mężczyzny szarpnął Graya w stronę otwartych drzwi. Leżąc na brzuchu połową ciała na zewnątrz, Gray ani myślał puszczać plecaka. Cywil kołysał ciałem tam

i z powrotem, próbując uwolnić siebie i swoją cenną zdobycz.

Gray wysunął się dalej i nagle jakiś duży ciężar przygniótł mu nogi.

– Trzymam cię – powiedział Monk.

Helikopter uniósł się wyżej, usiłując nabrać wysokości. Nagle część dawnego stożka wulkanicznego odłamała się i zsunęła do morza. Resztę wyspy przecięły głębokie szczeliny. Żołnierze rozpierzchli się we wszystkie strony, uciekając przed zgubą, ale znikąd nie było ratunku.

Nawet z powietrza.

Helikopter szarpnął i w ciągu sekundy spadł kilka metrów. Gray uniósł się z podłogi i runął z powrotem. Monk z trudem zdołał go utrzymać, żeby nie wypadł przez otwarte drzwi.

– Tracimy ciśnienie! – krzyknęła z kokpitu Seichan.

Zanim Gray zdążył zareagować na nowe zagrożenie, usłyszał huk pistoletu. Coś parzącego otarło się o jego ucho. Spojrzał w dół. Jego prześladowca wisiał zahaczony jedną ręką, ale drugą udało mu się wreszcie wyciągnąć broń. Gdyby maszyna nie opadła tak gwałtownie, Gray już by nie żył.

Zresztą w tym momencie nie spodziewał się długiego życia.

Gdy pilot próbował wyrównać lot, uparty cywil wycelował starannie. Strzelając z bliska, nie mógł drugi raz chybić.

Mężczyzna uśmiechnął się do Graya, krzyknął coś po francusku i nacisnął spust. Huknął ogłuszający strzał, ale nie padł z pistoletu. Padł ze strzelby.

Zanim Gray się zorientował, Ollie dosiadł go okrakiem, trzymając dymiącą broń.

Wiszący w dole mężczyzna nie miał połowy twarzy. Bezwładna ręka wolno puściła plecak i ciało, koziółkując, poleciało w stronę ruin wyspy.

Monk wciągnął z powrotem Graya i jego ciężko zdobytą nagrodę. Pokręcił głową.

– Przez resztę lotu ręce i nogi cały czas na pokładzie.

Gray klepnął ręką dłoń Olliego.

– Dzięki.

– Miałem z nim porachunki. – Ollie ostrożnie dotknął złamanego nosa. – Nikomu nie wolno bezkarnie bić mnie po pysku.

Helikopterem znów mocno rzuciło i z zawrotną prędkością ruszył w kierunku ziemi. Wszyscy złapali się uchwytów, czekając, aż spadek się skończy. Nic takiego się nie stało. Gray patrzył przez otwarte drzwi. Pękająca i rozpadająca się wyspa była coraz bliżej. W najgłębszych szczelinach czerwono pulsował ogień jak złowroga zapowiedź, że najgorsze jeszcze nie nastąpiło.

Po chwili maszyna zaczęła się wolno obracać.

Seichan wystawiła głowę z kokpitu.

– Straciliśmy ciśnienie pod tylnymi wirnikami! – krzyknęła, dodając informację, o której wszyscy już wiedzieli: – Spadamy!

31 maja, 9.05
Płaskowyż San Rafael
Stan Utah

Kai stała w cieniu na werandzie. Miażdżyła w zębach prażony orzeszek piniowy, rozkoszując się słonym, głębokim smakiem. Iris zebrała nasiona z rosnących naturalnie sosen pinii. Była jeszcze w domu, potrząsając przetakiem nad otwartym ogniem i przygotowując orzeszki do zmielenia na mąkę.

Iris próbowała jej pokazać, jak to się robi, jak nie dopuścić do spalenia orzeszków, ale Kai wiedziała, że stara Indianka Hopi stara się tylko odwrócić jej uwagę. Kai patrzyła na lekki obłok kurzu unoszący się nad skalnym pustkowiem. Painter i reszta bez chwili zwłoki spakowali manatki i pomknęli wynajętym samochodem, zabierając ze sobą nawet psa.

Ale nie ją.

Wcześniej powstrzymywała złość, wiedząc, że gniew w niczym jej nie pomoże. Mimo to gorycz wciąż paliła ją w żołądku jak ogień. Była przy narodzinach tego koszmaru. Zasługiwała na to, by razem z nimi doprowadzić rzecz do końca. Wciąż powtarzali, że musi ponieść konsekwencje swoich czynów jak dorosła kobieta, a traktowali ją jak dziecko.

Wrzuciła do ust następny orzeszek, rozgniatając go zębami. Przecież była przyzwyczajona do tego, że się ją zostawia. Dlaczego dziś miałyby być inaczej? Dlaczego miała się spodziewać po wujku czegoś więcej?

W głębi duszy jednak się spodziewała.

– Dość zasadniczy człowiek.

Kai odwróciła się i ujrzała stojącego w drzwiach Jordana Appaworę. Przebrał się, zmieniając garnitur na kowbojskie buty, jasnoniebieski T-shirt i czarne dżinsy, które podtrzymywał pas z dużą srebrną sprzączką w kształcie łba bizona.

– Painter Crowe to twój wujek? – spytał.

– Daleki. – W tym momencie miała ochotę zupełnie zerwać łączące ich więzy krwi.

Jordan wyszedł na werandę. W jednej ręce trzymał kowbojski kapelusz, w drugiej podrzucał garść parujących orzeszków piniowych, próbując je ostudzić. Pewnie wziął je prosto z przetaka. Zauważył, jak Kai mu się przygląda, i wrzucił orzeszek do ust.

– W języku Pajutów nazywają się *toovuts* – powiedział, gryząc sosnowe ziarno. – Chcesz wiedzieć, jak się nazywają w języku hopi?

Przecząco pokręciła głową.

– A w arapaho albo nawaho? – pytał, szczerząc zęby w uśmiechu. Podszedł bliżej. – Nasza gospodyni ma ochotę przekazać mi całą swoją wiedzę o orzeszkach piniowych. Wiedzielaś, że kiedyś żywica sosny pinii była gumą do żucia i stosowano ją też jako balsam na skaleczenia i rany? Zdaje się, że to był starożytny stimorol i neosporin w jednym.

Ukryła uśmiech, odwracając twarz.

– Musiałem się stamtąd ulotnić – szepnął konspiracyjnie – zanim postanowi zacząć mnie uczyć błagalnego tańca Hopi o deszcz.

– Stara się tylko pomóc – upomniała go Kai, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– To co robimy? – zapytał Jordan, nakładając kapelusz. – Moglibyśmy pójść do Three Finger Canyon. A jeżeli wnuki Alvina zostawiły rowery górskie... pojechalibyśmy do Black Dragon Wash.

Zerknęła na niego, próbując odgadnąć jego motywy. Opalona twarz o wysokich kościach policzkowych, które podkreślały blask jego ciemnych oczu, wydawała się niewinna i szczerą. Kai podejrzewała jednak, że za zaproszeniem kryje się coś więcej niż ruch na świeżym powietrzu i zwiedzanie. Za często przyłapywała go, jak na nią patrzy. Nawet teraz poczuła, że rumieniec oblewa jej policzki, i zrobiła krok w stronę otwartych drzwi. Ktoś się już nią interesował, ktoś bardzo dla niej ważny.

Ujrzała w wyobraźni Chaytona Shawa razem ze swoimi przyjaciółmi z WAHYA. Gdyby zgodziła się iść na wycieczkę z Jordanem, miałyby wrażenie, że dopuszcza się zdrady. Już i tak dość się skompromitowała. Wciąż bolały ją słowa w e-mailu, które przeczytała. Nie zamierzała pogarszać swojej sytuacji.

– Lepiej zostanę – powiedziała, wchodząc do środka.

– Gdyby zadzwonił mój wujek...

Zaraz się zorientowała, że ta wymówka brzmi kiepsko, ale nie naciskał, więc tym trudniej było odwrócić się do niego plecami i wejść do domu. Obejrzała się jeszcze przez ramię, widząc sylwetkę Jordana na jasnym tle poranka. Mimo woli porównała go z Chayem, którego polityczny zapał zbyt często osłabiały grzybki halucynogenne, pejotl albo trawa. Choć znała Jordana od niecałej godziny, odniosła wrażenie, że w jego plemiennej dumie, w czułości, z jaką mówił o dziadku i go wspierał, w cierpliwości, z jaką słuchał nauk Iris, było coś bardziej szczerego i czystego.

Jak gdyby wyczuwając jej wzrok, Jordan zaczął się odwracać. Kai wbiegła do środka i zderzyła się ze stołem, z którego omal nie spadł przetak ze stygnącymi orzeszkami piniowymi. Skierowała się do izby w głębi domu, potrzebując chwili samotności.

Stała w ciemności i przykryła dłońmi rozpalone policzki. Co ja wyprawiam?

Na drugim końcu izby jak zielone kocie oko jarzyła się dioda laptopa. Painter zostawił łącze satelitarne i jeden ze swoich satelitarnych telefonów, na wypadek gdyby chciała się z nimi skontaktować. Była mu za to wdzięczna.

Chcąc się czymś zająć, podeszła do biurka, usiadła i włączyła laptop. Bała się, że zobaczy następną wiadomość od Johna Hawkesa, ale musiała sprawdzić. Otworzyła swoje konto i po nieznośnie długiej chwili przekonała się, że nie ma nowej poczty. Już zamierzała zamknąć komputer, gdy jej wzrok zatrzymał się na zapisanej wiadomości od założyciela WAHYA. Z determinacją zmarszczyła czoło i otworzyła ją jeszcze raz. Chciała przeczytać ją ponownie, może za karę, może po to, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest tak zła, jak pamiętała.

Czytając, nie czuła rozpaczy jak poprzednim razem, ale z każdą linijką wzbierała w niej gniew. Była rozgoryczona, że Painter ją porzucił, i nagle uświadomiła sobie, że John Hawkes próbuje zrobić to samo. Pozbyć się jej w momencie, gdy zaczynają się kłopoty.

Po wszystkim, co zrobiłam... jak ryzykowałam...

Bez zastanowienia wcisnęła przycisk „odpowiedz”. Nie zamierzała wysłać wiadomości. Musiała po prostu dać upust złości, wyrzucić ją z siebie. Stukała szybko, wyładowując

wściekłość na klawiszach. Napisała długi, chaotyczny list, deklarując, że jest niewinna, i opisując, jak stara się oczyścić swoje imię bez żadnej pomocy WAHYA. Tę ostatnią część z satysfakcją podkreśliła. Wyraziła pogardę wobec braku lojalności i wsparcia, jakich powinna się spodziewać po swoich współtowarzyszach. Wyliczyła wszystkie swoje osiągnięcia i zasługi dla ich wspólnej sprawy. Wyjawiała też Johnowi Hawkesowi, ile WAHYA dla niej znaczy i że do szpiku kości zraniła ją zdrada i nieufność członków organizacji.

Gdy pisała ostatnie słowa, łzy wzbierały jej w oczach i coraz mniej wyraźnie widziała ekran. Wiedziała, że ich źródłem jest głęboka rana, która nigdy się nie zagoi. Chciała być kochana za to, kim była – za swoje dobro, zło, szlachetność i słabość – a nie odrzucana, gdy jej obecność stawała się niewygodna. W końcu poznała prawdę o sobie. Chciała być kochana tak, jak kochał ją ojciec. Zasługiwała na to. Chciała to wykrzyczeć całemu światu.

Wpatrywała się jednak w milczeniu w ekran, w list, a potem wybrała drugie w kolejności najlepsze wyjście. Wyciągnęła rękę, przesunęła kursor i na chwilę zatrzymała palec w górze. Painter mówił, że łącze internetowe jest szyfrowane.

Co jej mogło grozić?

Odzyskując na moment panowanie nad własnym życiem, wysłała wiadomość.

9.18

Salt Lake City, stan Utah

Rafe uśmiechnął się, gdy skrzynka odbiorcza zasygnalizowała nadejście poczty. Zerknął na zegarek. Wiele godzin wcześniej, niż się spodziewał. Sprawy wspaniale posuwały się naprzód. Przeciągnął się rozkosznie, ubrany w miękkie hotelowy szlafrok i kapcie, z włosami wciąż mokrymi po prysznicu.

Rozejrzał się po prezydenckim apartamencie na ostatnim piętrze hotelu Grand America w sercu Salt Lake City. Po raz pierwszy od przyjazdu do Stanów czuł się niemal jak u siebie w domu, siedząc wygodnie w czysto europejskiej scenografii: wśród ręcznie robionych mebli Richelieu z drewna wiśniowego, marmurów kararyjskich w łazience z hydromasażem, siedemnastowiecznych flamandzkich arrasów. Za przeszkloną ścianą jego bocianiego gniazda na szczycie hotelu roztaczała się wspaniała panorama gór, a daleko w dole widać było starannie wypielęgnowany parter ogrodowy.

Dobry nastrój zepsuło płaczliwe pociągnięcie nosem.

Odwrócił się do wątego młodego człowieka, rozebranego do naga i przywiązanego taśmą do jednego z krzeseł jadalnianych Richelieu. Usta miał zaklejone taśmą izolacyjną. Pod nosem lśniły mu dwie strużki śluzu. Krztusił się, z trudem łapiąc powietrze, i patrzył na niego szeroko otwartymi, szklistymi oczami jak u zranionego lisa.

Ale to nie był lis.

To był sokół Rafe'a... sokół, którego wysłał na łowy.

W danych osobowych Kai Quocheets znalazły się informacje o jej przynależności organizacyjnej, w tym o członkostwie w WAHYA, ruchu młodych wilków walczących o prawa rdzennych Amerykanów. W niecałe pół godziny ustalono, gdzie zaszył się przywódca organizacji. Przyjechał do Salt Lake City, aby być bliżej miejsca akcji w górach, gotów się zmierzyć z rozgłosem, jaki przyniosła taka tragedia. Najwidoczniej jednak John Hawkes miał też inne potrzeby. Bern zgarnął go z klubu ze striptizem niedaleko lotniska. Indiański działacz wolał chyba białe kobiety o blond włosach i sterczącym sztucznym biuście.

Z krzesła znów dobiegł jęk.

Rafe uniósł palec.

– Cierpliwości, panie Hawkes. Wkrótce się panem zajmiemy. Doskonale pan współpracuje, ale najpierw musimy się przekonać, czy łowy się udały.

Bez większego trudu przekonali Johna Hawkesa do swoich racji. Jego dwa palce wciąż pokazywały sufit. Ashanda złamała je z łatwością, jak gdyby to były dwie cienkie gałązki. Rafe ze względu na swoje kruche kości dobrze znał ten przejmujący ból. W ciągu swojego życia złamał już wszystkie palce u rąk i nóg.

Nie zawsze przez przypadek.

W końcu skłonili pana Hawkesa do współpracy i uzyskali od niego wszystkie niezbędne szczegóły i prywatne informacje o Kai, by spreparować list i wypłoszyć nim ptaszka, który uciekł Rafe'owi. Wszystko wskazywało na to, że manewr się powiódł.

Znacznie szybciej, niż się spodziewałem...

W wysłanym e-mailu wyznaczył jej termin odpowiedzi na dwunastą. Nie marnowała czasu. On też nie zamierzał go tracić.

– Udało się nam rozszyfrować tekst listu – poinformował go as komputerowy zespołu.

Rafe odwrócił się do niego. Technika nazywano po prostu TJ, ale Rafe nigdy się nie zainteresował, co oznaczają te inicjały. Informatyk był wychudzonym Amerykaninem, często napompowanym środkami pobudzającymi, żeby mógł całymi dniami pracować nad kodem. Ekspert stał przed szeregiem serwerów typu mini-mainframe połączonych kablami cat 6 i podpiętych do szerokopasmowej linii T2.

Rafe nie rozumiał z tego nawet jednej dziesiątej. Interesowały go tylko wyniki.

– Tekst za chwilę zostanie wyświetlony na ekranie pańskiego monitora. Teraz szukamy adresów IP, sprawdzamy węzły sieci, przeszukujemy połączenia z serwerami i zabójczo skutecznym algorytmem ustalamy trasy pakietów.

– Dowiedzcie się po prostu, skąd to wysłano.

– Właśnie nad tym pracujemy.

Słyszając liczbę mnogą, Rafe przewrócił oczami. TJ był tylko zwykłym asystentem. Prawdziwy cyfrowy czarodziej siedział pośrodku okablowanego gniazda sprzętu komputerowego. Długie palce Ashandy tańczyły po trzech klawiaturach z szybkością i gracją dłoni pianisty na koncercie. Zamiast w nuty patrzyła na przesuwające się po ekranie linijki kodu. Na drugim ekranie węzły serwerowe i protokoły trasowania rozbiły się w splątaną sieć, która rozpełzała się po cyfrowej mapie świata. Nic nie mogło stanąć na jej drodze. Zapory sieciowe padały przed nią jak kostki domina.

Rafe z satysfakcją podszedł do swojego laptopa i przeczytał wiadomość wysłaną przez Kai Quocheets. Stukając palcem w dolną wargę, śledził strumień nastoletnich lęków i zranionych uczuć. Jej żarliwość i jawna bezradność bijąca z ekranu wzbudziła w nim nawet cień współczucia. Zerknął na Johna Hawkesa, czując nagłą chęć, by złamać mu trzeci palec. Przywódca ruchu najwyraźniej cynicznie wykorzystywał młodość i entuzjazm jego członków. Na koniec to inni ponosili konsekwencje, a tylko on grzał się w blasku chwały.

Był to prosty przykład złego zarządzania.

TJ gwizdnął, przyciągając uwagę Rafe'a. Nachylił się nad ramieniem Ashandy.

– Chyba się jej udało! – oznajmił piskliwym głosem. – Wyważyła ostatnie drzwi!

Rafe zbliżył się do nich, łokciem odtrącając na bok TJ. Jeśli mieli odnieść zwycięstwo, chciał poznać jego smak z Ashandą.

Stojąc za nią, nachylił się nad jej uchem.

– Pokaż mi, co potrafisz...

Nie zareagowała. Była zanurzona we własnym świecie jak każdy artysta w natchnieniu. To był jej środek wyrazu. Podobno gdy ktoś traci jeden ze zmysłów, wyostri się inny. A Ashanda wykształciła w sobie nowy zmysł – cyfrowe przedłużenie siebie.

Przesunął dłoń po jej ramieniu, wyczuwając pod skórą dawne wypukłości po skaryfikacji, rytualnej praktyce afrykańskiego plemienia, do którego należała. Wypukłości były znacznie bardziej widoczne, gdy zjawiła się jako dziecko w ich zamku. Dziś wyczuwało się je tylko pod opuszkami palców, niczym pismo Braille’a.

– Jest prawie u celu! – szepnął TJ niemal bez tchu.

Ashanda przysunęła się odrobinę bliżej policzka Rafe’a. Z tej odległości poczuł ciepło jej skóry. Nikt do końca nie rozumiał, na czym polegał ich związek. Rafe sam nie potrafiłby tego ująć w słowa, Ashanda z pewnością też nie. Była jego nianią, pielęgniarką, siostrą i powiernicą. Przez całe jego życie była milczącą studnią, do której mógł wrzucać swoje nadzieje, lęki i pragnienia. W zamian dawał jej bezpieczeństwo, życie w dostatku, ale także miłość, nawet fizyczną, choć to akurat należało do rzadkości. Ubocznym skutkiem choroby była impotencja – uszkodzony został nawet najbardziej prywatny z jego członków.

Przyglądał się jej dłoniom skaczącym między klawiaturami. Przypomniawszy sobie, jak w intymnych chwilach czasem poddawała go słodkim torturom powodującym cierpienie graniczące z ekstazą i wyginała mu palec, dopóki się nie złamał. To nie był masochizm. W czystym bólu odnalazł wyzwolenie. Nauczył się nie lękać słabości własnego ciała, ale przyjąć ją, czerpać pełną garścią ze źródła pierwotnych odczuć, których nie znał nikt poza nim.

Ashanda ledwie słyszalnie westchnęła.

– Udało się! – wykrzyknął TJ, unosząc ręce jak kibic po голу swojej drużyny.

Rafe pochylił się bliżej, dotykając policzkiem jej twarzy.

– Brawo – szepnął jej do ucha.

Nie zmieniając pozycji, patrzył na ekran. Cyfrowa mapa rozdziła się, świetliste zielone linie zbiegły się w jednym punkcie w Utah. Rafe spojrział na to miejsce i uśmiechnął się, bo na monitorze nieoczekiwanie pojawiło się jego imię.

– San Rafael – powiedział rozbawiony. Nastrój znacznie mu się poprawił. – Och, nie mogło być lepiej.

Odwrócił się do Johna Hawkesa.

Mężczyzna wlepił w niego szeroko otwarte oczy.

– Wygląda na to, że polowanie zakończone i nie potrzebujemy już sokoła – mruknął.

Podszedł do nagiego mężczyzny, który wydał głośny jęk przerażenia. Rafe uważał, że jest winien coś Johnowi Hawkesowi za jego usługę – w tym wypadku lekcję dobrego zarządzania, bo tej umiejętności boleśnie mu brakowało.

Rafe stanął za nim i zgiętym ramieniem otoczył jego cienką szyję. Wbrew temu, co pokazują filmy, niełatwo jest złamać kark człowiekowi. Udało się dopiero za trzecim razem. Ale to była dobra lekcja. Czasem nawet lider musi sobie ubrudzić ręce. To pomaga podtrzymać morale.

Odsunął się, ocierając z czoła kropelki potu, jakim okupił ten wysiłek.

– Skoro już to załatwiliśmy... – Rafe wyciągnął rękę do Ashandy. – Czas ruszać dalej, *mon chaton noir*, prawda?

31 maja, 15.19
Nad wyspą Elliðaey
Islandia

Stojąc za pilotem, Gray szykował się do katastrofy, a Seichan stała obok niego. Kurczowo zaciskała dłoń na jego przedramieniu, żeby nie stracić równowagi, ale i z przerażenia.

Helikopter spadał spiralnym ruchem, nieuchronnie zmierzając ku ognistej zagładzie. Wirniki wyły, usiłując utrzymać maszynę w powietrzu. Za szybą kabiny kłębiły się tumany dymu, a gorące drobiny skalne bębniły o boki helikoptera jak grad. Wloty powietrza wciągały tę samą masę pyłów wulkanicznych, więc silniki krztusiły się coraz bardziej.

Pilot jedną ręką zmagął się z drążkiem sterowym wystającym spomiędzy jego nóg, a drugą manipulował przełącznikami na desce rozdzielczej. Był jednym z nieprzyjaciół, najemnym komandosem, ale w tym momencie dzielili ten sam los, a perspektywy mieli marne.

– Mamy przejebane! – wrzasnął pilot. – Nic nie mogę zrobić!

Wyspa zmieniona w kawał roztrzaskanej skały zbliżała się coraz bardziej. Stary stożek wulkaniczny rozdzierały następne szczeliny. W najgłębszych rozpadlinach szalały płomienie. Woda morska wdzierала się w głąb wyspy i tryskała w górę parującymi gejzerami, gdy lodowata woda zetknęła się ze stopioną skałą.

Mieli pod sobą piekło na ziemi.

Gray uznał, że jedyna nadzieja na ratunek to morze, choć zimna woda mogła ich zabić w ciągu kilku minut. Zajął puste miejsce drugiego pilota i przycisnął twarz do krzywizny szyby. Rozglądał się po przybrzeżnych wodach wokół wyspy. Od fal odbijały się promienie słońca, tworząc stanowczo zbyt pogodny obrazek, zupełnie oderwany od okoliczności. Ale kolumna dymu i pary unoszących się nad wyspą rzucała głęboki cień na południe. Właśnie w tym cieniu Gray dostrzegł jasny przecinek na tle ciemnego morza.

– Tam! – zawołał, wskazując w dół na prawo. – Na godzinie drugiej! Na południe od wyspy.

Pilot obrócił ku niemu przysłoniętą hełmem trupio bladą twarz.

– Co...?

– Łódź. – To musiał być trawler kapitana Hulda. – Rozbij ten wiatrak jak najbliżej niej.

Pilot przechylił helikopter i spojrział w dół.

– Widzę. Nie wiem, czy będę dość wysoko, żeby minąć wyspę, a co dopiero dolecieć tak daleko.

Mimo to pilot wiedział, że nie ma innego wyjścia. Manipulując drążkiem i dźwignią skoku ogólnego, skierował maszynę na południe. Nawet tak delikatny manewr spowodował nagłą utratę wysokości. Potężny helikopter, mając tylko jedną parę działających wirników, zaczął gwałtownie opadać. Cały świat pod nimi wypełniła wyspa. Łódź zniknęła za skalistym brzegiem i Gray stracił ją z oczu.

– Nie damy rady... – powiedział pilot, walcząc z drążkiem i dźwignią.

Ze szczeliny przed nimi wysoko w niebo wystrzelił strumień wrzącej wody i pary. Helikopter wpadł w nią, a wszyscy na przerażający ułamek sekundy oślepli. Po chwili wynurzyli się z mgły. Gdy z szyb zniknęły kropelki wody, zobaczyli zbliżający się z zawrotną prędkością żłobiony łuk stożka wulkanicznego. Unosił się przed nimi jak skalna fala, blokując drogę na otwarte morze.

– Za mało mocy! – wrzasnął pilot, przekrzykując wizg wirników.

– Wyciśnij, ile się da! – odkrzyknął Gray.

Ziemia była coraz bliżej. Gray dostrzegł rozrzucone ciała krów, które zginęły albo od temperatury erupcji, albo od toksycznych gazów, a może po prostu zabił je strach.

Nagle wyspa zaczęła opadać. Łąka oddaliła się od nich.

Znowu się wznosimy.

Pilot też to zobaczył.

– To nie ja! – Wskazał na wysokościomierz. – Ciągłe spadamy!

Gray zbliżył twarz do okna i spojrział w dół. Zrozumiał swoją pomyłkę. Helikopter się nie wznosił, to ziemia się pod nimi zapadała.

Na jego oczach odłamał się kawał stożka, odcięty przez kipiącą szczelinę za nimi. Ćwierć wyspy wolno przechyliła się i pogrążyła w morzu jak pijak zsuwający się z barowego stołka.

Ściana skały wulkanicznej przed nimi obniżyła się, pochyliła i runęła, otwierając drogę do morza. Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

– Zabraknie wysokości! – krzyknął pilot.

Po łące pod nimi toczyły się i podskakiwały głązy. Jeden z ogromnych kamieni śmignął obok szyby kabiny.

Pilot zaklął, szarpiąc maszyną, by uniknąć zderzenia.

Wciąż jednak mknęli w kierunku brzegu stożka. Osuwał się za wolno. Pilot jęknął, z całej siły zmagając się z drążkiem. Gray uruchomił system drugiego pilota. Nie potrafił obsługiwać takiej maszyny, mógł jednak wspomóc pilota siłą. Pociągnął dźwignię skoku. Stawiała opór i miał wrażenie, jakby próbował unieść helikopter łomem.

– Niedobrze! – wrzasnął pilot. – Trzymajcie się! Zaraz się roz...

I wtedy uderzyli.

Koła i płozy zahaczyły o krawędź stożka, odrywając się od korpusu helikoptera ze zgrzytem metalu. Helikopter obrócił się nosem w dół. Kiedy uwolnił się od tonącej wyspy, Gray zobaczył przez przednią szybę ciemną toń morza.

Helikopter poleciał jeszcze dalej, przewracając się na bok, a świat zawirował jak w kalejdoskopie.

15.22

Kiedy helikopter gwałtownie zawirował, Seichan dostrzegła ciemne morze. Trzymała się górnego uchwyty, wpierając się nogami we wręgę, żeby pozostać na miejscu. Z tyłu dobiegał krzyk Monka i bardziej przenikliwe wrzaski starego dozorczy. Gray został wyrzucony z fotela drugiego pilota i mocno uderzył głową w obramowanie przedniej szyby.

Przypięty pasami obok niego pilot wciąż siłował się z dźwigniami, próbując wszystkich znanych sobie sztuczek, by ustabilizować helikopter i zmniejszyć prędkość spadku. Wreszcie za ostatnim pociągnięciem drążka maszyna lekko uniosła nos, zwalniając wirowy ruch.

Gray wylądował wygięty z powrotem w fotelu, kolanami trafiając pilota w hełm. Z głowy

Graya sączyła się krew, która zalała mu już pół twarzy.

Pilot odepchnął go.

– Na bok! Przygotujcie się!

Seichan wyciągnęła wolną rękę, zacisnęła ją na kołnierzu kurtki Graya i pociągnęła go do siebie. Razem wpadli do tylnej kabiny. Monk usiłował przypiąć Olliego pasami do fotela.

Boczne drzwi otworzyły się i zamknęły z hukiem, ukazując widok ruin wyspy. Oderwany fragment stożka wpadł do wody, wywołując potężną falę, która ruszyła w stronę otwartego morza. Resztę łądu spowijał dym unoszący się z kilku rozpadlin. Pośrodku ciemnej masy pyłów jaśniała ognista fontanna bulgocząca blisko powierzchni, która od czasu do czasu tryskała wyżej.

Bardziej przerażająca była jednak nacierająca na nich ściana wody.

Wiedząc, że zostało zaledwie parę sekund, Seichan zawlokła zamrozonego Graya pod ścianę, na której rozpięto siatkę ładunkową. Zachował dość przytomności, aby wpleść ręce w materiał. Stała obok niego, żeby zrobić to samo, ale odwracając się, zdążyła zobaczyć, jak gigantyczna fala wywołana przez tonącą wyspę unosi się pod helikopterem, sięgając spadającej maszyny.

Uderzyli z impetem w falę. Seichan runęła na podłogę. Usłyszała przeraźliwy zgrzyt metalu, potem ciszę, a po chwiliabinę zalała lodowata woda. Kipiel ciskała jej ciałem jak szmacianą lalką. W nogę trafiło ją coś ostrego, przecięło nogawkę dzinsów i rozdarło jej udo żywym ogniem. Po chwili zderzyła się z Grayem, którego głowa wciąż tkwiła w bańce powietrza. Usiłował ją złapać jedną ręką. Seichan próbowała chwycić siatkę.

Żadnemu z nich się nie udało.

Gdy helikopter schodził coraz głębiej, prąd wody oderwał ją od ściany i wyrzucił z kabiny przez otwarte drzwi. Koziołkowała w strumieniu pęcherzy powietrza, krztusząc się wodą i znacząc swoją drogę smuzką krwi. Helikopter pogrążał się w ciemnej toni i zostawiał za sobą coraz większą plamę ropy. Nie widziała, żeby ktokolwiek inny wypłynął ze znikającej w mroku maszyny.

Gray...

Nic jednak nie mogła zrobić. Nawet gdyby popłynęła na pomoc, helikopter był już za głęboko. Nikomu nie udałoby się wrócić na powierzchnię.

Zrozpaczona i załamana, z ciężkim sercem odwróciła się i ruszyła w kierunku nikłego światła słońca. Nie zdawała sobie sprawy, jak głęboko ją ściągnęło. Rozpaczliwie potrzebowała powietrza, nie wiedziała, czy da radę, ale pracowała nogami, wytrwale zmierzając ku powierzchni i czując, jak zimno atakuje jej ciało niczym tysiące ostrych noży.

Nagle coś ciemnego przemknęło w górze, przysłaniając słońce: czarny, smukły cień. Zamarła, unosząc się w lodowatej głębinie. Wokół niej zaczęły krążyć kolejne cienie, przecinając wodę płetwami. Jeden podpłynął bliżej i obrócił na nią wielkie oko. Ujrzała w nim inteligencję, przebiegłość i zwierzęcy głód.

Orki...

Przyciągnęła je krew.

Mimo że woda wyziębła ją do szpiku kości, ogarnęła ją fala gorąca. Wyczuwając zagrożenie, spojrziała w dół.

Czarny kształt podpłynął do niej z głębin i rozdziawił paszczę, ukazując rząd ostrych zębów.

Wrzasnęła, połykając słońną wodę i szaleńczo wierzgając nogami.

Wszystko na nic.

Zęby przegryzły jej nogawkę i zagłębiły się w ciało.

15.24

Wstrzymując oddech w resztkach powietrza, jakie pozostały w tonącym helikopterze, Gray zdrętwiałymi z zimna palcami wyszarpnął pasy ładunkowe. Ciśnienie rozsadzało mu czaszkę, jak gdyby ktoś wbijał mu w nią igły. Wyciągnął spod siatki gumową kostkę o boku długości około pół metra i nogą odepchnął się od ściany.

Wpadł na Monka, który wyswobodził swój ciężar. Pod pachą dźwigał Olliego. Staruszek był nieprzytomny i bezwładnie wisiał na jego ramieniu – prawdopodobnie utonął. Gray krótko po uderzeniu w wodę sprawdził, co z pilotem. Mężczyzna nie żył. Wciąż siedział przypięty pasami i miał szyję przebitą dużym kawałkiem metalu.

Dla niego nie było już nadziei.

Mając wszystko, czego potrzebowali, Monk i Gray odepchnęli się od kadłuba helikoptera, wypływając przez otwarty właz w ciemną wodę. Do słońca i powietrza mieli bardzo daleko. Nigdy nie dotarliby do powierzchni o własnych siłach, a na pewno nie zdążyliby reanimować Olliego. Ale Gray zawdzięczał staruszkowi życie. Zamierzał spłacić ten dług.

Podał gumowy pakunek Monkowi. Z ust przyjaciela wydobył się strumień baniek powietrza, a palce jego protezy zacisnęły się mocno na sznurkowym uchwycie kostki. W oczach Monka zobaczył udrękę i przypuszczał, że sam wygląda tak samo. Jeśli nie zabije ich zimno, wkrótce dokona tego brak powietrza.

Gray jedną ręką chwycił się pasa Monka, aby przytrzymać Olliego z drugiej strony własnym ciałem, ale wcześniej szarpnął sznur pojemnika ze sprężonym powietrzem zamocowanego do gumowego pakunku.

Ratownicze sanie wodne natychmiast wypełniły się powietrzem, zmieniając się w żółtą tratwę ratunkową. Zazwyczaj tratwy rzucano z helikopterów tonącym marynarzom. Gray miał nadzieję, że uratują się, używając jej w nowy sposób. Tratwa pod wpływem siły wyporu natychmiast szarpnęła ich w górę – z początku powoli, potem coraz szybciej.

Po kilku sekundach mknęli przez wodę jak torpeda.

Gray trzymał się mocno Monka i Olliego. W miarę jak zbliżali się do powierzchni, robiło się coraz jaśniej. Gray próbował złagodzić potworny głód tlenu, pozbywając się całego powietrza z płuc, oszukując je obietnicą rychłego wdechu.

Miał nadzieję, że to nie tylko sztuczka.

Od braku tlenu pociemniało mu w oczach i zwęziło się pole widzenia, trudno więc było mu ocenić, jak daleko jeszcze do powierzchni.

I nagle jak korek z szampana wyskoczyli z wody. Tratwa wystrzeliła nad fale, wyrzucając ich wysoko nad powierzchnię. Po chwili wszyscy trzej wylądowali z powrotem w morzu. Grayowi udało się nie wypuścić Olliego. Monk nadal trzymał się tratwy.

Gray parsknął, zachłysnął się powietrzem i odkrztusił słoną wodę. Monk przyciągnął do siebie tratwę, na której dziobie mrugała mała lampka ratunkowa. Wygramolili się z lodowatej wody, dygocząc i szcękając zębami. Gray położył Olliego na tratwie, a Monk szybko go zbadał.

– Nie oddycha, ale wyczuwam słaby puls.

Monk odwrócił staruszka i zaczął masaż serca. Nie było to łatwe na gumowej, chybotałej powierzchni. Z ust i nosa Olliego płynęła woda. Kiedy Monk uznał, że wystarczy, obrócił go z powrotem. Skóra starego dozorca przybrała niepokojąco siną barwę. Monk, który miał gruntowne przygotowanie medyczne, nie zamierzał dać za wygraną. Zaczął sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Gray zmówił niemą modlitwę do niebios. Był dłużnikiem Olliego. Już i tak słono zapłacili za przyjazd na tę przeklętą wyspę. Zrzucił z ramion plecak skradziony cywilnemu członkowi oddziału komandosów i upuścił na dno tratwy. Wydobył go z tonącego helikoptera. Nie zamierzał go zostawiać. Była to jedyna zdobycz z wyprawy, jaką się mogli pochwalić.

Ale za jaką cenę?

Przeszukał powierzchnię wody wokół tratwy. Przypomnił sobie, jak wzburzona fala oderwała od niego Seichan i wyrzuciła z kabiny helikoptera. Nie żywił wielkich nadziei. W lodowatej wodzie mogła przeżyć najwyżej kilka minut.

Dokąd popłynęła?

Gray rozglądał się, ale morze na południe od wyspy przykrywał gęsty dym, zasłaniający wszystko. Widzialność nie przekraczała paru metrów. Powietrze niesło zapach palonej siarki i soli, ale przynajmniej na razie było ciepłe.

Słońce miało przytłumioną pomarańczową barwę. Znacznie jaśniejsza była wyspa. Ruiny Elliðaey znajdowały się zaledwie kilkaset metrów od nich. Wyglądały jak cień zwieńczony koroną ognia. Wysoko w górę strzelały płomienie, a po zboczach płynęły wstęgi rozżarzonej lawy. Pozrywane brzegi spowijała para w miejscu, gdzie stopione skały zsunęły się do lodowatej wody.

Cały czas słyszeli huk i głucho dudnienie.

Wciąż byli za blisko wyspy.

Na dowód tego rozległo się ogłuszające bum!, któremu towarzyszyła fontanna ognia prosto z serca wyspy. Dym buchnął gwałtowniej niż dotąd, a z nieba spadł deszcz drobnego gorącego popiołu, który z sykiem zbombardował wodę, parząc każdy kawałek odsłoniętej skóry. Do morza wpadły też z głośnym pluskiem większe kamienie, niewidoczne w zasłonie dymu.

Uwagę Graya zwrócił cichy kaszel.

Ollie dzwignął się i opadł z powrotem, kaszląc jeszcze raz. Z ust i nosa znów pociekła mu woda. Monk z wyraźną ulgą przysiadł na piętach. Pomógł staruszkowi usiąść. Dozorca rozejrzał się zamglonym wzrokiem.

– Zawsze wiedziałem, że skończę w *helviti* – wychrypiał.

Monk klepnął go w ramię.

– Jeszcze nie jesteś w piekle, staruszku.

Ollie spojrzał wokół tratwy.

– Na pewno?

Płatki popiołu zaczęły padać gęściej, sypiąc jak ognisty śnieg, pokrywając cienką warstwą powierzchnię wody. W jedną z burt tratwy trafiła płonąca cząstka lawy. Zanim zdążyli ją strzepnąć, wytopiła dziurę w poliuretanowej powłoce. Powietrze zaczęło z sykiem uciekać.

– Musimy się oddalić od wyspy – ostrzegł Gray. – Poza chmurę popiołu. Trzeba będzie wiosłować rękami.

– Albo zabierzemy się okazją – rzekł Monk, wskazując za plecy Graya.

Nad wodą pojawił się ryk syreny.

Gray odwrócił się i zobaczył wynurzający się z dymu dziób dużego statku, który zmierzał w ich stronę. Wyglądał widmowo, lecz znajomo.

Był to trawler kapitana Hulda.

Łódź sterowana sprawną ręką syna Hulda ustawiła się obok tratwy.

Kapitan z szerokim uśmiechem krzyknął z pokładu:

– *Fjandanum*, coście zrobili z moją wyspą?

Huld powitał ich na pokładzie rufowym, pomagając im wsiąść. Monk i Gray musieli nieść Olliego, który wciąż był bardzo słaby.

– Wyglądacie jak banda potopionych szczurów – skarcił ich Huld. – Chodźcie. Na dole mamy koce i suche rzeczy.

– Jak nas pan znalazł? – spytał Gray.

– Zauważyłem to wasze mrugające światełko. – Pokazał alarmową lampkę z diodami LED na dziobie tratwy. – Poza tym nie mogliśmy odpłynąć, dopóki was nie znajdziemy. Nie pozwoliłaby nam na to.

Ze sterówki wyszła smukła postać otulona w koc. Utykała na prawą nogę, którą miała zabandażowaną od łydki do połowy uda.

Seichan...

Ogarnięty nagłą chęcią, by do niej podbiec, Gray omal nie upuścił Olliego.

Monk zaklął zaskoczony.

– Niesamowita sprawa – rzekł Huld. – To samo stado orek, które widzieliśmy wcześniej, trzymało się naszych burt jak dzieciaki matczynej spódnicy, odkąd zaczęły się fajerwerki. Nagle wszystkie zniknęły pod wodą. Pomyśleliśmy, że nas zostawiły. A pół minuty później wypływają z waszą kobietą na wpół utopioną i wpychają nam ją na pokład.

Gray wiedział, że opowieści o drapieżności orek to mit. Na wolności żadna z nich nigdy nie zaatakowała człowieka. Co więcej, często słyszało się, że orki, podobnie jak ich bliscy krewni delfiny, chroniły ludzi przebywających w wodzie.

Wyglądało na to, że figlarne stado, które Huld karmił i szanował, dziś odwzajemniło to uczucie.

Seichan, która do nich przykuśtykała, sprawiała wrażenie, jak gdyby była zła, zamiast się cieszyć z ocalenia.

– Umiałabym sama wypłynąć na powierzchnię.

Huld wzruszył ramionami.

– Orki miały inne zdanie. A znające wody lepiej niż ty, *stulka*.

Spojrzała na niego spode łba.

– Mam Olliego – powiedział Monk, poprawiając ciężar ciała starego dozorca, którego wciąż podtrzymywał. – Muszę go położyć w jakimś ciepłym wnętrzu i dokładnie zbadać. Nałykał się słonej wody.

Wszyscy się nałykali, ale Gray zgodził się, by Monk zajął się staruszkiem.

Huld poszedł pomóc synowi, lecz wcześniej przekazał im wiadomość.

– Słuchałem krótkofalówki. Podobno erupcja wywołała następne wypływy magmy wzdłuż ryftu, który rozcina tu dno morza. Zanim to wszystko się skończy, być może pójdzie jeszcze jedna wyspa albo dwie.

Po tych złowieszczych słowach Huld zostawił ich samych na pokładzie.

Seichan stała z rękami skrzyżowanymi na piersi. Unikając wzroku Graya, patrzyła na morze. Łódź z mozołem odpływała od ruin wyspy, powoli wynurzając się z chmury popiołu.

– Myślałam, że nie żyjecie – powiedziała Seichan głosem zniżonym niemal do szeptu. Pokręciła głową. – Ale... nie mogłam się poddać.

Stanął obok niej.

– Cieszę się. Każąc Huldowi zostać, uratowałam nam życie.

Spojrzała na niego, upewniając się, czy nie żartuje. To, co zobaczyła, kazało się jej szybko odwrócić, ale Gray zdążył dostrzec w jej oczach rzadką u niej niepewność.

Owinęła się szczelniej kocem. Żadne z nich nie odzywało się przez kilka chwil.

– Sprawdziłeś już, co jest w środku? – zapytała.

Przez moment nie wiedział, o czym mówi, dopóki nie zerknęła na plecak porzucony na pokładzie.

– Nie – odrzekł. – Nie miałem okazji.

Uniosła brew.

Miała rację. Mógł sprawdzić choćby teraz.

Gray podszedł do plecaka, ukląkł obok i otworzył główną komorę. Seichan stanęła nad nim.

Przejrzał mokrą zawartość. Niewiele tu było: parę przesiąkniętych wodą koszulek, długopisy, kołotonatnik, którego kartki zupełnie rozmiękły. Ale między koszulkami, które prawdopodobnie miały działać jak amortyzator, zagrzebano coś w zamkniętej torebce strunowej. Gray wyciągnął ukryty przedmiot.

– Co to jest?

– Wygląda na starą książkę... może dziennik. – Gray otworzył torebkę i wyciągnął zawartość.

Był to niewielki tomik oprawiony w skórę, kruchy ze starości. Ostrożnie przeczucił kilka stron. Wypełniało je staranne pismo, któremu towarzyszyły rysunki sporządzone równie precyzyjną ręką. To z pewnością był dziennik albo pamiętnik.

Gray przejrzał tekst.

– Po francusku – powiedział.

Otworzył tomik na pierwszej stronie, na której widniały ozdobne inicjały.



– A.F... – przeczytał głośno i uniosł głowę, patrząc na Seichan. Oboje znali inicjały autora dziennika.

Archard Fortescue.

31 maja, 10.12

Flagstaff, stan Arizona

– Chyba już niedaleko – powiedział z tylnego siedzenia Hank Kanosh.

Zamyślony Painter patrzył przez okno na mijany krajobraz zachodniej pustyni. Słońce przedpołudnia malowało pejzaż odcieniami karmazynu i złota, które przecinały bylice i kępy kłujących juk.

Kowalski mknął drogą numer 89. Kierowali się na północny wschód od Flagstaff, a przed zaledwie kwadrans wylądowali w Arizonie po krótkim locie prywatnym czarterem z lotniska pod Price w stanie Utah. Ich cel – Pomnik Narodowy Sunset Crater – leżał czterdzieści minut od miasta.

– Szukamy drogi pożarowej numer pięćset czterdzieści pięć – dodał Hank. Pies profesora siedział na drugim końcu kanapy SUV-a z nosem przyklejonym do szyby, bo przed chwilą zobaczył dzikiego zająca uciekającego długimi susami z drogi. Patrzył przez okno z najwyższą czujnością. – Droga pożarowa to pętla długości około pięćdziesięciu kilometrów w bok od autostrady. Przechodzi przez park i mnóstwo ruin starożytnych puebli. Nancy Tso spotka się z nami w centrum dla zwiedzających niedaleko wjazdu do parku.

Nancy Tso, ich kontakt, była Indianką Nawaho, ale również strażniczką Służby Parków Narodowych. Wcześniej Hank dyskretnie uruchomił swoje kontakty, aby zdobyć nazwiska osób, które najlepiej znały ten teren. W trakcie lotu Painter przeczytał o pomniku narodowym tyle, ile zdążył. Czytali wszyscy. Kat przysłała z Waszyngtonu tony informacji, lecz Painter wolał je uzyskać z pierwszej ręki. Zamierzali porozmawiać z przewodniczką i dowiedzieć się od niej jak najwięcej.

Painterowi trudno się było jednak skoncentrować. Kat przekazała mu wiadomość o wydarzeniach w Islandii, słuchał też coraz liczniejszych relacji radiowych o erupcjach wulkanicznych. Cały archipelag na południe od wybrzeży Islandii dymił i dygotał. Poza wulkanem na wyspie morze zaczęły burzyć jeszcze dwa podwodne wulkany, plując na dno morskie lawą, której było coraz więcej.

Na Europę ruszyła gigantyczna chmura pyłów wulkanicznych. Już zaczęto zamykać lotniska. Grayowi udało się jednak wylecieć wcześniej. Był w drodze powrotnej do Waszyngtonu, wioząc cenną zdobycz: stary dziennik należący do francuskiego uczonego Archarda Fortescue.

Ale czy pamiętnik rzuci nowe światło na ich sytuację?

– Jest zjazd – powiedział Hank, nachylając się i pokazując.

– Widzę – odparł cierpko Kowalski. – Nie jestem ślepy.

Hank opadł na siedzenie. Z powodu braku snu wszyscy stali się drażliwi. Gdy zjechali z autostrady na jednopasmową drogę, w samochodzie zapadła cisza. Nie było wątpliwości, że zmierzają do celu, od którego dzieliło ich parę ostatnich kilometrów.

Przed nimi ukazał się Sunset Crater. Nad wysepkami sosen i osik wznosił się trzystumetrowy stożek z popiołu wulkanicznego. Krater był najmłodszym i najmniej dotkniętym przez erozję stożkiem na polach wulkanicznych San Francisco, gdzie znajdowało się ponad sześćset wulkanów przeróżnych kształtów i rozmiarów, w większości drzemiących, choć pod tą częścią wyżyny Kolorado magma nadal kipiała blisko powierzchni.

Painter myślał o trzęsieniach ziemi, jakie tysiąc lat temu nawiedziły ten region, i o spadających bombach wulkanicznych. Wyobrażał sobie grad płonącego popiołu, który podpalał wszystko, i wirujące chmury pyłów zmieniające dzień w noc. Popiół ostatecznie przykrył dwa tysiące kilometrów kwadratowych.

W miarę jak się zbliżali, ujrzeli charakterystyczną cechę wulkanu, której zawdzięczał nazwę Krater Zachodzącego Słońca.

W słonecznym świetle wierzchołek stożka mienił się czerwonoróżową barwą z pasmami i plamami jasnej żółci, fioletu i szmaragdu, jak gdyby uwieczniono widok krateru o zachodzie słońca. Ale Painter poznał kilka faktów i wiedział, że w tym zjawisku nie ma niczego magicznego. Zabarwienie wulkanu było skutkiem gwałtownego wyrzucania materiału piroklastycznego, zawierającego czerwone tlenki żelaza i siarki, które podczas ostatniej erupcji osadziły się wokół szczytu stożka.

Hank zaproponował ujęcie tematu z mniej geologicznego punktu widzenia.

– Czytałem legendy Hopi o tym miejscu. Okoliczni Indianie uważali stożek za świętą górę. Wierzyli, że kiedyś rozgniewani bogowie ogniem i stopioną skałą zniszczyli mieszkający tu zły lud.

– To wcale nie brzmi jak legenda – zauważył Painter. – I zasadniczo zgadza się z opowieścią dziadka Jordana, a nawet z historią. Do ostatniej erupcji wulkanu doszło około tysiąca sześćdziesiątego czwartego roku, czyli mniej więcej wtedy, gdy zniknęli Anasazi.

– To prawda. Ale najciekawsze jest to, że ta sama legenda Hopi ostrzega, że ludzie, którzy zginęli, pozostali tu jako duchowi strażnicy. A to, rzecz jasna, nasuwa pytanie, co takiego tu jest, czego wciąż trzeba pilnować.

Painter wpatrywał się w czerwony stożek, zastanawiając się nad tą samą zagadką. Dziadek Jordana Appawory dał do zrozumienia, że coś tutaj ukryto, coś, co mogłoby rzucić światło na starożytny lud *Tawtsee'untsaw Pootseev* – mityczne zaginione plemię Izraelitów, o którym mówił Hank.

Kiedy mijali bramę parku, Kowalski pokazał przez przednią szybę.

– To ta pani?

Painter wyprostował się w fotelu. Z białego jeepa cherokee z niebieskimi kogutami na dachu wysiadła szczupła kobieta. Miała na sobie wykrochmaloną szarą koszulę z plakietką oraz zielone spodnie, wysokie czarne buty i pas służbowy z bronią w kaburze. Odchodząc od samochodu, nałożyła kapelusz z szerokim rondem i gdy ich wóz się zatrzymał, zbliżyła się do niego od strony pasażera.

Kowalski gwizdnął z uznaniem.

– Twojej dziewczynie w Waszyngtonie to się chyba nie spodoba – ostrzegł go Painter.

– Mamy umowę. Wolno mi patrzeć, ale nie dotykać.

Painter powinien go skarcić za takie zachowanie, nie mógł się jednak nie zgodzić z jego oceną strażniczki. Ale choć funkcjonariuszka Służby Parków Narodowych była niezwykle urodziwą kobietą, to nie dorastała do pięt Lisie. Godzinę temu rozmawiał ze swoją dziewczyną, zapewniając ją, że wszystko jest w porządku. Kiedy sytuacja zaczęła się komplikować,

natychmiast pojechała do Kat do centrali Sigmy.

Kiedy strażniczka stanęła przy ich wozie, Painter odkręcił szybę. Pochyliła się. Miała miedziano-kawową skórę, oczy barwy ciemnego karmelu i długie czarne włosy zaplecione w warkocz opadający na plecy.

– Nancy Tso? – zapytał.

Zajrzała na przednie i tylne siedzenia.

– To wy jesteście tymi historykami? – spytała z powątpiewaniem w głosie, przyglądając się Painterowi i Kowalskiemu.

Wyglądało na to, że ma równie subtelny instynkt jak urodę. Ale w końcu strażnicy parków narodowych musieli pełnić wiele funkcji, wykonując rozmaite obowiązki, od doglądania obszaru chronionego po udaremnianie nielegalnych działań różnego rodzaju. Byli równocześnie strażakami, policjantami, przyrodnikami i inspektorami ochrony zabytków, a często również psychiatrami, starając się chronić obszar parku przed zwiedzającymi, ich zaś przed niebezpieczeństwami w parku i innymi zwiedzającymi.

Wskazała na parking przy bramie.

– Zaparkujcie tam. A potem powiecie mi, o co wam naprawdę chodzi.

Kowalski posłusznie wykonał polecenie. Skręcając na parking, zerknął na Paintera i niemo wyraził zachwyty.

Painter znów nie mógł się z nim nie zgodzić.

Wkrótce wszyscy maszerowali szlakiem po chrzęszczącym żwirze. Ponieważ był środek dnia i tygodnia, mieli całą drogę dla siebie. Wspinali się w kierunku krateru trasą oznaczoną jako SZLAK POTOKU LAWOWEGO, mijając rzadki las sosnowy. W bardziej nasłonecznionych miejscach rosły leśne kwiaty, ale przez większą część drogi widzieli tylko pumeks i popioły pozostałe po dawnym spływie lawy. Minęli kilka stożków przybyszowych zwanych po hiszpańsku *hornitos*, czyli piecykami, które powstały w miejscu, gdzie wystrzeliły bańki lawy, tworząc miniwulkany. Widzieli też osobliwe formy utworzone w wyniku erupcji szczelinowych – zwane klinami – gdzie warstwy lawy zastygły, zwiłając się w rzeźby przypominające kwiaty. Główną atrakcją był jednak sam stożek wznoszący się przed ich oczami coraz wyżej. Z bliska malownicza mozaika mineralna robiła jeszcze większe wrażenie, gdy ciemnoszare zbcze przechodziło w widowiskową feerię jasnych barw odbijających wszystkie promienie słońca.

– Ta pętla ma tylko półtora kilometra długości – uprzedziła ich przewodniczka. – Mogę wam poświęcić czas, dopóki jesteśmy na szlaku.

Painter zaczął ją nieśmiało, dość ogólnikowo wypytywać, poznając niezbyt ciekawe szczegóły, które prowadziły donikąd. Uznał, że pora przestać się bawić w kotka i myszkę.

– Szukamy zaginionego skarbu – powiedział.

Przystanęła i położyła dłonie na biodrach, poświęcając mu całą uwagę.

– Doprawdy? – spytała sarkastycznie.

– Wiem, jak to brzmi – odrzekł Painter. – Ale jesteśmy na tropie pewnej historycznej zagadki, która sugeruje, że dawno temu coś tu ukryto. Mniej więcej w czasie ostatniej erupcji... może krótko potem.

Nancy najwyraźniej tego nie kupowała.

– Ten park ryto i przeczesywano od dziesiątków lat. Nie ma tu nic, czego nie widać. Jeżeli coś ukryto, to już dawno zostało pogrzebane. Pod nogami mamy tylko oblodzone dawne rury lawowe, w większości zresztą zapadnięte.

– Oblodzone? – zdziwił się Kowalski, ocierając czoło. Pot przesiąknął mu już przez koszulę,

ponieważ robiło się coraz bardziej gorąco, a na szlaku nie mieli prawie żadnego cienia.

– Przez porowatą skałę wulkaniczną przenika woda – wyjaśniła Nancy. – Zimą zamarza, ale naturalna izolacja i brak cyrkulacji powietrza w wąskich rurach sprawiają, że lód się nie topi. Powiem wam tylko, że rury zlokalizowano z ziemi i za pomocą radaru. Tam jest tylko lód. – Zaczęła się odwracać, by skierować się z powrotem na parking. – Jeżeli nie zamierzacie więcej zabierać mi czasu...

Hank uniósł rękę, chcąc ją zatrzymać, ale pies pociągnął go w bok od szlaku. Nancy nalegała, aby profesor na terenie parku wziął go na smycz, a Kawtch wyraźnie nie był z tego powodu zadowolony – zwłaszcza kiedy się zatrzymali. Węszył, prawdopodobnie wciąż szukając tamtego zajęcia.

– Sprawdzamy alternatywną hipotezę w związku ze zniknięciem Anasazi – rzekł Hank. – Mamy poszlaki świadczące o tym, że erupcja tego wulkanu mogła być przyczyną...

Westchnęła, mierząc Hanka ciężkim spojrzeniem.

– Profesorze Kanosh, znam pańską reputację, więc byłam gotowa uwierzyć panu na słowo, ale słyszałam już wszystkie, nawet najbardziej idiotyczne teorie o Anasazi. Zmiany klimatyczne, wojna, zaraza, nawet porwanie przez kosmitów. Zgadza się, mieszkali tu Anasazi, ci z Winslow i z Kayenta, ale byli tu też Sinagua, Cohonina i inne starożytne plemiona Indian Pueblo. Do czego pan zmierza?

Jej lekceważenie nie wytrąciło Hanka z równowagi. Jako Indianin praktykujący mormonizm musiał być przyzwyczajony do kpin.

– Owszem, wiem o tym, młoda damo. – W jego głosie zabrzmiał ostry profesorski ton, jak gdyby próbował zastraszyć kobietę. – Nieźle się orientuję w historii naszego ludu. Dlatego proszę nie zbywać tego, co mówię, jakby to były urojenia zamrozonego pejotlem umysłu. Anasazi naprawdę zniknęli z tych okolic nagle i niespodziewanie. Ich domy pozostały puste, jak gdyby ludzie bali się do nich wprowadzić. Z tym plemieniem coś się stało, co zaczęło się tutaj i rozszerzyło dalej, a my być może jesteśmy na tropie odpowiedzi, która może zmienić historię.

Painter nie przerywał tej utarczki. Twarz Nancy oblała się rumieńcem – chyba bardziej ze wstydu niż złości. Painter na tyle znał z doświadczenia indiańskie wychowanie, by wiedzieć, że nie wypada odzywać się ostro do starszych, nawet z innego plemienia czy klanu.

Wreszcie Nancy wzruszyła ramionami.

– Przepraszam. Nie rozumiem, jak miałabym wam pomóc. Jeżeli szukacie więcej informacji o Anasazi, może powinniście się raczej rozejrzeć w Wupatki, a nie tutaj.

– Wupatki? – zainteresował się Painter. – Gdzie to jest?

– Trzydzieści kilometrów na północ. To sąsiedni pomnik narodowy.

– Wupatki to ruiny wielkiego puebla i relikty dawnej kultury Indian zajmujące kilkanaście tysięcy hektarów – objaśnił Hank. – Główną atrakcją jest trzypiętrowa budowla, w której znajduje się ponad sto pomieszczeń. Od niej pomnik wziął nazwę. *Wupatki* w języku hopi oznacza wysoki dom.

– My, Nawaho, wciąż nazywamy go *Anaasazi Bikin* – dodała Nancy.

– Czyli dom wrogów – przetłumaczył Hank, spoglądając znacząco na Paintera. – Archeolodzy uważają, że była to jedna z twierdz Anasazi, zanim zniknęli z tych terenów.

Painter patrzył na mieniący się w słońcu stożek. Według opowieści dziadka Jordana przyczyną wybuchu wulkanu była kradzież popełniona przez klan Anasazi, który nieumiejętnie obszedł się ze skarbem, co bardzo przypominało zdarzenie, do którego ostatnio doszło w Górach Skalistych w Utah. Przyglądał się masywnemu stożkowi. Czy kiedyś stała tu wielka osada?

I została zniszczona, pogrzebana pod lawą i popiołami? Co się stało z ocalałymi? Odnaleziono ich i zamordowano? Painter przypomniał sobie jedno słowo, którym opisał to Hank.

Ludobójstwo.

Może rzeczywiście szukali w niewłaściwym miejscu.

Painter sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął kartkę, którą dostał od Jordana Appawory. Dziadek chłopaka twierdził, że zaprowadzi ich tam, gdzie trzeba. Rozłożył kartkę i pokazał strażnicze dwa symbole.

– Te znaki mogą mieć związek z tym, czego poszukujemy. Widziała je pani kiedyś?

Pochyliła się i z powątpiewaniem zerknęła na kartkę. Kiedy jednak zobaczyła szkic półksiężycy i pięcioramiennej gwiazdy, otworzyła szeroko oczy. Spojrzała na Paintera.

– Tak – odrzekła. – Znam te symbole. I wiem, gdzie je pan znajdzie.

12.23

Płaskowyż San Rafael

Kai mknęła za Jordanem przez Buckhorn Wash. Jechał czarnym quadem, ona goniła go białym. Pochylała się nad kierownicą, skręcając gwałtownie w lewo i w prawo, szukając okazji, żeby go wyprzedzić, i mając usta pełne kurzu. Ryk obu silników odbijał się echem od skalnych ścian po obu stronach, gdy pędzili po dnie wąwozu dawnym szlakiem dla pojazdów terenowych.

Na pięciu tysiącach kilometrów kwadratowych dostępnego publicznie terenu płaskowyżu nie obowiązywały prawie żadne zakazy korzystania z quadów. Przez wiele lat entuzjaści tego środka transportu wryli tu sieć szlaków długości wieluset kilometrów. Kai w głębi duszy buntowała się przeciwko takiemu niszczeniu ziemi, zwłaszcza jako Indianka.

Ale była młoda i potrzebowała ucieczki od rzeczywistości.

Gdy wysłała e-mail do Johna Hawkesa, kilka razy sprawdzała, czy odpisał. Pół godziny później, nie doczekawszy się odpowiedzi, uznała, że nie może dłużej siedzieć sama w ciemnej izbie. Musiała się orzeźwić świeżym powietrzem. Jordan wciąż siedział na werandzie. Z konspiracyjnym błyskiem w oczach pokazał jej, co odkrył w szopie za jedną z chat. Iris i Alvin niechętnie dali im kluczyki do quadów z surowym nakazem, aby trzymali się ubitych dróg.

Posłusznie go wypełniali przez mniej więcej dwadzieścia minut, dopóki oboje nie poczuli się na tyle pewnie, by podjąć większe wyzwanie.

Jordan wydał bojowy okrzyk, wykonując ostry skręt i ocierając się o piarg sypkiego żwiru. Kiedy wyszedł z zakrętu, quadem zarzuciło. Kai wyszczerzyła zęby w uśmiechu, skuliła się i dodała gazu. Śmignęła obok niego na tyle blisko, by pokazać mu środkowy palec, a tymczasem Jordan usiłował nie spaść z siodełka.

Roześmiał się i wrzasnął do niej:

– To jeszcze nie koniec!

Z uśmiechem pomknęła szlakiem, podskakując na mniejszych kamieniach i przez moment szybując w powietrzu, gdy pokonywała niewielki dół. Wylądowała na czterech kołach, aż zgrzytnęły jej zęby. Mimo to nie przestawała się uśmiechać.

W końcu wąż się skończył i górski szlak połączył się z bitą drogą. Kai zahamowała i zatrzymała quada.

Sekundę później pojawił się Jordan i umiejętnie wykonując poślizg, ustawił się obok niej. Na widok skomplikowanego manewru zaczęła się zastanawiać, czy podczas wyścigu nie dawał jej forów.

Ale kiedy zdjął kask i gogle, w jego oczach ujrzała taką samą radość i zachwyt jak u siebie. Pół twarzy pokrywał mu kurz, więc wyglądał jak szop.

Pewnie sama nie wyglądała lepiej.

Sięgnął po butelkę wody, przechylił sobie nad głową, aby zmyć najgorszy brud, po czym pociągnął kilka potężnych łyków. Patrzyła, jak podskakuje mu grdyka. Potrząsnął włosami i rozjaśnił twarz w uśmiechu, od którego gorący dzień jeszcze bardziej się ocieplił.

– Ścigamy się do dwóch wygranych? – zapytał, wskazując następny szlak.

Roześmiała się i nieco zawstydzona musiała się odwrócić.

Mimo to wcale nie czuła się nieswojo.

– Może lepiej wracajmy – powiedziała, wyciągając telefon, żeby sprawdzić godzinę. – Wyjechaliśmy dwie godziny temu.

Nie zdawała sobie sprawy, że to tak długo. Straciła poczucie czasu, gdy gnali przez płaskowyż, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby popatrzeć na jakieś petroglify albo zajrzeć do jednej ze starych kopalni, którymi usiany był kanion.

Jordan wyglądał na nieco zawiedzionego, ale zgodził się z nią.

– Chyba masz rację. Jeżeli nie będzie nas jeszcze dłużej, Iris i Alvin wyślą kogoś na poszukiwania. Poza tym zjadłbym jakiś lunch... pod warunkiem że to nie będą prażone orzeszki piniowe.

– *Toovuts* – przypomniała mu.

Z uznaniem kiwnął głową.

– Doskonale, panno Quocheets. Zwracasz się do mnie w mowie Pajutów? – Huknął się pięścią w pierś. – To zaszczyt dla wojownika.

Udała, że chce go uderzyć kaskiem.

Zrobił unik.

– Dobrze, poddaję się! – krzyknął, szczerząc zęby. – Wracamy.

Drogę powrotną pokonywali w znacznie spokojniejszym tempie, trzymając się trasy i nie spiesząc się, by wykorzystać do końca ostatnie chwile razem. W końcu dotarli do kręgu małych puebli. Cicho podjechali do szopy, zaparkowali quady i zsiadli.

Kiedy Kai zrobiła krok, odrobinę zachwiała się na nogach, które wciąż drżały po jeździe. Jordan złapał ją za ramię, o wiele za mocno zaciskając palce. Odwróciła się, żeby strząsnąć z siebie jego rękę, ale w jego twarzy zobaczyła napięcie.

Odciągnął ją z powrotem w cień szopy.

– Coś tu jest nie tak – szepnął, pokazując ręką. – Popatrz na świeże ślady opon.

Dopiero teraz zauważyła liczne koleiny w drobnym pyłe. Ale gdzie są samochody? Nagle zwróciła uwagę na panującą w osadzie ciszę, jak gdyby wszyscy wstrzymywali oddech.

– Musimy stąd szybko... – zaczął Jordan.

Zanim jednak zdążyli zrobić krok, ujrzeni mężczyźni w pustynnych mundurach polowych, wynurzających się zza puebli na przeciwnym końcu osady i formujących tyralierę. Kai serce podskoczyło do gardła. Wiedziała już, że to ona ponosi winę za ten atak, wiedziała, jak wróg ich odnalazł.

Mój e-mail...

Jordan pociągnął ją za szopę, ale niemal zderzył się z potężnym blondynem ubranym w maskujący strój khaki. Mężczyzna zamachnął się karabinem i kolbą mocno uderzył Jordana w twarz.

Chłopak osunął się na kolana, krzycząc bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

– Jordan!

Napastnik odwrócił się i wycelował karabin w Kai. Zachowując upiorny spokój, odezwał się szorstkim głosem:

– Chodź ze mną. Ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

11.33

Flagstaff, stan Arizona

Stojąc u stóp wyniosłej budowli, Hank Kanosh zrozumiał, skąd się wzięła jej nazwa. Wupatki. To z pewnością był „wysoki dom”.

Ruiny starożytnego puebla wznosiły się na trzy piętra. Zbudowano je z płaskich, spojonych ze sobą płyt czerwonego piaskowca z formacji Moenkopi, który wydobywano w okolicy. Niezwykły cud dawnej sztuki budownictwa składał się ze stu pomieszczeń. Część puebla obejmowała także pozostałości kamiennego boiska i ogromną kolistą salę wspólną.

Zastanawiał się, jak to kiedyś musiało wyglądać. W wyobraźni położył strzechy i belkowania. Odbudował ściany. W sąsiednich wąwozach zasadził kukurydzę, fasolę i kabaczki. Następnie zaludnił pueblo Indianami z różnych plemion: Sinagua, Cohonina i oczywiście Anasazi. Plemiona podobno żyły ze sobą we względnym pokoju.

Stojąc przy ruinach z Kawtchem u boku, Hank miał przed oczami widok, który niewiele się zmienił od czasów starożytnych. Wupatki wzniesiono na niewielkiej wyżynie wychodzącej na rozległą przestrzeń, która ukazywała ogrom szerokiego płaskowyżu obejmującego obszary pustynne, piękną, jaskrawą Pustynię Pstrą na wschodzie i krętą zieloną nić Małego Kolorado.

Niezwykle malownicze miejsce.

Mimo to oglądając pokryte pyłem ruiny, nie mógł się pozbyć ponurego nastroju. Dlaczego ci starożytni ludzie stąd odeszli? Zostali wypędzeni i wymordowani? Wyobraził sobie krew chlustającą na czerwone skały, słyszał krzyk dzieci i kobiet. Nie mógł tego dłużej wytrzymać. Odwrócił się.

U stóp ruin Painter i jego partner spacerowali w pobliżu amfiteatru osady. Cała grupa prowadzona przez Nancy Tso pokonała niewielką odległość od pomnika narodowego Sunset Crater, ale wciąż czekali, aby strażniczka dostała pozwolenie na wejście na tereny chronione. Obowiązywał zakaz schodzenia z publicznie dostępnych szlaków w parku bez przewodnika. Bardziej odległe ruiny i relikty, których było blisko trzy tysiące, uważano za zbyt nieodporne, podobnie jak ekosystem pustyni, aby można je było zwiedzać.

Gdy Nancy wreszcie uzyska zgodę, ma ich sama zaprowadzić do miejsca, gdzie widziała symbole, które pokazał jej Painter, znak *Tawtsee’untsaw Pootseev*, Ludzi Porannej Gwiazdy. Namysł o nich Hank czuł, jak przyspiesza mu puls. Czy to możliwe, że byli jednym z zaginionych plemion Izraelitów, o którym mówiła Księga Mormona?

Mając już dość badania na własną rękę, zniecierpliwiony szedł do pozostałych, ciągnąc na smyczy nadąsanego Kawtcha. Zauważył Nancy Tso, która zmierzała w tę samą stronę z centrum dla zwiedzających.

Dotarł na miejsce pierwszy i zobaczył, jak Kowalski zabawia się jednym z charakterystycznych elementów puebla. Stał przed czymś, co wyglądało na wysokie palenisko, niedawno zbudowane ze spojonego zaprawą kamienia. Ale kwadratowy otwór pośrodku nie służył do rozpalaenia w nim ognia.

Zwalisty mężczyzna nachylał się nad otworem. Musiał przytrzymywać kupionego na tę

wyprawę stetsona, by nie zdmuchnął mu go z głowy silny wiatr z kanału.

– Chłodny – westchnął Kowalski. – Jak z klimatyzatora.

Painter stanął przy tabliczce informacyjnej.

– To kanał termiczny.

Hank skinął głową.

– Otwór układu oddechowego jaskini. Działa w zależności od ciśnienia atmosferycznego. Kiedy jest gorąco tak jak dzisiaj, wypuszcza uwięzione na dole zimne powietrze. Z kolei zimą, gdy jest chłodno, wciąga powietrze. Może tu wiać z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Archeolodzy uważają, że to jeden z powodów założenia tu puebla. Kanały termiczne, które uważano za otwory prowadzące do świata cieni, były święte dla starożytnych i jak wspominałeś, nie ma w tym nic złego, że latem działają jak naturalna klimatyzacja.

Painter czytał z tabliczki informacyjnej.

– Piszą tu, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim podczas wykopalisk odkryto tu wyroby garncarskie, narzędzia z piaskowca, a nawet petroglify.

Hank rozumiał zainteresowanie Paintera. W drodze do parku Nancy Tso powiedziała im, gdzie widziała półksiężyc i gwiazdę narysowane przez dziadka Jordana. Znalazły się na petroglifach odkrytych w głębi pustyni, niedaleko jednej z wielu ruin puebla.

– Piszą tu jeszcze – ciągnął Painter – że nigdy nie określono rozmiarów, głębokości i złożoności systemu jaskiń.

– To niekoniecznie prawda – włączyła się Nancy Tso. Pokonała ostatni odcinek drogi i stanęła obok nich, zauważając, co przyciągnęło ich uwagę. – Wyniki ostatnich badań opublikowane kilka lat temu sugerują, że system wapiennych jaskiń pod płaskowyżem może mieć objętość dwustu milionów metrów sześciennych i ciągnie się kilometrami.

Painter przyglądał się wylotowi kanału. Otwór był zabezpieczony zamkniętą na klucz kratą.

– Czyli jeżeli ktoś chciałby coś ukryć przez wzrokiem ciekawskich...

Nancy westchnęła.

– Proszę znowu nie zaczynać. Zgodziłam się pokazać wam, gdzie widziałam te symbole. Nie zamierzam zrobić nic więcej. Potem wszyscy się stąd zabieracie. – Zerknęła na zegarek. – Park zamykają o piętej. Zamierzam wyjść do tej godziny.

– A więc ma pani pozwolenie, żebyśmy zbadali teren? – spytał Hank.

Uderzyła się w udo plikiem formularzy.

– To dobre dwie godziny drogi.

Kowalski wyprostował się i mocniej wcisnął stetson na głowę.

– Dlaczego nie można wziąć pani jeepa? Przecież ma napęd na cztery koła, nie? Bylibyśmy na miejscu za dziesięć minut, może nawet szybciej, gdybym sam siadł za kółkiem.

Wyraźnie zaszokowała ją ta propozycja.

Painter też wyglądał na zbulwersowanego, choć Hank przypuszczał, że z zupełnie innego powodu. Jego partner nie bardzo zważał na ograniczenia prędkości ani w ogóle na powszechnie przyjętą uprzejmość na drodze.

– Na początek wyjaśnijmy sobie parę zasad – powiedziała Nancy i uniosła palec. – Zasada numer jeden. Zero śladów. To oznacza, że wszystko, co tu wnosicie, musicie wynieść. Zorganizowałam już plecaki i wodę. Wszystko jest zinwentaryzowane i zostanie sprawdzone po naszym powrocie. Zrozumiano?

Skinęli głowami. Kowalski nachylił się i szepnął Painterowi do ucha:

– Kiedy się wścieka, jest jeszcze słodsza.

Na szczęście Nancy tego nie słyszała, a przynajmniej udawała, że nie słyszy.

– Po drugie, idziemy ostrożnie. Czyli żadnych kijków do trekkingu. Udowodniono, że są zbyt szkodliwe dla ekosystemu pustyni. I trzecia zasada: zakaz używania GPS. Służba parku nie chce, żeby nieoznakowane ruiny zostały zlokalizowane elektronicznie. Czy to jasne?

Wszyscy znów przytaknęli. Kowalski tylko się uśmiechnął.

– No to ruszajmy.

– Dokąd idziemy? – zapytał Painter.

– Do położonego dalej puebla nazywanego Rysą w Skale.

– Dlaczego tak się nazywa? – zaciekał się Kowalski.

– Zobaczycie.

Zaprowadziła ich do miejsca, gdzie zgromadzono ich sprzęt. Hank nałożył plecak, który był wyposażony w camelbak – specjalny bukłak z wodą – oraz zapas batoników energetycznych i bananów.

Gdy wszyscy byli gotowi, Nancy ruszyła w głąb pustyni, maszerując w ostrym tempie – widocznie chciała uszczknąć jeszcze kilka minut z przewidywanych dwóch godzin. To z pewnością nie była wycieczka krajoznawcza. Maszerowali za nią gęsiego, mijając pola porośnięte bylicą przęśłą łobodą i książęcym piórem. Spod nóg pierzchały im jaszczurki. Zające skakały długimi susami. W pewnym momencie Hank usłyszał ostrzegawczy odgłos ukrytego grzechotnika diamentowego i przyciągnął bliżej Kawtcha. Jego pies znał węże, ale Hank nie zamierzał ryzykować.

Mijali także inne relikty: zawalone płyty piaskowca w miejscu, gdzie było mniejsze pueblo, kamienny krąg pozostały po prehistorycznej ziemiance, od czasu do czasu lepianki Indian Nawaho albo szałas potu. Ale ich cel – wyniosłe płaskowzgórze – był jeszcze niewyraźnym punkcikiem na horyzoncie.

Żeby czas mijał szybciej i by nie myśleć o palącym słońcu, Hank zaczął iść obok Paintera.

– Półksiężyc i gwiazda – powiedział. – Ciągłe myślę o tym symbolu i nazwie plemienia. *Tawtsee'untsaw Pootseev*.

– Ludzie Porannej Gwiazdy.

Hank skinął głową.

– Poranna gwiazda, którą widać o świcie na wschodzie, to w rzeczywistości Wenus. Ale Wenus nazywa się też gwiazdą wieczorną, bo o zmierzchu jasno świeci na zachodzie. Ten związek odkryło wielu starożytnych astrologów. Dlatego z zaranną gwiazdą często kojarzy się półksiężyc. – Zatoczył ręką szeroki łuk od wschodu do zachodu. – Rogi księżyca symbolizują wschód gwiazdy na wschodzie i na zachodzie, łącząc ze sobą te punkty.

– Zgoda, ale do czego zmierzasz?

– Księżyc razem z gwiazdą to starożytny symbol, jeden z najstarszych na świecie. Odwołuje się do wiedzy człowieka o jego miejscu we wszechświecie. Niektórzy historycy religii sądzą, że Gwiazda Betlejemska to w istocie była poranna gwiazda.

Painter wzruszył ramionami.

– Ten sam symbol jest też na flagach większości państw muzułmańskich.

– To prawda, ale nawet islamscy uczeni powiedzą ci, że symbol nie ma nic wspólnego z ich wiarą. Został przejęty od Turków. – Hank lekceważąco machnął ręką. – Ale jego historia sięga znacznie dalej. Jedno z najwcześniejszych świadectw użycia półksiężyca z gwiazdą pochodzi z ziem starożytnego Izraela. Używali go Moabici, według Księgi Rodzaju spokrewnieni z Izraelitami, lecz mieli też związki z Egipcjanami.

Painter uniósł rękę, powstrzymując go przed omawianiem dalszych szczegółów.

– Już rozumiem. Symbol być może wspiera twoją teorię, że ten starożytny lud pochodzi z Izraela.

– No tak, ale...

Painter wskazał na horyzont w kierunku dalekiego wzniesienia.

– Jeżeli da się znaleźć jakąś odpowiedź, to miejmy nadzieję, że tam.

12.46

Płaskowyż San Rafael

Co ja narobiłam?

Kai zmartwiła z szoku stała pośrodku głównej izby domu rodziny Humetewa. Iris siedziała na krześle przy palenisku. W blasku płomieni lśniły łzy na jej policzkach, ale staruszka zachowywała kamienną twarz. Patrząc na męża, zaciskała palce na poręczach krzesła. Alvin leżał na wznak na sosnowym stole, rozebrany do bokserów. Jego szczupła klatka piersiowa unosiła się i opadała w zdecydowanie zbyt szybkim rytmie. Żebra znaczyły czerwone pręgi pokryte pęcherzami. Izbę wypełniał zapach palonego ciała.

Ogień podsycala mocno zbudowana czarna kobieta uzbrojona w pogrzebacz. Drugi leżał w płomieniach. Jego czubek miał taki sam kształt jak pęcherze na ciele Alvina. Gdy wciągnięto do izby Kai, czarnoskóra kobieta nawet nie podniosła wzroku.

Potężny jasnowłosy żołnierz, który ich złapał, rzucił Jordana na podłogę w kącie. Mając ręce skrępowane na plecach, chłopak nie mógł się ochronić przed upadkiem, ale na tyle skręcił ciało, że uderzył w podłogę ramieniem, opierając się o ścianę.

Druga obecna w izbie osoba siedziała u szczytu stołu. Mężczyzna wstał, wspierając się na lasce. Kai pomyślała, że to starszy człowiek – może z powodu laski, ultraklasycznego garnituru albo wyraźnie wątlej sylwetki. Kiedy jednak zaczął ciężko kroczyć wokół stołu, zobaczyła, że ma gładką, czystą twarz z cieniem czarnego zarostu, wypiełgnowanego równie starannie jak nienagannie ułożone ciemne włosy. Mógł mieć nie więcej niż trzydzieści kilka lat.

– Ach, jest pani, panno Quocheets. Nazywam się Rafael Saint Germaine. – Zerknął na zegarek. – Spodziewaliśmy się pani wcześniej, dlatego zaczęliśmy bez pani.

Mężczyzna machnął laską nad ciałem Alvina. Staruszek wzdrygnął się, od czego serce Kai ścisnęło się jeszcze bardziej.

– Próbowaliśmy ustalić miejsce pobytu pani wuja, lecz Alvin i Iris wykazali wyjątkową niechęć do współpracy... nawet mimo delikatnych zabiegów mojej drogiej Ashandy.

Kobieta przy ogniu uniosła głowę.

Na widok jej twarzy Kai poczuła, jak gdyby jej żołądek objęła zimna, oślizgła ręka. Kobieta poza nieprzeciętnym wzrostem niczym szczególnym się nie wyróżniała, ale gdy w blasku ognia błysnęły jej oczy, Kai zauważyła, że są bezdennie puste i patrzy się w nie jak w lustro.

Jej uwagę przyciągnął stuk laski o podłogę.

– Wracajmy do rzeczy. – Mężczyzna przedstawiający się jako Rafael dał znak oprawczyni, by wyciągnęła rozpalony pogrzebacz z ognia. – Wciąż nie znamy odpowiedzi.

Kai chwiejnym krokiem podeszła do stołu.

– Nie! – wyrzuciła z siebie. Zabrzmiało to jak urwany w pół szloch. – Nie wiedzą, dokąd pojechał mój wuj!

Rafael uniósł brwi.

- Tak też twierdzą państwo Humetewa, ale jak mogę im wierzyć?
- Błagam... wuj nic im nie powiedział. Nie chciał, żeby wiedzieli. Tylko ja wiem.
- Nie mów im – wychrypiała Iris głosem, w którym brzmiały złość i udręka.

Rafael wbił wzrok w belkowanie pod dachem i westchnął.

- Cóż za melodramat.

Kai, nie zwracając uwagi na Iris, nie spuszczała oczu z mężczyzny z laską.

- Powiem wam. Powiem wam wszystko. – Odzyskała głos. – Ale najpierw ich wypuscicie... wszystkich. Kiedy bezpiecznie stąd odjadą, powiem wam, dokąd pojechał wuj.

Rafael rozważał propozycję.

- Nie wątpię, że jest pani szczerą i prostolinijną osobą, panno Quocheets, obawiam się jednak, że nie mogę ryzykować. – Dał znak czarnej kobiecie, by podeszła do Alvina. – Usta mają tę własność, że bez przyłożenia odpowiedniej siły ciężko się otwierają. To podstawy fizyki, akcja i reakcja.

Pogrzebacz zawisł nad policzkiem Alvina. Żelazny koniec jarzył się czerwono i dymił z cichym sykiem.

Rafael oparł obie dłonie na lasce.

- To piętno będzie mu znacznie trudniej ukryć. Oczywiście, jeśli przeżyje.

Kai musiała to zatrzymać. Miała tylko jedno wyjście. Żeby zyskać na czasie i powstrzymać ich od torturowania Alvina, musiała im powiedzieć prawdę.

Otworzyła usta, ale pierwszy odezwał się Jordan.

- Weźcie mnie! – zawołał z podłogi. – Możecie użyć mnie, jeżeli chcecie przekonać Kai do współpracy. Ale proszę, wypuscicie Alvina i Iris.

Kai uczepliła się tej szansy.

- On ma rację. Posłuchajcie go, a będę mówić.

– Moja droga, będziesz mówić bez względu na to, czy wypuscimy Iris i Alvina, czy nie.

- Ale to dłużej potrwa – nie ustępowała Kai. – Może za długo.

Odwróciła się i spojrzała w oczy Iris, próbując zaczerpnąć sił od staruszki. Gdyby było trzeba, Kai była gotowa się opierać jak najdłużej, zrobić wszystko, aby przekonać prześladowców, że torturując Alvina i Iris, tracą tylko cenny czas i że znacznie szybciej uzyskaliby to, czego pragną, wypuszczając staruszków.

Odwróciła się do Rafaela, żeby zobaczyć w jej oczach tę determinację. Wytrzymała jego wzrok bez drgnienia powieki.

Po kilku długich chwilach Rafael wzruszył ramionami.

- Pani argumenty trafiają mi do przekonania, panno Quocheets. – Wycelował laskę w jasnowłosego żołnierza. – Zabierz tych Humetewa, wsadź na quada i niech jadą do kanionów.

- Chcę to widzieć – oświadczyła Kai. – Żebym wiedziała, że są bezpieczni.

- Nie wyobrażam sobie, by było inaczej.

Już po kilku minutach Iris i Alvin siedzieli na białym quadzie. Alvin po torturach był za słaby, żeby prowadzić, więc zajął miejsce za żoną. Iris skinęła Kai głową, dziękując jej tym gestem i ostrzegając, by uważała.

Kai też kiwnęła głową, przekazując Iris tę samą wiadomość.

Dziękuję... i uważajcie.

Iris dodała gazu i ruszyła. Pojazd skierował się do kanionu i szybko zniknął za zakrętem.

Kai nadal stała przed pueblem. Patrzyła na oddalający się obłok kurzu, który odpływał w głąb skalnego pustkowia.

Rafael stanął w cieniu na werandzie.

– Sądzę, że to powinno panią usatysfakcjonować.

Kai odwróciła się i wydała przeciągłe westchnienie. Popatrzyła na mężczyznę i ciemny cień kobiety, która czaiła się za jego plecami. Za każde kłamstwo Kai czekałaby kara, a najbardziej odczułby ją Jordan. Gdyby jednak zdecydowała się współpracować, wiedziała, że prześladowcy pozostawią ich przy życiu.

I wykorzystają, by wyrzucić nacisk na Paintera.

Tak jak powiedział ten drań o lasce, to były podstawy fizyki.

– Mój wuj poleciał do Flagstaff – przyznała w końcu. – Zamierzali jechać do parku Sunset Crater.

Szybko wyjawiała mu cel ich wyjazdu, aby go przekonać, że mówi prawdę.

Kiedy skończyła, na twarzy Rafaela odmalował się niepokój.

– Zdaje się, że wiedzą znacznie więcej, niż się spodziewałem... – Ale szybko się otrząsnął. – Nieważne. Zajmiemy się tym.

Wsparł się na lasce i odwrócił w stronę otwartych drzwi.

– Bern, daj znać przez radio snajperowi – powiedział do blondyna. – Powiedz mu, żeby strzelił i wszedł do helikoptera.

Snajperowi?

Kai zrobiła dwa kroki w stronę werandy.

Iris i Alvin.

Rafael odwrócił się do niej.

– Powiedziałem, że pozwolę im odjechać – wyjaśnił. – Nie mówiłem tylko, jak daleko.

Z oddali dobiegł trzask karabinu.

A chwilę potem padł drugi strzał.

13.44

Flagstaff, stan Arizona

Painter patrzył na szczyt płaskowzgórza. Pociągnął spory łyk z rurki podłączonej do bukłaka z wodą. Po dwóch godzinach marszu w spiekocie zaczął wierzyć, że nigdy nie dotrą do wzniesienia, które będzie się ciągle oddalać jak pustynna fatamorgana.

Ale byli na miejscu.

– Co teraz? – spytał Kowalski, wachlując twarz kapeluszem. Zmienił się w chodzącą plamę potu.

– Pueblo jest na górze – odparła Nancy.

Kowalski jęknął.

Painter wyciągał szyję, ale nie widział żadnej drogi prowadzącej w górę.

– Tam – pokazała przewodniczka i obeszła podstawę wzniesienia do miejsca, gdzie zaczynał się szlak przysypany warstwą skalnych okruchów.

Kiedy ruszyli za nią, Painter zauważył, że duże połacie skalnych ścian pokrywają rysunki przedstawiające węże, jaszczurki, jelenie, owce, fantazyjne postacie ludzkie i figury geometryczne przeróżnych kształtów. Wyglądało na to, że są tu dwa rodzaje petroglifów. Większa część z nich powstała w ten sposób, że odłupano lub zdrapano ciemniejszy „pustynny lakier” na kamiennej powierzchni, a pod spodem ukazała się jaśniejsza warstwa. Drugi typ wykonano, borując w miękkim piaskowcu setki maleńkich otworów, które układały się w zarysy

postaci lub słoneczne kręgi.

Painter, który szedł za Hankiem, dostrzegł, że profesor przygląda się tym samym rysunkom, szukając prawdopodobnie gwiazdy i półksiężycy swoich zaginionych Izraelitów.

W końcu wspiąwszy się na pewną wysokość, dotarli do nierównej rynny w skalnej ścianie, której pueblo Crack-in-the-Rock, Rysa w Skale, zawdzięczało swoją nazwę. Szczelina była wąska, ale deszcz i wiatr wygładziły brzegi piaskowca.

– Stąd już niedaleko – obiecała Nancy.

Poszła przodem, wślizgując się do rynny i wspinając po kamienistej ścieżce. Gdy szczelina rozwidliła się bliżej szczytu wzniesienia, Kowalski zaklął pod nosem. Kilka razy musiał się przeciskać bokiem, omijając głazy, które częściowo tarasowały im drogę.

Wreszcie dotarli na szczyt, wychodząc z rynny wprost do ruin pomieszczenia dawnego puebla. Opuścili je i stanęli na otwartym terenie. Ruiny nie wyglądały tak imponująco jak w Wupatki, ale widok robił wrażenie. Płaskowzgórze wychodziło na rzekę Małe Kolorado i roztaczała się stąd panorama okolicy sięgająca setek kilometrów we wszystkich kierunkach.

– Według jednej z teorii – powiedziała Nancy, przybierając ton przewodniczki – był tu obronny bastion. Patrząc na frontową ścianę wzdłuż krawędzi wzgórza, można zobaczyć niewielkie otwory nachylone pod kątem, być może przeznaczone do strzelania z łuków, ale inni przypuszczali, że to mogło być starożytne obserwatorium szamanów, zwłaszcza że niektóre z otworów są skierowane w górę.

Nie pokonali jednak tej długiej drogi, aby słuchać podobnych teorii.

– A te petroglify, o których pani wspominała? – zapytał Painter, trzymając się tematu. – Gdzie są?

– Proszę za mną. Zwykle nikogo tędy nie prowadzimy. To niebezpieczna droga, stroma i pełna śliskich kamieni. Wystarczy jeden fałszywy krok, żeby zjechać i się zabić.

– Proszę pokazać – odrzekł niezrażony Painter.

Nancy skierowała się w stronę rumowiska skalnych odłamków, gdzie dawno temu zawaliła się ściana. Musieli je pokonać, by dotrzeć do następnej rynny. Tym razem biegła w dół. Kamieniste podłoże rzeczywiście było zdradliwe. Buty Paintera ślizgały się na skalnych okruchach. Żeby nie stracić równowagi, musiał się zapierać rękami o boczne ściany szczeliny. Na domiar złego pies Hanka biegał między nimi ze zwinnością kozicy, od czasu do czasu przystając, by zostawić swój ślad na kamieniu czy rachitycznym krzaczku.

– Kawtch! – krzyknął Hank. – Przysięgam, że jeżeli jeszcze raz na mnie wpadniesz...

Nancy zgodziła się, by Hank spuścił psa ze smyczy, ale tylko na płaskowzgórzu. Wszyscy wyraźnie żalowali teraz tej decyzji – z wyjątkiem Kawtcha, który znów uniósł nogę, po czym zniknął w dole.

Druga szczelina była węższa i dłuższa od rynny, którą się wspięli. Choć poruszali się bardzo ostrożnie, pokonanie jej zabrało trochę czasu, ale w końcu dotarli do końca. Zamiast wyjść na otwarty teren, znaleźli się na dnie głębokiej rozpadliny o wysokich ścianach, skąd widzieli niebo, ale nie dostrzegali żadnego wyjścia.

Hank rozejrzał się, otwierając w zdumieniu usta.

– Niewiarygodne.

Painter musiał mu przyznać rację. Każdy centymetr kwadratowy ścian z obu stron pokrywały petroglify. Widok takiego ich nagromadzenia przyprawiał o zawrót głowy.

Ale ich przewodniczka, która już je widziała, wydawała się bardziej zniecierpliwiona niż zachwycona.

– To, co chcieliście zobaczyć, jest tu – powiedziała Nancy i zaprowadziła ich do gładkiej części skalnego dna. – Między innymi dlatego nikogo tu nie wpuszczamy. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie chodzili po tym dziele sztuki.

Zamiast wyryć rysunki w ścianie, prehistoryczny artysta wykorzystał inne podłoże – dno rozpadliny.

Znów ujrzeli nieokiełznany przepych prehistorycznej sztuki, lecz pośrodku, otoczony jedną z wszechobecnych spiral, widniał wyraźny półksiężyc i pięcioramienna gwiazda. Nie było co do tego wątpliwości. Wzór był identyczny ze szkicem dziadka Jordana.

Painter uniósł stopę gotów wejść na dawne dzieło sztuki. Spojrzał na Nancy, która niepewnie skinęła głową.

– Tylko ostrożnie, proszę.

Painter wkroczył na rysunki. Hank ruszył za nim z Kawtchem, ale Kowalski został z Nancy, dając jasno do zrozumienia, co go naprawdę interesuje. Painter doszedł do rysunku i ukląkł. Hank przyjął tę samą pozycję po drugiej stronie i wspólnie przyjrzeni się petroglifowi.

Razem ze spiralą obramowania dzieło miało prawie metr szerokości. Starożytny artysta użył obydwu technik, które wcześniej zaobserwowali. Księżyc i gwiazda zostały wyryte w kamieniu, a spirala składała się z tysięcy wywierconych otworków wielkości czubka małego palca.

Kawtch obwąchał powierzchnię – z początku ciekawie, ale po chwili zjeżył sierść na karku i cofnął się, kichając z widocznym rozdrażnieniem.

Hank i Painter spojrzeli po sobie. Painter pochylił się pierwszy, przykładając nos do rysunku. Hank zrobił to samo.

– Czujesz coś? – zapytał Painter.

– Nie – odparł profesor, lecz jego głos nadal drgał z emocji.

Nagle Painter poczuł – leciutkie muśnięcie na policzku jak najłżejszy pocałunek. Wyprostował się i wyciągnął rękę, zatrzymując ją nad małymi otworami petroglifu.

– Czujesz to, prawda? – spytał.

– Lekki podmuch – rzekł Hank. – Z dołu, przez dziury wywiercone w spirali.

– Tam musi być kanał termiczny. Taki jak w Wupatki.

Painter pochylił się i delikatnie przetarł dłonią powierzchnię rysunku. Drobinę skalnego pyłu wzbiły się w powietrze, przesuwając się nad otworami, ale nie o to mu chodziło. Oczyszczał petroglif z innego powodu.

Przeciagnął opuszkami palców po krawędzi rysunku, a potem ujął dłoń profesora, każąc mu zrobić to samo.

– Zobacz – powiedział i przesunął palec Hanka po linii łączenia biegnącej wokół petroglifu.

W głosie profesora zabrzmiało zdumienie.

– To zostało przymurowane.

Painter przytaknął.

– Ktoś szczelnie przykrył kanał termiczny płytą piaskowca jak studzienkę kanału ściekowego.

– Ale zostawił otwory, żeby jaskinie mogły oddychać.

Painter spojrział Hankowi w oczy.

– Musimy tam zejść.

31 maja, 16.50 Waszyngton

Ten dzień się nigdy nie skończy.

Gray szedł przez park National Mall w cieniu pomnika Waszyngtona, spoglądając wściekle na słońce. Uparło się, że nie zajdzie. Mimo że lot z Reykjavíku trwał pięć godzin, ze względu na zmianę strefy czasowej wylądował w stolicy zaledwie godzinę po opuszczeniu Islandii. Choć sporo podróżował, takie zmiany wciąż rozstrajały mu zegar biologiczny.

Był rozdrażniony między innymi dlatego, że dwie godziny spędził pod ziemią, pod Smithsonian Castle w centrali Sigmy. Musiał złożyć szczegółowy raport i niecierpliwie czekał, by móc poznać zawartość dziennika Archarda Fortescue.

Pamiętnik musiał być ważny i Gray miał na to namacalny dowód. Ostrożnie dotknął lewego ucha. Płynny, niemal niewidoczny opatrunek znieczulił zadrażnienie od kuli, która otarła się o jego ucho, gdy wyrwał plecak agentowi Gildii na wyspie. Ale odniesione obrażenia nie były najgorszym skutkiem tej wyprawy.

– Wolniej! – zawołała za nim Seichan.

Usiłowała go dopędzić, utykając na prawą nogę. Lekarze w Sigmie opatrzyli jej rany, zszywając głębsze ślady po zębach i wtłaczając w nią mnóstwo antybiotyków oraz pewną dawkę środka przeciwbólowego, o czym świadczył lekko szklisty wzrok. Miała szczęście, że orki obeszły się z nią dość delikatnie, bo w przeciwnym razie straciłaby nogę.

Gray zwolnił tempo, żeby go mogła dogonić.

– Mogliśmy wziąć taksówkę.

– Chciałam rozprostować nogi. Im więcej się będę ruszać, tym szybciej się zagoi.

Gray nie był przekonany, czy to prawda. Słyszał jednego z lekarzy, który ostrzegał Seichan, żeby się nie przemęczała. Za wywołaną lekami szklistością oczu zauważył jednak dziki błysk. Podobnie jak on nie lubiła, aby na dwie godziny zamykać ją pod ziemią. Podobno rekiny nie mogą oddychać, jeśli stale się nie poruszają. Przypuszczał, że to samo dotyczy Seichan.

Razem przeszli przez Madison Drive. Kiedy schodziła z krawężnika, pośliznęła się jej lewa stopa. Gray złapał ją w pasie, aby nie upadła. Zaklęła, odzyskała równowagę i zaczęła go odpychać, ale przyciągnął ją z powrotem, ujął jej rękę i położył sobie na ramieniu.

– Przytrzymaj się.

Zaczęła cofać dłoń, ale spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. Westchnęła i zacisnęła palce na jego ramieniu. Gray trzymał dłoń na jej plecach pod rozpiętą kurtką, gotów pomóc, gdyby było trzeba.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie ulicy i weszli między Muzeum Historii Naturalnej a Narodową Galerię Sztuki, jej palce głęboko wbijały się w jego mięsień naramienny. Otoczył ją ręką w pasie, opierając dłoń pod klatką piersiową, by ją podtrzymać.

– Następnym razem taksówka... – wykrztusiła, uśmiechając się słabo.

W tym momencie Gray odczuwał egoistyczną radość z tego, że szli pieszo. Seichan oparła się o niego ciężko. Poczł brzoskwiniowy zapach jej włosów zmieszany z bardziej intensywną, niemal korzenną wonią wilgotnej skóry. Prymitywny samiec w głębi jego duszy cieszył się tym rzadkim u niej momentem słabości, w którym Seichan bardzo go potrzebowała.

Mocniej przycisnął dłoń do jej ciała, czując przez bluzkę jego ciepło, ale ta chwila intymności nie trwała długo.

– Dzięki Bogu, jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała, odsuwając się, ale nadal trzymając dłoń na jego ramieniu.

Wznosił się przed nimi budynek Archiwów Narodowych. Mieli się spotkać w pracowni z kustoszem i jego asystentką. Krótko po przyjeździe do centrali Sigmy Gray polecił zrobić kserokopię starego dziennika i przesłać do archiwów. Oryginał spoczywał bezpiecznie w sejfie Sigmy. Nie chcieli narażać go na żadne ryzyko.

Gray bez trudu namierzył na ulicy dwóch agentów, którzy zostali przydzieleni do pilnowania archiwów. W środku powinna być jeszcze jedna dwójka. Nie spuszczała oka nawet z kserokopii.

Kiedy pomagał Seichan pokonać schody, w jego kieszeni zadzwoniła komórka. Wysunął ją na tyle, by zerknąć na wyświetlacz. Monk został z Kat. Oboje śledzili wydarzenia w Islandii, próbując ustalić, czy doprowadzą do następnej erupcji wulkanu Laki. Tak jak w Utah, temperatura erupcji prawdopodobnie unicestwiła nanogniazdo, lecz nie wiadomo, czy wybuch archipelagu nie spowoduje następnej globalnej katastrofy podobnej do tej, której świadkiem był Fortescue.

Okazało się jednak, że dzwonili jego rodzice, a nie Monk. Po wylądowaniu w Waszyngtonie Gray rozmawiał już z matką, pytając o stan ojca po kiepskiej nocy. Jak zwykle nazajutrz rano tato czuł się świetnie, tak jak zawsze niczego nie pamiętając.

Otworzył telefon i przyłożył do ucha.

– Mama?

– Nie, tu twój tato – usłyszał. – Nie poznajesz po głosie?

Gray nie zwrócił mu uwagi, że przecież dopiero teraz się odezwał. Darował to sobie.

– Czego chcesz, tato?

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć... bo... – Nastąpiła długa chwila niezręcznej ciszy.

– Tato?

– Cholera, chwileczkę... – Ojciec krzyknął za siebie: – Harriet, po co dzwoniłem do Kenny'ego?!

– Co? – odezwał się daleki głos matki.

– To znaczy do Graya. Po co dzwoniłem do Graya?

Przynajmniej nie pomylił imienia.

Usłyszał w tle trajkoczące głosy i ojca, który odburkiwał coraz bardziej szorstko. Gray musiał to przerwać, zanim sytuacja się zaogni.

– Tato! – krzyknął do telefonu.

Ludzie obrócili głowy w jego stronę.

– Co? – gderliwie odrzekł ojciec.

Gray starał się panować nad głosem.

– Wiesz co, zadzwoń do mnie za chwilę. Jak sobie przypominisz, dobra? Będę czekał.

– W porządku, zgoda. Po prostu tyle się naraz dzieje... że mi się w głowie namieszało.

– Nie martw się, tato.

– Dobra, synu.

Gray zamknął telefon.

Seichan patrzyła na niego, pytając niemo, czy wszystko w porządku. Zdjęła dłoń z jego ramienia i położyła mu na biodrze, jak gdyby pomagała mu się utrzymać w pionie.

Wsunął komórkę do kieszeni.

– Sprawy rodzinne.

Dalej na niego patrzyła, jak gdyby starając się czytać w jego myślach.

Wskazał na drzwi.

– Chodźmy się dowiedzieć, co Fortescue uważał za tak ważne, żeby ukryć dziennik w Islandii.

17.01

Seichan usiadła na jednym z krzeseł przy stole konferencyjnym, przenosząc ciężar na lewe biodro i wyciągając przed siebie wyprostowaną prawą nogę. Starła się stłumić westchnienie ulgi.

Gray nadal stał. Przyglądała mu się, przypominając sobie napięcie na jego twarzy i błysk strachu w oczach, kiedy rozmawiał z ojcem. Teraz nie było po tym śladu. Gdzie to w sobie zamknął? Jak długo tak może wytrzymać?

Ale teraz był w swoim żywiole, co sprawiło jej ulgę – niemal taką jak odciążenie nogi. Nie na długo jednak zdjęto z nich obydwaj ciężary.

– Co państwo mogą mi powiedzieć o dzienniku Fortescue? – zapytał Gray.

Spacerując po pokoju, doktor Eric Heisman energicznie kiwał głową. Panował tu jeszcze większy bałagan niż poprzednio. Na stole leżało trzy razy więcej książek i dokumentów. Ktoś wstawił jeszcze dwa czytniki mikrofilmów z sąsiedniej pracowni. Ludzie w budynku zastanawiali się zapewne, co się tutaj dzieje, zwłaszcza że przed drzwiami pełnił wartę uzbrojony strażnik. Może jednak widok strażnika nie był niczym niezwykłym, zważywszy na cenne dokumenty przechowywane w rozległych podziemiach Archiwów Narodowych i gablotach wypełnionych helem.

Heisman w tym momencie bardziej przypominał szalonego naukowca niż kustosa szacownego muzeum. Miał wymiętą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, a jego siwe włosy sterczały jak nastroszona peruka klauna. Ale to wrażenie wywoływały przede wszystkim zaczerwienione, nabiegłe krwią oczy, w których płonął fanatyczny zapal.

To ostatnie mogło być jednak skutkiem opróżnienia mnóstwa kubków ze Starbucks, wypełniających jedyny w pomieszczeniu kosz na śmieci.

Jak długo Heisman był na nogach?

– To naprawdę niewiarygodny materiał – powiedział. – Nie wiem, od czego zacząć. Gdzie pan go znalazł?

Gray pokręcił głową.

– Niestety, ta informacja musi pozostać tajna, podobnie jak nasza rozmowa.

Heisman machnął ręką.

– Wiem, wiem... Sharyn i ja podpisaliśmy wszystkie dokumenty konieczne do wydania tymczasowego zezwolenia.

Jego asystentka siedziała przy drugim końcu stołu. Od ich wejścia nie odezwała się ani słowem. Uniosła ciemne oczy znad kserokopii dziennika tylko raz, by powitać ich skinieniem głowy. Nie miała już na sobie obcisłej czarnej sukienki, ale elegancką bluzkę i spodnie.

Seichan nieufnie spoglądała na nią kątem oka. Kobieta nie zrobiła nic, co dawałoby podstawy do podejrzeń, jeśli nie liczyć olśniewającej urody, gładkiej cery i wyfiokowanych czarnych włosów. Dlaczego taka piękna osoba była zwykłą asystentką kustosza w krypcie pełnej zakurzonych manuskryptów? Przecież mogłaby swobodnie paradować po wybiegu w Mediolanie.

Seichan nie podobało się też, że Gray obracał na nią wzrok, ilekroć poprawiała się na krześle, aby przewrócić stronę czy zrobić notatkę.

– Może zacznie pan od początku? – zaproponował Gray, starając się skierować rozmowę na właściwe tory.

– Niezła myśl – uznał Heisman i wskazał Grayowi krzesło. – Proszę usiąść. Opowiem panu. To naprawdę niezwykła historia. Wypełnia wiele białych plam.

Gray posłusznie zajął miejsce.

Heisman nadal spacerował, zbyt przejęty, by usiąść.

– Dziennik jest zapisem zdarzeń, które zaczynają się od pierwszego kontaktu między Franklinem a Archardem.

Archardem...?

Seichan powstrzymała drwiący uśmiech. Wyglądało na to, że kustosz przeszedł już z Francuzem na ty.

– Zaczyna się od odkrycia indiańskiego kurhanu w Kentucky.

– Heisman odwrócił się do Sharyn, czekając na pomoc.

Nawet nie uniosła głowy.

– Kopca Węża.

– Tak, w dramatycznych okolicznościach. Właśnie tam znaleźli złotą mapę wewnątrz czaszki mastodonta, która była owinięta w skórę bizona. I o tej ukrytej mapie powiedział Jeffersonowi umierający szaman.

Heisman ciągnął, gestykulując w odpowiednich momentach, których było sporo.

– Ale nie było to pierwsze spotkanie Jeffersona i Franklina z indiańskim szamanem. Wódz Canasatego przywiózł do Jeffersona innego szamana z dalekiego plemienia z zachodu. Starzec pokonał bardzo długą drogę, aby się spotkać z nowymi białymi przywódcami kraju. Szaman opowiedział Jeffersonowi o dawnych „błędnych Indianach”, z którymi kiedyś dzielili ziemię, ludziach o niezwykłych umiejętnościach. Podobno także przybyli ze wschodu, tak jak koloniści. Oczywiście wzbudziło to żywe zainteresowanie dwóch ojców założycieli. A także dużą dozę sceptycyzmu.

Gray skinął głową.

– Nie wątpię.

– Ostatecznie szaman przedstawił im świadectwo. Upewniwszy się, że wszystko zostanie zachowane w najgłębszej tajemnicy, pokazał dowody zaawansowania technicznego, które zdumiały i oszołomiły Franklina i Jeffersona. – Heisman znów spojrział na asystentkę. – Sharyn... mogłabyś odczytać ten fragment?

– Chwileczkę. – Odnalazła właściwą stronę. – *Przyszli ze złotem, które się nie topiło, z bronią ze stali, jaką nie władał nigdy żaden Indianin, ale najważniejszą rzeczą był srebrzysty suchy eliksir, którego jedna szczypta miała tysiąc razy większą moc niż góra czarnego prochu.*

Gray wymienił spojrzenie z Seichan. Trwałe złoto musiało być tym samym metalem, z którego zrobiono tabliczki. Było znacznie gęstsze i twardsze od zwykłego złota. Ale „srebrzysty suchy eliksir”... Czyżby chodziło o źródło potężnych eksplozji, do jakich doszło

w Utah i Islandii?

– Ponieważ Konfederacja Irokeska bardzo chciała należeć do nowego państwa – ciągnął Heisman – próbowali wynegocjować warunki umowy.

– Dla czternastej kolonii – dodał Gray.

– Tak, dla Diabelskiej Kolonii. Choć negocjacje toczyły się w tajemnicy, były dość zaawansowane. To miała być wymiana. Konfederacja Irokeska wyznaczyła nawet granice swojego terytorium. – Odwrócił się, lecz tym razem Sharyn była przygotowana.

– *Życzyli sobie rozległych ziem za terytoriami francuskimi, ziem niezbadanych, do których nikt nie rościł sobie praw, nie chcieli bowiem zagrazać zainteresowaniu kolonistów wschodem. Irokezi byli gotowi oddać swoje dawne ziemie i wielką tajemną wiedzę w zamian za stałe nowe granice i silny głos w nowym państwie. Ponadto w trakcie prywatnych spotkań z wodzem*

Canasatego ustalono, że w sercu indiańskiej kolonii leżało zaginione miasto, z którego pochodziły owe cudowne materiały. Jego położenie jednak utrzymywano w należytej tajemnicy.

Kiedy jego asystentka czytała tłumaczenie, Heisman podsunął im atlas otwarty na starej mapie Stanów Zjednoczonych. Wskazał zaciemniony obszar w kształcie litery V, który rozciągał się na północ od Nowego Orleanu, obejmując większość późniejszej środkowej części kraju.

– Tu są ziemie kupione przez Jeffersona od Francuzów.

– Zakup Luizjany – rzekł Gray.

– Na podstawie tego wpisu w dzienniku przypuszczam, że proponowana czternasta kolonia Indian musiała leżeć gdzieś na zachód od zakupionego terytorium. Ale Archard nigdzie nie pisze bardziej szczegółowo o jej położeniu. Wspomina o tym tylko raz na marginesie.

– Co pisze? – spytała Seichan.

– Kiedy Archard odnalazł indiańską mapę w Kopcu Węża, ustalił, że metal, na którym ją wyryto, składa się z tego samego dziwnego złota. A na mapie zaznaczono dwa miejsca.

– Jednym z nich była Islandia – mruknął Gray, analizując elementy układanki.

– Zgadza się. Drugi punkt znajdował się daleko na zachodzie. Archard sądził, że miejsce na zachodnim terytorium może być tym zaginionym miastem, proponowanym „sercem nowej kolonii”. Punkt leżał jednak za daleko na zachód, na niezbadanych ówczesnie ziemiach, a mapa widocznie uwzględniała za mało szczegółów, więc Archard postanowił najpierw udać się do Islandii, ponieważ droga morska została dokładnie wytyczona przez żeglarzy.

Gray odchylił się na krześle.

– Nie przypuszczam, żeby Francuz zamieścił w dzienniku kopię tej mapy?

– Nie. Według Archarda Thomas Jefferson trzymał ją w ścisłej tajemnicy. Nie pokazywał jej nikomu z wyjątkiem kręgu najbliższych współpracowników. Nie wolno było robić żadnych kopii.

Seichan rozumiała taką ostrożność. Prezydent musiał się obawiać nieznanego wroga i nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia infiltruje jego rząd. Nieufność i paranoja. O tak, bez trudu potrafiła się postawić w sytuacji Jeffersona.

– Co się stało z mapą? – zapytał Gray.

Heisman spojrzał tylko na swoją asystentkę. Sharyn przeczytała:

– *Jefferson, przebiegły jak zawsze, opracował plan zabezpieczenia indiańskiej mapy, aby nigdy nie wpadła w ręce bezimiennego wroga. Postanowił wykorzystać to samo złoto, by ją ukryć i jednocześnie pozostawić na oczach wszystkich. Nikt by nie podejrzewał, że skarb zostanie ukryty w sercu Pieczęci.*

Gray zmarszczył brwi.

– Co to znaczy?

Heisman wzruszył ramionami.

– Nie wspomina o szczegółach. To na razie mniej więcej połowa dziennika. Nadal pracujemy nad tłumaczeniem drugiej połowy, która zaczyna się od tajnej misji Archarda do Islandii.

Zadzwoił telefon Graya.

– Przepraszam – powiedział i spojrzał na wyświetlacz.

Seichan znów zauważyła na jego twarzy cień niepokoju, który cały czas czaił się gdzieś tuż pod powierzchnią. Po chwili odetchnął z ulgą, choć prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

– To Monk – powiedział do niej cicho. – Lepiej wyjdę.

Gray przeprosił i wymknął się na korytarz. Heisman wykorzystał przerwę na konsultację z Sharyn, która kończyła tłumaczyć drugą część dziennika. Oboje szeptali pochyleni nad kserokopiami.

– Powinni to zobaczyć... – powiedział Heisman, ale reszta utonęła w szeptach.

Gray wsadził głowę do pracowni i gestem przywołał Seichan.

– Nowe kłopoty? – zapytała, gdy znalazła się na korytarzu.

Pociągnął ją do cichego, ustronnego kąta.

– Monk właśnie dostał wiadomość od japońskich fizyków. Podczas eksplozji w Islandii wyspa wygenerowała następną falę neutrin, dziesięć razy większą od fali po wybuchu w Utah. Już się uspokaja, tak jak aktywność wulkaniczna w archipelagu. Czyli chyba mieliśmy szczęście. Naukowcy zgodnie twierdzą, że temperatura erupcji w Islandii unicestwiła nanogniazdo, uniemożliwiając jego rozszerzenie się.

Seichan nie słyszała w jego głosie ulgi. To nie było wszystko, co chciał jej powiedzieć.

– Ale ostatnia wiadomość z Japonii nadeszła pięć minut temu. Fizycy wykryli jeszcze jedno miejsce, w którym robi się gorąco. Uważają, że islandzki wybuch zdestabilizował trzeci skład nanomateriału.

Seichan wyobraziła sobie łańcuch połączonych eksplozji.

Najpierw Utah... potem Islandia... a teraz trzecia.

– Według ocen fizyków – ciągnął Gray – nowy skład musi być ogromny. Wygenerowana fala neutrin jest tak potężna i rozległa, że trudno im zlokalizować jej źródło. Na razie wiedzą tylko, że jest w Stanach, gdzieś na zachodzie.

– Duży obszar do sprawdzenia.

Gray skinął głową.

– Naukowcy współpracują z laboratoriami na całym świecie, żeby przekazać nam więcej informacji.

– No to mamy problem – mruknęła Seichan.

– Dlaczego?

– W Islandii wpadliśmy w pułapkę zastawioną przez agentów Gildii. To oznacza, że korzystają z tego samego kanału informacji co my. Pokrzyżowaliśmy im plany w Islandii, więc na pewno nie będą beczynnienie czekać, aż znowu zrobimy to samo. Wiem, jak ci ludzie myślą, jak reagują. Dość długo pracowałam w tej organizacji i znam ich genotyp.

– No więc jaki będzie ich następny ruch?

– Odetną nas od źródła nowych informacji, żeby odtąd tylko oni mogli mieć dostęp do najważniejszych wiadomości. – Seichan spojrzała znacząco na Graya, aby zrozumiał wagę jej następnych słów. – Dobiorą się do naszych informatorów w Japonii. Żeby ich uciszyć.

1 czerwca, 6.14

Prefektura Gifu, Japonia

Riku Tanaka nie cierpiał, kiedy go dotykano, zwłaszcza gdy był poruszony. Tak jak w tym momencie. Nałożył bawełniane rękawiczki, a do uszu wsunął zatyczki, żeby wyciszyć hałas panujący wokół niego. Obserwując na monitorze napływ danych w czasie rzeczywistym, stukał ołówkiem o blat biurka. Co piąte stuknięcie obracał ołówek i zręcznie kręcił nim młynka w palcach. To pomagało mu się uspokoić.

Choć był wczesny ranek, w jego pracowni położonej w sercu góry Ikeno – zwykle bardzo cichej – panowała żywa krzątanina. Po wykryciu skoku aktywności neutrin Jun Yoshida-sama wezwał dodatkowy personel: czterech fizyków i dwóch informatyków. Wszyscy zebrali się wokół Yoshidy przy sąsiednim stanowisku komputerowym, próbując skoordynować dane z sześciu laboratoriów rozszanych po całym świecie. Nie mogąc tego znieść, Riku wycofał się do pojedynczej stacji roboczej w głębi laboratorium, położonej jak najdalej od nich.

Reszta pracowała nad większą zagadką, natomiast on skoncentrował się na mniejszej. Przechylając głowę na bok (to pomagało mu się skupić), studiował mapę świata wyświetloną na ekranie. Widniały na niej małe ikonki rozmieszczone w wielu punktach. Każda symbolizowała mniejszy skok aktywności neutrin.

– Szkoda czasu – zawyrokował Yoshida, gdy Riku przedstawił mu swoje wnioski.

Riku był innego zdania. Wiedział, że robiąc tyle zamieszania, Yoshida marnuje energię. Nie mogło mu się udać. Nowego źródła skoku neutrin wykrytego w zachodniej połowie Stanów Zjednoczonych nie sposób było precyzyjnie zlokalizować. Impulsy miały taki sam cykliczny wzór jak skok w Islandii, ale tym razem fala była 123,4 razy większa.

Podobała mu się sekwencja cyfr wyrażająca tę wielkość.

1, 2, 3, 4.

Była dziełem przypadku, ale jej doskonałość sprawiła, że uśmiechnął się w duchu. W liczbach kryło się czyste piękno, którego nikt poza nim zdawał się nie pojmować.

Nadal wpatrywał się w mapę. Wykrył te nietypowe odczyty po pierwszym skoku neutrin po wybuchu w Utah. Eksplozja uaktywniła jakąś niestabilną substancję w Islandii, ale równocześnie wywołała te mniejsze skoki, jak małe rozbłyski w różnych punktach świata. Kiedy sytuacja w Islandii osiągnęła punkt krytyczny, znów je zapisał.

Szkoda czasu...

Zagłuszył uporczywy głos w głowie, wpatrując się w kropki i szukając klucza, by je jakoś połączyć. Jedna czy dwie znajdowały się na zachodzie, ale określenie dokładnego położenia uniemożliwiały bijące stamtąd fale neutrin, które jak tsunami zalewały wszystkie szczegóły. Dlatego właśnie Yoshidzie nie mogło się udać.

– Riku?

Ktoś dotknął jego ramienia. Wzdrygnął się i odwrócił. Stała za nim doktor Janice Cooper.

– Przepraszam – powiedziała. Wolą, żeby mówić jej Janice, choć Tanaka wciąż nie mógł się przyzwycząić do tak swobodnej formy. Zabrała dłoń z jego ramienia.

Zmarszczył brwi, próbując zinterpretować drobne ruchy mięśni jej twarzy i dopasować do nich emocjonalną treść. Przychodziło mu jedynie na myśl, że jest głodna, ale prawdopodobnie był w błędzie. Z powodu zespołu Aspergera za często się mylił w swoich ocenach, by im wierzyć.

Przysunęła sobie krzesło, usiadła i obok jego łokcia postawiła filiżankę zielonej herbaty.

– Pomyślałam, że będziesz miał ochotę.

Skinął głową, nie rozumiał jednak, dlaczego usiadła tak blisko.

– Riku, próbujemy ustalić, dlaczego doszło do tego skoku na zachodzie.

– Grad neutrin z Islandii przeniknął planetę i zdestabilizował trzecie źródło.

– Zgadza się, ale dlaczego teraz? Dlaczego złoże nie uległo destabilizacji wcześniej, zaraz po skoku z Utah? Tak się stało w Islandii, ale nie w wypadku nowego złoża na zachodzie. Ta anomalia niepokoi resztę fizyków.

Riku wciąż badawczo patrzył na ekran.

– Energia aktywacji – powiedział i zerknął na nią, jak gdyby to była oczywista odpowiedź. I była oczywista.

Janice pokręciła głową. Nie zgadzała się czy nie rozumiała?

Westchnął.

– Do zainicjowania niektórych reakcji chemicznych, na przykład reakcji jądrowych, potrzeba pewnej ilości energii.

– Energii aktywacji.

Zmarszczył brwi. Chyba przed chwilą to powiedział. Ciągnął jednak:

– Często ilość energii zależy od objętości albo masy substratu. Złoże w Islandii musiało być mniejsze, dlatego ilość neutrin ze skoku w Utah wystarczyła do destabilizacji substancji.

Skinęła głową.

– Ale fala neutrin z Islandii była znacznie większa. Wystarczająca do destabilizacji złoża na zachodzie. Zapaliła grubszy lont. Jeżeli masz rację, to znaczy, że złoże na zachodzie musi być znacznie większe.

Czy właśnie tego nie wytłumaczył?

– Powinno być sto dwadzieścia trzy i cztery dziesiąte razy większe. – Samo wymówienie tej liczby podziało na niego uspokajająco. – Oczywiście pod warunkiem, że zachodzi współzależność jeden do jednego między generowaniem neutrin a masą.

Kiedy usłyszała tę ocenę, jej twarz jeszcze bardziej zbladła.

Czując się nieswojo, znów wbił wzrok w ekran i zagadkę kryjącą się w jasnych punkcikach.

– Jak myślisz, skąd są te mniejsze emisje? – zapytała Janice po długiej chwili kojącej ciszy.

Riku przytknął oczy, aby z przyjemnością pomyśleć o zagadce. Wyobraził sobie neutrina podpalające lonty złóż niestabilnych substancji, ale gdy trafiały w mniejsze cele, tylko je podrażniały, wywołując miniwybuchy.

– Nie mogą pochodzić z takiej samej niestabilnej substancji. Schemat nie jest spójny. Nie widzę żadnych analogii. Wydaje mi się, że te małe skoki to substancja związana ze złożami, ale nie identyczna.

Nachylił się i wyciągnął rękę w stronę ekranu, ale uważał, by go nie dotknąć.

– Jeden jest w Belgii. Jeden czy dwa w zachodniej części USA, ale załania je nowy wybuch. I szczególnie silna reakcja w jednym miejscu wschodniej części Stanów.

Janice przysunęła się bliżej.

– Kentucky...

Zanim pojął, dlaczego tak bardzo się zbliżyła, jego świat zachwiało się w posadach. Zawyły syreny, na ścianach rozbłysły czerwone lampki alarmowe. Hałas przedarł się przez zatyczki w uszach jak ostrze noża. Tanaka przycisnęła dłonie do uszu. Inni w pracowni zaczęli krzyczeć i gestykulować. Znów nie potrafił odgadnąć, co oznaczają ich miny.

Co się dzieje?

Otworzyły się drzwi windy na drugim końcu pomieszczenia. Wskoczyli z nich ludzie w czarnych strojach i rozbiegli się po laboratorium. Mieli w rękach karabiny. Ogłuszający terkot rzucił go na ziemię – nie uskoczył przed gradem kul, ale próbował uciec przed hałasem.

Wrzaski tylko pogarszały sytuację.

Spod biurka zobaczył, jak Yoshida pada bezwładnie na podłogę. Nie miał sporej części czaszki. Z jego głowy płynęła krew. Riku nie umiał oderwać oczu od powiększającej się kałuży.

Nagle ktoś go złapał. Szamotał się, ale zobaczył, że to Janice. Chwyciła go za laboratoryjny kitel i wyciągnęła z drugiej strony biurka. Pokazała ręką boczne wyjście. Prowadziło do ogromnej przestrzeni dawnej kopalni, w której dziś mieścił się detektor Super-Kamiokande.

Zrozumiał. Musieli uciekać z pracowni. Ukrywanie się oznaczało śmierć. Jak gdyby dla podkreślenia tej myśli rozległa się kanonada karabinów. Napastnicy zabijali wszystkich.

Nie unosząc głowy i kryjąc się za rzędem biurek, ruszył za Janice w kierunku bocznego wyjścia. Pchnęła drzwi i wypadła za nie, a Riku dał nura w ślad za nią. Zatrzasnęła za nim drzwi i rozejrzała się po korytarzu.

W tunelu nad nimi rozległo się echo wystrzałów. To był stary szyb kopalniany prowadzący na powierzchnię. Poza nową windą było to jedyne wejście i wyjście z obiektu. Mordercy podchodzili do nich z dwóch stron.

– Tędy! – Janice szarpnęła go za rękę.

Pobiegli razem w jedyną stronę, jaka im pozostała, uciekając w głąb innego tunelu. Riku wiedział jednak, że to ślepy korytarz. Za parę chwil bandyci ich dopadną. Trzydzieści metrów dalej tunel kończył się jaskinią.

Wysoko nad sobą widział kopulasty dach. Był zabezpieczony polietylenową warstwą Mineguard uniemożliwiająca przenikanie radonu ze skał. Pod stopami miał sam detektor Super-Kamiokande, potężny stalowy zbiornik wypełniony pięćdziesięcioma tysiącami ton ultraczystej wody i wyłożony trzynastoma tysiącami fotodetektorów.

– Chodź – powiedziała Janice.

Pobiegli, omijając bloki systemów elektronicznych. Olbrzymia przestrzeń była pełna urządzeń i sprzętów, wśród których znajdowały się wózki i podnośniki widłowe. Żółte rusztowania podtrzymywały dźwigi, a wszystko to służyło do obsługi detektora Super-Kamiokande.

Za nimi rozległ się krzyk po arabsku, odbijając się od ścian. Mordercy już się zbliżali.

Riku się rozejrzał. Gdziekolwiek by się ukryli, zostaną znalezieni w ciągu kilku sekund.

Janice wciąż ciągnęła go za sobą. Zatrzymała się przy stojaku ze sprzętem do nurkowania – wtedy zrozumiał.

I stanął jak wryty.

– To jedyna droga – przekonywała go gorączkowym szeptem.

Wepchnęła mu w ręce ciężką butlę ze sprężonym powietrzem wyposażoną w regulator. Nie miał innego wyjścia, więc przycisnęła ją do siebie. Janice odkręciła zawór i z ustnika syknęło powietrze. Chwyciła drugą butlę i podbiegła do włazu w podłodze, który był umieszczony w górnej części gigantycznego podziemia z wodą. Nurkowie korzystali z włazu przy obsłudze detektora Super-Kamiokande, gdzie przeważnie naprawiali fotodetektory.

Janice po omacku wepchnęła mu ustnik między wargi. Chciał go wypluć – smakował okropnie – ale zacisnął zęby na kawałku silikonu. Janice wskazała czarny otwór.

– Skacz!

Dygocząc ze strachu, zrobił krok naprzód i wpadł nogami do zimnej wody. Ciężar butli

szybko pociągnął go w kierunku odległego dna. Wyciągając szyję, zobaczył Janice wskakującą do zbiornika i zamykającą za sobą właz.

Otoczyła go całkowita i nieprzenikniona ciemność.

Riku nadal pogrążał się na oślep, aż wreszcie uderzył nogami w dno i krzyknął, wypuszczając strumień bąbli powietrza. Kucnął, obejmując butlę i drżąc ze strachu, ale wiedział, że za chwilę zimno przeniknie go na wskroś i będzie jeszcze gorzej.

Nagle w mroku odnalazły go i otoczyły czyjeś ramiona. Poczuł ciepły policzek przytulający się do jego twarzy. Janice obejmowała go w ciemnościach.

Po raz pierwszy w życiu dotyk sprawił mu przyjemność.

31 maja, 17.32

Waszyngton

– Podróż Archarda do Islandii trwała cały miesiąc – mówił doktor Heisman. – Morze było wyjątkowo wzburzone.

Gray siedział przy stole obok Seichan, słuchając kustosza, który zaczął streszczać drugą część dziennika Fortescue. Kiedy Gray wszczął alarm w sprawie prawdopodobnego ataku w Japonii, Sharyn skończyła tłumaczenie.

Niecierpliwie podrygiwał kolanem. Musiał to usłyszeć, ale równocześnie chciał jak najprędzej wrócić do centrali Sigmy i dowiedzieć się, czy japońskim fizykom nic się nie stało.

Zerknął na Seichan.

Może po prostu ma paranoję?

Nie sądził, aby tak było. Ufał jej ocenom, zwłaszcza gdy chodziło o Gildię. Natychmiast przekazał ostrzeżenie Kat, która poinformowała o możliwym zagrożeniu władze Japonii. Wciąż wszyscy czekali na wiadomość.

– Podczas tej długiej podróży – ciągnął Heisman – Archard przez wiele dni szczegółowo spisywał swoje teorie na temat „błędnych Indian”, mitycznego ludu, od którego starożytni Irokezi otrzymali te potężne przedmioty. Zestawił opowieści usłyszane od wielu plemion, mówiące o białych ludziach albo białoskórych Indianach. Zebrał plotki krążące wśród kolonistów, którzy twierdzili, że znaleźli ślady dawnych osad, gospodarstw zbudowanych przez ludzi niebędących Indianami, na co wskazywały zaawansowane techniki budowlane. Wydaje się jednak, że Archard obsesyjnie myślał o prawdopodobnym żydowskim pochodzeniu tego ludu.

– Żydowskim? – Gray nagle się wyprostował. – Dlaczego?

– Bo Archard opisuje inskrypcje na złotej mapie Indian. Uważał, że znaki są podobne do alfabetu hebrajskiego, choć trochę się różnią.

Sharyn odczytała odpowiedni fragment dziennika.

– *Znaki wyryte na mapie bez wątpienia pochodzą z jakiegoś nieznanego pisma. Czyżby sporządził je jeden z błędnych Indian? Skonsultowałem się z uczonymi najbardziej czytanyymi w literaturze rabinicznej, którzy zgodnie twierdzą, że istnieją pewne podobieństwa do starożytnego pisma żydowskiego, ale wszyscy uważają, że to nie jest hebrajski, choć zapewne język z nim spokrewniony. To intrygująca zagadka.*

Słuchając jej, Heisman kiwał głową coraz bardziej podekscytowany.

– Rzeczywiście zagadka. Kiedy Sharyn kończyła tłumaczyć, a państwo kontaktowali się ze swoimi ludźmi w sprawie Japonii, dostałem wiadomość w związku z czymś, co mnie dręczyło w tym wstępnym szkicu Wielkiej Pieczęci z czternastoma strzałami.

Heisman sięgnął do pliku papierów i wyciągnął kartkę.

– Proszę spojrzeć na dół rysunku. Pod pieczęcią widać niewyraźne znaki, jakby notatkę.

Gray już wcześniej zwrócił na nie uwagę, ale nie przywiązywał do nich żadnej wagi.

– Co to za znaki?

– Konsultowałem się ze znawcą starożytnych języków. Pismo jest osobliwą formą hebrajskiego, tak jak wspomniał Archard.

Litery pod pieczęcią układają się w słowo „Manasses”, imię patriarchy, którego potomkowie utworzyli jedno z dziesięciu zaginionych plemion Izraela.



Ostatnie słowa zaostriły uwagę Graya. Wiele godzin temu Painter przekazał mu informację, że według pewnych przypuszczeń starożytny lud *Tawtsee'untsaw Pootseev* może się wywodzić z zaginionego plemienia Izraela. Painter przywoływał też Księgę Mormona, która utrzymywała, że przed wiekami przybyło do Ameryki wygnane plemię Izraelitów, a dokładniej – ród Manasses.

– Prawdę mówiąc, ojcowie założyciele mieli pewną obsesję na punkcie zaginionych plemion Izraela – ciągnął Heisman. – Kiedy pierwszy raz zebrał się komitet, który miał zaprojektować Wielką Pieczęć, Benjamin Franklin wyraził życzenie, by znalazła się na niej scena z Księgi Wyjścia, gdy Izraelici opuszczają Egipt. Thomas Jefferson zasugerował obraz dzieci Izraela na pustyni.

Gray przyglądał się szkicowi pieczęci. Czyżby ojcowie założyciele wiedzieli, że zaginione plemię dotarło do tej ziemi? Że „bladzi Indianie” opisywani przez Irokezów to w rzeczywistości wygnani Izraelici?

Na to wyglądało. I chyba próbowali zaznaczyć ten fakt w Wielkiej Pieczęci i upamiętnić to plemię.

Następne słowa Heismana potwierdzały, że Gray chyba ma rację.

– Dziwne jest to, że każde plemię Izraela reprezentowała inna para symboli. W wypadku rodu Manassesu były to gałązka oliwna i pęk strzał. – Heisman spojrzał na Graya. – Dlaczego ojcowie założyciele mieliby umieszczać symbole plemienia Manassesu na Wielkiej Pieczęci?

Gray przypuszczał, że zna odpowiedź na to pytanie, ale ważniejsza była teraz inna sprawa. Zniecierpliwionym gestem dał Heismanowi znak, by kontynuował.

– Świetnie, ale wracajmy do chwili przybycia Fortescue do Islandii...

Heisman wyglądał na rozczarowanego, lecz odłożył na bok szkic Wielkiej Pieczęci.

– Dobrze. Jak mówiłem, podróż do Islandii zajęła Archardowi miesiąc, ale ostatecznie nabrał pewności, że odnalazł wyspę, która była zaznaczona na mapie. Na miejscu jednak nie udało mu się niczego znaleźć. Po dwudziestu dwóch dniach poszukiwań był bliski rozpaczy. Nagle los się odmienił. Jeden z jego ludzi, przeszukując dość długi system jaskiń, upuścił jabłko. Wpadło do szczeliny, której nikt wcześniej nie zauważył. Kiedy spuścili tam lampę, na dnie zobaczyli błysk złota.

– Trafili – odezwała się Seichan.

– Bardzo szczegółowo opisuje tę głęboką grootę. Odkryli tam kamienne skrzynki z setkami złotych tabliczek, na których były inskrypcje sporządzone tym samym protohebrajskim pismem. Archard znalazł także pojemniki z litego złota, pełne często przywoływanego „srebrzystego suchego eliksiru”. Był bardzo przejęty i sporządził wiele rysunków.

Sądząc po głosie kustosa, on także był przejęty. Heisman podsunął Grayowi i Seichan jedną z kartek i pokazał rysunek pośrodku.

– Oto złote pojemniki z eliksirem.

Gray zeszywniał. Rysunek przedstawiał wysokie urny zwieńczone rzeźbionymi głowami szakala, sokoła, pawiana i zakapturzonego człowieka.

– Wyglądają jak egipskie kanopy – powiedział.



– Tak. Archard też doszedł do takiego wniosku. A przynajmniej poznał, że są egipskiego pochodzenia. Zakładał, że bładzi Indianie mogli być uchodźcami z Ziemi Świętej, jakąś tajną sektą magów, która miała korzenie w żydowskiej wierze i egipskiej tradycji. Ale nagle przestał snuć wszelkie domysły na ten temat. Następne wpisy w dzienniku są niedbałe i pospieszne; nie ma wątpliwości, że wpadł w panikę.

– Dlaczego?

Na znak szefa Sharyn zaczęła czytać:

– Doszły mnie wieści, że do Islandii zbliża się jakiś statek. Że Wróg dowiedział się o naszych poszukiwaniach i zaczął nas otaczać. Nigdy nie może odnaleźć miejsca ukrycia zaginionych skarbów. Moi ludzie i ja uczynimy wszystko, żeby odciągnąć ich od wyspy. Modłę się, aby się powiodło. Wyruszymy w stronę wybrzeża, zimnego lądu, i popłyną naszym śladem. Zabiorę ze sobą drobną część skarbu w nadziei, że uda mi się przybić do brzegów Ameryki. Pozostawię jednak ten dziennik jako swój testament, na wypadek gdybym poniósł klęskę...

Heisman skrzyżował ręce na piersi.

– Tak kończy się dziennik, w chwili gdy Archard ucieka przed wrogiem. Ale chyba możemy się domyślić, co się stało potem.

– Erupcja Laki – powiedział Gray.

– Wulkan znajduje się niedaleko brzegu. Archard musiał się trochę oddalić, ale potem nastąpiła katastrofa.

Gray sam był świadkiem podobnego zdarzenia. Wyobraził sobie wybuch i zaraz potem gwałtowną erupcję wulkanu.

Heisman westchnął.

– Z listu Jeffersona wiemy, że nasz Francuz zaszył się głęboko w jakimś odludnym miejscu, żałując swoich czynów, które doprowadziły do śmierci ponad sześciu milionów ludzi.

– Dopóki dwadzieścia lat później nie został wezwany przez Jeffersona, który wysłał go na kolejną misję. Aby towarzyszył Lewisowi i Clarkowi w wyprawie na zachód. – Gray porządkował w głowie elementy układanki. – Zgodnie z datą na mapie, którą pokazywał nam pan wcześniej, Jefferson dokonał zakupu Luizjany w tysiąc osiemset trzecim roku. W tym samym roku Jefferson zlecił swojemu przyjacielowi kapitanowi Meriwetherowi zadanie stworzenia oddziału, który miał zbadać dawne francuskie terytoria i ziemie na zachód od nich. – Grayowi huczało w głowie od narastającej pewności. – Fortescue pojechał z nimi. Został wysłany, żeby znalazł punkt zaznaczony na indiańskiej mapie, miejsce, które jak sam wierzył, było zaginionym miastem, „sercem nowej kolonii”.

Seichan nadązała za jego myślami.

– I pewnie je znalazł. Potem zniknął z historii, a Lewis został zamordowany.

Gray spojrział na Heismana.

– Ma pan mapę szlaku ekspedycji Lewisa i Clarka?

– Oczywiście. Chwileczkę. – Kustosz i jego asystentka przerzucili sterty papierów i szybko znaleźli właściwą książkę. – Proszę.

Gray spojrział na mapę. Przesunął palcem po szlaku, od Camp Wood w St. Charles w Missouri po Fort Clatsop nad Oceanem Spokojnym.

– Czternasta kolonia miała być gdzieś na tym szlaku albo blisko niego.

Ale gdzie?

Znów zadzwonił jego telefon. Gray zostawił komórkę na stole; na wyświetlaczu zobaczył alarmowy numer Sigmy.

Seichan też go zauważyła.

– Zaraz wracam – powiedział i ponownie ruszył do drzwi.

Seichan, nie odstępując go na krok, wyszła za nim na korytarz.

Gray otworzył telefon.

– Monk?

– Tu Kat, Gray. Monk już po ciebie jedzie.

– Co się stało? Jakie wieści z Japonii?

– Złe. Oddział szturmowy zabił prawie wszystkich w obserwatorium.

Zaklął pod nosem. Spóźnili się.

– Ale ocalały dwie kluczowe osoby z personelu – ciągnęła Kat. – Japończycy wyłowili ich ze zbiornika wodnego detektora neutrin. Dość pomysłowa kryjówka. Na naszą prośbę zostali przekazani pod opiekę ABP.

Skrót ABP oznaczał Agencję Bezpieczeństwa Publicznego, japońską służbę wywiadowczą. Zawiadomienie ich było dobrym środkiem ostrożności. Jeżeli nikt nie wiedział o dwójce ocalonych, Sigma miała szansę wyprzedzić Gildię. Kat też o tym wiedziała.

– Rozmawiałam z jedną z tych osób – ciągnęła Kat. – To doktorantka ze Stanów. Mówiła, że przed atakiem japońskim fizykom nie udało się odkryć źródła ostatniego skoku aktywności neutrin. Opowiedziała mi jednak coś dziwnego, co zaobserwował drugi fizyk, który się uratował. Zaniepokoiły go jakieś punktowe fale neutrin, które wykrył. Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki mi nie powiedziała, skąd pochodziły te odczyty.

– Skąd?

– Z jednego albo dwóch źródeł na zachodzie USA, ale nie potrafił ich zlokalizować, bo przesłoniła je większa fala neutrin. Z dwóch źródeł, które udało mu się ustalić, jedno znajdowało się w Belgii.

Zrobiła pauzę, by mógł się zastanowić nad znaczeniem tej informacji. Gray natychmiast pojął jej wagę. Przypomniał sobie, co kapitan Huld mówił o myśliwych, którzy przypłynęli na wyspę Elliðaey krótko przed Grayem i jego zespołem. Powiedział, że są z Belgii. Monk też musiał to skojarzyć. To mógł być zbieg okoliczności, ale Gray w to nie wierzył.

Powiedział o tym Kat.

– Oddział szturmowy w Islandii pochodził z Belgii. To na pewno ma znaczenie. A ten drugi punkt zlokalizowany przez fizyka? Gdzie to jest?

– W Kentucky.

Kentucky?

– Monk już po ciebie jedzie – dodała Kat. – Sprawdzisz to miejsce. Za piętnaście minut macie samolot. Musimy szybko wykorzystać tę informację, dopóki możemy.

Gray wyczuł u niej jakieś wahanie.

– Co sądzi o tym dyrektor Crowe?

– Nic nie sądzi. Odkąd dostaliśmy tę wiadomość, nie mogę go złapać. Miał jechać gdzieś na pustynię. Kiedy będziecie w drodze, będę próbowała go zawiadomić. Ale nie możemy czekać. Jeżeli coś się zmieni, dam wam znać. Jestem też w kontakcie z szefem personelu Białego Domu.

To go zaskoczyło.

– Po co masz włączać prezydenta Ganta?

– Tam, dokąd jedziecie, będzie wam potrzebne polecenie prezydenta. Te drzwi otworzy tylko podpis Ganta.

– Jakie drzwi? Dokąd jedziemy?

Odpowiedź wprawiła go w osłupienie. Kat podała mu jeszcze kilka szczegółów, po czym się rozłączyła. Gray zamknął telefon i zobaczył wpatrzony w siebie wzrok Seichan.

– Dokąd nas wysyłają? – zapytała.

Wolno pokręcił głową, starając się zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał.

– Do Fort Knox – powiedział.

CZEŚĆ TRZECIA
GORĄCZKA ŻŁOTA

31 maja, 14.55

Pustynia w Arizonie

– Łamiecie prawo stanowe i federalne – ostrzegła Nancy Tso.

Ignorując groźby, Painter wydłubywał nożem ostatnie kawałki zaprawy spajającej płytę piaskowca ze skałą nad ujściem kanału termicznego.

Nancy Tso, trzymając na biodrach dłonie zaciśnięte w pięści, stała na skraju pola petroglifów wyrytych w podłożu rozpadliny. Pilnował jej Kowalski, który trzymał służbowy pistolet strażniczeki. Wcześniej wyciągnął jej broń, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje.

– Przykro mi, Nancy – powiedział Hank Kanosh. – Staramy się zachować największą ostrożność.

Na dowód tego Hank zdjął okruch zaprawy z rysunku spirali na płycie, wyrzucił go i delikatnie stał drobny pył z symbolu półksiężyca i gwiazdy pośrodku.

Kawtch obwąchał odrzucony kawałek zaprawy, jak gdyby to była zabawa.

Painter nadal kopał i wydrapywał zaprawę, pocąc się w słońcu, które paliło go w odsłonięty kark. Pięć minut później kamień zaczął drgać pod jego dłonią.

Hank też to poczuł.

– Pewnie ją obluźowałeś. Podmucha powietrza z dołu porusza płytą.

Painter przytaknął. Klęcząc, sprawdził brzeg i znalazł na tyle dużą szparę, by wepchnąć ostrze noża pod krawędź skały. Brzegi bloku wginały się do wewnątrz, jak gdyby to była gumowa zatyczka. Painter nacisnął rękojeść noża i lekko uniośł kamienną płytę. Miała grubość około dziesięciu centymetrów, była więc za ciężka, by Hank sam mógł ją podnieść.

Opuścił blok i machnął ręką do Kowalskiego.

– Pomóż mi.

– A co z nią? – Kowalski wskazał kciukiem strażniczkę.

Painter przysiadł na piętach. Musiał skłonić tę kobietę do współpracy, co oznaczało, że musi być z nią szczerzy, żeby jej uświadomić powagę sytuacji.

– Pani Tso, na pewno słyszała pani o erupcjach wulkanicznych w Utah i Islandii.

Z jej twarzy nie zniknęły zmarszczki wokół oczu świadczące o wściekłości, nie rozluźniły się też zaciśnięte szczęki. Nancy mierzyła go tylko wrogim spojrzeniem.

– To, czego szukamy, ma związek z obiema katastrofami. Zginęło wielu ludzi i zginie jeszcze więcej, jeżeli nie poznamy odpowiedzi. A odpowiedzi mogą się kryć tu na dole.

Z drwiącą miną pokręciła głową.

– O czym pan mówi?

– O Anasazi – rzekł Hank. – Tak się złożyło, że mamy dowody na to, iż dzisiejsza aktywność wulkaniczna ma bezpośredni związek z zagładą, która doprowadziła do powstania stożka Sunset Crater i do unicestwienia Anasazi w tym regionie. Nie mogę wchodzić w szczegóły, powiem

tylko, że kluczem do zagadki tej tragedii są symbole, które pani pokazaliśmy: półksiężyc i gwiazda wyryte w petroglifie.

– Jeżeli chcemy ocalić ludziom życie – dodał Painter – musimy działać.

Przeniosła wzrok z Paintera na Hankę i z powrotem. Wreszcie westchnęła i gniewne zmarszczki nieco się wygładziły.

– Dobrze, dam wam trochę swobody. Na razie. Ale bądźcie ostrożni. – Wyciągnęła rękę do Kowalskiego. – Mogę dostać swoją broń?

Painter przyglądał się jej, chcąc coś wyczytać z jej mowy ciała i ocenić, czy planuje jakiś fortel. Wydawało się, że mówi szczerze, ale nie mogli przestać się zabezpieczać.

– Oddaj – polecił Kowalskiemu.

Kowalski miał minę, jak gdyby chciał zaprotestować, ale w końcu obrócił pistolet w dłoni i podał strażniczce rękojęść. Wzięła broń i trzymała przez długą chwilę, po czym schowała do kabury.

Dała znak Kowalskiemu, żeby ruszył naprzód.

– Chodźmy. Pomogę wam.

Kiedy Painter podważył kamień, wszyscy troje chwycili wysunięty brzeg i wyciągnęli płytę z otworu. Opierając ją o krawędź, Kowalski odtoczył płytę i oparł o ścianę rozpadliny.

– Zadowolona? – zwrócił się do Nancy, otrzepując ręce o spodnie.

Nie odpowiadając, zajrzała do otworu. Painter wyciągnął z plecaka latarkę i skierował w dół. Snop światła ukazał szeroki szyb stromo opadający pod kątem.

– Są schody – powiedziała w nabożnym zdumieniu. „Schody” to było duże słowo. W skale wykuto wąskie zagłębienia, w których mogły się zmieścić palce albo pięta. Ale lepsze to niż nic. Nie potrzebowali lin.

Kowalski wrócił do nich i pochylił się nad otworem.

– Fu. – Pomachał ręką przed nosem. – Śmierdzi.

Hank skinął głową.

– Siarka. I czuć ciepło. Niezwykłe jak na kanał termiczny. Pewnie na dole jest jakieś źródło geotermalne...

Niepokojąca myśl, ale nie mieli wyboru.

Odwrócił się do Nancy.

– Mogłaby tu pani na nas poczekać? Jeżeli nie wyjdziemy w ciągu dwóch godzin, proszę wezwać pomoc.

Kiwnęła głową.

– Ale proszę dać nam te dwie godziny – rzekł z naciskiem, obawiając się, że gdy tylko znikną w głębi szybu, Nancy zawiadomi kolegów ze służby parkowej.

– Daję słowo – powiedziała. – I go dotrzymam.

Kawtch z podkulonym ogonem cofnął się od otworu. Obcy zapach musiał przestraszyć psa. Painter nie mógł mu mieć tego za złe.

Hank podał strażniczce smycz.

– Może pani popilnować Kawtcha, czekając na nas?

– Chyba nie mam innego wyjścia. Nie chce tam wchodzić. Pewnie jest najrozsądniejszy z nas wszystkich.

Skoro szczegóły zostały ustalone, Painter szybko zadzwonił do centrali Sigmy, informując Kat i Lisę o sytuacji. Kiedy skończył, schylił się i zaczął ostrożnie schodzić w głąb korytarza, stawiając obcas butów w wykutych otworach. Uważał, żeby się nie pośliznąć i nie spaść

w nieznaną otchłań. Szedł przodem, oświetlając drogę, a pochód zamykał Kowalski uzbrojony w drugą latarkę.

Tunel ciągnął się bez końca. Po kilku minutach otwór prowadzący na powierzchnię zmienił się w maleńkie światło daleko za nimi. W szybie robiło się coraz cieplej i powietrze coraz bardziej cuchnęło. Paintera piekły oczy i nozdrza, a nieprzyjemne odczucie potęgował wiatr, który ze stałą siłą wiał mu w twarz. Nie wiedział, jak daleko zajdą, zanim będą musieli zawrócić.

– Musimy być już głęboko pod wzniesieniem – ocenił Hank. – Przynajmniej ze trzydzieści metrów. Dotknij ścian. Nie ma już piaskowca tylko wapień, który leży tu pod większą częścią wyżyny Kolorado.

Painter także zauważył tę zmianę. Jak głęboko sięga ten szyb?

Kowalski musiał się zastanawiać nad tym samym. Pociągnął głośno z bukłaka z wodą, a potem splunął i zaklął.

– Jak spotkamy gościa z kopytkami i widłami w rękach, to bierzemy dupy w troki, co?

– Może nawet wcześniej – odparł Hank, kaszłąc od odoru.

Painter parł jednak dalej, dopóki jego uszu nie dobiegł syk i przytłumione dudnienie. Latarka oświetliła koniec tunelu.

Nareszcie.

– Mamy coś przed sobą – ostrzegł.

Ostatnie kilka metrów pokonał ostrożniej i nagle znalazł się w jaskini, cudownej i zarazem strasznej w swoim pięknie. Odsunął się na bok, robiąc miejsce dla towarzyszy.

Kowalski wszedł do środka i zaklął.

Hank przykrył ręką usta i zdołał wykrztusić tylko:

– Boże wielki...

Tunel uchodził do olbrzymiej groty, w której mógłby się pomieścić pięciopiętrowy apartamentowiec. Strop był doskonałą kopułą, jak gdyby ogromną komnatę urządzono w bańce wapienia. Tyle że bańka już dawno pękła.

Przez szeroką szczelinę wysoko w ścianie po lewej wdarła się rzeka, wlewając się do jaskini gęstą strugą – nie była to jednak woda. Z pęknięcia płynęło czarne błoto, bulgocząc i buchając parą o zapachu siarki. Zbierało się w wielkie jezioro zajmujące połowę groty, które zasilalo jeszcze kilkanaście strumyczków sączących się z mniejszych szpar. Rozlewisko uchodziło z kolei do głębokiej rozpadliny rozcinającej jaskinię. Na jej dnie kotłowała się kipiąca rzeka błota, znikając w ciemnej gardzieli na drugim końcu groty.

– Niesamowite – powiedział Hank. – Podziemna rzeka błota. To musi być jedna z geotermalnych arterii płynących przez wyżynę Kolorado aż z łańcucha wulkanicznych szczytów San Francisco.

Nie oni pierwsi jednak odkryli tę potężną arterię.

Brzegi parującej rozpadliny spinał łukowy most zbudowany z długich, wąskich płyt piaskowca, które połączono zaprawą. Forma i konstrukcja świadczyły, że to dzieło starożytnych Indian Pueblo.

– Jak można tu było go zbudować? – zdziwił się Kowalski.

– Dawne plemiona tego regionu słynęły z fenomenalnej inżynierii – odrzekł Hank. – Potrafiły budować rozległe i skomplikowane domy w połowie wysokości nagich skalnych ścian. Skonstruowanie tego mostu nie było dla nich trudne. Musieli tu jednak wnieść każdą z tych cienkich płyt.

Oczy profesora zaszklily się – albo od drażniących oparów, albo na myśl o wspianym

wyczynie dawnych budowniczych. Hank ruszył naprzód. Na dnie jaskini leżały skalne odłamki, ale jakaś starożytna ręka dawno temu utorowała drogę do mostu.

Painter poszedł za nim, znając cel profesora. Podobna ścieżka prowadziła od drugiego końca mostu do wejścia do tunelu w przeciwległej ścianie. Ich podziemna wędrówka jeszcze się chyba nie zakończyła.

Kiedy zbliżali się do mostu, temperatura gwałtownie skoczyła i ogarnął ich nieznosny żar. Przesyconym siarką powietrzem niemal nie dało się oddychać. Zaszli tak daleko tylko dzięki wiatrowi, który wiał przez jaskinię, unosząc najgorsze toksyny w stronę szybu za ich plecami.

– Myślicie, że można nim bezpiecznie przejść? – spytał Kowalski, trzymając się z boku z Hankiem, który miał równie niepewną minę.

– Most stoi od stuleci – powiedział Painter. – Ale pójdę pierwszy. Sam. Jeżeli nic się nie stanie, pójdziecie po mnie pojedynczo.

– Ostrożnie – rzekł Hank.

Painter zamierzał uważać. Podeszedł do mostu. Miał stąd dobry widok w głąb rozpadliny. Błoto burzyło się i bulgotało, bryzgając na wapienne ściany po obu stronach. Upadek w ciemną kipieli oznaczał natychmiastową śmierć.

Nie mając wyboru, postawił na moście jedną stopę, potem drugą. Przez moment stał bez ruchu. Konstrukcja wydawała się w miarę solidna, więc zrobił następny krok i jeszcze jeden. Był teraz nad brzegiem rozpadliny. Słyszcząc cichy zgrzyt piaskowca uginającego się nieco pod jego ciężarem, czekał, walcząc ze strachem. Po plecach płynęła mu strużka potu. Oczy łzawiły i piekły.

– Wszystko w porządku?! – zawołał Kowalski.

Painter uniósł rękę na znak, że nic się nie stało, ale bał się zawołać, co oczywiście było głupie. Po chwili znów zaczął się posuwać krok za krokiem, aż wreszcie dotarł na drugą stronę i szczęśliwie zeskoczył na twardą ziemię.

Pochylił się z ulgą, opierając ręce na kolanach.

– Mamy iść?! – krzyknął Hank.

Painter tylko przyzwalająco machnął ręką.

Wkrótce wszyscy bezpiecznie przedostali się na drugą stronę. Ochłonęli i po chwili skierowali się w stronę ciemnego tunelu, zostawiając za sobą błotną kalderę.

Kiedy stanęli u wylotu korytarza, ich wysiłek został nagrodzony chłodnym powiewem z tunelu. Powietrze miało mineralny posmak, ale była to cudowna odmiana po siarkowym żarze jaskini.

Kowalski wystawił rękę na wiatr.

– Skąd tak wieje?

– Możemy się dowiedzieć tylko w jeden sposób. – Painter znów poszedł przodem.

Kiedy ruszyli w dół, Hank wyjaśnił to bardziej szczegółowo.

– System jaskiń sięga chyba bardzo daleko. Jeżeli grota tak oddycha, to na dole musi być ogromna ilość zimnego powietrza. – Wskazał za siebie. – Gorąca jaskinia wyciąga w górę chłód, a wiatr niesie ogrzane powietrze na zewnątrz.

Painter przypomniał sobie szacunkową objętość systemu jaskiń pod wylotem kanału termicznego w Wupatki. Dwieście milionów metrów sześciennych. Przypuszczał, że więcej. Ale jak daleko musieli jeszcze iść?

Tunel ciągnął się coraz głębiej, w niektórych miejscach opadając bardziej stromo, w innych biegnąc niemal płasko. Nigdy jednak nie skręcał w górę. Czuli, że robi się coraz chłodniej. Po

następnych dziesięciu minutach marszu zauważyli na ścianach perłowy połysk lodu odbijający światło latarki Paintera. Przypomniawszy sobie słowa Nancy o oblodzonych rurach lawowych leżących pod stożkiem Sunset Crater. To samo zjawisko było widać tutaj.

Niebawem nawet chodzenie stało się trudne. Kowalski runął jak długi i siarczyście zaklął. Wiało coraz silniej i lodowaty podmuch piekł policzki Paintera równie boleśnie jak siarkowy żar przed zaledwie paroma minutami.

– Czy tylko mnie chodzi po głowie powiedzenie „prędeż piekło zamarznie”? – spytał Kowalski, podnosząc się z ziemi.

Painter nie odpowiedział, bo w świetle nareszcie ukazał się koniec tunelu. Ruszył biegiem, ślizgając się po zdradliwej powierzchni. Wpadł do następnej jaskini i znów zatrzymał się w wejściu oszołomiony widokiem.

Kowalski przenikliwie gwizdnął.

Hank patrzył z nabożnym lękiem w szeroko otwartych oczach.

– Zależliśmy ich.

Painter wiedział, co profesor ma na myśli. Znaleźli Anasazi.

16.14

– Prawie jak gra wideo, *n'est-ce pas?* – zapytał Rafael.

Siedział w tylnej kabine helikoptera obserwacyjnego – jednej z dwóch maszyn wypożyczonych za pewną cenę od grupy ochotniczej milicji, która patrolowała granicę z Meksykiem, szukając „narkoterrorystów”. Dwa helikoptery z przyciemnianymi, kuloodpornymi szybami stały na pustyni półtora kilometra od płaskowzgórza, wolno mieląc powietrze łopatami wirników.

Tylna kabina helikoptera Rafe'a była wyposażona w dwa fotele z poręczami, obracające się między boczną kanapą a ścianą sprzętu, w którego skład wchodziły cyfrowe nagrywarki, odtwarzacze DVD i rząd trzech monitorów, a wszystko było podłączone do mikrofalowych odbiorników i kamer, którymi najeżony był helikopter.

Środkowy monitor ukazywał grupę ludzi wspinających się rynną w zboczu płaskowzgórza i zmierzających w stronę ruin na szczycie. Drgający obraz pochodził z kamery zamontowanej na hełmie Berna, dzięki której Rafe znów mógł monitorować atak.

Odwrócił fotel do Kai Quocheets, która siedziała na bocznej kanapie obok jednego z kolegów Berna. Patrzyła na niego spode łba, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wciąż była wściekła, że ją oszukał, i nie odezwała się ani słowem, odkąd opuścili osadę po zastrzeleniu dwojga starych Indian Hopi. Miał nawet wyrzuty sumienia z tego powodu. Musiał przyznać, że to było nieudolne posunięcie, poniżej jego możliwości, ale był wtedy obolały po podróży do puebla i w podłym nastroju, zły na staruchę, że okazała się odporna na jego metody przesłuchiwanie. Wierzył już, że para Indian naprawdę nic nie wiedziała.

Marnotrawstwo.

Gdyby młoda kobieta nie była tak uparta, mógłby jej rzucić coś na przynętę, ale pozwolił się jej dąsać.

Niech się dąsa.

Odwrócił się, by spojrzeć na monitory. Oddział Berna dotarł na szczyt płaskowzgórza i zbliżył się do miejsca, gdzie satelita ostatni raz namierzył zespół Paintera Crowe'a znikający w następnej rynnicy po drugiej stronie wzniesienia. Rozdzielczość obrazu była za mała, by

pokazać coś więcej.

Nie było trudno odnaleźć dyrektora Sigmy. Wystarczyło kilka telefonów i rozmów, zwłaszcza gdy grupa Paintera zgłosiła się do biura Służby Parków Narodowych po przepustki na szlaki. Nie padły żadne nazwiska, ale ile trzyosobowych grup wybierało się w głąb pustyni z psem? Rysopisy się zgadzały, a dzięki kontaktom rodziny Saint-Germaine w świecie nauki Rafe uzyskał dostęp do satelity geofizycznego i mógł monitorować pustynię wokół puebla Crack-in-the-Rock.

Potem przylecieli od niezamieszkanego północnej strony parku. Wylądowali półtora kilometra od płaskowzgórza, a oddział Berna wysiadł i ruszył pieszo przez pustynię.

Rafe przysunął twarz do ekranu.

– Gdzie ten twój *chiant* wujaszek? – szepnął do monitora.

Patrzył, jak Bern wspina się z lekkością sportowca, przemykając od kamienia do kamienia z ciężkim plecakiem i gotowym do strzału karabinem na ramieniu. Rafe zorientował się, że w zazdrości pociera dłonią udo. Zmusił palce, by zacisnęły się w pięść. Mógł liczyć jedynie na możliwość pośredniego doświadczania cudzego życia. Tak jak teraz. Kiedy patrzył z odpowiednio wyteżoną uwagą, blokując inne bodźce, przez krótki czas naprawdę mógł być Bernem.

Jego zastępca wysunął się na czoło oddziału, zajmując pozycję jedyńki. Bern nie należał do dowódców narażających podkomendnych na ryzyko, którego sami nie mają ochoty podjąć. Ostrożnie przeszedł przez stertę pokruszonych cegieł po starożytnym murze i dotarł do ukrytej szczeliny. Zanim tam wszedł, w kadrze ukazała się jego ręka. Bern dawał znaki. Rafe przetłumaczył je, powtarzając gesty na kolanie.

Nie robić hałasu. Na mój znak. Naprzód.

Kątem oka dostrzegł odbicie Kai w jednym z ciemnych monitorów. Przesunęła się, chcąc mieć lepszy widok. Mogła udawać obojętną bratanicę nieutrzymującą kontaktów z rodziną, lecz Rafe zauważył, że zaczynała szybciej oddychać, ilekroć usłyszała wzmiankę o swoim wuju.

Albo ilekroć wspomniał o osobie schwytej razem z nią.

Chłopaka, Jordana Appaworę, trzymano w drugim helikopterze stojącym dwadzieścia metrów dalej – jako gwarancję dalszej współpracy Kai.

Rafe patrzył, jak Bern ostrożnie schodzi skalną szczeliną przygotowaną na każdą ewentualność. Wyobrażał sobie palący dotyk słońca na jego twarzy, ucisk w piersi od ograniczonego oddychania, napięcie pleców i ramion dźwigających ciężki karabin.

Bern dotarł do zakrętu i przelotnie zajrzał do ślepej rozpadliny. Ten ułamek sekundy wystarczył. Tu właśnie mógł się przydać partner zaglądający przez ramię. Rafe wrócił do tego ujęcia i zatrzymał obraz, by przyjrzeć się dokładniej.

Skalne ściany szczeliny pokrywała ogromna mozaika petroglifów, ale w wąskiej przestrzeni zobaczył tylko jedną osobę. Stała tam kobieta, prawdopodobnie strażniczka parkowa, która pełniła funkcję przewodniczki zespołu Paintera Crowe'a. Stała tyłem do kamery, trzymając w ręku smycz i patrząc w głąb dziury w ziemi.

Ach, więc tam zniknęłaś...

Rafe westchnął.

– Nie ułatwiasz mi zadania, *mon ami*.

Uniósł do ust radio.

– Bern, będziemy chyba musieli zastosować wariant radykalny. Żeby wypłoszyć zwierzynę, trzeba będzie użyć argumentów osobistych.

Wydaj ąc rozkaz, Rafe znów pochwycił w monitorze odbicie Kai.

– Zdejmij strażniczkę. Wchodzimy.

Na ekranie Bern wyskoczył zza zakrętu rynny, unosząc broń.

Strażniczka musiała coś usłyszeć, bo zaczęła się odwracać. Karabin Berna na ekranie drgnął bezgłośnie i kobieta runęła na ziemię.

Kai za jego plecami stłumiła okrzyk.

Rafe wyciągnął rękę w stronę drugiego fotela i odnalazł dłoń Ashandy. Siedziała w milczeniu jak ciemny posąg, niemal zapomniana, ale zawsze bliska jego sercu. Lekko ścisnął jej palce.

– Będzie mi potrzebna twoja pomoc.

16.20

Stojąc u wejścia do jaskini, Hank patrzył na grobowiec Anasazi, który przetrwał wiele stuleci zamrożony głęboko pod ziemią. Usiłował zrozumieć to, co widzi.

Niemożliwe...

Ściany i podłoże pokrywała gruba warstwa błękitnego lodu, którego grube sople zwisały jak stalaktyty z łukowego stropu. W głębi jaskini stała w połowie skuta lodem, zatrzymana w czasie wioska. Zwalone bloki skalne starożytnych czteropiętrowych budowli utworzyły bezładny stos obrośnięty i udrapowany kolejnymi warstwami lodu. Osada wyglądała jak odrodzone Wupatki, tylko większe. Jej mieszkańcy nie mieli się lepiej. Poczerniałe, zmumifikowane zwłoki leżały zamrożone w takiej pozycji, jak gdyby fala wymyła ludzi z domów. Obok, w większości po jednej stronie jaskini, walały się popękane i przysypane gliniane naczynia i drewniane drabiny oraz strzępy skłębionych koców i plecionych koszyków, które zachowały się na mrozie.

– Musiała tędy przejść nagła powódź – powiedział Painter, wskazując na inne tunele łączące się z grota. – Utopiła wszystkich, a potem znowu zamarzła.

Hank przecząco pokręcił głową.

– Ci ludzie najpierw zginęli w ogniu... a potem w lodzie.

– Może zostali przekłęci – rzekł Kowalski nietypowym dla siebie posepnym tonem.

Może.

– Jesteś pewien, że to Anasazi? – spytał Painter.

– Sądząc po strojach, architekturze budynków i charakterystycznych czarno-białych wzorach na naczyniach, ci biedacy pochodzili z jakiegoś klanu Anasazi. To musieli być ostatni z ocalałych – snuł przypuszczenia Hank. – Udało im się uciec przed erupcją wulkanu i przed masakrą. Ukryli się tu i próbowali zbudować pod ziemią nowy dom, którego wejścia broniła mała cytadela na górze.

– Ale kto zamurował wejście? – zapytał Painter. – Dlaczego oznaczyli je półksiężycem i gwiazdą, symbolem *Tawtsee'untsaw Pootseev*?

– Może jakieś sąsiednie plemię, które pomogło ukryć ostatni bastion klanu. Przykryli wejście kamienną płytą i wyryli na niej znak tych, którzy w ich mniemaniu sprowadzili na ten lud karę. Jako ostrzeżenie dla innych, żeby nie wkraczali na tę ziemię.

Painter spojrział na zegarek.

– Skoro o tym mowa, powinniśmy zbadać, co się da, i wracać na górę.

Hank usłyszał w jego głosie nutę rozczarowania. Painter miał pewnie nadzieję znaleźć coś więcej niż lodowy cmentarz. Rozdzielili się, stąpając bardzo ostrożnie. Hank nie był przygotowany do oględzin ciała. Wyciągnął swoją latarkę i zaczął przeszukiwać najniższe

poziomy puebla.

Aby się wcisnąć do środka, musiał wyłamać sterczące jak kły sople, które blokowały wejście. Znalazł zwłoki dziecka, które fala rzuciła do kąta razem z górą śmieci. Z lodu sterczała rozczapierzona rączka, jak gdyby błagając o ratunek.

– Przykro mi... – szepnął i ruszył do następnego pomieszczenia.

Wszystko przykrywał lód i szron, odbijając blask latarki. Piękno tego widoku nie było pozbawione makabry, bo pod lśniąca powierzchnią kryła się tylko śmierć.

Idąc dalej w głąb, miał w głowie nieokreślony cel poszukiwań, prawdziwe serce puebla, miejsce, któremu mógłby oddać cześć. Pochylając się, by wejść przez następne drzwi, nagle znalazł się w czymś w rodzaju atrium pośrodku zrujnowanych pomieszczeń. Z wyższych tarasów opadały girlandy lodu. Hank wyobraził sobie bawiące się na tym dziedzińcu dzieci, które nawoływały się, a matki łąjały je, wyrabiając ciasto na chleb.

Ale wystarczyło spojrzeć dalej, by szybko porzucić takie rozmyślenia. Ze stropu zwieszały się nad jego głową masywne lodowe stalaktyty. Wyobraził sobie, jak się kruszą i spadają, przesywając go na wylot i karząc za naruszanie spokoju mieszkających tu duchów.

Ale martwi bogowie tego ludu mieli wobec intruza inne plany.

Patrząc w górę, Hank w ostatniej chwili zauważył dziurę, lecz było za późno. Wpadła mu prawa noga. Wrzasnął zaskoczony i przeleciał przez otwór wielkości studzienki włączkowej. Rozpaczliwie machając rękami, zgubił latarkę. Nie znalazł jednak żadnego oparcia, jak łyżwiarz wpadający w przerębę w cienkim lodzie.

Spadał nogami w dół, szykując się na śmierć.

Dziura miała jednak głębokość porównywalną z jego wzrostem – jego buty wylądowały na twardym lodzie. Spojrzał w dół. Przed skręceniem karku lub co najmniej złamaniem nogi ocaliło go to, że pomieszczenie, do którego wpadł, było do połowy wypełnione lodem. Sięgnął po leżącą na dnie latarkę i spojrział w górę.

– Hank! – zawołał Painter.

– Nic mi się nie stało! – odkrzyknął. – Ale potrzebuję pomocy! Wpadłem do dziury!

Czekając na ratunek, omiótł latarką izbę. Pomieszczenie było koliste, ze ścianami z cegieł. Powoli dotarło do niego, że wpadł dokładnie do tego miejsca, którego szukał.

Był pewien, że jakiś bóg śmiał się w ponurym rozbawieniu.

Rozejrzał się. Zobaczył nisze w ścianach mniej więcej na poziomie lodowej powierzchni. Zwykle wnęki znajdowały się w połowie wysokości ścian pomieszczenia. Jakiś odbłysek światła latarki przyciągnął jego wzrok do największej niszy.

Nie... jak to możliwe?

Na lodowej posadzce pojawiły się drgające cienie. Hank skierował latarkę do góry i zobaczył Paintera i Kowalskiego, którzy przyglądali mu się zaniepokojeni.

– Zrobiłeś sobie coś? – zapytał zdyszany Painter z wyraźną troską w głosie.

– Nie, ale może sam tu wskoczysz. Nie jestem pewien, czy powinienem tego dotykać.

Painter zmarszczył brwi, lecz Hank ponaglił go gestem.

– Dobra – ustąpił Painter i spojrział na swojego partnera.

– Kowalski, przywiąż linę i rzuć nam.

Kiedy rosły mężczyzna odszedł, Painter obrócił się i lekko wskoczył do skutego lodem pomieszczenia.

– Co takiego znalazłeś, doktorze?

Hank szerokim gestem pokazał koliste pomieszczenie.

– To jest *kiva*, duchowe centrum osiedla Anasazi. Coś w rodzaju ich kościoła. – Wskazał latarką w górę. – Budowali je właśnie w takich studniach. Dziura, przez którą się tu dostaliśmy, nazywa się *sipapa*; dla Anasazi symbolizowała mityczne miejsce, z którego ludzie wyszli na świat.

– No dobrze, a jaki cel ma ta lekcja religioznawstwa?

– Żebyś zrozumiał, co tu czcili albo przynajmniej co przechowywali jako znak oddania bogom. – Skierował latarkę do dużej wnęki. – Wydaje mi się, że właśnie ten przedmiot złodzieje skradli *Tawtsee'untsaw Pootseev*, co doprowadziło do zagłady Anasazi.

17.06

Painter podszedł bliżej niszy, dodając blask swojej latarki do latarki profesora. Przedmiot nie potrzebował jednak lepszego oświetlenia. Lśnił jasno, bez odrobiny brudnego nalotu, pokryty cienką warstwą lodu.

Niesamowite...

W niszy stała złota urna wysokości około pół metra, zwieńczona rzeźbionym łbem wilka. Maleńkie popiersie wykonano z niezwykłą dbałością o szczegóły, od nastawionych uszu po gęstą grzywę na karku. Nawet oczy wyglądały, jakby miały za chwilę mrugnąć.

Przybliżając latarkę, ujrzał znajome znaki precyzyjnie wyryte w równych rzędach na przedniej stronie urny.

– Taka sama inskrypcja jak na złotych tabliczkach – powiedział Painter.

Hank skinął głową.

– To musi być dowód, że totem kiedyś należał do *Tawtsee'untsaw Pootseev*, nie sądzisz? I że Anasazi wykradli go z ich kryjówek.

– Być może – mruknął Painter. – A samo naczynie? Nie wiem, czy się nie mylę, ale wygląda jak waza używana przez starożytnych Egipcjan do przechowywania organów zmarłych.

– Kanopa – rzekł Hank.

– Otóż to. Tyle że na tej jest głowa wilka.

– Egipcjanie ozdabiali swoje urny zwierzętami mieszkającymi na ich ziemiach. Jeżeli ktoś wykonał tę w Ameryce Północnej, to wilk ma sens. Wilki zawsze były tu potężnym totemem.

– Ale czy to nie obala twojej teorii o *Tawtsee'untsaw Pootseev*? Przecież mieli być zaginionym plemieniem Izraela z Księgi Mormona.

– Nie, to nie burzy mojej teorii. – W głosie profesora brzmiał coraz większy entuzjazm. – A nawet ją wspiera.

– Jak to?

Hank przycisnął dłonie do ust, starając się panować nad euforią. Wyglądał, jak gdyby miał ochotę paść na kolana.

– Według naszego pisma złote tablice, które Joseph Smith przetłumaczył i spisał jako Księgę Mormona, zostały napisane w języku nazywanym „zreformowanym egipskim”. Cytując Mormona rozdział dziewiąty, werset trzydziesty drugi: *Oto spisaliśmy tę księgę zgodnie z tym, co wiemy, i uczyniliśmy to za pomocą znaków przekazywanych nam z pokolenia na pokolenie i dostosowanych do naszej mowy, które nazywamy zreformowanym egipskim.*

Hank odwrócił się do Paintera.

– Ale nikt nigdy nie widział tego pisma na własne oczy – powiedział z naciskiem – bo oryginalne złote tablice zniknęły, kiedy Joseph Smith je przetłumaczył. Podobno zostały

zwrócone aniołowi Moroniemu. Wiemy tylko, że znaki miały pochodzić z hebrajskiego i uformowały się po wygnaniu tego plemienia z Ziemi Świętej.

– Dlaczego więc w ogóle nazywa się ten język egipskim? Zreformowanym czy nie.

– Wierzę, że tu kryje się odpowiedź. – Hank pokazał. – Wiemy, że plemiona Izraela łączyły z Egiptem skomplikowane więzy rodowodów. Jak ci już mówiłem, najwcześniejszy wizerunek symbolu półksiężyca z gwiazdą sięga czasów starożytnych Moabitów, którzy byli spokrewnieni z ówczesnymi Izraelitami i Egipcjanami. Kiedy więc zaginione plemię przybyło do Ameryki, przywiozło dziedzictwo dwóch światów. A tu mamy dowód, najczystsze połączenie starożytnej kultury egipskiej i hebrajskiej. Trzeba to ocalić.

Painter sięgnął po urnę.

– Tu się zgadzamy.

– Ostrożnie – ostrzegł Hank.

Dolna część naczyńia tkwiła kilka centymetrów w lodzie, ale nie to niepokoiło profesora. Wszyscy widzieli, co się stało, gdy ktoś nieostrożnie obchodził się ze znaleziskami po *Tawtsee'untsaw Pootseev*.

– Myślę, że nic nie powinno się wydarzyć – uspokoił go Painter. – Jest zamrożone od wieków.

Painter przypomniał sobie opinię Ronalda China, który twierdził, że wybuchowa substancja potrzebuje ciepła, by zachować stabilność, a skrajnie wysoka temperatura ją niszczy. Destabilizacji ulega tylko w niskich temperaturach. Mimo to wstrzymał oddech, sięgając po pokrywę z głową wilka. Podniósł ją, łamiąc cienką lodową skorupkę, po czym zaświecił latarką do środka.

Wreszcie wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Tak jak myślałem. Puste.

Podał pokrywę Hankowi i zabrał się do wyciągania urny z lodu. Udało mu się po kilku mocnych szarpnięciach.

– Ciężkie – powiedział, kładąc pokrywę na miejscu. – Założę się, że to taki sam nanomateriał jak złoto w tabliczkach. Starożytni używali pewnie tego metalu, żeby izolować niestabilną substancję.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Im gęstszy metal, tym lepiej zatrzymuje ciepło. Ogrzewa się dłużej, ale kiedy już to się stanie, zatrzymuje ciepło na dłużej. Taka izolacja działa jak polisa ubezpieczeniowa na wypadek nagłych wahań temperatury. Dawała im też pewnie dodatkowy czas na przeniesienie substancji od jednego źródła ciepła do innego.

Hank pokręcił głową nad pomysłowością starożytnych.

– Czyli złoto pomagało im utrzymać stabilność substancji.

– Wydaje mi się, że ta urna mogła być jednym z nieużywanych naczyń. Ale biorąc pod uwagę to, co się stało pod Sunset Crater, Anasazi musieli wykraść też pełne. – Painter obrócił wagę. – Spójrz na to. Na drugą stronę urny.

Hank podszedł bliżej, stając tuż obok niego.

Na tylnej ścianie starannie wyryto pejzaż: kręty strumień, stromą górę otoczoną drzewami, a pośrodku coś, co wyglądało jak mały wybuchający wulkan.

– Co o tym myślisz? – spytał Painter.

– Nie wiem.

Zanim zdążyli się zastanowić, spadła na nich lina, omal nie wytrącając urny z rąk Paintera.

– Ostrożnie, Kowalski! – zawołał w górę.

– Przepraszam.

Painter podszedł pod otwór i oburącz uniósł naczynie.

– Weź to!

Kowalski ochoczo wyciągnął zdobycz i obejrzał z bliska. Gwizdnął z uznaniem.

– Przynajmniej znaleźliśmy prawdziwy skarb! Teraz siniaki na tyłku jakby mniej bołą.

Nie bez wysiłku Painter i Hank wygramolili się z *kivy*, a potem wszyscy wyszli z zamarzniętego puebla. Gdy znaleźli się w jaskini, Painter spakował złotą urnę, biorąc na własne barki to brzemię w drodze powrotnej. Naczynie włożył obok tabliczek skradzionych przez Kai. Jego plecak musiał ważyć co najmniej trzydzieści kilogramów, więc nie uśmiechała mu się długa wspinaczka w słońcu, ale nie miał innego wyjścia.

– Trzeba ruszać, zanim Nancy wezwie kawalerię.

Odwracając się w stronę tunelu, dostrzegł ciemny kształt, który wyskoczył z wylotu korytarza i śmignął obok niego, niemal zwalając go z nóg. Hank cofnął się przerażony – i nagle poznał przyjaciela.

– Kawtch? – zdumiał się profesor.

Pies przypadł do jego nóg, biegając w kółko i skomląc. Z jego obroży wciąż zwisała smycz, która oplątywała nogi Hanka. Profesor ukląkł na jedno kolano, żeby uspokoić psa.

– Pewnie uciekł Nancy – powiedział.

– Chyba gorzej. – Painter skierował snop światła latarki w dół na lód. Koniec smyczy zostawiał na lśniącej powierzchni ciemnoszkarłatną smużkę.

Krew.

31 maja, 20.07

Louisville, stan Kentucky

Spiesz się i czekaj...

Monk wciąż zapominał, że tak brzmi motto żołnierzy. Nie cierpiał stać na redzie, a właśnie musieli zakotwiczyć u wejścia do portu, tyle że lotniczego. Wszyscy troje siedzieli w kabinie learjeta 55 przed prywatnym terminalem lotniska w Louisville. To był starszy model, ale dowiózł ich do Kentucky całych i zdrowych, a Monkowi podobały się te leciwe maszyny z lekko uniesionymi ogonami. Patrzył przez okno, przyglądając się czarnej płycie lotniska za białymi skrzydłami.

Czekali na oddział żołnierzy z garnizonu wojskowego w Fort Knox, który miał ich odeskortować do skarbcza złota. Siedzieli w samolocie już dziesięć minut. Kolano Monka niecierpliwie podrygiwało. Niechętnie zostawił Kat w centrali Sigmy. Zaczęła mieć skurcze, czym się bardzo denerwował, bo była już w ósmym miesiącu. Twierdziła, że to tylko z powodu nadwyrężenia pleców od długiego siedzenia, ale był tak spięty, że każdą niestrawność traktował jak groźbę poronienia albo zapowiedź bólów porodowych.

Kat kazała mu lecieć do Kentucky i niemal siłą wypchnęła go za drzwi, lecz przedtem czule go przytuliła. Położył dłoń na jej brzuchu jako dumny ojciec, kochający mąż i nawet jako lekarz wojskowy, upewniając się, czy naprawdę dobrze się czuje. Wiedział, jak się bała podczas składania raportu z przebiegu zdarzeń w Islandii, mimo że zniosła to naprawdę dzielnie, zachowując kamienną twarz.

Monk jednak wiedział swoje.

A teraz jeszcze ta wieczorna wyprawa do Kentucky. Chciał to jak najprędzej załatwić i wracać do niej. Uwielbiał zadania, nie cierpiał bezczynności, ale gdy lada chwila mogło się urodzić dziecko, chciał tylko być przy Kat i masować jej stopy.

Tak, był właśnie takim mężczyzną.

Monk przycisnął czoło do szyby.

– Gdzie oni są?

– Niedługo będą – powiedział Gray.

Monk z powrotem opadł na fotel, mierząc Graya wściekłym spojrzeniem, jak gdyby szukał winnego. W kabinie samolotu wyłożonej klonem ptasie oczko zamontowano cztery skórzane fotele: dwa zwrócone do przodu i dwa w stronę ogona. Monk siedział dokładnie naprzeciwko Graya, a Seichan obok jego partnera, opierając bolącą nogę o przeciwległy fotel.

– Czy my w ogóle wiemy, czego tu mamy szukać? – spytał Monk, nie spodziewając się odpowiedzi, ale próbując zająć czymś uwagę.

Gray wciąż spoglądał przez okno.

– Ja być może wiem.

Kolano Monka znieruchomiało. Nawet Seichan spojrzała na Graya. Zanim wystartowali z Waszyngtonu, plan był prosty: zajrzeć do Fort Knox i powęszyć. Może niezbyt błyskotliwa strategia, ale nikt nie znał tajemniczego źródła emisji neutrin. Nietypowe odczyty zauważone przez japońskiego fizyka mogły być istotne, mogły też nie znaczyć nic. Ich wyjazd przypominał wyprawę na ryby, na którą wszyscy troje zapomnieli zabrać wędki.

– No więc co o tym myślisz? – spytał Monk.

Gray wziął teczkę wciśniętą obok siedziska fotela. Czytał wszystkie raporty wywiadowcze związane z ich misją. Jeśli ktokolwiek mógł znaleźć logikę łączącą mrowie przeróżnych szczegółów, to na pewno Gray. Czasem Monk żałował, że jego umysł nie pracuje w ten sposób, ale może i lepiej. Wiedział, jakie brzemie często bierze na swoje barki przyjaciel, i był bardzo zadowolony, że gra rolę drugoplanową. Ktoś przecież musiał wynosić śmieci i karmić psa.

– Jeszcze raz przeczytałem opinię fizyka – rzekł Gray i uniósł wzrok znad kartek. – Wiedzieliście, że ma zespół Aspergera?

Monk wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Facet jest geniuszem, prawdopodobnie ma też genialną intuicję. Uznał, że małe fale neutrin, które wykrył tu, na zachodzie i w Europie, pochodzą ze źródła powiązanego, ale różniącego się od substancji, która eksplodowała w Utah i w Islandii. Wyszedł z założenia, że ten nowy związek może być izotopem albo nawet produktem ubocznym pozostałym po wytworzeniu tego materiału wybuchowego. Tak czy inaczej, jest przekonany, że coś łączy te dwie substancje.

– Do czego zmierzasz? – zapytała Seichan, ziewając i zasłaniając usta pięścią.

– Posłuchajcie mnie do końca. W jaskini znaleziono jeszcze inne przedmioty, w których wykryto elementy nanotechnologiczne: dziwne sztylety ze stali i złote tabliczki. – Gray wbił ciężki wzrok w Monka. – Painter ma ze sobą na zachodzie dwie te tabliczki.

– Czyli tam, gdzie wykryto emisję – pojął Monk.

– Inne źródło zlokalizowano w Belgii, skąd pochodził oddział Gildii, z którym starliśmy się w Islandii. Przypuszczam, że Gildia ma jedną z tych tabliczek. Pomyślcie, jak zawzięcie ścigali bratanicę Paintera. Może zabezpieczyli swoją tabliczkę w Belgii.

Seichan opuściła zranioną nogę i usiadła prosto.

– A teraz wszyscy jedziemy do skarbcza pełnego złota.

Monkowi wydawało się, że zrozumiał.

– Myślisz, że w Fort Knox też może być ukryta taka złota tabliczka.

– Nie – zaprzeczył Gray i postukał palcem w teczkę leżącą na siedzeniu. – Czytałem o historii Fort Knox i pierwszych mennic w Stanach. Wiedzieliście, że Thomas Jefferson pomógł utworzyć pierwszą mennicę, którą założono w Filadelfii? Poleciał nawet wybić serię srebrnych monet ze swoją podobizną, które Lewis i Clark zabrali na swoją ekspedycję. Kazał też bić złote monety.

Monk próbował nadążyć za tokiem myśli Graya, ale został w blokach startowych.

– Pierwszy dyrektor mennicy w Filadelfii nazywał się David Rittenhouse. Tak jak Benjamin Franklin i Jefferson był człowiekiem renesansu: zegarmistrzem, wynalazcą, matematykiem i politykiem. Należał też do Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego.

Monk rozpoznał nazwę.

– Tak jak ten Francuz. Fortescue też chyba był członkiem tej grupy?

Gray skinął głową.

– Rittenhouse był nawet w wielkiej przyjaźni z Jeffersonem, jak zresztą wszyscy ważni uczestnicy tej sprawy. Na pewno należał do ścisłego grona współpracowników Jeffersona, był

jego zaufanym towarzyszem.

– No... – rzekł z wahaniem Monk.

– Według dziennika Fortescue Jefferson ukrył indiańską mapę. – Gray zacytował z pamięci: – *Jefferson, przebiegły jak zawsze, opracował plan zabezpieczenia indiańskiej mapy, aby nigdy nie wpadła w ręce bezimiennego wroga. Postanowił wykorzystać to samo złoto, by ją ukryć i jednocześnie pozostawić na oczach wszystkich. Nikt by nie podejrzewał, że skarb zostanie ukryty w sercu Pieczęci.*

Seichan zrozumiała pierwsza.

– Myślisz, że Jefferson zwrócił się do Rittenhouse'a o pomoc w ukryciu mapy w mennicy – powiedziała. – Żeby ją „pozostawić na oczach wszystkich”.

– Tak sędzę. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku opróżniono mennicę w Filadelfii, a przechowywane tam złoto przetransportowano wagonem towarowym do Fort Knox. Według relacji z tamtych czasów w głębi mennicy znaleziono ukryte złoto w sztabach jeszcze z epoki kolonialnej. Przewieziono je także do Fort Knox.

– To znaczy, że mapa też mogła zostać przewieziona – zauważył Monk. – Ale skąd możemy mieć pewność? Przecież ktoś mógł zauważyć mapę wyrytą w złocie, zwłaszcza jeżeli wyłożono nią kawałki kości mastodonta, nie?

– Nie wiem – odrzekł Gray. – Będziemy musieli sami zobaczyć. Ale jeszcze jedno. Według opisu Fortescue indiańską mapę zrobiono z tego samego złota, które się nie topiło, z tego samego materiału co tabliczki z inskrypcjami.

Monk zrozumiał.

– Czyli jeżeli tabliczki emitują neutrino, to mapa też.

Gray skinął głową.

Monk opadł na oparcie fotela, podziwiając błyskotliwość umysłu przyjaciela, także z egoistycznych powodów. Dzięki jego wyjątkowej przenikliwości mieli szansę wrócić do Waszyngtonu jeszcze przed północą.

Jego uwagę przyciągnął pisk hamulców na płycie lotniska. Obok samolotu zatrzymał się wielki hummer w piaskowym kolorze.

Monk podniósł się z miejsca.

– Chyba przyjechała nasza podwoda.

20.37

Czy mapa naprawdę może być ukryta w Fort Knox?

Gray patrzył przez okno z tylnego siedzenia hummera i dręczyły go wątpliwości. Potężny wóz pędził z rykiem silnika Dixie Highway i ostro skręcił w zjazd prowadzący do skarbcza. Opancerzoną bestią jechała także ich eskorta: czterech żołnierzy z brygady wchodzącej w skład garnizonu armii Stanów Zjednoczonych w Fort Knox. Gdy dotarli do głównej bramy, pokazano przepustki i dokumenty, po czym strażnik machnął ręką, wpuszczając ich na teren bazy. Samochód ruszył w kierunku najpilniej strzeżonego obiektu w kraju: skarbcza złota w Fort Knox.

Gray zobaczył przed sobą twierdzę rozświetloną w ciemności ciepłego wieczoru jak granitowe więzienie wyrastające pośrodku pustego pola i otoczone ogrodzeniami. Bram strzegły budki wartownicze, a w narożach budynku wznosiły się cztery wieżyczki jak w murze obronnym warownego zamku. Gray wiedział, że kiedy znajdą się już w środku, zobaczą dodatkowe elementy systemu ochrony, który miał bronić skarbcza przed atakiem: alarmy, kamery, uzbrojoną

straż oraz bardziej wyszukane środki, takie jak analizatory cech biometrycznych, programy rozpoznawania twarzy, a nawet czujniki sejsmiczne. To były powszechnie znane zabezpieczenia. Informacje o innych pozostawały tajne. Krążyły pogłoski, że obiekt można było błyskawicznie zalać wodą jak w wypadku Banku Francji albo nawet wypełnić toksycznymi gazami.

Zanim ktoś zdołałby dotrzeć do kordonu bram twierdzy, musiałyby oczywiście najpierw pokonać otaczającą skarbiec bazę wojskową o powierzchni czterdziestu tysięcy hektarów – zadanie było beznadziejne, zważywszy na liczbę helikopterów szturmowych, czołgów, artylerii i trzydzieści tysięcy żołnierzy.

Gray opuścił wzrok na swoje kolana.

Wejście było trudnym zadaniem, jeżeli ktoś nie miał złotego glejtu.

Leżący na jego kolanach złożony rozkaz prezydencki był zaopatrzony w urzędową i zarazem staroświecką woskową pieczęć. Na wierzchu pisma widniał niedawno złożony podpis prezydenta Jamesa T. Ganta. Skarbiec nie organizował żadnych wycieczek, zwiedzający nie mieli tam wstępu, a w jego historii tylko dwaj prezydenci USA postawili stopę w środku. Jedynym sposobem, by dostać się do wnętrza, było przedstawienie rozkazu prezydenckiego. Gray wiedział, że te dokumenty zostały już przekazane szefowi ochrony skarbcza. Mieli go spotkać przy głównym wejściu.

Dotknął palcami pieczęci, zastanawiając się, co by się stało, gdyby ją złamał, zanim oficer sprawdzi papiery. To byłaby głupota. Sigma użyła wszystkich dostępnych środków, by wyłudzić dokument w tak krótkim czasie. Prezydent Gant miał jednak wobec Sigmy dług wdzięczności za uratowanie mu tyłka na Ukrainie, więc szef personelu Białego Domu odebrał telefon od Kat.

Rozkazy prezydenta były szczegółowe i dotyczyły tylko zgody na jednorazowe wejście trzech osób. Zerknął przez siedzenie na Seichan i Monka. Według papierów wolno im było obejrzeć skarbiec pod nadzorem, aby odnaleźć zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych i usunąć je z obiektu. W tym zamykało się ich upoważnienie. Naruszenie warunków zezwolenia zostałoby uznane za wrogi akt.

Hummer skręcił w Gold Vault Road. Mimo że mieli w ręku prezydencki rozkaz, musieli przejść dodatkową kontrolę przy bramie ogrodzenia z budkami wartowniczymi po obu stronach. Wreszcie przejechali i ruszyli długą drogą prowadzącą do głównego wejścia do twierdzy.

– Kochanie, już jesteśmy – mruknął pod nosem Monk.

Przyjaciel Graya z powrotem przymocował protezę ręki do przegubu i zgiął palce. Kiedy pokonywali pięćdziesięciokilometrowy odcinek drogi z lotniska do skarbcza, Monk przeprowadził szybki test diagnostyczny swojej nowej ręki, chcąc się czymś zająć i zagłuszyć niepokój. Chociaż nosił to urządzenie od lat, widok odłączonej protezy, która poruszała się sama jak oderwana od ciała kończyna z horroru, wciąż wytrącał go z równowagi. Bezprzewodowy nadajnik wmontowany w przegub mógł samodzielnie sterować silnikami i siłownikami protezy, a także innymi wyjątkowymi funkcjami ręki. Na szczęście żołnierze siedzący z przodu nie widzieli tego pokazu osobliwości na tylnym siedzeniu.

W końcu hummer się zatrzymał. Z budynku wyszedł wysoki mężczyzna w granatowym garniturze i zbliżył się do samochodu.

To musiał być szef ochrony skarbcza. Był młodszy, niż Gray się spodziewał, prawdopodobnie niedawno przekroczył trzydziestkę. Miał krótko ostrzyżone blond włosy, a pewność siebie, z jaką kroczył w stronę hummera, niedwuznacznie świadczyła o tekszańskim pochodzeniu. Ucisnął rękę Graya mocno, lecz bez ukrytej groźby.

– Mitchell Waldorf – powiedział, lekko przeciągając samogłoski. – Witam w skarbcu. Rzadko

miewamy tu gości. Zwłaszcza o tej porze.

W szarozielonych oczach błysnęły iskiereki rozbawienia.

Gray przedstawił wszystkich i wręczył rozkaz prezydenta. Mężczyzna, rzucając ledwie okiem na papiery, od razu zaprowadził ich do wejścia, zostawiając na zewnątrz żołnierzy eskorty. Gdy weszli do wyłożonego marmurem holu, Waldorf podał dokumenty stojącemu w korytarzu umundurowanemu strażnikowi. W twarzy potężnego czarnoskórego mężczyzny nie było cienia życzliwości. Bez słowa zniknął z rozkazami w rękę za drzwiami z tabliczką KAPITAN STRAŻY. Gray podejrzewał, że papiery przejdą teraz proces drobiazgowej kontroli i weryfikacji. Kat przygotowała im niepodważalne alibi, wyposażając ich w fałszywe dokumenty i odznaki – byli agentami Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Miał nadzieję, że papiery nie zostaną zakwestionowane.

Tymczasem czekała ich osobista kontrola.

– Najnowsza procedura bezpieczeństwa – wyjaśnił Waldorf. – Stosujemy ją od dwóch miesięcy. Skanery ciała. Dzisiaj trzeba być bardzo dokładnym.

Gray wszedł do maszyny i cierpliwie poddał się skanowaniu falami elektromagnetycznymi całej powierzchni ciała, podczas gdy technik ubrany w mundur policji Mennicy USA wpatrywał się w niewielki ekran. Pomagali mu inni funkcjonariusze, wyglądało jednak na to, że o tej porze w skarbcu jest niewielu ludzi. Ale w końcu system zabezpieczeń w dużej mierze opierał się na elektronice i był niewidzialny.

Po zakończeniu kontroli technik gestem polecił Grayowi wyjść do holu. Czekając na pozostałych, Gray przyglądał się gigantycznej wadze ustawionej pod przeciwległą ścianą. Wznosiła się na trzy i pół metra, a zawieszona na niej szale miały średnicę ponad metra. Nieco dalej w korytarzu znajdowały się masywne stalowe drzwi prowadzące do samego skarbcu. Nad nimi umieszczono zrobioną ze złota pieczęć Departamentu Skarbu.

– Nie można tu tego wносить – powiedział technik za jego plecami.

Gray odwrócił się, spodziewając się, że Seichan wywołała jakieś zamieszanie przy stanowisku kontroli. Może zapomniała, że ma gdzieś ukryty nóż? Okazało się jednak, że powodem konsternacji technika był Monk.

Jego przyjaciel wciąż stał w kabinie aparatu z wyciągniętą w górę protezą ręki.

– To jest do mnie przymocowane – poskarżył się.

– Przykro mi. Jeżeli skaner nie może tego prześwietlić i sprawdzić, musi zostać na zewnątrz. Może pan poczekać przy drzwiach albo zostawić protezę u nas.

– Takie mamy zasady – odezwał się szorstki głos za plecami Graya.

Odwróciwszy się, zobaczył kapitana straży.

Policzki Monka spurpurowiały.

– Dobrze. – Zwolnił magnetyczne złącza, które mocowały rękę do wszczepionego w przegub mankietu, i rzucił protezę drugiemu z techników, który włożył ją do plastikowego pojemnika. Monk drugi raz przeszedł kontrolę skanerem, po czym dołączył do reszty.

– Powiem tylko – rzekł – że takie zasady zupełnie roz mijają się z przepisami ustawy o zakazie dyskryminacji niepełnosprawnych.

Kapitan straży puścił jego uwagę mimo uszu i się przedstawił.

– Kapitan Lyndell. Będę państwu towarzyszył. Szef ochrony odpowie na wszystkie pytania, ale zanim otworzymy skarbiec, sam chcę państwa spytać: na czym właściwie polega zagrożenie bezpieczeństwa narodowego, które państwo badają?

– Niestety, tego nie możemy ujawnić, kapitanie – odparł Gray.

Odpowiedź najwyraźniej mu się nie spodobała.

Gray rozumiał jego frustrację. Też nie byłby zadowolony, gdyby chodziło o obiekt pod jego opieką.

– Szczerze mówiąc, stopień zagrożenia jest prawdopodobnie niewielki i być może nawet będziemy mieli trudności, aby je zidentyfikować. Będziemy wdzięczni za pomoc pana, kapitanie, i pana Waldorfa.

Prośba o współpracę chyba go udobruchała.

W pewnym stopniu.

– W takim razie chodźmy.

Lyndell podszedł do drzwi skarbcza i wstukał długi kod. Dwie osoby czekały, by zrobić to samo. Nikt nie znał całego kodu. Kiedy dwaj następni skończyli, kapitan straży wprowadził ostatnią, dodatkową sekwencję.

Czerwona lampka nad klawiaturą zmieniła się w zieloną i masywne, wyłożone stalową płytą drzwi zaczęły się same otwierać. Minęła cała minuta, zanim dwudziestotonowe skrzydła uchyliły się na tyle, by cała grupa mogła wejść do środka.

– Proszę za mną – powiedział Waldorf, ruszając przodem. Najwyraźniej to on miał być ich przewodnikiem.

Lyndell czekał, by zamknąć pochód i z tyłu pilnie obserwować gości.

– Obecnie – zaczął Waldorf – przechowujemy tu około stu pięćdziesięciu milionów uncji złota. Wystarczyłoby do odlania sześcianu litego złota o boku sześciu metrów. To oczywiście niezbyt wygodna metoda przechowywania. Dlatego mamy skarbiec. Składa się z dwóch poziomów. Każde piętro jest podzielone na mniejsze komory. Wejdziemy teraz na dolny poziom, ale mamy też podziemia.

Waldorf odsunął się na bok, żeby zrobić im miejsce, po czym zwrócił się do Graya:

– To oznacza, że mają państwo do sprawdzenia dużą przestrzeń. Jeżeli jest sposób, żeby zawęzić pole poszukiwań, to teraz powinniście go ujawnić. W przeciwnym razie spędzimy tu dużo czasu.

Gray przeszedł przez grube stalowe drzwi i znalazł się w korytarzu podzielonym na mniejsze skrytki. Spoczywały w nich lśniąca sztabki złota ułożone od sufitu do podłogi. Sama ilość budziła rezygnację.

Oderwał wzrok od sztabek i rzekł do Waldorfa:

– Po pierwsze chciałbym spytać, czy poza złotem przechowuje się tu coś nietypowego.

– Co? Na przykład fiołki z gazem paralizującym, narkotyki, broń biologiczną? Znam to na pamięć. Słyszałem nawet, że mamy tu zwłoki Jimmy’ego Hoffy i kosmitów, którzy rozbili się w Roswell. Kiedyś rzeczywiście przechowywaliśmy w skarbcu przedmioty o bezcennej wartości historycznej. Podczas drugiej wojny światowej chroniliśmy oryginalne egzemplarze Deklaracji Niepodległości i Konstytucji razem z Wielką Kartą Swobód z Anglii i klejnotami koronnymi kilku państw europejskich. Ale od dziesięcioleci nic się tu właściwie nie zmieniło. Od wielu lat nawet nie wnoszono ani nie wynoszono ze skarbcza żadnego złota.

– Proszę więc powiedzieć nam coś o samym złocie – powiedział Gray. – Widzę mnóstwo sztabek, ale czy jest tu złoto w innej formie?

– Oczywiście. Przechowujemy pojedyncze złote monety i sztabki odlane ze stopionych monet. Poza standardowymi sztabkami mennicznymi mamy też mieszankę starszych kostek, płyt, bloków. Do wyboru, do koloru.

– Stare złoto w surowym stanie? – zapytał Monk, zmierzając prosto do celu.

– Owszem. Mamy złoto z każdej epoki historii Ameryki.

Gray skinął głową.

– Właśnie to chcielibyśmy zobaczyć. Zwłaszcza to, co przewieziono z mennicy w Filadelfii i co pochodzi z czasów kolonialnych.

Swobodny dotąd Waldorf nieco zeszywniał.

– Dlaczego miałyby to interesować Agencję Bezpieczeństwa Narodowego?

– Nie mamy pewności – wyznał Gray w zasadzie zgodnie z prawdą. – Ale możemy od tego zacząć.

– No dobrze, pan dowodzi tą wyprawą. Trzeba będzie zejść do podziemi, a tam złota prawie w ogóle nie ruszano, odkąd przyjechało wagonem do Kentucky.

Waldorf skierował się na schody i zaprowadził ich do części skarbcza leżącej pod ziemią. Gray znów pomyślał, czy to prawda, że skarbiec skonstruowano tak, aby w razie złamania zasad bezpieczeństwa został zalany. Wyobraził sobie, że podziemie wypełnia się wodą, a on tonie w otoczeniu bezcennego bogactwa.

– Tędy – powiedział ich przewodnik i zdecydowanym krokiem ruszył w głąb korytarza.

Złoto na dolnym poziomie nie było tak równiutko ułożone jak na górnym, głównie ze względu na różne rozmiary sztabek.

Waldorf machnął ręką w kierunku skarbcza.

– Cała ta część pochodzi z Filadelfii. Przechowujemy tu złoto, które jako pierwsze wyszło z tej mennicy. Jest w pomieszczeniu na końcu korytarza. Proszę za mną.

Gdy dotarli do celu, Lyndell kluczem otworzył zakratowaną bramę schowka, który miał kształt kwadratu o boku długości około trzech metrów. Pomieszczenie było zastawione chaotycznie i, niestety, pełne po brzegi. W jednej części znajdowały się nieregularne prostokątne bloki złota przypominające małe kowadła, w drugiej stosy prętów o kwadratowym przekroju, w trzeciej natomiast płaskie płyty wielkości niewielkich tac.

Gray patrzył na to z konsternacją, wyobrażając sobie wypływające stąd fale cząstek elementarnych. Jeżeli byli we właściwej części skarbcza, jak mieli znaleźć igłę w stogu złota?

Monk, który nigdy nie wzdragał się przed ciężką pracą, wcisnął się do pomieszczenia i zaczął się rozglądać. Był raczej człowiekiem czynu niż głębokiego namysłu i czasem jego usposobienie przynosiło im korzyści.

– Popatrzcie na to. – Monk wskazał szeroką płytkę leżącą na niższym stosie. – Tu jest wybita Wielka Pieczęć.

Gray wszedł do schowka i stanął obok Monka. Pośrodku płaskiej sztaby złota wytłoczono niezbyt równo bielika z rozpostartymi skrzydłami, trzymającego gałązkę oliwną i pęk strzał.

– Przypomnij sobie, co Fortescue napisał o pieczęci – powiedział Monk.

Gray doskonale wiedział: *Nikt by nie podejrzewał, że skarb zostanie ukryty w sercu Pieczęci.*

– Może miał na myśli Wielką Pieczęć – dodał Monk.

Gray przyglądał się leżącej na wierzchu płycie. Mierzyła mniej więcej trzydzieści pięć na dwadzieścia pięć centymetrów i miała dwa i pół centymetra grubości. Nie znali dokładnego opisu starej indiańskiej mapy, ale wyłożono nią czaszkę mastodonta. To oznaczało, że musiała być dość duża – tak jak te sztaby.

Rozejrzał się badawczo po schowku. Musi tu być ponad sto takich płyt. Która to może być? Czy jedna z nich – ukryta w którymś stosie – przedstawia zarys mapy? Mogli się przekonać tylko w jeden sposób. Gray musiał iść w ślady Monka. Przyszła pora zakasać rękawy i użyć siły fizycznej.

Gestem pokazał stosy płyt.
– Trzeba je powyciągać po kolei.

21.10

Kiedy Gray i Monk pracowali, wynosząc ze schowka każdą sztabę i układając na zewnątrz, Seichan stała z boku. Nie mogła im pomóc z powodu zranionej nogi. Gdyby nawet nic jej nie dolegało, z trudem udźwignęłaby płytę. Każda ważyła ponad trzydzieści kilogramów.

Nie miała pojęcia, jak Monk sobie radzi jedną ręką.

Obaj zdjęli już kurtki i podwinęli rękawy. Kiedy jedną po drugiej wyciągali sztaby na zewnątrz, mięśnie na ich przedramionach napinały się jak postronki. Gray oglądał każdą z obu stron, szukając śladów mapy. Poprosił też obu nadzorców skarbcza, aby pozwolili im to robić samym. Waldorf i Lyndell bez protestów cofnęli się o kilka komór, rozmawiając szeptem, lecz pilnie obserwując poczynania Graya i Monka.

Ponure rysy kapitana straży wyrażały powątpiewanie.

I słusznie.

Bez powodzenia przejrzeni już połowę płaskich sztab.

Gray wyszedł na korytarz, taszcząc następną. Kiedy kładł płytę na stosie, Seichan zauważyła, że jego wargi zbladły, jak gdyby odpłynęła z nich krew – nie z wysiłku, lecz z frustracji. Ukląkł na jedno kolano, by obejrzeć sztabę z obu stron, opierając ją o krawędź. Na jego czole lśniły strużki potu.

Przykuśtykała do niego.

– Obejrzeż z tej strony, a ty z drugiej.

– Dzięki. – Spojrzał na nią ponad płytą. – Myślisz, że szukamy wiatru w polu?

– Moim zdaniem trafiłeś. – Seichan przesunęła opuszkami palców po złotej powierzchni, szukając jakichkolwiek śladów rysunku mapy. – Teraz trzeba tylko szukać.

– Jest coś po twojej stronie?

– Nic.

Przesunął sztabę i położył na pozostałych. Ściszył głos.

– Coś mi nie daje spokoju. Jeżeli Jefferson osadził mapę na jednej z tych płyt, dlaczego nikt jej nie zauważył? Nie skomentował?

– Może mapa nie jest wybita na zewnątrz, ale ukryta wewnątrz.

– Jak to?

– Według tego Francuza mapa była zrobiona z nanozłota, znacznie gęstszego, które nie topi się w normalnej temperaturze. Żeby ocalić czy ukryć mapę, można pokryć ją całą zwykłym złotem, prawda? Nie ma żadnego ryzyka. Gdyby mapa była potrzebna, zawsze można stopić zwykły metal, bo nanozłoto wymagałoby znacznie wyższej temperatury.

Gray otarł pot z czoła.

– Masz rację. Powinienem o tym pomyśleć.

– Nie możesz myśleć o wszystkim.

I nie możesz się troszczyć o wszystkich.

Zauważyła, że w drodze regularnie sprawdzał telefon. W Waszyngtonie zaszło już słońce i wiedziała, że martwi się o stan ojca.

– Przecież to było napisane wprost w dzienniku Fortescue – wyrzucał sobie Gray. – *Skarb zostanie ukryty w sercu Pieczęci.*

– Lepiej chodźcie popatrzeć na to! – zawołał ze schowka Monk.

Gray i Seichan weszli do pomieszczenia, ale było ciasne.

Podpierając się jedyną ręką, Monk pochylił się nad następną sztabą. Po chwili cię cofnął.

– Popatrzcie na pieczęć.

Seichan zerknęła nad ramieniem Graya, przez cienką koszulę czując wilgoć skóry na jego plecach. Nie rozumiała, dlaczego Monk tak bardzo się podnieca, spostrzegła jednak, że mięśnie barków Graya stały się twarde jak skała.

– To musi być ta – orzekł Gray.

– Ale nie ma na niej mapy – zauważył Monk. – Sprawdziłem z obu stron.

– Nie sprawdziłeś wewnątrz... – odparł Gray, odwracając się do Seichan i niemal muskając ustami jej policzek.

Odchyliła się, żeby odpowiedzieć.

– O co chodzi? Co w tej płycie jest takiego ważnego?

Gray przyciągnął ją do siebie, ujął jej dłoń i przytknął jej palce do pęku strzał trzymanego przez bielika.

– Jest ich czternaście.

Odwróciła do niego twarz. Przypomniała sobie szkic projektu wstępnej wersji Wielkiej Pieczęci, sporządzony w czasie, gdy Jefferson i jego sprzymierzeńcy rozważali możliwość utworzenia indiańskiej kolonii. Tam też było czternaście strzał.

– To musi być to – powtórzył z naciskiem Gray.

– Ale jak możemy się upewnić? – spytał Monk. – Nie powinniśmy najpierw obejrzyć reszty?

Gray pokręcił głową.

– Można to sprawdzić. Jeżeli ta sztaba kryje w sobie mapę, trzeba po prostu porównać jej wagę z wagą innych. Jeżeli mapa rzeczywiście jest wewnątrz, będzie zrobiona z gęstszego materiału, więc sztaba powinna trochę więcej ważyć.

– Gdyby tak użyć tej gigantycznej wagi, którą widzieliśmy w holu? – zaproponowała Seichan.

– Pewnie jest za mało dokładna, ale można poprosić o pomoc Waldorfa. Skoro mają tu tyle złota, muszą mieć też precyzyjną wagę.

Gray podniósł płytę sam, strzegąc znaleziska. Monk i Seichan razem dźwignęli drugą jako materiał do porównania. Chwiejnym krokiem podeszli do Waldorfa i Lyndella.

Gray wyjaśnił, czego potrzebują, nie podając jednak powodów, co wyraźnie zirytowało kapitana straży.

Lyndell wkroczył między Monka i Seichan. Uwolnił ich od ciężaru, unosząc płytę, jak gdyby była zrobiona z drewna.

– Chodźmy. W holu przed skarbcem jest gabinet miar i wag. Im szybciej to zrobimy, tym szybciej stąd wyjedziecie.

Idąc za nim, przedelfilowali przez pierwszy poziom i opuścili skarbiec. Ledwie zrobili kilka kroków w głąb holu, gdy wyrósł przed nimi kordon uzbrojonych żołnierzy, mierząc do ich grupy z karabinów.

– Co to ma znaczyć? – zdumiał się Lyndell.

Jeden z funkcjonariuszy straży podszedł do kapitana i podał mu kartkę, drugą ręką wskazując na Seichan.

– Panie kapitanie, właśnie dostaliśmy wiadomość. Ta kobieta jest znaną terrorystką poszukiwaną przez CIA i kilka służb zagranicznych.

Seichan poczuła chłód przenikający całe ciało. Została zdemaskowana. Nic nie rozumiała.

Przecież miała niepodważalne dokumenty. Spojrzała na stanowisko kontroli w holu. Zgodnie z tym, co mówił Waldorf, skaner ciała został zainstalowany niedawno. Czyżby uruchomił jakiś alarm, wysyłając do jakiejś bazy danych trójwymiarowy obraz jej twarzy i ciała? Bez względu na powód wynik był ten sam.

Wszystkie oczy – i lufy – skierowały się w jej stronę.

– Otrzymaliśmy rozkaz – ciągnął funkcjonariusz – żeby natychmiast zatrzymać ją i wszystkie towarzyszące jej osoby. W razie oporu mamy strzelać.

Lyndell odwrócił się do nich z triumfującą miną, jak gdyby potwierdziły się jego podejrzenia.

– Wiedziałem, że coś z wami jest nie w porządku. – Wskazał złotą płytę, którą Gray trzymał w ramionach. – Straż, proszę natychmiast odnieść złoto do skarbcza i zabezpieczyć.

Seichan spojrzała na Graya, przeprasząc go niemo.

Waldorf odwrócił się do Graya gotów odebrać mu skarb. Z kabury pod pachą, którą miał ukrytą pod marynarką, wyciągnął pistolet, patrząc na nich z rozczarowaniem. Zrobił krok naprzód, szybko przyłożył lufę do tyłu głowy Lyndella i strzelił.

Na dźwięk huku wszyscy podskoczyli i uchylili się odruchowo.

Sztaba, którą trzymał Lyndell, wylądowała z trzaskiem na podłodze. Pękła marmurowa płytka.

To był dopiero początek. Na znak Waldorfa czterej żołnierze stojący z tyłu – ci sami, którzy eskortowali ich z lotniska – otworzyli ogień do strażników. Ciała funkcjonariuszy runęły na podłogę. Wszystko trwało zaledwie parę sekund.

Morderstwo dokonane z zimną krwią.

– Łajdacy – powiedział Gray.

Monk przykucnął, by zbadać Lyndellowi puls. Opuścił rękę i z równym smutkiem przyjrzał się martwym funkcjonariuszom straży.

– Weźcie tę złotą sztabę – rozkazał żołnierzom Waldorf.

– Zaprowadzić więźniów do samochodu. Odwieźć na miejsce spotkania. – Następnie wskazał na własną nogę. – Zróbcie to.

Jeden z żołnierzy wycelował i strzelił, trafiając go w udo. Waldorf skręcił się i upadł od siły uderzenia, wydając tylko głośne „uff”.

Seichan zrozumiała. Chcieli to tak zainscenizować, jak gdyby grupa Graya zaatakowała ochronę skarbcza i uciekła. Teraz było nawet jasne, dlaczego tak długo czekali na lotnisku. Pewnie prawdziwa eskorta leżała martwa w jakimś kanale, a jej miejsce zajęli oszuści. Seichan patrzyła na Waldorfa. Wiedziała, że Gildia ma swoich agentów we wszystkich chronionych obiektach. Ile czasu potrzebował Waldorf, żeby sięgnąć po tak wpływowe stanowisko? Czyżby Gildia traktowała skarbiec jak własny bank?

A może mieli jeszcze bardziej diaboliczny plan? Może Gildia zawsze podejrzewała, że w Fort Knox ukryto coś ważnego? Nie umieli tego znaleźć, dopóki Sigma nie wywęszyła dla nich tej informacji.

Zostaliśmy wykorzystani, uświadomiła sobie.

Gildia musiała w pełni wykorzystać tę wyjątkową sytuację i posłużyć się dla własnych celów wyjątkowym talentem Graya oraz umiejętnościami rozwiązywania zagadek.

A teraz wróg zamierzał uciec ze zdobyczą.

Nie mając broni, nie mogli stawić oporu, gdy jeden z żołnierzy wyrwał złotą sztabę z rąk Graya. Trzej inni trzymali ich na muszce, gotowi strzelać w razie najmniejszego zagrożenia.

Żołnierze poprowadzili ich w kierunku wyjścia.

Seichan nie miała żadnych złudzeń. Zdradziła Gildię.

A teraz Gildia dokona na niej zemsty.

31 maja, 18.11

Pustynia w Arizonie

Kiedy z helikoptera spuszczano kosz, Kai ścisnęła oburącz linę. Z ziemi wzbijały się obłoki kurzu, podmuch wirników smagał wszystko wokół jak biczem. Na widok zbliżającego się szczytu kręciło się jej w głowie, zwłaszcza że pustynny prąd termiczny miotał jej huśtawką.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział Jordan.

Siedział razem z nią w aluminiowej huśtawce. Miał podbite oczy po uderzeniu kolbą karabinu, ale wydawało się, że nie zważa na ból. Jedną ręką trzymał się liny, ale drugą otaczał jej ramiona. Kai nigdy nie przepadała za wysokością, a teraz bała się jej jeszcze bardziej.

Wreszcie żołnierze na dole chwycili kosz i brutalnie ich wyciągnęli. Kai stanęła na drżących nogach, ciesząc się, że ramię Jordana wciąż ją obejmuje. Trzymając oboje na muszce, zaprowadzono ich do szczeliny, którą wcześniej oglądała na monitorze. Czekali ich strome zejście, ale nie mieli wyboru.

Gdy dotarli na dno rozpadliny, ich oczom ukazała się zupełnie odmieniona przestrzeń. Uwijało się tu dwudziestu żołnierzy wśród sprzętu i skrzyń, których część została już otwarta. Gdzieś było słychać odgłos wiertła wgrzającego się w skałę. Kai nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Pośrodku chaosu dostrzegła znajomą postać.

Rafael Saint Germaine wsparł na lasce stał nad dziurą w ziemi. Ktoś popchnął ją w jego stronę. Zauważył ją.

– Ach, jesteście. A więc chyba wszyscy są już obecni.

Z dziury wyłoniła się postać w grubej czarnej kamizelce kuloodpornej i wielkim hełmie. Nawet nie widząc twarzy tego człowieka, Kai wiedziała, że to jasnowłosa wielkolud o imieniu Bern. Kiedy uniósł głowę, zobaczyła, że po twarzy cieknie mu pot, którego krople kapały z rzęs i czubka nosa.

– Pułapka przygotowana – zameldował Rafaelowi. – Brakuje nam tylko przynęty.

Spojrzenie szarozielonych oczu przemknęło po Kai.

– *Très bien*, Bern. Wobec tego jesteśmy gotowi. Weźmiemy na dół ich oboje. Nie ma powodu nie pokazywać wszystkich kart.

Kai odwróciła się do Jordana. Patrzył w bok – w stronę kształtu częściowo przykrytego brezentem, spod którego wystawały nogi w wysokich butach. Znów ujrzała w pamięci strzał z karabinu, który zabił strażniczkę parkową, i zaczęła dygotać. Jordan zauważył, co przyciągnęło jej uwagę, i zrobił krok, żeby zasłonić jej widok. Otoczył ją drugą ręką i przytulił.

Zniecierpliwiony Bern chciał ich rozdzielić, lecz Jordan odtrącił jego rękę. O dziwo, udało mu się.

– Sami pójdziemy – oznajmił chłodno Jordan i pomógł Kai.

Oboje wiedzieli, dokąd zmierzają.

W głąb czarnej dziury.
Tylko jaki los ich tam czekał?

18.22

Painter sam wspinał się ostatnim odcinkiem korytarza prowadzącym do jaskini, gdzie bulgotała błotna fontanna. Zostawił Hanka na dole przy grobowcu Anasazi. Kowalski miał pistolet Paintera i zajął pozycję za pokrytym skorupą lodu skalnym osuwiskiem kilka metrów za nim.

Painter analizował w myślach przeróżne scenariusze, starając się przewidzieć każdą ewentualność, wyprzedzać przeciwnika o kilkanaście ruchów. Szedł nieuzbrojony. Do czego przydałaby się broń? Mieli za małą siłę rażenia, żeby położyć ogień zaporowy i wybiec z dziury, nie dając się zabić. Nie, musiał się wykazać sprytem.

Dotarł do końca tunelu i znalazł się w parnej, przesyconej siarką jaskini. Znów ogarnął go podziw zmieszany ze ścinającym krew w żyłach przerażeniem na widok fali kipiącego błota, które spływało ze ściany i burzyło się na dnie jaskini. Żar wydawał się bardziej nieznośny niż poprzednio, ale być może z powodu zimna panującego w grobowcu.

Przygotowując się na to, co miało nastąpić, wyszedł z tunelu. Rząd lamp ukazał grupę żołnierzy zgromadzonych po drugiej stronie mostu. Nie próbowali się kryć. Nieprzyjacielem wyszli z założenia, że pies ostrzegł ich ofiary.

Za zwałów ciemnych głazów po obu stronach wyłoniły się sylwetki z karabinami przyłożonymi do ramion. Painter, nie zatrzymując się, uniósł wysoko ręce i otworzył dłonie, aby pokazać, że nie ma broni. Miał przy sobie tylko plecak z przymocowaną do niego latarką. Nie chciał mieć w rękach niczego, co przeciwnik mógłby uznać za broń.

Jeden z żołnierzy próbował wejść do czarnego tunelu za nim, by wyciągnąć pozostałych. Huk pistoletu skutecznie go odstraszył.

– W zwężeniu korytarza jest mój człowiek! – krzyknął Painter, nie odwracając się. – Ma dużo amunicji i może was wystrzelać jednego po drugim. Nie zbliżajcie się. Wiem, czego chcecie! Możemy to szybko załatwić!

Painter wciąż szedł przed siebie, krok za krokiem zbliżając się do mostu.

Po drugiej stronie od grupy odłączył się szczupły mężczyzna i też ruszył w kierunku mostu.

Towarzyszył mu jeden z najemników. Painter rozpoznał komandosa, który zastrzelił doktora Dentona w laboratorium uniwersytetu. Przypomniał sobie krew na smyczy psa. Miał jej plamy na spodniach w miejscu, gdzie wytarł ręce. Tą śmiercią też chyba mógł obciążyć jego konto.

Przykro mi, Nancy... Nie powinienem cię w to w ogóle mieszać.

Kiedy przyglądał się olbrzymowi w hełmie, pociemniało mu w oczach.

Ale teraz nie czas na zemstę.

To nie ulegało wątpliwości. Komandos włożył za sobą związanego i zakneblowanego młodego człowieka. Jordana Appaworę. Jego widok nie zdziwił zbytnio Paintera. Domyślił się już, że ktoś musiał ujawnić Gildii informację, że pojechał do Arizony. Do wyboru miał niewiele osób.

Mieli ogromną przewagę liczebną, musiał więc przykuć ich uwagę i zdobyć odrobinę kontroli.

– Nie sięgam po broń! – zawołał Painter i wolno wsunął dłoń do otwartej bocznej kieszeni plecaka. Jedną ręką ostrożnie wy dobył dwie złote tabliczki i wysoko uniósł. – Chyba po to przyszliście, tak?

Szczupły mężczyzna stojący za mostem podejrzliwie przyjrzał się Painterowi, najwyraźniej

usiłując zrozumieć, co się za tym kryje. Po długiej chwili uspokojony wzruszył ramionami, uznając być może, że nadal ma przewagę.

– Monsieur Crowe, nazywam się Rafael Saint Germaine.

– Mówił z francuskim akcentem świadczącym o dużym obyciu, można też było usłyszeć lekką intonację rodem z Prowansji, co wskazywało na pochodzenie z południa Francji. Wskazał laską. Painter zauważył delikatne drżenie ręki, które przenosiło się na laskę. Schorzenie wydawało się nietypowe u kogoś w tak młodym wieku, prawdopodobnie było wrodzone, a objawy nasiliły się od temperatury w jaskini i po pokonaniu tunelu. – Sądzę, że je panu zabiorę.

– Oczywiście – odrzekł Painter. – Ale oddam je dobrowolnie. W dobrej wierze.

Mimo to jeden z żołnierzy podkradł się z tyłu i wyrwał mu je z ręki.

Francuz przywołał gestem komandosa, ale nie spuszczał wzroku z Paintera. Chociaż mężczyzna sprawiał wrażenie kruchego i wątłego, w jego oczach lśniła szatańska przebiegłość. Painter nie odważyłby się go lekceważyć. Tropione zwierzę jest najbardziej niebezpieczne, gdy zostanie ranne, a ten człowiek był zraniony od urodzenia. Mimo to przetrwał wśród ludzi, którzy nie tolerowali słabości – nie tylko przetrwał, ale doskonale sobie radził.

Rafael obejrzał tabliczki.

– Taka szczodrość jest doprawdy niezrozumiała. Jeśli mam być szczery, to spodziewałem się większego oporu. Mogę pana zaraz zabić i nic mi nie przeszkodzi.

Za jego plecami rozległ się szcęk odbezpieczanej broni.

Painter zrobił następny krok naprzód, zatrzymując się na skraju mostu. Chciał się upewnić, że Francuz go rozumie.

– To był mój znak gotowości do współpracy – powiedział. – Bo w porównaniu z tym, co znaleźliśmy tam na dole, wartość tych dwóch tabliczek znacznie błędnie.

Mężczyzna przechylił głowę, słuchając Paintera z najwyższą uwagą.

Świetnie.

– Mogę? – zapytał Painter, sięgając do otwartej kieszeni z drugiej strony plecaka.

– Bardzo proszę.

Painter wyciągnął rzeźbioną pokrywę złotej urny, którą znaleźli. Pokazał totem z łbem wilka.

Na ten widok pod Francuzem ugięły się kolana i mężczyzna ledwie zdążył się podeprzeć laską, by nie stracić równowagi. W zaskoczeniu przeszedł na swój ojczysty język:

– *Non, ce n'est pas possible...*

– Sądząc po reakcji, wie pan, co znaleźliśmy.

– *Oui*. Tak. – Usiłował się pozbierać, ale na jego twarzy malowała się niepokohamowana żądza.

– W tej chwili jeden z moich towarzyszy jest daleko w dole. Jeżeli nie wrócę, jest gotów wrzucić złotą wagę do innego dołu z bulgoczącym błotem. Mulisty prąd poniesie ją daleko i nikt już jej nigdy nie zobaczy.

Mężczyzna zadrżał zdenerwowany, choć wyzwanie wywołało błyski w jego oczach.

– Zgoda. Jak brzmią pańskie warunki?

– Pańscy żołnierze wycofają się z tej strony mostu. Na znak dobrej woli proszę uwolnić chłopaka. Potem zejść po urnę. Później dokonamy ostatniej wymiany.

– Na co?

– Dobrze pan wie, czego chcę. – Painter dał upust tłumionej wściekłości. – Chcę swojej bratanicy!

Très intéressant...

Nagle stawka znacznie wzrosła, a negocjacje stały się o wiele bardziej emocjonujące. Wstrzymując oddech, Rafe wpatrywał się w rzeźbioną złotą pokrywę. Rzeczywiście wiedział, co ma przed sobą. Takie wazy potencjalnie mogły się stać Świętym Graalem nanotechnologii, kluczem do zaginionej alchemii, która niosła obietnicę nowej potężnej gałęzi przemysłu i źródła nieprzebranego bogactwa. Ale co ważniejsze, jego rodzina będzie mogła sobie za to kupić wyższe miejsce w hierarchii, sięgając być może tak wysoko jak ostatni z Prawdziwej Linii Rodu.

I to biedny, chorowity syn okryje chwałą nazwisko Saint Germaine. Nic nie może temu przeszkodzić.

Rafe odwrócił się do Berna.

– Zrób, co mówi. Wycofaj ludzi. Uwolnij chłopaka i każ mu przejść przez most.

Jego zastępca wyglądał, jak gdyby chciał protestować, ale wiedział, że nie należy się sprzeciwiać. Rozciął pęta więźnia i wyrwał mu knebel z ust.

– Idź – rozkazał Bern, popychając go.

Młodzieniec przebiegł przez most, wymijając żołnierzy wracających z drugiej strony. Kiedy dotarł do Paintera, naradzili się przez chwilę, po czym chłopak skinął głową i skierował się w stronę drugiego tunelu.

Pozostało jedno żądanie.

Rafe uniósł rękę. Drugi żołnierz wywlókł naprzód Kai Quocheets. Zakneblowana dziewczyna szamotała się z więzami krępującymi jej nadgarstki. Kiedy dostrzegła Paintera, szeroko otworzyła oczy.

W tym samym momencie wuj ruszył biegiem gotów jej pomóc. Potykając się na moście, na moment stracił czujność. Na wpół zaślepiony ojcowską potrzebą ochrony bratanicy Painter zrzucił plecak, który zakołysał się niebezpiecznie na jego ręce... i dopiero wtedy Rafe zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

Och, nie...

18.30

Patrząc w oczy Francuza, Painter zobaczył, że przeciwnik zrozumiał. Siłą woli odwrócił wzrok od Kai. Jordan miał na twarzy rozległe sińce. Na ich widok krew zaczęła mu huczeć w skroniach.

Czy Kai też zrobili krzywdę?

Takie pytania musiały poczekać.

Zatrzymał się na moście. Zrobił zaledwie kilka kroków i znalazł się nad błotną otchłanią, ale dość daleko od grupy nieprzyjaciela po drugiej stronie. Wyciągnął rękę. Ciężki plecak zawisł na jego palcach nad szczeliną. Para parzyła go w odkrytą skórę, spowijając rękę w żółtawe obłoki toksyn. Rzeka w dole syczała i bulgotała.

– Ma pan tę wagę przy sobie – powiedział Rafael głosem, w którym zgroza mieszała się z szacunkiem. – Miał pan od początku.

Painter sięgnął drugą ręką do plecaka i rozpiął główną komorę. Błysnęło z niej złoto.

– Strzelicie do mnie, a urna wyląduje w rzece. Jeżeli chce mieć pan ten skarb, proszę wypuścić moją bratanicę. I pozwolić jej przejść przez most. Kiedy znajdzie się ze mną w tunelu, rzucę panu plecak.

– Jaką mam gwarancję, że pan to zrobi?

– Moje słowo.

Painter wciąż utrzymywał kontakt wzrokowy z Rafaelem, nie po to, żeby go zastraszyć, ale aby nie miał wątpliwości co do jego intencji. Mówił szczerze. Nie miał w zanadru żadnego podstępu, żadnego chytrego planu. Musiał rzucić na szalę wszystko, żeby Kai była bezpieczna. Kowalski zajął dogodny punkt, żeby móc ich bronić. Rafael prawdopodobnie ucieknie ze zdobyczą i nie będzie próbował wyciągnąć pozostałych z tunelu. Kai miała szansę ocalić życie.

Co nie znaczyło, że Rafael nie każe swoim ludziom zastrzelić Paintera, kiedy będzie już miał plecak. Przewidziawszy to, Painter zamierzał się ukryć za głazami i pod ich osłoną wycofać się do tunelu.

Nie był to wspianały plan, ale lepszego nie miał.

Rafael nadal patrzył na niego, próbując przejrzeć zamiary przeciwnika. W końcu skinął głową.

– Wierzę panu, monsieur Crowe. Ma pan rację. Możemy to zakończyć jak ludzie cywilizowani. – Lekko skinął głową. – Do następnego spotkania.

Francuz odwrócił się i dał swoim ludziom znak, żeby wypuścili Kai. Rozwiązali jej rękę. Painter pilnie to obserwował. Wciąż miała w ustach knebel i patrzyła oszalałym wzrokiem, ale nie na niego.

Patrzyła na coś za nim.

Z powodu bulgotania błotnistej rzeki nie usłyszał kroków. Kiedy się odwrócił, było już za późno. Poczł charakterystyczne drżenie przęsł z piaskowca i ktoś wbiegł na most. Dostrzegł tylko jakąś ciemną wysoką sylwetkę pędzącą w jego stronę. Napastnik uderzył go barkiem w dół klatki piersiowej, uniósł go w powietrze i cisnął na kamienny most, aż uciekło mu z płuc całe powietrze. Silne palce wyrwały mu plecak z rąk. Potem postać zostawiła go i ruszyła dalej.

Odwracając się, zobaczył kobietę, która zbiegła z mostu i przypadła do Rafaela. Francuz zgodnie z obietnicą wycofał wszystkich żołnierzy. Painter powinien się wyrazić precyzyjnie.

Wysoka czarnoskóra kobieta – prawdziwa Amazonka – wręczyła plecak Rafaelowi.

– *Merci*, Ashando.

Painter pokonany ukląkł na kamiennym przęsle.

Karabiny znów wycelowano w jego stronę, ale zamiast kazać żołnierzom strzelać, Rafael dał im znak, aby się cofnęli. Spojrzał w oczy Paintera.

– Lepiej zejść z tego mostu, *mon ami*.

Na jego skinienie jeden z żołnierzy uniósł nadajnik i przekręcił pokrętko. Pod przęsłem rozległ się ogłuszający huk. Drugi koniec mostu eksplodował, wyrzucając w górę kawałki piaskowca i zaprawy. Painter ogłuszony i oślepiiony upadł na plecy i stoczył się z mostu na skałę.

Kiedy podniósł się wsparty na rękach i kolanach, zobaczył, że Rafael i jego ludzie ruszają w stronę wyjścia na powierzchnię. Pozostałe przęsło mostu rozpadło się i z pluskiem runęło do błotnej rzeki, wzbijając woń siarki i falę gorąca.

Kiedy Rafael dotarł do wylotu tunelu, złapał Kai za ramię. Wyciągnął jej knebel z ust i zawołał do niego:

– Żeby się mogła pożegnać!

Wysoki komandos musiał podtrzymywać Kai. Załkała ze strachem i smutkiem, od którego ścisnął mu się żołądek:

– Wujku Crowe... Przepraszam...

Pociągnęli ją do tunelu. Painter, wciąż na kolanach, słuchał jej cichnącego szlochu.

Za sobą usłyszał tupot. Nadbiegł Kowalski z Jordanem.

– Co się stało z mostem?

– Zaminowali go – odrzekł głucho Painter.

– A Kai? – zapytał z przerażeniem Jordan.

Painter pokręcił głową.

– Co teraz zrobimy? – spytał Kowalski. – Nie dostaniemy się na drugą stronę.

Painter wolno się pozbierał, dźwignął się na nogi i podszedł do krawędzi parującej szczeliny. Musieli się przedostać na drugi brzeg. To była jedyna szansa dla Kai. Stała się już niepotrzebna Rafaelowi, który zapewne wkrótce ją zabije. Painter musiał żyć, żeby i ona przeżyła. Mimo to ogarnęła go rozpacz. Gdyby nawet udało im się stąd wyjść, na co mogli ją wymienić? Rafael miał złote tabliczki i urnę kanopską. Painter patrzył na swoje puste ręce.

Nagle ziemia się zatrzęsała i dobiegło ich echo wybuchu. Z tunelu po drugiej stronie błotnej kipieli buchnął kłęb dymu i pyłu, któremu towarzyszyło dalekie dudnienie skał.

– Zdaje się, że dranie zaminowali nie tylko most – powiedział Kowalski.

Painter wyobraził sobie, jak ściany rozpadliny nad nimi wałęsały się, zamykając ich w potrzasku. Kiedy opadł pył, powietrze dziwnie znieruchomiało. Piekąca woń siarki stała się jeszcze dokuczliwsza, a temperatura szybko rosła. Zamknięcie kanału termicznego u góry zupełnie zatrzymało cyrkulację powietrza.

Jordan zasłonił nos i usta.

– Co teraz zrobimy?

Jak gdyby w odpowiedzi zamkniętą przestrzeń wstrząsnęła potężna detonacja. Ale to nie była eksplozja.

Painter odwrócił się, bo szpara wysoko w ścianie zaczęła się poszerzać, krusząc się na zewnątrz. Wstrząs wywołany detonacją ładunków wybuchowych musiał sięgnąć daleko w głąb ziemi, osłabiając i tak już splekaną strukturę wapiennej bańki.

Przez coraz szerszą szczelinę bluznął strumień błota. Od ściany zaczęły odpadać duże kamienie, które z pluskiem staczały się do bulgoczącego jeziora. Gorąca maź tryskała wysoko w górę i opadała.

Gdy Painter i jego dwaj towarzysze uciekali przed gradem grudek błota, ściana rozpadała się dalej, wałąc się kawałek po kawałku jak tama pod naporem wody. Strumień błota zmienił się w rwący potok, który trysnął do jaskini, zalewając rzekę i brzegi jeziora.

Painter musiał w końcu odpowiedzieć na pytanie Jordana.

Co teraz zrobimy?

Widząc nacierającą na nich ścianę błota, wskazał tunel.

– Wiejemy!

31 maja, 21.33

Fort Knox, stan Kentucky

Plan się nie powiódł...

Gray położył ręce na głowie. Seichan i Monk zrobili to samo. Celując z karabinów w ich plecy, żołnierze poprowadzili ich obok ciał strażników po śliskim od krwi marmurze.

Waldorf kuśtykał z tyłu, ochraniając zranioną nogę i zostawiając za sobą krwawe ślady.

– Wyprowadzić ich za bramę – rozkazał mężczyźnie niosącemu sztabę złota. – Idę do biura. Za pięć minut włączę alarm. Do tego czasu musicie stąd odjechać.

– Tak jest.

Kiedy mijali stanowisko kontroli w holu, Gray zauważył stojącego na zewnątrz hummera z włączonym silnikiem. W chłodzie wieczoru było widać dym unoszący się z rury wydechowej. Mieli tylko jedną szansę.

Jeden z żołnierzy podbiegł do drzwi, odwróciwszy się do nich bokiem, żeby cały czas mieć ich na oku. Mogli spróbować choćby teraz. Gray zerknął na Monka, który już wiedział, co robić. Przyjaciel ledwie zauważalnie skinął głową, a Gray zrozumiał ten znak. Monk ręką trzymaną na głowie na oślep wstukał kod w elektroniczny mankiet, przygotowując się do wysłania sygnału.

– Zamknij oczy, ręce na uszach – szepnął do Seichan Gray.

Przez moment nie rozumiała, lecz po chwili jej wzrok spoczął na plastikowym pojemniku z odłączoną protezą Monka.

– Już – rzucił niemal bez tchu Gray.

Monk nadał sygnał, uruchamiając mały ładunek hukowo-błyskowy wbudowany w protezę, jeden z wyjątkowych elementów unowocześnionego systemu obronnego. Gray zasłonił dłońmi uszy i mocno zacisnął powieki. Na niewiele to się zdało. Kiedy ręka eksplodowała, w błysku ładunku zobaczył przez powieki zarys własnych palców, a huk dźgnął go w uszy jak sztyletem.

Zdezorientowani i chwilowo oślepieni mężczyźni wrzasnęli.

Rozległy się strzały.

Gray miał zaledwie kilka sekund, zanim żołnierze odzyskają wzrok. Błyskawicznie się odwrócił i z rąk dowódcy oddziału wyszarpnął złotą sztabę. Pochylając się i stając na palcach, wykonał pełny obrót i trafił tego samego żołnierza ciężką płytą w nogi. Trzasnęły łamane kości. Wrzask mężczyzny przeszedł w wysoki rejestr.

W tym samym czasie Seichan chwyciła karabin innego ogłuszonego mężczyzny, wprawnym ruchem obróciła broń w drugą stronę i z bliska strzeliła mu w pierś. Jego ciało zważyło się na innego żołnierza. Seichan strzelała dalej, likwidując tego drugiego.

Monk rzucił się w kierunku drzwi, poza zasięg ognia. Wziął zamach i mięsistą pięścią uderzył wartownika prosto w nos, miażdżąc go. Człowiek bezwładnie osunął się po drzwiach na ziemię. Monk zabrał mu broń.

Seichan wciąż strzelała, celując w głąb holu.

Gray zauważył jej cel.

Kulejący Waldorf wpadł do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Seichan nie przerywała ognia, ale pociski zabębniły o stal. Drzwi musiały mieć dodatkowe wzmocnienie jak reszta twierdzy.

– Cholera – mruknęła.

Parę sekund później w całym budynku rozległy się syreny. Pewnie Waldorf włączył u siebie alarm. Monk stał przy wyjściu, gdy z góry zaczęła się opuszczać osłona przeciwybuchowa, która za moment miała zamknąć cały obiekt.

– Pora spadać! – zawołał i przytrzymał otwarte drzwi.

Gray i Seichan rzucili się biegiem w jego stronę. Nawet z raną w nodze Seichan dopadła wyjścia pierwsza i wyskoczyła na zewnątrz. Gray dźwigający ciężką złotą sztabę musiał się pochylić pod opadającą osłoną.

Dołączył do nich zdyszany Monk. W całej bazie wyły syreny, stawiając wszystkich na nogi.

– Myślałem, że ciężko się włamać do Fort Knox – powiedział. – Ale wydostać się będzie jeszcze trudniej!

– Do hummera! – zakomenderował Gray.

Podbiegli do wozu, który wciąż czekał z warkotem silnika. Gray siadł za kierownicą. Monk zajął miejsce obok niego, a Seichan wskoczyła z tyłu. Wszyscy troje równocześnie zatrzasnęli drzwi.

Gray wrzucił bieg i wyjechał na drogę dojazdową, wprowadzając potężny silnik na coraz wyższe obroty i nabierając prędkości. W lusterku dostrzegł Seichan, która przesunęła się do okna i rozbiła boczną szybę, żeby wystawić lufę karabinu.

– Nie strzelamy! – krzyknął. – To są amerykańscy żołnierze na służbie.

– Och, robi się coraz łatwiej – poskarżył się Monk.

Mieli tylko jedną nadzieję.

Gray zauważył już, że ich samochód jest przystosowany do warunków bojowych, ma wzmocnione drzwi, kulo odporne szyby, boczne i tylne opancerzenie oraz balistyczną szybę przednią, chroniącą przed pociskami artyleryjskimi. Taki wóz nie był tu żadną rzadkością, ponieważ w Fort Knox znajdował się wojskowy ośrodek badawczy broni pancernej. Baza stanowiła poligon dla czołgów, artylerii i wszelkiego rodzaju pojazdów opancerzonych.

Aby nikogo nie zabić, musieli taranem utorować sobie drogę do wolności. Na razie wykorzystywali moment zaskoczenia i zamieszania. Nie co dzień ktoś się włamywał do Fort Knox albo z niego uciekał.

Gray skierował wóz w stronę bram, które już się zamknęły. Strażnicy kręcili się wyraźnie niepewni, czy to fałszywy alarm, czy ćwiczenia. Nacierający na nich rozpędzony hummer rozwiązał wątpliwości.

Unieśli karabiny. Kule zagrzechotały o przednią szybę.

Z wieżyczki strażniczej ktoś strzelił pociskiem raketowym z granatnika, ale w pośpiechu źle wymierzył i trafił w ogrodzenie z boku.

– Trzymajcie się! – zawołał Gray.

Nie zwalniał, wierząc, że żołnierze zdążą uskoczyć.

Zdążyli.

Pancerna kratownica hummera uderzyła w bramy i przebiła się na drugą stronę ze zgrzytem rozrywanego ogrodzenia. Po chwili mknęli już Gold Vault Road. Ogień z karabinów siekł tył

samochoду.

– Za niecałe pięć minut wypuszczą wiatraki – powiedział Monk. Wiatraki, czyli helikoptery szturmowe Apache. – Zmobilizowanie większej siły powinno im zabrać więcej czasu, ale możemy dostać z...

Przez ryk silnika przebił się ostry świst.

– ...moździerza – dokończył Monk.

Rakieta śmignęła obok maski i eksplodowała na sąsiednim polu, wzbijając fontannę trawy, ziemi i kamieni. Drogę zasnuł dym.

Gray minął jego obłok i szybko dotarł do końca drogi. Ale zamiast skręcić w Bullion Boulevard, pojechał prosto, przeciął ulicę, przeskoczył rów i przebił się przez następne ogrodzenie, zrzucając tablicę z napisem THORNE PARK. Samochód wjechał na pole porośnięte drzewami. Szerokie opony hummera żłobiły w ziemi głębokie koleiny. Gray ruszył przez park na południe, w stronę Dixie Highway biegnącej wzdłuż bazy.

Następna rakieta trafiła w dąb, zmieniając go w płonące drzazgi. Hummer rozjechał resztki, wzbijając słup ognia i dymu, który oślepił ich wszystkich.

Po chwili mieli go już za sobą.

– Ten pocisk trafił bliżej – powiedział Monk.

– Tak sądzisz? – spytała sarkastycznie Seichan.

– Może wcale nie próbują nas trafić, tylko zmusić, żebyśmy zwolnili. – Gray szarpnął kierownicę, zmieniając nieco kurs samochodu, aby trudniej ich było trafić. Na wypadek gdyby się jednak mylił.

– Światła podnoszą się z lotniska – ostrzegła Seichan.

– Może dlatego chcą nas zatrzymać – pomyślał na głos Monk. – Wysyłają helikoptery szturmowe.

Gray przyspieszył. Musieli opuścić teren bazy i ukryć się na terytorium cywilnym, zanim żołnierze użyją poważniejszych sił. Jeżeli uda im się uciec, wojsku zostaną tylko próby namierzenia ich z powietrza, a na ziemi będzie ich tropić cywilna policja.

Spomiędzy drzew ukazał się sznur świateł samochodów sunących wolno Dixie Highway. Byli prawie na miejscu. Gray wcisnął do oporu pedał gazu.

– Są helikoptery! – krzyknęła Seichan.

Hummer pędził w kierunku autostrady, wyrzucając spod kół błoto i zielsko. Po chwili wspięli się na wzniesienie nasypu autostrady, pokonali żwirowe pobocze i betonowy pas awaryjny. Gray szukał luki w strumieniu aut, wreszcie znalazł i wcisnął w nią masywny wóz, który wykonał poślizg i bokiem wskoczył w kolumnę samochodów.

Zajęczały klaksony na znak protestu. Kilka aut zahamowało z głośnym piskiem opon.

Mały SUV uderzył ich w tył.

Gray nie zwalniał. Wcisnął gaz i ruszył szalonym slalomem, co chwilę naciskając klakson, aby ktoś ustąpił mu z drogi. Przed nimi jako morze świateł ukazało się miasteczko Radcliff. Pomknął w jego kierunku, dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość, kiedy znaleźli się na drodze na skraju miasta.

– Mamy towarzystwo! – krzyknęła Seichan.

Ciemność za nimi przeszły oślepiające światło odbijające się od lusterek hummera. Był to reflektor helikoptera, który przeczesywał autostradę, zmierzając w ich stronę.

– Skręć w najbliższą ulicę! – wrzasnął Monk.

Gray zaufał mu i nie zmniejszając prędkości, wjechał w wąską uliczkę. Seichan bezwładnie

przesunęła się na tylnym siedzeniu.

Po obu stronach alei stały czteromieszkańciewe i wyższe apartamentowce, prawdopodobnie kwatery personelu bazy wojskowej. Rząd zwartych budynków dał im chwilę wytchnienia i na moment zasłonił przed szperaczem helikoptera.

Ale to nie mogło trwać długo.

– Tam! – pokazał Monk. – Widziałem z drogi napis.

Przed nimi na wysokim słupie wolno obracał się neon.

To musiało wystarczyć.

Było to potrzebne miejsce w pobliżu kwater personelu bazy.

Gray wjechał na parking całodobowej myjni automatycznej. Po jednej stronie ciągnęły się boksy z wrzutowymi automatami myjącymi i odkurzaczami. Skręcił do wolnego boksu. Hummer zmieścił się cały pod zadaszeniem, chowając się przed helikopterami.

– Wsiadka – rozkazał Gray.

Chwycił złotą sztabę. Monk i Seichan złapali broń i dodatkową amunicję, którą znaleźli w hummerze. Usłyszeli głucho „łup-łup” helikopterów i spojrzeli w górę. Miasto patrolowały trzy helikoptery, omiatając szperaczami ulice. Gray i reszta musieli się stąd wydostać, zanim ustawią blokady dróg wyjazdowych.

Pokaz lotniczy oglądał z nimi jeszcze jeden klient myjni.

Monk podszedł do niego. Był to wytatuowany i obwieszony kolczykami chłopak ubrany w postrzępione dżinsy i brudny T-shirt z logo Harleya.

Monk wycelował w niego karabin.

Chłopak wybałuszył oczy na lufę, po czym przeniósł wzrok na twarz Monka i powiedział:

– Kurwa.

Pokazał mu starego, rdzewiejącego pontiaca firebirda i zrobił parę kroków do tyłu, ślizgając się na mydlinach.

– Spokojnie, stary. Kluczyki są w stacyjce.

Monk wskazał hummera.

– Nasze też. Śmiało możesz go wziąć.

Chłopak najwyraźniej nie miał ochoty. Ocenił sytuację i uznał, że nie jest głupi.

Gray podbiegł do firebirda, wrzucił do bagażnika bezcenną sztabę i usiadł za kierownicą. W stacyjce rzeczywiście tkwił kluczyk z breloczkiem ze srebrną czaszką. Miał nadzieję, że to nie jest zły omen.

Pozostała dwójka wskoczyła za nim. Seichan tym razem zajęła miejsce z przodu. Monk wgramolił się do tyłu. Minutę później przekraczali granice miasta. Gray kazał im wyciągnąć baterie z telefonów, by nikt nie mógł namierzyć ich aparatów. Wioząc skarb w bagażniku, nie mógł ryzykować.

Zanim wyciągnął baterię ze swojej komórki, zauważył w poczcie głosowej nieodsłuchaną wiadomość pochodzącą z domowego numeru rodziców. W tej chwili nie miał czasu się tym zająć. Nie chciał też ściągać uwagi na siebie i swoich towarzyszy, dzwoniąc do rodziców. Poza tym zostawił matce długą listę numerów alarmowych, która powinna ich zająć przez pewien czas.

Gray wiedział, że wszyscy troje będą musieli kupić telefony na kartę, żeby nie pozostawiając żadnych śladów, skontaktować się z Sigmą i ustalić plan najbliższych działań. Na razie jednak trzeba było zniknąć z radarów.

Kiedy pozbyli się już elektronicznych ogonów, Gray zgodnie z mapą, którą kupił za gotówkę

na stacji benzynowej, skierował się dokładnie na południe. Unikając głównych arterii i trzymając się bocznych dróg, rozpędzał się coraz bardziej, rozsądnie wykorzystując moc starego silnika V-8. Jedynym śladem, jaki po sobie pozostawiali, była unosząca się z rury wydechowej smużka olejowego dymu, prawdopodobnie z powodu defektu głowicy cylindra.

Miał nadzieję, że to naprawdę jedyny ślad.

W czasie jazdy srebrna czaszka miarowo stukała w kolumnę kierownicy, jak gdyby próbowała go ostrzec.

Tylko przed czym?

31 maja, 18.43

Pod pustynią w Arizonie

Wszystko będzie dobrze...

Kłęcząc na jednym kolanie, Hank Kanosh głaskał boki Kawtcha, próbując go uspokoić. Po eksplozjach sprzed chwili obaj drżeli. Ze strachu i z przenikliwego zimna panującego w lodowym grobowcu. Mając tylko jedną latarkę, siedział w pojedynczej plamie światła. Wpatrywał się w wykot tunelu, a za jego plecami wznosił się ciemny grobowiec.

Co się tam dzieje?

W ogóle nie powinien się zgadzać, żeby go tu zostawiono.

Kawtch poderwał się na cztery łapy, jeżąc sierść na karku. Z jego gardła wydobyło się ciche warczenie. Po chwili Hank też to usłyszał. Z tunelu dobiegało echo stłumionych głosów, coraz głośniejszych.

Kto nadchodzi? Wróg czy przyjaciel?

Nagle skrzypnęły buty i z oblodzonego korytarza ześliznęła się drobna postać, która zjechała na siedzeniu do jaskini. Po chwili zwinnie zerwała się na nogi. Kawtch warknął na powitanie, a Hank cofnął się nieufnie, dopóki nie rozpoznał twarzy nowo przybyłej osoby.

– Jordan?

– Do tyłu! – zawołał młody człowiek. Podbiegł do Hanka, chwycił go za ramię i odciągnął od tunelu.

– Co się...

Po chwili z wylotu wypadli Painter i Kowalski.

Rozbiegli się w przeciwne strony i ukryli.

A potem oczom Hanka ukazał się niewiarygodny widok.

Z gardzieli korytarza do jaskini wpłynął ogromny czarny robak, rozpływając się po skutych lodem ruinach. Walcowaty kształt szybko się zdeformował i roztopił, uwalniając siarkowe opary. Po chwili pękła wielka bańka, rozpryskując gorący, ciekły materiał, który kipiał w jej wnętrzu.

Błoto.

Z tunelu wylewała się gęstniejąca breja, która rozpełzała się i gromadziła w jaskini, piętrząc się coraz wyżej, bez przerwy bulgocząc i buchając bryzgami płynnego błota.

Painter dołączył do Hanka i Jordana, a Kowalski obszedł stygnącą krawędź.

– Nieprzyjaciel zamknął nas w potrzasku – wyjaśnił Painter, dysząc i trzymając się za bok. Gestem kazał im się cofnąć jeszcze głębiej. – Wybuch spowodował pęknięcie ściany jaskini i uwolnił jezioro gorącego błota.

Zziębnięty Jordan nacierał sobie ręce.

– Nie wolno się nam zatrzymywać. – Painter przyglądał się rosnącej za nimi górze. – Ocaliło nas tylko zimno. Błoto się chłodzi, gęstnieje i tworzy coś w rodzaju czopu w tunelu. Ale nie

możemy liczyć, że ten szpunt długo wytrzyma. Jezioro u góry w końcu go stopi albo wypchnie go rosnące ciśnienie. Tak czy inaczej, lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy to się stanie.

Hank przyznał mu rację. Popatrzył na grobowiec Anasazi. Zmarli w końcu doczekają się stosownego pochówku, pogrzebani pod czymś więcej niż sam lód.

Jordan zadał istotne pytanie. Próbował sprawiać wrażenie równie odważnego jak pozostali, ale piskliwy ton głosu zdradził jego przerażenie.

– Dokąd możemy iść?

– To musi być wielki system jaskiń – odparł Painter. – Na razie trzeba iść przed siebie.

Jak gdyby dobitnie potwierdzając tę konieczność, w tym momencie z tunelu bluznęła potężna fala świeżego błota i rozlała się po jaskini, parując i strzelając w górę bąblami gazu, zanim nie zaczęła stygnąć. Kiedy się wycofywali, do groty coraz szybciej wpływało coraz więcej gorącego błota.

Painter wskazał największy z tuneli, których wyloty znajdowały się w jaskini.

– Tędy!

Uciekali w szalonym tempie. Painter biegł na przedzie z latarką; Kowalski na końcu uzbrojony w drugą latarkę. Tunel, wciąż bardzo śliski, prowadził głęboko pod ziemię. Hank wyobraził sobie dawną powódź, która zatopiła ukrytą osadę Anasazi i odpłynęła tym właśnie tunelem, ostatecznie zmieniając się w lód.

Jordan przeciągnął ręką po niskim stropie.

– Chyba jesteśmy w dawnej rurze lawowej. Może się tak ciągnąć w dół bez końca.

– To niedobrze – powiedział Painter. – Trzeba znaleźć drogę prowadzącą w górę. Błoto będzie ściekało niżej. Musimy mu zejść z drogi.

– I to szybko! – zawołał z tyłu Kowalski.

Hank obejrzał się przez ramię, ale Kowalski świecił latarką w dół.

Hank dopiero po chwili zauważył strużkę wody płynącą im pod nogami. Łapy Kawtcha brodziły w sączącym się z góry płytkim strumyczku. Błoto musiało już dotrzeć do wylotu tunelu i stopić lód, z którego woda zaczęła spływać w ślad za nimi.

Painter przyspieszył kroku.

Po następnych dziesięciu minutach – choć zdawało się, jakby upłynęła godzina – wreszcie dotarli do końca tunelu.

– Och, nie – jęknął Hank, stając obok Paintera.

Korytarz kończył się stromym urwiskiem. Painter skierował światło latarki za jego krawędź. Nie widzieli nawet dna przepaści, ale z dołu dobiegało bulgotanie płynącej wody. Na wprost nich, za dwuipółmetrową szczeliną, zobaczyli takie samo urwisko. Rura lawowa biegła dalej po drugiej stronie. Wyglądało to tak, jakby jakiś potężny bóg wziął gigantyczny topór i rozciął tę część ziemi, rozdzielając tunel na pół.

– Uskok – powiedział Painter. – Trzeba będzie przeskoczyć. To nie tak daleko. Jeżeli weźmiemy rozbieg, powinno się nam udać dostać do tunelu po tamtej stronie.

– Oszalałeś? – zdumiał się Hank.

– To tylko tak źle wygląda.

Kowalski podszedł do Hanka.

– Bzdura. Takiego złego wzroku jeszcze nie mam.

– Dam radę – powiedział Jordan, dając pozostałym znak, żeby się odsunęli. – Skoczę pierwszy.

– Jordan... – ostrzegł Hank.

– Przecież nie mamy innego wyjścia – przypomniał mu chłopak.

Nikt nie mógł z tym dyskutować.

Cofnęli się w głąb tunelu, zostawiając mu dość miejsca na rozbieg.

– Ostrożnie – powiedział Hank, klepiąc Jordana po ramieniu.

Pokazał im uniesiony kciuk, a potem ruszył pochylony, biegnąc z pluskiem po coraz szerszym strumieniu, odbił się i skoczył przez szczelinę głową naprzód. Śmignął w górę jak strzała i wylądował prosto w otworze po drugiej stronie, ślizgając się na brzuchu po oblodzonym dnie następnego korytarza. Na chwilę zniknął, a potem wysunął głowę.

– Naprawdę nie było tak źle! – zawołał zdyszonym głosem, uśmiechając się szeroko.

Łatwo mu mówić...

– Skoczę następny – powiedział Painter. – Kiedy będę po drugiej stronie, rzucisz mi psa, Kowalski.

Kowalski spojrzał na Kawtcha; pies popatrzył na zwałistego mężczyznę.

Żaden nie wydawał się zachwycony tym pomysłem.

Painter zajął odpowiednią pozycję, wziął rozbieg i wykonał równie płynny skok jak Jordan.

Następnie Kowalski podniósł Kawtcha, łapiąc go za brzuch. Pies zaczął się wić, dopóki Hank nie uspokoił go dotykiem i kojącym szeptem.

– Jasny gwint, czym ty go karmisz, doktorku?

– Ostrożnie, proszę – powiedział Hank, przykładając dłoń do szyi.

Kowalski podszedł do krawędzi przepaści, zgiął się w pasie, po czym gwałtownie się wyprostował. Zaskoczony Kawtch zaskomlał i wzleciał w powietrze, rozkładając łapy jak latająca wiewiórka. Painter wychylił się i pewnym ruchem złapał psa. Obaj wpadli tyłem do tunelu wśród jazgotliwego protestu Kawtcha.

Hank wydał głośne westchnienie ulgi przypominające kasznięcie, ale po chwili Kowalski odwrócił się do niego.

– Teraz ty.

Przełknął ślinę i pokręcił głową.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Skaczesz albo rzucę cię jak twojego psa. Wybieraj, doktorku.

Hank nie potrafił rozstrzygnąć, co byłoby gorsze.

– Jeżeli będę ci potrzebny, stanę tutaj! – zawołał z drugiej strony Painter.

– Dobra, skaczę – powiedział Hank, starając się, by jego głos brzmiał buńczucznie.

Cofnął się do tunelu obok Kowalskiego.

– Mogę cię popchnąć... nadać ci trochę rozpędu – zaproponował jego potężny towarzysz.

Zanim Hank zdążył odpowiedzieć, jakieś ciche sapnięcie kazało im się odwrócić. Kowalski oświetlił latarką rurę lawową. Snop światła kończył się na ścianie błota w odległości około sześciu metrów od nich. Pełznąąc przez tunel, podkradło się do nich bezgłośnie jak wytrawny morderca. Na ich oczach lepka ściana otworzyła się, a ze środka popłynęło gorące błoto, sięgając jeszcze dalej.

– Teraz albo nigdy, doktorku.

Usłyszeli ostrzegawczy niski pomruk.

Nagle błoto wystrzeliło w ich stronę. Liznęła ich gorąca maź cuchnąca siarką, parząc im skórę. Za nią chlusnęło kipiące błoto.

– Skacz! – krzyknął Kowalski.

Hank ruszył biegiem, Kowalski tuż za nim.

Skulony Hank pędził tak szybko, jak tylko potrafił, ale kiedy dotarł do urwiska, trafił stopą na lód pokryty warstewką wody. Pośliznął się i upadł bokiem na krawędzi uskoku.

– Trzymam cię! – Muskularne ramię chwyciło go w pasie, a potem uniosło ponad ciemną otchłanią.

Hank chciał zamknąć oczy, ale za bardzo się bał.

Nie trafili w wylot tunelu tak gładko jak tamci dwaj. Kowalski zawadził o skałę ramieniem i splątani nogami wpadli w gardziel oblodzonego korytarza. Zderzyli się z Painterem, który nie zdążył zejść im z drogi.

W końcu się jednak zatrzymali. Po krótkiej chwili, ustaliwszy, która kończyzna jest czyja, pozbierali się i wstali. Jordan wrócił do wylotu tunelu i spojrzął na drugą stronę uskoku.

Hank stanął obok niego. Miał sińce w różnych miejscach.

Powstał nowy błotny wodospad. Widzieli chlustający strumień siarkowej mazi. Hankowi mignęła przed oczami poczerniała ręka wystająca z gęstego nurtu. To były zwłoki jednego z Anasazi porwane z lodowego grobowca.

Przykryte błotem ciało zniknęło w dole.

Hank zmówił cichą modlitwę za duszę zmarłego – za dusze ich wszystkich – po czym się odwrócił.

Kowalski zadał głośno pytanie, które dręczyło wszystkich.

– Co teraz?

19.28

Wszyscy pilnie potrzebowali chwili wytchnienia.

– Zatrzymamy się tu – oznajmił Painter i wyczerpany klapnął na ziemię.

Kiedy uciekli przed błotem, poprowadził ich do końca rury lawowej. Zmieniała się w coraz bardziej skomplikowany labirynt tuneli, szybów, osuwisk i ślepych korytarzy. Przez ostatnie pół godziny Painter starał się iść w górę i być jak najlepszej myśli, ale za każdym razem droga w końcu prowadziła w dół.

Musiał się pozbierać i zastanowić, więc w tej małej jaskini zarządził postój. Rozejrzał się. Tunele prowadziły stąd w trzech kierunkach.

Którędy teraz?

Painter spojrzął na pokrytych błotem towarzyszy. Hank wszystkim po kolei dał się napić ze swojego bukłaka CamelBak. Kowalski swój już zdążył osuszyć, a plecak Paintera porwała tamta czarna Amazonka. Cały czas słyszeli wodę, ale nie zdołali jej zlokalizować. Odwodnienie stawało się największym zagrożeniem. Jeżeli nie zabije ich zimno, dokona tego brak wody.

Jak długo jeszcze wytrzymają?

Hank siedzący obok psa sprawiał wrażenie, jakby był o krok od zasłabnięcia. Kowalski wyglądał niewiele lepiej. Pocił się jak koń wyścigowy, z upływem minut tracąc litry wody. Nawet Jordan patrzył przed siebie szklanym, zagubionym wzrokiem.

Painter wiedział, co ich przygniata i sprawia, że każdy krok wydaje się cięższy – świadomość, że ich wysiłki są daremne. Sam czuł się podwójnie zdruzgotany. Gdyby zamknął oczy, wciąż widziałby twarz Kai, kiedy wlekli ją najemnicy, słyszałby jej rozdzierający szloch.

Czy ona jeszcze żyje?

Ten niepokój dręczył nie tylko jego. Po drodze podobne pytania zadawał Jordan, któremu prawie cały czas towarzyszył ten sam lęk. Widocznie zbliżyli się do siebie z Kai.

Jordan oparł głowę o skalną ścianę, zbyt zmęczony, żeby się ruszać. Painter przyjrzał mu się i nagle zobaczył, że naprawdę jest bardzo młody. Jordan znosił trudy podziemnej wędrówki jak mężczyzna, ale jeszcze całkiem niedawno musiał być chłopcem.

Painter zauważył, jak kosmyk nad czołem młodego człowieka – niewielki, ledwie kilka sterzących włosów – prawie niedostrzegalnie się ugiął i zadrżał. Jordan podrapał się w głowę, być może też to czując.

Dopiero po kilku chwilach Painter uświadomił sobie prawdę.

Mam odpowiedź...

Zerwał się na nogi i zrzucił z siebie zmęczenie jak wąż skórę.

– Tu wieje – powiedział. – Słaby podmuch, ale wieje.

Kowalski otworzył jedno oko.

– No i co?

– To układ oddechowy jaskini. I ona ciągle oddycha.

Hank zrobił wielkie oczy i otrząsnął się z apatii. Uniósł wilgotną dłoń, próbując poczuć ten słaby powiew.

– Jeden kanał termiczny został zatkany, ale to nie znaczy, że zatkały się wszystkie – wyjaśnił Painter. – Idąc za tym podmuchem, powinniśmy dotrzeć do wyjścia.

Kowalski plasnął się dłonią w udo i wstał.

– No to na co czekamy? Jak stąd wyjdziemy, od razu pójdę się gdzieś napić. I przynajmniej raz w całym cholernym życiu mam ochotę na wodę.

Ruszyli z nową nadzieją.

Wcześniej jednak Kowalski uzupełnił swoją deklarację.

– Co wcale nie znaczy, że bym odmówił, gdyby ktoś postawił mi zimne piwo.

Dalsza droga była nie mniej żmudna i frustrująca niż dotąd, ale teraz nadzieja podtrzymywała ich na duchu i kazała kroczyć naprzód. Każde rozwidlenie dróg sprawdzali małą zapałką z plecaka Hanka, obserwując kierunek dymu. W ciągu ostatnich dwóch godzin podmuch stawał się coraz silniejszy, co tylko dodawało im sił i kazało przyspieszyć kroku.

– Musimy być niedaleko powierzchni – powiedział Hank i pociągnął z niebieskiej plastikowej rurki bukłaka. Sądząc po żalonym bulgotaniu, pojemnik był już pusty.

Musieli znaleźć wyjście.

Painter zerknął na zegarek.

21.45.

Po kolejnej godzinie nic nie wskazywało, żeby byli bliżej powierzchni. Nie mieli wody, została im jedna działająca latarka i kończył się czas.

Hank usłyszał dziwne chrupanie pod butami. Pod podeszwą nagle pękł kamień. Profesor spojrział w dół. Na piaskowcu leżały kawałki czarno-białej ceramiki.

To nie był kamień, ale naczynie.

Pochylił się i podniósł okruch.

– Rękodzielo Anasazi.

Painter skierował latarkę w górę rynny, którą wspinali się od dziesięciu minut. Dostrzegł więcej misek i glinianych naczyń, które stały na skalnych półkach.

– Rany – powiedział za jego plecami Jordan. – Sztuka jaskiniowa.

Hank stanął obok chłopaka. Painter nie zwrócił uwagi na wskazówkę, kiedy ją mijał. Zmęczenie zaczęło się odbijać na jego spostrzegawczości.

– Petroglify – powiedział Hank i spojrział w głąb rynny. – Painter, możesz zgasić światło?

Painter wyczuł, że profesor jest na jakimś tropie, i wyłączył latarkę.
Otoczyły ich całkowite ciemności.

Nie, nie całkowite.

Painter popatrzył w górę. Sączyło się stamtąd słabe światło, widoczne ledwie jak skrawek szarości na czarnym tle.

– Chyba wiem, gdzie jesteśmy – odezwał się w mroku Hank.

Painter ponownie włączył latarkę.

Hank z szeroko otwartymi oczami wskazał ręką przed siebie.

– Powinno być już niedaleko.

Painter mu wierzył. Zaczęli maszerować w szybkim tempie, zwłaszcza gdy pojawiły się prymitywne schody wykute w skale. Prowadziły do kwadratu światła księżycy, przysłoniętego stalową kratą. Painter już widział tę kratę, ale z drugiej strony.

– To wylot kanału termicznego w Wupatki – mruknął. Przypomniał sobie, co strażniczka mówiła o szacowanej wielkości systemu jaskiń pod parkiem.

Dwieście milionów metrów sześciennych... ciągną się kilometrami.

Okazało się, że to prawda – być może nawet wielkość była zaniżona.

Hank nie umiał powstrzymać podniecenia.

– Pewnie tak część Anasazi uratowała się przed masakrą. Uciekli tędy, przeszli przez system jaskiń i założyli nową osadę pod drugim kanałem termicznym. I mieszkali tam, dopóki nie zginęli w powodzi.

Jedna zagadka została rozwiązana, ale Painter stanął wobec następnej.

Potrząsnął kratą.

– Zamknięta na kłódkę.

– Nie ma problemu. – Kowalski precyzyjnie się do przodu i uniósł pistolet. – Mam klucz.

1 czerwca, 2.08**Nashville, stan Tennessee**

– Ciągłe was tropią – powiedziała Kat. Jej głos metalicznie brzęczał w tanim telefonie na kartę. – I będą tropić przez całą noc.

Gray siedział na fotelu pasażera w nierzucającym się w oczy białym fordzie vanie – według słów Kat, im mniej będzie się rzucał w oczy, tym lepiej. Pontiaca przed kilkoma godzinami zostawili w parku pod Bowling Green i wzięli nowy wóz z komisji używanych samochodów, uruchamiając go przez zetknięcie przewodów w stacyjce. Zniknięcia furgonetki nikt nie powinien zauważyć do rana, kiedy otworzą salon.

Nigdzie się nie zatrzymywali, wiedząc, że obława na terrorystów, którzy uciekli z Fort Knox, będzie obejmować coraz większy obszar. Aby jej umknąć, jechali bocznymi drogami, unikając głównych arterii i klucząc, zmierzali na południe, aż dotarli do Nashville.

– Wszyscy was szukają – ciągnęła Kat. – FBI, wywiad wojskowy, cywilne organa ścigania. W stolicy mamy burdel na kółkach, zwłaszcza że to wszystko się dzieje w środku nocy. Jak jeszcze poszła fama o terrorystach, każdy chce być najważniejszy.

Gdy Monk jechał wolno przez podmiejski park przemysłowy na obrzeżach Nashville, Gray zerknął na tylne siedzenie. Seichan siedziała ze skrzyżowanymi na piersi rękami, patrząc na ciemne magazyny, specjalistyczne sklepy i warsztaty samochodowe. Z powodu dawnych zbrodni oficjalnie nie była członkiem Sigmy. Nigdy nie mogła nim zostać. O jej zwerbowaniu jako informatora i szpiega wiedziała tylko garstka zaufanych osób w organizacji. Dla pozostałych agencji wywiadu na świecie pozostawała poszukiwaną terrorystką, krwawą zabójczynią do wynajęcia.

– Jak to się w ogóle stało, że w Fort Knox ogłoszono alarm? – zapytał Gray. – Mieliliśmy przecież solidne papiery. Jak się zorientowali? Przed skarbcem sprawdzili nas skanerem i obfotografowali. Zidentyfikowano Seichan na podstawie zdjęcia w jakiejś bazie danych?

– Ciągłe nad tym pracuję – odparła Kat. – Ale na pewno alarmu nie zarządził nikt z Fort Knox. Sygnał przyszedł ze źródła z zewnątrz, ale nie umiem go zlokalizować. Przynajmniej na razie. W tym momencie wszyscy chronią własny tyłek. Pewnie w całym Waszyngtonie niszczy się teraz dokumenty.

– Czyli zostaliśmy wrobieni. To od początku była pułapka. – Mógł się domyślić, kto to wszystko zorganizował, przypominając sobie szefa ochrony skarbcza. – Są jakieś nowe wiadomości o Waldorfie?

Gray dzwonił do Kat przed godziną, gdy tylko kupił telefon na kartę. Rozmowa była krótka, ponieważ Kat właśnie próbowała gasić wiele pożarów naraz i równocześnie mylić tropy, aby utrzymać w tajemnicy udział Sigmy i ochronić Graya oraz jego zespół przed różnymi krajowymi agencjami wywiadu i bezpieczeństwa.

– Nie – powiedziała. – Dowiadywałam się w wielu miejscach, ale Waldorf zniknął krótko po ogłoszeniu alarmu w bazie. Pewnie równie usilnie jak wszyscy chce was dopaść.

– Czemu tak sądzisz?

– Dlatego między innymi dzwonię. Żeby was ostrzec. Learjet, którym polecieście z Waszyngtonu, piętnaście minut temu został wysadzony w powietrzu, krótko po starcie z lotniska w Louisville. Wybuch oderwał część ogonową. Według wstępnych ocen bomba była połączona z wysokościomierzem. Samolot osiągnął określoną wysokość i doszło do detonacji.

Gray przypomniał sobie młodego pilota. Głęboko w żołądku poczuł palący dotyk złości.

– Waldorf chciał nas załatwić. Ale musiał wiedzieć, że nie polecimy tym samolotem.

Kiedy uświadomił sobie, co to znaczy, zacisnął dłoń na kolanie w pięść. Zamach bombowy był krwawym aktem czystej zemsty po tym, jak pokrzyżowali plany Waldorfa.

– Pomyślałam sobie, że powinniście o tym wiedzieć – ostrzegła. – To jeszcze jeden powód, byście cały czas uciekali.

– Jasne. – Usłyszał, jak Kat ciężko wzdycha, i domyślił się, że to jeszcze nie wszystko.

– Znowu rozmawiałam z doktor Janice Cooper.

Gray dopiero po chwili skojarzył to nazwisko.

– Pracowała z tym japońskim fizykiem.

– Oboje nadal są strzeżeni, ale jej partner, który uratował się z masakry, ciągle konsultuje się z innymi laboratoriami. Na naszą prośbę bada duże wzrosty aktywności neutronów na zachodzie.

– Udało mu się zlokalizować źródło?

– Nie, ale przewiduje siłę nadchodzącej eksplozji. Twierdzi, że będzie sto razy większa od tej w Islandii.

Gray ujrzał w wyobraźni ogniste ruiny wyspy Elliðaey.

Sto razy większa od tego?

Stopień zniszczeń będzie przeogromny, na niewyobrażalną skalę.

– Tak naprawdę właśnie dlatego dzwonię – ciągnęła Kat. – Ten japoński fizyk oszacował mniej więcej czas wybuchu. Tak jak w wypadku Islandii.

– Kiedy? – spytał Gray, napinając mięśnie, jak gdyby szykował się na przyjęcie ciosu.

– Za jakieś pięć godzin.

Ogarnęła go bezdenne rozpacz. Co mogli zrobić w ciągu pięciu godzin? Nawet gdyby ich nie ścigano, nie zdążyliby dolecieć na Zachodnie Wybrzeże, żeby cokolwiek zdziałać. Ale Sigma miała tam już swoich agentów.

– Są jakieś wiadomości od dyrektora Crowe'a?

W jej głosie znów pojawiło się napięcie.

– Nie. Zszedł do systemu jaskiń pod jakimiś ruinami, ale miejscowa straż poinformowała o eksplozji, która zasypała większą część okolicy. Lisa jest w kontakcie z zespołami, które przeczesują pustynię w miejscu, gdzie go ostatnio widziano. Jest kłębkim nerwów. Niczego nie znaleziono. Co najmniej kilkanaście razy rozmawiałam z Ronaldem Chinem. Do niego Painter też się nie odzywał.

Gray miał nadzieję, że dyrektorowi nic się nie stało, ale potrzebowali kogoś na zachodzie, kto mógłby się zająć coraz poważniejszą sytuacją w regionie.

– Mówiłaś Chinowi o tym tykającym zegarze geologicznym?

– Mówiłam, ale co może zrobić, nie znając lokalizacji? Dlatego musicie znaleźć sposób, jak wydobyć tę starą indiańską mapę ze sztaby złota. Jeżeli jest tam jakaś wskazówka co do miejsca ukrycia tego niestabilnego nanomateriału, musimy ją jak najszybciej poznać.

– Zrobię, co się da, ale będę potrzebował jakiejś odlewni, żeby rozgrzać sztabę. Sprawdzę, czy uda się stopić zwykłe złoto i odsłonić ukrytą w środku mapę.

– Przewidziałam to.

Oczywiście, że przewidziała.

– Znalazłam mały zakład złotniczy niedaleko was. Dam ci adres. Właściciel spotka się tam z wami za piętnaście minut.

Podawała dane. Zakład znajdował się kilka przecznic od nich, w tym samym parku przemysłowym, przez który jechali. Można było liczyć na Kat, że nie zostawi żadnych niewiadomych.

Pozostawała jednak ostatnia niewiadoma.

– Mogę porozmawiać z Monkiem? – spytała nieco surowym tonem.

– Chwileczkę. – Podał telefon przyjacielowi. – Chyba masz kłopoty.

Monk wziął telefon, przytrzymując kierownicę kikutem ręki. Wsunął komórkę między ramię a podbródek, po czym znów chwycił kierownicę.

– Cześć, skarbie – powiedział.

W słuchawce rozległ się cichy głos Kat, ale nie można było zrozumieć ani słowa.

– Nie, nie straciłem drugiej ręki – odparł Monk, zaciskając palce na kierownicy. – Tylko protezę. To duża różnica, kochanie.

Gray przypuszczał, że Kat wymyśla mężowi, odgrywając odwieczny duet małżonków, w którym złość miesza się z miłością.

Na twarzy Monka wolno pojawił się uśmiech. W odpowiedzi szepnął kilka zwykłych, codziennych słów, ale w rzeczywistości pełnych czułości jak tekst arii.

– Mhm... dobrze... tak, na pewno...

Próbując dać im odrobinę prywatności, Gray odwrócił się, żeby popatrzeć na ciemne ulice, ale jego wzrok spoczął na wstecznym lusterku. Zobaczył, jak Seichan wpatruje się w tył głowy Monka z łagodnym i zamyślonym wyrazem twarzy, nie wiedząc, że jest obserwowana.

Ale nie przestała być myśliwym.

Kiedy wyczuła jego spojrzenie, oderwała wzrok od Monka i zatrzymała go na odbiciu w lusterku. Potem znów przybrała zaciętą minę i się odwróciła.

Nagle w głosie Monka zabrzmiało zaskoczenie.

– Co? Właśnie teraz?

Gray ponownie spojrzał na fotel obok.

Monk uniósł głowę i zwrócił się do obecnych w samochodzie:

– Kat właśnie dostała wiadomość. Lisa rozmawia z nim przez telefon. Painter się znalazł.

31 maja, 23.32

Flagstaff, stan Arizona

Niecałe pięć godzin do następnej eksplozji?

Po rozmowie z Lisą Painter wysłuchał pełnej relacji Kat. Spojrzał na zegarek. Tam będzie wtedy świt. Ale najważniejsze pytanie brzmiało: gdzie dokładnie nastąpi wybuch?

– Gray pracuje nad zawężeniem pola poszukiwań. Możemy mieć tylko nadzieję, że naprawdę znalazł starą indiańską mapę i będzie mógł zlokalizować to zaginione miasto.

Od chwili gdy z niemałym trudem wydostali się na wolność, Painter czuł się, jakby miał związane ręce. Wyszli z jaskiń pod Wupatki mniej więcej godzinę temu. Grupa poszukiwawcza biwakująca w pobliżu ruin była dość zaskoczona, gdy Painter i jego towarzysze wyłonili się znikąd, prosząc o wodę i coś do jedzenia. Błyskawicznie ewakuowano ich na posterunek straży, gdzie Painter zaczął się dowiadywać, co się działo podczas jego nieobecności.

A działo się sporo.

Najbardziej dręczyło go jednak jedno pytanie. Zadał je jeszcze raz.

– Kat, były jakieś wiadomości o Kai?

– Nie. – Następne słowa wypowiedziała ostrożniej. – Przeczესujemy wszystkie okręgi w Arizonie i Utah. Od żadnych służb policyjnych nie mieliśmy informacji o znalezieniu zwłok, których opis odpowiadałby twojej bratanicy.

Panując nad głosem, bo wiedział, że strach nikomu tu nie pomoże, powiedział:

– Jordan Appawora mówił, że oddział komandosów miał helikoptery. Mogli uciec dalej.

– Rozszerzymy poszukiwania.

– Co z ogłoszeniem wiadomości, że się uratowałem, przez tajne kanały i lokalne media?

– Już załatwione. Wysłałam pilny komunikat do wszystkich głównych agencji. Ze zdjęciami całej twojej grupy. Jeżeli Rafael Saint Germaine czy ktokolwiek z jego ludzi włączy telewizor, radio albo sprawdzi wiadomości w internecie, na pewno się dowie.

– To dobrze.

Jego bratanica miała szansę przeżyć – pod warunkiem że jeszcze żyła – jeżeli uda mu się przyciągnąć uwagę Francuza. Wówczas Rafael nie zrobi jej krzywdy, choćby miał ją ponownie wykorzystać jako kartę przetargową. Teraz Painter musiał się zastanowić, jaką kartą może zagrać, żeby ją uwolnić.

Przez następne piętnaście minut Kat przekazywała mu dodatkowe informacje: o Fort Knox, o trwającej obławie na Graya i spółkę oraz o raportach na temat aktywności neutrin.

Kiedy znał już aktualną sytuację, rozłączył się.

– Proszę pana – powiedział czyjś głos za jego plecami. Painter odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach Jordana. Pozostali położyli się spać w pokoiku na zapleczu posterunku strażników. Jordan wyglądał, jakby nie zmrużył oka. – Są jakieś wiadomości?

– Jeszcze żadnych. – Widząc jego przygnębioną minę, dodał: – Ale to dobra wiadomość. Dopóki nie będzie innej informacji, zakładamy, że żyje, tak?

Jordan ponuro skinął głową.

– Dobrze, ale kiedy tam leżałem w ciemnościach, zacząłem myśleć. Gdy mnie złapali, zabrali mi wszystko. Między innymi komórkę. A jeżeli jeszcze ją mają? Może spróbowalibyśmy zadzwonić pod mój numer?

Painter odniósł wrażenie, jak gdyby na tę myśl rozluźniły się niewidzialne więzy kępujące mu ręce. Czy jeszcze mają telefon chłopaka? Warto było sprawdzić. Poza tym nie cierpiał tej beczynności.

Jordan sięgał po kolejne argumenty, nie zdając sobie sprawy, że już go przekonał.

– Może ktoś odbierze telefon i spróbujemy im zagrozić, przestraszyć na tyle, żeby wypuścili Kai.

Przy okazji można by też namierzyć telefon, pomyślał Painter, rozważając różne możliwości. Albo zmienić go w zdalny podsłuch, aktywując mikrofon.

Oczywiście szanse mieli nikłe. Francuz nie był głupi. Prawdopodobnie już się pozbył telefonu. Painter postukał palcem w stół. Ale Rafael przypuszczał, że wszyscy nie żyją. Może jego ludzie nie wyrzucili jeszcze wszystkiego.

Mimo to Painter wiedział, że zlokalizowanie telefonu będzie wymagało czasu, zwłaszcza na dalekiej pustyni – czasu, którego Kai mogła już nie mieć.

Painter musiał zapłacić za jego przedłużenie.

– Jaki jest numer twojej komórki?

Jordan podał mu go.

Painter zapamiętał numer i poprosił jednego ze strażników o dostęp do stacjonarnego telefonu i odrobinę prywatności. Kiedy został sam w biurze w głębi budynku, wybrał numer. Słuchając sygnału, modlił się, by ktoś odebrał.

Wreszcie w słuchawce rozległ się trzask. Głos z wyraźnym obcym akcentem powiedział wolno i obojętnie:

– Ach, monsieur Crowe, widzę, że jeszcze nie skończyliśmy.

1 czerwca, 12.41

Salt Lake City, stan Utah

Rafael znów siedział rozparty w apartamencie prezydenckim na ostatnim piętrze hotelu Grand America w centrum Salt Lake City. Obudzono go pół godziny temu i pokazano zdjęcie ubłoconych ludzi stojących nad zakratowaną dziurą.

Painter Crowe żył.

Remarquable.

Zszokowany stał przez minutę w szlafroku, nie umiejąc zareagować. Targała nim burza emocji: wściekłości, podziwu i, owszem, lęku – nie przed tym człowiekiem, ale przed kapryśnym losem.

Na fotografii Painter patrzył prosto w obiektyw.

Rafe zobaczył w tym stalowym spojrzeniu wyzwanie. Wiedział, że to dyrektor Sigmy wyreżyserował tę akcję medialną. Była to wiadomość adresowana osobiście do Rafaela.

Żyję. Chcę dostać swoją bratanicę.

Trzymając przy uchu słuchawkę i nie zwracając uwagi na pęk kabli i przewodów zwisających

z wypatroszonej komórki, Rafe patrzył na zamknięte drzwi. Wydawało się, że los uśmiechnął się nie tylko do jej wuja, ale także do dziewczyny. Rafe chciał gruntownie przesłuchać Kai, zanim ją zlikwiduje. Była w jaskini w Utah, widziała mumie i skarb. Musiał poznać każdy szczegół, jaki zapamiętała. Być może towarzysząc przez krótki czas wujowi, dowiedziała się też czegoś więcej o Sigmie, jej agentach i innych istotnych szczegółach.

Ale przesłuchania tego rodzaju za bardzo go męczyły, by przeprowadzać je po tak długim dniu.

Ranek był zbyt wczesną porą, więc pozwolił jej zobaczyć jeszcze jeden wschód słońca.

A teraz cieszył się, że okazał tak wielkoduszną powściągliwość.

– Proszę nawet nie próbować namierzać tego telefonu – ostrzegł przeciwnika Rafe. – Zatrudniam zespół świetnych fachowców, którzy doskonale znają się na szyfrowaniu. Przesyłamy sygnał przez wiele punktów na świecie.

– Nawet nie przysłoby mi to do głowy. Na pewno spodziewał się pan mojego telefonu, więc zakładałam, że podjął pan odpowiednie kroki.

Exactement.

Zobaczywszy zdjęcie, Rafe wiedział, że Painter znajdzie jakiś sposób, aby się z nim skontaktować. Był nieco zaskoczony, że tak długo to trwało. Ashanda – z pomocą TJ – użyła ich technicznej magii, dbając o to, aby nikt nie mógł wytropić telefonu ani zlokalizować sygnału.

– Dzwonię, żeby wznowić negocjacje – rzekł Painter.

– Zacznijmy od punktu, w którym skończyliśmy.

– Zgoda.

– Po pierwsze, chcę mieć jakąś gwarancję, że Kai jeszcze żyje.

– Nie, nie sądzę, żebym był skłonny dawać panu gwarancje. – Rafe z satysfakcją słuchał długiej chwili ciszy, wiedząc, jaka to męczarnia dla Paintera. – Dopóki się nie dowiem, co pan zamierza położyć na stole.

Cisza podejrzenie się przedłużała.

Szykujesz jakiś bluff?

Zresztą cóż takiego ciekawego miałby mu zaoferować ten człowiek?

Rafe patrzył na złotą wazę stojącą na stoliku. Przedtem długo ją oglądał, chłonąc każdy szczegół, chcąc go na zawsze utrwalić w pamięci. Nawet teraz obracał urnę w myślach, przesuając opuszką palca po każdym znaku zapomnianego języka i dotykając na nowo szczegółowego pejzażu wyrytego na złotej powierzchni.

Ten skarb był obietnicą czegoś znacznie więcej niż bogactwa. Mógł zagwarantować wieczną chwałę jemu i jego rodzinie. Czegóż więcej mógł pragnąć?

– W zamian za powrót Kai – powiedział wreszcie Painter – zdradzę panu, gdzie miała zostać założona czternasta kolonia. Twarz Rafe'a powoli rozjaśniła się w uśmiechu. Znow był w szoku.

Ten człowiek nie przestawał go zdumiewać.

Remarquable.

12.44

– Wujku Crowe, żyjesz!

Słyszac jej głos, Painter bezwładnie osunął się na krzesło. Sam chciał wyrazić tę samą radość.

Żyła!

Zadawał jednak tylko rzeczowe pytania, wiedząc, że ma niewiele czasu.

– Kai, nic ci nie jest? Zrobili ci krzywdę?

– Nie – odrzekła, przeciągając to słowo, jak gdyby chciała w nim zawrzeć o wiele więcej.

Painter miał świadomość, jaki koszmar przeżywa dziewczyna: widziała śmierć, rozlew krwi, dręczył ją strach przed nieznanym. Ale w tym jednym słowie usłyszał też odwagę. W Kai płynęła przecież krew wojowników.

– Przyjadę po ciebie. Obiecuję.

– Wiem. – Brzmiały w tym i rozpacz, i nadzieja. – Wiem, że przyjedziesz.

Ktoś zabrał jej telefon. W słuchawce odezwał się głos Rafaela.

– A więc umowa stoi, *n'est-ce pas?*

– Zadzwoń, żeby podać czas i miejsce wymiany.

– Będę chciał zobaczyć dowód pańskiej deklaracji, monsieur Crowe.

– Zobaczy pan. Pod warunkiem, że Kai będzie cała i zdrowa.

– Niech tak będzie. *Au revoir.*

Kiedy się rozłączył, Painter nadal mocno ścisnął słuchawkę, jak gdyby próbował utrzymać połączenie z Kai. W głowie zakręciło mu się z ulgi.

– A więc Kai żyje? – zapytał ktoś z tyłu.

Painter obrócił się na krześle. Na posiniaczonej twarzy Jordana malował się gorączkowy niepokój. Skupiony na rozmowie Painter nie słyszał, jak chłopak wemknął się do biura. Albo młody człowiek umiał wyjątkowo lekko stąpać, z czego znany był jego klan Ute... albo Painter był po prostu tak wyczerpany, że zwracał na wszystko mniej baczną uwagę niż zwykle.

Może jedno i drugie.

Painter spojrzał na chłopaka, wiedząc, że musi być z nim szczerzy. Jordan zasłużył sobie na to.

– Nie zrobili jej krzywdy – powiedział. – Ale ciągle grozi jej niebezpieczeństwo.

Jordan zrobił krok w jego stronę.

– Czyli powie im pan to, co chcą wiedzieć... żeby ją wypuścili?

Chociaż to było pytanie, Painter usłyszał ton nieznoszący sprzeciwu.

– Spróbuję.

Niczego więcej nie mógł mu obiecać. W rozmowie z Rafaelem blefował, żeby kupić Kai więcej czasu. Ale na jak długo odroczył jej egzekucję? Jak długo jeszcze mógł zwodzić Francuza?

W gruncie rzeczy Painter nie miał pojęcia, gdzie miała się znajdować zaginiona czternasta kolonia. Tylko jeden człowiek miał szansę się tego dowiedzieć, a w tym momencie był zbiegiem poszukiwanym przez wszystkie policje i agencje wywiadu w kraju.

W oczach Jordana znów pojawił się strach.

Painter wstał, podszedł do niego i by go pocieszyć, położył mu dłoń na ramieniu.

– Możemy się niepokoić, ale nie trać ducha. Nad tą sprawą pracuje jeden z moich najlepszych ludzi.

Jordan skinął głową, głęboko nabrał powietrza i wolno wypuścił.

Painter spojrzał na słuchawkę, którą wciąż ścisnął w rękę. Rafael spodziewał się telefonu za godzinę. Painter będzie musiał wtedy znać odpowiedzi. Odwrócił się do ciemnego okna biura, spoglądając w dal przez rozległy kraj.

Nie zawieź mnie, Gray.

1 czerwca, 2.50

Nashville, stan Tennessee

Stojąc obok Seichan, Gray nachylił się nad okienkiem pieca. W twarz uderzyła go fala gorąca. W komorze na ceramicznym ruszcie spoczywała złota sztaba przechylona pod kątem, z widoczną Wielką Pieczęcią, na której bielik trzymał pęk czternastu strzał.

W dole pieca tańczyły rzędy niebieskich płomieni, powoli podnosząc temperaturę w środku. Cyfrowy termometr nad drzwiami pokazywał coraz większą liczbę – w tym momencie wewnątrz było ponad sześćset stopni.

– Już niedługo – powiedział właściciel zakładu.

Złotnik był Rosjaninem około pięćdziesiątki, o szpakowatych włosach. Miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, ale był zbudowany jak zawodnik formacji obrony drużyny futbolowej, a nad paskiem wystawał mu pokaźny brzuszec. Podrapał się w złoty łańcuszek błyszczący pod T-shirtem. Jego firma nazywała się GoldXChange i znajdowała się w kompleksie wielu rozmaitych zakładów przemysłowych na obrzeżach Nashville. Właściciel kupował za gotówkę stare złoto, ale także przetapiał klientom kolczyki, pierścionki, monety, naszyjniki i inne rodzaje biżuterii na sztabki.

Miał też jakieś kłopoty z urzędem skarbowym. Kat wymusiła na nim współpracę, strasząc go więzieniem, gdyby chciał komukolwiek pisnąć słowem o dzisiejszej nocnej operacji.

Właściciel zdradzał wyraźne oznaki zdenerwowania. Jego koszulka była mokra od potu.

– Złoto topi się przy tysiącu stopni Celsjusza – powiedział Rosjanin. – Proszę popatrzeć, metal już się żarzy.

Czerwonawa powierzchnia sztaby nabrała w piecu jasnego jak słońce blasku. Na oczach Graya na Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych, w miejscu, gdzie złoto układało się w pióra bielika, pojawiła się jedna połyskująca kropla. Stoczyła się po pochylonej płycie i spadła do ceramicznego tygła pod rusztem. Wkrótce zaczęło płynąć coraz więcej złocistych łez, powoli zacierając szczegóły pieczęci. Ostre, wyraźne krawędzie sztaby zmiękły, topiąc się w strumyczki złota.

– Powinno wystarczyć – powiedział Gray do właściciela zakładu. – Proszę utrzymywać taką temperaturę.

Gray nie zamierzał narażać mapy na zniszczenie, jeśli rzeczywiście została tam ukryta. Gęstsze nanozłoto miało wyższą temperaturę topnienia niż reszta sztaby, co nie oznaczało, że by nie zmiękło, gdyby w piecu zrobiło się za gorąco. Nie mogli ryzykować stopienia szczegółów mapy.

Gdy temperatura została ustawiona, Gray wskazał Rosjaninowi drzwi.

– Teraz musi nas pan zostawić. Proszę iść do mojego partnera.

Złotnik nie wahał się ani chwili. Skinął głową, odwrócił się i szybko skierował do wyjścia.

Monk stał na zewnątrz, obserwując ulicę. Nie chcieli znów wpaść w pułapkę.

Gray czekał, aż Rosjanin wyjdzie, po czym zajął do pieca, w którym stopione złoto spływało jak płynne słońce. Sztaba z wolna ulegała erozji, tracąc coraz więcej masy.

– Popatrz na wierzch – powiedziała Seichan, łapiąc go za nadgarstek.

– Widzę.

Ukazał się ciemny, nierówny grzbiet wystający z górnej krawędzi płyty, jak cień na jasnym tle ciekłego złota. W ciągu kilku następnych minut spływało coraz więcej błyszczącego metalu, odsłaniając większą część ukrytego przedmiotu. Nowy metal też się żarzył, choć mniej jaskrawo – na tle żółtawego złota miał czerwonaworóżową barwę.

– Mapa – szepnęła Seichan.

Nie mieli już wątpliwości, gdy po różowej powierzchni metalu ściekła reszta złota, odkrywając jeszcze jedną dawną tajemnicę.

Ukryty rysunek nie był płaskim grawerunkiem.

– To mapa topograficzna – powiedział Gray, patrząc z podziwem na jej artystyczne wykonanie.

Ujrzeni maleńkie rzeźbione łańcuchy górskie wraz z głęboko wyciętymi dolinami rzek i nieckami jezior. Spod stopionego złota wyłoniła się rozżarzona makieta górnej połowy Ameryki Północnej.

Gray zobaczył, jak jedna z ostatnich złotych kropelek spływa jak żaglowiec szeroką doliną rozdzielającą kontynent na pół.

Pewnie Missisipi.

Rozpoznawał kolejne charakterystyczne miejsca: łańcuch kotlin oznaczający Wielkie Jeziora, niewielką szczelinę, która musiała być Wielkim Kanionem Kolorado, wyniosły grzbiet górski oznaczający Appalachy. Nawet linie brzegowe przedstawiono z zadziwiającą dokładnością. Natomiast na północny wschód od kontynentu, na oceanie, wznosiły się ostre szczyty wysp otaczających większy ląd.

Islandia.

Niebawem na ceramicznej kracie pozostała tylko mapa. Miała nierówne, zniekształcone krawędzie, które na rogach wyginały się lekko do góry. Przez środek biegła cienka prosta kreska w miejscu łączenia dwóch połówek, które dokładnie do siebie pasowały. Gray wyobraził sobie, jak wyglądała mapa, kiedy była nią wyłożona czaszka mastodonta. Ludzie Jeffersona musieli spalić prehistoryczne kości, by ocalić mapę.

– To jakiś napis? – zapytała Seichan.

– Gdzie?

– Na marginesach mapy.

Gray pochylił się nad piecem, czując, jak promieniujące od niego ciepło parzy mu twarz. Seichan miała lepszy wzrok. Rzeczywiście wzdłuż mapy, na zachód od kontynentu, biegły niewyraźne linie pisma przypominające notatki kartografa.

Przyjrzał się, mrużąc powieki.

– Wygląda na to samo pismo, które widzieliśmy w dzienniku Fortescue, starożytne znaki skopiowane ze złotych tabliczek.

– Odwrócił się do Seichan. – Weź jakąś kartkę z kantorka. Masz lepsze oczy niż ja. Skopiuj cały napis.

Seichan, nie zadając zbędnych pytań, wykonała polecenie. Wiedziała, jakie czeka go zadanie, i wolała zostawić go samego.

Gray znów skupił się na wyrzeźbionej mapce Islandii. Mniejsze szczyty na południe od lądu oznaczały archipelag Vestmannaeyjar. Na wierzchołku jednej z wysepek głęboko w metalu osadzono maleńki kawałek czarnego kryształu – być może czarnego diamentu. Lśnił w blasku tańczących w piecu płomieni.

Wyspa Elliðaey.

Spojrzał na zachód, gdzie na tle różowego metalu błyszczał drugi diament. Ten kawałek był znacznie większy od kryształka w Islandii, prawdopodobnie wskazując na proporcjonalnie większe rozmiary zachodniego złoża. Przypominał mu złowrogo o niebezpieczeństwie wiszącym nad regionem.

Gray zmarszczył brwi, usiłując się zorientować w terenie. Bez granic stanów i nazw miast trudno mu było dokładnie określić, jakie miejsce oznaczał kamień, widział tylko, że leży gdzieś w łańcuchu Gór Skalistych daleko na północy, ale wciąż na terenie, który ostatecznie został włączony do terytorium Stanów Zjednoczonych.

Nic dziwnego, że wobec takich wątpliwości Fortescue postanowił najpierw jechać do Islandii.

Wróciła Seichan z papierem i długopisem i zaczęła kopiować napis znaleziony na marginesie mapy.

Tymczasem Gray zbadał wzrokiem pasmo Gór Skalistych na południe od diamentu. Wreszcie znalazł to, czego szukał – ledwie widoczny okruch kryształu, który łatwo można było przeoczyć, jeśli się go nie szukało.

To musi być miejsce wybuchu w Utah.

W porównaniu z kamieniem na północy nie znaczył prawie nic. Był tak mikroskopijny, że Jefferson i Fortescue albo go przeoczyli, albo uznali, że nie warto o nim wspominać. Gray przyglądał się trzem kryształom z rosnącą pewnością, że ich rozmiar odzwierciedla wagę każdego z tych miejsc i zagrożenie, jakie każde z nich stanowi.

Spojrzał na zegarek, aż nazbyt świadomy wpływających minut.

Seichan skończyła i długopisem wskazała największy diament.

– Wiesz, gdzie to może być?

– Chyba się domyślam – odrzekł, układając w głowie wszystkie elementy. Całość nabierała straszliwego sensu. Zanim jednak zdradził swoją teorię, musiał się upewnić, czy ma rację. – Muszę sprawdzić na mapie zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

Seichan wskazała na piec.

– A co zrobimy z tą mapą?

Zamiast tłumaczyć, Gray pokazał. Sięgnął do pokrętła termostatu na piecu. Przekręcał je, patrząc, jak wskaźnik temperatury przekracza trzy tysiące stopni, trzy razy więcej od temperatury topnienia zwykłego złota. Niebieskie acetylenowe płomienie strzeliły wyżej, tańcząc z jeszcze większą werwą.

Seichan zerknęła na niego, unosząc brew.

– Nie możemy ryzykować, że mapa wpadnie w ręce Waldorfa – wyjaśnił.

– Czyli chcesz ją zniszczyć?

– Spróbuję. Metal mapy jest gęstszy, więc nie stopi się w niskiej temperaturze jak zwykłe złoto. Musi być jednak taka temperatura, w której się topi.

Aby mieć pewność, że tak się stanie, Gray przekręcał termostat, dopóki z wyświetlacza nie zniknęły cyfry, które zastąpiły trzy litery: MAX.

Miał nadzieję, że to wystarczy.

Gray czuwał razem z Seichan przy piecu, w którym temperatura wciąż rosła. Niebawem

promieniujące z niego ciepło kazało im się odsunąć jeszcze o kilka kroków. Różowa powierzchnia mapy w komorze przybrała oślepiająco jasny kolor, świecąc jak małe słońce.

Może się nie stopi... nawet w takiej temperaturze.

W ciągu następnej minuty Gray musiał przysłonić oczy, chroniąc je przed rażącym światłem.

– Czujesz? – spytała Seichan.

– Co? – zaczął, ale po chwili zrozumiał.

Poczuł lekkie mrowienie na skórze, drobne wibracje, jak gdyby wszystkie cząsteczki w pomieszczeniu się ożywiły. Sekundę później ciężki piec zaczął się trząść, stukając w betonową posadzkę.

Gray chwycił Seichan za łokieć i pchnął w kierunku drzwi.

– Uciekaj!

Pobiegł za nią. W wyobraźni widział gęsto upakowane atomy nanozłota ściśnięte nienaturalnie blisko siebie i drżącą w nich ogromną energią potencjalną jak w napiętej do granic możliwości gumie.

Obejrzał się za siebie. Jeśli ta guma zostanie nagle przecięta, jeśli cała energia potencjalna zostanie natychmiast uwolniona w wyniku przegrzania metalu...

Zamiast się stopić, mapa...

Eksplozja rzuciła go na Seichan i razem wypadli przez drzwi zakładu na zewnątrz. Za nimi sypnął się grad odłamków szkła i fragmentów roztrzaskanego drewna. Osmalone drzwiczki pieca śmignęły obok i rozbiły przednią szybę zaparkowanego tuż przed zakładem, należącego do złotnika chevroleta suburban, który stał.

Gray pozbierał się, chwycił Seichan w pasie i pociągnął ją w górę. Przypomniał sobie rząd butli ze sprężonym gazem stojących w zakładzie. Następny wybuch cisnął ich z powrotem na ziemię, oblewając falą żaru. Z ocalałych okien zakładu wystrzeliła ogromna kula ognia i poszybowała w niebo.

Dźwignęli się na nogi, pomagając sobie nawzajem.

Monk patrzył na nich z drugiego końca niewielkiego parkingu znajdującego się przed zakładem złotniczym. Stał obok zszokowanego Rosjanina, niedaleko ukradzionej białej furgonetki. Kiedy Gray i Seichan ruszyli biegiem w ich stronę, złotnik padł na kolana.

– Coście zrobili z moim zakładem? – rzucił wściekle.

– Zrefundujemy straty – powiedział Gray, dając mu znak, żeby się odsunął, a pozostałym wskazując samochód. – Pod warunkiem że nic pan nikomu nie powie.

Wszyscy wsiedli do vana, a Monk znów zajął miejsce za kierownicą.

– Trzymajcie się mocno – ostrzegł Monk.

Wrzucił wsteczny, wcisnął pedał gazu i z piskiem opon pomknął tyłem przez parking. Wóz podskoczył na krawężniku i tak twardo wylądował na jezdni, że omal nie stracili zębów, po czym Monk szarpnął dźwignię zmiany biegów i gwałtownie ruszył do przodu, narażając wszystkich na uszkodzenie kręgosłupów.

Gray rozumiał, dlaczego muszą się spieszyć. Wszyscy rozumieli. Musieli jak najszybciej opuścić okolicę, zanim zjawią się tu służby ratownicze. Patrzył na płonący budynek. Języki ognia wciąż lizały mury, a w ciemne niebo unosił się dym jak z flary. Już prawie udało im się zmylić trop, lecz nagle zostawili za sobą świeży, jeszcze gorący ślad. Nie mógł ufać, że Rosjanin będzie milczał. Wiadomość o ich wizycie szybko się rozejdzie i prawdopodobnie dotrze do Waldorfa.

– Co tam się stało? – spytał w końcu Monk.

Gray powiedział mu.

– No to przynajmniej znaleźliście indiańską mapę – zauważył Monk. – A co z tą czternastą kolonią? Wiesz już, gdzie ona jest?

Gray skinął głową. Wciąż dzwoniło mu w uszach.

– Chyba tak.

– Gdzie?

– W najgorszym z możliwych miejsc.

1 czerwca, 0.22

Flagstaff, stan Arizona

Painter pochylał się nad stołem w głównym pomieszczeniu posterunku strażników.

– Jeżeli Gray ma rację, to jak wygląda nasza sytuacja?

Ronald Chin, siedzący po drugiej stronie blatu przykrytego mapami topograficznymi i raportami Służby Geologicznej USA, zrezygnowany pokręcił głową.

– Siedzimy po uszy w gównie.

Niecenzuralne słowo z ust powściągliwego zwykle geologa mówiło wiele. Chin przyjechał przed półgodziną razem z członkiem Gwardii Narodowej, majorem Ashleyem Ryanem. Obaj byli w drodze z Utah do Arizony, zamierzając pomóc w poszukiwaniach zaginionej grupy Paintera. Kiedy wylądowali we Flagstaff i dowiedzieli się o ich uratowaniu, stawili się na posterunku, który zmienił się w prowizoryczny sztab.

– Mógłbyś mówić konkretniej? – poprosił Painter i spojrzał na rozłożoną mapę stanów Montana i Wyoming. To tutaj zdaniem Graya było ukryte zaginione miasto starożytnych, miejsce ostatniego spoczynku *Tawtsee'untsaw Pootseev*, gdzie złożyli swoje największe skarby i gdzie tykał zegar odmierzający czas do zagłady zbliżającej się z każdym kolejnym neutrinem.

Przyjrzał się zaznaczonym na mapie granicom parku narodowego.

Yellowstone.

Najstarszy park narodowy w kraju i największy ze wszystkich obszarów geotermalnych na kontynencie. Jeśli *Tawtsee'untsaw Pootseev* szukali ciepłej i trwałej skrytki na swój kruchy i wrażliwy skarb, byłoby to idealne miejsce – dziesięć tysięcy gorących źródeł, dwieście gejzerów i mnóstwo otworów hydrotermicznych, bulgoczących fumaroli i wulkanów błotnych. Jeśli chodzi o ścisłość, to połowa gejzerów na całym świecie znajdowała się na terenie parku.

Ale oznaczało to także wielki obszar do przeszukania.

Prawie dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych.

Przed podjęciem decyzji o skoncentrowaniu wszystkich sił i środków w tym jednym miejscu Painter chciał mieć pewność. W jednym z pokoi w głębi posterunku Hank Kanosh sięgał właśnie do swoich indiańskich źródeł wiedzy, starając się potwierdzić przypuszczenia Graya. W tym momencie to nadal była tylko hipoteza. Nawet Gray przyznawał, że opiera swoje wnioski na domysłach, pozostawiając spory margines błędu. Tymczasem jego zespół miał szukać dalszych dowodów, kontynuując badanie źródeł historycznych.

Kiedy wszyscy zajęli się swoimi zadaniami, Painter chciał się dowiedzieć, czego można się spodziewać. Do tego była mu potrzebna ekspertyza geologa.

Chin wstał od stołu, wyciągając na wierzch mapę topograficzną parku narodowego. Przedstawiała pierścień gór otaczający rozległą wyżynę, prawdziwe geotermalne serce Yellowstone. Parująca dolina zajmowała cztery tysiące kilometrów kwadratowych i mogłaby

pomieścić całe Los Angeles. Ale nie była to zwykła dolina. Była to kaldera, zagłębienie na szczycie superwulkanu, który kipiał pod parkiem.

– Tu tkwi problem – powiedział Chin, wskazując środek krateru, który zajmowało rozległe jezioro. – Kaldera Yellowstone leży w miejscu geologicznej plamy gorąca, gdzie stale podnosi się poziom gorących, płynnych skał pochodzących z płaszcza Ziemi. Wypełniają one ogromną komorę wulkaniczną znajdującą się jakieś sześć, siedem kilometrów pod powierzchnią. Z danych zebranych przez Obserwatorium Wulkanologiczne Yellowstone wiemy też, że znacznie bliżej powierzchni są ogniska magmowe, z których materiał przenika do skorupy i wywołuje aktywność hydrotermalną tego obszaru. Wysoka temperatura razem z lokalnymi opadami deszczu napędza potężny, pradawny system hydrauliczny, najstarszy silnik parowy świata. Ta siła spowodowała wielkie eksplozje hydrotermalne w dolinie. Jezioro Yellowstone powstało w wyniku jednego z takich wybuchów, gdy krater wypełnił się wodą deszczową i pochodzącą ze źródeł.

Chin zatrzymał palec na jeziorze. Oczy utkwili w twarzy Paintera.

– Ale głębiej pod ziemię ciśnienie powoli wzrasta, a płynny materiał podnosi się wyżej, gromadząc się w tej olbrzymiej komorze wulkanicznej.

– Dopóki w końcu nie eksploduje.

– W ciągu ostatnich dwóch milionów lat w Yellowstone trzy razy dochodziło do takich erupcji. Pierwsza wyrwała w skorupie ziemskiej dziurę wielkości Rhode Island. Po ostatniej erupcji większą część kontynentu pokryły popioły. Eksplozje zdarzają się regularnie, prawie tak miarowo jak wybuchy gejzeru Old Faithful. Raz na sześćset tysięcy lat.

– Kiedy doszło do ostatniej erupcji? – spytał Painter.

– Sześćset czterdzieści tysięcy lat temu. – Geolog znacząco spojrzał na Paintera. – Czyli mamy opóźnienie. Kwestią nie jest, czy superwulkan wybuchnie, ale kiedy wybuchnie. Erupcja jest nieunikniona, a dowody geologiczne wskazują, że to się stanie niebawem.

– Jakie dowody?

Chin sięgnął po plik wyników badań Służby Geologicznej i raportów sejsmograficznych pochodzących z obserwatorium wulkanologicznego. Potrząsnął trzymanymi w rękę kartkami.

– Zbieramy dane od tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku. W miarę jak wzrasta ciśnienie pod ziemią, teren stale się wypiętrza, ale od dwa tysiące czwartego roku wybrzuszenie ziemi unosi się z prędkością trzy razy większą od przeciętnej w ciągu roku, najszybciej w historii, odkąd monitoruje się ruchy terenu. Dno na jednym końcu jeziora Yellowstone, które leży na kalderze, podniosło się na tyle, by z drugiego końca wylała się woda, niszcząc drzewa. Inne części lasu wymierają, bo korzenie drzew gotują się w podziemnym cieple. Gorące źródła wzdłuż szlaków zaczęły kipieć, zdarzało się, że turyści doznawali ciężkich obrażeń, więc niektóre ścieżki trzeba było zamknąć. Gdzie indziej pojawiły się nowe otwory widoczne z samolotów, wyrzucające parę i chmury toksycznych wyziewów, które na miejscu powalały bizona.

Chin z rozmachem położył kartki na stole.

– To beczka prochu, która tylko czeka, żeby wybuchnąć.

– Wystarczy, że ktoś podpali lont – zauważył Painter.

Wyobraził sobie potężne fale neutrin płynące z jakiegoś miejsca w parku, odliczające czas do nieuchronnej eksplozji, sto razy większej od erupcji, do której doszło w Islandii.

– Czego można się spodziewać, gdyby nie udało się nam tego powstrzymać? – zapytał Painter.

– Co się stanie, jeżeli kaldera rzeczywiście wybuchnie?

– Nastąpi kataklizm. – Chin patrzył na plik raportów i arkusze danych. – Najpierw dojdzie do najgłośniejszej eksplozji, jaką ludzkość słyszała od ponad siedemdziesięciu tysięcy lat. W ciągu kilku minut sto tysięcy ludzi umrze przysypanych popiołem, spalonych przez potoki piroklastyczne albo zginie w wyniku samej fali uderzeniowej wybuchu. Magma wystrzeli w niebo na wysokość czterdziestu kilometrów. Komora wulkaniczna uwolni taką ilość lawy, która mogłaby pokryć całe Stany Zjednoczone warstwą grubości kilkunastu centymetrów. Ale lawa prawie w całości pozostałaby w zachodnich stanach, zmiatając z powierzchni ziemi cały Północny Zachód. Jeżeli chodzi o resztę kraju i świata, najgroźniejszym mordercą byłby popiół. Według szacunkowych ocen dwie trzecie kraju przykryłaby co najmniej metrowa warstwa popiołu, a ziemia stałaby się jałowa i nie nadawałaby się do zamieszkania. Najgorsze jednak byłoby to, że popiół wyrzucony do atmosfery przyćmiłby światło Słońca i obniżył temperaturę na Ziemi o dwadzieścia kilka stopni, wywołując „wulkaniczną zimę”, która trwałaby dziesiątki, jeżeli nie setki lat.

Painter wyobraził sobie ogólnoswiatowy głód, chaos, śmierć. Przypomniał sobie opisywaną przez Graya erupcję wulkanu Laki na Islandii, do której doszło niedługo po narodzinach Ameryki. Ten stosunkowo niewielki wybuch wulkaniczny pochłonął sześć milionów istnień ludzkich.

Popatrzył w śmiertelnie bladą twarz China.

– Mówisz o globalnej zagładzie, zgadza się?

– Takie rzeczy już się zdarzały. Zaledwie siedemdziesiąt tysięcy lat temu. Na Sumatrze wybuchł superwulkan. Zima wulkaniczna, jaka potem nastąpiła, unicestwiła większą część populacji Ziemi, zmniejszając jej liczebność do kilku tysięcy par w wieku rozrodczym. Ludzkość o włos uniknęła zagłady. – Chin utkwiał ciężkie spojrzenie w oczach Paintera. – Tym razem nie będziemy mieli tyle szczęścia.

12.28

Siedząc w pokoju na tyłach posterunku, Hank słuchał prognoz China.

Jego ręce spoczywały na klawiaturze komputera, ale oczy nie widziały ekranu. Hank wyobrażał sobie unicestwienie całej cywilizacji. Przypomniał sobie apokaliptyczną przepowiednię starego Ute dotyczącą jaskini w górach w Utah – o tym, jak Wielki Duch powstanie i zniszczy świat, jeśli ktokolwiek odważy się wtargnąć do groty.

Przepowiednia właśnie się spełniała.

Na jego długie, sękaty palce padł jakiś cień. Rękę ścisnęła mu ciepła, pozbawiona zmarszczek dłoń.

– Spokojnie, panie profesorze – powiedział Jordan. Młody człowiek siedział obok niego i segregował strony wychodzące z laserowej drukarki. – Może nawet w ogóle nie chodzi o Yellowstone.

– Chodzi.

Hank nie potrafił się otrząsnąć z rozpaczki pogłębianej przez wspomnienia o Maggie i wszystkich innych, którzy zginęli.

Tyle śmierci...

Nagle bardzo rozdrażniła go młodość towarzysza, jego niesłabnący optymizm i niezachwiana wiara we własną nieśmiertelność. Zerknął na Jordana, ale to, co ujrzał w twarzy młodego człowieka, świadczyło o czymś innym. Czarne oczy, sińce, strach, jaki wyrażało każde drgnienie

mięśni – jego nadzieja nie brała się z braku dojrzałości. Jordan po prostu taki był.

Hank głęboko nabrał powietrza i odrzucił myśli o umarłych spowijające go jak całuny. Ciągle żył. Tak jak ten nieugięty młody człowiek. Pod stołem o podłogę załomotał ogon.

Tak jak ty, Kawtch.

Hank też dodał Jordanowi otuchy, przez chwilę odwzajemniając ciepły uścisk dłoni, po czym ponownie skoncentrował się na pilnym zadaniu. Wciąż nie zmienił zdania w sprawie ostatniego miejsca spoczynku *Tawsee'untsaw Pootseev*. Współpracownik Paintera na wschodzie poprawnie odczytał złotą mapę.

Tak przynajmniej uważał Hank.

– Co pan znalazł? – spytał Jordan.

– Czytałem całe tomy indiańskich mądrości na temat Yellowstone, próbując ustalić jakieś współzależności między różnymi mitami i legendami, które potwierdzałyby istnienie zaginionego miasta ukrytego w tej dolinie. Jestem rozczarowany. Rdzenni Amerykanie mieszkają w tym regionie od ponad dziesięciu tysięcy lat. Czejenowie, Kiowa, Szoszoni, Czarne Stopy, a potem jeszcze Wrony. Ale wśród tych plemion niewiele mówi się o tej niezwykłej dolinie. Panuje głucha i wymowna cisza, co wydaje się podejrzane.

– Może nic o niej nie wiedzieli.

– Nie, mają dla niej nawet własne nazwy. Wrony nazywały to miejsce „krainą płonącej ziemi”, a czasem „krainą oparów”. Dla Czarnych Stóp to było „wiele dymów”. Saliszowie używali z kolei określenia „dym z ziemi”. Nie istnieje chyba nic dokładniejszego, prawda? Dawne plemiona świetnie znały to miejsce.

– W takim razie może nic o nim nie mówiły, bo było święte.

– Taki pogląd panował najdłużej. Indianie jakoby wierzyli, że syk i huk gejzerów to głosy złych duchów. W pewnych kręgach wciąż powtarza się podobne teorie, ale to bzdura. Najnowsze badania antropologiczne wykazały, że tak nie było. Dawni Indianie nie bali się dymiącej ziemi. Tę fałszywą opowieść rozgłaszali przede wszystkim pierwsi biali osadnicy, może po to, żeby przedstawić swoich dzikich sąsiadów jako nierozgarniętych głupców. a może po to, żeby usprawiedliwić zabieranie ich ziemi. Jeżeli pionierzy twierdzili, że Indianie boją się wejść do Yellowstone, to całe terytorium jest do wzięcia.

– No więc jaka jest prawda?

Hank wskazał na ekran.

– Ten dowód zbił z tropu ówczesnych uczonych. Oto co w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku napisał o tym historyk Hiram Chittenden. *To osobliwy fakt, że gdy idzie o Park Narodowy Yellowstone, wydaje się, że żadna wiedza o tej okolicy nie pochodzi od Indian... Ich milczenie na ten temat jest zatem równie niezwykle jak tajemnicze.*

– Nie odnosi się wrażenia, jakby się bali – zauważył Jordan. – Raczej próbowali coś ukryć.

Hank energicznie pokiwał głową – święta racja, chłopcze – po czym pokazał na ekran.

– Spójrz. Ten fragment znalazłem w niedawnych badaniach; to cytat ze starego dziennika jednego z pierwszych osadników, Johna Hamilcara Hollistera. Nigdzie nie potrafiłem znaleźć niczego podobnego, ale fragment wiele mówi o milczeniu Indian.

Jordan pochylił się nad monitorem.

Hank razem z nim jeszcze raz przeczytał cicho tekst na ekranie.

Jest bardzo niewiele indiańskich legend związanych z tą świadomie zapomnianą krainą. Wśród nich znalazłem jedną, która brzmi tak: nie wolno mówić żadnemu białemu człowiekowi o tym piekle, aby nie wkroczył na tę ziemię i nie wszedł w konszachty z diabłami, żeby z ich

pomocą rozgromić wszystkich Indian.

Jordan wyprostował się zaskoczony.

– Czyli naprawdę coś ukrywali.

– A nasi przodkowie nie chcieli, żeby to wpadło w niepowołane ręce, obawiając się, że może zostać wykorzystane przeciwko nim.

– Tam musi być to zaginione miasto.

Tylko gdzie?

Hank spojrzął na zegarek, broniąc się przed następną falą paraliżującej rozpaczki, jaka ogarnęła go przed paroma chwilami. Postanowił wziąć przykład z Jordana. Nie straci nadziei. Zauważył, że młody człowiek patrzy przez okno w kierunku widocznych w oddali świateł Flagstaff. Hank wiedział jednak, że myślami jest znacznie dalej, a przyczyna jego niepokoju nie ma nic wspólnego z wulkanami i zaginionymi miastami.

Tym razem Hank wyciągnął rękę i w geście pocieszenia ucisnął dłoń Jordana.

– Odzyskamy ją.

1.38 Salt Lake City, stan Utah

Minęła prawie godzina, odkąd Kai rozmawiała z wujem Crowe'em. Siedziała w jadalni rozwiązana, lecz nie miała nic do roboty z wyjątkiem obgryzania paznokci.

W apartamencie panował duży ruch. Komandosi zdjęli polowe mundury i przebrali się w cywilne ubrania, które zupełnie nie pasowały do twardych najemników. Zabrali się do pakowania rynsztunku i demontowania broni. Szykowali się do wyjazdu.

Nawet sprzęt komputerowy został umieszczony w wysokiej walizie na kółkach – zmodyfikowanym kufrze podróżnym od Vuittona. Biegło stamtąd kilka kabli podłączonych do wypatroszonej komórki Jordana.

Rafael chodził wokół walizy, czekając na telefon od wuja Kai.

Opuściła ręce na kolana, splatając dłonie między nogami, równie zdenerwowana jak człowiek, który ją więził, balansując na krawędzi strachu.

Przed telefonem Paintera zamknęto ją w jednej z sypialni apartamentu. Kai była przekonana, że wuj nie żyje. Wiedziała wtedy, że ci ludzie chcą ją zabić. Było jej wszystko jedno. Siedziała na skraju łóżka, czując się jak wydrążona powłoka samej siebie. Wciąż miała świadomość strachu, który czaił się w środku jak zwinięty oślizgły wąż, ale bardziej dojmujące było poczucie bezdennej pustki. Widziała za dużo krwi, za dużo śmierci. Własne życie niewiele dla niej znaczyło. Zastanawiała się, czy nie stłuc lustro w łazience, żeby odłamkiem szkła podciąć sobie żyły, jak gdyby w ten sposób mogła odzyskać odrobinę kontroli nad własną sytuacją.

Ale nawet to za bardzo przypominałoby walkę.

Brakowało jej po prostu sił.

Potem zadzwonił telefon. Jej wuj żył, profesor i Jordan też, a nawet ta chodząca lodówka Kowalski. Widziała ich zdjęcie na ekranie komputera Rafaela, kadr z telewizyjnych wiadomości o ich ocaleniu.

Wtedy ogromna radość wypełniła pustkę i rozświetliła ciepłym blaskiem mrok w jej sercu. W głowie dźwięczały jej ostatnie słowa wuja.

„Przyjadę po ciebie. Obiecuję”.

Powiedział, że jej nie zostawi – i wierzyła mu, dlatego właśnie ogarnęło ją dzikie, obłądne

przerażenie. Nagle zapragnęła żyć, a uświadomiwszy to sobie, zorientowała się, że ma wszystko do stracenia.

Nie było jednak jak uciec.

Spojrzała na swoją jedyną towarzyszkę przy stole w jadalni. Muskularną Afrykankę o imieniu Ashanda. Kai z początku panicznie bała się tej kobiety, ale wtedy Ashanda rozpałała pogrzebacz w ogniu, żeby na rozkaz Rafaela zadawać tortury. Z czasem jednak lęk przeobraził się w rodzaj dyskomfortu z dodatkiem ciekawości.

Kim właściwie była?

Kobieta zupełnie nie przypominała pozostałych, z pewnością nie była żołnierzem, choć walczyła dla Rafaela. Kai ujrzała w pamięci Ashandę, jak wyłania się z ciemnej błotnej jaskini i biegnie z szybkością i zwinnością, o które trudno byłoby podejrzewać osobę o takiej posturze. Rozmawiając z wujem Crowe'em, Kai widziała też Ashandę, gdy pracowała przy komputerze, a jej ciemne palce tylko śmigały po klawiaturze. Nie było wątpliwości, że jest kimś więcej niż zwykłym technikiem.

W jasnym świetle w pokoju Kai zauważyła niewyraźne blizny na skórze kobiety, tworzące rzędy małych kropek układających się w pasy wzdłuż ramion, niemal jak na skórze krokodyla. Na twarzy miała podobne blizny, lecz tworzące bardziej ozdobny wzór – podkreślające ciemne oczy i biegnące łukami w kierunku skroni. Włosy miała zaplecione w ciemne, cienkie warkoczyki, które wdzięcznie opadały z ciemienia na czoło i ramiona.

Kai widziała, jak kobieta patrzy na Rafaela. Wcześniej dostrzegła w jej oczach tylko pustkę, teraz było jednak inaczej. Wiedziała, że w głębi tych ciemnych luster kryje się otchłań smutku. Ashanda siedziała zupełnie nieruchomo, jak gdyby się bała, że ktoś ją zobaczy, a równocześnie chciała czegoś więcej. W jej spojrzeniu było oddanie i cień znużenia. Siedziała jak pies czekający na dotyk swojego pana, wiedząc, że nigdy nie dostanie niczego więcej poza dotykiem.

Z zamyślenia wyrwał ją melodyjny dzwonek telefonu.

Kai odwróciła się gwałtownym ruchem.

Nareszcie.

1.44

Rafaël cenił sobie punktualność. Dyrektor Sigmy zadzwonił dokładnie o umówionej godzinie. Konsternacji Francuza nie wywołał sam telefon, ale oferta, którą Painter nieoczekiwanie mu przedstawił.

– Rozejm? – zdziwił się Rafe. – Między nami? Jak miałbym na tym skorzystać?

Painter odrzekł wciąż rozgorączkowanym głosem:

– Zgodnie z obietnicą powiem panu, gdzie znajduje się czternasta kolonia. Ale to nic panu nie da. Wszystko wskazuje na to, że skład substancji eksploduje za jakieś cztery i pół godziny.

– Wobec tego, monsieur Crowe, jeżeli pan chce, żeby bratanica żyła, najlepiej dokonać tej wymiany jak najszybciej.

– Posłuchaj, Rafaël. Powiem ci teraz. Czternasta kolonia jest ukryta gdzieś w Parku Narodowym Yellowstone. Jestem pewien, że wybór takiego miejsca nie jest dla ciebie zaskoczeniem, prawda?

Rafe usiłował zrozumieć powód tak radykalnego obrotu rzeczy.

Podstęp? W jakim celu?

– Podaj mi adres e-mail – naciskał dalej Painter, wyrzucając z siebie szybko słowa. – Prześlę

ci wszystkie stosowne dane. Ale za kilka krótkich godzin substancja osiągnie punkt krytyczny i wywoła wybuch ponad sto razy większy od tego w Islandii. Wiesz jednak, że nie to jest prawdziwym zagrożeniem. Eksplozja uwolni masę nanobotów. Zaczną dezintegrować każdą napotkaną materię, rozszerzać się i rosnać. Nanogniazdo sięgnie aż do komory wulkanicznej pod Yellowstone i wywoła erupcję superwulkanu, na którym leży park. Dojdzie do kataklizmu porównywalnego ze skutkami uderzenia w Ziemię asteroidy o średnicy półtora kilometra. To oznacza niemal całkowity koniec życia na planecie, a na pewno życia ludzi.

Rafe zauważył, że trudniej mu się oddycha. Czy to możliwe, żeby mówił prawdę?

– Wątpię, by zależało ci na zniszczeniu w takiej skali – ciągnął Painter. – Ani żadnej z osób, z którymi pracujesz. Albo połączymy nasze siły i wiedzę, żeby temu zapobiec, albo nastąpi koniec wszystkiego.

– Będę... będę potrzebował czasu do namysłu. – Rafe nie cierpiał słuchać własnego jąkania.

– Spiesz się – ostrzegł Painter. – Powtarzam, przyślę ci wszystkie nasze dane, cokolwiek zechcesz. Ale Yellowstone zajmuje prawie dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych, a to dla nas ogromne wyzwanie. Musimy ustalić dokładne położenie zaginionego miasta, wiedząc, że zegar ciągle tyka.

Rafe spojrzął na zegarek. Jeżeli dyrektor mówił prawdę, na znalezienie miasta i zneutralizowanie ukrytego materiału mieli czas do szóstej piętnaście.

– Proszę przysłać wszystko, co macie – powiedział Rafe i podał mu adres elektroniczny.

– Znasz mój numer – zakończył Painter i odłożył słuchawkę.

Rafał opuścił dłoń z telefonem i w zamyśleniu zwiesił głowę.

Mam panu wierzyć, monsieur Crowe? Czy to możliwe, że mówi pan prawdę?

Uniósł lekko głowę, by zerknąć na Kai Quocheets.

Dyrektor w ogóle nie pytał o bratanicę. A to bardziej niż cokolwiek innego potwierdzało jego szczerść. Jakie znaczenie mogły mieć negocjacje dotyczące życia jednej osoby, gdy stawką w grze było życie całej ludzkości?

Nagle Rafe podskoczył, bo znów rozległ się dzwonek telefonu. Spojrzął na trzymaną w rękę komórkę podłączoną do programów szyfrujących. Ale to nie ona była źródłem dźwięku. Odwrócił się w stronę kredensu, na którym leżały jego laptop i prywatna komórka. Patrzył, jak telefon wibruje, i usłyszał jego sygnał.

Opierając się na lasce z większym trudem niż zwykle, podszedł do kredensu i wziął aparat. Prywatny telefon służył mu tylko do bezpośredniej łączności z rodziną i kilkoma współpracownikami z placówek badawczych w Alpach francuskich. Na wyświetlaczu widniała jednak informacja, że numer jest zastrzeżony. To nie miało sensu. Jego telefon nie przyjmował połączeń z zastrzeżonymi numerami.

Był już gotów zlekceważyć sprawę i nie odebrać, ale miał telefon w rękę i chciał się czymś zająć, czekając na dane od Paintera Crowe'a.

Zirytowany przyłożył aparat do ucha.

– Kto mówi?

Odezwął się łagodny głos Amerykanina, dość nijaki, może z lekkim akcentem południowym, ale zbyt nieokreślonym, by Rafe mógł odgadnąć coś więcej. Mężczyzna podał mu swoje nazwisko.

Laska wysunęła się z dłoni Rafe'a i ze stukiem wylądowała na marmurowej posadzce. Wyciągnął rękę do kredensu, żeby nie stracić równowagi. Zauważył, że Ashanda podniosła się z miejsca gotowa przyjść mu z pomocą. Surowo pokręcił głową.

Mężczyzna mówił spokojnie i wyraźnie, bez tonu groźby, ale z pewnością w głosie.

– Słyszeliśmy wiadomość. Nawiąże pan pełną współpracę z Sigmą. Trzeba powstrzymać to, co nadciąga, dla dobra nas wszystkich. Mamy pełne zaufanie do pańskich umiejętności.

– *Je vous en prie* – wykrztusił, z zażenowaniem zdając sobie sprawę, że mimowolnie przeszedł na francuski.

– Kiedy osiągnie pan swój cel, wszyscy spoza pańskiej grupy, którzy będą wiedzieli o odkryciu, muszą zostać zlikwidowani. Ale ostrzegam. W przeszłości często nie doceniano dyrektora Crowe’a.

Wzrok Rafe’a prześlizgnął się po Kai.

– Chyba mam sposób zneutralizowania zagrożenia z jego strony, mimo to będę ostrożny.

– Na pewno nabrał pan w tym wprawy, mając tak kruche kości.

Choć można byłoby to uznać za coś w rodzaju obelgi, to nuta rozbawienia w głosie – mimo ciężkiej sytuacji – wyraźnie świadczyła o dobrodusznym intencjach.

– *Adieu* – zrewanżował się uprzejmie mężczyzna. – Mam tu na wschodzie kilka spraw, którymi się muszę zająć.

Rozległ się trzask zakończonego połączenia.

Rafe natychmiast odwrócił się do TJ, który pakował ostatnie elementy sprzętu komputerowego.

– Połącz się z Painterem Crowe’em. – Zwracając się do Berna, powiedział: – Przygotuj ludzi do drogi. Ruszamy za piętnaście minut.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Bern. Nie był wścibski; chciał tylko uzyskać rzeczową informację, by lepiej przygotować oddział.

– Do Yellowstone.

– Jest połączenie – wtrącił TJ.

Rafe wziął telefon gotów zawrzeć układ.

Wiedział, że musi być posłuszny. Świadomość zaszczytu, jakiego dostąpił, dodała mu skrzydeł i umocniła go w postanowieniu, choć nie wzmocniła kości. Jako pierwszy w rodzinie rozmawiał z członkiem Prawdziwej Linii Rodu.

1 czerwca, 4.34

Za Nashville, stan Tennessee

Niebawem robi się jaśniej.

Gray nie był pewien, czy to pomyślna okoliczność. Ledwie wyjechali z Nashville, klucząc ulicami i bocznymi drogami, przestrzegając ograniczeń prędkości. Monk siedział za kierownicą, podczas gdy Gray koordynował działania z Painterem Crowe'em.

Po wykonaniu jednego zadania dyrektor przydzielił mu następne: miał podjąć próbę dokładniejszego określenia lokalizacji czternastej kolonii na podstawie historycznych tropów. Śladem Archarda Fortescue pojechali już do Islandii i z powrotem. Teraz musieli sprawdzić, czy uda się ustalić szlak następnej podróży Francuza.

Co oznaczało, że nie tylko oni nie będą spać tej nocy.

– Telefonowanie o tej porze wchodzi panu w nawyk, panie Pierce – powiedział Eric Heisman. Nie wydawał się zirytowany, raczej podekscytowany.

Rozmowę zorganizowała Kat, łącząc ich przez centralę Sigmy, aby zaszyfrować połączenie.

– Mówi pan przez głośnik – poinformował go Gray. W tej naradzie potrzebował wszystkich. Nie wolno było bagatelizować żadnego spostrzeżenia ani przeoczyć istotnego szczegółu. Gray chciał, żeby każdy przyłożył rękę do sprawy.

Seichan wyprostowała się na tylnym siedzeniu, żeby posłuchać.

Monk jechał wolno Shelbyville Highway na południe od miasta.

O tej godzinie droga była pusta, mógł więc skupić całą uwagę na rozmowie. Kat także jej słuchała w centrali Sigmy.

Heisman zaczął od miejsca, w którym ostatnio skończył relacjonować rezultaty swojego naukowego śledztwa.

– Sharyn i ja zebraliśmy wszystko, co się dało, na temat ekspedycji Lewisa i Clarka i jej związków z Yellowstone. Kilka minut temu konsultowałem się też z profesorem Henrym Kanoshem. Oszczędził mi dużo czasu i wysiłku, sprawdzając, co o sprawie mówią indiańskie źródła.

Czując presję czasu, Gray ponaglał kustosza, by mówił konkretnie. Wiedział od Kat, że Painter razem z francuskim oddziałem agentów Gildii są już w drodze do Yellowstone, gdzie obie grupy miały wspólnie pracować nad zagadką w punkcie zero. Nie była to dobra sytuacja z żadnego punktu widzenia. Gray postanowił pomóc im z daleka, jak tylko potrafił.

– I nie znalazł pan żadnego potwierdzenia, że grupa Lewisa i Clarka kiedykolwiek weszła do Yellowstone? – zapytał.

– Nie. Ale wydało mi się dziwne, wręcz niezrozumiałe, że przeoczyli płaskowyż. Ekspedycja minęła park w odległości zaledwie sześćdziesięciu kilometrów. Zdaniem profesora Kanosha plemiona rdzennych Amerykanów utrzymywały w sekrecie istnienie geotermalnej doliny, ale

podróżnicy mieli całe kufry świecidełek i monet, żeby kupić od Indian informacje o niezwykłościach natury: roślinach, zwierzętach, geologii. Ktoś musiałby w końcu uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć im o tak osobliwej dolinie.

– A więc sądzi pan, że ją znaleźli? – spytała z tyłu Seichan.

– Jeżeli znaleźli, to doskonale zatarli za sobą ślady. Na razie jedyny dowód, jaki może na to wskazywać, jest w najlepszym razie wątpliwy. Wiemy, że Archard Fortescue zniknął ze wszystkich dokumentów, kiedy wyruszył na ekspedycję pod dowództwem Meriwethera Lewisa. Wiemy, że Lewis został zamordowany kilka lat po powrocie. Ale to jeszcze daleko do twierdzenia, że któryś z nich odnalazł zaginione indiańskie miasto, to serce czternastej kolonii.

– W takim razie spróbujmy od końca – zaproponował Gray, zastanawiając się nad zagadką. – Zacznijmy od śmierci Meriwethera Lewisa. Załóżmy, że ekspedycja odkryła prawdę, a morderstwo Lewisa było w jakiś sposób związane z tym odkryciem. Może nam pan powiedzieć, jak zginął?

– Zginął w październiku tysiąc osiemset dziewiątego roku w przydrożnej gospodzie Grinder's Stand w Tennessee, niedaleko Nashville.

Gray zerknął na pozostałych.

Nashville?

– No tak – mruknął Monk. – Zdaje się, że ciągle depczemy tym gościom po piętach. Najpierw Islandia, teraz Tennessee.

Heisman, nie słysząc go, ciągnął:

– Nie umiemy wyjaśnić przyczyn śmierci Lewisa. Mimo dwóch ran postrzałowych, w głowę i brzuch, uznano to za samobójstwo. Przez prawie dwa wieki wierzono w tę wersję. Dzisiaj powszechnie przyjmuje się już, że Lewis rzeczywiście został zamordowany. Albo był to napad rabunkowy, albo zaplanowane zabójstwo, albo jedno i drugie.

– Znamy jakieś szczegóły tego wieczoru, kiedy zginął? – spytał Gray.

– Mamy liczne relacje, ale najlepsza pochodzi od pani Grinder, żony właściciela gospody, która całą noc była wtedy sama. Twierdziła, że padły strzały, słyszała odgłosy walki, potem wołanie Lewisa o pomoc, ale za bardzo się bała, żeby sprawdzić, co się dzieje. Poszła do niego dopiero nazajutrz o świcie i zastała go już umierającego, ledwie trzymającego się życia. Leżał na swojej pelerynie ze skóry bizona, przesiąkniętej krwią. Podobno jego ostatnie słowa były zagadkowe. „Wykonałem zadanie”. Jak gdyby udało mu się w jakiś sposób pokrzyżować plany mordercom.

Gray poczuł, jak po tych słowach puls mu przyspiesza. Wiedział, że muszą być ważne. Ale Heisman wspomniał też o czymś...

Kustosz jeszcze nie skończył.

– Krąży jednak wiele pogłosek o ostatnich dniach życia Lewisa, o tym, kto mógł go zabić. Najbardziej przekonujące dowody wskazują na generała brygady Jamesa Wilkinsona, znanego ze spiskowania ze zdrajcą Aaronem Burrem. Niektórzy uważają, że to generał zaaranżował morderstwo. Według tych samych wersji wydarzeń Lewis nadal działał jako szpieg Jeffersona i miał przy sobie coś ważnego, co chciał przywieźć do Waszyngtonu.

Gray pomyślał o jednej ze złotych tabliczek. Czyżby Gildia weszła w posiadanie swojej tabliczki właśnie w Grinder's Stand? Przypomniał sobie, jak uznał Lewisa za odpowiednik agenta Sigmy epoki kolonialnej: szpieg, żołnierz i naukowiec. Może Wilkinson był jednym z potężnych wrogów, o których wspominali Jefferson i Franklin, poprzednikiem współczesnej Gildii? Zamordował Lewisa, żeby wejść w posiadanie tabliczki?

Gray czuł, że historia się powtarza.

Czy dwieście lat później toczy się ta sama wojna?

Miał jednak wrażenie, że w tej opowieści brakuje mu kluczowego elementu, czegoś, co kołacze mu się w głowie, ale czego nie potrafi złapać.

Ubiegła go Seichan.

– Wspomniał pan, że Lewis krwawił na pelerynie ze skóry bizona.

– Zgadza się.

Gray zerknął na nią z uznaniem, lecz Seichan tylko wzruszyła ramionami.

– Doktorze Heisman – rzekł – czy Fortescue nie wspomina w swoim dzienniku, że czaszka mastodonta była owinięta w skórę bizona?

– Zaraz sprawdzę. – Heisman zaczął pogwizdywać, a towarzyszył temu szelest odwracanych kartek. – Ach, jest. Wspomina po prostu o „malowanej skórze bizona”.

– Co się z nią stało? – zapytała Seichan.

– O tym nie pisze.

Gray poszedł tropem swojego pytania.

– Są jakieś dowody na to, że Jefferson kiedykolwiek posiadał malowaną skórę bizona?

– Skoro o tym mowa, owszem. Prezydent zgromadził wielką prywatną kolekcję indiańskich artefaktów, którą przechowywał w swoim domu w Monticello. Jednym z efektowniejszych przedmiotów była bogato zdobiona skóra. Podobno otrzymał ją od Lewisa, który przysłał ją ze szlaku podczas ekspedycji. Ponoć była bardzo stara i olśniewająca. Ale po śmierci Jeffersona większa część kolekcji, łącznie z tą skórą, zniknęła.

Dziwne...

Gray przez chwilę rozmyślał. Czy chodziło o tę samą skórę bizona? Czy Lewis wziął ją ze sobą, żeby pomogła mu odnaleźć zaginione miasto? Czy do rozwiązania zagadki czternastej kolonii była potrzebna i mapa, i skóra? A potem Lewis odesłał skórę Jeffersonowi na znak, że misja zakończyła się powodzeniem?

Gray wiedział, że nie może się oprzeć na żadnym konkretnym: było tu za dużo domysłów, za dużo pustych miejsc. Na przykład dlaczego skóra znów znalazła się w posiadaniu Lewisa w chwili jego śmierci? Czy z jej powodu w ostatnich chwilach życia wypowiedział te enigmatyczne słowa: „Wykonałem zadanie”? Stracił złotą tabliczkę, którą odebrał mu Wilkinson czy jakiś inny złodziej, ale ocalił ważniejszą skórę bizona?

Do rozmowy włączyła się nowa osoba.

– Doktorze Heisman – odezwał się głos Kat. – Może nam pan powiedzieć, co się stało z ciałem Lewisa?

– Nic szczególnego. Zważywszy na to, że był bohaterem narodowym, jego śmierć była tragedią. Ale ponieważ uznano, że popełnił samobójstwo, pochowano go na miejscu, na terenie należącym do gospody. W Tennessee.

– I można przyjąć, że został pogrzebany razem ze znalezionymi przy nim rzeczami? – spytała Kat.

– Tak zwykle czyniono. Czasami władze wysyłały żyjącym spadkobiercom pieniądze albo przedmioty o sentymentalnym znaczeniu.

– Ale prawdopodobnie nie dotyczyło to przesiąkniętej krwią skóry bizona – dodał Gray.

Monk drgnął, odrywając wzrok od drogi.

– Myślisz, że mógł być z nią pochowany?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odparł Gray. – Musimy wykopać zwłoki

Meriwethera Lewisa.

CZEŚĆ CZWARTA
WILK I ORZEŁ

1 czerwca, 4.15

Park Narodowy Yellowstone

Helikopter zniżył się nad parującym geotermalnym sercem Yellowstone. Noc wciąż spowijała pierwotny krajobraz bulgoczących sadzawek, szarobiałych stożków i tonących we mgle rzek i strumieni, które przecinały górną nieckę gejzerów. Dalej, w stronę odległych płaskowyżów i gór, ciągnęły się ciemne łąki i czarne kępy sosen wydmowych.

Ale człowiek odcisnął własne piętno na tym narodowym skarbie, pełnej kontrastów mieszance spokojnego piękna natury i piekielnej aktywności geologicznej. W ciemnościach przedświtę było widać linie latarni i sznury reflektorów aut, wydobywających z mroku nieliczne drogi, jakie wiły się przez park. Trwała ewakuacja zarządzana przez Paintera, która zmieniła park w szczycie sezonu w jeden wielki korek. W kilku punktach głównych dróg błyskały niebieskie światła wozów straży, która robiła wszystko, by opróżnić park.

Painter spojrział na zegarek.

Zostały dwie godziny.

Nie wszyscy zdążą opuścić teren, ale musiał próbować. Rozpoczął ewakuację przed dwiema godzinami, gdy opuścił Flagstaff i prywatnym odrzutowcem pomknął na północ, lądując na małym lotnisku w zachodniej Montanie, kilka kilometrów od zachodniego wjazdu do parku. Pozostały odcinek drogi do umówionego miejsca pokonał helikopterem.

Ukazał się pod nimi parking. Na dwóch sąsiednich stały już dwa inne helikoptery. Wyglądało na to, że oddział Rafe'a ich wyprzedził, ale mieli przewagę, lecąc prosto z Salt Lake City. Dwa zespoły miały się spotkać w zabytkowym Old Faithful Inn, olbrzymim, charakterystycznym dla parku budynku wzniesionym na początku dwudziestego wieku. Siedmiopiętrowy rustykalny hotel o spadzistym dachu na ciężkich belkach był największą konstrukcją z bali na świecie, zbudowaną ze ścinanych na miejscu sosen i wydobywanego tu kamienia.

Stanowił doskonały punkt widokowy na gejzer o tej samej nazwie.

Kiedy płozy helikoptera dotknęły ziemi, Old Faithful pokazał, że zasługuje na swoją reputację. Z najsłynniejszego gejzeru w dolinie wystrzelił szeroki strumień pary i wrzącej wody na wysokość niemal sześćdziesięciu metrów. Wybuchał regularnie mniej więcej co dziewięćdziesiąt minut.

Painter modlił się, by dolina przetrwała do jego następnej erupcji.

Za gejzerem przez górną nieckę wiła się rzeka Firehole otoczona przez kolejne gejzery o dziwacznych nazwach – Beehive, Spasmodic, Castle, Slurper, Little Squirt, Giantess i wiele innych³ – oraz liczne otwory hydrotermiczne, sadzawki i parujące źródła.

Drzwi helikoptera otworzyły się z trzaskiem, wypuszczając grupę Paintera do tego niezwykłego, surowego świata. Nie przyjechali tu jednak zwiedzać.

– Śmierdzi – zauważył Kowalski, choć Painter nie wiedział, czy mówi o woni siarki unoszącej

się w powietrzu, czy o ich dramatycznej sytuacji. Jego partner rozejrzał się z kwaśną miną i poprawił sobie długi płaszcz, wygładzając go na ramionach.

Następny wysiadł Hank, a po nim jego pies, który pobiegł oznaczyć słup latarni. Profesorowi pomagał Jordan. Painter próbował skłonić młodego człowieka do pozostania we Flagstaff, ale chłopak przedstawił mu dobry argument.

„Jeżeli się wam nie uda, i tak umrę. Wolę raczej zginąć w walce”.

Ale Painter wiedział, co ciągnie Jordana na północ. Chłopak wpatrywał się w wielki budynek hotelu. Nie podziwiał architektury, lecz szukał jakiegokolwiek śladu Kai. Painter też się niepokoił. Los całego świata był zbyt obszernym i abstrakcyjnym pojęciem, aby ogarnąć go umysłem i wziąć sobie do serca.

Sprowadzał się do lęku o najbliższych.

Strach Jordana był czytelny – młodemu człowiekowi serce podchodziło do gardła z obawy o bezpieczeństwo jednej przerażonej dziewczyny. Painter też modlił się, by móc znowu zobaczyć Lisę. Ich ostatnia rozmowa telefoniczna z konieczności była krótka, wiedzieli bowiem, że ważą się losy świata. Lisa była silna, ale w jej głosie drżała nuta powstrzymywanych łez.

– Chodźmy – powiedział Painter, dając znak ostatnim członkom grupy.

Ruszył za nim Ronald Chin razem z majorem Ashleyem Ryanem. Towarzyszyło im trzech żołnierzy Gwardii Narodowej niosących duże kufry. Ryan zabrał dodatkowych ludzi z lotniska w Montanie, kolegów z Utah, a kufry kazał przywieźć Painter.

Zgodnie z wynikami pertraktacji, które Painter przeprowadził z Rafaelem przed wylotem z Flagstaff, każda strona miała wystawić tyle samo ludzi. Painter nie chciał, żeby doszło do prężenia mięśni. Mieli przed sobą zadanie do wykonania i należało je wykonać szybko, przy minimum napięcia.

Painter dotarł do wejścia i otworzył szerokie podwójne drzwi z desek koloru strażackiej czerwieni, z okuciami z czarnego żelaza. Kiedy wszedł do hotelu, widok zaparł mu dech w piersiach. Miał wrażenie, jak gdyby wkroczył do oświetlonej lampami jaskini zbudowanej z bali. Sama objętość otwartej czteropiętrowej przestrzeni kazała mu spojrzeć w górę. W kierunku dachu pięły się balkony i schody osłonięte balustradą z powyginanych, pozbawionych kory bali sosnowych, które lśniły w świetle złotym blaskiem. Nad wszystkim górował ogromny kamienny kominek wznoszący się pośrodku. Był to główny filar i źródło ciepła w holu.

Olbrzymia przestrzeń wydawała się jeszcze większa, ponieważ była pusta. Hotel ewakuowano jak cały park, z wyjątkiem okrojonego do minimum personelu złożonego z osób, które chciały zostać i chronić drogiego miejsca. Był to pusty gest.

Nikt nie potrafił niczego ochronić przed tym, co nadciągało – mogli tylko próbować to powstrzymać.

Mając ten cel w pamięci, Painter podszedł do grupy Rafaela. Zajęli miejsca w jednej części holu, gdzie stały stylowe krzesła, fotele bujane i niskie stoliki. Na większym stole na kozłach, przeniesionym z sąsiedniej restauracji, zaimprovizowano laboratorium komputerowe. Szybko ustawiano i podłączano miniserwery, monitory i inne cyfrowe sprzęty pod okiem wymizerowanego technika o nerwowych oczach oraz znanej im już czarnoskórej kobiety.

Zza niej wyłoniła się inna znajoma postać.

– Wujku Crowe... – Kai wysunęła się zza pleców kobiety.

Jordan wybiegł naprzód.

– Kai!

Rozpromieniła się na jego widok. Chciała wyjść mu naprzeciw i uniosła jedną rękę, aby go objąć. Nagle jednak czarnoskóra kobieta osadziła ją w miejscu, łapiąc za przegub. Brzęk stali utwierdził Paintera w jego podejrzeniach. Afrykanka nie trzymała Kai za rękę – były do siebie przykute.

Jordan też to zauważył i raptownie się zatrzymał.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Painter, robiąc krok naprzód.

– To tylko zabezpieczenie, monsieur Crowe. – Rafael podniósł się z krzesła, pomagając sobie laską. W kącikach oczu zarysowały się zmarszczki bólu. Widocznie droga nadwyrężyła jego kruche ciało.

– Jakie zabezpieczenie? Przecież zawarliśmy umowę.

– W istocie. Mam zwyczaj dotrzymywać słowa. Uzgodniliśmy, że oddam panu bratanicę, kiedy ujawni pan lokalizację zaginionego miasta.

– Spełniłem ten warunek.

– Nie spełnił pan. – Rafael zatoczył ręką szeroki krąg obejmujący nie tylko hotel. – Gdzie wobec tego jest to miasto?

Painter uświadomił sobie, że Francuz ma rację. Popatrzył w oczy Kai, pełne strachu i rozpacz. Podczas jego rozmowy z Rafaelem jej dłoń odnalazła rękę Jordana. Painter zauważył też nietypową grubość obręczy kajdanek na przegubie Kai. Migąła na niej mała czerwona lampka.

Rafael dostrzegł, na co patrzy.

– Smutna konieczność. Kajdanki są pod napięciem, tworząc obwód zamknięty, który łączy obręcze. Przy przerwaniu obwodu eksploduje niewielki, ale silny ładunek, który oderwie pańskiej bratanicę rękę i prawdopodobnie dużą część tułowia.

Kai spojrzała osłupiałym wzrokiem na Rafaela. Najwyraźniej porywacz nie wspomniał jej o tym dodatkowym zabezpieczeniu.

– Uznałem, że tak będzie najlepiej – wyjaśnił Rafael. – Nie będzie się pan dekoncentrować, myśląc, jak wyrwać bratanicę z moich rąk. Obaj skupimy się na tym, co trzeba zrobić. Tymczasem jest absolutnie bezpieczna, dopóki nie zakończymy transakcji.

Atmosfera w holu wyraźnie zgęstniała. Na potwierdzenie słów szefa jego aryjski ochroniarz położył dłoń na kaburze z pistoletem. Po bokach dowódcy stanęło pięciu najemników.

Znaleźli się w impasie, a czas nieubłaganie płynął.

Painter powiedział, że nie chce napięć, a tymczasem sam je zwiększał. Musiał to zakończyć.

Popatrzył na Kai, starając się samym spojrzeniem obiecać jej, że znajdzie sposób, aby pomóc jej to przetrwać. Odwrócił się do Rafaela.

– Przywiózł pan złotą wazę z wilczą głową?

– Oczywiście. – Rafael odsunął się na bok, kuśtykając. – Bern, postaw na stole ten neseserek.

Żołnierz posłusznie podszedł do stojącej na podłodze średniej walizki. Dźwignął ją na stół i otworzył. Złota urna kanopska spoczywała w ochronnej czarnej pianie. Wewnątrz były także dwie złote tabliczki wykradzione przez Kai z jaskini w Utah.

Hank zauważył tabliczki i przysunął się bliżej, ale Bern wyciągnął urnę i zatrzasnął pokrywę walizki. Następnie komandos cofnął się i postawił znalezisko na stole obok stanowiska komputerowego.

Painter znowu uderzyło jej piękno, od idealnie wyrzeźbionej głowy szarego wilka po mistrzowsko wyrzyty górski krajobraz. Nie miał jednak czasu na podziwianie kunsztu wykonania. Patrzył na urnę jak na jeden z elementów układanki.

Nie odwracając się, wskazał do tyłu.

– Kowalski, idź rozpakować nasz sprzęt.

Rafał stanął obok Paintera, którego owionął zapach aromatycznej wody kolońskiej. Oparł obie ręce na lasce.

– Naprawdę pan sądzi, że to nam pomoże zawęzić poszukiwania na dziewięciu tysiącach kilometrów kwadratowych?

– Musi. Satelity przechodzące nad parkiem na niewiele się przydadzą.

W drodze do Yellowstone Painter użył swoich wpływów, podnosząc alarm, który dotarł aż do Gabinetu Ovalnego. Mając podpis prezydenta Ganta oraz zgodę Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, Painter zajął wszystkie dostępne satelity na orbicie. Cały teren parku spenetrowano każdym możliwym rodzajem fal: zbadano go georadarem, zmierzono gradienty temperatury, pole magnetyczne skał... wszystko, co mogłoby ich naprowadzić na ślad zagrzebanego pod ziemią zaginionego miasta.

Nie znalazł jednak niczego.

– Kłopot w tym – powiedział Painter – że cały teren jest podziurawiony jaskiniami, grotami, rurami lawowymi i gorącymi źródłami. Nie ma prawie żadnego miejsca, pod którym nie byłoby jakiegoś otworu czy rozpadliny. Miasto może być wszędzie.

– A fizycy? – spytał Rafał.

– Wszyscy eksperci od cząstek elementarnych próbują namierzyć i zlokalizować źródło potężnego skoku aktywności neutrin pochodzących z tego regionu. Ale przy takiej ogromnej fali udało im się tylko zidentyfikować obszar o promieniu trzystu kilometrów.

– To bezcelowe – zauważył Rafał.

Painter przyznał mu rację. Pozostała tylko jedna nadzieja. Spoczywała na stoliku. Krajobraz na urnie kanopskiej. Jakiś starożytny artysta poświęcił mnóstwo czasu, by tak starannie wyryć go na powierzchni wazy.

Na pierwszym planie było widać spływ dwóch strumieni, które znikwały w głębi zalesionej doliny. W tle wznosiły się strome góry porośnięte sosnami wydmowymi, które odtworzono tak dokładnie, że w metalu widać było każdą igiełkę. Pośrodku między strumieniami wyrastał wysoki dymiący stożek, który wyglądał jak mały tłący się wulkan. Wokół niego stały mniejsze stożki przypominające mrowiska.

Szczegóły były tak realistyczne, że nie sposób było uwierzyć, iż przedstawiają wyimaginowane miejsce. Parujące formy geotermalne w centrum krajobrazu z pewnością wskazywały, że taki widok można ujrzeć gdzieś na terenie parku. Painter wyobraził sobie artystę siedzącego na polu i pieczołowicie rzeźbiącego w metalu, by utrwalić obraz tego miejsca. Jeśli było na tyle ważne, aby je wyryć w urnie kanopskiej, musi stanowić święte miejsce *Tawtsee'untsaw Pootseev*. Być może tak przedstawiał się widok z ich nowej kryjówki w Yellowstone.

Taką Painter miał nadzieję.

Kowalski rozpakował już kufry, które Painter kazał mu przynieść. Obok reszty komputerowego sprzętu ustawił na stole części cyfrowego skanera laserowego.

Painter przeniósł wzrok z Rafaela na wychudzonego informatyka.

– Macie ustawione łącza satelitarne i wszystkie niezbędne parametry?

– Tak.

– Czy pański człowiek może mi pomóc zmontować sprzęt i odpowiednio podłączyć?

Zamiast wydać polecenie informatykowi, Rafał zwrócił się do wysokiej Afrykanki:

– Ashando, może będziesz nadzorować pracę TJ. Lepiej nie ryzykować żadnych błędów. – Odciągnął Paintera na bok. – Niech użyją swoich czarów.

Mając jedną wolną rękę i nie odzywając się ani słowem, Ashanda pokierowała montażem urządzenia laserowego, jego kalibracją i integracją ze stanowiskiem komputerowym. Nawet Kai pomagała doprowadzić część kabli, wyraźnie chcąc się czymś zająć, choć każdy brzęk kajdanek przyciągał jej przestraszone spojrzenie.

W ciągu kilku minut na jednym z monitorów otworzyło się nowe okno, czekając na dane. Na pasku okna widniał napis LASER TECHNIQUES COMPANY, LLC. Była to firma z Belleuve w stanie Waszyngton, która współpracowała z NASA i produkowała opatentowane narzędzia do wykrywania śladów korozji, rys i pęknięć metalowych powierzchni, znajdujące przeróżne zastosowania, między innymi do kontroli silników promów kosmicznych, sprzętu wojskowego, rur generatorów pary w elektrowniach jądrowych i podwodnych rurociągów. Urządzenie laserowe potrafiło wykryć i sfotografować mikroskopijne zmiany w metalu, których oko mogłoby nie dostrzec.

Painter potrzebował teraz takiej precyzji.

Ashanda odwróciła się i lekkim skinieniem głowy zawiadomiła o ukończeniu swojej pracy.

Czyżby była niema? – pomyślał mimochodem Painter. Nie mógł jednak poświęcić tej kwestii więcej uwagi. W tym momencie miał do rozwiązania ważniejszą zagadkę.

– Chyba na mnie kolej – powiedział.

Zbliżył się do stołu i włączył system mapowania. Z emitera błysnęło stożkowane, błękitne holograficzne światło. Painter ustawiał je, dopóki nitki celownika nie znalazły się dokładnie w środku złotego krajobrazu. Kiedy to się stało, uruchomił skanowanie.

Ciemne lazururowe linie omiotły złotą powierzchnię z góry na dół, potem z lewa na prawo, rejestrując każdy szczegół wyryty na wazie, od najmniejszej smużki dymu po mikroskopijną szyszkę wiszącą na gałęzi drzewa w tle.

Na monitorze powstał najpierw statyczny i dwuwymiarowy obraz, a po zakończeniu skanowania przeobraził się w odtworzony trójwymiarowy widok. Na ekranie wolno obracał się kwadratowy wycinek krajobrazu z dokładnie zrekonstruowaną topografią.

– Zdumiewające – rzekł Rafael.

– Zobaczmy, czy to nam pomoże. – Painter przesunął się do klawiatury komputera, otworzył przekaz danych do technika NASA z Houston i przesłał duży plik. Po jego odebraniu zespół w Houston miał porównać holograficzny obraz z prawdziwą rzeźbą terenu w Yellowstone na podstawie danych satelitarnych zebranych w ciągu ostatniej godziny. Jeżeli dopisze im szczęście, powinni znaleźć właściwe miejsce.

– To może potrwać kilka minut – uprzedził Painter.

Rafael, wpatrując się w złotą urnę, mruknął:

– Miejmy nadzieję, że nie za wiele.

4.34

Hank kucnął obok stołu naprzeciwko Paintera i Francuza. Nie odrywał wzroku od urny kanopskiej, czując pewną zazdrość, jak gdyby to on odnalazł cenny artefakt w *kivie* Anasazi. Wyobraził sobie jednego z *Tawtsee'untsaw Pootseev*, w nabożnym skupieniu grawerującego święty przedmiot. Painter miał rację. Urna była ważna i mogła ich doprowadzić do zaginionego miasta.

Hank też odnosił wrażenie, że krajobraz jest istotną wskazówką. Prawdę mówiąc, myśl o tym miejscu nie dawała mu spokoju. W wyrytym obrazie było coś znajomego, zwłaszcza w małym wulkanie pośrodku; wydawało mu się, jakby go już gdzieś widział, choć nigdy dotąd nie był w Yellowstone.



Jak to możliwe? Czego nie pamiętam?

Szperał w pamięci, aż wreszcie dał spokój i skupił uwagę na drugiej zagadce na złotej wazie.

Pochylając się, przyjrzał się uważnie inskrypcji na drugiej stronie, zastanawiając się kolejny raz, czy ma przed sobą znaki języka, który Księga Mormona nazwała „zreformowanym egipskim”. Jego kolega językoznawca z Uniwersytetu Younga, który pomógł zidentyfikować napis na złotych tabliczkach, użył równie oryginalnego określenia: „alfabet magów”.

Oglądając inskrypcję, Hank pomyślał o starożytnym skrybie, który przed wiekami wyrył znaki na urnie. Czy *Tawtsee’untsaw Pootseev* byli jakąś sektą uczonych, mistrzów zaginionej techniki, którzy stulecia przed narodzeniem Chrystusa opuścili Ziemię Świętą? Czy ta grupa Izraelitów – Nefitów – przybyła do Ameryki Północnej, aby ocalić i ochronić swoją wiedzę, będącą jakimś połączeniem żydowskiego mistycyzmu i egipskiej nauki?

Gdybym tylko mógł porozmawiać z jednym z nich...

Ale może jeden z nich właśnie do niego mówił za pomocą zamaszystych linii protohebrajskich liter. Hank wiedział jednak, że potrzebuje pomocy, aby zrozumieć to przesłanie.

Wyprostował się i przerwał Painterowi, który rozmawiał z Francuzem. Mogłoby się wydawać, że wrogowie stali się kolegami. W zachowaniu Paintera Hank zauważył jednak zdenerwowanie – świadczyło o tym zaciskanie palców w pięści, lekko przymknięte w złości powieki i krótkie, urywane zdania, jakie padały z jego ust. Przypuszczał, że Painter całą siłą woli powstrzymuje się, by nie oderwać Rafaelowi głowy. Hank zobaczył też, że ilekroć spogląda w stronę Kai, w jego oczach pojawia się nieskrywane cierpienie wywołane poczuciem winy i bólem.

Czekanie i napięcie tylko wzmagają jego mękę.

Hank zaproponował mu coś do roboty.

– Painter, moglibyśmy wykorzystać twój sprzęt, żeby sfotografować inskrypcję na tej stronie urny? Wysłałbym ją do swojego kolegi, specjalisty językoznawstwa i znawcy starożytnych języków. Kiedy rozmawiałem z nim ostatni raz, twierdził, że spróbuje pomóc nam ją

przetłumaczyć. Oczywiście nie cały napis. Przypuszcza, że tu i ówdzie uda mu się rozpoznać kilka słów, które mają jakiś związek ze współczesnym hebrajskim.

– W tym momencie przyda mi się każda pomoc. Nawet jedno słowo może być kluczem do całej zagadki.

Hank pozostał z tyłu, podczas gdy Painter i zespół Francuza zajęli się wysłaniem kopii inskrypcji na Uniwersytet Brigham Younga. Przypadkiem potknął się o walizkę, w której transportowano złotą urnę.

Hm...

Nagle Painter przyciągnął wzrok wszystkich, wołając:

– Jest wiadomość od NASA. Zidentyfikowali!

1 czerwca, 7.06

Hohenwald, stan Tennessee

Kiedy zdejmowali koparkę z lawety, słońce już stało na niebie. Gray wolno przejechał maszyną przez pusty parking parku stanowego imienia Meriwethera Lewisa, który leżał około stu trzydziestu kilometrów na południe od Nashville przy Natchez Trace Parkway. O tej godzinie park był jeszcze zamknięty, a grób, którego szukali, znajdował się daleko od drogi w otoczeniu gęstego lasu.

Wiedzieli, że jeśli będą działać szybko, nic i nikt im nie przeszkodzi.

Zanim wyruszyli do parku jako hieny cementarne, Kat przygotowała grunt, załatwiając im pozwolenia na fikcyjną naprawę kanału ściekowego i wypożyczenie koparki u miejscowego sprzedawcy ciężkiego sprzętu w pobliskim Hohenwald.

Monk i Seichan ubrani w granatowe kurtki kanalarzy i uzbrojeni w łopaty szli od parkingu pieszo.

Gray jechał za nimi, wykonując skręty za pomocą dwóch hamulców i patrząc ponad czerpakiem na drogę. Jako młody chłopak w Teksasie jeździł traktorami i koparkami. Dawno tego nie robił, ale powoli zaczynał sobie przypominać.

Gdy znaleźli się na terenie parku, minęli kilka tablic pamiątkowych i informacyjnych, a także zrekonstruowaną gospodę Grinder's Stand, gdzie zginął Lewis. Budowla z bali stała w bocznej części parku. Grób znajdował się nieco dalej, za pasem trawnika. Był to prosty pomnik na murowanej z kamieni podstawie, na której wznosiła się złamana kolumna z piaskowca, symbolizująca przedwcześnie przerwane życie.

Gray wolno skierował się w tę stronę, jadąc przez trawnik.

Kiedy zbliżyli się na wystarczającą odległość, Monk zakreślił ręką koło w powietrzu.

– Obróć ją!

Gray wykonał polecenie, obracając koparkę o sto osiemdziesiąt stopni, aby ustawić w odpowiedniej pozycji tylny wysięgnik i czerpak. Wrzucił na luz i włączył hamulec. Kiedy maszyna była gotowa, obrócił swój fotel w stronę krótkich dźwigni sterujących ramieniem z łyżką i wysunął boczne podpory stabilizujące.

Zanim jednak zabrał się do kopania, musiał oczyścić teren.

Myśląc z zażenowaniem i odrazą, że właśnie bezczęści miejsce pochówku, i przepaszając w duchu zmarłego pioniera, Gray uniósł wysięgnik i wysunął ramię koparki, używając czerpaka jak tarana, którym uderzył górną część kolumny. Jęknęły układy hydrauliczne, a po chwili słup piaskowca oderwał się od kamiennej podstawy i runął na ziemię, wbijając się głęboko w trawnik po drugiej stronie.

Po zburzeniu kolumny przez piętnaście minut usuwał cokół: wybierał kamienie i zaprawę i zrzucał je na bok. Następnie wbił w ziemię zęby czerpaka i wreszcie zaczął kopać,

wydobywając ziemię łyżką po łyżce.

Monk i Seichan pomagali mu manewrować i po każdym wyciągnięciu czerpaka wskakiwali do wykopu, przeszukując go łopatami. Wreszcie Gray usłyszał przenikliwy gwizd. Monk wyprostował się i wskazał w dół.

– Czas budzić umarłych!

Monk i Gray odgarnęli pozostałą część ziemi łopatami. Monk miał pewne trudności, posługując się tylko jedną ręką, ale dawno temu nauczył się wykonywać większość czynności, sprytnie używając kikuta.

Seichan obserwowała ich z krawędzi grobu.

Zgodnie z informacjami przekazanymi przez Erica Heismana zespół Graya nie był pierwszą grupą, która bezcześciła miejsce pochówku Lewisa. Komitet budowy pomnika dokonał ekshumacji ciała w 1847 roku, aby przed wydaniem zgody na wzniesienie kolumny potwierdzić, że naprawdę leży tam ciało słynnego pioniera. Komitet w raporcie dla legislatury stanowej napisał o swoim głębokim przekonaniu, że śmierć Lewisa nastąpiła w wyniku morderstwa, nie samobójstwa, oświadczając, że „zginął z ręki zabójcy”.

Trumna prawdopodobnie pochodziła z tamtego roku.

Gray dręczył niepokój. Może komitet dopuścił się dalszej profanacji i usunął wszystko, co znaleziono przy zwłokach?

Niebawem mieli się przekonać.

Gray podważył krawędzią łopaty drewniane wieko i wyłamał zardzewiałe zamki. Z pomocą Monka otworzył trumnę. W resztkach podartego ubrania spoczywały kostne szczątki. Gdzieś tam pozostały jeszcze przyklejone do nich maleńkie kawałki wyschniętego ciała.

Monk cofnął się o krok i kciukiem pokazał w górę.

– Chyba zaczekam z Seichan.

– Śmiało – odparł Gray, zwalniając go z tego obowiązku.

Tu na dole już skończyli.

Pozostałości nóg przykrywała równo złożona peleryna ze skóry bizona. Była w dość kiepskim stanie, futro w wielu miejscach było przetarte, niemal łyse, ale sama skóra wyglądała na nienaruszoną.

Gray pochylił się, by ją obejrzeć, gdy nagle ciszę poranka rozdarł huk wystrzału z karabinu. Monk wpadł z powrotem do grobu, lądując na kościach.

Gray dotknął jego boku i zobaczył na palcach krew.

Seichan zeskoczyła do nich, a krawędź grobu zryły następne pociski.

– Gdzie nasza broń? – zapytała.

– Została w kabinie koparki – powiedział Gray.

Głupie niedopatrzenie.

Monk jęknął.

– Wygląda na to, że wykopaliśmy sobie grób.

1 czerwca, 5.05

Park Narodowy Yellowstone

Pół godziny po otrzymaniu wiadomości z NASA Painter stał w miejscu, które zostało wyryte na złotej urnie. Kiedy leciał tu helikopterem, nad Yellowstone wstał świt, choć słońce jeszcze nie do końca wzeszło. W łagodnym świetle nowego dnia mała dolina wyglądała magicznie.

Według słów strażnika, z którym wcześniej rozmawiali, był to jeden z najbardziej odległych zakątków parku. W historii Yellowstone w tej niewielkiej niecce geotermalnej postawiło stopę mniej niż dwudziestu pięciu ludzi. Cytując strażnika: „Więcej ludzi było na szczycie Everestu, niż dotarło do Fairyland”.

Mimo intrygującej nazwy nietrudno było się domyślić przyczyny braku turystów w tej części parku. Niecka leżała prawie trzydzieści kilometrów od najbliższego szlaku, a w promieniu pięciuset metrów wznosiły się zdradliwe skały. Mogli się tu zapuścić tylko najwięksi ryzykanci.

Na szczęście Painter i reszta mieli helikoptery.

Po wysadzeniu grupy poszukiwawczej helikopter od razu się uniósł.

Schylając się w strumieniu powietrza pod wirnikiem i przekrzykując hałas silników, Painter wrzasnął:

– Mamy pół godziny z kawałkiem! Musimy znaleźć to miasto!

Pozostałe helikoptery krążyły nad nimi, dźwigając kontenery, jakich zwykle używa się do detonacji podejrzanych paczek. Zgodnie z planem mieli odnaleźć miejsce ukrycia niestabilnej substancji. Gdyby nie udało się jej zneutralizować, zamierzali wywieźć nanomateriał z doliny i rzucić gdzieś poza kalderą. Głównym celem była ochrona superwulkanu.

Potem mieli się zająć destrukcyjną siłą, jaka być może zostanie wyzwolona w wyniku wybuchu. Kat poprosiła japońskiego fizyka o opracowanie różnych scenariuszy, nie wyłączając wariantu jądrowego, gdyby to się okazało konieczne.

Ale tym mieli się martwić później.

Najpierw musieli znaleźć grobowiec *Tawtsee’untsaw Pootseev*, co nie było łatwe. Painter wpatrywał się w strzeliste skały, ciemne kępy sosen wydmowych i zielone połączone łąk rozciągające się za spływem srebrzystych strumieni.

Miejsce było piękne, ale nie musiało być tym właściwym. Niewykluczone, że starożytny artysta wygrawerował w złocie tę dolinę tylko i wyłącznie dlatego, że mu się podobała. Być może nie miała nic wspólnego z zaginionym miastem.

Ktoś się z nim jednak nie zgadzał.

– To na pewno to miejsce! – Profesor Kanosh stał kilka metrów od niego, trzymając dłoń na czole. – Dlaczego wcześniej sobie nie przypomniałem?

Painter ruszył w jego stronę. Hank stał między formami geotermalnymi, którym dolina zawdzięczała swoją oryginalną nazwę. Fairyland, czyli Kraina Wrózek, wzięła się od

kredowoszarych stożków przypominających baśniowe istoty, wznoszących się między brzegami dwóch strumieni. Według słów China były to formy gejzytowe powstałe w wyniku nagromadzenia osadów mineralnych pozostawionych przez małe gejzery. Na terenie wielkości połowy boiska futbolowego musiało ich tu być ponad czterdzieści. Niektóre miały wielkość muchomorów sięgających kolan, inne wznosiły się na trzy metry, przypominając Painterowi gigantyczne kopce termitów w Afryce. Gejzery w większości były od dawna drzemiące, choć z kilku nadal unosiły się obłoczki pary lub wylewała się wrząca woda. Strażnik mówił, że większe stożki mają charakterystyczne nazwy: Magic Mushroom, Phallic Cone, Pitcher's Mound⁴...

Hank stał przed ostatnim z nich. Ze szczytu najwyższego stożka unosiła się para. W porównaniu ze swoimi sąsiadami przypominającymi martwe słupy wyglądał jak miniwulkan. Po jego zboczach spływała woda i wąskimi strużkami rozpełzała się po kredowej ziemi.

Gdy Painter zmierzał do profesora, Kawtch taplał się w płyciźnie strumienia. Jordan stał obok Hanka, lecz jego wzrok często uciekał w stronę Kai. Grupa Rafaela zebrała się na przeciwległym końcu geotermalnego pola.

Rafał zamasyścił machał laską, wydając polecenia Bernowi i jego ludziom, by zaczęli systematycznie przeszukiwać teren, skupiając się na skałach. Rozsądna decyzja. Jeżeli było jakieś wejście do podziemnego miasta, najprawdopodobniej można je było znaleźć właśnie tam.

– Majorze Ryan! – zawołał Painter. – Niech pan weźmie swoich ludzi i sprawdzi skały po tej stronie doliny. Chin, idziesz ze mną. Potrzebna mi twoja opinia o tej gorącej niecce.

Kowalski ruszył za nimi, podejrzliwie przyglądając się zespołowi Francuza.

– Nie ufam temu gościowi bardziej niż wężowi we własnym bucie.

Painter uznał, że ma rację, ale na razie musieli pracować razem.

– Co znalazłeś, Hank? – zapytał, stając obok niego.

Profesor wskazał lekko zmarszczone zbocza stożka Pitcher's Mound. Nazwa najprawdopodobniej wzięła się od grubych, przypominających palce występow równoległych do krawędzi, które sprawiały, że stożek wyglądał jak otwarta rękawica baseballowa miotacza.

– Popatrz – rzekł Hank, kucając i pokazując. – Przez wieki gromadziły się tu minerały, które musiały zmienić trochę kształt stożka, ale podobieństwo jest niezwykle. Przyjrzyj się zarysowi.

– Podobieństwo do czego?

– Do jednego z miejsc najbardziej czczonych przez Żydów, do góry z Księgi Wyjścia, z której zszedł Mojżesz, niosąc tablice z dziesięciorgiem przykazań.

– Mówisz o górze Synaj? – zdziwił się Painter. Zgiął się w pasie i popatrzył na wzniesienie, starając się wyobrazić je sobie jako miniaturowy model słynnej góry.

Chyba rzeczywiście, pomyślał, choć nie był przekonany. To tak, jakby patrzeć na chmury i widzieć kształty, jakie się chce. Dla Paintera duży stożek przypominał górę Synaj w takim samym stopniu, w jakim przygarbione szare wzniesienia wyglądały jak krasnale.

Kowalski pokręcił głową, najwyraźniej też w to nie wierząc. Rozejrzał się po polu pełnym szarych kolumn.

– Dla mnie wszystkie wyglądają jak penisy.

– Co to za różnica, czy wygląda jak góra Synaj, czy nie? – spytał Painter.

– Taka, że jeśli *Tawtsee'untsaw Pootseev* byli potomkami zaginionego plemienia Izraela, to odkrycie stożka w kształcie Synaju byłoby dla nich znakiem opatrności. Uznaliby dolinę za święte miejsce, w którym powinni założyć swój tajny dom.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – odrzekł Painter.

Chin miał inne zdanie. Ukłął na grubej warstwie wysuszonych minerałów i skał, tak zwanym nawarze, na którym wznosiła się większość stożków.

– Z punktu widzenia geologii nie mogli wybrać gorszego miejsca.

– Dlaczego? – spytał Painter. – Poza tym, że stoimy na szczycie superwulkanu.

– To leży głębiej. – Geolog poklepał powierzchnię nawaru. – Dotknijcie.

Painter przycisnął dłoń do kredowej skały.

– Co pan robi? – spytał Rafael, podchodząc do nich razem z Ashandą i Kai.

– Ziemia wibruje – powiedział Painter.

– Ta strefa geotermalna – wyjaśnił Chin – leży na zacopowanym ujściu hydrotermalnym, czymś w rodzaju imbryka, w którym stale krąży woda, przesączając się przez porowatą skałę, a potem wracając w postaci pary. Powodem wibracji jest ciśnienie pod ziemią, puls tego parowego silnika.

Zanim ktokolwiek zdążył się wypowiedzieć na ten temat, zadzwonił telefon Hanka. Profesor sprawdził numer i uniósł głowę.

– To mój kolega z uniwersytetu, który pomaga nam rozszyfrować starożytny język.

– Odbierz – polecił Painter, mając nadzieję, że naukowiec dzwoni z dobrą wiadomością.

Hank odsunął się, przycisnął aparat do ucha, a drugie zasłonił dłonią. Kiedy rozmawiał, Painter widział, jak zmienia się wyraz jego twarzy: od nadziei przez niepokój po konsternację. Wreszcie profesor zamknął komórkę i wrócił do nich. Wydawało się, jak gdyby na chwilę zaniemówił.

– Profesorze? – ponaglił go Painter.

– Mój kolega odszyfrował fragment inskrypcji na urnie z głową wilka. Znalazł parę słów i zwrotów, które mówią o zniszczeniu i śmierci. Nic więcej.

– Czyli zasadniczo ostrzeżenie – podsumował Painter.

Kowalski zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie wryli po prostu czaszki i skrzyżowanych pischczeli? Oszczędziliby wszystkim masy problemów.

– Może tak właśnie zrobili – odparł Hank. – Pierwsi *Tawtsee'untsaw Pootseev* umieszczali swój eliksir w pojemnikach przeznaczonych do przechowywania organów zmarłych. Egipskich urnach kanopskich, zmodyfikowanych do swoich potrzeb. Ale kiedy zintegrowali się z miejscowym ludem, wybrali inny totem moich przodków, kości dawno wymarłych zwierząt. Może miało to być ostrzeżenie, by nie ruszać tej substancji, bo groziła zniszczeniem ludzkości, symboliczna przestroga przed zagładą nas samych.

Painter wyczytał w oczach profesora pewne wahanie, jak gdyby Hank chciał powiedzieć coś więcej. Zauważył dyskretne spojrzenie w stronę Rafaela. Ale Francuz za długo należał do organizacji, w której zwracano baczną uwagę na szczegóły.

– Co pan przed nami ukrywa, *monsieur le professeur*? – zapytał Rafael.

Painter niedostrzegalnie skinął głową. Nie mieli już przed sobą sekretów, przynajmniej w większości spraw.

– Powiedz mu.

Mina Hanka zdradzała zaniepokojenie.

– Mojemu przyjacielowi udało się też przetłumaczyć część tekstu, który przesłał twój kolega. Napis z marginesu złotej mapy.

Rafael pojrzał na Paintera.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? Mówił pan, że mapa wskazywała na Yellowstone, ale nie słyszałem o żadnym napisie.

– Bo aż do tej chwili ta informacja nie miała znaczenia.

– Być może nadal nie ma – dodał Hank. – Mój kolega przetłumaczył zaledwie mały fragment. Brzmi on: „gdzie spoglądają wilk i orzeł”.

– Co to znaczy? – spytał Rafael.

Hank wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Jeszcze jedna ślepa uliczka.

Painter zerknął na zegarek i spojrzął na przeciwległą stronę doliny. Gray wysłał im wskazówkę. Według tego, co mówiła Kat, szukał następnej, która miała związek ze skórą bizona. Może tym razem szczęście im dopisze.

Ale jeżeli będą mieć tyle szczęścia, ile dotąd...

1 czerwca, 7.06

Hohenwald, stan Tennessee

Będzie musiało wystarczyć...

Gray uniósł łopatę – jedyną broń, jaką miał pod ręką.

– Chcesz ich załatwić na rympał? – spytał Monk. Skrzywił się z bólu, unosząc się na tyle, by się oprzeć o ścianę świeżo otwartego grobu. Spojrzał na powiększającą się plamę krwi na niebieskim kombinezonie. – Kula przeszła na wylot. Ale za ubranie nie dostanę już zwrotu kaucji.

– Możesz chodzić? – spytał Gray.

– Pokuśtykam. Ale biec nie dam rady.

– W takim razie zostań tu.

– Nigdzie się nie wybierałem.

Seichan zeszła z miejsca, skąd obserwowała oddział atakujący ich od strony parkingu.

– Policzyłam, że jest ośmiu, góra dziesięciu. Ukryli się za chatą po drugiej stronie trawnika.

– Pewnie myślą, że jesteśmy uzbrojeni – rzekł Gray. – Inaczej już by nas opadli.

– Jaki mamy plan? – zapytała Seichan.

Razem z Monkiem spojrzeli na Graya.

– Niech dalej myślą, że mamy broń, przynajmniej zanim dostaniemy się do karabinów. Koparka stoi parę metrów stąd. Jest na tyle duża, że nas osłoni, jeżeli tam dobiegniemy. Ale wychodząc z tej dziury, będziemy bezbronni.

Gray podał Monkowi łopatę, po czym odwrócił się i chwycił drugą.

– Potrzebujemy efektów dźwiękowych. Nasi przeciwnicy są zdenerwowani, czujni, otaczają nas bardzo ostrożnie. Trzeba ich jeszcze trochę nastraszyć. Spróbuj walnąć łopatą o łopatę... szybko i głośno.

Monk zrozumiał.

– Żeby pomyśleli, że do nich strzelamy.

– Podziała najwyżej przez parę sekund. Miejmy nadzieję, że zdążymy dopaść do kabiny i złapać broń.

– Jasne.

– Uwaga, na mój znak.

Gray kucnęła obok Seichan. Jej oczy błyszczały w półmroku grobu. Patrzyła na krawędź wykopu i szykowała się do skoku, czując w gardle bicie serca.

– Już!

Opierając jedną łopatę o ścianę grobu, Monk z całej siły uderzył w nią drugą. Huk był tak nieoczekiwany i głośny, że naprawdę brzmiał jak wystrzał. Gray rzucił się na skraj grobu, wparł się mocno ramionami w ziemię i jednym skokiem wy dostał z grobu, obracając się na bok. Zaraz

zerwał się na nogi i pochylony ruszył sprintem, żeby się ukryć za koparką.

Seichan biegła obok niego.

Gdy Gray przez moment znalazł się pod osłoną wysięgnika z tyłu koparki, spojrzął na Seichan. Miała zaróżowioną twarz i lekko rozchylone usta. Uniosła brew.

Poszło nieźle...

Bez słowa rozdzielili się i podbiegli do koparki z dwóch stron. Padły strzały, ale chybiły, trafiając w ziemię parę metrów od nich. Napastnicy byli przez chwilę zdezorientowani, ponieważ Monk nadal walił łopatami o siebie.

Gray dał nura do kabiny. Kiedy poszedł zbadać grób, zostawił silnik na chodzie. Usiadł za kierownicą, zwolnił hamulec i unióś hydrauliczne stabilizatory, żeby uruchomić maszynę.

Seichan chwyciła obydwie karabiny, zostawiając mu prowadzenie. Pokazała i Gray zrozumiał. To nie był pojazd, którym udałoby się uciec. Poza tym nie mogli zostawić Monka.

Gray unióś dużą przednią łyżkę, używając jej jako tarczy do osłony przedniej szyby. Oznaczało to, że będzie musiał jechać na oślep, ale w tej chwili nie przejmował się, czy potraci jakiś samochód. Wytoczył koparkę na trawnik. O łyżkę zadzwoniły pociski. Wolno skierował maszynę w stronę tyłu budowli z bali, a Seichan wychyliła się przez drzwi i otworzyła ogień pod uniesionym czerpakiem, zatrzymując napastników za chatą.

Kiedy znaleźli się w cieniu domu z bali, Seichan wyskoczyła z kabiny.

Łatwiejsze zadanie mieli za sobą.

7.07

Monk siedział w grobie, trzymając łopatę.

Kiedy usłyszał prawdziwe strzały z karabinu, było jasne, że jego rola się zakończyła. Oparł się na łopacie jak na kuli, żeby się dźwignąć na nogi. Chciał zobaczyć, co się dzieje. Z niemałym wysiłkiem wstał i wysunął głowę z grobu – i w tym momencie omal nie odcięły mu jej gigantyczne metalowe zęby.

Gray zawrócił koparkę, zbliżając się szybko z opuszczoną przednią łyżką. Odgłos silnika zagłuszała cięgła kanonada.

Monk padł do tyłu, a łyżka wbiła się w przeciwległą ścianę grobu, zawalając jej sporą część.

– Właź! – wrzasnął Gray.

Dopiero teraz Monk zrozumiał.

Podczołgał się po ziemi i bokiem wgramolił się do czerpaka. Stęknęły układy hydrauliczne i uniosły ramię, podczas gdy Gray równocześnie obracał koparkę. Monk wśliznął się do łyżki, kryjąc się przed pociskami, które z brzękiem siekły czerpak.

Coś uderzyło go w ramię.

Sięgnął tam ręką i wymacał karabin.

A to nawet nie moje urodziny.

7.08

Seichan wrzuciła do łyżki koparki karabin dla Monka, a potem wyskoczyła z kabiny i pobiegła w kierunku budynku gospody. Masywny budynek z bali osłaniał ją przed napastnikami, wiedziała jednak, że nie może zbyt długo liczyć na tę ochronę. Oddział w końcu podejdzie do niej z obu stron, oskrzydłając ją.

Nie wolno było do tego dopuścić.

Poza tym musiała zająć uwagę komandosów, dopóki Gray nie uwolni Monka. Podbiegła więc do okna po tej stronie chaty. Uniosła karabin i strzeliła w szybę trzy razy, rysując na szkle równiutki trójkąt. Osłabiwszy w ten sposób szybę, podskoczyła, z rozmachem rozbiła ją butem i przesadziła parapet. Wylądowała w środku, ślizgając się nieco na potłuczonym szkle, ale utrzymała się na nogach.

Nie zatrzymując się, uniosła broń.

Wpadła do głównej izby w chacie, widząc przed sobą okno wychodzące na przeciwną stronę. Jakiś żołnierz na chwilę zastygł w bezruchu, utkwivszy w niej wzrok. Strzeliła – trach, trach, trach – i komandos zwałił się na ziemię.

Dała nura w bok, chroniąc się za żeliwnym piecem.

Przez okno wsunęła się lufa karabinu i zaczęła na oślep ostrzeliwać pomieszczenie. Seichan spokojnie czekała, koncentrując się na celowaniu. Po chwili w oknie ukazała się głowa, by sprawdzić straty. Tym razem oddała tylko jeden strzał. Ciało runęło za oknem.

Wsparta plecami o ścianę i ukryta za piecem przygotowała się do długiej bitwy. Miała nadzieję, że dzięki niej Gray miał dość czasu.

Nagle do pokoju wpadł granat i potoczył się po podłodze.

Chyba jednak trochę się zasiedziała.

7.09

Pochylając się, by widzieć drogę pod uniesioną przednią łyżką,

Gray mijał chatę z bali, gdy nagle budynkiem targnęła potężna eksplozja. Szyby wyleciały z okien, a drzwi zostały wyrwane z zawiasów. Z domu buchnęły kłęby dymu. Zaskoczony i zaniepokojony Gray przez moment szarpał się z dźwignią zmiany biegów.

Seichan...

Na ułamek sekundy nad polem bitwy zaległa cisza, lecz po chwili na nowo rozgorzał hałas. Zza węgła chaty wyskoczyli dwaj ludzie. Monk otworzył ogień ze stanowiska snajperskiego na szczycie stalowej wieży, opierając lufę między dwoma zębami czerpaka. Trzeci napastnik rzucił granat z kryjówki komandosów, posyłając go łukiem nad chatą w kierunku koparki.

Nie wiedzieli jednak, że Monk jest wyborowym strzelcem ani że bardzo wkurzył go strzał w brzuch. Monk obrócił broń i strzelił do granatu jak do rzutki. Pocisk poszybował z powrotem za chatę. Wybuch wyrzucił w górę ziemię i dym. Zza budynku wytoczył się hełm. Nie był pusty. Zaraz potem rozległy się wrzaski.

I strzelanina.

Trwała krótko, prawdopodobnie strzelał jeden człowiek.

Po chwili z dymu wyłoniła się jakaś postać.

Seichan ukazała się w zakrwawionym i jeszcze tłącym się ubraniu. Pewnie wyskoczyła przez okno z tyłu, gdy w chacie wybuchł granat. Wskazała w stronę parkingu. Nie chciała im dać do zrozumienia, że pora jechać. Obok hummera stała tam samotna postać.

Mitchell Waldorf.

Zdrajca odwrócił się w stronę samochodu, ale Monk był o ułamek sekundy szybszy. Ze swojego bocianiego gniazda strzelił w opony wozu i odpędził Waldorfa od pojazdu. Gdyby udało im się schwycić go żywego – agenta Gildii działającego w głębi struktur rządowych – mógłby się okazać bezcennym źródłem informacji i ujawnić wiele szczegółów na temat

funkcjonowania organizacji.

Waldorf musiał dojść do tego samego wniosku.

Przyłożył sobie pistolet do podbródka.

Gray zaklął, próbując wykrzesać z koparki większą prędkość.

Seichan biegiem ruszyła w jego stronę. Waldorf uśmiechnął się i zagadkowo krzyknął:

– To jeszcze nie koniec!

Zobaczyli błysk strzału.

Czubek głowy mężczyzny eksplodował fragmentami czaszki i mózgu. Ciało bezwładnie osunęło się na jezdnię.

Na moje oko to na pewno koniec.

Mimo to Gray wciąż miał przed oczami jego ostatni uśmiech. W żołądku poczuł zimny dotyk strachu. Co ten drań miał na myśli?

7.19

Dziesięć minut później Gray i jego towarzysze pędzili Natchez Trace Parkway drugim skradzionym tego dnia hummerem. Wzięli jeden z samochodów oddziału napastników, dochodząc do wniosku, że dzięki temu mniej będą ich niepokoić. Poza tym potrzebowali więcej miejsca.

Monk leżał na wznak na tylnym siedzeniu, rozebrany do pasa, z brzuchem zabandażowanym opatrunkiem uciskowym, który Gray znalazł w apteczce z tyłu wojskowego pojazdu. Najwyraźniej oddział komandosów spodziewał się obrażeń. Znalazł też dawkę morfiny, którą wstrzyknął Monkowi w udo.

Oczy przyjaciela już zasnuła szklista powłoka.

Seichan, której rany i zadrapania zalepił plastrami, siedziała za kierownicą, aby Gray mógł obejrzeć skórę bizona. Na szczęście zdążył ją zabrać z grobu. Skóra była krucha, ale udało mu się ją rozłożyć. Jego oczom ukazała się scena z wielkiej wojny, przedstawiająca Indian w trakcie krwawej bitwy. W powietrzu latały tysiące strzał, z których każda została delikatnie, lecz trwale wytatuowana na skórze. Gdzie indziej ze skał spadały gruzy puebli. Głowy wojowników zdobiły pióra, wymalowane twarze były wykrzywione w krzyku.

Gray przypomniał sobie relację Kat, która powtórzyła mu słowa Paintera o zagładzie Anasazi, jaka nastąpiła po kradzieży świętych totemów *Tawtsee'untsaw Pootseev*. Czyżby na tej bizoniej skórze uwieczniono obraz tej rzezi, tego ludobójstwa?

To rodziło ważniejsze pytanie.

Gray trzymał na kolanach środkową część rozłożonej skóry. Dużej części rysunku brakowało. Dotknął powierzchni palcami. Była znacznie bardziej szorstka.

– Lewis zdrapał ze skóry tę część rysunku – powiedział Gray.

– Po co? – spytała Seichan.

– W pustym miejscu coś napisał.

Patrzył na staranne linie znaków biegnących szerokim pasem przez środek. Podczas gdy wszyscy opatrywali swoje rany, Gray starł starą krew, która wciąż pokrywała większą część skóry bizona. Poplamiło ją żelazo zawarte w hemoglobinie, ale słowa, które znalazł, nadal były czytelne.

– Tyle że to nie ma sensu – dodał. – To po prostu pomieszane litery. Albo jakiś szyfr, albo Lewis naprawdę oszalał.

Seichan zerknęła przez ramię na skórę, po czym znów skierowała wzrok na drogę.

– Przecież Heisman mówił, że Lewis i Jefferson porozumiewali się szyfrem. Wymieniali wiadomości zapisane ich własnym kodem.

– Rzeczywiście.

Gray wyobraził sobie Lewisa, jak umiera tamtej długiej nocy, czekając, aż znajdzie go pani Grinder. Miał dużo czasu, by napisać ostatnią wiadomość dla świata. Ale co zawierała? Nazwisko mordercy? Jego testament?

Palce Graya znów pogładziły twardą skórę w miejscu, gdzie została prymitywnie starta. Co Lewis usunął? Przy samych brzegach pozostały ślady czegoś, co mogło wyglądać na mapę: zakręt rzeki spływającej po zboczu góry, fragment jeziora. Czyżby to bardziej szczegółowa mapa terenu wokół zaginionego miasta *Tawtsee'untsaw Pootseev*? Może złota mapa wskazywała ogólne położenie, a malowana na skórze dokładniejszą lokalizację? Czy dzięki niej Fortescue znalazł to miejsce na zachodzie, jeśli rzeczywiście udało mu się je odnaleźć?

Gray ułożył sobie w głowie poszczególne elementy.

– Wydaje mi się, że zdrajca, generał Wilkinson, zabił go dla złotej tabliczki, którą Lewis miał przy sobie, ale nic nie wiedział o skórze bizona. Lewis nie chciał, żeby po jego śmierci skóra wpadła w niepowołane ręce, więc zdrapał rysunek i zostawił ostatnią zaszyfrowaną wiadomość dla świata. Poświęcił własną krew i ciało, żeby ją ukryć.

– Po co miał ją ukrywać?

– Może dlatego, żeby morderca nie wiedział, iż został wymieniony z imienia i nazwiska. Może miał nadzieję, że skóra dotrze do Jeffersona razem z jego innymi rzeczami, a jeżeli nie, to przynajmniej zostawi testament dla potomności. Być może nigdy się nie dowiemy. Wiemy tylko, że nie ma tu żadnej mapy, która mogłaby pomóc Painterowi.

Zadzwoił jego telefon na kartę. Gray odebrał.

– Kat?

– Jak się czuje Monk? – zapytała, starając się panować nad głosem, który jednak nieco się łamał.

– Śpi jak dziecko – uspokoił ją.

Gray dzwonił już do niej, kiedy ruszyli, żeby przedstawić jej sytuację. Złożył też krótki raport na temat mapy.

– Na prywatnym lotnisku niedaleko Columbii czeka na was samolot – powiedziała.

– To dobrze, powinniśmy tam być za parę minut. Ale co z Seichan? Przecież wszyscy jej poszukują.

– Przy tym, co się dzieje w Yellowstone, nikt się już wami nie interesuje, zwłaszcza że przekazałam komunikat o Waldorfie z informacją, że incydent w Fort Knox był jego robotą i że to on wymyślił historyjkę o terrorystach, by ukryć własne działania. Powinni już dać wam wszystkim spokój i myślę, że możecie bezpiecznie wracać do domu.

– Wrócimy jak najszybciej. – Graya dręczyło jeszcze jedno pytanie. – Domyślasz się już, jak Waldorfowi udało się zastawić na nas tę pułapkę? Skąd wiedział, że pojechaliśmy odkopać zwłoki Lewisa? O ile mi wiadomo, wiedziałaś o tym tylko ty i Eric Heisman. I może jego asystentka Sharyn.

– Z moich informacji wynika, że oboje są czyści. Szczerze mówiąc, wszystko dzieje się tak szybko, że niektóre wiadomości mogły dotrzeć do niewłaściwych uszu. A sam wiesz, że Gildia ma uszy wszędzie. – Kat westchnęła. – A wy? Znaleźliście już coś na tej skórze bizona?

– Nie. Nic, co może pomóc Painterowi. Obawiam się, że odtąd jest zdany tylko na siebie.

1 czerwca, 5.20

Park Narodowy Yellowstone

Kai szła przez las baśniowych stożków ze swoim cieniem przykutym do siebie. Ashanda podążała za nią tak bezszelestnie, że nie było słychać nawet brzęku kajdanek. Mimo że Kai miała na przegubie bombę, obecność tej kobiety w dziwny sposób dodawała jej otuchy.

Może to jakiś objaw syndromu sztokholmskiego, pomyślała Kai.

Wyczuwała jednak, że kryje się za tym coś więcej. Wiedziała, że kobieta wykonuje rozkaz Rafaela, ale nie było w niej żadnej wrogości. W pewnym sensie była więźniem tak samo jak Kai. Przecież obie miały kajdanki. Kai musiała też przyznać, że było coś prostego i pięknego w milczeniu Ashandy i cichym nuceniu, które od czasu do czasu słyszała – zawsze pełnym pewnego podskórnego smutku.

Kai nie mogła się jednak pozbyć bomby na przegubie. Ciężyła jej coraz bardziej z każdym krokiem, stale przypominając o grożącym jej niebezpieczeństwie.

Chcąc zająć czymś uwagę, krążyła po lesie z Ashandą. Świata pozostała niecała godzina życia. Po przeszukaniu skał żołnierze obu stron z pustymi rękami zaczęli się powoli wycofywać.

W jej głowie wciąż brzmiały zagadkowe słowa Hanka Kanosha.

„Gdzie spoglądają wilk i orzeł”.

Idąc przez las i myśląc o tych słowach, wreszcie to zobaczyła – w świetle wschodzącego słońca, pod właściwym kątem. Przystanęła tak raptownie, że Ashanda wpadła na nią w chwili nieuwagi, która rzadko się jej zdarzała.

– Profesorze Kanosh! Wujku Crowe!

Obaj mężczyźni unieśli pochylone głowy.

– Chodźcie tu! – Kai, zapominając na moment o kajdankach, pomachała ręką, ale zaraz ją opuściła. Gorączkowy ton w jej głosie przyciągnął mężczyzn razem z Rafaelem.

– Co się stało? – spytał Hank.

Wskazała wznoszący się przed nią dwumetrowy stożek gejzerytu przypominający filar.

– Popatrzcie na ten rozwidlony wierzchołek, na te spiczaste czubki... Wyglądają jak uszy!... A wystający gruby kawałek skały pod spodem... nie przypomina psiego pyska?

– Kai ma rację – przytaknął Hank i podszedł bliżej. – Wilk i orzeł to popularne indiańskie totemy. A te naturalne filary przypominają słupy totemiczne. Dotknijcie.

Wuj Crowe wyciągnął rękę.

– Ktoś w nich rzeźbił – zdumiał się.

Hank przesunął palec po skalnym filarze.

– Ale z biegiem czasu powierzchnię pokryły nawarstwiające się minerały, przykrywając rzeźbienia.

Rafał wykonał obrót, wspierając się na lasce.

– Musimy znaleźć tego orła.

Przez następne dziesięć minut obydwaj oddziały przetrząsały skalny las, ale żaden ze słupów w żadnym stopniu nie przypominał ptaka. Ożywione poszukiwania wkrótce ustały i wszyscy dreptali w miejscu, drapiąc się w głowę.

– Tracimy czas – oznajmił Rafael. – Może powinniśmy szukać tylko tam, gdzie patrzy wilk, *non?*

Kai zdążyła już okrążyć pole geotermalnych stożków i dotarła do miejsca, z którego wyruszyła. Stała przed słupem z wilczym łbem, odwracając się do niego plecami, i spojrzała na dolinę. Wilk miał rozległy widok na nieckę w jej najszerszym miejscu, aż po odległą skalną ścianę. Kai wskazała w tamtym kierunku.

– A czy ktoś szukał...

– Tutaj! – wykrztusił nagle zaskoczony Jordan.

Odwróciła się razem ze wszystkimi. Jordan stał przed zwykłą gruzłową kolumną z kamienia. W ogóle nie przypominała orła. Ale chłopak pochylił się i z trawy podniósł kawałek żłobkowanej skały. Przyłożył ją do boku filara, od którego musiała odpaść. Kiedy brakujący fragment znalazł się na miejscu, razem z delikatnym żłobieniem po drugiej stronie utworzył parę skrzydeł.

Jordan wskazał w górę.

– Ten naciekowy grzbiet przy wierzchołku skierowany w dół może być dziobem. – Pokazał, o co mu chodzi, przyciskając podbródek do piersi i patrząc w dół.

– To drugi słup totemiczny! – wykrzyknął Hank.

Jordan spojrzał na Kai z szerokim uśmiechem, przekazując jej w milczeniu wiadomość: „Każde z nas znalazło jeden”.

Kai wróciła przed wilka i pomachała do Jordana na znak, żeby zrobił to samo. Potem zaczęła iść w stronę, w którą patrzył kamienny wilk. Jordan podążył za spojrzeniem orła. Krok za krokiem szli w głąb kamiennego lasu, powoli zbliżając się do siebie, by odnaleźć miejsce, w którym przecinały się spojrzenia dwóch totemów.

Wszyscy poszli za nimi.

Po czterdziestu metrach Kai wyciągnęła wolną rękę i ujęła dłoń Jordana. Nareszcie znaleźli się obok siebie. Stali przed kolejnym stożkiem, który miał około metra dwudziestu wysokości i metr szerokości. Przysadzista, nijaka skała mogła przypominać najwyżej kapelusz wielkiego grzyba.

– Nie rozumiem – powiedział Rafael.

Chin podszedł bliżej i obejrzał formę skalną ze wszystkich stron.

– Niczym nie odróżnia się od reszty. – Położył na niej obie ręce i zastygł na chwilę. – Ale nie wibruje. Nawet w drzemiących stożkach jest wyczuwalne drżenie.

– Co to znaczy? – zapytała Kai.

– Jest nieprawdziwy – zawyrokował geolog.

5.38

Słońce już weszło i rozjaśniło niebo, ale nie ich ponure oblicza.

– Nie lepiej go po prostu wysadzić? – zaproponował Kowalski.

– Być może nie będziemy mieli innego wyjścia, ale zaczekajmy chwilę, aż Hank i Chin skończą.

Mimo to Painter musiał wziąć pod uwagę pomysł Kowalskiego. Do eksplozji doliny pozostało

mniej więcej czterdzieści minut.

– W razie czego masz przy sobie C4? – spytał Painter.

Przed wyjazdem do Yellowstone prosił Kowalskiego, żeby zaopatrzył się w materiał wybuchowy, na wypadek gdyby musieli wysadzić skałę, by dostać się do tunelu czy korytarza. Jego partner nie zabrał jednak żadnej torby ani plecaka.

– Trochę – przyznał Kowalski. Cofnął się i rozchylił poły długiego do ziemi płaszcza, pokazując kamizelkę nafaszerowaną kostkami C4.

– To ma być trochę?

Kowalski spuścił wzrok.

– Aha. Miałem wziąć więcej?

Hank i Chin podnieśli się z kucek spod skalnego grzyba. Hank przekazał im wnioski z oględzin.

– Naszym zdaniem stożek miał służyć jako czop, być może symbolizujący kikut pępownicy. Tak czy inaczej, będzie potrzebnych czterech silnych ludzi, żeby podparli ramionami ten występ, bo wydaje mi się, że właśnie po to jest, i podnieśli cały kamień.

Na ochotnika zgłosił się Kowalski, a prócz niego major Ryan, Bern i Chin.

Mężczyźni otoczyli skalny grzyb i splekli się ramionami.

– Skała jest porowata – rzekł Chin. – Miejmy nadzieję, że uda się ją dźwignąć.

Na trzy wszyscy się natężyli. Sądząc po wysiłku malującym się na ich twarzach, ocena geologa okazała się chyba dyskusyjna. Ale po chwili w głębi ziemi rozległ się metaliczny zgrzyt. Kamienny czop zakołysał się w ramionach czterech mężczyzn. Kiedy został już obruszony, bez trudu unieśli głaz i odsunęli się, aby odłożyć go na bok.

Painter ruszył naprzód z Hankiem i Rafaelem.

– To złoto? – spytał zza ich pleców Jordan.

Jeśli tak, to na pewno znaleźli właściwe miejsce.

Painter obejrzał spód kamiennego czopa. Dolną część skały w kształcie grzyba i krawędzie otworu pokrywała warstwa złota.

– Metal miał prawdopodobnie nie dopuścić do tego, żeby w wyniku erozji czop utknął tu na stałe – powiedział Chin.

Hank oglądał dziurę w ziemi.

– To mi przypomina otwór do *kivy*. Wejście do krainy duchów.

Kowalski rzucił wściekłe spojrzenie w głąb dziury.

– Pomyślcie, jak to się dla nas skończyło ostatnim razem.

5.45

Hank wszedł za Painterem do dziury. Pierwszy spadek miał długość tylko około metra, ale tunel poniżej biegł stromo w dół w kierunku środka geotermalnej niecki i jej dziwnych stożków. Powietrze było gorące, ale suche, i unosiła się w nim woń siarki.

Painter szedł na czele z latarką, a za nim podążał mały pochód. Chin i Kowalski szli za Hankiem. Dalej Rafael, któremu pomagali dwaj ludzie Berna, oraz Ashanda, która z kolei musiała wziąć ze sobą Kai. Reszta została na górze.

Jordan zgodził się zostać, by pilnować Kawtcha, choć ciarki chodziły mu po plecach, gdy przypomniawszy sobie Nancy Tso i los ostatniej opiekunki psa.

Uzbrojeni żołnierze trzymali się osobno, grupując po przeciwnych stronach otworu.

Tunel nachylał się coraz niżej i robiło się w nim coraz cieplej. Hank dotknął dłonią ściany. Nie parzyła, ale skała na pewno była gorąca, przypominając mu o płonącym w dole ogniu piekielnym – dosłownie i w przenośni.

Czy tak właśnie kończy się świat?

Minutę później Hank pomyślał, że chyba będzie musiał zawrócić. Miał wrażenie, że palą mu się płuca. Jak głęboko będą musieli jeszcze schodzić? Wydawało się, jak gdyby byli już pięćset metrów pod ziemią, choć najprawdopodobniej przeszli połowę tej odległości.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział wreszcie Painter.

Na końcu tunel zwęzał się do tego stopnia, że aby pokonać ostatnie metry, musieli się przeciskać bokiem między ścianami.

Painter poszedł pierwszy.

Hank za nim – i nagle usłyszał, jak Painter tłumi okrzyk zdumienia i przerażenia. Po wyjściu z wąskiego gardła natychmiast odsunął się na bok.

Hank przepchnął się tuż za nim i też odszedł od wylotu, robiąc miejsce dla pozostałych. Zachwiał się jednak w szoku. Musiał się oprzeć ręką o ścianę z tyłu, by utrzymać równowagę. Drugą dłonią zasłonił usta.

– *Mon Dieu!* – sapnął Rafael.

Kowalski zaklął.

Gdy weszli pozostali, blask kolejnych latarek powoli wydobywał z mroku ogromną salę.

Na dnie olbrzymiej jaskini, wysokiej na co najmniej siedem pięter, leżały tysiące zmumifikowanych ciał. Wyglądało to tak, jakby ludzie ułożyli się w rzędach rozchodzących się promieniście od wielkiej świątyni pośrodku jak szprychy koła.

Hank starał się skupić uwagę na biedakach, którzy zakończyli tu życie. Tak jak zwłoki ludzi w jaskini w Utah, wszyscy mieli na sobie stroje rdzennych Amerykanów: pióra, kości, szerokie spodniczki, skórzane mokasyny i przepaski biodrowe. Długie włosy u wielu z nich były zaplecione w warkocze i ozdobione, lecz miały różne barwy: nie brakowało oczywiście kruczoczarnych, ale Hank dostrzegł też włosy blond, kasztanowe, a nawet ogniście rude.

Tawtsee'untsaw Pootseev.

Tu także ujrzał sżytelety, w większości stalowe, choć kilka było zrobionych z kości. Leżały wokół ciał lub tkwiły zaciśnięte w trupich palcach.

Tyle śmierci.

Wszystko po to, by dochować tajemnicy, by ochronić świat przed zapomnianą alchemią.

Unosząc wzrok, Hank zrozumiał, jakie jest prawdopodobne źródło tej nauki. Wznosiła się przed nim świątynia zbudowana z płyt z miejscowego kamienia. Miała wysokość sześciu pięter i zdawała się sięgać do samego stropu, wypełniając środek ogromnej sali.

Wiedział, co to jest.

A raczej na czym wzorowano tę budowlę.

Zgadzały się nawet wymiary fasady.

Dwadzieścia łokci szerokości, trzydzieści pięć łokci wysokości.

Dokładnie tak jak w Biblii.

Ale to nie wymiary upewniły go, że ma rację, tylko całość świątyni. Kamienne schody prowadziły do przedsionka, a wejścia strzegły dwie potężne kolumny – słynne Boaz i Jakin – tyle że zamiast z brązu były zrobione ze złota, podobnie jak ogromna misa stojąca przed świątynią.

Złoty kielich wznosił się na dwa i pół metra i miał dwa razy tyle szerokości, a spoczywał na

grzbietach dwunastu wołów. Oryginał nazywał się Morze Spizowe lub Odlew Morza. Nazwa pasowała do kopii. Misa znajdowała się pośrodku gorącego źródła, które tryskało z podłoża i napełniało zbiornik. Woda przelewała się przez brzeg i spływała w dół, by znów wypełnić misę w niekończącym się cyklu.

– Co to za miejsce? – zapytała Kai. – Wygląda na budowlę Indian Pueblo, ale forma się nie zgadza.

Hank pokręcił głową.

– Zgadza się. Jest doskonała.

Painter rozglądał się w szoku.

Jak można teraz zaprzeczać prawdzie? – spytał w duchu Hank.

– Czy to jest to, co myślę? – odezwał się Painter, najwyraźniej też rozpoznając. – Albo przynajmniej jakaś wersja Pueblo?

Hank triumfująco pokiwał głową.

– To świątynia Salomona.

1 czerwca, 5.50

Park Narodowy Yellowstone

Major Ashley Ryan nie lubił występować w roli niańki.

– Najlepiej nie włącz nam w drogę – ostrzegł chłopaka z plemienia Ute. Pokazał mu głaz na skraju kępy sosen. – Usiądź tam. I pilnuj, żeby pies nie obsikał mi plecaka.

Jordan spojrział na niego spode łba, ale posłuchał.

Między Gwardią Narodową a Indianami w Utah panowały nie najlepsze stosunki – przynajmniej jeśli chodziło o tego gwardzistę. Ryan wciąż pamiętał zamieszanie, które wybuchło tuż przed eksplozją w górach. Gdyby Indianie znali swoje miejsce w szeregu jak wszyscy inni, układałoby im się całkiem nieźle.

Spojrzał przez geotermalną nieckę na położone trzydzieści metrów od otworu miejsce, które Bern ze swoimi najemnikami uznał za swoje terytorium. Jasnowłose olbrzym miał trzech ludzi; Ryan także. Mieli równe szanse, jeśli nie liczyć chłopaka i psa.

Ryan ich nie liczył.

Bern patrzył w jego stronę z rękami opartymi na biodrach, z taką samą uwagą przyglądając się rozkładowi sił. Nagle potężny Aryjczyk zerknął w niebo. Chwilę później Ryan też to usłyszał.

Jeszcze jeden helikopter.

Od ciągłego łomotu ich wirników huczało mu już w głowie i bolały go górne zęby. W górze krążyły trzy maszyny z kontenerami przeciwwybuchowymi. Piloci postawili już na ziemi cztery izolowane skrzynie, przygotowując się do szybkiego przechwycenia i przerzutu substancji poza teren parku.

Ryan spojrział na zegarek. Dwadzieścia minut. Nie było miejsca na żaden margines błędu. Usłyszał, że do warkotu pierwszego helikoptera dołącza drugi. Uniósł wzrok, gdy pojawił się pierwszy, nadlatując znad pasma gór i szybko się zniżając.

Co jest, do cholery? Coś się stało?

Nagle z tyłu transportowego helikoptera rozwinęły się liny, po których błyskawicznie zjechał desant. Mężczyźni mieli na sobie takie same budzące grozę czarne stroje jak najemnicy Berna.

Kurwa mać.

Ryan instynktownie obrócił się i pochylił. Usłyszał huk pistoletu i w tej samej chwili nad głową świsnął mu pocisk. Wsparty na jednej ręce jak obrońca drużyny futbolowej spojrział na Berna. Blondyn celował z pistoletu.

Znów rozległ się strzał.

Jeden z ludzi Ryana zwałił się z nóg i zarył plecami w ziemię.

W miejscu, gdzie miał oko, ziała dziura.

Ryan ruszył sprintem w stronę głazów, dokąd wysłał chłopaka z psem. Instynktownie chciał chronić cywila. Miał też jednak pod komendą dwóch ludzi.

– Kryć się!

Musieli znaleźć jakąś twierdzę, której mogliby bronić. Krąg głazów musiał wystarczyć, dopóki nie wymyśli czegoś lepszego. Pociski siekły ziemię wokół niego. Jordan też dał nura między skały, kryjąc się przed ogniem.

Do Ryana dołączyli jego dwaj ludzie – Marshall i Boydson – biegnąc po bokach majora. We trzech dopadli głazów i schowali się za nimi.

Ryan zdjął z pleców karabin i między dwiema skałami znalazł szczelinę na stanowisko ogniowe. Patrzył, jak z pierwszego helikoptera desantuje się ośmiu ludzi. Po chwili drugi helikopter zawisł nad ziemią jak drapieźny koliber i wysadził tyle samo żołnierzy.

Teraz było dwudziestu na trzech.

Szanse były bardzo nierówne.

5.51

Rafael spojrzął za zegarek.

Bern powinien już zabezpieczać powierzchnię.

Próbował nasłuchiwać odgłosów strzelaniny, ale byli zbyt głęboko pod ziemią. Poza tym słyszeli przede wszystkim szum i plusk wody oraz pękanie pęcherzyków gazu w dużej złotej fontannie, którą mijali po drodze do świątyni.

Rafe przeszedł szybko obok niej, wstrzymując oddech. Za nim szła Ashanda z dziewczyną, a jego dwa ochroniarze trzymali się kilka kroków z przodu, tworząc tarczę między nim a resztą.

Geolog Sigmy spojrzął przez ramię na złotą misę.

– Została podłączona do źródeł geotermalnych. Cała jaskinia musi się znajdować na skraju tego silnika parowego napędzającego naturalną hydraulikę niecki.

W końcu jednak nawet geolog ruszył naprzód ze wzrokiem utkwionym w gigantyczną świątynię. Im bardziej się zbliżali, tym większa się wydawała, wsparta na dwóch złotych filarach ozdobionych rzeźbionymi snopami pszenicy i łodygami kukurydzy, które oplatała kwitnąca winorośl.

Czy to naprawdę kopia świątyni Salomona? – zastanawiał się Rafe.

Ta myśl wywoływała w nim dreszcz emocji, ale silniejsza była świadomość niebezpieczeństwa, jakie nad nimi wisiało.

Kiedy wchodzili po schodach do przedsionka starożytnej budowli, profesor mówił:

– Świątynia Salomona, często nazywana Pierwszą Świątynią Jerozolimską, była pierwszą religijną budowlą wzniesioną na wzgórzu Syjon. Żydowscy uczeni twierdzą, że przetrwała cztery stulecia, dopóki w szóstym wieku przed naszą erą nie została zniszczona. Stała tam, kiedy Asyryjczycy rozpędzili dziesięć plemion Izraela na cztery wiatry.

Stary Indianin wskazał budowlę przed nimi.

– To było ich miejsce kultu, ale także bastion wiedzy i nauki. Według wielu opowieści król Salomon miał magiczne, nadprzyrodzone zdolności. Ale to, co dla niektórych jest magią, dla innych jest nauką.

Kanosh poprowadził ich naprzód, myślami cofając się w przeszłość.

– Być może *Tawtsee'untsaw Pootseev* byli kiedyś magami w służbie Salomona, którzy połączyli żydowskie praktyki mistyczne i egipską naukę. Potem zostali wypędzeni przez asyryjskich najeźdźców. Kiedy przybyli do Nowego Świata, zrobili wszystko, żeby ocalić pamięć o tej wspaniałej świątyni i jej znaczeniu dla religii i nauki, budując ją techniką

zapożyczoną od starożytnej kultury Pueblo.

Gdy profesor Kanosh dotarł do przedsionka, szybkim krokiem skierował się w stronę otwartych drzwi.

– Pierwszą komnatą powinna być *Hekal*, czyli Święte Miejsce – powiedział Hank.

Wszyscy precyzyjnie przeszli przez sieni do pierwszej komnaty. Okazała się pusta, a jej ściany były wyłożone sosnowymi balami z misternie wyrzeźbionymi totemicznymi zwierzętami: niedźwiedziem, łosiem, wilkiem, owcą, orłem.

– W Świątyni Salomona tę komnatę zdobiły płaskorzeźby cherubinów, kwiatów i palm. Ale ci starożytni budowniczowie najwyraźniej zaadoptowali do projektu charakterystyczne cechy swojej nowej ojczyzny.

– Ale sala jest pusta – zauważył Painter, zerkając na zegarek.

– Wiem. – Kanosh wskazał następne schody prowadzące do drzwi odgradzonych złotymi łańcuchami. – Jeżeli szukamy najświętszych przedmiotów, będą tam. W komnacie *Kodesz Hakodaszim*, Święte Świątych, sanktuarium świątyni Salomona. Tam właśnie Salomon umieścił Arkę Przymierza.

Painter ruszył przodem, spiesząc się, czując presję czasu. Pozostali wbiegli za nim po schodach. Jeden z przybocznych Rafaela podał mu ramię, aby łatwiej mu było iść. Rafael nie odmówił pomocy.

Usłyszał okrzyki zdumienia i przyspieszył kroku, mocno stukając laską w kamienne podłóżo, wściekły na swoje kalectwo. Ashanda wybiegła naprzód ze swoją podopieczną i przytrzymała przed nim odchylony łańcuch. Rafael wszedł do środka sam, puszczając ramię żołnierza.

Znalazł się w sali, na której widok zadrżał z podziwu. Każdą powierzchnię od podłogi po sufit pokrywało złoto. Ściany były zbudowane z potężnych płyt wysokich na trzy piętra, wyglądających jak gargantuiczne wersje małych złotych tabliczek.

I tak jak miniatury, całe ściany były pokryte napisami, milionami wersów otaczającymi ich ze wszystkich stron.

Hank runął na kolana między dwiema rzeźbami bielików wysokości czterech i pół metra. Ptaki stały wyprostowane obok siebie, dotykając się rozpostartymi skrzydłami, którymi po bokach sięgały przeciwległych ścian.

– W świątyni Salomona to były gigantyczne figury cherubinów, skrzydlatych aniołów.

Nawet Painter przerwał swój szaleńczy bieg naprzód, gapiąc się na ogromne ptaki.

– Wyglądają jak bieliki na Wielkiej Pieczęci. Ktoś pokazał Jeffersonowi rysunek tej świątyni?

Hank w milczeniu pokręcił głową, zbyt wzruszony, by mówić.

Rafe'a opanowało podobne uczucie – jak mógłby pozostać obojętny? – nie zapomniał jednak o swoim obowiązku.

– Zarejestrujcie to wszystko – rozkazał jednemu ze swoich ludzi, szerokim ruchem łaski pokazując ściany. – Nie wolno tego stracić.

– Ale gdzie jest ukryty nanomateriał? – zapytał Painter.

– Tę zagadkę pozostawię panu, monsieur Crowe.

Materiał miał eksplodować tak czy inaczej, Rafe nie widział więc sensu, by go poszukiwać. Prawdziwy skarb miał przed sobą: zebraną wiedzę starożytnych. Przesunął dłonią po ścianie, wodząc wzrokiem od sufitu do podłogi, starając się zachować wszystko w swojej wyjątkowej, ejdetycznej pamięci, zapisać na swoim organicznym twardym dysku. Chodził po komnacie krok za krokiem pogrążony w morzu starożytnych znaków. Tu musi być ich historia, ich nauka, ich sztuka, wszystko zapisane w złocie.

Musiał to osiąść.

Dzięki temu jego rodzina mogła wejść do Prawdziwej Linii Rodu.

Z boku rozległ się czyjś krzyk, ale Rafe nie odwrócił głowy. To był geolog Sigmy.

– Dyrektorze, z tyłu są drzwi. I zwłoki.

5.55

Ogłuszony ciągłą kanonadą major Ashley Ryan nie słyszał, jak mały oddział podchodzi od skrzydła pod krąg głazów. Uwięzieni w swojej twierdzy major i jego ludzie robili, co mogli, żeby ją utrzymać – strzelali do pojedynczych celów, kiedy mogli, odpierali ataki i próby zdobycia ich stanowiska.

Komandosi Berna zajęli dno doliny, utrzymując wejście do tunelu. Ryan nie mógł nawet dotrzeć do plecaków swoich ludzi i zapasowej amunicji.

Nagle po lewej stronie za nim rozległo się głośnie szczekanie.

Alarm ocalił życie nie tylko jemu, ale wszystkim.

Ryan spojrział w tym kierunku. Dostrzegł cienie trzech komandosów, którzy wysunęli się spomiędzy ciemnych drzew i podbiegli do flanki jego oddziału.

Pies wskoczył na głaz i ujadaniem zatrzymał napastników.

Ryan przetoczył się na bok, wyciągając karabin ze szczeliny między głazami. Wykorzystał chwilę nieuwagi napastników spowodowanej przez psa, by posłać dwie kule w twarz pierwszemu z nich. Komandos padł na ziemię. Dwaj pozostali otworzyli ogień. Pies zaskowyczał, gdy pocisk roztrzaskał mu przednią nogę. Zwierzak runął z głazu na trawę.

Skurwy...

Ryan uniósł się wyżej, odsłaniając się, i nacisnął spust, otwierając ogień automatyczny. Jego dwaj ludzie włączyli się do walki, odwracając się w stronę napastników i strzelając. Po krótkiej wymianie strzałów dwaj komandosi padli pod twierdzą z głazów. Jej mury pozostały niezdobyte, choć niewiele brakowało. Poza tym wszyscy mieli ten sam problem.

– U mnie pusto – oznajmił Boydson, wyrzucając z karabinu dymiący magazynek.

Marshall sprawdził swoją broń i pokręcił głową.

– Jeszcze jedna seria i koniec.

Ryan wiedział, że u niego sytuacja nie wygląda lepiej.

Bern krzyknął coś po niemiecku głosem ociekającym żądzą krwi. Musiał wiedzieć, że przeciwnik jest w sytuacji bez wyjścia, że kończą mu się możliwości obrony i amunicja. Ryan znów przesunął się naprzód i wyrzwał zza głazów.

Nieprzyjacielski oddział w sile piętnastu ludzi szykował się do ostatniego szturmu. Bern zamierzał go poprowadzić, stojąc odsłonięty w odległości pięćdziesięciu metrów, odważny w swojej kamizelce kuloodpornej i pewien przewagi ogniowej.

Potężne ramię wskazało pozycję Ryana.

Major przyłożył policzek do karabinu.

No to do dzieła.

21.56

Tokio, Japonia

Riku Tanaka siedział przed ekranem komputera, głęboko zaszyty w labiryntowej siedzibie

instytucji o eufemistycznej nazwie Agencja Bezpieczeństwa Publicznego, głównej organizacji szpiegowskiej w Japonii. Nie potrafił odgadnąć, na którym piętrze się znajdował – sądząc po irytującym szumie klimatyzacji, pewnie pod ziemią – ani nawet w którym budynku.

Nic go to nie obchodziło.

Jego ręka spoczywała w dłoni Janice Cooper.

Od uratowania z lodowatego zbiornika detektora Super-Kamiokande rzadko tracił z nią kontakt fizyczny. Jej obecność pomagała mu zachować równowagę w świecie, jak kotwica zabezpieczająca statek na niepewnych wodach, podczas gdy odbudowywała się jego psychika.

Czekali na zestawienie najnowszych danych z różnych laboratoriów badających cząstki elementarne, które miał przeanalizować jego udoskonalony program. Byli coraz bliżej punktu krytycznego, więc odrzucali nieznanne zmienne, by dokładniej określić przewidywany czas eksplozji.

Wreszcie obliczenia zostały ukończone.

Na ekranie wyświetliła się odpowiedź.

Riku mocno zacisnął palce.

Janice odwzajemniła uścisk, tak samo jak on potrzebując oparcia.

– Nie ma ratunku.

5.56

Park Narodowy Yellowstone

Painter kucnął przy zwłokach na ziemi.

Mężczyzna leżał na wznak na skórze bizona, z rękami złożonymi na piersi.

Indiański strój okrywający zmumifikowane szczątki miał żywsze barwy niż u ciał na zewnątrz. Nagą, cienką szyję zdobił opalizujący naszyjnik z białych orlich piór. W długim warkoczu siwych włosów wciąż tkwiły fragmenty uschłych kwiatów, które z czułością i troską wpięła czyjaś ręka. Kościste ramiona spowijała peleryna bogato ozdobiona paciorkami, pełniąca funkcję całunu.

Ten mężczyzna nie popełnił samobójstwa. Ktoś pochował go w Świętym Świętych na dowód ogromnej czci.

Painter domyślał się powodów.

Pod uschniętymi, białymi dłońmi umieszczono dwa przedmioty.

Pod jedną spoczywała biała drewniana laska ze srebrną gałką opatrzoną francuskim symbolem lilii.

Pod drugą dziennik z kory brzozonej oprawiony w skórę.

To było ciało Archarda Fortescue.

Painter nie musiał czytać dziennika, by wiedzieć, że Francuz pozostał tu po odjeździe Lewisa i Clarka, aby stać się strażnikiem i opiekunem tej wielkiej tajemnicy. Gdy żył wśród Indian, najprawdopodobniej się zasymilował i został przez nich zaakceptowany, a sądząc po trosce, z jaką złożono jego ciało, musiał być przez nich wielbiony.

Painter się odwrócił.

– Spoczywaj w spokoju, przyjacielu. To już koniec twojego czuwania.

Chin stał przy otwartych drzwiach w głębi komnaty.

– Dyrektorze, musi pan to zobaczyć – powiedział z przerażeniem w głosie.

Painter podszedł do China, który oświetlił latarką przestrzeń za Świętym Świętych. Hank

i Kowalski też zbliżyli się do drzwi.

Schody za progiem prowadziły do przestronnego pomieszczenia, które sięgało daleko w głąb podziemia i otaczało sanktuarium z obu stron.

– Oto skarbiec świątyni – rzekł Hank.

Painter patrzył, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Ich sytuację zwięźli podsumował Kowalski.

– Mamy przejebane.

5.57

Z policzkiem przytulonym do kolby major Ashley Ryan patrzył przez celownik karabinu. Stojący pięćdziesiąt metrów od niego Bern machnął ręką, wyraźnie upojony myślą, że może dobić ofiary. Po drugiej stronie doliny komandosi wyszli z ukrycia, przygotowując się do szturm na twierdzę.

– Majorze? – odezwał się Marshall.

Ryan nie miał dla niego żadnych słów pocieszenia. Ani dla Boydsona, który siedział zgarbiony, opierając się plecami o głazy i ściskając w ręku nóż – swoją ostatnią broń. Obaj jego ludzie mieli niewiele ponad dwadzieścia lat. Boydsonowi niedawno urodził się synek. Marshall w przyszłym tygodniu zamierzał się oświadczyć swojej dziewczynie, wybrał już nawet pierścioneł.

Ryan wciąż patrzył przed siebie.

Zamierzał wybić jak najwięcej żołnierzy nieprzyjaciela, żeby zapłacili krwią za życie każdego z jego ludzi.

Przyglądał się przez celownik Bernowi. Aryjczyk musiał podejść bliżej. Ryan nie mógł zmarnować ani jednej sztuki amunicji. Odtąd każdy pocisk musiał sięgnąć celu.

Jesteś mój.

To nie on jednak miał dostąpić zaszczytu zlikwidowania dowódcy.

Kiedy patrzył przez celownik, Bern nagle chwycił się za gardło. Z jego ust buchnął strumień krwi. Szyję przebiła mu strzała. Potężny mężczyzna osunął się na kolana, a wokół doliny rozległy się dzikie wrzaski i wycie. Odbiły się od ścian kanionu tak upiornym echem, że Ryanowi włosy stanęły dęba.

Jakiś łoskot za jego plecami kazał mu się odwrócić. Ryan, nie podnosząc się z ziemi, obrócił się na plecy i uniósł broń, omal nie strzelając Jordanowi w pierś. Młody człowiek w kilku susach podbiegł do majora. Ryan sądził, że chłopak zaszył się w głębi kręgu głazów, gdzie kazał mu zostać.

Ale Jordan był zdyszany, ubranie miał wilgotne i rozerwane w kilku miejscach. Najwyraźniej zignorował polecenia Ryana.

Kiedy Jordan przypadł do niego, krzyki zabrzmiały jeszcze głośniejsze, drażniąc Ryana.

– Jakiś ruch w lesie! – zawołał Marshall. – Wszędzie widzę cienie. Biegną ze wszystkich kierunków!

– Przepraszam, że to tak długo trwało – powiedział Jordan. – Nie chcieliśmy, żeby nas zauważyli, dopóki nie okrążymy całej doliny.

Młody człowiek podniósł się, żeby wyjrzieć zza głazów.

Kiedy major skierował wzrok w tę samą stronę, zauważył, że chłopak chyba celowo unika z nim kontaktu wzrokowego. Niedobitki oddziału Berna pozbawione dowódcy, który leżał

z twarzą w trawie, biegały nerwowo po dnie doliny. Niektórzy próbowali się znowu ukryć.

Ale nie było się już gdzie ukryć.

Dolinę przeszył przeraźliwy wrzask, a w stronę stanowiska komandosów z lasu i ze wszystkich kierunków posypał się deszcz strzał. Wojennym okrzykiem zawtórowały wrzaski bólu i szoku, które odbiły się echem od skalnej ściany.

Karabiny zaczęły strzelać do cieni.

Z lasu odpowiedziano ogniem.

Komandosi padali jeden po drugim. Ryan zobaczył wreszcie cienie, kiedy ukryci myśliwi ruszyli naprzód. Nie mieli na sobie żadnych rozpoznawalnych strojów. Dostrzegł parę wojskowych mundurów, ale większość mężczyzn była ubrana w dżinsy, T-shirty i wysokie buty, choć kilku miało na sobie wyłącznie przepaski biodrowe i mokasyny.

Wszystkich łączyło jedno.

Byli rdzennymi Amerykanami.

Widząc, że wojna jest wygrana, lecz nie chcąc ryzykować, Ryan dał znak swoim ludziom.

– Idźcie po nasze plecaki, przynieście je tutaj.

Wolał mieć amunicję pod ręką, gdyby sytuacja znów wymknęła się spod kontroli.

Zdyszany Jordan opadł na kamienie i wyjaśnił:

– Przed przylotem Painter polecił Hankowi i mnie zebrać najbardziej zaufanych ludzi z naszych i innych plemion. Załatwił transport i helikoptery. Kiedy Painter już wiedział, do jakiego miejsca w Yellowstone lecimy, kazał tu najpierw przerzucić nasze siły. Nie wierzył, że ten Francuz nie wywinie żadnego numeru.

Miał świętą rację...

– Nasi ludzie kryli się w dolinie. Kilka razy niewiele brakowało, żeby ich znaleziono, ale umiemy niezauważalnie poruszać się w lesie. Kiedy wybuchła walka, poszedłem powiedzieć im o sile i pozycjach przeciwnika, żeby skoordynować atak.

Ryan spojrzał na Jordana zupełnie inaczej niż dotąd. Kim jest ten chłopak? Wciąż jednak był zły.

– Dlaczego Crowe nic mi nie powiedział? Czemu przede wszystkim nie użył sił gwardii?

Jordan pokręcił głową.

– Chyba w grę wchodziły jakieś obawy o infiltrację. Nie wiem dokładnie. Na wschodzie mają jakiś kłopot ze zdrajcami w administracji rządowej. Painter chciał to załatwić w starym stylu, sięgając po ludzi swojej krwi.

Ryan westchnął.

Może tak było najlepiej.

Jordan rozejrzał się po twierdzy z głązów.

– Gdzie Kawtch?

Ryan uświadomił sobie, że nie widział psiska od chwili, kiedy zostało postrzelone. Poczul wyrzuty sumienia z powodu takiego braku troski. Przecież pies ocalił mu życie.

Jordan dostrzegł małe ciało leżące nieruchomo w zielsku. Podbiegł tam.

– Och, Kawtch.

Zanim Ryan zdążył go przeprosić i wyrazić mu swoje współczucie, podbiegł Boydson, rzucił na ziemię plecak i wyciągnął do niego radio.

– Majorze, do pana. Waszyngton próbuje się z panem skontaktować.

Waszyngton?

Wziął radio.

– Mówi major Ryan.

– Majorze, tu kapitan Kat Bryant. – Ryan usłyszał w jej głosie nagły ton i sprężył się gotów do działania. Coś się musiało stać. – Ma pan kontakt z Painterem Crowe'em?

Ryan spojrział w stronę wejścia do tunelu. Przez litą skałę nie mógł się z nim połączyć przez radio, więc ktoś musiałby tam zejść.

– Mogę mieć, ale to potrwa kilka minut.

– Nie mamy nawet kilku minut. Musi pan natychmiast przekazać wiadomość Painterowi. Proszę mu powiedzieć, że fizycy na podstawie dokładniejszych danych skorygowali przewidywaną godzinę wybuchu. Materiał eksploduje o szóstej cztery, nie o szóstej piętnaście. Zrozumiał pan?

Ryan spojrział na zegarek.

– Za cztery minuty! – Opuścił radio i wskazał na Jordana. Musiał wysłać kogoś, komu Painter bez wahania zaufa. – Młody, jak szybko potrafisz biegać?

6.00

Painter skierował światło latarki do skarbca za Świętym Świętych.

Na setkach kamiennych słupów leżały złote czaszki przeróżnych kształtów i rozmiarów: olbrzymich kotów z kłami, mastodontów z potężnymi ciosami, kopulaste czerepy niedźwiedzi jaskiniowych, nawet coś, co przypominało ogromną czaszkę allozaura czy innego prehistorycznego jaszczura. Pomędzy nimi stały dziesiątki urn kanopskich. Niektóre – prawdopodobnie oryginalne – miały wygrawerowane starożytne egipskie motywy i zapewne zostały tu przywiezione ze swojej ojczyzny. Inne jednak wyraźnie nawiązywały do miejscowej fauny: zdobiły je głowy wilków, ptaków o rozmaitych dziobach, pum i innych kotów, niedźwiedzi grizzly, a nawet zwinięty grzechotnik.

– Nie zdążymy tego wszystkiego wynieść – powiedział Chin. – Zostało nam tylko piętnaście minut.

Kowalski skinął głową.

– Czas na plan B, szefie. – Spojrział na Paintera. – Ma pan plan B, nie?

Painter zawrócił do głównej komnaty świątyni.

– Można spróbować wynieść, ile się da. Może zmniejszyliśmy prawdopodobieństwo wybuchu kaldery Yellowstone.

Kowalski ruszył za nim, rzucając kolejne radykalne pomysły.

– Może zejdziemy tu z lampami lutowniczymi? Przecież temperatura zabija ten materiał, nie?

– To potrwa za długo – zauważył Chin. – Poza tym nie sądzę, żeby płomień miał wystarczającą temperaturę.

– To może wrzucić z góry bombę penetrującą.

Painter odrzucił propozycję.

– Jesteśmy za głęboko.

– A wariant jądrowy?

– To ostateczność – odrzekł Painter. – W dodatku sami możemy wywołać to, co próbujemy powstrzymać.

Kowalski wyrzucił w górę rękę.

– Coś przecież musimy zrobić.

Kiedy wchodzili do sanktuarium, przez zasłonę ze złotych łańcuchów wpadła jakaś szczupła

postać. Zatrzymała się jak wryta, wpatrując się przez moment w złoto.

Kai zrobiła krok w stronę mężczyzny.

– Jordan...?

Uniósł dłoń, próbując złapać oddech.

– Dzwonili z Waszyngtonu... skrócił się czas. wybuchnie o szóstej cztery.

Painter nie musiał patrzeć na zegarek. Jego wewnętrzny zegar już sam odliczał czas. Dwie minuty. Wszystkie oczy skierowały się na niego w oczekiwaniu jakiegoś rozwiązania, jakiegoś pomysłu.

Nie mieli już żadnej możliwości działania – poza jedną.

Wskazał drzwi.

– Wiejemy!

1 czerwca, 6.02

Park Narodowy Yellowstone

Dwie minuty...

Kai pędziła ze wszystkimi przez ogromną świątynię. Jordan trzymał się jej boku, co pomagało Kai utrzymać się na nogach. W głębi duszy pragnęła po prostu paść na kolana i się poddać. Ale Jordan spoglądał na nią, milcząco błagając, żeby z nim została, więc biegła.

Poza tym miała jeszcze jeden potężny bodziec.

Ashanda galopowała obok niej jak niszczycielski moloch. Gdyby Kai upadła, kobieta nie zwolniłaby nawet kroku; po prostu pociągnęłaby ją za sobą. Rafael wisiał na ramionach swoich dwóch żołnierzy, którzy go nieśli.

Cała grupa dotarła do wyjścia ze świątyni.

Na czele biegli wuj Kai i geolog, przesadzając po dwa stopnie naraz. Nie zwalniając tempa, prowadzili ożywioną dyskusję. Geolog wskazał bulgoczącą fontannę. Wuj Crowe pokręcił głową.

Z tyłu za wszystkimi biegł Kowalski. Jego zwaliste ciało nie było przeznaczone do sprintu. Rzęził w gorącym powietrzu, po jego twarzy spływał pot.

– Nie zdążymy na powierzchnię – wykrztusiła Kai, gdy razem z Ashandą pokonywały schody. Jordan nie zamierzał się poddawać rozpacz.

– Wylot tunelu jest wąski. Jeżeli przecisniemy się na zewnątrz, nic nam się nie powinno stać.

Kai nie wiedziała, czy taka ocena opiera się tylko na nadziei, ale uczepliła się jej kurczowo. Byle do tunelu.

Mając w głowie cel, poczuła się lepiej i zaczęła biec szybciej.

Za jej plecami rozległ się krzyk. Ashanda natychmiast się zatrzymała. Kai nie zareagowała tak szybko i szarpnięcie kajdanek, którymi były połączone, zwaliło ją z nóg. Jordan przyhamował i wrócił do nich.

Rafael i jego dwaj strażnicy stoczyli się po kamiennych schodach, łądując jeden na drugim splątani rękami i nogami.

Ashanda ruszyła w ich stronę. Kai, nie mając innego wyjścia, musiała z nią wrócić.

Żołnierze wyplątali się i wstali. Jeden zrobił dwa kroki, utykając na skręconej kostce i krzywiąc się z bólu. Drugi po prostu rozejrzał się w panice i rzucił do ucieczki w kierunku odległego tunelu.

Pierwszy żołnierz patrzył w ślad za nim, jak gdyby się zastanawiał, jaki ma wybór, po czym podskakując na zdrowej nodze, popędził za swoim towarzyszem.

– Co robicie?! – zawołał za nimi Jordan. – Pomóżcie nam!

Wuj Crowe i geolog zatrzymali się, gdy żołnierze ich mijali.

Kowalski dał znak Painterowi i Chinowi, by biegli dalej.

– Wezmę go!

Pochylił się, żeby podnieść Rafaela. Kiedy wziął go na ręce, Francuz krzyknął. Obie nogi miał wykręcone pod dziwnym kątem. Złamane. Zaskoczony Kowalski omal go nie upuścił, nie spodziewając się takich obrażeń po zwykłym upadku.

Ale Rafael kurczowo uczył się ramieniem.

– *Merci* – powiedział. Miał czoło zroszone potem. Jedną ręką trzymał się za żebra, prawdopodobnie też złamane. Drugą wyciągnął przed siebie, posyłając Ashandzie przeproszające spojrzenie. Podobnie jak Kai wiedział, że czarnoskóra kobieta go nie zostawi.

– Chodźmy – zwrócił się do Kowalskiego i Ashandy.

Znów ruszyli biegiem.

Wuj Crowe i geolog zwolnili, aby nie zostawiać reszty daleko w tyle. Grupa Kai goniła ich, ale chwila opóźnienia mogła przesądzić o losie ich wszystkich.

Została niecała minuta.

– Biegnij przodem! – błagała Jordana Kai.

– Nie, zostanę z tobą.

Bała się o niego.

– Leć, bo inaczej wszyscy utknijemy w tym zwężeniu. Biegnij i wejdź do tunelu. Zdążę. Obiecuję.

Jordan chciał zostać, ale w oczach Kai zobaczył determinację.

– Mam nadzieję! – zawołał, wyprzedzając ją.

Kai obejrzała się przez ramię. Kowalski zostawał coraz bardziej z tyłu, dźwigając Rafaela, który co kilka kroków syczał i jęczał, choć wyraźnie próbował nie dać po sobie poznać, jak cierpi.

Ashanda też to zauważyła.

I cofnęła się, ciągnąc Kai ze sobą.

Och, nie.

Ashanda zabrała Rafaela z rąk Kowalskiego, któremu skinieniem głowy dała znak, by ruszył przodem.

Zawahał się, ale Kai przyzwalająco machnęła wolną ręką. Pobiegli trochę szybciej. Kowalski pędził pierwszy, lecz Ashanda dotrzymywała mu kroku, nawet niosąc Rafaela.

Wuj Crowe czekał u wylotu tunelu. Machał ręką, żeby się pospieszyli.

– Dwanaście sekund!

Kowalski zmusił swoje ciężkie nogi do jeszcze szybszego biegu i dopadł tunelu.

– Do środka! Idź jak najdalej w głąb tunelu!

Wuj Crowe ruszył naprzeciw Kai i pozostałym. Chcąc, żeby szybciej pokonali wąskie przejście, wziął Rafaela i zakręcił nim w powietrzu jak szmacianą lalką. Trzasnęła kość z donośnym chrupnięciem. Z ust Francuza wyrwał się słaby okrzyk, ale nic więcej.

– Siedem sekund!

Wuj Crowe wepchnął Rafaela do szczeliny, jak gdyby wrzucał śmieci do zsypu. Następnie odwrócił się do Kai.

– Idź! – wrzasnęła i zadzwoniła kajdankami. – Stoisz nam na drodze! Musimy przejść razem!

Zrozumiał i rzucił się w stronę wąskiego przejścia. Chyba nawet nie dotknął ścian.

– Pięć! – krzyknął z drugiej strony.

Nagle Kai oderwała się od ziemi, gdy Ashanda złapała ją za ramiona i wzięła rozpęd w kierunku zwężenia.

– Cztery!

Kai obróciła się bokiem, a kobieta wcisnęła ją do szczeliny. Skała zadrapała jej plecy i policzek.

– Trzy!

Upadła w tunelu na kolana, wykręcając sobie ramię.

Rafael leżał bez sił obok. Wyciągnął do niej rękę.

– Dwie!

Ashanda zaczęła przepychać przez szczelinę swoje potężne ciało i nagle się zatrzymała.

Rafael uniósł na nią wzrok. Wyraz jego oczu wskazywał, że pojął jej zamiar.

– Nie, *mon chaton noir*.

Kai nie rozumiała.

– Jedna!

Ashanda uśmiechnęła się łagodnie i świat za nią eksplodował.

6.04

Painter rzucił się naprzód, zasłaniając Kai własnym ciałem. Wybuch miał taką siłę, jakby kończył się świat, a towarzyszył mu rozbłysk supernowej w głębi odległej jaskini. Tunel zalało oślepiające światło, przebijając się przez drobne szpary jak deszcz potężnych laserów wokół sylwetki kobiety tkwiącej w szparze wylotu.

Wyobraził sobie erupcję nanomateriału, która wrywa dziurę we wszechświecie i burzy tunel. Pamiętał jednak pierwszą eksplozję w górach w Utah, gdzie fala uderzeniowa nie była tak silna, zabijając jedynie antropolożkę i nie robiąc krzywdy żadnemu ze stojących obok świadków.

To nie było prawdziwe niebezpieczeństwo.

Zsunął się z Kai, gdy tylko echo detonacji ucichło, a oślepiający blask zgasł, ustępując miejsca ciemności i pozostawiając jedynie ślady wypalone w siatkówce. Zamrugał oczami, by się pozbyć powidoku.

Kai usiadła w miejscu, gdzie przygwoździł ją do ziemi.

– Ashanda...

Kobieta wisiała bezwładnie w szczeliny, ale wciąż oddychała.

– Pomóżcie jej, proszę... – błagał Rafael.

Painter minął Kai, która nadal była przykuta do czarnoskórej kobiety. Dotykając jej bardzo ostrożnie, wyciągnął ją z szczeliny, pozwalając, by opadła na ziemię pod wpływem własnego ciężaru. Oparł ją o ścianę obok Rafaela.

Odsunął się i zajrzał przez zwężenie do komnaty po drugiej stronie. Chin wrócił do wylotu tunelu i skierował tam latarkę. Jej światło nie mogło przeniknąć mroku. Wydawało się, jak gdyby przestrzeń wypełniała czarna mgła: pył skalny, dym i coś, czego Painter najbardziej się obawiał, czego nigdy nie powinno być na tym świecie. Nanogniazdo. Gdy mgła częściowo opadła, w głębi dostrzegł czarniejszy cień, bryłę starożytnej świątyni. Ale zamiast nabrać wyraźniejszych konturów, w miarę jak pył się rozpraszał, cień zanikał, rozplątywał się jak iluzja.

Jęk z tunelu kazał mu się odwrócić.

Ashanda otworzyła oczy i odchyliła do tyłu głowę, usiłując odzyskać przytomność.

– Próbowała nas ochronić – powiedziała Kai.

Painter podejrzewał, że poświęciła się bardziej dla Rafaela niż kogokolwiek innego, a może nie. W każdym razie skorzystali wszyscy.

– I ochroniła – przytaknął.

Zobaczył, jak ubranie kobiety po stronie, która była najbliżej wybuchu, zaczyna płowieć i odpadać drobnymi płatkami. Ciemną skórę pod spodem pokrywały cętki, jak gdyby posypano ją sproszkowaną kredą – po chwili plamy się powiększyły i zaczęła się z nich sączyć krew.

Została skażona albo nanobotami, o których mówił Chin, albo innym niszczycielskim procesem. Używając własnego ciała jako tarczy, osłoniła ich przed destrukcyjnym deszczem powodującym rozpad cząsteczek.

Ale tunel wkrótce przestanie być bezpiecznym schronieniem.

Zwężenie u wylotu zaczęło się już kruszyć, skała zmieniała się w piasek i osypywała.

– Przebiega znacznie szybciej niż w Utah – zauważył Chin. – Nanogniazdo takiej wielkości będzie się prawdopodobnie rozrastać w postępie geometrycznym.

Painter wskazał w górę tunelu.

– Bierz Kowalskiego. Wiesz, co macie robić.

– Tak jest. – Mimo to Chin nie potrafił oderwać wzroku od postępującej dezintegracji materii, obserwując proces z fascynacją i przerażeniem jednocześnie. Po chwili odwrócił się i ruszył w głąb tunelu, zbierając pozostałych i każąc im iść przed sobą.

Tylko Jordan nie chciał się temu podporządkować. Dał nura pod ręką geologa i wrócił.

– Nic ci nie jest? – spytał Kai.

Uniosła skutą rękę.

Painter spojrział na Rafaela.

– Podaj mi kod do kajdanek.

Ale Francuz nie odrywał wzroku od swojej kobiety. Odzyskała cząstkę świadomości i krzywo opierając głowę o ścianę, spoglądała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Miała płytki oddech, przyspieszony z bólu. Po jej skażonym boku płynęła krew, a spod strawionej skóry widać było mięśnie.

– Coś ty zrobiła, Ashando? – spytał półgłosem Francuz.

– Rafael, potrzebny jest kod do kajdanek.

Łajdak pozostał głuchy na prośby Paintera, lecz Ashanda zdołała unieść o parę milimetrów zdrową rękę, która zaraz opadła. Jej życzenie było jednak czytelne.

Painter milczał, wiedząc, że nie znajdzie lepszego argumentu.

I czekał, patrząc, jak rozpada się świat wokół niego.

6.07

Rafael leżał pogruchotany na kamiennej podłodze, wpatrując się w oczy Ashandy. Poświęciła dla niego wszystko. Całe życie próbował pokazać, co potrafi – innym, swojej rodzinie, nawet samemu sobie, walcząc z hańbą, która nie była jego winą. Jej nie musiał jednak niczego udowadniać. W jej ciemnych oczach, gdy patrzyła na niego w milczeniu, zawsze był silny.

W tym momencie naprawdę zobaczył, kim jest Ashanda.

Świadomość tego zdruzgotała go bardziej niż jakikolwiek upadek, który przeżył.

– Co ja ci zrobiłem? – szepnął do niej po francusku.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka.

– Ostrożnie – uprzedził Painter. Jego głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

Rafael nie przejmował się niebezpieczeństwem. Wiedział, że doznał ciężkich obrażeń, że jest mu coraz zimniej i że nieuchronnie zbliża się wstrząs. Z każdym oddechem czuł na języku smak

krwi spowodowany uszkodzeniem płuca i złamaniem żeber. Nogi miał złamane w kilku miejscach, prawdopodobnie także biodro.

Było już po nim, ale musiał jeszcze trochę wytrzymać.

Dla niej.

Musnął palcami jej kości policzkowe, przesuwając dłoń w dół do podbródka, dotknął zagłębienia szyi.

Leciutko zmrzyła oczy.

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

Och, ukochana...

Delikatnie wziął ją w ramiona, czując ciepłą krew na jej plecach drżących w agonii. Próbowala go odepchnąć, nawet teraz chcąc go ochronić.

Nie, pozwól, że to ja będę silniejszy... tylko ten jeden jedyny raz.

Słyszając jego prośbę albo po prostu nie mając już sił, Ashanda z westchnieniem osunęła się na niego. Wsparła głowę o jego ramię, patrząc na niego z radością, jakiej nigdy dotąd nie widziała w jej oczach. Przeklinał się w duchu za to, że odmawiał jej – i sobie – tak prostego szczęścia.

Tuż przy jego uchu znów odezwał się natarczywy głos.

Żeby wreszcie go uciszyć, podał pięć cyfr – kod do kajdanek.

Rozległy się kroki. Usłyszał dwa młode głosy pełne nadziei i nieskrywanej czułości. Po chwili oddaliły się, zabierając ze sobą tę beztroskę.

Kiedy został sam, pochylił się i delikatnie ucałował jej wargi. Poczował, jak drżą pod jego dotykiem. Trwał tak w bezruchu całą wieczność, czując na policzkach jej oddech, który stawał się coraz wolniejszy i wolniejszy... aż wreszcie zanikł.

Poczował, jak ta sama niszczycielska siła wżera się w niego przez dłoń, która jej dotykała, ramię, które ją podtrzymywało, nawet usta, które ją całowały. To był jednak cudowny ból. Pochodził od niej i Rafe nie chciał, aby było inaczej.

Dlatego nadal trzymał ją w objęciach.

Ciszę zakłócił czyjś głos. Odwróciwszy się, zobaczył obok siebie Paintera. Przypuszczał, że Crowe już odszedł. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, podczas gdy w rzeczywistości upłynęło zapewne kilka minut.

– Czego pan chce, monsieur Crowe? – szepnął szorstko, czując, jak z wolna gaśnie mu świadomość.

– Kim jesteś? – spytał Painter, kucając metr od niego jak sęp.

Rafał odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy, wiedząc, czego ten człowiek naprawdę chce. Choć ciało miał już zniszczone, zachował jasny umysł.

– Wiem, kogo szukasz, ale to nie ja. Ani moja rodzina. – Otworzył oczy, by spojrzeć na Paintera. Każde słowo sprawiało mu ból, ale musiał mówić. – Ci, których szukasz, nie mają nazwy. Oficjalnej nazwy.

– W takim razie co o nich wiesz?

– Wiem, że korzenie waszych najstarszych rodzin w Ameryce sięgają *Mayflowera*. To nie znaczy nic, to ulotna chwilka w wielkim pochodzie historii. W Europie rodziny mają genealogię dwa, trzy, cztery razy dłuższą. Ale jest nieliczna garstka wybrańców, których rodowód sięga znacznie dalej. Niektórzy twierdzą, że potrafią odnaleźć początki swojego rodu w czasach przed Chrystusem, ale kto to naprawdę wie? Ja wiem tylko, że gromadzili bogactwa, władzę, wiedzę, manipulując historią, ukrywając się za coraz to innymi twarzami, ciągle się zmieniając. Są najbardziej tajnym pośród wszystkich tajnych stowarzyszeń.

Te słowa wzbudziły w nim dziwny rozbawiony rechot, który boleśnie wstrząsnął jego ciałem.

– Inni nazywali te rody *les familles de l'étoile*, rodzinami gwiazdy. Podobno kiedyś było ich więcej, ale została tylko jedna, Prawdziwa Linia Rodu. Żeby zachować siłę, sięgnęli po młodsze rodziny, takie jak moja, by odbudować z nich rody wyższego znaku.

– Znaku?

– Hierarchia młodszych rodzin, które starają się o przyjęcie do Rodu. Pierwszy szczebel symbolizuje jeden znak: gwiazda i półksiężyc najstarszej *mystère*. Drugi dodaje wolnomularski cyrkiel i węgielnicę. Kolejne stowarzyszenie *enigmatique, non?* A przed naszą misją w Ameryce klan Saint Germaine awansowano na trzeci szczebel. Zostaliśmy wybrani, to znaczy ja zostałem wybrany, ze względu na znajomość nanotechnologii. To zaszczyt. – Zaczął chrapliwie kaszleć, czując smak krwi. – Spójrz.

Rafał odwrócił głowę i z trudem uniósł rękę, by rozgarnąć włosy, pod którymi krył się znak. Trzeci symbol dodano przed kilkanaście dni, tatuując go szkarłatem wokół starszych, na znak wyższej rangi.

Usłyszał zaskoczony okrzyk, wiedząc, co Painter zobaczył. Pośrodku tatuażu była gwiazda i półksiężyc... otaczały je węgielnica i cyrkiel... a wokół nich...



– Tarcza templariuszy – szepnął Painter. – Jeszcze jednego tajnego zakonu.

– Podobno jest ich więcej. – Rafał z trudem opuścił rękę. – Jak mówiłem, jesteśmy najbardziej tajnym wśród wszystkich tajnych stowarzyszeń. Trzeci znak o następnym kroku przybliżył moją rodzinę do przyjęcia do Prawdziwej Linii Rodu, stojącej najwyżej. A raczej przybliżyłby. – Znowu zaśmiał się chrapliwie. – Porażka jest surowo karana.

Painter przez długą chwilę milczał, po czym zapytał:

– Ale po co? Jaki jest w tym wszystkim cel?

– Och, nawet ja nie wiem wszystkiego. Pewne rzeczy będzie pan musiał odkryć sam. Więcej nie powiem, bo nic więcej nie wiem.

Zamknął oczy i odwrócił twarz.

Wreszcie Painter wstał i zniknął w głębi tunelu.

Gdy Rafael Saint Germaine został sam, pochylił się i złożył ostatni długi pocałunek na ustach ukochanej, dopóki nie poczuł, jak jej wargi rozsypują się w pył, zabierając go ze sobą.

1 czerwca, 6.22

Park Narodowy Yellowstone

Painter wypadł z mroku na światło.

Nie wiedział, co sądzić o słowach Rafaela: czy to mania wielkości, kłamstwa, szaleństwo czy prawda. Wiedział tylko, że podziemne zagrożenie trzeba zatrzymać.

Rozmawiając z Francuzem, Painter zaglądał do jaskini. Nic z niej nie pozostało. Zniknęły ciała i świątynia. Widok skały zmieniającej się w piasek, a piasku w pył, naruszał fundamenty jego przekonań i przerażał go do głębi duszy. Kilka kroków od niego szalała czysta entropia, gdzie porządek zmieniał się w chaos, a stałość rzeczy nie miała żadnego znaczenia.

Nanogniazdo trzeba było zniszczyć.

Choć wyszedł z tunelu krótko po pozostałych, w niecce Fairyland panował już gorączkowy ruch. Na dnie doliny stały helikoptery, wywożąc stąd wszystkich. Mieli ostatnią szansę, by powstrzymać podziemnego raka od zaatakowania wulkanicznej kaldery. Nadzieja zależała tylko od powodzenia ataku, dopóki nanogniazdo było jeszcze małe i ograniczone.

Painter ruszył w kierunku miejsca, gdzie pracowali Chin i Kowalski. Wyglądało na to, że są gotowi.

Mijając jeden z helikopterów, zobaczył Kai i Jordana siedzących obok Hanka. Kai odwróciła się i pomachała, ale Jordan patrzył tylko na nią. Profesor pochylił się i wziął od majora Ryana owinięty w koc pakunek. Hank ostrożnie położył sobie psa na kolanach, aby nie urazić złamanej łapy. Ryan nalegał, by sanitariusz najpierw zajął się Kawtchem, zanim opatrzy jego rany.

Helikopter z rykiem silników wystartował, wywołując małą trąbę powietrzną za plecami Paintera, który stanął obok China i Kowalskiego.

– Jesteście gotowi? – zapytał.

– Prawie skończyliśmy. – Kowalski siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. U jego stóp leżał zwój lontu detonującego, na który były nanizane kostki C4. – To przypomina nawlekanie popcornu.

– Przypomnij mi, żebym nigdy do ciebie nie zaglądał w Boże Narodzenie.

Wzruszył ramionami.

– Boże Narodzenie to nic. Ludzie boją się podchodzić pod dom przede wszystkim czwartego lipca.

Painter mógł sobie tylko wyobrazić, co się wtedy dzieje.

Kowalski i fajerwerki. Niezbyt fortunne połączenie.

Chin stał obok trzymetrowego gejzerytu Pitcher's Mound. Na kredowoszarym nawarze miał rozłożone mapy topograficzne oraz obrazy terenu wykonane georadarem.

– Ten stożek to najlepsze miejsce – oznajmił Chin. – Ze skanów georadaru wynika, że to punkt położony najbliżej korka zatykającego ujście geotermalne. Kiedy go wyrwiemy,

przeegrzany kocioł zamknięty głęboko pod ziemią ryknie jak obudzony smok.

Pomysł pochodził od Paintera, ale dokładny plan opracowali Chin i Kowalski. Wcześniej geolog wyjaśnił, że Yellowstone uformowały dwie siły: erupcje wulkaniczne z głębi ziemi i płytsze eksplozje hydrotermalne. Do unicestwienia podziemnego raka potrzebna była bardzo wysoka temperatura, ale erupcja wulkaniczna nie wchodziła w grę, na pewno nie tu. Drugim wyjściem była próba wywołania eksplozji hydrotermalnej.

Painter zaproponował, aby doprowadzić do płytkiego gorącego wybuchu, w którym nanogniazdo miało się ugotować, zanim dotrze do komory wulkanicznej znajdującej się dziesięć kilometrów pod powierzchnią ziemi. Istniało pewne niebezpieczeństwo, że sama hydrotermalna eksplozja może naruszyć komorę magmy, było to jednak mniejsze ryzyko niż bierne czekanie, aż nanogniazdo w niekontrolowany sposób wedrze się w głąb ziemi.

Ale jak wywołać wybuch hydrotermalny?

– No dobra, możemy zacząć. – Kowalski wstał, dźwignął wielki kłęb C4 i podszedł do China.

Geolog ustawił wcześniej drabiny przy stromych zboczach miniwulkanu. Obaj wspięli się na szczyt, gdzie para wydobywała się z małego otworu, na tyle dużego, by mógł się tam zmieścić odpowiednio uformowany ładunek C4. Leżąc na brzuchach na drabinach, obaj mężczyźni wsuwali w gardziel stożka nawleczone na lont porcje C4 – kostka po kostce, w sumie sto – opuszczając łańcuch w głąb ziemi, jak najbliżej skały blokującej ujście hydrotermalne. Chin obliczył, ile materiału wybuchowego potrzeba do rozerwania skały.

Kowalski podwoił tę ilość.

Tym razem Painter przyznał rację Kowalskiemu.

Trzeba iść na całość... albo stracić wszystko.

– To powinno wystarczyć – rzekł Chin ze szczytu Pitcher's Mound.

Obaj zeszli z drabin.

Kowalski z niecierpliwością zatarł ręce.

– Zobaczmy, czy ta lewatywa z C cztery podziała.

Painter spojrzał w jego stronę. Całkiem trafny opis wysadzenia skalnego zatoru. Wszyscy trzej pobiegli do ostatniego helikoptera, który wciąż stał na dnie doliny. Silnik już pracował, łopaty wirowały. Wsiadli, zapięli pasy i wystartowali.

Pilot nie oszczędzał paliwa.

Dolina szybko znikwała w dole.

– Wystarczy – powiedział Painter do mikrofonu.

Gdy helikopter wolno zataczał koła nad niecką, Painter pokazał Kowalskiemu uniesiony kciuk. Jego partner miał już w ręku nadajnik. Z dzikim uśmiechem wcisnął przycisk.

Z tej wysokości wybuch ładunków zagrzebanych pod ziemią brzmiał jak odległa burza.

Painter spojrzał w dół. Pitcher's Mound wciąż był nietknięty. Tylko z wylotu stożka uniosło się więcej pary.

– Do dupy – rzekł Kowalski. – Spodziewałem się...

Nagle cała niecka pod nimi eksplodowała. Pękła jak upuszczony na podłogę talerz, a w powietrze uniosły się kawały skał wielkości autobusu, które wzleciały wysoko ponad ściany kanionu i spadły, łamiąc drzewa na stokach wzgórz. Równocześnie wystrzeliła w górę parująca woda, tworząc gejzer szerokości dwudziestu metrów, sięgając wysokości trzystu metrów.

– No, to się nazywa lewatywa! – oświadczył Kowalski. Pilot przechylił helikopter na burtę i uciekł w bok, obawiając się, by maszyna nie wpadła w szalejący wir skał, wody i pary. Chin

przyglądał się przez okno.

– Taka temperatura na pewno powinna zniszczyć nanogniazdo. Pozostawało jednak pytanie, czy wielki wybuch nie wywołał tego, czego się najbardziej bali. Kiedy helikopter krążył nad doliną, unosząc się coraz wyżej, wszyscy wstrzymali oddech. Gejzer wciąż tryskał, ale strumień z wolna zaczynał słabnąć. Nie dostrzegli śladów magmy ani erupcji lawy.

Po kolejnej minucie Chin głośno odetchnął.

– Wygląda na to, że się udało.

Helikopter oddalił się jeszcze bardziej i odleciał znad doliny. Kiedy zataczali łuk, Painter zobaczył z lotu ptaka kalderę Yellowstone. W całej niecce woda strzelała wysoko w górę w pióropuszcach pary.

– Boże, wszystkie gejzery – powiedział w zdumieniu Chin. – Wybuchły wszystkie gejzery naraz!

Gdy helikopter mknął nad tym niezwykłym widowiskiem, Painter podziwiał tańczące strumienie, tęczowe migotanie pary i nagle ogarnął go bezmierny zachwyt na widok tego cudu natury, daru dla ludzkości olśniewającego pierwotnym pięknem.

Kowalski z twarzą przylepioną do okna też był pod wrażeniem.

– Następnym razem trzeba użyć więcej C cztery.

1 czerwca, 11.02

Waszyngton

Prosto z lotniska Gray pojechał taksówką do Archiwów Narodowych. Zdrzemnął się podczas lotu z Columbii w stanie Tennessee, kiedy już się dowiedział, że wszystko w Yellowstone poszło dobrze. Czuł się o niebo lepiej. Painter zamierzał spędzić tam jeszcze dzień czy dwa, chcąc sprawdzić, czy nic złego się nie dzieje, i zadbać, by jego bratanicę przyjęto na kurs na Uniwersytecie Brigham Younga.

Jeszcze na lotnisku chciał jechać z Monkiem do szpitala, żeby się przekonać, że dobrze się zajmą jego raną postrzałową, ale kiedy lądowali, zadzwoniła do niego Kat. Powiedziała, że doktorowi Heismanowi udało się rozszyfrować zakodowaną wiadomość od Meriwethera Lewisa i chciał im ją jak najszybciej przekazać. Kat zaproponowała, że wyśle do muzeum kogoś innego, ale ponieważ zdobycie skóry bizona kosztowało ich tyle trudu i krwi, Gray chciał pierwszy usłyszeć, co było na niej napisane.

Był to winien Monkowi.

Był to winien Meriwetherowi Lewisowi.

Tak więc pożegnał się z Monkiem na lotnisku. Przyjaciel był w dobrym nastroju. Nie bez powodu. Prywatny odrzutowiec, którym wrócili do stolicy, miał na pokładzie zaskakująco bogaty wybór jednosłodowych whisky. Zamiast Graya do szpitala miała jechać Kat. Tak zresztą było chyba lepiej. Będzie mogła powstrzymać Monka przed zamęczaniem pielęgniarok.

Taksówka zwolniła przed budynkiem archiwów. Siedząca obok niego Seichan się przeciągnęła.

– Już jesteśmy – wymamrotała sennym głosem.

Płacąc za kurs, Gray dostrzegł, jak taksówkarz patrzy na nią w lusterku wstecznym. Nie mógł mu się dziwić. Seichan przebrała się z granatowego kombinezону z powrotem w swoją skórzaną kurtkę, czarne dżinsy i szary T-shirt.

Wysiedli i lekko kulejąc, weszli po schodach. Od sińców, ran i zadrapań oboje nieco odretwieli. Seichan wspierała się na ramieniu Graya, który nie musiał jej tego proponować. Jego dłoń spoczywała na jej biodrze, choć Seichan wcale nie potrzebowała dodatkowego oparcia.

Heisman już czekał na nich przy drzwiach.

– Są państwo oboje – powiedział na powitanie. – Zapraszam. Mam wszystko w sali konferencyjnej. Nie wzięli państwo ze sobą przypadkiem tej skóry bizona? Chciałbym zobaczyć ją na własne oczy zamiast na zdjęciu, które dostałem e-mailem.

– To na pewno da się załatwić – odparł Gray.

Weszli do tej samej sali, w której byli wcześniej, ale teraz panował tu porządek. Na stole leżało tylko kilka książek. Widocznie do rozszyfrowania wiadomości sprzed dwustu lat wystarczyło parę godzin i tyle samo książek.

Kiedy siadali za stołem, Gray zapytał:

– Jak państwu udało się to tak szybko zrobić?

– Co? Odczytać ostatnie słowa Meriwethera? To nie było wcale trudne. Kod, którym porozumiewali się z Jeffersonem, jest dobrze znany. Na pewno od czasu do czasu używali bardziej skomplikowanego, ale w korespondencji na ogół pojawia się prosty szyfr. A ponieważ pisząc to, Meriwether już umierał, podejrzewam, że skorzystał z szyfru, który dobrze znał.

Gray wyobraził sobie, jak pionier – postrzelony w brzuch i głowę – usiłuje zapisać ostatnią wiadomość.

Heisman odsunął swoje krzesło i pchnął wzdłuż stołu, żeby wziąć książkę.

– Mogę państwu pokazać. Kod opiera się na algorytmie Vigenere’a. Korzystano z niego wówczas w Europie i uważano, że nie da się go złamać. Klucz stanowi hasło znane tylko nadawcy i odbiorcy. Jefferson i Lewis zawsze używali słowa „karczochoy”.

– Karczochoy?

– Zgadza się. Sam kod opiera się na alfanumerycznej tablicy złożonej z dwudziestu ośmiu kolumn, które...

W tym momencie zadzwonił telefon Graya, sygnalizując wiadomość w poczcie głosowej.

Uratował mnie w ostatniej chwili.

– Przepraszam na moment. – Wstał i podszedł do drzwi, ale wskazał na Seichan. – Doktorze Heisman, może wytłumaczy pan mojej partnerce, na czym polegał szyfr, dobrze? Zaraz wracam.

– Chętnie.

Seichan posłała mu tylko piorunujące spojrzenie, a gdy wychodził, przewróciła oczami.

W korytarzu, gdy Gray spojrział na numer, spod którego ktoś dzwonił na pocztę głosową, uśmiech zniknął z twarzy. Przez miniony dzień korzystał z komórki na kartę i zapomniał włożyć baterię z powrotem do swojego prywatnego telefonu. Zrobił to po wylądowaniu w Waszyngtonie. Widocznie dopiero czterdzieści pięć minut po uruchomieniu aparatu nadeszły informacje o wszystkich nieodebranych połączeniach.

Patrzył na wyświetlacz.

Może dlatego tak długo to trwało.

W ciągu minionych dwunastu godzin dostał dwadzieścia dwie wiadomości, wszystkie od tego samego numeru. Wyrzucał sobie, że nie zadzwonił wcześniej. Pamiętał, że pierwszą wiadomość od matki odebrał podczas lotu do Fort Knox. Nie miał wtedy czasu jej odsłuchać, a w trakcie późniejszego zamieszania zupełnie o niej zapomniał.

Zaczął od początku, czując znajome napięcie w dole kręgosłupa. Przyłożył telefon do ucha.

– Gray, tu twoja matka. – Zawsze zaczynała tak każdy telefon. Jakbym nie znał twojego głosu, mam. – Jest wpół do jedenastej i chciałam ci powiedzieć, że twój ojciec ciężko znosi wieczór. Nie musisz do nas przyjeżdżać, ale pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

Mhm.

Zamiast słuchać pozostałych wiadomości, wcisnął przycisk ponownego wybierania numeru. Równie dobrze mógł się dowiedzieć z pierwszej ręki, jak to się skończyło. Słuchał i słuchał sygnału, dopóki nie włączyła się poczta głosowa.

Niewidzialna ręka trochę mocniej zacisnęła się na jego kręgosłupie. Chcąc wiedzieć, co się stało, odsłuchiwał resztę wiadomości.

– Gray, tu jeszcze raz twoja matka. Jest coraz gorzej, więc dzwonię pod ten numer pracownika opieki domowej, który mi zostawiłeś na wszelki wypadek.

Bardzo dobrze, mam...

W kilku następnych wiadomościach brzmiało coraz większe zdenerwowanie. Pracownik opieki uznał, iż ojciec ma tak poważny atak, że kwalifikuje się do szpitala.

– Gray, chcę zatrzymać twojego ojca na parę dni. Zrobią jeszcze jeden rezonans magnetyczny... tak, Luis? – Usłyszał odpowiedź w tle: – Zgadza się, Harriet. – Potem znów odezwała się matka. – W każdym razie wszystko w porządku. Nie chciałam cię martwić.

Potem było jednak jeszcze pięć telefonów. Z dalszych wiadomości wynikało, że matka sama zaczynała się gubić w badaniach, ubezpieczeniach i papierach.

– Dlaczego nie oddzwaniaasz? Wyjechałeś z miasta... może wyjechałeś z miasta. Nie pamiętam, czy mi mówiłeś. Może lepiej będzie, jak pojedę podlać ci kwiatki. Zawsze zapominasz.

Ostatnia wiadomość pochodziła sprzed zaledwie godziny. Gray był wtedy jeszcze na pokładzie samolotu.

– Gray, mam umówioną wizytę u fryzjera niedaleko twojego domu. Wróciłeś już? Po drodze chcę wstąpić do ciebie i podlać kwiatki. Chyba mam klucz. Mówiłam ci, że idę do fryzjera? Na pierwszą. Jeżeli będziesz w domu, może uda się zjeść razem lunch.

Dobra, mamoo...

Spojrzał na zegarek. Powinien niebawem wyjść z archiwów i jeszcze przed południem dotrzeć do domu, żeby się z nią spotkać.

Głęboko odetchnął i wrócił do sali konferencyjnej.

Seichan musiała wyczytać coś z jego twarzy.

– Wszystko w porządku?

Potrząsnął telefonem.

– Sprawy rodzinne. Zajmę się nimi potem.

Uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Witamy w domu.

– Aha.

Skierował wzrok na doktora Heismana.

– No więc co takiego ważnego miał do powiedzenia Meriwether?

– To dziwny list, pełen paranoicznych lęków.

– Przecież ktoś do niego strzelił... dwa razy – zauważył Gray. – Każdy mógłby popaść w lekką paranoję.

– Rzeczywiście. Chciałem państwu jednak powiedzieć, co napisał na końcu. Wydaje mi się, że to ma związek ze sprawami, o których mówiliśmy wczoraj. Dotyczy zwłaszcza potężnych wrogów nękających ojców założycieli.

– Co o nich pisze? – zainteresował się żywo Gray.

Heisman odczytał tekst opatrzony mnóstwem notatek i dopisków.

– *Znaleźli mnie w drodze, ci, którzy służą Wrogowi. Zostawiam tę wiadomość znaczoną moją własną krwią jako przestrożę dla tych, którzy przyjdą po nas. Z niemalym trudem nasza garstka wypędziła z kraju większość straszliwych Wrogów, usuwając ich z szeregów naszego wspianego wojska i z szanowanych domów.*

– Chyba już pan o tym wspominał? – przerwał Gray. – Meriwether działał jako szpieg Jeffersona, sprawdzając, kto w armii jest nielojalny wobec władzy.

– Rzeczywiście, ale wygląda na to, że nie udało im się zupełnie wyplenić wroga. – Heisman wrócił do listu. – *Pozostała jednak jedna rodzina głęboko zakorzeniona na Południu, która trwa jak uporczywy chwast, nie dając się wyrwać. Obawiamy się, że nie usuwając go, narażamy nasze*

młode państwo na niebezpieczeństwo upadku i rozpadu. To stara rodzina związana z handlem niewolnikami i niezmiernym bogactwem. Nawet tu nie odważę się zapisać tego nazwiska i uświadomić rodzinie, że o niej wiemy. Ale dla przyszłych pokoleń pozostanie znak, jeśli będą wiedziały, gdzie go szukać. Jefferson każe namalować ich nazwisko. Odnaleźć można je w następujący sposób: w trumiennej bulli znajdź pięciu, których nie powinno tam być. Ich imiona odkryj i uporządkuj wedle liter G, C, R, J, T i cyfr 1, 2, 4, 4, 1.

– Co oznacza ostatni fragment? – spytała Seichan.

– Nie mam pojęcia – przyznał kustosz. – Nierzadko ukrywa się jeden szyfr w innym, zwłaszcza gdy chodzi o ludzi, których wyraźnie się bali.

W kieszeni Graya zadzwonił telefon. Obawiając się, że to matka, sprawdził numer i z ulgą zobaczył, że to tylko Kat. Pewnie chciała go poinformować o stanie Monka.

– Kat, tu Gray. – Zdał sobie sprawę, że powiedział to dokładnie jak matka: „Gray, tu twoja matka”.

Kat miała w głosie lęk, ale wyraźnie odetchnęła z ulgą.

– To dobrze. Nic ci się nie stało.

– Jestem jeszcze w archiwach. Coś nie tak?

Zaczęła mówić spokojniej, choć było słychać, że wciąż jest wstrząśnięta.

– Wpadłam do domu, żeby się przebrać przed wyjazdem do szpitala. Na szczęście mam dobre wykształcenie wywiadowcze. Zauważyłam, że ktoś majstrował przy drzwiach. Odkryłam bombę pułapkę. Wygląda na taką samą konstrukcję jak ładunek, który wczoraj rozerwał twój samolot, dzieło Mitchella Waldorfa.

Gray przypomniał sobie drania rozwalającego sobie głowę i jego ostatnie słowa: „To jeszcze nie koniec”.

Miał wrażenie, jakby powietrze w jego płucach ściał mróz.

– Jest tu ekipa pirotechników – ciągnęła Kat. – Zaraz wysyłam ich do twojego...

– Kat! – przerwał jej. – Dzisiaj miała być u mnie matka. Ma klucz do domu.

– Jedź – powiedziała bez chwili wahania Kat. – Już wychodzę z pirotechnikami. Po drodze zawiadomię policję.

Zatrzasnął telefon i bez namysłu pobiegł w stronę drzwi. Seichan zerwała się z krzesła i ruszyła za nim.

Ze strzępków rozmowy musiała się domyślić, co się działo.

Razem wypadli na ulicę. Gray szukał taksówki. Seichan wybiegła na jezdnię, gdzie tworzył się właśnie południowy korek. Podeszła do motocyklisty, który utknął między samochodami, i wyciągnęła czarnego sig sauera. Przytknęła go mężczyźnie do głowy.

– Zsiadaj.

Młody człowiek zeskoczył z siodelka i uciekł.

Złapała motocykl jedną ręką, zanim zdążył się przewrócić, i spojrzała na Graya.

– Dasz radę prowadzić?

Na razie wiedział, że jest napięty i skupiony.

Wskoczył na siodelko.

Seichan usiadła za nim, otoczyła go ramionami i powiedziała mu do ucha:

– Nie przejmuj się żadnymi przepisami.

Gray dodał gazu i posłuchał.

Niewiele pamiętał z jazdy przez miasto – świst powietrza, skoki przez krawężniki, omijanie pieszych. Gdy skręcił w Szesnąstą, zobaczył cienki słup dymu. Tamtędy biegła Piney Branch

Road. Zdusił gaz i pomknął w dół.

Na miejscu były już pojazdy ratownicze z włączonymi syrenami i błyskającymi lampami.

Gray zahamował z poślizgiem i zeskoczył z motocykla. Na ulicy stała krzywo zaparkowana karetka z dwoma kołami na chodniku.

Ruszył biegiem w jej stronę.

Zza niewidocznego rogu wybiegł Monk, wciąż ubrany w szpitalną koszulę.

Był tu przed Grayem, bo prawdopodobnie ukradł karetkę i przyjechał na sygnale ze Szpitala Uniwersytetu Georgetown.

Gray podbiegł do niego i na twarzy Monka zobaczył odpowiedź na pytanie, którego jeszcze mu nie zadał. Przyjaciel podniósł rękę, aby go zatrzymać, ale nie powiedział ani słowa, tylko lekko pokręcił głową.

Gray runął na kolana pośrodku drogi.

– Nie...

8 czerwca, 7.22

Waszyngton

– Gdzie moje dziewczynki?! – zawołał od drzwi Monk.

– Twoje dziewczynki jeszcze śpią – odpowiedziała z kanapy Kat. – A jeżeli je obudzisz, będziesz siedział przy nich całą noc, tak jak ja dzisiaj.

Kat leżała na poduszce dla kobiet w ciąży. Po porodzie sprzed trzech dni ciągle bolały ją plecy. Urodziła dwa tygodnie przed terminem, ale wszystko poszło dobrze i wydała na świat drugą córeczkę. Monk był teraz w domu otoczony przez kobiety i nie miał nic przeciwko temu. Jego testosteron wystarczyło na całą rodzinę, a w pracy z pewnością miał go wokół siebie dość.

Klapnął na kanapie obok Kat i położył między nimi papierową torbę.

– Bajgle od Feldmana i twarożek.

Położyła sobie dłoń na brzuchu.

– Jestem taka gruba.

– Właśnie urodziłaś dziewczynkę ważącą trzy siedemset. Nic dziwnego, że wrywała się na świat wcześniej. Nie miała miejsca.

Kat wydała gardłowy, niejednoznaczny dźwięk.

Monk zabrał torbę, przysunął się bliżej i objął ramieniem żonę. Przytuliła się do niego, opierając głowę o jego ramię.

– Jesteś piękna – powiedział, całując ją we włosy. A po długiej chwili milczenia dodał: – Ale troszkę jakby śmierdzisz.

Szturchnęła go w ramię.

– Może zagrzałbym prysznic dla nas obojga.

– Byłoby miło – wymamrotała z twarzą wtuloną w jego pierś.

Zerwał się z miejsca, ale pociągnęła go z powrotem.

– Posiedź tu. Tak jest fajnie.

– No to będziesz miała tego więcej. Częściej będę siedział w domu.

Uniosła wzrok.

– Co powiedział Painter?

– Zrozumiał, przyjął moją rezygnację, ale chciał, żebym się jeszcze zastanowił, kiedy będę na urlopie rodzinnym.

Znów oparła się o niego, wydając ten sam zagadkowy dźwięk.

Odbyli już długie rozmowy na temat jego odejścia z Sigmy. Miał żonę i dwoje dzieci, które go potrzebowały. Kiedy został ranny, gdy w ich domu podłożono bombę i kiedy zobaczył, jaki druzgocący cios spotkał rodzinę Graya, uznał, że przyszła pora. Dostał już oferty od wielu firm biotechnologicznych z Waszyngtonu.

Siedzieli objęci, ciesząc się po prostu ciepłem swoich ciał. Tego na pewno nie chciał już

więcej narażać na niebezpieczeństwo.

Wreszcie Kat odwróciła się i nie bez wysiłku położyła mu stopy na kolanach.

– Skoro już nie pracujesz...

Zaczął masować jej stopy jedną ręką. Nowa proteza miała być gotowa za cztery dni, ale wydawało się, że jedna dłoń w zupełności wystarcza.

Kat odchyliła się do tyłu, przeciągnęła i wydała dźwięk, który zdecydowanie nie był niejednoznaczny.

– To też może wciągać.

Ale błogostan nie mógł trwać wiecznie.

Z pokoju obok dobiegło ciche kwilenie, szybko przybierając na sile i przechodząc w przeraźliwy wysoki krzyk. Jakim cudem taki dźwięk mógł się wydobywać z takiej kruszyny?

– Płuca ma po tobie – powiedziała Kat, unosząc się na łokciu. – Zdaje się, że jest głodna.

– Pójdę po nią. – Monk zsunął się z kanapy.

I tyle z gorącego prysznic.

Wszedł do ich sypialni i zobaczył swoją nową radość życia, z czerwoną twarzą i mocno zacisniętymi powiekami. Wyciągnął ją z łóżeczka, kładąc sobie na ramieniu.

Uciszyła się trochę, gdy delikatnie zaczął ją kołysać.

Urodziła się w dniu pogrzebu matki Graya. Kat dostała bólów podczas nabożeństwa żałobnego. Wiedział, jak bardzo Gray przeżywa ten dzień, jak wielką winą obarcza się za śmierć matki. Monk nie znajdował słów, które mogłyby go pocieszyć w tak ogromnym bólu, ale Gray był silny.

Ta siła, która dawała nadzieję, że Gray w końcu dojdzie do siebie, objawiła się później, kiedy przyjaciel przyszedł odwiedzić Kat w szpitalu i zobaczyć dziecko. Monk nie mówił mu, jaką decyzję podjęli z Kat. Gdy ją ujawnili, na ustach Graya pojawił się smutny, ale szczerzy uśmiech.

Monk uniósł dziewczynkę, by spojrzeć jej w twarzączkę.

– Jesteś głodna, Harriet?

8.04

Gray siedział na krześle przy szpitalnym łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach.

Jego ojciec cicho pochrapywał przykryty cienkim prześcieradłem i kocem. Wyglądał jak kruchy cień dawnego krzepkiego siebie. Gray załatwił pojedynczą salę na oddziale dla osób z zaburzeniami pamięci, aby ojciec mógł w samotności opłakiwać stratę. Matka przywiozła go do szpitala przed tygodniem.

I został.

Rezonans magnetyczny wykazał, że ojciec przeszedł bardzo niewielki udar, ale wszystko wracało do normy. Właściwie wykryto to przypadkowo. Prawdziwą przyczyną nagłego nasilenia się objawów demencji – halucynacji, nocnych ataków paniki i syndromu zachodzącego słońca – było zaburzenie w dawkowaniu leków. Ojciec przez przypadek przyjął za dużo lekarstw, zatrzał się i odwodnił, co doprowadziło do udaru. Lekarze pracowali właśnie nad poprawieniem terapii farmakologicznej i sądzili, że po następnym tygodniu ojciec poczuje się na tyle dobrze, że będzie go można przenieść do domu opieki.

Co zapowiadało następną bitwę.

Po pogrzebie matki Gray musiał zdecydować, co zrobić z domem rodziców. Jego brat Kenny przyjechał z Kalifornii na pogrzeb, a dzisiaj rozmawiał z prawnikiem i jakimiś ludźmi od

nieruchomości. Między braćmi wciąż były pewne tarcia na temat wielu spraw, poza tym dużo pretensji, zarzutów i poczucia winy. Kenny nie znał szczegółów związanych ze śmiercią matki, wiedział tylko, że to był uboczny skutek aktu zemsty na Grayu.

Za jego plecami odezwał się cichy głos:

– Niedługo będziemy podawać śniadanie, przynieść ci tacę?

Gray się odwrócił.

– Nie, dziękuję, Mary.

Mary Benning była pielęgniarką na piętrze. Uroczą kobietą o rudosiwych włosach obciętych na boba, w niebieskim fartuchu. Jej matka cierpiała na otępienie z ciałami Lewy’ego, więc dobrze rozumiała, co przeżywają Gray i jego ojciec. Gray cenił sobie te osobiste doświadczenia. Dzięki nim mogli rozmawiać skrótami.

– Jak się czuł wczoraj wieczorem? – zapytał.

Mary uchyliła drzwi szerzej i weszła do pokoju.

– Dobrze. Odkąd dostaje mniejszą dawkę sinemetu, wieczorami zachowuje się o wiele spokojniej.

– Przyprowadziłaś dzisiaj Cutie albo Shinera?

Uśmiechnęła się.

– Oboje.

Była to para asystentów pomagających w rehabilitacji – dwa jamniki. Pacjenci z chorobą Alzheimera żywo reagowali na kontakt ze zwierzętami. Gray nigdy nie przypuszczał, że to się może sprawdzić w przypadku ojca, ale kiedy w zeszłą niedzielę przyszedł do szpitala, zobaczył Shinera śpiącego w łóżku razem z jego ojcem, który oglądał mecz w telewizji.

Jednak nawet tamten dzień był trudny.

Jak wszystkie inne.

Gdy Mary wyszła, odwrócił się z powrotem do ojca.

Gray starał się przychodzić co rano, aby być obok, kiedy ojciec się budził. To zawsze był najgorszy moment. Już dwa razy okazało się, że ojciec nie pamięta o śmierci żony. Neurologdzy uważali, że upłynie trochę czasu, zanim sytuacja się unormuje.

Tak więc Gray musiał wiele razy opowiadać mu o tragedii. Ojciec zawsze łatwo wpadał w złość, a choroba Alzheimera pogorszyła tę skłonność. Gray trzy razy musiał znosić gniew, płacz i oskarżenia. Przyjmował to bez protestu; być może nawet w głębi duszy tego pragnął.

Odgłos kroków znów kazał mu się odwrócić w stronę drzwi.

Do sali zajrzała Mary.

– Przyjmiesz gościa?

W drzwiach ukazała się Seichan z niepewną miną, jak gdyby w każdej chwili była gotowa rzucić się do ucieczki. Miała na sobie niebieskie dzinsy i cienką bluzkę, a motocyklową kurtkę trzymała przewieszoną przez ramię.

Gray gestem zaprosił ją do środka i poprosił Mary, żeby zamknęła drzwi.

Seichan podeszła, przysunęła sobie drugie krzesło i usiadła obok niego.

– Wiedziałam, że cię tu złapię. Chciałam pogadać o tym, czego się dowiedziałam. Potem jadę do Nowego Jorku. Chcę tam coś sprawdzić. Pomyślałam, że może miałbyś ochotę ze mną pojechać.

– Czego się dowiedziałas?

– Heisman i ta jego asystentka...

– Sharyn.

– Oboje są czyści. Nie mieli nic wspólnego z bombami. Wygląda na to, że wszystko zorganizował sam Waldorf, korzystając z prywatnych kontaktów. Wątpię, czy w ogóle miał zgodę swoich szefów z Gildii. Chyba działał w pojedynkę, próbował zamordować ciebie i Monka jak tchórz, z zemsty. Bomby zostały podłożone parę godzin przed jego samobójstwem, więc przypuszczam, że to miał być plan awaryjny, na wypadek gdyby nie udało mu się zabić was w Tennessee.

Gray przypomniał sobie ostatnie słowa łajdaka.

„To jeszcze nie koniec”.

Ich głosy musiały obudzić ojca Graya, który przeciągnął się, unosząc rękę. Otworzył oczy i kilka razy zamrugał, powoli przyzwyczajając je do światła, po czym chrząknął. Potrzebował chwili, by się zorientować, gdzie jest. Rozejrzał się po sali, przypatrując się uważnie Seichan, na której dłużej zatrzymał wzrok.

– Seichan, prawda? – spytał schrypniętym głosem.

– Zgadza się. – Wstała, by wyjść z pokoju.

Gray zawsze się dziwił, co ojciec pamięta, a czego nie.

Zaczerwienione oczy skierowały się na Graya.

– Gdzie twoja matka?

Widząc zaskoczenie i niepokój malujące się na twarzy ojca, Gray głęboko nabrał powietrza. Zgasła wąż iskierka nadziei, jaka się w nim tliła.

– Tato... mama...

Zamiast wyjść, Seichan pochyliła się nad łóżkiem, stając między Grayem a jego ojcem. Uścisnęła dłoń starego człowieka.

– Przyjdzie później. Musiała trochę odpocząć, pójść do fryzjera.

Ojciec skinął głową i z powrotem opadł na poduszkę wyraźnie uspokoiony.

– To dobrze. Ta kobieta zawsze chce robić za dużo naraz.

Seichan pogładziła go po ręce, odwróciła się do Graya i ruchem głowy wskazała drzwi. Potem wyprostowała się, pożegnała i wyciągnęła Graya z sali.

– Gdzie śniadanie?! – zawołał za nim ojciec.

– Zaraz będzie – powiedział Gray, zanim zamknęły się za nim drzwi.

Seichan zaprowadziła go do cichego bocznego korytarza.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Gray, wskazując w kierunku pokoju ojca i czując wzbierającą złość.

– Ratuję ciebie i jego – odrzekła i przycisnęła go do ściany. – Chcesz się ukarać, dręczysz go. On na to nie zasługuje, ty też nie, Gray. Czytałam o takich sytuacjach. Twój ojciec poradzi sobie z tym w swoim własnym czasie. Przestań go zmuszać, żeby pamiętał.

Gray otworzył usta, żeby zaprotestować.

– Nie rozumiesz, Gray? On wie. Na razie odsunął od siebie tę wiadomość i głęboko zagrzebał, żeby mniej cierpieć. Próbuje sobie z nią poradzić.

Gray ujrzał w wyobraźni niepokój na twarzy ojca. Widział go co dzień rano. Nie zniknął nawet przed chwilą, kiedy wydawało się, że ojciec odetchnął z ulgą. W głębi jego oczu nadal jednak ciał się cień lęku.

Niepewnie potarł twarz dłonią, drapiąc się w kilkudniowy zarost.

Seichan opuściła jego rękę.

– Czasem złudzenia są potrzebne, są konieczne.

Przełknął ślinę, starając się z tym pogodzić. Miał po ojcu gotowość do walki i niechęć do

wszystkiego, co nie było konkretne i namacalne. W tym momencie rozległ się dzwonek jego komórki, dając mu chwilę, żeby mógł wziąć się w garść.

Wyciągnął telefon z kieszeni. Kiedy go otwierał, drżały mu palce i wszystko w środku. Zobaczył, że dostał wiadomość. Na wyświetlaczu widniała informacja: NUMER ZASTRZEŻONY. Treść SMS-a nie pozostawiała jednak wątpliwości, kto był nadawcą.

NIE CHCIELIŚMY TEGO

Trzy słowa podziały na niego jak bomba detonująca w żołądku. Osunął się po ścianie, dygocząc jeszcze mocniej. Świat skurczył się i zmałał. Wewnętrzny ból rozbłysnął na ułamek sekundy, a potem jak umierająca gwiazda rozpadł się w gęsty żar i popiół. Pozostały tylko chłód i pustka.

Seichan kucnęła przy nim, ujmując jego twarz w gorące dłonie i patrząc mu z bliska w oczy. Ona też przeczytała wiadomość.

Wyraziła głośno to, co się w nim działo.

– Pomogę ci. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, żeby ich wytropić.

Spojrzał w jej szmaragdowe, mieniające się złotem oczy. Jej dłonie paliły go w policzki. Ich ciepło dosięgło zimnej pustki, w którą zmieniło się jego wnętrze. Przyciągnął do siebie jej twarz, zmniejszając odległość, dopóki nie zetknęły się ich usta.

Pocałował ją.

Potrzebował jej.

Z początku jej niepewne wargi zaciskały się, stawiały opór.

Potem powoli rozluźniły się i rozchyliły.

Potrzebowali się nawzajem.

Ale czy to było prawdziwe uczucie, czy tylko chwilowe, konieczne złudzenie?

Graya to nie obchodziło.

W tym momencie uczucie było wystarczająco prawdziwe.

11.45

Płaskowyż San Rafael

Dobrze było wrócić... i pozbyć się dręczących ją duchów.

Kai Quocheets stała na werandzie puebla, patrząc, jak słońce praży kanion i skalne pustkowie płaskowyżu San Rafael. W parowach i wąwozach tańczyły piaskowe wiry. Czując zapach jałowca i gorącego piasku, Kai spoglądała na rozległą przestrzeń niskich, płaskich ostańców, pojedynczych skał sterczących jak rafy i żłobionych ścian kanionów malowanych odcieniami złota i czerwieni.

Już po tygodniu zaczynała się tu czuć jak u siebie.

Spędzała lato w pueblach, zdobywając punkty w ramach kursu studiów nad kulturą rdzennych Amerykanów w college'u Uniwersytetu Brigham Younga. Wybrała badania starożytnej kultury Pueblo, które obejmowały sporządzanie rejestru petroglifów, pomoc w renowacji dawnych ruin i naukę dawnych zwyczajów Indian Hopi.

Na przykład opanowanie sztuki prażenia orzeszków piniowych.

– Kto mi spalił najlepszą blachę?! – krzyknął głos z domu.

Kai wzdrygnęła się, wiedząc, że będzie musiała ponieść konsekwencje swojego czynu jak

kobieta. Ostatnio często to robiła. Dwa dni temu oficjalnie darowano jej karę za przestępstwa związane z wydarzeniami w Utah. Widocznie w opinii Departamentu Sprawiedliwości swoją rolę w ocaleniu świata od katastrofy odkupiła niecnymi uczynkami. Poza tym nie od rzeczy był fakt, że świadectwo moralności wystawili jej tacy ludzie, jak wuj Crowe i Hank Kanosh.

Ale to przestępstwo mogło jej nie ujdź płazem tak łatwo.

Kai odwróciła się do siatkowych drzwi i weszła do głębszego cienia panującego w głównej izbie. Iris Humetewa przez rękawice kuchenne trzymała przypaloną blachę.

– Trzeba najpierw poczekać, aż węgiel się wypali.

– Wiem, ale Kawtch gryzł sobie szwy, a zanim go złapałam i nałożyłam mu kołnierz...

Westchnęła, dając spokój usprawiedliwieniom.

Słyszając swoje imię, Kawtch uniósł łeb. Miał na szyi plastikowy lejek. Trzeba mu było amputować przednią łapę. Pocisk z karabinu zostawił niewiele kości i nerwów, ale pies powoli dochodził do siebie.

Jak wszyscy.

Oparzenia Alvina Humetewy wyglądały już tylko jak ciemnoczerwone plamy na śniadej skórze. Para starych Indian Hopi przeżyła spotkanie z Rafaelem Saint Germaine'em dzięki uporowi i doskonałej znajomości terenu.

Hopi mają powiedzenie: „Nigdy nie próbuj polować na Indianina na jego własnej ziemi”. Dawni pionierzy odebrali tę bolesną lekcję, lecz Rafael Saint Germaine nigdy o niej nie słyszał.

Iris podejrzewała, że żołnierze Francuza mogą za nimi ruszyć. Kiedy więc odjechała quadem ze swoim mężem, skierowała się do najbliższej piaszczystej niecki i wywołała małą burzę piaskową, aby uciec pod jej osłoną. Gdy tylko usłyszała strzały, wjechała do dawnego tunelu kopalnianego, przypuszczając, że Rafael nie będzie tracił czasu, by znaleźć ją i Alvina. Wiedziała, że chce jak najszybciej ruszyć w pościg za wujem Kai. Gdyby nawet zostawił tu swoich ludzi, mogła zatrzeć ślady i sprowadzić pomoc.

Wyglądało na to, że Kai mogła się wiele nauczyć od starej Indianki.

– Przepraszam, ciociu Iris – powiedziała. – Wyczyszczę blachę i przez następne dwa dni będę gotować.

Iris z satysfakcją skinęła głową i mrugnęła do niej, tym drobnym gestem wybacząc jej i wyrażając czułość.

Ryk silników kazał im spojrzeć na drzwi.

– Zdaje się, że chłopcy wracają z przejażdżki – powiedziała Iris.

Wyszły na werandę, żeby ich powitać. Dwie oblepione pyłem postacie zeszły z quadów, które bardziej przypominały skamieliny niż poliestrowo-szklane pojazdy.

Jordan zdjął kask i otarł twarz kraciastą chustką. Kai poczuła drgnienie serca, kiedy się uśmiechnął, a na jej widok rozpromienił jeszcze bardziej.

Jego towarzysz też uwolnił się z kasku, ukazując czerwoną, rozradowaną twarz.

– To może wciągnąć – rzekł Ash.

Major Ashley Ryan i Jordan zaprzyjaźnili się po wydarzeniach w Yellowstone. Wydawało się, że gwardzista odkrył w sobie nowy szacunek dla rdzennych Amerykanów.

Jordan wyciągnęła rękę i mocno klepnęła mężczyznę w pierś, strzepując kurz z jego T-shirtu. Na koszulce był napis KOCHAM INDIAŃCÓW i rysunek silnika V8 przyozdobionego pióropuszem.

– Tandetne i wulgarne jednocześnie – oznajmił Jordan. – Pewnego dnia skopią nam tu za to tyłki.

- Chłopie, teraz to będzie moja ulubiona koszulka.
- Ash wszedł na werandę, dumnie wypinając pierś.
- Jordan uśmiechnął się do Kai.
- Słuchaj, chyba pobiliem twój rekord w przejeździe Deadman's Gulch.
- Iris szturchnęła Kai łokciem.
- Chcesz tego tak spokojnie słuchać?
- Cholera, pewnie, że nie...
- Kai wyrwała Ashowi kask spod pachy i zeskoczyła z werandy, potrząsając włosami.
- To się jeszcze okaże!

14.17

Salt Lake City

Z jednej świątyni do drugiej...

Profesor Henry Kanosh z plemienia północnych Szoszonów był pierwszym Indianinem mormonem, który stał na progu *Kodesz Ha-Kodaszim*, Świętego Świętych, w świątyni mormonów w Salt Lake City.

Przygotowywał się już od świtu: modlił się i pościł. Stał teraz w przedsionku wyłożonym gładkim kamieniem przed drzwiami, o których wiedziało niewielu ludzi. Wykuty z surowego srebra dwuskrzydłowy portal wznosił się na wysokość czterech i pół metra i miał dwa i pół metra szerokości.

Hank dzierżył w dłoniach dar, który chciał złożyć, klucz do sanktuarium świątyni.

Drzwi uchyliły się i wyszła zza nich samotna postać.

Hank ukląkł i skłonił głowę.

Rozległy się ciche, niespieszne kroki.

Kiedy przystanęły przed nim, Hank wyciągnął w górę rękę i złożył dar. Złota tabliczka opuściła jego dłoń, wysunęła się z palców i zniknęła.

Odzyskał płytkę w hotelu Old Faithful Inn. Kiedy uwagę wszystkich odwróciła wiadomość z NASA o znalezieniu miejsca odpowiadającego pejzażowi wyrytemu na powierzchni urny kanopskiej, Henry stał obok walizki Francuza. Nie odważył się wziąć obu płytek, ponieważ Rafael zauważyłby kradzież znacznie wcześniej. Opanowując chciwość, zadowolił się więc jedną tabliczką, którą niepostrzeżenie wysunął z walizki i schował w tylnej kieszeni spodni.

Złota tabliczka należała do Kościoła. Kiedy ujrział odtworzoną świątynię Salomona, nie miał już żadnych wątpliwości.

Kroki oddaliły się, znów ciche i niespieszne.

Kiedy srebrne drzwi zaczęły się zamykać, Hank ośmielił się unieść wzrok.

Z sanktuarium padało olśniewające światło. Przez szparę zajrzał do środka. Wielki ołtarz z białego kamienia. W tle błyszczało złoto na półkach, które ciągnęły się jakby bez końca.

Czyżby oryginały tablic Josepha Smitha?

Patrzył z nabożną czcią, czując, jak po skórze przebiega mu dreszcz, od którego zjeżyły się włoski na ciele. Potem drzwi się zamknęły, a świat wydał się znacznie ciemniejszym i zwykłym miejscem.

Hank wstał, odwrócił się i odszedł.

Zabierając ze sobą część tej złotej światłości.

17.45

Waszyngton

Painter szedł samotnie przez park National Mall, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem, ale także sprawdzić coś, co coraz bardziej go niepokoiło.

W skali globalnej wszystko z wolna się uspokajało, przynajmniej z punktu widzenia geologii. Erupcje w Islandii wygasły, a w ich wyniku wyspa Elliðaey podwoiła swój obszar i narodził się niewielki atol. Po serii krótkich wstrząsów, które nastąpiły po eksplozji hydrotermalnej, w Yellowstone panował spokój. Na wszelki wypadek Ronald Chin wciąż był na miejscu z grupą wulkanologów, monitorując aktywność sejsmiczną. Doktor Riku Tanaka informował z Japonii, że nie odnotowano nowego zwiększenia aktywności neutronów.

Choć udało się uniknąć wywołania apokalipsy, superwulkan pozostał, a Chin ostrzegał, że przewidywany termin samoistnej erupcji już minął. Przerazająca myśl.

Dziś nic nie mogli jednak na to poradzić.

Skończyło się na tym, że w Yellowstone powstało nowe jezioro kraterowe, ale nic na razie nie wskazywało, by głęboko pod ziemią czało się coś groźniejszego. Kowalski domagał się, by nazwać jezioro jego nazwiskiem: Jezioro Kraterowe Kowalskiego.

Z nieznanych powodów prośba została odrzucona.

Painter próbował wysledzić resztę klanu Saint Germaine we Francji, lecz w ciągu dwudziestu czterech godzin po śmierci Rafaela czternastu najbardziej wpływowych członków rodu zostało zamordowanych. Nikt inny w rodzinie nic nie wiedział o Gildii. Wydawało się, że Prawdziwa Linia Rodu przystąpiła do zrywania swoich związków z rodem Saint Germaine.

Nawet w Belgii, gdzie wykryto drugą emisję neutronów w Europie, w zlokalizowanym punkcie stała spalona i zburzona rezydencja wynajmowana przez firmę, która okazała się wydmuszką, a po bliższym zbadaniu stwierdzono, że jej właściciele występują pod fałszywymi nazwiskami i nie istnieją. Najwyraźniej Gildia chciała zniszczyć wszystkie pozostawione tam dowody – odciski palców, dokumenty, DNA.

Ten trop także zaprowadził go donikąd.

Została więc tylko jedna możliwość.

Painter dotarł do celu na wschodnim końcu parku – Kapitolu Stanów Zjednoczonych – i zaczął wchodzić po schodach.

Choć budynek był otwarty dla zwiedzających jeszcze tylko przez piętnaście minut, tętnił życiem: dzieci biegały po schodach tam i z powrotem; turyści pozowali do zdjęć; demonstranci krzyczeli, wymachując transparentami. Po wyjściu z podziemnych biur pod Smithsonian Castle Painterowi podobała się ta hałaśliwa żywiołowość i chaos.

Miał przed oczami prawdziwe życie Ameryki w całej swojej świetności i ze wszystkimi przyzwyczajeniami i nie wyobrażał go sobie inaczej. Taki obraz o wiele wiarygodniej oddawał demokrację niż wszystkie dostojne procedury parlamentarne i gry polityczne toczące pod tą neoklasycystyczną kopułą.

Przyjemnie się szło, choć dzień był duszny i wilgotny.

Zamierzał dziś zjeść z Lisą kolację, ale w tym momencie chciał odzyskać jasność myśli. Przed podjęciem jakichkolwiek kroków musiał najpierw zobaczyć obraz na własne oczy. Poza tym nie wiedział nawet, od czego zacząć. O swoim odkryciu nikomu nie powiedział, nawet najbliższemu współpracownikom w Sigmie.

Nie chodziło o to, że im nie ufał, ale w tym momencie mieli dość własnych kłopotów. Monk, któremu urodziła się córeczka Harriet, wczesnym rankiem złożył rezygnację. Painter zgodził się ją przyjąć, choć udało mu się go przekonać, by wziął urlop rodzinny i jeszcze raz zastanowił się nad decyzją. Miał nadzieję, że długi czas bezczynności wypełniony przewijaniem płaczącego niemowlęcia sprawi, iż Monk zmieni zdanie. Ale raczej w to wątpił. Monk był w głębi serca bardzo rodzinnym człowiekiem. Przed tygodniem wszyscy się przekonali, jakie mogą być skutki takiego podwójnego życia.

Był jeszcze Gray. Pogрузzył się w czarnej otchłani rozpacz, ale kto stamtąd wyjdzie: człowiek silniejszy czy załamany?

Czas pokaże.

Tak więc Painter milczał dla dobra ich wszystkich. Nawet jego dzisiejsza wyprawa mogła się okazać niebezpieczna, musiał jednak zaryzykować.

Kiedy znalazł się na szczycie schodów, skierował się do rotundy Kapitolu. Pod wysokim sklepieniem rozbrzmiewało echo głosów. Ruszył na piętro do galerii, gdzie na kolistej ścianie kopuły wisiały gigantyczne płótna o wymiarach pięć i pół na trzy i pół metra. Bez trudu znalazł to, czego szukał, na południowej stronie. Był to najświetniejszy z prezentowanych tu obrazów: *Deklaracja Niepodległości* Johna Trumbulla.

Stanął przed nim, czując w przestronnej sali powiew historii. Patrzył na pociągnięcia pędzla wykonane przez malarza przed ponad dwoma wiekami. Ale do powstania tego dzieła przyłożyli rękę inni równie wpływowi ludzie. Wyobraził sobie Jeffersona instrującego Trumbulla przed stworzeniem arcydzieła.

Painter uniósł wzrok, przyglądając się każdemu centymetrowi kwadratowemu historycznej sceny, przenosząc się myślą do tamtych czasów.

Ogromny obraz przedstawiał przedłożenie Deklaracji Niepodległości Kongresowi. Na jednym płótnie John Trumbull próbował pomieścić portrety wszystkich sygnatariuszy deklaracji na pamiątkę tamtego doniosłego zdarzenia. Ale malarzowi nie udało się namalować wszystkich. Dziwnym trafem jednak umieścił na obrazie pięć osób, które nie podpisały ostatecznej wersji dokumentu.

Po co?

Historycy do dziś się nad tym zastanawiali.

Zbierając informacje na ten temat, Painter czytał, że John Trumbull udzielał niejasnych, wykrętnych odpowiedzi, nie wyjaśniając powodów, i że istotnie wykonanie dzieła nadzorował Thomas Jefferson, mistrz kodów i szyfrów.

Czy zatem istniała inna przyczyna?

Tak przynajmniej uważał Meriwether Lewis.

Gdy Painter oglądał olejne płótno, w jego głowie rozbrzmiewały słowa odczytane ze skóry bizona: *Jefferson każe namalować ich nazwisko. Odnaleźć można je w następujący sposób: w trumiennej bulli znajdź pięciu, których nie powinno tam być. Ich imiona odkryj i uporządkuj wedle liter G, C, R, J, T i cyfr 1, 2, 4, 4, 1.*

Nietrudno było rozszyfrować tę zagadkę.

„Trumienna bulla” oznaczała oczywiście Trumbulla, u którego zamawiano wiele obrazów o tematyce państwowej, ukazujących początki Ameryki.

„Znajdź pięciu, których nie powinno tam być” – chodziło o pięciu ludzi na obrazie, którzy nie byli sygnatariuszami deklaracji.

John Dickinson
Robert Livingston
Thomas Willing
Charles Thomson

Ostatni na liście Thomson podpisał wprawdzie wcześniejszy projekt, ale nie zaproszono go do złożenia podpisu na słynnej wersji wraz z pięćdziesięcioma sześcioma sygnatariuszami.

Następny fragment – „Ich imiona odkryj i uporządkuj wedle liter G, C, R, J, T” – oznaczał po prostu, że należy ułożyć ich imiona według wymienionych pięciu liter.

George
Charles
Robert
John
Thomas

Następnie wystarczyło tylko w każdym imieniu wybrać literę odpowiadającą wymienionym w kolejności cyfrom: „1, 2, 4,4, 1”.

1	George	George
2	Charles	Charles
4	Robert	Robert
4	John	John
1	Thomas	Thomas

Nazwisko wrogów Meriwethera Lewisa, tajemniczej rodziny zdrajców, którzy mieszały szyki ojcom założycielom, brzmiało Ghent.

Z początku nic Painterowi nie mówiło, dopóki nie zastanowił się nad nim głębiej, zwłaszcza w świetle rozmowy z Rafaellem Saint Germaine'em. Francuz wspominał, że Gildia to w istocie związek starożytnych rodów, które gromadziły bogactwa, władzę i wiedzę w ciągu wieków – prawdopodobnie nawet tysiącleci – a do dziś przetrwała tylko jedna rodzina. Jego wersja dokładnie pasowała do relacji Lewisa z procesu oczyszczania Ameryki, podczas którego jedna rodzina okazała się zbyt głęboko zakorzeniona, aby dała się usunąć – „związana z handlem niewolnikami i niezmiernym bogactwem”.

Czyżby w obu wypadkach chodziło o tę samą rodzinę?

Ghent.

Painter mógłby nie przywiązywać wielkiej wagi do rozszyfrowanego nazwiska, gdyby nie zaskakujący zbieg okoliczności. Ghent było nazwą miasta w Belgii. Ostatnio ten kraj pojawił się co najmniej dwa razy: pochodził stamtąd oddział, który zaatakował Graya w Islandii, tam także wykryto mały skok aktywności neutronów, podobny do tego w Fort Knox.

Dlatego Painter kontynuował poszukiwania. Nazwisko Ghent było popularne wśród ludzi z tego miasta. Był więc John z Ghent i Paul z Ghent. W późniejszych czasach występowali już

jednak po prostu jako John Ghent i Paul Ghent. Czasem używano tylko zangielszczonej wymowy jako łatwiejszej w zapisie.

Tu właśnie Painter odkrył prawdę, a przynajmniej sądził, że to prawda.

Choć nie mógł nic z nią zrobić.

Odsunął się nieco od obrazu, chcąc ogarnąć całość. Przyglądał się postaciom Jeffersona i Franklina, wyobrażając sobie, jak stoją przed tym samym obrazem i wobec takiego samego wyzwania i zagrożenia. Miał związane ręce podobnie jak ojcowie założyciele.

W trakcie zbierania informacji o podejrzanej rodzinie Painter odkrył, że istotnie jej korzenie sięgają Ghent – używali nawet takiego nazwiska, zanim ich wpływy dosięgły Ameryki. Od początku byli obecni w pierwszych koloniach, zapewniając sobie tak mocną pozycję na rynku niewolników, że każda próba siłowego usunięcia rodziny mogłaby spowodować rozpad młodej unii.

Byli chwastem w ogrodzie, którego nie sposób było wyrwać.

I pozostali w nim do dziś.

W miarę rozrostu Ameryki rodzina także rosła w siłę, zapuszczając korzenie coraz głębiej i wiążąc się z różnymi korporacjami działającymi w przeróżnych branżach, a także zdobywając wpływy w sferach rządowych. Przypominali silną, rozgałęzioną żyłę przenikającą tkankę kraju.

Czy więc można się było dziwić, że Sigma nie mogła sobie z nimi poradzić?

Rafaël mówił, że ten starożytny związek rodzin – „najbardziej tajny spośród tajnych stowarzyszeń” – znano pod różnymi nazwami, które krążyły w formie szeptanych pogłosek: Gildia, rody wyższego znaku, *les familles de l'étoile*, rodziny gwiazdy. Painter poznał jednak prawdziwe nazwisko wroga – ówczesnego i dzisiejszego – w zangielszczonej formie, przystosowanej do języka Amerykanów.

To była rodzina Kennedych Południa.

Ale nie nosiła już nazwiska Ghent.

Dziś nazywali się Gant.

Tak jak prezydent James T. Gant.

Od autora prawda czy fikcja?

Choć bardzo chciałbym potwierdzić, że cała opowiedziana tu historia jest prawdziwa, to oczywiście byłyby fikcja. Dlatego postanowiłem poświęcić kilka ostatnich stron na to, by odsiać zboże od plew, oddzielić prawdę od fikcji. Trzy główne elementy leżące u podstaw tej książki to kwestie związane z mormonizmem, historią rdzennych Amerykanów i ojcami założycielami naszego państwa. Po lekturze tej powieści czytelnik może się już domyślać, że te tematy wiążą się ze sobą. Spróbuję je jednak rozdzielić i w miarę przejrzyście przedstawić.

Mormonizm. Mimo że zostałem wychowany w wierze katolickiej, zawsze fascynowała mnie Księga Mormona, szczególnie jej wizja początków Ameryki. Charakterystyczną zagadką tego tekstu jest przekonanie mormonów, że plemiona rdzennych Amerykanów pochodzą od zaginionego plemienia Izraelitów. Choć współczesna wiedza na podstawie analiz DNA zdecydowanie podważa taki pogląd, wskazując na azjatyckie pochodzenie pierwszych mieszkańców Ameryki, czytałem w internecie intrygujący artykuł, który stara się rozważyć przekonanie mormonów w kontekście współczesnej genetyki: *Who Are the Children of Lehi?* (Kim są dzieci Lehiego) autorstwa D. Jeffrey Meldruma i Trenta D. Stephensa.

W powieści poruszam także temat podobieństw między hebrajskim a językami rdzennych Amerykanów (szczególnie z grupy języków uto-azteckich). Więcej informacji na ten temat (w książce wymieniam tylko kilka przykładów, ale są ich setki) czytelnik może znaleźć w dostępnym w internecie artykule Johna L. Sorensona *Was There Hebrew Language in Ancient America?* (Czy w starożytnej Ameryce był język hebrajski?).

Według Księgi Mormona Joseph Smith przetłumaczył ją z tekstu zapisanego na złotych tablicach w języku nazywanym „zreformowanym egipskim”, nowocześniejszej wersji hebrajskiego z elementami egipskimi. Pożyczyłem język z czasów średniowiecznych, tak zwany alfabet magów, aby wystąpił w roli tych znaków, ponieważ alfabet magów również wywodził się z hebrajskiego. Dodam jeszcze, że w całej Ameryce odkrywano dziwne metalowe tabliczki – ze złota lub innego materiału. Na ogół były to mistyfikacje, ale w niektórych wypadkach udokumentowano ich pochodzenie.

O ich prawdziwości niech rozstrzygnie sam czytelnik.

Historia rdzennych Amerykanów. Przechodząc do tego tematu, powinienem wspomnieć, że między mormońskimi osadnikami a rdzennymi Amerykanami w połowie XIX wieku dochodziło do licznych konfliktów, często prowadzących do wojen i masakr. Ale północni Szoszeni z Brigham City są znani jako plemię Indian mormonów.

1. Wódz Canasatego naprawdę był przywódcą Irokezów, który odcisnął piętno na procesie

powstawania Ameryki. Wiele osób rzeczywiście uważa go za zapomnianego ojca założyciela. Opowieść o strzałach i Franklinie oraz o pochodzeniu pęku strzał w Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych jest prawdziwa.

2. Podobnie rzecz się ma z *Rezolucją numer 331* uchwaloną w październiku 1988 roku, która przyznawała, że konstytucja irokeska miała niewątpliwy wpływ na kształt naszych dokumentów założycielskich, w tym Deklaracji Niepodległości.

3. Na przykład w 1787 roku John Rutledge z Karoliny Południowej czytał członkom konwencji konstytucyjnej prawo Irokezów napisane dwieście pięćdziesiąt lat przed uchwaleniem naszej konstytucji. Przeczytał między innymi następujące słowa: „My, naród, pragnąc utworzyć unię, ustanowić pokój, sprawiedliwość i porządek...”. Brzmi znajomo?

4. W różnych regionach Stanów Zjednoczonych odkryto szczątki białych ludzi pochodzące z czasów starożytnych, stanowiące zagadkę dla antropologów. Niektóre z tych znalezisk to człowiek z Kennewick, mumia ze Spirit Cave w Nevadzie, domniemany człowiek z Oregonu i kobieta z Arlington Springs. Jest wiele innych podobnych przykładów.

5. Jedne z najstarszych petroglifów znalezionych w Ameryce to petroglify z gór Coso nad niecką jeziora China w Kalifornii, pochodzące sprzed szesnastu tysięcy lat.

6. Nowe badania oparte na badaniu zawartości węgla w stalagmitach sugerują, że populacja rdzennych mieszkańców prekolumbijskiej Ameryki mogła sięgać ponad stu milionów. To więcej ludzi niż ówczesnie mieszkało w całej Europie.

7. Więcej indiańskich legend związanych z Yellowstone można znaleźć w książkach *Storytelling in Yellowstone: Horse and Buggy Tour Guides* (Opowieści o Yellowstone: staroświecki przewodnik) Lee H. Whittleseya oraz *Indian Legends from the Northern Rockies* (Indiańskie legendy z północnych Gór Skalistych) Elli E. Clark.

8. Zniknięcie Anasazi wciąż wzbudza duże zainteresowanie i wywołuje wiele domysłów. Według jednej z ostatnich teorii Anasazi odkryli nową wiarę, co doprowadziło do wojny religijnej, w której zostali zdziesiątkowani. Mówi się też, że wpływ na ich ostateczny los mogły mieć erupcje wulkaniczne, w wyniku których powstał Sunset Crater.

Ojcowie założyciele. Wspomnieliśmy wodza Canasatego jako zapomnianego ojca założyciela. Przyjrzyjmy się tym, o których pamięć nie zagięła.

1. Thomas Jefferson był naukowcem, mężem stanu, wynalazcą i politykiem. Jego wyjątkowość polegała także na tym, że pragnął lepszych stosunków z tubylczą ludnością Ameryki. Jego zainteresowanie było tak wielkie, że stworzył ogromną kolekcję przedmiotów stworzonych przez kultury rdzennych Amerykanów, którą przechowywał w swoim domu w Monticello. Większość okazów zniknęła w tajemniczych okolicznościach po jego śmierci, a wśród nich zdobiona skóra bizona (to prawda, Meriwether Lewis zmarł na pelerynie ze skóry bizona). Jefferson istotnie wysłał tajny list do Kongresu, w którym przyznawał, że głównym celem ekspedycji Lewisa i Clarka jest szpiegowanie Indian. Naprawdę pomógł także założyć mennicę wraz ze swoim przyjacielem Davidem Rittenhouse'em. I z zamiłowaniem zajmował się tajnymi szyframi, opracowując kilka z nich, między innymi kod, którym porozumiewał się z Meriwetherem Lewisem. Podobnie jak ówczesni rdzenni Amerykanie żywo interesował się skamielinami.

2. Benjamin Franklin rzeczywiście był zafascynowany erupcją wulkanu Laki, która uśmierciła sześć milionów ludzi i prawdopodobnie przyczyniła się do wywołania rewolucji francuskiej.

3. Meriwether Lewis (zgoda, nie jest ojcem założycielem, ale umieszczam go w tym gronie, bo przyjaźnił się z Jeffersonem i żył w tej samej epoce co pozostali). Był żołnierzem, szpiegiem i naukowcem, więc świetnie nadawałby się na członka Sigmy. Razem z Clarkiem rzeczywiście nie znaleźli Yellowstone, mijając go zaledwie o sześćdziesiąt pięć kilometrów. Cytowane słowa jednego z pionierów, który sugerował, jakoby Indianie ukrywali w Yellowstone coś o potężnej mocy, są prawdziwe. Dlatego trudno uwierzyć, że ekspedycja Lewisa nie odnalazła Yellowstone...

i dlatego napisałem tę powieść. Prawdą jest również, że śmierć Lewisa uznano za samobójstwo, ale coraz więcej dowodów świadczy o morderstwie, najprawdopodobniej zamachu. Miejsce pochówku Lewisa starałem się opisać jak najdokładniej.

Wielka Pieczęć. Wspomniałem już, że opowieść o wodzu Canasatego i strzałach jest prawdziwa. Ale faktem jest również, że gałązka oliwna i pęk strzał są symbolami rodu Manassesa, jednego z dziesięciu zaginionych plemion Izraela. Według Księgi Mormona właśnie to plemię miało dotrzeć do dawnej Ameryki. Ponadto Jefferson i Franklin początkowo proponowali, aby Wielka Pieczęć przedstawiała sceny z wygnania Izraelitów. Przegrali w tej dyskusji, ale warto się nad tym zastanowić. Czyżby symbol gałązki oliwnej i strzał były pozostałością ich pierwotnej propozycji? Jeżeli tak, to dlaczego ci dwaj ojcowie założyciele tak bardzo interesowali się plemionami Izraela?

Ciekawostki naukowe. W swoich powieściach staram się możliwie wiernie trzymać szczegółów naukowych, więc większość faktoidów opiera się na pewnych rzeczywistych danych. Kilka z nich zasygnalizuję poniżej.

1. Detektor Super-Kamiokande to rzeczywiste urządzenie do badania cząstek elementarnych, które wykorzystuje zbiornik wypełniony pięćdziesięcioma tysiącami ton ultraczystej wody. To prawda, że przez czubek palca przenika sześćdziesiąt miliardów neutrin na sekundę – te cząstki wciąż stanowią zagadkę dla współczesnej fizyki.

2. W powieści znalazło się sporo informacji na temat wulkanizmu. Większość z nich jest prawdziwa, między innymi to, że powinno się uważać przy prowadzeniu odwiertów w warstwach geotermalnych. Dochodziło już do erupcji i wycieków lawy.

3. Na marginesie dodam, że Podziemne Laboratorium Badawcze Fizyki na Uniwersytecie Brigham Younga istotnie znajduje się w podziemiu na północ od budynku Instytutu Nauk o Ziemi (przepraszam, że wyrwałem w nim dziurę).

4. Dowody starożytnej nanotechnologii naprawdę można znaleźć w stali damasceńskiej, średniowiecznym szkłe i niektórych farbach do włosów. Jeżeli chodzi o współczesną nanotechnologię, szerzej poruszyłem ten temat we wstępie: to wszystko prawda...

i rzeczywiście może przyprawić o dreszcz zgrozy.

5. Broń w powieści: strzelby na amunicję Taser XREP, granaty hukowo-błyskowe, wzmocnienia pancernego hummera i niesamowity pies pasterski. Wszystko jest prawdziwe.

Miejsca. Jesteśmy głównie w Ameryce, więc muszą być prawdziwe.

1. Indiański Kopiec Węża istnieje, ale znajduje się w Ohio, nie w Kentucky.

2. W Sunset Crater na pustyni w Arizonie są rury lawowe, w których przez cały rok utrzymuje

się lód.

3. W Wupatki naprawdę jest wylot kanału termicznego, który prowadzi do systemu jaskiń o objętości dwustu milionów metrów sześciennych, a prędkość podmuchów wiatru, jaki przez niego wieje, osiąga pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

4. Pueblo Crack-in– the-Rock, Rysa w Skale, to prawdziwe miejsce.

5. Na wyspach Vestmannaeyjar na południe od Islandii rzeczywiście żyje największa populacja orek na świecie (dlatego oczywiście musiały odegrać tu pewną rolę). Na wyspę Elliðaey można się dostać tylko po linach, a na powierzchni naprawdę stoi domek myśliwski. Wyspa Heimaey rzeczywiście jest znana jako Pompeje Północy.

6. Większość charakterystycznych miejsc w Yellowstone została opisana zgodnie ze stanem rzeczywistym, łącznie z niecką Fairyland, w której stoją pojedyncze stożki gejzerytów. Prawdą jest także to, że od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku tę piękną i dziwną dolinkę odwiedziło mniej niż trzydzieści osób.

7. To prawda, ma dojść do erupcji kaldery Yellowstone. Ściślej mówiąc, jej przewidywany czas już minął. Informacje geologiczne podane przez China na temat zbliżającej się nieuchronnie erupcji superwulkanu oraz jej skutków są prawdziwe. Kwestią nie jest więc, czy superwulkan wybuchnie, ale kiedy to się stanie.

Inne lektury. Mógłbym tu podać długą bibliografię, ale doszedłem do wniosku, że wymienię tytuły książek, które w największym stopniu wiążą się z treścią powieści.

1. *Solomon's Power Brokers* (Szare eminencje Salomona) Christophera Knighta i Alana Butlera (szczególnie jeśli chodzi o informacje na temat „rodzin gwiazdy”)

2. *Jefferson and Science* (Jefferson i nauka) Silvia A. Bediniego

3. *Southern Paiutes* (Południowi Pajutowie) LaVana Martineau

4. *American Monster* (Amerykańskie monstrum) Paula Semonina

5. *Unearthing Ancient America* (Odkopywanie starożytnej Ameryki) Franka Josepha

6. *The First American* (Pierwszy Amerykanin) Christophera Hardakera

7. *Founding Fathers, Secret Societies* (Ojcowie założyciele, tajne stowarzyszenia) dr. Roberta Hieronimusa

¹ Defense Advanced Research Projects Agency.

² *What the fuck?* – w łagodniejszej formie: Co jest, do cholery?

³ Gejzery: Ul, Spazmatyczny, Zamek, Siorbacz, Mały Strumień, Olbrzymka.

⁴ Zaczarowany Grzyb, Falliczny Stożek, Wzgórek Miotacza.